

Jack London

Martin Eden

Przełożył Zygmunt Glinka

Niechaj mi życie wulkanem wybucha
I winem perli się jak pełny kruż-
Byłem nie widział, jak przybytek ducha
W próchna upiorny rozwiewa się kurz...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pierwszy z idących przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do domu, wprowadzając za sobą młodego chłopaka, który niezgrabnie zdjął czapkę. Miał on na sobie pospolitą odzież przesyconą zapachem morza i raził swą obecnością w przestronnym przedpokoju, w którym się znalazł. Nie wiedział, co ma zrobić z czapką, i już miał wepchnąć ją do kieszeni kurtki, gdy odebrał mu ją towarzysz. Zrobił to spokojnie i naturalnie, za co młody niezdara był mu bardzo wdzięczny. Rozumie — pomyślał sobie. — Dopomoże mi przebrnąć jakoś przez to wszystko.

Kroczył tuż za swym przewodnikiem, kołysząc ramionami i bezwiednie rozstawiając szeroko nogi, jak gdyby równa posadzka wznosiła się i opadała w takt poruszeń morskiej fali. Obszerne pokoje zdawały się zbyt wąskie jak na jego zataczający się chód, w głębi duszy zaś odczuwał lęk, by jego barczyste ramiona nie zderzyły się z obramowaniem drzwi lub nie zmiotły na ziemię drobiazgów rozstawionych na niskiej półeczce nad kominkiem. Rzucił się to w jedną, to w drugą stronę pośród najróżniejszych przedmiotów, mnożąc niebezpieczeństwa, które w rzeczywistości istniały jedynie w jego wyobraźni. Pomiędzy wielkim fortepianem a stojącym pośrodku pokoju stołem, na którym piętrzyły się stosy książek, miejsca było dosyć dla pół tuzina idących obok siebie osób, mimo to jednak on wkroczył tam z trwogą. Jego ciężkie ramiona zwiślały luźno wzdłuż ciała. Nie wiedział, co z nimi zrobić, kiedy zaś w podnieceniu przywidziało mu się, że jedno z ramion może zwalić książki leżące na stole, odskoczył w bok jak spłoszony koń, o mało nie wpadając na krzeselko przy fortepianie. Spoglądając na swobodną postawę idącego przed nim towarzysza, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że porusza się inaczej niż przeciętni ludzie. Świadomość własnej niezręczności przyprawiła go o wstyd. Pot w drobnych kropelkach wystąpił mu na czoło. Zatrzymał się więc i chustką wytarł ogorzałą twarz.

— Poczekaj no, Arturze, mój kochany — rzekł, usiłując ukryć niepokój pod niefrasobliwym tonem. — Nieco tego za wiele dla twego uniżonego sługi. Pozwól mi ochłonąć. Wiesz dobrze, że nie chciałem tu przyjść, a z pewnością twoja rodzina też się nie pali do mnie.

— Ależ wszystko w porządku — brzmiała uspokajająca odpowiedź. — Nie powinieneś się nas obawiać. Jesteśmy skromnymi ludźmi. O, list do mnie.

Zawrócił do stołu, rozdarł kopertę i zaczął czytać, dając gościowi czas na odzyskanie równowagi. Gość zrozumiał to i ocenił należycie. Miał dar dzielenia uczuć innych ludzi i życzliwego ich rozumienia; pod powierzchownym zakłopotaniem ten kojący proces toczył się nieprzerwanie. Obtarł do sucha zroszone czoło i rozejrzał się dookoła z opanowaną twarzą,

choć w oczach tkwił wyraz właściwy dzikim zwierzętom, które lękają się wpadnięcia w potrzask. Otoczony był nieznanym, odczuwał obawę przed tym, co może się zdarzyć, nie wiedział, co mu wypada czynić, a uświadamiając sobie niezgrabność swego chodu i zachowania, bał się, że i pod innymi względami okaże się równie niezręczny. Był niesłuchanie wrażliwy, beznadziejnie zmieszany, ubarwione zaś spojrzenie, jakie tamten rzucił nań nieznacznie sponad listu, odczuł niczym pchnięcie sztyletem. Widział to spojrzenie, lecz nie dał tego poznać po sobie, jako iż jedną z rzeczy, których zdążyło nauczyć go życie, było utrzymywanie w korbach własnych odruchów. Tym bardziej sztylet ten godził w jego dumę. Przekiwał

sam siebie za to, że dał się tu zwabić, a jednocześnie postanowił, że skoro już przyszedł, wytrwa do końca. Rysy jego twarzy stwardniały, w oczach ukazał się błysk przekory. Rozejrzał się już bardziej swobodnie, przypatrując się bacznie wszystkiemu i notując w pamięci każdy szczegół wytwornego wnętrza. Oczy jego, szeroko rozwarte, chciały widzieć wszystko; kiedy tak chłonęły roztaczające się przed nimi piękno, zaczepne iskry powoli w nich gasły, ustępując miejsca ciepłemu blaskowi. Czuły był na piękno, a tu nie brakło rzeczy pięknych.

Jedno malowidło olejne przyciągnęło jego uwagę na dłużej. Gwałtowna fala biła o wysuniętą skalę, oblewając ją pianą; nisko zwisające chmury deszczowe pokrywały niebo; za wałem pian, na tle wróżącego burzę zachodu słońca, widać było zmagający się z wiatrem szkuner, tak przechylony, że można było dostrzec każdy szczegół pokładu. Było w tym piękno, które przyciągało go nieodparcie. Zapomniał o swym niezdarnym chodzie i przybliżył się do samego obrazu. Piękno uleciało z płótna. Na twarzy chłopca odbiło się zakłopotanie. Rzucił okiem na to, co wydawało się teraz bezdusznym zestawieniem farb; po chwili cofnął się nieco. Całe piękno napłynęło z powrotem na płótno. Jakaś sprytna sztuczka — pomyślał zwracając z kolei uwagę na inne przedmioty, chociaż wśród różnorodnych wrażeń znalazł dość czasu, by oburzyć się, iż tyle piękna zużyto w służbie tak niepoważnej sprawy. Nie znalazł się na malarstwie. Smak jego urabiał się na oleodrukach i litografiach, które z bliska czy z daleka — przedstawiały się zawsze jednakowo wyraźnie. Widywał wprawdzie i olejne obrazy na wystawach sklepów, lecz szyby okien nie pozwalały zbyt zbliżyć się jego ciekawym oczom.

Obejrzał się na przyjaciela czytającego list i dostrzegł książki na stole. W jego oczach natychmiast pojawił się wyraz takiej tęsknoty, jak w oczach człowieka głodnego na widok pożywienia. Gwałtownym ruchem zbliżył się do stołu, ramiona zakołysały mu się raz w prawą, raz w lewą stronę, po czym jął z nabożeństwem przerzucać książki. Przeglądał tytuły dzieł i nazwiska ich autorów, odczytywał urywki tekstu, pieszcząc tomy wzrokiem i dotykaniem, a raz natknął się nawet na książkę, którą kiedyś przeczytał. Poza tym były to obce książki, nie znanych mu autorów. Wreszcie natrafił na tom Swinburne'a i począł go czytać uważnie, z zapłonioną twarzą, niepomyślnie, gdzie się znajduje. Dwukrotnie — przytrzymując czytana stronę wskazującym palcem — zamykał książkę, by się upewnić, jak brzmi nazwisko jej autora. Swinburne! Zapamięta sobie to nazwisko. Ten chłop miał oczy co się zowie i umiał patrzeć na barwy i grę światła. Ale kimże był Swinburne? Czy umarł przed stu laty, jak większość poetów? czy też żyje jeszcze i pisze nadal? Znowu spojrzał na tytułową stronę. A więc autor napisał także i inne książki. Zaraz jutro trzeba będzie pójść do bezpłatnej czytelnicy i postarać się o jakieś dzieła Swinburne'a. Pogrążył się znowu w czytaniu, tracąc poczucie rzeczy- rzeczywistości. Nie zauważył, że do pokoju weszła młoda kobieta. Dowiedział się o tym dopiero, gdy usłyszał słowa Artura:

— Ruth, to jest pan Eden.

Zamknął książkę na wskazującym palcu, ale zanim zdążył się odwrócić, przeszło go nowe wrażenie, związane nie tyle z ukazaniem się panny, co ze słowami wypowiedzianymi przez jej brata. W tym muskularnym ciele kryła się przeczulona wrażliwość. Za najłżejszym

zetknięciem świata zewnętrznego Z jego świadomością — myśli, uczucia i wzruszenia wypelzały zeń, płasząc niby chybotliwy płomień na wietrze. Był niezwykle wrażliwy i czuł, a jego bujna wyobraźnia zajęta była nieustannie chwytaniem istniejących pomiędzy zjawiskami podobieństw i różnic. Pan Eden oto co go wprowadziło W podniecenie, jako że dotąd nazywano go zawsze Eden, Martin Eden lub wprost tylko Martin. Aż tu nagle p a n. — A więc czynimy postępy — rzekł w duchu. W jego urny- śle utworzyła się znienacka niby jakaś wielka camera obscura, na tle której począł się przesuwać nieskończony szereg obrazów Z jego życia: kotłownia, przednie kasztele na statkach, obozy i morskie wybrzeża, więzienia i spelunki, szpitale zakaźne i nędzne zaułki miejskie. Nicią kojarzącą te obrazy był sposób, w jaki się do niego zwracano w tych różnorodnych okolicznościach.

Wreszcie odwrócił się i ujrzał dziewczynę. Na ten widok gra skojarzeń znikła z jego mózgu. Stała przed nim blada zwiewna istota, O wielkich, uduchowionych, niebieskich oczach i wspaniałej obfitości złocistych włosów. Nie zdawał sobie sprawy, jak jest ubrana, czuł jednak, że jej szaty są nie mniej cudowne od niej samej. Przyrównywał ją do bladego kwiatu na smukłej łodydze. Nie, ona musiała być duchem, boginią — tak wysubtelniona uroda nie mogła należeć do tego świata. A może zresztą książki miały słuszość i wiele tego rodzaju istot przebywa na wyższych szczeblach społecznych. Ją właśnie opiewać mógł taki Swinburne. Może miał na myśli kogoś podobnego do niej, kiedy malował dziewczyną postać Izoldy w tej książce leżącej na stole? Całe to mnóstwo wrażeń wzrokowych, uczuć i myśli ogarnęło Martina w mgnieniu oka. Ale sytuacja nie pozwalała na dalsze rozmyślenia. Dojrzał rękę panny wyciągniętą ku jego dłoni; ściskając ją szczerze i po męsku, Ruth patrzyła mu prosto w oczy. Kobiety, które znał, nie podawały ręki w ten sposób. Co prawda, większość ich w ogóle nie podawała ręki. Przez mózg jego przepłynął, grożąc zalaniem, wezbrany potok skojarzeń i wspomnień, W jaki sposób poznawał różne kobiety. Strząsnął jednak Z siebie te wspomnienia i spojrzał na nią. Nigdy nie widział podobnej kobiety. Ach, te jego dotychczasowe znajome. W jednej chwili po obu stronach Ruth pojawiły się szeregi znanych mu kobiet. Przez sekundę, długą jak wieczność, znalazł się jakby W galerii obrazów, gdzie Ruth zajmowała miejsce środkowe, otoczona portretami wielu kobiet, a każda z nich musiała przejść przez chwilę oceny, dla której miernikiem porównawczym była sama tylko Ruth. Ujrzał wynędzniałe, chorowite twarze młodych robotnic fabrycznych i głupie, wyzywające uśmiechy dziewcząt z południowej części ulicy Targowej. Były tam poganiaczki bydła z farm hodowlanych i smagłolice

kobiety ze Starego Meksyku, z nieodłącznym papierosem w ustach. Z kolei ustąpiły one miejsca drobnym jak lalki Japoneczkom, stąpającym z wdziękiem w drewnianych chodakach. Dalej przed jego oczyma przesunęły się delikatne rysy kobiet eurazyjskich, naznaczone piętnem degeneracji, oraz bujne ciała kobiet z wysp na morzach południowych, ogorzałe i uwieńczone kwiatami. Wszystkie one wyparte zostały wreszcie przez ponury i niesamowity majak nocny: korowód uliczny z dzielnicy White Chapel, ziejące wódką wiedźmy z zakazanych nor i cały orszak, harpii z piekła rodem, o niechlujnym wyglądzie i plugawej mowie. Pod postacią samic o potwornych kształtach czyhają na marynarzy — istne szumowiny ludzkiej nędzy, pozbierane z portowych zaułków.

— Niechże pan spocznie, panie Eden — rzekła dziewczyna. — Od czasu gdy Artur opowiedział nam o swej przygodzie, pragnęłam pana poznać. Zachował się pan tak dzielnie. Machnął ręką lekceważąco i mruknął, że nie ma o czym mówić, bo przecież każdy na jego miejscu postąpiłby tak samo. Zauważyła, że ręką, którą jej podał, pokryta była świeżymi, gojącymi się dopiero rankami, a rzut oka na drugą, luźno zwisającą rękę przekonał ją, że I ta też jest pokaleczona. Szybkie, badawcze spojrzenie ukazało jej bliznę na policzku, drugą, wyglądającą spod włosów zaczesanych na czoło, i trzecią, kryjącą się na szyi pod sztywno nakrochmalonym kołnierzykiem. Z trudem powstrzymała uśmiech na widok czerwonej pręgi

znaczącej miejsce zetknięcia się kołnierzyka z opaloną skórą szyi. Widać było, że nie nawyki do noszenia twardych kołnierzyków. Równocześnie kobiecym okiem ogarnęła jego ubranie, tanie i źle skrojone, pomarszczone u ramion, z mnóstwem fałd na, rękawach, które świadczyły o kryjących się tam potężnych bicepsach.

Protestując gestem i słowem przeciw nie zasłużonym pochwałom, starał się jednocześnie uczynić zadość wezwaniu panny I usiąść. Podziwiał swobodny wdzięk, z jakim usiadła, sam zaś pragnął usadowić się naprzeciwko niej, lecz nie mógł uwolnić się od świadomości, jak bardzo niezgrabnie to robi.

Było to dla niego nowe doznanie. Przez całe dotychczasowe życie nie istniało dlań zagadnienie, czy zachowuje się zręcznie czy też niezręcznie. Podobne myśli o samym sobie nigdy mu nie przychodziły do głowy. Usiadł z przesadną starannością na brzegu fotela, wielce zakłopotany własnymi rękami. Gdziekolwiek je umieścił, zawsze zawadzały. Artur wyszedł z pokoju i Martin Eden odprowadził go tęsknym spojrzeniem. Czuł się zagubiony i osamotniony, pozostawszy oko W oko z ową bladą zjawą kobiecą. Nie było tu barmana, który by podał Coś do picia, ani też chłopca, którego można by posłać po kufel piwa, ułatwiając sobie tym sposobem nawiązanie pierwszych nici przyjaźni.

— Cóż to za szramę ma pan na szyi, panie Eden? — zagadnęła dziewczyna. — Jak się to stało? Musiała pana spotkać jakaś przygoda.

— Pewien Meksykanin zrobił to nożem, proszę pani — odrzekł zwilżając zaschnięte wargi i odchrząkując. — Zwyczajna sobie bitka. Kiedy odebrałem mu nóż, chciał mi jeszcze odgryźć nos.

Choć powiedział to tak po prostu, przed oczyma jego roztoczyła się bogata wizja owej gorącej nocy gwiazdzistej. W Salina Cruz: biały pasek wybrzeża, światła na statkach stojących w parcie z ładunkiem trzciny cukrowej, głosy pijanych marynarzy dochodzące z daleka, tłoczący się tragarze, płomień namiętności w twarzy Meksykanina, błysk jego zwierzęcych oczu w świetle gwiazd, ukłucie stali w szyję, wytrysk krwi, tłum, okrzyki, dwa ciała splecione w walce, przetaczając się i wznoszące tumany piasku — I skądś z oddali napływający słodki brzęk gitary Tak przedstawiał się obraz, na którego wspomnienie Martin zdrzął z podniecenia, zapytując sam siebie, czy zdołałby go odtworzyć ów malarz, co namalował ten szkuner wiszący na ścianie. Pomyślał, że białe gwiazdy i światła na „statkach handlowych sprawiałyby Wspaniałe wrażenie w zestawieniu z widoczną na bliższym planie ciemną grupą postaci, otaczającą zapaśników. Nóż W tym obrazie zajmowałby ważne miejsce i wyglądałby efektownie, błyskając ostrzem w świetle gwiazd. Ale nawet ślad tego wszystkiego nie przeniknął do jego słów.

— Chciał mi jeszcze odgryźć nos — zakończył.

Och! — szepnęła panna słabym, zgaszonym głosem, a na jej wrażliwej twarzy dał się zauważyć wyraźny niesmak.

On sam też poczuł się nieswojo i na jego ogorzale policzki wypłynął ledwie widoczny rumieniec zakłopotania, choć wydawało mu się, że płonie takim żarem, jakby nachylił się nad otwartym paleniskiem okrętu. Tak ordynarne sprawy jak bójkę na noże najwidoczniej nie były właściwym tematem rozmowy z damą. Sądząc z książek, ludzie z jej sfery nie mówili o podobnych rzeczach, a może nawet zgola nie wiedzieli o ich istnieniu.

W pogawędce nastąpiła krótka przerwa. Po chwili panna zapytała od niechcienia o bliźnę na policzku. Słyszając te słowa Martin zdał sobie sprawę, że stara się W ten sposób dostosować do jego poziomu umysłowego. Zaraz też postanowił z tym skończyć i skierować rozmowę na interesujące ją tematy.

Był to zwykły wypadek — rzekł dotykając ręką policzka. Pewnej nocy podczas ciszy, gdy fala była bardzo silna, oderwała się główna lina do podnoszenia bomu wraz z częścią.

takelunku. Lina była stalowa i wiła się dookoła jak wąż, smagając wszystko, co napotykała po drodze. Cała wachta starała się ją pochwycić, ja też podleciałem i dostało mi się.

— Więc to tak było rzekła panna, tym razem, z akcentem zrozumienia, choć w rzeczywistości jego słowa były dla niej chińszczyzną i nie domyślała się nawet, co znaczy „bom” lub „takelunek”.

— Ten Swinburne — zaczął, usiłując wprowadzić w czyn obmyślony plan, lecz wymawiając w nazwisku „aj” zamiast „i”.

— Kto taki?

— Swinburne — powtórzył z tą samą niefortunną wymową. — No, ten poeta.

Swinburne poprawiła „dziewczyna.

— Tak, on właśnie bąknął Martin, znów cały w pąsach. — Czy od dawna już nie żyje?

— Nic o tym nie słyszałam, żeby miał umrzeć. — Spojrzała nań z zaciekawieniem. — Gdzie to pan go poznał?

— Ależ nigdy go na oczy nie widziałem — odpowiedział. — Tylko przeczytałem kilka wierszy z tej książki tam na stole, zanim pani weszła. Co pani myśli o jego poezji?

Zacząła mówić szybko i swobodnie na poruszony przez niego temat. Poczul się różnie i nieco głębiej zasiadł w fotelu. Trzymał się kurczowo poręczy, jakby groziło mu niebezpieczeństwo nagłego upadku. Udało mu się zmusić pannę, by mówiła o rzeczach odpowiadających jej poziomowi, a gdy już się na dobre rozgadała, starał się iść śladem jej myśli; podziwiał ogrom wiedzy mieszczący się w tej ładnej główce i wchłaniał w siebie bladą urodę jej lic. Rozumiał ją nienajgorzej, mimo iż wielu słów wymawianych przez nią tak płynnie nie znał zupełnie; obce mu też były zarówno zwroty krytyczne, jak i procesy myślowe, które jednak podniecały jego umysł, jak gdyby zmuszając go do wibracji. Oto jest prawdziwe życie umysłowe — pomyślał — a wraz z nim piękno tak żywe i cudowne, o jakim nigdy nie marzył. Stracił panowanie nad sobą i wpatrywał się w dziewczynę zgłodniałymi oczyma. Dla takiej warto żyć, zdobywając ją i walcząc o nią, choćby przy tym wypadło nawet zginąć. Książki mówiły prawdę. Istnieją takie kobiety na świecie, a ona jest właśnie jedną z nich. Zdawała się przypinać skrzydła jego wyobraźni, aż rozpostarły „się przed nim wielkie, promienne ekrany, wypełnione niewyraźnym zarysem olbrzymich postaci z „dziejów romantycznej miłości i bohaterских czynów spełnianych na cześć kobiety — bladej kobiety, złocistego kwiatu. A poprzez barwną, tętniącą wizję, niby przez czarodziejski miraż, oczy jego wpijały się w żywą kobietę, siedzącą tu przed nim i gawędzącą o literaturze i sztuce. Słuchał uważnie, ale nie spuszczał z niej oczu, nieświadom uporczywości własnego spojrzenia

ani tego, że w oczach ześrodkowało się wszystko, co było

W im bujną męskością. Ale Ruth, choć niewiele wiedziała

O świecie mężczyzn, jako kobieta czuła to palące spojrzenia

Nigdy dotąd nie zdarzało się, by mężczyźni tak się w nią wpatrywali,

krępowało ją to. Zacząła jąkać się i gubić wątek myśli. Tok logicznych wywodów wymykał się jej raz po raz. Bała się tego człowieka, a jednocześnie odczuwała osobliwą przyjemność, że ktoś tak na nią patrzy. Wychowanie jakie otrzymała, ostrzegało ją przed

niebezpieczeństwem i przed złem, wabiącym subtelnie i tajemniczo; w-tejże samej chwili głos instynktu, grający dźwiękiem surm poprzez całą jej istotę, zniewalał do nieuczenia się z przesądami kastowymi ani ze stanowiskiem i do poddania się czarowi tego przybysza z innego świata: nieogłdzonego młodzieńca o pokaleczonych rękach i czerwonej prędze na szyi nie przyzwyczajonej do kołnierzyka, człowieka, który z całą pewnością zbrukany był i napiętnowany przez niegodne warunki bytowania. Ruth była czysta i czystość ta podnosiła w niej bunt, ale była też kobietą, która właśnie po raz pierwszy zetknęła się z paradoksem kobiecości.

— Więc jak mówiłam... ale cóż to ja właściwie mówiłam? — Urwała nagle i roześmiała się wesoło z własnego roztargnienia.

— Powiedziała pani, że ten Swinburne nie zasługuje na miano wielkiego poety, ponieważ..., do tego właśnie miejsca pani doszła — pośpieszył z odpowiedzią Martin, czując w sobie nagle zbudzone uczucie głodu i rozkoszne dreszczyki przebiegające po plecach na dźwięk jej śmiechu.

Jak srebro — pomyślał — jak roztętnione srebrne dzwoneczki. W tej samej chwili, i zresztą tylko na chwilę, uniesiony został do odległej krainy, gdzie pod różowym kwieciami wiśni przysłuchiwał się z papierosem w ustach dzwonom, które ze szczytu wygiętej spiczasto pagody wzywały na modlitwę wiernych obutych w słomiane sandały.

— Ach, prawda, dziękuję panu — rzekła. — Swinburne nie zadowala nas, prawdę mówiąc, dlatego, że brak mu subtelności. Wiele jego poematów w ogóle nie zasługuje na to, by je kiedykolwiek czytano. Każdy wiersz napisany przez istotnie wielkiego poetę pełen jest przepięknej prawdy i znajduje oddźwięk w tym wszystkim, co jest w człowieku wzniosłego i szlachetnego. Ani jednej zwrotki wielkiego poety nie wolno pominąć jeśli nie chcemy zubożyć świata.

— A mnie się zdawało, że to, co przeczytałem, jest wspaniałe — powiedział z wahaniem w głosie — choć co prawda nie było tego wiele. Nie przypuszczałem, że z niego taki szelma. Pewnie to widać z innych jego książek.

— Także i w tej książce, którą pan przeczytał, wiele jest wierszy zbytecznych — oświadczyła, nadając głosowi ton niezmiernie stanowczy i dogmatyczny.

— Widocznie nie zauważyłem ich — oznajmił Martin. — To, co czytałem, było pierwsza klasa. Całe jaśniejące i tak promienne, że aż i mnie oświetliło tym blaskiem, niby słońce lub reflektor. Tak ja to przynajmniej odczułem, choć oczywiście nie znam się na poezji, proszę pani.

Zamilkł bezradnie. Był zmieszany, boleśnie świadom nieumiejętności wysławiania się. Wyczuwał wielkość i blask życia w przeczytanych utworach, ale jego mowa była nieporadna. Nie umiał wyrazić tego, co czuje, i we własnym mniemaniu przyrównywał się do żeglarza, który na nie znanym statku pośród ciemnej nocy zмага się z obcym sobie olinowaniem. Postanowił w duchu, że musi zapoznać się z tym nowym dla niego światem. Nigdy nie zdarzyło mu się spotkać czegoś, z czym by się nie mógł oswoić, jeśli tego naprawdę pragnął, a pora już, by się nauczył mówić o rzeczach, które w nim tkwiły, w sposób dla niej zrozumiały. Ona zaczynała coraz bardziej przesłaniać jego horyzont.

— A taki Loingfellow... — podjęła panna.

— Wiem, wiem, czytałem go — przerwał impulsywnie Martin, pałając chęcią wykazania i przedstawienia w jak najlepszym świetle tego niewielkiego zasobu wiedzy książkowej, jaki posiadał, i pragnąc przede wszystkim udowodnić jej, że me jest znowu takim durniem — Psalm życia, Excelsior i... to już chyba wszystko.

Kiwnęła głową z uśmiechem, on zaś odczuł w tym uśmiechu zaś jakby pobłażanie zmieszane z litością. Głupi był chcąc popisywać się wiedzą. Ten cały Longfellow napisał pewnie niezliczone mnóstwo tomów poezji.

— Niech się pani nie gniewa, że przerwałem tak nie w porę. Właściwie to ja wcale się nie znam na tych rzeczach. Nie stykałem się z tym. Ale teraz wszystko się musi zmienić. Zabrzmiało to jak groźba. Głos jego dźwięczał stanowczością, z oczu biły płomienie, rysy twarzy nabrały twardości. Pannie zdawało się, że jego dolna szczęka wysunęła się do przodu, przybierając wyraz niemile zaczepny. Jednocześnie miała wrażenie, że zalewa ją płynąca od niego fala bujnej męskości.

— Nie wątpię, że pan zacznie się teraz z tym stykać — zakończyła ze śmiechem. — Pan jest bardzo silny.

Wzrok jej przez chwilę zatrzymał się na muskularnej szyi o mocnych ścięgnach i byczej tężyźnie — brązowej od słońca, dyszącej nadmiarem zdrowia i siły. I chociaż siedział przed nią zarumieniony i pokorny, Ruth poczuła znowu, że coś ją ku niemu pociąga. Ze zdumieniem uprzytomniła sobie, że do głowy wtargnęła jej szalona myśl. Gdyby tak mogła zarzucić mu ręce na szyję, cała ta krzepkość i potęga przepłynęłaby na nią. Myśl ta wstrząsnęła dziewczyną. Zdawała się ona odsłaniać w Ruth jakieś nieznane zepsucie. Ponadto siła fizyczna wydawała się jej dotychczas czymś ordynarnym i niemal zwierzęcym. Ideałem urody męskiej był dla niej zawsze smukły wdzięk. Mimo to osobliwa myśl nie ustępowała. Przeraziło ją poczucie, że może pragnąć zarzucenia rąk na tę ogorzałą szyję. W rzeczywistości, sama wiotka i słaba, całym ciałem i duszą odczuwała potrzebę siły. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawy. Wiedziała tyle tylko, że nigdy dotąd żaden mężczyzna nie działał na nią w tym stopniu, co ten obcy przybysz, rażący ją co chwila okropnymi błędami językowymi.

— No tak, ułomek to ja nie jestem — odrzekł. — Jak bieda dokuczy, to potrafiłbym „strawić żelazo. Ale „teraz cierpię na umysłową niestrawność. Nie mogę na przykład rozgryźć większości

tego, co pani mówiła. Po prostu brak mi wprawy.

Lubię książki i wiersze, poświęcałem im wszystek wolny czas, ale nigdy nie rozmyślałem nad nimi tak jak pani. Dlatego właśnie nie umiem o nich mówić. Czuję się jak żeglarz zabłąkany na obcym morzu bez mapy i busoli. Ale teraz chciałbym ściśle ustalić położenie mego statku. Może pani zechciałaby mi dopomóc? Jak zdołała się pani nauczyć tylu rzeczy?

— Chyba w szkole i na studiach — odrzekła.

— Ja też jako mały bąk chodziłem do szkoły — próbował przeciwstawić się Martin.

— Tak, ale ja mam na myśli szkołę średnią, wykłady i uniwersytet.

— To pani chodziła na uniwersytet? — zapytał ze szczerym zdurnieniem. Poczul, że w tej chwili oddaliła się od niego przynajmniej o milion mil.

— I teraz tam studiuje. Specjalnością moją jest anglistyka. Nie wiedział wprawdzie, co ostatni wyraz oznacza, ale zanotował sobie w pamięci ten brak w swym wykształceniu i ruszył dalej naprzód.

— Ile czasu musiałbym się uczyć, aby móc wstąpić na uniwersytet? — zagadnął.

Uśmiechnęła się zachęcająco wobec takiego zapału do nauki i rzekła:

— To zależy od tego, co pan już urnie. Nigdy pan nie uczęszczał do szkoły średniej?

Oczywiście, że nie. Ale czy

skończył pan szkołę powszechną?

— Pozostało mi jeszcze dwa lata, kiedy ją rzuciłem — odpowiedział. — Ale zawsze przechodziłem chlubnie z klasy do klasy.

Już w następnej chwili porwała go taka wściekłość na własne samochwalstwo, że wpił obie dłonie w poręczę fotela, aż w koniuszkach palców poczuł ukłucia bólu. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że do pokoju weszła jakaś pani. Ujrzał, jak dziewczyna zerwała się z miejsca i śpiesznie podbiegła do nowoprzybyłej. Ucałowały się i objąwszy ramionami szły teraz ku niemu. To pewnie jej matka — pomyślał.

Była to wysoka blondyna, o wyniosłej, smukłej postawie i pięknej twarzy. Strój jej nie odbiegał od tego, czego można się było w tym otoczeniu spodziewać. Oczy chłopca rozkoszowały się wdzięczną linią jej sukni. Zarówno postać jej, jak i szata przywodziły mu na pamięć kobiety widywane na scenie. Potem przypomniał sobie, że podobnie wystrojone damy oglądał też u wejścia do teatrów londyńskich, kiedy wystawał na chodniku, przypatrując się temu widowisku, a policjanci spychali go z podjazdu w szarugę ulicy. Następnie pamięć jego

przesunęła się nagłym skokiem przed „Grand Hotel” w Yokohamie, gdzie również obserwował nieraz z chodnika wielkie damy. Po chwili miasto i part Yokoba my poczęły w tysiącach obrazów migać przed jego oczami. Szybko jednak odsunął ten kalejdoskop pamięci, zmuszony do tego pilnymi wymogami chwili bieżącej. Wiedział, że powinien być przedstawiony pani domu, toteż podźwignął się z wysiłkiem i, stanął ukazując beznadziejnie wypchnięte na kolanach spodnie; ramiona zwiślały mu śmiesznie wzdłuż tułowia, a twarz przybrała zacięty wyraz gotowości poddania się nadchodzącym katuszom.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przejście do jadalni okazało się dlań prawdziwą zmurą. Wśród przystanków, potknięć, szarpnięć i przechyleń zdawało się chwilami że posuwanie się naprzód przekracza granice możliwości. Wreszcie jednak udało mu się i oto siedział przy stole obok Niej. Cały zestaw noży i widelców budził w nim trwogę. Groziły szeregiem nieznanym niebezpieczeństw, patrzył więc na nie jak urzeczony, aż ich lśniąca powierzchnia stała się tłem, na którym jęły przesuwać się kolejno sceny z okrętowego życia, przedstawiające go w gronie kolegów, gdy za pomocą kozika i palców jadł wraz z nimi peklowaną wołowinę lub blaszaną łyżką czerpał z miski gęstą grochówkę. W nozdrzach czuł zaduch nieświeżego mięsa, w uszach zaś — pod wtór trzeszczących desek i skrzypu drewnianych przepierzeń — brzmiało głośnie mlaskanie biesiadników. Przyglądał się im w trakcie jedzenia i orzekł, że jedli jak świnie. Za to on teraz zachowa się ostrożnie. Nie będzie go wcale słychać. Musi tego pilnować nieustannie.

Rozejrzał się dokoła. Naprzeciwko niego siedział Artur ze swym bratem Normanem. Byli to przecież jej bracia — uprzytomnił sobie — i serce wezbrało mu „serdecznością ku nim. Jaką miłość wzajemną widać wśród członków całej tej rodziny. W myśl ach zajaśniał mu obraz wchodzącej matki i powitalnego pocałunku z córką. Widział, jak podchodzą do niego splecione ramionami. W jego świecie nie widywało się podobnych dowodów uczucia między rodzicami i dziećmi. Było to objawienie wyżyn bytu osiągniętych przez ludzi z wyższego świata. Ze wszystkich rzeczy, jakie w tym świecie dane mu było dotychczas zobaczyć, ta była najcudowniejsza. Wzruszyło go to niezmiernie i napełniło serce tkliwością. Przez całe życie był spragniony miłości. Jego natura pożądała jej do szaleństwa. Była to jego organiczna potrzeba. Mimo to obchodził się dotąd bez niej i stwardniał w tych warunkach. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dalece potrzebował uczucia. Nawet teraz jeszcze tego nie rozumiał. Widział tylko przejawy miłości i drżał cały na widok jej wzniosłości, potęgi i czaru.

Rad był, że pana Morse nie było w domu. Dostyc miał poznając ją, matkę i brata Normana. Artura już trochę znał. Ale osoba ojca, czuł to doskonale, przeważałaby szalę jego niedoli. Zdawało mu się, że nigdy w życiu tak się nie męczył. Najcięższy znój był w porównaniu z tym dziecinną igraszką. Na czoło wystąpiła mu wilgotna rosa, a koszula cała przesiąkła potem, wyciśniętym przez nawał niezwykłych czynności. Musiał jeść inaczej, niż zwykł to robić dotychczas, posługiwać się dziwnymi narzędziami, rozglądając się nieznacznie dookoła, uczyć się każdej nowej czynności, z powodzi bijących weń wrażeń wyławiać każde, by utrwalić je w pamięci i należycie określić. Jednocześnie świadom był siły, która przyciągała go ku niej, przyprawiając o głuchy i bolesny niepokój; prócz tego odczuwał nie gasnące pragnienie wspięcia się na zajmowany przez nią szczebel życia i raz po raz łapał się na tym, jak umysł jego schodzi na manowce jałowych rozstań i mglistych planów dotyczących sposobów przedarcia się ku niej. Zarazem zaś, ilekroć jego ukradkowe spojrzenie wybiegło ku siedzącemu naprzeciw Normanowi lub innym współbiesiadnikom, by sprawdzić, którego noża lub widelca należało użyć w danym wypadku, jego myśl chwyciła obraz tej osoby, starając się ocenić go właściwie, zawsze jednak z jej punktu widzenia.

Ponadto musiał jeszcze rozmawiać, słuchać zwróconych ku niemu i wymienianych pośród reszty towarzystwa słów i w razie potrzeby zdobywać się na odpowiedź, z nieustanną troską O to, by niesforny język nie przekroczył dozwolonych granic. Na domiar nieszczęścia był jeszcze lokaj, który jak uporczywa plaga zjawiał się bezszelestnie za jego plecami i niby sfinks nieubłagany wysuwał co-raz to nowe zakłęcia i zagadki wymagające natychmiastowego rozwiązania. Przez cały czas obiadu dręczyła go myśl o miseczkach do płukania palców. Natarczywie i zupełnie nie na czasie „stawało przed nim dziesiątki razy pytanie, kiedy się one wreszcie zjawią i jak będą wyglądały. Słyszał kiedyś o takich wymyślnych rzeczach i oto „teraz, wcześniej czy później, zapewne w ciągu najbliższych minut ujrzy je, siedzieć będzie przy stole z wyższymi istotami korzystającymi z nich i sam L też będzie z nich korzystał. Przede wszystkim jednak w tajnikach myśli, lecz wciąż przedostając się na plan pierwszy — tkwiło zagadnienie, jak w ogóle powinien zachowywać się wobec tych osób. Jaką postawę należy przyjąć? Nieustannie i z największą troską powracał do tego. Przychodziły mu do głowy tchórzliwe pomysły, aby odegrać jakąś rolę, jeszcze lękliwsze jednak głosy wewnętrzne ostrzegały go, że na tej drodze czeka go nieuchronna klęska, że to niezgodne z jego naturą i że musiałby w końcu wyjść na błazna.

Rozważania nad właściwym sposobem postępowania sprawiły, że na początku obiadu przeważnie milczał. Nie wiedział, że taką powściągliwością zadaje kłam wczorajszej zapowiedzi tura, iż przyprowadzi na obiad dzikiego człowieka, czym jednak nie trzeba się przejmować gdyż przy bliższym poznaniu dzikus ten okaże się wcale zajmujący. Martin Eden nie uwierzyłby, że jej brat zdolny jest do podobnej dwulicowości, zwłaszcza iż ten właśnie brat dzięki niemu wyszedł bez szwanku z bardzo niemiłej przygody. Siedział więc przy stole zatroskany swoim towarzyskim niedołęstwem i jednocześnie zachwycony wszystkim, co się dokola niego działo. Po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że jedzenie może być czymś więcej niż zaspokajaniem cielesnej potrzeby. Dotychczas nie zastanawiał nad tym, co je. Było to po prostu pożywienie. Przy tym natomiast stole sycił swą miłość piękna, gdyż tu jedzenie było zarazem czynnością estetyczną. Ponadto zaś było ono także czynnością intelektualną. Umysł Martina był do gruntu poruszony. Słyszał słowa, które były dla niego niezrozumiałe, a także inne, które spotykał jedynie w książkach, gdyż nikt ze znanych mu mężczyzn czy kobiet nie byłby zdolny ich wymówić. Kiedy słyszał takie słowa padające beztrząsco z ust członków tej cudownej rodziny, jej rodziny, przenikała go prawdziwa rozkosz. Romantyczność, piękno i potęgę książek stawały się prawdą. Pograżony był w tym rzadkim a błogim stanie, kiedy człowiek widzi, jak marzenia jego opuszczają złudną krainę fantazji i przybierają rzeczywiste kształty.

Nigdy jeszcze nie znajdował się na takich wyżynach, toteż nie wsuwał się na plan pierwszy, słuchając, obserwując, świadcząc drobne grzeczności sąsiadom i ograniczając swe odpowiedzi na pytania matki i córki do krótkich zwrotów w rodzaju „tak, pani” i „nie, pani”. Kiedy zwracał się do jednego z młodych ludzi, z trudem powstrzymywał się od użycia przyswojonej sobie w czasie służby na morzu formuły „tak, sir” i „nie, sir”. Czuł, że byłoby to niewłaściwe, brzmiałoby jak przyznanie się do własnej niższości, a do tego nie mógł przecież dopuścić, skoro postanowił zdobyć tę dziewczynę. Wymagała tego zresztą jego miłość własna. Cóż u Boga Ojca? — buntował się raz w duchu — nie jestem ani o cal gorszy od nich, a jeśli umieją wiele rzeczy, o których ja nie mam pojęcia, to przecież i ja mógłbym ich niejednego nauczyć. — A po chwili, gdy panna czy też jej matka zwracały się do niego „panie Eden”, cała jego durna ulatywała bez śladu i twarz rozświetlał ciepły blask radosnej wdzięczności. A więc był cywilizowanym człowiekiem siedzącym przy stole ramię w ramię z

ludźmi, o jakich czytywał w książkach. Sam stawał się postacią z książki i zaznawał dziwnych przygód opisanych na zadrukowanych kartkach oprawnych tomów. Kiedy wbrew opinii Artura okazywał się raczej potulnym jagnięciem niż dzikim człowiekiem, ciągle szukał w myśli właściwego sposobu postępowania. Nie był w istocie wcale potulnym jagnięciem i podrzędna partia drugich skrzybie nie licowała bynajmniej z jego władczą naturą. Odzywał się wtedy tylko, gdy był do tego zmuszony, a jego mowa — podobnie jak wejście do jadalni — była pełna potknięć i przystanków. Z trudem przetrząsał w myśli swój wielojęzyczny słownik, zastanawiając się nad odpowiednimi wyrazami, miał jednak wątpliwości co do ich wymowy, i odrzucając takie, które mogły być niezrozumiałe lub brzmiały niewłaściwie. Jednocześnie nie przestawała go dręczyć świadomość, że ta ciągła troska o poprawne wysławianie się w rezultacie czyni z niego głupca, nie pozwalając wypowiedzieć tego, co w nim tkwiło. Jego zamiłowanie do swobody buntowało się przeciwko wszelkim ograniczeniom, podobnie jak szyja nie chciała znieść więzów sztywnego kołnierza. Zresztą przekonany był, że nie zdołałby utrzymać się długo w narzuconej sobie roli, Z natury obdarzony był ruchliwym umysłem i żywą uczuciowością, toteż jego twórczy duch nieustannie szukał ujścia. Szybko opanowywały go tkwiące w nim pojęcia czy wrażenia, walczące w bólach porodowych o przyobleczenie się W wyraz i kształt, wtedy zapominał, gdzie jest, i wymykały mu się stare wyrazy — jedyne znane dobrze narzędzia mowy.

W pewnej chwili, chcąc pozbyć się lokaja, który przeszkadzał mu częstując czymś, na co wcale nie miał ochoty, rzucił mu z naciskiem krótkie „pau!”

Przy „stole zapanował wyczekujący niepokój, lokaj był wyraźnie ubawiony, a jego samego ogarnęło zakłopotanie. Wkrótce jednak odzyskał pewność siebie.

— To słowo w języku kanaków oznacza „dosyć” — wyjaśnił. — Tak jakoś samo mi się nasunęło.

Po chwili schwytał ciekawe i badawcze spojrzenie Ruth,

przesuwające się po jego rękach, a nabrawszy ochoty do wyjaśnień brnął dalej:

Właśnie wróciłem z podróży wzdłuż wybrzeży na jednym z pocztowych parowców Pacyfiku.

Był opóźniony i w portach w okolicy Pugert Sound musieliśmy pracować jak Murzyni, dźwigając ciężary — „mieszany ładunek”, jeśli państwo

wiedzą, co to znaczy. Dlatego właśnie mam podrapaną skórę na rękach.

— Ach, nie o to mi chodziło — pośpieszyła z kolei wyjaśnić dziewczyna. — Tylko pana ręce wydały mi się dziwnie małe w stosunku do całej postaci.

Policzki Martina zapłonęły. Odczuł to jako wykrycie jeszcze jednej jego ułomności.

— To prawda — odpowiedział w poczuciu własnej niższości. Rzeczywiście są za małe. W barkach i ramionach mam siłę byka: kiedy grzmotną nimi kogo w szczękę, rozwalam sobie przy tym ręce.

Nie podobała mu się „ta wypowiedź. Czuł obrzydzenie do samego siebie. Dał się ponieść językowi i mówił o rzeczach, które nie były w dobrym guście.

— Dzielnie to było z pana „strony że pan obronił w ten sposób Artura, nie znając go w dodatku wcale — odezwała się taktownie panna, zauważywszy przygnębianie chłopaka, lecz nie znając jego przyczyny.

On z kolei zrozumiał od razu jej intencje i ciepła fala wdzięczności ogarnęła go natychmiast, powodując, że znów pofolgował niesforenemu językowi.

— To nic wielkiego — rzekł. — Każdy chłop na moim miejscu pomógłby tak samo drugiemu. Tamte draby szukały guza,

a Artur nic im nie zawinił. Więc kiedy całą zgają wpadli na

niego, rzuciłem się na nich i poturbowałem kilku. W ten sposób straciłem trochę skóry, a łobuzy sporo zębów. Za nic

w świecie nie przepuściłbym takiej zabawy. Kiedy zobaczyłem Martin urwał w połowie zdania, nie zdążywszy nawet zamknąć ust. Zatrzymał się nad samym progiem przepaści, w którą strącało go własne prostactwo, i poczuł się niegodny oddychania tym samym powietrzem co ona. A kiedy Artur po raz dwudziesty chyba podjął opowieść o swej przygodzie z bandą pijanych włóczęgów na promie i o tym, jak Martin Eden dzielnie pośpieszył mu na pomoc — tenże Martin Eden ze zmarszczonymi brwiami wymawiał sobie w duchu, jak głupio się znalazł, i począł jeszcze usilniej rozważać, jak powinien się zachować w obecności tych ludzi. Jak „dotychczas, niewątpliwie przegrywał... Sam stwierdzał, że nie był z ich świata i nie miał z nimi wspólnego języka. Udawanie nie doprowadziłoby do niczego. Maskarada musiałaby zawieść, a zresztą niezgodna jest z jego naturą. Nie było w nim miejsca na fałsz i obłudę. Cokolwiek się zdarzy, musi zostać sobą. Na razie nie mnie jeszcze mówić ich językiem, ale kiedyś tego dopnie. Był tego najzupełniej pewien. Tymczasem jednak, skoro koniecznie trzeba było mówić, będzie gadał po swojemu, oczywiście łagodząc nieco wyrażenia, aby dla nich być zrozumiałym i nie razić ich zanadto. Ale nie będzie udawał, choćby tylko przez milczącą zgodę, że obeznany jest z czymś, co w gruncie rzeczy jest mu zupełnie obce. W myśl tego postanowienia Martin, posłyszawszy, jak bracia rozmawiając o wykładach uniwersyteckich użyli kilkakrotnie słówka „tryg”, zapytał wprost:

— Co znaczy tryg?

— Trygonometria. Jedna z wyższych postaci matu.

— A co to takiego mat? — brzmiało następne pytanie, które rozśmieszyło już Normana.

— Matematyka, rachunki — wyjaśnił.

Martin Eden skinął głową. Rzucił oto spojrzenie na nieograniczoną krainę wiedzy, a „to, co dostrzegł, stawało się namacalne. Jego nieprzeciętna zdolność do wizji nadawała rzeczom oderwanym kształty konkretne. W alchemicznym tyglu jego mózgu trygonometria, matematyka i całe pole nauki kryjące się za tymi słowami przetwarzało się w uchwytne dla wzroku krajobrazy. Ujrzał krainę zielonego listowia i polan leśnych, łagodnie promienną lub poprzecinaną błyskami światła. Szczegóły na dalszym planie przesłonięte były mętną purpurową mgłą, a poza tą purpurową mgłą — wiedział o tym na pewno — mieścił się baśniowy cud nieznanego, wabiący swą romantycznością. Myśl o tym upajała go jak wino. Była tam przygoda, trud dla głowy i rąk, cały świat do zdobycia. I oto z głębi świadomości wypłynęła myśl: zbliżając się krok za krokiem, musi dotrzeć aż do niej i zdobyć tę bladą jak lilia, widmową istotę, co siedzi tu przy nim.

Promienna wizja rozdartą została na strzępy i rozproszona przez Artura, który przez cały wieczór wysiłał się, by godnie przedstawić swego dzikiego człowieka. Martin Eden nie zapomniał o powziętym postanowieniu. Po raz pierwszy stał się po prostu sobą, najpierw świadomie i z całym rozmysłem, potem zaś nurzając się w radości tworzenia, w ukazywaniu oczom swoich słuchaczy tego świata, który sam znał tak dobrze.

Był w swoim czasie członkiem załogi szkunera <Halcyon>, który zajmując się kontrabandą przyłapany został przez Statek straży celnej. Oczy miał wtedy szeroko otwarte, toteż teraz było o czyni opowiadać. Roztoczył przed słuchaczami obraz tętniącego morza i okrętów pełnych ludzi. Póty wpajał w nich potęgę swej wizji, aż jego oczami ujrzeni to, co on niegdyś widział. Z ogromnej obfitości szczegółów wybierał z wyczuciem artysty tylko to, co było niezbędne do stworzenia obrazów życia tchnących światłem i płonących żarem barw. Obrazy te tak nasycił ruchem, że słuchacze płynęli w ślad za nim, uniesieni nurtem jego słów, pospolitych wprawdzie, lecz tchnących entuzjazmem i potęgą. Niekiedy raził ich przejaskrawieniem opisów i zbyt dosadnymi wyrażeniami, lecz tuż za gwałtownością kroczyło niezmiennie piękno, tragizm zaś łagodzony był przez humor, z jakim wtrącał do swej fabuły dziwaczne chwytły i wybryki żeglarskich umysłów.

Kiedy tak opowiadał, dziewczyna spoglądała nań zdumionymi oczyma. Ogień bijący z jego słów rozgrzewał ją. Zapytywała sama siebie, czy istotnie dotąd zawsze była tak chłodna. Pragnęła oprzeć się o tego płomiennego mężczyznę, co niby wulkan wyrzucał z siebie siłę, tężyznę i zdrowie. Czula, że coś pcha ją przemożnie ku niemu, i z wysiłkiem broniła się przed tym. Równocześnie też odczuwała coś przeciwnego, coś, co ją od niego wręcz odpychało. Odstraszająco działał na nią widok tych rąk okaleczonych, tak zniszczonych pracą, że najprawdziwszy brud życia wrósł głęboko w ich tkankę; odstręczała ją czerwona pręga na szyi i te uwydatniające się potężne mięśnie. Jego szorstkość budziła w niej lęk. Każdy ostrzejszy zwrot ranił jej uszy, każdy surowszy fragment jego życia raził ją. Mimo to raz po raz czula jego siłę przyciągającą, aż wreszcie zaczęła podejrzewać, że musi być wcieleniem zła, skoro taką ma nad nią władzę. Wszystko, co stano wiło dotąd niewzruszony fundament jej umysłu, poczynało się chwiać. Romantyzm i awanturniczość jego życia wypowiadały walkę wszelkim uświęconym konwencjom. Wobec niefrasobliwego tonu i humoru, z jakim mówił o niebezpieczeństwach, życie traciło charakter sprawy poważnej, wymagającej nieustannych wysiłków i wyrzeczeń, a przybierało postać jakiejś zabawki, którą można było się bawić, wywracać do góry nogami, wyzywając się w tym beztrosko, by ją potem równie beztrosko porzucić. Baw się więc! — krzyczało coś w jej wnętrzu. — Przytul się do niego, jeśli masz ochotę, i zarzuć mu ręce na szyję! — Na myśl o zuchwalstwie tego pragnienia zachciało jej się płakać; na próżno jednak wywyższała przed sobą własną czystość i kulturalne wyrobienie, daremnie zestawiała to, czym się ona sarna szczyliła, z tym wszystkim, czego jemu brakowało. Rozejrzała się dokoła i dostrzegła, że oczy wszystkich skupiły się na nim z uwagą i zachwytem; w rezultacie zwątpiłaby o możliwości ocalenia, gdyby nie to, iż we wzroku matki pochwyciła wyraz odrazy — pełnej zaciekawienia wprawdzie, niemniej niewątpliwej odrazy. Ten człowiek przybyły z zewnętrznych ciemności musi być wcieleniem zła. Matka zauważyła to, a nie myliła się nigdy. Musi zaufać matce w tym względzie, podobnie jak ufała jej zawsze we wszelkich okolicznościach życia. Bijący od niego żar przestał ogrzewać, a zarazem trwoga przed nim zelżała.

Później zasiadła do fortepianu, grając dla Martina i niejako rzucając mu wyzwanie, gdyż na pół świadomie podkreślała nieprzebytą przepaść dzielącą ich oboje. Muzyka jej przybrała rolę maczugi, którą dziewczyna wymachiwała bezlitośnie nad jego głową; chociaż przytłaczała go i gniołła, jednocześnie działała na niego pobudzająco. Spojrzał na Ruth z czcią pełną lęku. W jego świadomości, podobnie jak w jej, dzieląca ich przepaść rozszerzała się, lecz szybciej jeszcze wzrastało śmiałe postanowienie przedostania się przez nią. Sfera jego doznań była zbyt skomplikowana, by mógł przez cały wieczór wpatrywać się w przepaść — zwłaszcza gdy wchodziła w grę muzyka, na którą był niezwykle wrażliwy. Była dla niego silnie podniecającym trunkiem, zdolnym doprowadzić go do zuchwałych odruchów uczuciowych; działała niby narkotyk na wyobraźnię, każąc jej pędzić po niebie ponad obłoki. Muzyka wypierała ze świadomości płaską rzeczywistość, zalewając duszę pięknem i wyzwalała romantyczność, której zdawała się przypinać skrzydła. Nie rozumiał tego, co Ruth grała. Było to coś zgoła różnego od bębnienia na fortepianie w salach tańca •czy też wrzawy orkiestr dętych, jakie zdarzało mu się słyszeć. Ale rąbek takiej muzyki odsłaniał mu się już dawniej w przeczytanych książkach, toteż przyjmował jej grę jak gdyby na wiarę, zrazu czekając cierpliwie na śpiewne takty o wyraźnymi prostym rytmem, a potem dziwiąc się, że takt te trwały tak krótko. Właśnie wtedy, gdy dawał się unieść ich pędowi, nastrajając wyobraźnię do górnego lotu, one ginęły zawsze w zwichrzonej gromadzie dźwięków, które nie miały dlań żadnego znaczenia i strącały wyobraźnię z powrotem na ziemię niby bezwładny ciężar

W pewnej chwili przyszło Martinowi na myśl, że w tym wszystkim tkwi rozmyślne szyderstwo; zauważył przekorny nastrój dziewczyny i starał się odgadnąć wymowę jej rąk sunących po klawiaturze. Potem odepchnął tę myśl jako niegodną i nieprawdopodobną i od tej chwili poddał się całkowicie działaniu muzyki. Zwolna zaczął powracać dawny rozkoszny urok. Nogi przestały ciążyć mu ołowiem, sam poczuł się dziwnie lekki, jakby uduchowiony; przed oczami i za nimi jaśniała łuna chwały; następnie rzeczywistość zaczęła zmierzchać i poczuł, że ulatuje w dal, płynąc nad tym światem, który był mu tak bardzo drogi. Znane i nieznane mieszało się w wysnionym orszaku wizji, który przesłonił mi pole widzenia. Wpływał do obcych portów w zalanych słońcem krainach, chodził po gwarnych rynkach wśród barbarzyńskich ludów, przez nikogo dotąd nie oglądanych, a korzenny aromat wysp, znanych mu z dusznych, gorących nocy na morzu, drżał w jego nozdrzach. To znowu przez długie podzwrotnikowe dni borykał się z południowo-wschodnimi pasatami, patrząc, jak koralowe wysepki puszyste od palm wsiąkają w toń turkusową poza nim i jak inne „koralowe wysepki puszyste od palm wyłaniają się z wód turkusowych na przedzie. Szybkie jak myśl obrazy zjawiały się i znów ginęły. Raz na grzbiecie dzikiego rumaka gnał przez baśniowo barwną krainę Malowanej Pustyni; to znów spoglądał z góry poprzez migocący żar na bielone cmentarzysko Doliny Śmierci, aby już w następnej chwili wiosłować po zamazującym oceanie, w obliczu piętrzących się przed nim i błyskających w słońcu wielkich gór lodowych. Potem leżał na koralowym wybrzeżu, gdzie palmy kokosowe schodziły aż do samej cicho pluszczącej fali. Kadłub rozbitego ongiś statku płonął błękitnymi ogniami, w których blasku tancerki wykonywały taniec hula pod dźwięk dzikich, miłosnych okrzyków śpiewaków, którzy do wtóru swej pieśni pobrzękiwali na ukulelach i bili w tamtamy. Była to noc podzwrotnikowa dysząca zmysłowością. W oddali na tle gwiazd rysował się krater wulkanu. Lśnił błądy sierp rosnącego księżyca, a Krzyż Południa płonął nisko na niebie. Zdawało mu się, że jest harfą; życie, które znalazł i które tkwiło w jego świadomości, tworzyło struny harfy; nurt melodii zaś był wichrem bijącym w te struny, który kazał im drgać wspomnieniami i marzeniami. On sam nie ograniczał się do biernego odczuwania. Wrażenia wcielały się w kształty, barwy i blask, a wyobrażenia konkretyzowała w jakiś „dziwny, wzniosły sposób te wszystkie obrazy, które nie napawały jej lękiem. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlewały się w jedno; płynął kołyszając się przez szeroki, kipiący życiem świat, poprzez przygody i szlachetne czyny — ku Niej, a potem z nią razem, zdobywając ją, ogarniając ramionami i niosąc, pędem po przestworzach swego ducha.

Dziewczyna, spojrzawszy kilkakrotnie na niego przez ramię, dostrzegła na twarzy ślady tego, co się w nim działo. Była to twarz przeistoczona, o wielkich, świetlistych oczach, sięgających poza zasłonę dźwięków i chwytających tam pęd i tętno życia oraz potężne widziadła ducha. Ruth była zdumiona. Nieokrzesany, niezdarny prostak znikł gdzieś bez śladu. Pozostało jego nie dopasowane ubranie, potłuczone ręce i opalona skóra, ale to wszystko wydało jej się teraz raczej kratami więzienia, poprzez które wygląda wielka dusza skrepowana niemocą niedołączonych warg, nie umiejących wyrazić jej odczuć. Złudzenie trwało zaledwie chwilę, a potem znów ujrzała nieokrzesanego gbura i zaśmiała się z własnego przywidzenia. Mimo wszystko jednak coś z tego przelotnego wrażenia zostało w jej pamięci, bo kiedy wkrótce potem Martin począł się niezdarnie żegnać i zbierać do odejścia, Ruth pożyczyła mu tom Swinburnea i drugi Browninga, którego przerabiała właśnie na wykładach literatury angielskiej. Martin wyglądał tak chłopięco, gdy stał przed nią zarumieniony, bąkając nieśmiało podziękowania, że ogarnęła ją nagle fala macierzyńskiej czułości. Nie pamiętała już nieobytego prostaka ani więzionego ducha, ani nawet mężczyzny, który patrząc na nią z nie ukrywaną namiętnością, wzbudził w niej jednocześni radosne upojenie i trwogę. Widziała tylko chłopca potrząsającego jej dłoń ręką szorstką jak tarka.

— To najpiękniejszy dzień w moim życiu — mówił urywanym głosem. — Widzi pani, nie przywykłem do tego... — Rozejrzał się dokoła bezradnie. — Do takich ludzi i takich domów. Wszystko to jest „dla mnie nowe i podoba mi się.

— Mam nadzieję, że pan nas znów kiedy odwiedzi rzekła panna, gdy Martin żegnał się z jej braćmi.

Nacisnął czapkę, przesunął się rozpaczliwie przez drzwi i zniknął.

No i jakże ci się podoba? — zagadnął Artur..

— Bardzo ciekawy człowiek, działa jak wiew ozonu — odrzekła dziewczyna. — Ile ma lat?

— Dwadzieścia, prawie dwadzieścia jeden. Pytałem go o to dzisiaj. Nie przypuszczałem, że jest aż tak młody.

A ja jestem starsza o całe trzy lata — pomyślała Ruth całując braci na dobranoc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Martin Eden schodził ze stopni ganku, sięgnął ręką do kieszeni marynarki. Wydobył stamtąd brązową bibułkę ryżową oraz szczyptę tytoniu meksykańskiego i wprawnie skręcił papierosa. Pierwszy kłęb dymu wciągnął głęboko w płuca, po czym wypuścił go znowu, w długim, rozmyślnie opóźnionym wydechu. —

O Boże! — rzekł głośno, tonem trwożnego podziwu. — O Boże! — powtórzył. A po chwili raz jeszcze wyszeptał cicho: —

o Boże! — Następnie jego ręka powędrowała do kołnierzyka, wyszarpnął go gwałtownym ruchem i wcisnął do kieszeni. Mżył chłodny deszcz, ale Martin nadstawił gołą głowę pod jego krople i rozpiął kurtkę, krocząc naprzód w radosnej beztrzesce. Nie zdawał sobie niemal sprawy z tego, że deszcz pada. Był w ekstazie, roił sny na jawie i odtwarzał sceny przeżyte przed chwilą.

Spotkał więc nareszcie kobietę — tę kobietę, o której myślał wprawdzie niewiele, nie będąc skłonny do tego rodzaju dumań, lecz której zjawienia się oczekiwał w jakiś bliżej nie wytłumaczony sposób. Siedział koło niej przy stole. Trzymał jej rękę we własnej dłoni, zaglądał w jej oczy i dostrzegł tam obraz pięknej duszy — nie piękniejszej jednak od oczu, przez które wзираła, ani od ciała dającego jej kształt i wyraz. Było dla niego rzeczą nową i niespodziewaną, że o ciele jej nie myślał wcale zmysłowo, choć o innych znanych sobie kobietach nie myślał nigdy inaczej. Ciało Ruth miało jakieś cechy odmienne. Nie uważał go za twór z krwi i kości, podległy cielesnym chorobom i ułomnościom. Jej ciało było czymś więcej niż przybytkiem ducha. Było ono wykwittem tego ducha, czystą i uroczą krystalizacją jej boskiej istoty. Owo poczucie boskości zadziwiało go, prowadząc z krainy snów na padół chłodnej rozwagi. Nigdy dotąd żadne słowo, żaden znak ani sygnał świadczący o boskości nie dotarł do niego. Nigdy nie wierzył w boskość. Był zawsze ateuszem i podrwiwał dobrodusznie z tych wszystkich, którzy wskazują drogę do nieba, obiecując nieśmiertelność duszy. Twierdził, że nie ma życia w zaświatach, lecz tylko tu i teraz, po czym następuje wieczysta ciemność. To jednak, co ujrzał przed chwilą w oczach dziewczyny, było przecież duszą — duszą nieśmiertelną, nie mogącą mieć kresu. Nikt ze znanych dotychczas mężczyzn czy kobiet nie zdołał przekonać go o nieśmiertelności. Ona pierwsza dokazała tego. Ona przekazała mu szeptem tę wieść, kiedy pierwszy raz ich spojrzenia się spotkały. Jej twarz jaśniała przed oczyma chłopca, gdy szedł teraz ulicą — twarz blada i skupiona, słodka i subtelna, uśmiechnięta czule i serdecznie na podobieństwo jakiegoś anioła. Była przy tym czysta czystością tak nieskalaną, o jakiej nigdy nie marzył. Czystość ta uderzyła w niego niby cios, napawając go trwogą. Widywał w życiu dobro i zło, lecz czystość jako określona właściwość istnienia nigdy nie przyszła mu na myśl. Teraz zaś

ujrzał w niej niewinność jako najwyższy wykwit dobra i piękna, których zespolenie składa się na życie wieczne.

Natychmiast zrodziła się w nim chęć osiągnięcia życia wiecznego. Nie był godzien strzepnąć pyłu z jej obuwia — co do tego nie miał żadnych wątpliwości; tylko cudownemu szczęściu, fantastycznemu wprost zbiegowi okoliczności zawdzięczał to, że mógł ją ujrzeć, przebywać i rozmawiać z nią tego wieczoru. Był to czysty przypadek. Nie było w tym żadnej jego zasługi, niczym nie przyczynił się do zdobycia takiego szczęścia. Popadł w religijny nastrój. Poczł się pokorny i skromny, pełen samozaparcia i dobrowolnego poniżenia. W takim stanie ducha grzesznicy przystępują do spowiedzi. Martin czuł się przytłoczony brzemieniem win. Lecz podobnie jak słaby i grzeszny pokutnik dostrzega przy konfesjonale brzask przyszłego

promiennego bytu, tak i jemu objawiały się przebłyśki tego wspaniałego stanu, jaki przypadnie mu w udziale po zdobyciu ukochanej. Jednakże objęcie jej w posiadanie przedstawiało się w sposób niewyraźny i mglisty, zupełnie inny niż dotychczas. Na skrzydłach szalonej ambicji unosił się wraz z nią w nadziemskie wyżyny, gdzie dzielił z nią każdą myśl pławiąc się radośnie w świetle rzeczy pięknych i szlachetnych. To, o czym śnił, było posiadaniem wyłącznie duchowym, oczyszczonym z wszelkiej cielesności, czymś w rodzaju braterstwa ducha, którego nie mógł sobie nawet jaśniej uzmysłować. Nie starał się nawet wyobrazić sobie tego, a prawdę mówiąc, nie myślał w ogóle o niczym. Wrażenia zmysłowe zapanowały niepodzielnie nad umysłem i Martin aż drżał i tętnił od wzruszeń dotychczas nie znanych, płynąc rozkosznie po nurcie uczucia, które samo tak było wzniosłe i uduchowione, że porywało go ponad szczyty życia.

Zatoczył się jak pijany, powtarzając żarliwym szeptem: —
O Boże mój, Boże!

Policjant, stojący na rogu ulicy, obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, przy czym zauważył jego marynarski chód.

— Gdzieżeś się, bracie, tak uraczył? — zapytał. Martin Eden niezwłocznie powrócił z niebios na ziemię. Dzięki wyjątkowej giętkości swej natury, pozwalającej przystosować się do zmiennych warunków i mieścić się wygodnie we wszelkiego rodzaju ramach nakładanych przez życie, zdołał po uwadze policjanta od razu poczuć się znów zwykłym sobą i doskonale opanował sytuację.

— Ano cóż, życie jest piękne — roześmiał się w odpowiedzi. — Nie wiedziałem, że mówię głośno do siebie.

— Za chwilę gotów byłbyś zaśpiewać — zawyrokował stróż bezpieczeństwa.

— E, nie, tak źle nie będzie. Proszę mi tylko dać ognia, a następnym tramwajem zabiorę się do domu.

Zapalił papierosa i życząc dobrej nocy ruszył w dalszą drogę.

— Widział kto coś podobnego? — bąknął półgłosem. — Pan władza wziął mnie za pijanego.

— Z uśmiechem, poczał się zastanawiać nad sobą. — A może I miał słuszność, choć nigdy nie przypuszczałem, by kobieca twarz zdolna była tego dokonać.

Na Telegraph Ayenue złapał tramwaj jadący do Berkeley. Zapełniali go chłopcy i młodzieńcy, śpiewający pieśni i raz po raz wznoszący gromkie okrzyki swych bractw studenckich. Martin przyglądał im się ciekawie. Byli to słuchacze uniwersytetu. Chodzili więc na tę samą uczelnię co ona, należeli do jej sfery, mogli znać ją i widywać codziennie, jeśli tylko tego chcieli. Dziwił się wielce, że widocznie tego nie pragną, skoro wracają teraz z jakiejś zabawy, a nie spędzili wieczoru na rozmowie z nią, nie otaczali jej kołem pełnym czci i uwielbienia. Niebawem myśli Martina podążyły innym torem. Zauważył młodego człowieka o wąskich szparkach oczu i stale domkniętych ustach. Rozpoznał w nim typ przestępcy. Na okręcie byłby to z pewnością lizus, nierób i donosiciel. On, Martin Eden, więcej jest wart niż ten gość. Myśl ta ucieszyła go, gdyż zdawała się przybliżać go do Niej. Poczł

porównywać się z otaczającymi go studentami. Zdał sobie sprawę ze swego świetnego mechanizmu mięśniowego i poczuł fizyczną przewagę nad nimi. Głowy ich jednak były pełne wiedzy, co pozwalało im używać tego samego języka co ona; myśl ta działała na niego przygnębiająco. Ale od czego jest mózg? — namiętnie zapytywał sam siebie. — Co cni zdołali zrobić, I on też potrafi. Podczas kiedy oni uczyli się życia z książek, on żył naprawdę. Jego własny mózg był w niemniejszym stopniu napełniony wiedzą, choć była to wiedza innego rodzaju. Który z nich umiałby zawiązać węzeł żeglarski, uchwycić koło sterowe lub wartować na szczycie masztu? Chłopiec ujrzał swe życie w szeregu obrazów tchnących niebezpieczeństwem i ryzykiem, trudem I znojem. Przypomniały mu się niepowodzenia i udręki doznane podczas terminowania na okręcie. Pod tym przynajmniej względem góruje nad nimi niewątpliwie. Przyjdzie czas, że i oni będą musieli zapoznać się z prawdziwym życiem i przejść przez tę całą mitręgę, którą on ma już za sobą. Doskonale zatem! Kiedy oni tym będą zajęci, on przez ten czas nauczy się z książek tej drugiej strony życia.

Gdy tramwaj mijał rzadko zabudowaną okolicę, oddzielającą Oakland od Berkeley, Martin począł wypatrywać znajomego dwupiętrowego budynku, przez całą długość którego ciągnął się dumny szyld z napisem „Handel Detaliczny Higginbothama”. Martin Eden wyskoczył na najbliższym rogu. Przez chwilę obserwował szyld. Wyczytywał z niego więcej, niż głosiły same słowa. Już kształt liter zdawał się nasuwać na myśl małoduszność, sobkostwo i przyziemne sknerstwo. Bernard Higginbotham ożeniony był z jego siostrą, a więc Martin znał go dość dobrze. Otworzył kluczem drzwi wejściowe i wszedł po schodach na drugie piętro. Tu właśnie mieszkał jego szwagier. Sklep kolonialny mieścił się poniżej. Ziała stamtąd woń stęchłych warzyw. Sunąc po omacku przez ciemną sień, potknął „się o zabawkę — wózek dziecienny — porzuconą tu widocznie przez któreś z licznego grona jego siostrzeńców i siostrzenic, przy czym z hałasem uderzył w drzwi.

Co za skąpiradło! - pomyślał —. Żałuje paru groszy gaz, który uchroniłby lokatorów, przed skręceniem karku.

Wymacawszy klamkę Martin wszedł do oświetlonego pokoju, w którym siedzieli jego siostra i Bernard Higginbotham. Kobieta łątała parę męzowskich spodni, mężczyzna zaś rozwalił swe chude ciało na dwóch krzesłach, przy czym z drugiego zwieszały się jego stopy w podniszczonych rannych pantoflach. Sponad gazety spjrzała na wchodzącego para ciemnych, nieszczerych, jak gdyby kłujących oczu. Martin Eden nigdy nie mógł patrzeć na szwagra bez odrazy. Nie pojmował, co mogło się siostrze spodobać w tym człowieku. Na Martinie sprawiał on zawsze wrażenie robaka, którego by z przyjemnością rozdeptał. Jeszcze kiedyś pysk mu rozwałę — myślał sobie nieraz, szukając w tym zadośćuczynienia za to, że musiał znosić obecność tej kreatury. Drapieżne oczka, przypominające wzrok łasicy, przypatrywały mu się z wyrazem nagany.

— No więc? — rzucił Martin. — O co znowu chodzi?

— Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu kazałem pomalować te drzwi — odezwał się pan Higginbotham głosem pośrednim między jękiem i warknięciem — a wiesz przecież, ile wynoszą stawki ustalone przez związki zawodowe. Powinieneś być ostrożniejszy. Martin chciał odpowiedzieć, ale dał spokój zważywszy beznadziejność sytuacji. Poprzez całe to ubóstwo duchowe rzucił okiem na oleodruk wiszący na ścianie. Zdziwił się. Dotychczas zawsze obraz mu się podobał, dziś jednak jak gdyby zobaczył go pierwszy raz. Była to po prostu najpospolitsza tandeta, jak zresztą wszystko, co się w tym domu znajdowało. Powrócił myślą do mieszkania, które tak niedawno opuścił, zobaczył najpierw obrazy, a potem J ą patrzącą na niego z uśmiechem wzruszającej słodyczy, gdy podawała mu rękę na pożegnanie. Zapomniał, gdzie się znajduje, zatracił nawet świadomość istnienia pana Higginbothama, aż dopiero szanowny ten mąż przywrócił go do przytomności pytaniem:

— Duch „ci się ukazał czy co?

Martin, ocknąwszy się, spojrzął na te oczy okrągłe jak paciorki, szydercze, gwałtowne i tchórzliwe zarazem; po chwili zaś dostrzegł je w wyobraźni takimi, jakie bywały wobec gości w sklepie: uniżone, jakby naoliwione i przypoehlebne.

— Tak — odrzekł Martin. — Widziałem ducha. Dobranoc. Śpij dobrze, Gertrudo.

Skierował się ku wyjściu, zaczepiając po drodze o podarty strzęp brudnego dywanu.

— A nie trzaskaj czasem „drzwiami! — ostrzegł pan Higginbotham.

Krew zawrzała w Martinie, ale opanował się i cicho zamknął drzwi „za sobą.

Pan Higginbotham spojrzął na żonę z tryumfem.

— Upił się — oświadczył ochryłym szeptem. — Mówiłem ci, że na tym się skończy.

Z rezygnacją skinęła głową.

— Rzeczywiście, czy miał błyszczące — przyznała — I wrócił

39

bez kołnierzyka, choć założył go przed wyjściem. Al może wypił tylko parę kieliszków.

— Nie mógł prosto utrzymać się na nogach — ciągnął dalej jej małżonek. — Dobrze mu się przyjrzałem. Nie potrafił przejść - przez pokój bez potknięcia się. Słyszałaś przecież, jak o małej się nie zwałił w przedpokoju.

To pewnie o wózek Alicji — odparła. — Nie mógł go zauważyć w ciemności.

Zarówno głos, jak i gniew pana Higginbothama poczęły. wzbierać na sile. Przez cały dzień w sklepie zachowywał się:

potulnie, za to wieczorem w gronie rodziny stawał się naprawdę sobą.

— Powiadam ci, że ten twój ukochany braciszek spił się. Mówił to głosem chłodnym, ostrym i nie znoszącym sprzeciwu, a wargi jego wybijały każde słowo z precyzją maszyny. Żona westchnęła i zamilkła. Była to rosla, tęga kobieta, zawsze nieporządnie ubrana i wiecznie zmęczona brzemieniem swego ciała, pracy i męża.

— A ja ci mówię, że odziedziczył to po ojcu — oskarżał dalej pan Higginbotham — i tak samo jak on skończy w rynsztoku. Sama o tym dobrze wiesz.

Skinęła głową, westchnęła i szła dalej. Zgodzili się oboje, że Martin wrócił pijany. Nie mieli „daru odczuwania piękna, nie byli więc zdolni dostrzec w tych błyszczących oczach i promiennej twarzy oznak budzącej „się młodzieńczej miłości.”

— Ładny przykład dla dzieci, nie ma co — warknął nagle pan Higginbotham, przerywając drażniące go milczenie żony. Czasem pragnął niemal, żeby mu się sprzeciwiała. — Jeśli coś podobnego powtórzy się, będzie musiał się wynosić. Zapamiętaj to raz na zawsze. Nie zniosę takich brewerii; przecież to jest gorszenie niewinnych dzieci. — Panu higginbothamowi podobał się ten zwrot, wyczytany w gazecie i niedawno wprowadzony do jego słownika. — Ot, co jest: zgorszenie i tyle.

Żona westchnęła raz jeszcze i pokiwała smutno głową, nie przerywając roboty. Pan Higginbotham powrócił do swego dziennika.

— Czy zapłacił za utrzymanie w ostatnim tygodniu? — rzucił nagle zza gazety.

Skinęła potakująco, po czym dodała:

— Ma jeszcze trochę grosza.

— Kiedy znów idzie na morze?

— Pewnie wtedy, kiedy wyda resztę zarobionych pieniędzy — odpowiedziała. — Był wczoraj w San Francisco i dowiadywał się o statki. Ale że ma jeszcze z czego żyć, więc grymasi.

— W głowie się przewraca pokładowemu popychadłu — mruzczał pan Higginbotham. — Patrzcie go! On grymasił

— Wspomniał coś o szkunerze, który wyrusza wkrótce gdzieś daleko na poszukiwanie zakopanego skarbu. Chce się tam zaciągnąć, jeśli wystarczy mu pieniędzy aż do jego odjazdu.

— Żeby tylko chciał się ustatkować, mógłby mieć u minie zajęcie powożąc furgonem — oznajmił małżonek bez cienia życzliwości w głosie. — Tom opuszcza nas.

Zona spojrzała zdziwiona i zaniepokojona.

— Odchodzi dziś wieczór. Zgodził się do Carrutherów, którzy obiecali mu więcej niż to, na co minie stać.

— Zawsze ci przepowiadałam, że na tym się skończy! — wykrzyknęła. — Wart byk daleko więcej, niż mu płaciłeś.

— Słuchaj no, stara! — wybuchnął Higginbotham. — Powtarzałem ci tysiące razy, żebyś nie pchała nosa w moje sprawy. Nie mam zamiaru więcej cię ostrzegać.

— Nic mnie to nie obchodzi! — prychnęła. — Tom był porządnym chłopcem.

Mąż wpatrzył się w nią uporczywie. Było to bezprzykładne zuchwalstwo.

— Gdyby ten twój brat był coś wart, powierzyłbym mu ten wóz — burknął.

— Płaci przecież wszystko, co się należy — odparła ostro. — A do tego jest moim bratem i dopóki nic ci nie jest winien, nie masz prawa ciskać się tak wciąż na niego. Pozostało mi jeszcze trochę uczuć, choć jestem twoją żoną już od siedmiu lat.

— A mówiłaś mu, że będzie musiał dopłacać za gaz, jak nie przestanie czytać w łóżku po nocach?

Pani Higginbotham nic tym razem nie odrzekła. Bunt jej wygasł, a duch zamknął się znów w znużonym ciele. Mąż tryumfował. Ujarzmił ją. Oczy zabłyśły mu mściwie, a uszy Z rozkoszą chłonęły jej pochlipywanie. Szczególnie przyjemnie było ją miażdżyć, obecnie zaś udawało mu się to niezwykle łatwo. Inaczej bywało w początkach małżeńskiego pożycia, gdy częste macierzyństwo i nieustanne dokuczanie nie zdołało jeszcze wyczerpać jej energii.

— Powiedz mu to jutro i sprawa skończona — rzekł. — A tymczasem, póki pamiętam, poślij z samego rana po Mariannę, niech zajmie się dziećmi. Teraz, kiedy Tom odszedł, sam będę jeździł furgonem, a ty przygotuj się do stania za ladą.

— Przecież jutro mam pranie — broniła się słabo.

— To wstań wcześniej i weź się do roboty od rana. Ja nie wyjadę z domu przed dziesiątą.

Rozwinął gniewnie gazetę i pogрузzył się ponownie w czytaniu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Martin Eden, wciąż jeszcze wzburzony po zetknięciu się ze szwagrem, przedostał się po omacku przez nie oświetloną sień do swego pokoju — małej komórki, w której mieściło się tylko łóżko, umywalnia i krzesło. Pan Higginbotham nazbyt liczył się z groszem, aby trzymać służącą, skoro całą robotę można było zwalić na barki żony. Nadto pokój służbowy pozwalał im mieć dwu sublokatorów zamiast jednego. Martin położył Swinburnea

i Browninga na krzesło, zdjął kurtkę i usiadł na łóżku. Zareagowało na jego ciężar astmatycznym skrzygnięciem sprężyn, lecz chłopak nie zwrócił na to uwagi. Wziął się do ściągania butów, ale zapatrzył się przy tym na biały tynk przeciwległej ściany, pocięty długimi, brudnymi pasmami w miejscach, gdzie przeciekał deszcz. Na tym brudnym tle poczęły migać płomienne wizje. Martin zapomniał o butach I spoglądał uporczywie w przestrzeń, aż wreszcie wargi rozchyliły się i wyszeptał: —

Ruth!

Ruth! Nie przypuszczał nigdy, by prosty dźwięk mógł brzmieć aż tak pięknie. Pieścił ucho i upajał w miarę powtarzania. Ruth! — To imię stało się talizmanem, magicznym jakimś zaklęciem. Za każdym razem, gdy je wymawiał, jej promienna twarz ukazywała mu się, rozświetlając brudny mur złocistą jasnością. Blask ten nie ograniczał się do ścian, lecz rozciągał się w nieskończoność, a poprzez owe złote głębinę dusza jego szła na spotkanie jej duszy. Wszystko, co było w nim najlepsze, wrywało się naprzód w przemożnym pędzie. Sarna myśl o niej uszlachetniała i oczyszczała, czyniąc go lepszym i budząc pragnienie dalszego doskonalenia. Uczucie to było dlań nowe. Nigdy dotąd kobiety nie rozbudzały w nim dobra. Wprost przeciwnie — wpływ ich zawsze ujawniał zwierzęcą stronę jego natury. Nie wiedział o tym, że niejedna oddała mu najlepszą swą cząstkę, choć zapewne nie znaczyło to wiele. Nie zastanawiając się nad swą istotą, nie zdawał sobie sprawy, że ma W sobie coś, co przyciąga miłość kobiet i każe im sięgać po jego młodość. Choć nieraz narzucały mu się, on sam nigdy, zbytnio się nimi nie przejmował, nie przychodziło mu też na myśl, że kobiety mogły przez niego stawać się lepsze. Do dzisiaj żył stale w błogiej beztrosce, teraz zaś wydało mu się, że te ręce, które się do niego wyciągały, były zawsze skalane. Nie było to sprawiedliwe ani w stosunku do nich, ani też do niego samego. Ale przecież skoro po raz pierwszy dopiero jał zastanawiać się nad sobą, nie był zdolny do wydania słusznego sądu i mógł tylko płonąć wstydem wobec obrazu własnego upodlenia.

Zerwał się raptownie, aby spojrzeć na swą twarz odbitą W brudnym lusterku nad umywalnią. Przetarł lustro rącznikiem i patrzył w nie długo i badawczo. Właściwie widział siebie po raz pierwszy. Jego oczy stworzone były do patrzenia, ale do tej chwili tak dalece były pochłonięte zmieniającą się wciąż panoramą świata, że Martin nie miał wprost czasu dostrzec siebie. Zobaczył głowę i twarz dwudziestoletniego młodzieńca, nie przyzwyczajony jednak do wydawania opinii o własnym wyglądzie, nie wiedział, jak go ma ocenić. Ponad czworokątnie sklepionym czołem ujrzał kasztanową czuprynę, falistą i przechodzącą w drobne loki, które każdej kobiecie musiały sprawiać rozkosz, każąc je dłoniom głaskać, a palcom pieścić. Martin jednak zlekceważył włosy jak coś, co w oczach Ruth nie będzie przedstawiało żadnej wartości, a za to długo przyglądał się wysokiemu, kwadratowemu czołu, chcąc jak gdyby dogłębnie je zbadać i określić jakościowo jego zawartość. Jaki mózg kryje się za nim? Czego potrafi dokonać?

Dokąd go zawiedzie? Czy doprowadzi go aż do niej? — Takie pytania zaprzętały mu umysł. Chłopiec zapytywał sam siebie, czy widać duszę w tych jego stalowoszarych oczach, które często bywały całkiem błękitne i jaśniały siłą słonych, morskich wichrów. Zastanawiał się, czy te oczy mogły się jej podobać. Próbował wejść w rolę Ruth I spojrzeć w swoje oczy jej oczami, lecz sztuka -ta nie udała mu się. Umiał wprawdzie wczuwać się w innych ludzi, ale musieli to być ludzie, których tryb życia nie był mu obcy. O życiu zaś Ruth nie wiedział nic. Była cudem i tajemnicą, jakże więc mógł schwytać choćby jedną jej myśl? Stwierdził tylko, że oczy jego miały wygląd uczciwy i nie wykazywały żadnych cech małoduszności czy podłości. Zdziwiła go ogorzałość własnej twarzy. Nie przypuszczał, że może być aż tak czarny. Zakasał rękaw koszuli i porównał jasny spód ramienia z barwą policzków. Mimo wszystko był jednak białym człowiekiem. Roześmiał się z własnej śniadej twarzy w lustrze na samą myśl, że i ona była kiedyś równie biała jak spód ramienia. Nie wiedział też, że niewiele

tylko bladych kobiecych zjaw na świecie mogłoby poszczycić się cerą bardziej jasną i gładką niż jego własna skóra w miejscach, gdzie słońce nie miało dostępu. Jego usta można by przyrównać do ust cherubina, gdyby nie to, że pełne, zmysłowe wargi zwykły w chwili napięcia zaciskać się szczelnie. Czasami zwierzały się tak silnie, że stawały się surowe i czyste, niemal ascetyczne. Były to usta stworzone do walki i miłości. Mogły równie dobrze czerpać całą słodycz życia, jak i odepchnąć ją, by życiu rozkazywać. Broda i szczęki, wydatne i świadczące o pewnej agresywności, pomagały wargom opanowywać życie. Siła równoważyła zmysłowość i łagodziła ją, każąc mu kochać tytko. zdrowe piękno i poddawać - się jedynie drganiom -wrażen szlachetnych. Pomiedzy wargami lśniły zęby, które nie znały dentysty. Tak, zęby mam niewątpliwie białe, silne i równe — stwierdził Martin przyjrzawszy im się uważnie. Ale po chwili poczuł niepokój. Gdzieś w zakątkach umysłu, niemal zapomniana, tkwiła świadomość, że istnieją ludzie, którzy codziennie czyszczą zęby. Byli to ludzie z wyższych sfer, ludzie z jej klasy społecznej. Ona zapewne również codziennie myje zęby. Co by też pomyślała: dowiadując się, że on nigdy jeszcze w życiu tego nie robił? Postanowił kupić szczoteczkę i przyswoić sobie ten zwyczaj. Zacznie już od jutra.. Nie mógł mieć nadziei zdobycia jej wyłącznie przez bohaterские czyny. powinien zmienić wszystkie swe osobiste nawyki, powinien zacząć myć zęby i używać kołnierzyka, chociaż noszenie sztywnej obroży sprawiało na nim wrażenie utraty wolności. Podniósł rękę, pocierając poduszczką wielkiego palca o zgrubienie na dłoni i przyglądając się kurzowi, który tak głęboko wniknął w ciało, że każda szczotka była wobec niego bezsilna. Jakże inna była dłoń Ruth! Zadrzał rozkosznie na to Wspomnienie. Podobna była do płatka róży — pomyślał — chłodem i miękkością dorównywała śnieżnemu puchowi. — Wydawało mu się niemożliwe, by zwykła kobieca ręka mogła być tak niezrównanie delikatna. Złapał się na rozważaniu, jakim cudem byłaby pieszczota takiej dłoni, i zarumienił się w poczuciu winy. To była zbyt grubiańska myśl. Zdawało mu się, że podawała w wątpliwość jej głębokie uduchowanie. Wszak był to blady, smukły duch, wyniesiony wysoko ponad cielesność; niemniej jednak miękkość jej dłoni nie przestawała zaprzęcać jego myśli. Przywykł do zgrubiałych rąk dziewcząt fabrycznych i robotnic. Wiedział aż nadto dobrze, czemu ich ręce były twarde. Ale jej dłoń... Zawdzięczała swą miękkość temu, że nigdy nie była używana do pracy. Między nim a Ruth otworzyła się przepaść na samą tę osobliwą myśl, że ktoś nie musi zarabiać na życie. Nagle pojął, na czym polega arystokratyzm ludzi próżnujących. Wyrósł on przed nim na tle ściany jak spiżowy posąg, wyzywający i potężny. On, Martin, znał dobrze pracę; jego najwcześniejsze wspomnienia wiązały się z nią, wszyscy w jego rodzinie pracowali. Ot, choćby taka Gertruda! Kiedy jej ręce nie twardniały od nie kończącej się pracy domowej, puchły i czerwieniały od mozolnego prania, na podobieństwo gotowanego mięsa. Albo druga siostra, Marianna. Zeszłego lata pracowała w fabryce konserw i jej ładne, szczupłe dłonie całe się pokryły cięciami noża do krajania pomidorów. Ponadto poprzedniej zimy czubki dwóch palców pozostały w trybach krajarki w fabryce pudełek tekturowych. Przypomniał sobie twarde, spracowane ręce matki, gdy leżała w trumnie. Ojciec również harował do ostatniego tchu; pod koniec życia zrogowaciała skóra jego rąk musiała mieć chyba z pół cała grubości. Lecz dłonie Ruth były miękkie, podobne jak ręce jej matki i nawet braci. Ten ostatni fakt zaskoczył Martina; był to niezbity dowód ogromnej wyższości jej klasy, a tym samym olbrzymiej przepaści dzielącej ją od niego.

Z gorzkim uśmiechem siadł znowu na łóżku, by dokończyć zdejmowania butów. Był szalony! Otumanił go widok kobiecej twarzy i pary miękkich, białych rąk kobiecych. I oto nagle przed jego oczyma, na splamionej płaszczyźnie ściany, wyrosła wizja. Jest przed ponurą czynszową kamienicą, w nocy w dzielnicy East End w Londynie, a przed nim stoi Margey, mała, piętnastoletnia dziewczynka z fabryki. Odprowadził ją do domu po zabawie. Mieszka w tym ponurym czynszowym domu, nie nadającym się nawet na chlew. Jego ręka wyciąga się ku jej

dłoni na pożegnanie. Mała podaje usta do pocałunku, on jednak nie ma zamiaru jej całować. Jest coś w tej dziewczynce, co budzi w nim lęk. Ale oto palce jej zaciskają się gorączkowo na jego ręce. Czuje, jak szorstka jej skóra ociera się o jego chropowate zgrubienia, i w tej chwili fala wielkiej litości zalewa mu serce. Widzi jej stęsknione, głodne oczy i wątłą, niedożywioną postać, ledwie wyrwaną z dzieciństwa i rzuconą w krainę trwożnej i drapieżnej dojrzałości kobiecej. Wtedy otacza ją mocnymi, współczującymi ramionami, pochyła się i całuje ją w usta. Rozlega się cichy, radosny krzyk i dziewczyna przywiera do niego jak kotka. Małe, zamorzone biedactwo! Martin długo przyglądał się wizji tego, co dawno minęło. Całym jego ciałem — podobnie jak wtedy — wstrząsnął kurcz lęku, a serce zalała serdeczna litość. Widzenie było szare, ziemioszare, a deszcz brudną strugą zacinał o bruk. Nagle promienna zorza rozbłysła na ścianie, a poprzez tamtą wizję, usuwając ją na dalszy plan, wyjrzała Jej blada twarz W otoczeniu złotych włosów, daleka i niedosiężna jak gwiazda.

Wziął z krzeselka tomiki Browninga i Swinburnea i przycisnął je do ust. A jednak pozwoliła mi odwiedzić się jeszcze raz — pomyślał. Znowu spojrzął na swe oblicze w lustrze i rzekł głośno i uroczyście:

— Martinie Eden, zaraz jutro rano musisz pójść do czytelnicy i poczytać sobie o zasadach właściwego zachowania się w towarzystwie. Pamiętaj!

Zgasił gaz, a sprężyny łóżka jęknęły pod ciężarem jego ciała.

No i trzeba skończyć z przekleństwami; tak, mój stary, raz na zawsze trzeba skończyć — powiedział głośno.

Potem zasnął głęboko, a jego sny pod względem szaleństwa i zuchwalstwa mogły walczyć o lepsze z przywidzeniami palaczy opium.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka ocknął się z różowych snów w dusznej atmosferze przesyconej zapachem mydlin i brudnej bielizny i tętniącej nieznośnym hałasem pełnego udręki życia. Wychodząc z pokoju usłyszał plusk wody, ostry krzyk i „dźwięczne klaśnięcie, za pomocą którego siostra okazywała swe rozdrażnienie jednej ze swych licznych latorośli. Wrzask dzieciaka ugodził Martina niby ostrze noża. Uprzytomnił sobie, że całe to otoczenie, nawet powietrze, którym oddycha, przesiąknięte jest odrażającym upodleniem. Jakże inna — myślał — jest atmosfera piękna i spokojnego ładu, panująca w domu Ruth. Tam wszystko jest uduchowione, tu nie ma nic poza ziemską cielesnością, i to jeszcze w najnędrniejszym gatunku.

— Chodź no tu, Alfredzie! — zawołał płaczącego malca, sięgając jednocześnie ręką do kieszeni spodni, gdzie zwykł nosić luzem pieniądze z tą samą rozlewną niefrasobliwością, która cechowała go we wszystkich okolicznościach życia. Wcisnął ćwierć dolara do ręki dzieciaka i potrzymał go chwilę na rękach, by utulić jego szlochanie. — A teraz leć kupić sobie cukierków, tylko nie zapomnij poczęstować rodzeństwa! A staraj się wybierać takie, co to najdłużej się rozpuszczają.

Gertruda podniosła czerwoną twarz znad balii i spojrzała na brata.

— Dość byłoby miedziaka — rzekła. — Ale tyś taki zawsze, nie masz pojęcia o wartości pieniądza. Dzieciak przecie zachoruje z przejedzenia. Nie kłopotz się, siostruniu — odpowiedział wesoło. — Moje grosze same się upilnują. Gdybyś nie była taka zajęta, ucałowałbym cię na dzień dobry.

Chciał okazać czułość siostrze, która była zacna i kochała i go na swój sposób, o czym dobrze wiedział. Ale jakoś z każdym rokiem stawała się coraz bardziej obca i coraz mniej przypominała dawną Gertrudę. Tłumaczył sobie, że to ciężka praca, liczna gromada dzieci i nieustanna dokuczliwość męża tak ją odmieniły. Wyobraźnia podsunęła mu nagle myśl, że jej natura zdaje się wchłaniać pewne cechy stęchłych warzyw, cuchnących mydlin i tych zatłuszczonych miedziaków, dziesiątek i dwudziestek, które odbiera z rąk klientów za sklepową ladą.

— Idź teraz i weź sobie śniadanie — rzekła szorstko, choć w duchu była uradowana. Spośród całej wędrownej czeredy jej braci ten był jej ulubieńcem. — A ja ci powiadam, że mimo wszystko cię pocałuję — zakończyła, ulegając jak gdyby nagłemu odruchowi serca.

Palcami wielkim i wskazującym zebrała ociekające mydliny najpierw z jednej, następnie z drugiej ręki. Martin objął jej ciężką postać i ucałował mokre, parą powleczone wargi. Do oczu napłynęły jej łzy — nie tyle może z nadmiaru uczucia, co z wycieńczenia wywołanego stałym przepracowaniem. Odsunęła go od siebie, ale zdążył przedtem pochwycić błysk w jej załzawionych oczach.

— Śniadanie znajdziesz na piecyku — rzekła śpiesznie. — Pewnie i Jim już się ubrał. Ja musiałam dziś wstać wcześniej ze względu na pranie. A teraz ruszaj i jak najprędzej wyjdź z domu. Będę miała trudny dzień, bo Tom odszedł, a Bernard sam musi zająć się furgonem. Martin poszedł do kuchni z ciężkim sercem. Obraz jej czerwonej twarzy i obwisłych kształtów wżarł mu się w mózg jak ostry kwas. Siostra kochałaby go, gdyby tylko miała na to czas. Ale przecież jest śmiertelnie zaharowana — Bernard Higginbotham brutalnie zamęczał ją robotą nad siły. Z drugiej

strony nie mógł uwolnić się od przykrego wrażenia, że w tym pocałunku nie było nic pięknego. Prawda, że był to pocałunek niezwykły. Od wielu lat siostra całowała go tylko przed wyjazdem na morskie wyprawy i po powrocie z nich. Ale dzisiejszy pocałunek ział mydlinami, a wargi, jak zauważył, były zwiotczałe. Nie poczuł szybkiego, sprężystego nacisku, jaki zazwyczaj towarzyszy pocałunkom. Całowała go kobieta tak bardzo przemęczona, że zatraciła już umiejętność całowania. Pamiętał ją w jej wczesnych latach, zanim wyszła za męża; potrafiła tańczyć w najlepsze całą noc po ciężkiej, całodziennej pracy w pralni i nic sobie nie robić z tego, że natychmiast po zabawie czeka ją następny, równie ciężki dzień roboczy. Potem przyszła mu na myśl Ruth i chłodna słodycz tchnąca niezawodnie z jej warg jak i z całej postaci. Jej pocałunek musi być podobny do uścisku jej dłoni lub spojrzenia oczu: mocny i szczery. Ośmielił się poczuć w wyobraźni jej wargi na swoich i przedstawił to sobie tak żywo, że na samą myśl zakręciło mu się w głowie, a obłok różanych płatków jakby ogarnął go i uniósł, przepajając zmysły czarowną wonią.

W kuchni zastał swego współlokatora, Jima, z chorowitym wyrazem zapatrzonych w przestrzeń oczu, leniwie jedzącego owsiankę. Jim terminował u hydraulika; niewyraźny zarys jego podbródka i skłonny do łatwych uciech temperament w połączeniu z pewną nerwową tępotą nie wróżył mu wielkiego powodzenia w walce o chleb powszedni.

— Czego nie jesz? — zagadnął widząc, że Martin beznadziejnie wpycha do ust łyżkę z wystygłą i nie dogotowaną owsianą papką. — Znowu wczoraj piłeś?

Martin potrząsnął głową. Czul się przybity bezgraniczną marnością całego tego środowiska. Ruth Morse odsunęła się od niego dalej niż kiedykolwiek.

— A ja napiłem się zdrowo — ciągnął dalej Jim z chełpliwym nerwowym chichotem. — Urznąłem się jak ta lala. A jaką miałem dziewczynę! Billy odprowadził mnie do domu. Martin skinął głową na znak, że słyszy — miał zwyczaj okazywania uwagi każdemu, kto się do niego zwracał — i nalał sobie kubek letniej kawy.

— Wybierasz się dziś wieczór na tańce „Pod Lotosem”? — zapytał Jim. — Będzie piwo, a jeśli zjawi się paczka Temescala, może być dobra chryja. Ale co mi tam! Tak czy owak, zaprowadzę tam moją lubą. Do licha! co za wstrętny smak czuję w gębie!

Skrzywił się i próbował kawą przepłukać usta, żeby pozbyć się tego smaku.

— Czy znasz Julię?

Martin potrząsnął głową przecząco.

— To właśnie moja dziewczyna — wyjaśnił Jim. — Istna brzoskwinia! Poznałbym cię z nią, tylko że zaraz zechcesz mi ją odbić. Daję słowo, że nie rozumiem, co te dziewczęta w tobie widzą, ale tak łatwo je odbijasz innym, że każdemu już się to znudziło.

— Nie odbiłem ci jeszcze żadnej — odrzekł obojętnie Martin. Trzeba przecież było dobrnąć jakoś do końca śniadania.

— A właśnie, że odbiłeś! — zaperzył się tamten. — Nie pamiętasz, jak to było z Maggie?

— Nic mnie z nią nigdy nie łączyło. Tańczyłem z nią raz jeden w życiu, właśnie tego wieczoru.

— No właśnie, i to wystarczyło! — wykrzyknął Jim. — Potańczyłeś, popatrzyłeś na nią i ja przestałem istnieć. Pewnie, że nic złego nie miałeś na myśli, ale mnie i tak wykończyłeś. Nie chciała więcej na mnie spojrzeć, tylko wciąż ciebie szukała. Umówiłaby się z tobą w każdej chwili, gdybyś tylko zechciał.

— Ale nie chciałem!

— Cóż z tego? I tak puściła mnie kantem. — Jim spojrzał na niego z podziwem. — Przyznaj się, jak ty to robisz, Mart?

— Po prostu nie zwracam na nie uwagi.

— To znaczy, udajesz, że ci na nich nie zależy? — wypytywał skwapliwie Jim.

Martin pomyślał chwilę, wreszcie odrzekł:

— Możliwe, że to wystarczy, ale ze mną sprawa przedstawia się chyba inaczej. Ja naprawdę nigdy nie dbałem o to zbyt wiele. Jeśli potrafisz dobrze to odegrać, najprawdopodobniej ci się uda.

— Szkoda, że nie byłeś wczoraj wieczór na boisku u Rileya — oświadczył ni z tego, ni z owego Jim. — Gałę mnóstwo pięściarzy stanęło do walki. Zjawił się jakiś gość z zachodniego Oaklandu. Nazywali go Szcurem. Zwinny jak kot. Nikt nie mógł mu sprostać. Żałowaliśmy wszyscy, że ciebie nie było. A ty gdzie się podziewałeś?

— Byłem w Oakland.

— Na jakimś przedstawieniu? Martin odsunął talerz i wstał.

— No cóż, przyjdiesz wieczorem na tańcówkę? — wołał za nim Jim.

— Nie, chyba nie przyjdę — odrzekł.

Zszedł ze schodów na ulicę, wdychając powietrze pełną piersią. Dusił się w atmosferze tego mieszkania, a gadanina Jima doprowadziła go do szału. Była chwila, że musiał z całej siły trzymać się na wodzy, by go nie chwycić i nie zanurzyć twarzą w owsiance. W miarę jak trwało to całe bajdurzenie, obraz Ruth zdawał się odpływać coraz dalej. Jakże mógł kiedykolwiek stać się jej godny, skoro musiał zadawać się z takim bydłem? Stało przed nim zadanie przerastające siły człowieka obciążonego piętnem robotniczego pochodzenia.

Wszystko jak gdyby zmówiło się, żeby go ściągać w dół: siostra, jej dom i rodzina, czeladnik Jim, wszyscy znajomi, całe jego życie. A gorzkie było to bytowanie! Dotychczas, dzieląc je ze wszystkimi, uważał je za rzecz dobrą. Nie potępiał go nigdy, chyba tylko czytając książki; ale znów książki były tylko wymysłem, czarodziejską baśnią o świecie cudnym, a nie istniejącym. Teraz jednak zobaczył ten świat, roztaczający się jak najbardziej realnie dokoła kobiety-kwiatu imieniem Ruth; od tej chwili musi więc zaznawać goryczy, tęsknoty piekącej aż do bólu i nie do zwalczania, bo wciąż ożywianej nadzieją.

Wahał się pomiędzy bezpłatną czytelnią w Berkeley a takąż

czytelnią w Oakland i wreszcie wybrał Oakland, ponieważ tam właśnie mieszkała Ruth.

Czytelnia jest przecież miejscem najzupełniej dla niej odpowiednim — kito wie zatem, czy się tam kiedy nie spotkają. Nie znał organizacji bibliotek publicznych, toteż zaczął od bezcelowej wędrowki pośród nie kończących się pól z powieściami, aż wreszcie zatrudniona

tam widocznie panienka o subtelnych rysach, wyglądająca na Francuzkę, pouczyła go, że dział informacji mieści się na piętrze. Martin nie był na tyle zorientowany, żeby od razu zwrócić się do urzędującego za pulpitem pracownika, i swoje przypadkowe poszukiwania zaczął od niszy z dziełami filozoficznymi. Słyszał wprawdzie, że istnieją książki traktujące o filozofii, ale nigdy mu się nie śniło, iż napisano ich aż tyle. Rzędy wysokich półek, uginających się pod ciężarem wielkich tomów, przytłaczały go i podniecały zarazem. Oto była praca godna siły jego mózgu. W dziale matematycznym znalazł dzieła z zakresu trygonometrii i przerzucając ich kartki dziwił się niezrozumiałym formułom i wykresom. Umiał czytać po angielsku, ale tu natrafił na obcą jakąś mowę. Norman i Artur znali ją, gdyż słyszał, jak używali podobnych wyrażeń. A przecież byli to bracia Ruth. Martin opuścił tę część czytelnicy w rozpaczy. Ze wszystkich stron książki zdawały się nacierać na niego, jak gdyby chcąc go zmiażdżyć. Nigdy nie przypuszczał, że zasób ludzkiej wiedzy może być aż tak ogromny. Poczul przerażenie. Jakże jeden mózg zdoła to wszystko opanować? Po chwili uprzytomnił sobie, że istnieli przecież ludzie, i to liczni, którzy zdołali tego dokonać; wtedy wyszeptał cichą, ale żarliwą przysięgę, ślubując, że jego umysł ogarnie tyle, ile objąć potrafili inni ludzie.

I tak wędrował dalej, przechodząc kolejno od rozpaczy do otuchy na widok półek naładowanych mądrością. W dziale różnitości natrafił na Epitom Norrie'ego. Z namaszczeniem zaczął przewracać kartki. Nareszcie ktoś przemówił do niego zrozumiałym językiem. Książka ta mówiła o morzu, więc była mu bliska. Następnie znalazł podręcznik żeglugi Bowditcha oraz dzieła Leckeya i Marshalla. Ot co! Najlepiej będzie nauczyć się nawigacji. Przystanie pić, weźmie się do pracy i zostanie kapitanem okrętu. Wydało mu się, że teraz Ruth podeszła ku niemu zupełnie blisko. Jako kapitan będzie mógł się z nią ożenić, oczywiście jeśli ona go zechce. A gdyby nawet nie chciała, i tak dzięki niej zacznie prowadzić rzetelne życie wśród prawdziwych ludzi i w każdym razie przestanie pić. W tej chwili przypomniało mu się, że każdy kapitan służyć musi dwóm panom: agentowi żeglugi i właścicielowi statku, których interesy są ze sobą biegunowo sprzeczne i z których każdy z największą radością starłby go na miazgę. Obrzucił spojrzeniem całą salę i zamknął pod powiekami wizję dziesięciu tysięcy tomów. Nie, dość już ma morza. Potęga kryje się tu, w tym bogactwie książek, a jeśli dokonać ma wielkich czynów, to tylko na lądzie. Zresztą kapitanowi nie wolno zabierać z sobą żony na statek.

Minęło południe, nadeszło już popołudnie. Martin zapomniał, że jest głodny, i wciąż szukał książek o zwyczajach towarzyskich; poza myślą o życiowej karierze zaprzątnięty był bowiem zagadnieniem prostym i najzupełniej konkretnym, które sformułował sobie, jak następuje: Jeśli poznałeś młodą pannę, która zaprosiła cię do siebie, to w jakim terminie wolno ci ją odwiedzić? Odnalazłszy jednak właściwy dział książek, Martin szukał na próżno upragnionej odpowiedzi. Za to oszołomiony został olbrzymim labiryntem etykiety światowej, gubiąc się w tajnikach wymiany biletów wizytowych między ludźmi o wytwornych obyczajach. W końcu dał spokój poszukiwaniom. Nie znalazł, czego szukał, przekonał się natomiast, że na zgłębienie wszelkich zasad dobrego wychowania ledwie starczyłoby życia, wobec czego należało właściwie przeżyć najpierw jakiś okres przygotowawczy w celu nabycia wstępnej oglądy.

— Czy znalazł pan to, czego pan szukał? — zapytał bibliotekarz zza pulpitu, widząc, że Martin wychodzi.

— Tak jest, dziękuję — odpowiedział. — Tutejsza biblioteka jest rzeczywiście wspaniała. Urzędnik skinął głową.

— Bylibyśmy radzi widywać tu pana częściej. Czy pan jest marynarzem?

— Tak, proszę pana. I wrócę tu z całą pewnością.

Skąd on to wie? — zastanowił się Martin schodząc ze schodów.

Aż do pierwszego skrzyżowania ulic szedł niezmiernie sztywno i prosto, a jednocześnie niezdarnie, lecz potem, zamyśliwszy się, powrócił do swego wdzięcznie rozkołysanego kroku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Straszliwy niepokój, nieledwie przypominający głód, nękał Martina Edena. Łaknął widoku dziewczyny, której smukłe dłonie pochwytyły jego życie z siłą godną olbrzymia. Nie mógł zdobyć się na odwagę, żeby ją odwiedzić. Bał się, że zrobi to za wcześnie, łamiąc w ten sposób owe przerażające przepisy zwaną etykietą. Spędzał długie godziny w (czytelniach Oakland i Berkeley, wypełniwszy karty członkowskie na nazwisko własne, sióstr: Gertrudy i Marianny oraz Jima, którego zgodę zyskał kosztem kilku kufli piwa. Mając cztery karty upoważniające do wypożyczania książek, palił teraz gaz tak długo w nocy, że pan Higginbotham obciążył go dodatkową opłatą w wysokości pięćdziesięciu centów tygodniowo. Stosy książek, które przewertował, zwiększyły tylko jego niepokój. Każda karta tych książek była szparą pozwalającą zajrzeć do królestwa wiedzy. W miarę czytania głód nie tyle malał, ile rósł jeszcze. Ponadto nie miał pojęcia, od czego należy zacząć, i nieustannie odczuwał brak przygotowania. Nie miał nawet najprostszych wiadomości, których znajomość poczytywana była najwyraźniej za rzecz samo przez się zrozumiałą. To samo dotyczyło poezji, których czytanie sprawiało mu zresztą szaloną rozkosz. Utworów Swinburne'a przeczytał znacznie więcej, niż obejmował tomik pożyczony mu przez Ruth. Treść Dolores rozumiał do głębi, a jednocześnie zdał sobie sprawę, że Ruth nie pojęła tego utworu. Jakże mogła

zrozumieć, prowadząc właściwy sobie wytworny tryb życia? Potem natrafił na poematy Kiplinga i porwany został rytmem, wzniosłością i urokiem, w jakie oblekł poeta najpospolitsze sprawy życia. Zdumiało go głębokie współczucie okazywane przez autora wszystkiemu, co żyje, a niemniej zachwyciła Martina jego wnikliwość psychologiczna. Psychologia stanowiła nowy nabytek w słownictwie Martina. Kupił słownik, co mocno nadwerężyło jego zasoby pieniężne i przyspieszyło dzień wyruszenia na morze dla zdobycia nowych funduszy. Zgniewało to również pana Higginbothama, który wolałby, żeby wszystkie pieniądze szwagra przeznaczone były na pokrycie kosztów utrzymania. Za dnia Martin nie ośmielał się zachodzić do dzielnicy, gdzie mieszkała Ruth, ale za to w nocy czaił się jak złodziej w pobliżu domu Morse'ów, zapuszczając ukradkowe spojrzenia do okien i otaczając miłością nawet mury, które kryły jego ukochaną. Kilkakrotnie wpadł nawet na braci Ruth, a raz odprowadził po kryjomu pana Morse przez znaczną część miasta, śledząc rysy jego twarzy w świetle latarni ulicznych i wyczekując z utęsknieniem nagłego niebezpieczeństwa, które dałoby mu sposobność skoczenia na pomoc jej ojcu. Kiedy indziej czuwając wytrwale dostrzegł postać Ruth w jednym z okien drugiego piętra. Dojrzał tylko jej głowę, barki i ramiona wzniesione przy poprawianiu włosów przed lustrem. Była to tylko królika chwila, ale dla niego trwała całą wieczność. Krew spieniła się niby wino i rozśpiewała w jego żyłach. Potem dziewczyna spuściła roletę. Ale tam właśnie był jej pokój — o tym dowiedział się dopiero teraz. Odtąd długie godziny zaczął spędzać w ukryciu pod cienistym drzewem rosnącym po przeciwległej stronie ulicy, wypalając niezliczoną ilość papierosów. Któregoś popołudnia zobaczył jej matkę wychodzącą z banku i zyskał w ten sposób nowy dowód tego, jak olbrzymia odległość dzieli go od Ruth. Należała ona do klasy ludzi mających stosunki z bankami. Martin jeszcze nigdy w życiu nie był w banku i żywił przekonanie, że tego rodzaju instytucje nawiedzane bywają wyłącznie przez osoby wyjątkowo bogate i potężne.

W Martinie dokonał się pewnego rodzaju przełom moralny. Cieleśna i duchowa czystość Ruth podziałała na niego tak silnie, że poczuł w sobie żarliwe pragnienie naśladowania jej. Musi osiągnąć czystość, jeśli ma kiedykolwiek stać się godny oddychania tym samym powietrzem co ona. Mył już zęby, a ręce szorował kuchenną szczotką aż do chwili, gdy na wystawie składu aptecznego zobaczył szczoteczkę do paznokci i domyślił się jej przeznaczenia. Kiedy ją kupował, subiekt, spojrzawszy na jego Tece, zaproponował mu jeszcze pilnik do paznokci i w ten sposób Martin stał się posiadaczem jednego więcej przyboru toaletowego. Napotkawszy raz w czytelnicy książkę O pielęgnowaniu ciała, nabrał niebawem upodobania do codziennej zimnej kąpieli porannej, wzbudzając tym zdziwienie Jima i wprawiając w osłupienie pana Higginbothama, który bynajmniej nie pochwalał tego rodzaju wielkopańskich zachcianek i jął zastanawiać się poważnie, czyby tak nie obciążyć Martina dodatkową opłatą za wodę. Następną reformą dotyczyła spodni. Mając już teraz uwagę wyostrzoną w tym kierunku, Martin szybko zauważył różnicę między wypchniętymi na kolanach spodniami robociarzy a prostą jak drut linią w ubraniach mężczyzn zaliczających się do klas wyższych. Zrozumiał też, dlaczego się tak dzieje, i zaczął nachodzić kuchnię siostry w pogoni za żelazkiem i deską do prasowania. Z początku miał pecha, mianowicie spalił do szczeru spodnie i musiał sobie sprawić nowe, który to wydatek jeszcze bardziej przyspieszył dzień jego wyruszenia na morze.

Przemiany sięgnęły jednak głębiej, nie ograniczając się do powierzchownej strony życia. Palił jeszcze, ale pić już przestał. Do tej pory uważał picie za zajęcie właściwe dla mężczyzny i szczyił się tęgą głową, która pozwalała mu zachowywać trzeźwość w chwili, gdy większość współbiesiadników waliła się już pod stół. Ilekroć spotkał przypadkowo kolegów po fachu, których nie brakowało w San Francisco, częstował ich po dawnemu i sam przyjmował poczęstunki, ale dla siebie zamawiał zawsze piwo słodowe lub imbirowe, dobroduszenie znosząc ich drwinki. Kiedy zaś towarzysze jego mieli już zdrowo w czubie, obserwował ich pilnie, śledząc, jak w nich powstaje i rozrasta się zwierzę, i dziękując Bogu, że sam nie wstępuje w ich ślady. Topili w trunkach własną ułomność, a upijając się, przemieniali swe tępe i mętne dusze w bóstwa, z których każde rządziło samowolnie w raju własnych szaleńczych marzeń. Martin nie tęsknił już do mocnych napojów. Upajały go teraz w sposób nowy i głębszy inne sprawy: Ruth, która rozpałała w nim miłość i dała mu przedsmak lepszego, nieśmiertelnego życia, książki, z których wyroliło się nieskończone mrowie pożądań wżerających mu się w mózg, a także zdobywane stopniowo poczucie własnego oczyszczenia, któremu zawdzięczał zdrowie jeszcze wspanialsze niż dotychczas oraz tak dobre samopoczucie, że wprost chciało mu się śpiewać. Pewnego wieczoru wybrał się do teatru, licząc na to, że dzięki ślepemu przypadkowi spotka tam Ruth — istotnie, dostrzegł ją ze swego miejsca na balkonie drugiego piętra. Widział, jak szła przejściem między krzesłami w towarzystwie Artura i jakiegoś nieznajomego młodzieńca w okularach, z czubem niesfornych włosów. Widok tego osobnika wzbudził w nim natychmiast nieufność i zazdrość. Ruth zajęła miejsce w przednich rzędach i tak przykuła do siebie wzrok Martina, że w czasie przedstawienia niewiele więcej widział poza jej smukłymi, białymi ramionami i zamglonym przez oddalenie obłokiem bładozłotych włosów; Inni za to widzieli więcej i Martin, rozglądając się od czasu do czasu wokoło, dostrzegł, jak siedzące w rzędzie przed nim dwie młode dziewczyny odwracają się uporczywie, obrzucając go wzrokiem roześmianym i wyzywającym. Dawniej nie gardził żadną sposobnością i chętnie zawierał znajomości. Za owych czasów sam by odpowiedział uśmiechem, zachęcając do dalszego zbliżenia. Teraz jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Rzucił wprawdzie uśmiech, lecz odwrócił się zaraz rozmyślnie, nie spoglądając więcej w tę stronę. Mimo to, zapomniawszy już o istnieniu tych dziewcząt, napotkał znów parokrotnie ich uśmiechy. Nie

mógł odmienić się całkowicie w przeciągu pani dni ani zwalczyć wrodzonej sobie dobroduszości, toteż w takich chwilach uśmiechał się do dziewcząt ciepło, z pełnią ludzkiej sympatii. Zdarzenie to nie było dlań nowe. Wiedział, że spoza uśmiechów wyciągają się ku niemu kobiece ramiona. Ale teraz wyglądało to inaczej. Tam w oddali, w przednich rzędach, siedziała jedyna na świecie kobieta, tak różna, tak straszliwie odmienna od tych dwojga dziewcząt z jego własnej sfery, że w stosunku do nich odczuwać mógł jedynie litość i smutek. Za nic w świecie nie chciał urazić dziewcząt z powodu ich nieco nadmiernej natarczywości. Nie pochlebiała mu ona zresztą ani trochę; przeciwnie, nawet wstydził się nieco swej niedoskonałości, która upoważniała do tego rodzaju zaczepek. Wiedział dobrze, że gdyby należał do klasy Ruth, nie byłby na nic podobnego narażony. Za każdym spojrzeniem dziewcząt czuł, jak szpony przynależności klasowej wpijają się weń, ciągnąc go do dołu.

Zanim kurtyna opadła po ostatnim akcie, Martin opuścił miejsce, chcąc zobaczyć jeszcze wychodzącą z teatru Ruth. Na chodniku przed gmachem stało zawsze wielu mężczyzn, toteż mógł, nasunawszy czapkę na oczy i ukrywając się za czyimiś plecami, patrzeć do woli, nie będąc samemu widzianym. Wynurzył się z teatru wraz z pierwszą falą tłumu, Zaledwie jednak zdołał zająć stanowisko u brzegu chodnika, zjawiły się owe dwie dziewczyny. Wiedział, że go szukały, i w danej chwili gotów był przekląć w sobie to coś nieuchwytnego, co przyciągało kobiety. Gdy zobaczył, jak zbliżały się do niego, zrozumiał, że został odkryty. Dziewczęta zwolniły kroku i zetknęły się z Martinem w samej gęstwie ciżby. Jedna potrafiła go ramieniem, udając, że teraz dopiero go spostrzega. Była smukła i śniada, a jej czarne oczy miały wyraz wyzywający. Teraz jednak śmiały się do niego i chłopiec odpowiedział im uśmiechem.

— Serwus — rzekł.

Stało się to zupełnie bezwiednie; tak często przecież odzywał się podobnie przy pierwszych spotkaniach. Czyż mógł zresztą tego nie uczynić? Wrodzona życzliwość dla całego świata kazała mu coś powiedzieć. Czarnooka dziewczyna wyraziła uśmiechem radość z powitania i zwolniła kroku, jak gdyby chcąc przystanąć. Towarzyszka uwieszona u jej ramienia chichotała i również zdradzała chęć zatrzymania się. Martin zastanowił się szybko. Nie może pozwolić na to, by Ruth wychodząc zobaczyła go rozmawiającego z tymi dziewczynami. Najnaturalniej w świecie zrównał więc swój krok z krokiem czarnookiej i począł iść obok niej. Tym razem nie był niezdarzy i milczący, lecz czuł się całkiem swobodnie i szermował znakomicie tymi przekomarzaniami i dowcipnymi słówkami, które stanowią zazwyczaj wstęp do bliskiej znajomości w tego rodzaju przygodach. Na rogu, gdzie główna fala odpływała ku przodowi, Martin zaczął się kierować w stronę bocznic. Jednakże czarnooka dziewczyna przytrzymała go za ramię i ciągnąc za sobą koleżankę, zawołała — Czekaj no, Bili! Dokąd ci tak pilno? Chyba nas tak nie ciśniesz na ulicy bez pożegnania?

Przystanął ze śmiechem i odwrócił się, patrząc im prosto w oczy. Poprzez ich ramiona widział stłoczony tłum, płynący pod latarniami. Sam stał nieco w cieniu i mógłby stąd nie zauważony zobaczyć Ruth, gdyż ulica wiodła w stronę jej domu.

— Jak jej na imię? — zapytał chichoczącej dziewczyny, wskazując na czarnooką.

— Zapytaj sarn — odrzekła zanosząc się od śmiechu.

— No dobrze! A więc jak? — rzucił wesoło ku drugiej.

— A swojego toś mi powiedzieć nie raczył — odcięła się.

— Boś wcale o to nie pytała — uśmiechnęła się. — Zresztą od pierwszego rzutu utrafiłaś w sedno. Nazywam się właśnie Bili.

— Ejże tam, idź do licha! — Zajrzała mu w oczy namiętnym i wyraźnie zachęcającym spojrzeniem. — Gadaj mi zaraz czystą prawdę!

Spojrzała znowu. Z oczu jej przemówiły wszystkie stulecia kobiecości, od czasu gdy zrodziła się pleć. Obserwował ją beztrosko, wiedząc doskonale, że teraz, gdy on stał się stroną atakującą, dziewczyna zacznie cofać się nieśmiało, gotowa jednak w każdej chwili zamienić role, gdyby tylko okazał się obojętny. Jako mężczyzna, czuł promieniejącą ku niemu namiętność, co w pewnym stopniu schlebiało jego męskiej próżności. Ach, jak dobrze znał je wszystkie. Były dobre, jeżeli można mówić o dobroci w ich środowisku, a cechowała je ciężka praca za mizerne wynagrodzenie, wstręt do sprzedawania samych siebie dla poprawy bytu, nerwowe pożądanie choć odrobiny szczęścia wśród pustyni nędznego żywota i gdzieś w przyszłości konieczność wyboru między szpetotą wieczystego trudu a czarną otchłanią gorszej jeszcze ohydy, do której wiedzie droga krótsza i lepiej opłacana.

— Właśnie Bili — odrzekł skinąwszy głową. — Doprawdy, moje drogie, Bili i nic poza tym.

— Nie zwodzisz? — zagadnęła.

— Zawraca głowę. Wcale nie żaden Bili — przerwała druga.

— Skądś taka pewna? Przecież nigdy przedtem nie widziałaś mnie na oczy.

— I bez tego wiem, że bujasz — brzmiała odpowiedź.

— No, Bili, powiedz wreszcie, jak jest naprawdę — prosiła pierwsza.

— Bili nadaje się doskonale — wyznał. Chwyciła jego ramię i potrząsnęła nim żartobliwie.

— Wiedziałam, że kręcisz, ale podobasz mi się i tak. Wziął ją za rękę i wyczuł na niej znajome zgrubienia i znaki.

— Dawno odeszłaś z fabryki konserw? — zapytał.

— A ty skąd wiesz o tym? Patrzcie go, jaki zgadywacz myśli — przekrzykiwały się na wyścigi dziewczęta.

I podczas gdy Martin wymieniał z nimi głupie żarciki, będące strawą ograniczonych umysłów, przed oczyma jego duszy

stawał obraz wysokich półek bibliotecznych, wypełnionych mądrością wieków. Uśmiechnął się gorzko nad nedorzecznością spraw ziemskich i popadł w chwilowe zwątpienie. Lecz i pomiędzy wizją wewnętrzną a powierzchowną maską uciechy

znalazł czas na czujne śledzenie tłumu ciągnącego z teatru. I oto nagle w świetle latarni ujrzał Ruth, idącą między bratem a obcym młodzieńcem w okularach. Serce stanęło mu w piersi.

Długo czekał na tę chwilę! Zdążył schwytać wzrokiem to coś powiewnego, co kryło jej królewską głowę, wytworne linie otulonej fałdami sylwetki, swobodny wdzięk ruchów, czar dłoni unoszącej sukienkę. Potem znikła, on zaś pozostał twarz w twarz z obiema dziewczynami fabrycznymi, z ich tandetną pretensją do ładnego stroju, beznadziejnym sileniem się na schludność i elegancję, tanimi sukienkami, tanimi wstążkami i jarmarczną biżuterią na palcach. Poczul szturchnięcie w ramię i posłyszał głos:

— Obudź się, Bili! Co się z tobą dzieje?

— O co chodzi? — zapytał.

— O nic nie chodzi — odpowiedziała śniada dziewczyna odrzucając głowę. — Mówiłam tylko...

— Co mianowicie?

— Mówiłam, że byłoby dobrze, gdybyś znalazł jakiego chłopca... dla niej — tu wskazała na towarzyszkę — bo wtedy moglibyśmy zajść gdzie na lody śmietankowe z wodą sodową, na kawę lub coś w tym rodzaju.

Opanowały go nagle jakby duchowe mdłości. Przejście od Ruth do tego wszystkiego było zbyt raptowne. Tuż obok zuchwałych oczu stojącej przed nim dziewczyny ujrzał czyste i promienne, święte niemal spojrzenie Ruth, wychylające się jak gdyby z jakiejś niezmierzonej i niepokalanej głębi. Nieoczekiwanie poczuł w sobie pęd powstającej potęgi. Wyższy jest przecież ponad to wszystko! Życie znaczy dla niego coś więcej niż dla tych dwojga

dziewcząt, których marzenia kończą się na lodach i kawalerze. Przypomniawszy sobie, że zawsze miał drugi, tajemny świat myśli. Myślami tymi chciał się nieraz podzielić, ale nigdy nie mógł znaleźć ani kobiety, ani mężczyzny, co by go zrozumieli. Kilkakrotne próby w tym kierunku spotykały się stale ze zdumieniem zaskoczonych słuchaczy. Jeśli zatem myśli jego przerastały ich — rozumował teraz — zapewne i on sam ich przerasta. Poczł wzbierającą w sobie siłę i mocno zwarł pięści. Jeśli życie znaczy dlań więcej, powinien też więcej od niego żądać, ale na nic by się to nie zdało w takim jak dziś otoczeniu. Te zuchwałe czarne oczy nie mają nic do zaofiarowania. Znał myśli kryjące się za nimi: lody i coś jeszcze ponadto. Ale tamte drugie, anielskie oczy przyrzekały wszystko, cokolwiek znał, i więcej, niż mógł kiedykolwiek zamarzyć. Obiecywały książki i malowidła, piękno i spokój, a także cały subtelny wykwint wyższego życia. Za tymi czarnymi źrenicami śledzić mógł z łatwością wszelkie procesy myślowe. Zrozumiałe były jak maszyna zegarka. Mógł obserwować do woli obrót najmniejszego kółka. Celem ich było pospolite użycie, głucho i ciasno jak grób i grób też tkwił u końca tej drogi. A na dnie tamtych oczu, godnych świętej, leżała tajemnica, cud niepojęty, wiekuiste życie. Schwytał w nich blaski duszy i ujrzał też coś z duszy własnej. — Niestety, w programie jedna rzecz się nie zgadza — odezwał się głośno. — Umówiłem się już na dziś wieczór.

— W oczach dziewczyny odbiło się nie ukrywane rozczarowanie.

— Pewnie masz siedzieć przy chorym przyjacielu, co? — syknęła szyderczo.

— Nie. Całkiem uczciwe spotkanie — zawahał się chwilę — z dziewczyną.

— Nie oszukujesz mnie? — spytała z naciskiem. Popatrzył jej w oczy i odrzekł:

— To szczerza prawda. Ale przecież nie ma nic straconego. Możemy spotkać się kiedy indziej. Nie powiedziałaś mi jeszcze nawet swego imienia ani adresu.

— Lizzie — odparła łagodniejąc i ściskając lekko jego ramię, podczas gdy całe jej ciało tuliło się do niego. — Lizzie Connolly. Mieszkam na rogu Piątej i Targowej.

Martin gawędził z nimi jeszcze parę minut, zanim się pożegnał. Nie od razu poszedł do domu; pod drzewem, gdzie zwykł czuwać, wpatrzył się w pewne okno, szepcząc cicho:

— To z tobą miałem umówione spotkanie, Ruth. I nie sprawiłem ci zawodu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Minął już cały tydzień, pracowicie spędzony nad książkami, od czasu pierwszego spotkania z Ruth Morse, a jeszcze wciąż Martin nie mógł odważyć się na powtórne odwiedziny. Parokrotnie już się decydował na pójście do niej, ale wątpliwości zawsze podcinały to postanowienie. Nie znał właściwej pory na składanie wizyt, nie miał się kogo poradzić w tej sprawie i drżał, by nie popełnić niewybaczalnego błędu. Zerwawszy z poprzednim trybem życia, uwolnił się od starych znajomości, a nie nawiązał jeszcze nowych, z konieczności więc poświęcał wiele czasu czytaniu, a długie godziny, w ciągu których oddawał się temu zajęciu, mogłyby zepsuć tuzin par normalnych oczu. Ale oczy Martina były niezwykle mocne, a zasilał je cudownie zdrowy organizm. Poza tym jego umysł był niby żyzne pole, podatne od zarania życia do książkowej abstrakcji i teraz gotowe już do siewu. Nauka nigdy dotąd nie sprawiała mu trudności, wgryzał się w wiedzę ostrymi zębami, co raz schwyciwszy, nie zwykł wypuszczać zdobyczy.

Pod koniec tygodnia wydawało mu się, że minęły wieki, tak nieskończenie daleko za nim pozostały dawne zwyczaje i dawny pogląd na życie. Martinowi wiele trudności sprawiało jednak zupełny brak podstawowego wykształcenia. Sięgał po książki, które wymagały całych lat specjalnego przygotowania. Dziś brał się do filozofii starożytnej, nazajutrz chwycił jakies dzieło skrajnie nowoczesne i w rezultacie kręciło mu się w głowie od niezgodności i sprzeczności myślowych. Coś podobnego zdarzyło mu się z ekonomistami. Na jednej i tej samej półce w czytelni znalazł Karola Marksa, Ricarda, Adama

Smitha i Milla, lecz zawile sformułowania jednych nie uprawniały bynajmniej do twierdzenia, że poglądy innych są już nie na czasie. Martin czuł się otumaniony, lecz tym bardziej pragnął poznać prawdę. Roznamiętniły go ekonomia, przemysł i polityka. Przechodząc przez Park Ratuszowy zauważył sporą gromadę ludzi, w której środku stało z pół tuzina mężczyzn o rozplómiennionych twarzach i prowadziło głośną dyskusję. Przyłączył się do słuchaczy i spotkał się tu po raz pierwszy z językiem filozofów ludowych. Jeden z przemawiających był bezdomnym włóczęgą, drugi agitorem związków zawodowych, trzeci studentem prawa, resztę stanowili po prostu wygadani robociarze. Martin dowiedział się po raz pierwszy o socjalizmie, anarchizmie i jednolitym opodatkowaniu oraz zrozumiał, że istnieją zwalczające się nawzajem teorie społeczne. Słyszał setki nie znanych mu technicznych wyrażań, należących do takich dziedzin myśli ludzkiej, z którymi dotychczasowa lektura nie zapoznała go jeszcze. Wskutek tego nie mógł ściśle podążać za przytaczanymi argumentami i musiał poprzestać na domyślaniu się znaczenia pojęć ukrytych pod tak dziwnymi wyrazami. Był tam między innymi pewien czarnooki kelner wyznający teozofię, nie wierzący w nic piekarz ze związków zawodowych, jakiś staruszek, który zadziwił wszystkich głosem niezwyklej teorii, że „wszystko, co istnieje, jest słuszne”, wreszcie inny znów staruszek, rozprawiający bez końca o kosmosie oraz o ojczystym i macierzystym atomie.

Martin Eden, wycofawszy się z tłumu po kilku godzinach słuchania, czuł w głowie istny kołowrót i czym prędzej pobiegł do czytelnicy, żeby dowiedzieć się znaczenia zapamiętanych niezwyklej wyrazów.

Opuszczając czytelnicy dźwigał pod pachą cztery dzieła; Naukę tajemną pani Bławatskiej, Postęp i ubóstwo, Kwintesencję socjalizmu oraz Walkę pomiędzy religią a wiedzą. Na nieszczęście rozpoczął lekturę od Nauki tajemnej. Każdy wiersz roił się od mnóstwa wielozgłoskowych, niezrozumiałych słów. Martin musiał usiąść w łóżku i częściej zaglądał do słownika niż do czytanej książki. Szukał znaczenia tak wielu nowych wyrazów, że gdy spotkał je ponownie, nie pamiętał już ich sensu i musiał zaczynać robotę od początku. Wreszcie postanowił zapisywać znaczenia nowych wyrazów w osobnym zeszycie i zapełniał w ten sposób stronicę za stronicą. Ale w dalszym ciągu gubił się w sensie czytanego dzieła. Czytał do trzeciej nad ranem i głowa mu pękała, ale nie zdołał opanować w pełni ani jednej z zawartych w tekście zasadniczych myśli. Podniósł wzrok i wydało mu się, że cały pokój wznosi się, opada i kołysze niby statek na morzu. Wtedy cisnął w kąt Naukę tajemną, zaklął kilkakrotnie soczyście, zgasił gaz i ułożył się do snu. Niewiele lepiej powiodło mu się później z trzema pozostałymi książkami. Nie wynikało to wcale ze słabości czy nieudolności jego umysłu? byłby mógł bez trudu przyswoić sobie te pojęcia, gdyby posiadał jaką taką wprawę w myśleniu i rozporządzał właściwymi narzędziami myślowymi. Domyślił się tego i przez pewien czas nosił się z zamiarem czytania wyłącznie słownika, dopóki nie opanuje wszystkich zawartych w nim wyrazów.

Za to prawdziwe ukojenie dawała Martinowi poezja, toteż czytał jej wiele, znajdując najwięcej upodobania w bardziej zrozumiałych utworach poetów o nieskomplikowanej psychice. Kochał piękno i tu je znajdował. Poezja wzruszyła go głęboko, na równi z muzyką. Czytając wiersze, nieświadomie przygotowywał umysł do czekającej go ciężkiej pracy. Białe, nietknięte karty jego umysłu zapełniały się bez wysiłku, w miarę czytania utworów i zachwywania się nimi, całymi szeregami strof, tak że Martin wkrótce czerpać mógł prawdziwą rozkosz z powtarzania głośno lub w myśli rytmicznych zdań dźwięczących pięknem przeczytanych słów. Pewnego razu natknął się na Mity klasyczne Gayleya i Wiek bajeczny Bullfincha, stolce obok siebie na jednej z półek bibliotecznych. Było to dla niego istne objawienie, wielki snop światła w mrokach jego niewiedzy. Odtąd chciwiej niż kiedykolwiek oddawał się czytaniu poezji.

: Bibliotekarz widywał Martina tak często, że począł traktować go jak dobrego znajomego, witając go, ilekroć wchodził, uśmiechem i skinieniem głowy. Ośmieliło to Martina do podjęcia zuchwałego czynu. Podał mu właśnie kilka wybranych książek, a kiedy tamten stempłował karty kontrolne, wyjąkał nieśmiało:

— Przepraszam bardzo, ale widzi pan, chciałbym o coś zapytać.

; Zagadnięty uśmiechnął się życzliwie i czekał dalszego ciągu.

— Jeżeli ktoś pozna młodą osobę i ona zaprosi go do siebie, to kiedy wolno mu ją odwiedzić?

Martin poczuł, jak koszula uciska i krępuje mu ramiona, nagle zlane potem z wielkiego wysiłku.

— Sądzę, że kiedykolwiek — odparł bibliotekarz.

— Może i tak, ale w tym wypadku chodzi o coś innego — sprzeciwił się Martin. — Ona... ja... krótko mówiąc, może jej nie być w domu, ona chodzi na uniwersytet.

— To pójdzie pan jeszcze raz.

— Właściwie nie powiedziałem panu tego, co miałem na myśli — wyznał jękając się Martin, zdecydowany już zdać się całkowicie na łaskę i niełaskę swego rozmówcy. — Jestem, prawdę mówiąc, prosty chłopak i nigdy nie miałem do czynienia z doborowym towarzystwem. Ta panna jest po prostu

MOIM przeciwnością, nic we mnie nie ma podobnego do niej. Chyba pan nie myśli, że ja tu udaję wariata? — zapytał nagle

— Ale skąd? Bynajmniej, zapewniam pana — zaprotestował bibliotekarz. — Co prawda pańskie pytanie nie leży, ściśle biorąc, w kompetencjach działu informacji, ale w miarę możliwości najchętniej służę panu będąc radą.

Martin spojrział z podziwem na mówiącego.

— Żeby to ja tak potrafił! Przydałoby mi się w sam raz — rzekł.

— Daruje pan, niezupełnie rozumiem.

— Powiadam tylko, że dobrze byłoby, gdybym umiał wyrażać się tak płynnie, uprzejmie i w ogóle...

— Ach, tak — rzucił ze zrozumieniem tamten.

— Kiedy wypada pójść z wizytą? Po południu, byle nie za blisko poiry obiadowej? Czy też wieczorem? Albo może w niedzielę?

— Poradzę panu — rzekł bibliotekarz z rozpromienioną twarzą. — Niech pan po prostu zatelefonuje do tej osoby i dowie się.

— Dobrze, zrobię tak — odparł Martin, chwytając książki pod pachę i zabierając się do odejścia. Zawrócił jednak i spytał jeszcze: — Proszę pana, gdy się ktoś zwraca do młodej damy, powiedzmy do panny Lizzie Smith, to czy powinien nazywać ją panną Lizzie czy też panną Smith?

— Wyłącznie panną Smith — rozstrzygnął bezapelacyjnie bibliotekarz. — Niech pan zawsze ją tak nazywa, dopóki nie dojdzie między wami do bardziej zażyłej znajomości.

W ten sposób Martin Eden znalazł rozwiązanie niepokojącego go zagadnienia.

— Niech pan przyjdzie o dowolnej porze; zawsze po południu będę w domu — brzmiała telefoniczna odpowiedź Ruth na nieśmiałe zapytanie Martina, kiedy może odnieść pożyczone książki.

Ruth otworzyła mu drzwi sama i kobiecym swym okiem dostrzegła natychmiast starannie zaprasowany kant spodni i jakąś trudno uchwytną, lecz niewątpliwą poprawę w ogólnym jego wyglądzie. Uderzył ją też wyraz jego twarzy. W bujnym rozkwicie jego zdrowia kryła się jakaś gwałtowna niemal potęga, zdająca się wytryskać z jego ciała i płynąć ku niej falami niepowstrzymanej siły. Znowu poczuła dojmujące pragnienie oparcia się o niego w

poszukiwaniu ciepła i raz jeszcze zdziwiło ją niezwykle wrażenie, jakie jego obecność wywiera na niej. On ze swej strony odnalazł znane mu już wszechogarniające uczucie rozkoszy, jakiego doznawał w chwili dotknięcia jej ręki przy powitaniu. Różnica między nimi polegała na tym, że ona była chłodna i opanowana, chłopcu zaś twarz płonęła rumieńcem aż po samą nasadę włosów. Szedł za nią swym niezdarnym krokiem, niepokojąco kołysząc ramionami. Gdy zasiedli wreszcie w salonie, poczuł się pewniej, a nawet znacznie pewniej, niż mógł przypuszczać. Ruth dokładała starań, by czuł się swobodnie, a wdzięk, z jakim to czyniła, wzbudzał w nim jeszcze bardziej szaloną miłość. Rozmawiali z początku o zwróconych przez Martina książkach, o ulubionym przezeń Swinburne'ie i o Browningu, którego nie rozumiał. Panna prowadziła rozmowę przechodząc z tematu na temat i rozważając jednocześnie, w jaki sposób mogłaby mu być pomocna. Myślała o tym często od dnia pierwszego spotkania. Szczerze chciała mu pomóc. Czowała dla Martina jakąś nie znaną jej dawniej tkliwość, serdeczne współczucie nie upokarzające go bynajmniej, lecz wynikające ze zbudzonego w niej instynktu macierzyńskiego. Współczucie to nie mogło nosić cech pospolitej litości, skoro ten, kto je wywołał, był na tyle męski, by napelnić ją dziewczęcą trwożą, przyspieszyć tętno, a umysł zapłodnić dziwnymi myślami i uczuciami. Znow znalazła się pod urokiem jego męskiej szyi, a na myśl, że mogłaby położyć na niej rękę, ogarniało ją błogie uczucie. Pomysł ten wydawał jej się w dalszym ciągu rozpustny, niemniej jednak Ruth poczynała się już z nim oswajać. Nie przychodziło jej wcale do głowy, że w ten sposób objawiać się może nowonarodzona miłość. Nie śniło jej się także, że uczucie, jakie w niej wzbudzał, ma coś wspólnego z miłością. Sądziła, że jest to po prostu zainteresowanie niezwykle typem człowieka posiadającego różnorodne, wybitne możliwości rozwojowe. Gotowa też była uwierzyć, że kierują nią raczej motywy filantropijne.

Nie wiedziała o tym, że go pragnie; z nim natomiast sprawa przedstawiała się inaczej. On wiedział dobrze, że kocha tę dziewczynę, i pożądał jej tak bardzo, jak nigdy dotąd niczego w życiu nie pragnął. Kochał zawsze poezję za jej piękno, ale od chwili poznania Ruth wrota rozległej krainy poezji miłosnej rozwarły się przed nim na oścież. Ta kobieta dała mu głębsze zrozumienie poezji niż wszelkie wskazówki Bullfincha czy Gayleya. Jeszcze przed tygodniem nie poświęciłby nawet chwili uwagi słowom poety: „Bogów kochanek szalony, co życie dał za pocałunek”, teraz zaś to zdanie nie ustępowało z jego myśli. Podziwiał jego cudowność i głęboką prawdę; patrząc na Ruth czuł wyraźnie, że byłby zdolny umrzeć za pocałunek. Poczytywał się sam za owego „szalonego bogów kochanka” i dumny był z tego nie mniej, niż gdyby został pasowany na rycerza. Nareszcie pojął treść życia i zrozumiał, po co się urodził.

W miarę patrzenia na nią i słuchania jej myśli chłopca stawały się coraz śmielsze. Przeżywał ponownie dziką rozkosz uścisku jej dłoni na powitanie i tęsknił do powrotu tej chwili. Nieraz sięgał oczyma do ust dziewczyny i łaknął ich gwałtownie. Ale w tym pragnieniu nie było nic przyziemnego lub brutalnego. Niewysłowioną rozkosz sprawiało mu przyglądanie się każdemu ruchowi tych warg, gdy wymawiała poszczególne słowa, a przecież nie były to zwykłe wargi, jakie mogła mieć każda kobieta. Nie było w nich nic ziemskiego. Były to wargi uduchowione i pragnął ich też w sposób biegunowo różny od tego, w jaki pożądał ust innych kobiet. Martin czuł, że mógłby wprowadzić je całować własnymi cielesnymi ustami, ale z jakimś wzniosłym i trwożnym nabożeństwem, z jakim dotyka się rąbka boskiej szaty. Nie zdawał sobie sprawy z przewartościowania treści duchowych, które zaszły w nim samym, i nie przypuszczał, że światło lśniące w jego oczach wpatrzonych w Ruth jest tym samym blaskiem, który błyszczy w oczach wszystkich zakochanych mężczyzn. Nie miał pojęcia o tym, jak bardzo spojrzenie jego było gorące i męskie, ani też nie domyślał się, jak silny niepokój rozniecało w jej duszy. Promieniująca dziewiczość Ruth sublimowała i odmieniała

uczucia chłopca, wznosząc je na wyżyny chłodnej i nieskalanej, isticie gwiazdnej czystości. Byłby zdumiony dowiadując się, że te płynące z jego własnych oczu fale gorąca przenikają do tej istoty, budząc w niej pokrewne ciepło. Prądy te nieraz lekko mąciły jej umysł, a Ruth, sama nie wiedząc dlaczego, coraz częściej pod ich rozkosznym naporem gubiła wątek myśli i zbierać musiała na nowo strzępki przerwanej rozmowy. Miała zawsze dar wymowy, więc obecny chaos w myślach zaniepokoiłby ją nie na żarty, gdyby nie wytłumaczyła sobie, że dzieje się tak dlatego, iż Martin jest typem niezwykłym. Przy jej wrażliwości nie było ostatecznie rzeczą dziwną, że obca aura przybysza z innego świata mogła na nią w ten sposób wpłynąć. Na dnie jej świadomości tkwiło wciąż jeszcze zagadnienie, jak można by najłatwiej dopomóc Martinowi w jego dążeniu do zdobycia wykształcenia, toteż starała się skierować rozmowę na te tory. Ale sam Martin pierwszy poruszył ten temat. — Myślę, czy wolno mi prosić panią o pewną radę — zaczął i otrzymał natychmiast znak życzliwej gotowości, od którego serce wezbrało mu wdzięcznością. — Pamięta pani, kiedy tu przyszedłem tamtym razem, mówiłem, że nie umiem rozmawiać

o książkach i podobnych rzeczach, bo nie wiem, jak się do tego zabrać. Ale od tej pory przemyślałem wiele. Chodziłem ciągle do czytelnicy, ale książki, na które trafiałem, były najczęściej dla mnie za mądre. Może byłoby lepiej zacząć od samego początku. Nigdy nie miałem sposobności zdobycia nauki. Musiałem stale ciężko pracować od czasu, kiedy byłem małym bakiem, a odkąd w czytelnicy spojrzałem innym wzrokiem na inne książki — zrozumiałem, że dawniej czytałem nie to, co trzeba. Wie pani przecież, że te rozmaite książeczki, które można dostać w kantynach i na statkach, nie przypominają wcale książek znajdujących się na przykład w tym domu. A ja właśnie karmiłem się tamtą bibułą. A jednak wiem — nie dlatego to mówię, żebym się chciał chwalić — że naprawdę byłem zawsze inny niż ci, z którymi przestawałem. Nie mówię, żebym miał być koniecznie lepszy niż ci majtkowie czy poganiacze bydła, z którymi się zadawałem — bo trzeba pani wiedzieć, że i tym się trudniłem jakiś czas — ale mówię tylko, że zawsze lubiłem książki, czytałem wszystko, co mi w ręce wpadło... no

w ogóle myślałem jakoś inaczej niż większość tych ludzi.

A teraz sedno sprawy. Widzi pani, ja nigdy nie byłem w takim domu jak ten. Kiedym się tu zjawił tydzień temu i zobaczyłem całe to urządzenie, a także panią i matkę pani, i braci, i w ogóle wszystko — spodobało mi się to ogromnie. Słyszałem o podobnych rzeczach i czytałem o nich w niektórych książkach, a kiedym się rozejrzał po tym domu, pomyślałem sobie, że książki mówiły prawdę. Ale najważniejsze jest to, że tak bardzo mi się to spodobało.

Zapragnąłem tego i teraz też tego pragnę. Chcę oddychać takim powietrzem, jakie jest w tym domu, powietrzem, w którym czuje się książki, obrazy i inne piękne rzeczy; chcę żyć z ludźmi, którzy mówią cicho, są czysti i mają czyste myśli. Powietrze, którym zawsze dotąd oddychałem, czuć było strawą, komornem, kłótniami i sznapssem, a rzadko i gadano o czym innym. A tu, kiedym zobaczył wtedy, jak pani przeszła przez pokój, by ucałować matkę, pomyślałem sobie, że nic piękniejszego nie widziałem na świecie. A widziałem przecież życia niemało, daleko więcej niż wielu z tych, co razem ze mną byli. Lubię patrzeć i chciałbym zobaczyć więcej jeszcze, ale teraz pragnę już widzieć co innego.

Ale to wszystko jeszcze nie to, o co mi chodzi. Dochodzę wreszcie do tego: postanowiłem znaleźć drogę do takiego samego życia, jakie jest tu, w tym domu. Życie ma w sobie coś więcej niż ochłaj, harówkę i obijanie się. Ale jak mam się do tego zabrać? Od czego zacząć? Gotów jestem własną pracą opłacić tę podróż do innego świata, bo trzeba pani wiedzieć, że względem roboty niewielu tylko może się ze mną mierzyć. Jak raz zacznę, mogę pracować dzień i noc. Może pani myśli, że to głupio z mojej strony zwracać się do pani z tym wszystkim. Ja wiem, że właśnie pani nie powinienem o to prosić, ale nie mam kogo się poradzić... chyba żeby Artura. Może powinienem do niego się zwrócić. Gdybym był...

Głos zamarł mu w gardle. Całe mocne postanowienie przeprowadzenia tej rozmowy zachwiało się wskutek straszliwego przypuszczenia, że istotnie należało zapytać Artura i że swym występem tylko się ośmieszył. Ruth nie od razu odpowiedziała.

Zbyt była przejęta zestawieniem zająkliwej, naiwnej przemowy i prostoty zawartych w niej myśli z wyrazem odzwierciedlonym na twarzy, w którą patrzyła. W niczyich oczach nie widziała jeszcze tak wielkiej potęgi. Oto człowiek, który dokonać może prawdziwie wielkich rzeczy! Zapowiedź tę czytała w jego twarzy, lecz trudno było ją pogodzić z nieporadnością wypowiadanych myśli. Poza tym umysł Ruth był sam przez isię tak żywy i skomplikowany, że nie umiała ocenić należycie prostoty. Mimo to schwytała najwyraźniejsze znamiona siły w próbach przebijającego się po omacku ducha. Zdawało się, że to olbrzym usiłujący w mozole zerwać krępujące go pęta. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, twarz jej aż jaśniała życzliwością.

— Sam pan przecież rozumie, że przede wszystkim potrzeba panu wykształcenia. Właściwie należałoby się cofnąć i najpierw skończyć szkołę powszechną, a potem przejść do średniej i na uniwersytet.

— Ale na to trzeba pieniędzy! — przerwał.

— Ach, prawda! — zawołała. — Nie pomyślałam o tym. Czy jednak nie ma pan rodziny lub kogoś, kto mógłby panu dopomóc?

Martin potrząsnął głową.

— Rodzice moi pomarli. Mam dwie siostry, z których jedna jest zamężna, a druga zapewne wkrótce wyjdzie za męża. Poza tym mam całą furę braci, spośród których ja jestem najmłodszy, ale ci nigdy nikomu forsy nie dawali. Po prostu wyruszyli w świat na poszukiwanie szczęścia. Najstarszy zmarł w Indiach. Dwaj przebywają teraz w południowej Afryce, jeden bierze udział w wyprawie wielorybniczej, a jeszcze inny jeździ z wędrownym cyrkiem, pracując na trapezie. Ze mną było tak samo. Zdany byłem na własne siły już w wieku lat jedenastu, bo właśnie wtedy straciłem matkę. Skazany jestem chyba na samouctwo, bylebym tylko wiedział, od czego zacząć.

— Przypuszczam, że najpilniejszą sprawą byłoby opanowanie gramatyki. Pański sposób wyrażania się jest... — chciała

powiedzieć „okropny”, ale zmieniła to na — zupełnie poprawny.

Chłopak zaczerwienił się i oblał potem.

— Ja wiem, że używam wielu wyrazów gwarowych, których pani nie rozumie, ale cóż, kiedy są to jedyne słowa, jakimi umiem się posługiwać. W głowie mam pełno innych słów, pozbieranych z książek, ale nie potrafię ich prawidłowo wymawiać, więc wolę ich nie używać.

— Nie tyle chodzi mi o treść pańskich słów, co o sam sposób mówienia. Czy mogę być zupełnie szczerą? Nie chciałabym przecież pana urazić.

— Ależ nie, nie! — zawołał chłopak, błogosławiąc w głębi duszy jej dobroć. — Proszę walić prosto z mostu. I tak ktoś musi mnie pouczyć, a pani lepiej to zrobi niż każdy inny.

— Dobrze więc, niech i tak będzie. Mówi pan „przyszłem” zamiast „przyszedłem”, „każden” zamiast „każdy”. A poza tym te rozmaite wyrażenia, jak „sznaps”, „forsa”, „fura”... Wreszcie po cóż mam tu wyliczać wszystkie pana błędy? Dość że potrzebuje pan koniecznie podręcznika gramatyki. Zaraz go panu przyniosę i pokażę, jak należy zacząć naukę.

Kiedy dziewczyna wstała, Martinowi przypomniał się pewien szczegół wyczytany w przepisach dobrego wychowania, toteż sam wstał niezgrabnie, rozważając, czy postępuje, jak należy, i jednocześnie lękając się, iż Ruth zrozumie to jako zamiar odejścia.

— Ale, ale, panie Eden — zawołała już ode drzwi panienka — co znaczy „ochlaj”? Użył pan niedawno tego słowa...

— O, ochlaj — zaśmiał się chłopiec — to po naszymu oznacza: wódka, piwo, wszystko, czym się pani może upić.

— I jeszcze jedno — uśmiechnęła się przez ramię — nie należy używać słowa „pani”, kiedy chce się wyrazić myśl ogólną, nie osobistą. Mówiąc „pani”, zwraca się pan wprost do danej osoby, a nie przypuszczam, żeby przed chwilą użyty przez pana zwrot odpowiadał ściśle pańskim zamierzeniom,

— Niezupełnie rozumiem...

— Jakże, przecież powiedział pan do mnie dopiero co:

„Wódka, piwo, wszystko, czym się pani może upić”. Więc to ja miałabym się upić, czy tak?

— Ano każdy, pani oczywiście też...

— Pewnie, że tak — uśmiechnęła się Ruth — ale czy nie byłoby ładniej nie łączyć mnie z tym tematem i powiedzieć raczej: „wszystko, czym można się upić”? Czy nie brzmi to znacznie lepiej?

Wróciwszy z podręcznikiem gramatyki, Ruth przysunęła krzesło do krzesła Martina — zastanawiał się przez chwilę, czy nie należało jej przy tym pomóc — i usiadła tuż przy nim. Przerzucała stronicę książki, a głowy obojga mimo woli pochylały się ku sobie. Chłopiec z największym trudem starał się skupić uwagę na wskazówkach Ruth, tak dalece pochłonięty był rozkosznym jej sąsiedztwem. Kiedy jednak zaczęła wykladać mu zasady odmiany czasowników, przestał myśleć o jej osobie. Nigdy nie słyszał o tego rodzaju sprawach i od razu oczarowały go tajniki budowy mowy ludzkiej. Zbliżył twarz do książki i nagle policzkiem dotknął włosów dziewczyny. Raz tylko jeden zdarzyło mu się zemdleć w życiu, lecz teraz zdawało mu się, że zemdleje po raz drugi. Oddychał z trudem, a serce gwałtownie pędziło mu krew do gardła, dławiąc go niemal. Nigdy jeszcze Ruth nie wydała mu się tak łatwo osiągalna. Na tę jedną chwilę został przerzucony most ponad dzielącą ich przepaścią. Nie naruszyło to jednak w ni-czym wzniosłości jego uczucia. Ukochana kobieta nie zniżyła się do niego. To on raczej w podobocznym locie wznosił się . aż na jej wyżyny. Szacunek jego dla Ruth upodobił się w tej chwili do żarliwej i pełnej lęku nabożności. Chłopiec jak gdyby dostąpił łaski ujrzenia miejsca świętego świętych. Zwolna i ostrożnie odsunął głowę. Czarowne dotknięcie poraziło go niby prądem elektrycznym, choć ona nie zdawała sobie nawet z tego sprawy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Minęło kilka tygodni, w ciągu których Martin Eden studiował gramatykę, przerzucał książki o dobrym wychowaniu i czytał żarłocznie wszystko, co zdołało przykuć jego wyobraźnię. Z ludźmi z własnej sfery nie stykał się wcale. Dziewczęta zbierające się „Pod Lotosem” zachodziły w głowę, co się mogło z nim stać, i zasypywały pytaniami Jima, niektórzy zaś z zawadiaków uprawiających boks na boisku Rileya cieszyli się skrycie, że Martin już się tam nie pokazuje. On tymczasem odkrył nowy skarb w czytelnicy. Podobnie jak gramatyka ukazała mu tajniki budowy języka, tak nowo znalezione dzieło odsłoniło przed nim nie znane zasady budowy wiersza. Zapoznał się z metryką oraz zagadnieniami konstrukcji i formy, doszukując się pod umiłowanym pięknem tych przyczyn, które warunkowały jego powstanie. Inna praca współczesna, na którą natrafił, traktowała poezję jako sztukę odtwarzającą życie i ujmowała temat wyczerpująco, ilustrując go obficie cytatami z dzieł najznakomitszych pisarzy. Żadna powieść nie porwała Martina równie silnie jak te dwie książki. Jego świeży umysł, nie obarczany wiedzą przez lat dwadzieścia, a podniecany teraz dojrzałością pragnienia, chwycił

wszystko, co mu dane było czytać, z istic męską 'zaciekłością, nie 'spotykaną zazwyczaj u uczącej się młodzieży.

Gdy obecnie Martin oglądał się wstecz z poziomu już osiągniętego, świat dawniej mu znany — świat obcych krain i mórz,

okrętów, marynarzy i kobiet-wampów — wydawać mu się zaczął niezmiernie mały; mimo to jednak wtapiał się w ten świat nowy i przez to samo go rozszerzał. Martin skłaniał się do łączenia zjawisk w jedną całość, a jednak zdziwił się, gdy po raz pierwszy znalazł między obu światami punkty styczne. Równocześnie zaś wzniosłość myśli i piękno znajduwane w książkach działały na niego uszlachetniająco, każąc wierzyć coraz silniej, że wysoko nad nim, w towarzystwie, gdzie przebywa Ruth i jej rodzina, wszyscy mężczyźni i kobiety myślą i czynem wcielają to piękno w życie. Tu w dole, gdzie żył on sam, wszystko było skażone i nieszlachetne, toteż Martin pragnął czym prędzej oczyścić się z tej niedoskonałości i wznieść do jasnych wyżyn, gdzie pędzą żywot klasy wyższe. Całe jego dzieciństwo i młodość pełne były dziwnego jakiegoś niepokoju, sam nigdy dobrze nie wiedział, czego szuka, ale zawsze pragnął czegoś, choć do czasu spotkania Ruth daremnie za tym czymś gonił. Teraz ten jego niepokój stał się ostry i bolesny, ale w końcu Martin dowiedział się jasno i ostatecznie, że tym, co musi posiadać, jest piękno, wiedza i miłość.

W ciągu tych kilku tygodni widział Ruth ze sześć razy i każde z owych spotkań było dlań źródłem nowego natchnienia. Pomagała mu w nauce angielskiego, poprawiała wymowę i wreszcie wtajemniczyła w początki arytmetyki. Pogawędki ich jednak bynajmniej nie ograniczały się do nauki elementarnej. Martin znał zbyt dobrze życie i zanadto miał dojrzały umysł, aby zadowolić go mogły w pełni ułamki, pierwiastki sześciennego, rozbiór zdań i analiza. Niejednokrotnie więc rozmowa schodziła na inne tory, jak ostatnio przeczytany przez niego wiersz lub niedawno przestudiowany przez nią poeta. Kiedy zaś Ruth sama czytała Martinowi ulubione urywki, wznosiło go to na zawrotne wyżyny szczęścia. Żadna ze znanych mu kobiet nie miała takiego jak ona głosu. Najłżejszy jego ton podniecał miłość chłopca, a każde jej słowo przyprawiało go o drżenie. Brzmienie tego głosu, jego godność, śpiewna modulacja, miękkość i bogactwo były wytworem wysokiej kultury i szlachetnej duszy. Kiedy Martin przysłuchiwał się

jej, w uszach mu brzmiały ostre okrzyki kobiet z dzikich plemion i portowych wiedźm oraz nieco mniej ordynarne, lecz równie skrzeczące głosy robotnic i dziewcząt z jego sfery. Wtedy zaczynała pracować wyobraźnia, stawiając mu przed oczy długi szereg tych kobiet, z których każda przez kontrast przysparzała chwały Ruth. Zachwyty chłopaka podniecała jeszcze świadomość, że dusza dziewczyny wczuwa się głęboko w czytane słowa i upaja się pięknem ich treści. Ruth nieraz czytywała mu urywki z Księżniczki, przy czym widywał łyzy w jej oczach, tak wrażliwa była natura dziewczyny. W takich chwilach jej własne przeżycia wznosiły Martina niemal na tron jakiegoś bóstwa, a patrząc w jej oczy i słuchając jej mowy, zdawał się spoglądać w oblicze życia i czerpać z niego najgłębsze tajemnice. Z czasem, widząc, że dosięgał wyżyn najwspanialszej uczuciowości, pojął, że to jest właśnie mdłość i że ona stanowi rzecz największą na świecie. Wtedy zagłębiał się w zaułki pamięci, przywołując znane sobie z przeszłości dreszcze i żary — upojenie winem, pieszczoty kobiet, brutalne ciosy w cielesnych zmaganiach — i wszystko to zdawało się niskie i niegodne w porównaniu ze wzniosłym płomieniem, którym teraz się rozkoszował.

Tymczasem dla Ruth sytuacja nie była bynajmniej jasna. Nie miała żadnego doświadczenia w sprawach sercowych. Jedyne jej wyobrażenia o miłości pochodziły z książek, gdzie fakty powszedniego życia przeistaczane były przez fantazję w czarowne, ale dalekie od prawdy bajki; nie przychodziło jej na myśl, że ten nieokrzesany marynarz wdiera się do jej serca i budzi tam zadatki potężnych sił, które z czasem mogą wybuchnąć i przeszyć całą jej istotę falami ognia. Nie знаła prawdziwego żaru miłości. Pojęcia Ruth o tym uczuciu były czysto teoretyczne, wyobrażała sobie miłość w postaci łagodnego płomienia, spokojnego jak mżenie

rosy porannej lub szmer cichych wód, a chłodnego niby aksamitne niebo letnich nocy. W miłości widziała jakby stateczne uwielbienie, otulające kochaną istotę atmosferą kwietnej woni, przyćmionych światła i nieziemskiej ciszy. Nie śniła nawet o wulkanicznej potędze namiętności, palącym jej żarze i stosach bezużytecznych zgłiszcz i popiołów. Nie znała ani własnych sił, ani też potęgi świata, a głębiny życia były dla niej morzami złudzeń. Przywiązanie małżeńskie ojca i matki stanowiło dla niej ideał miłosnego zbliżenia, spokojnie więc oczekiwała dnia, kiedy bez żadnych gwałtownych wstrząsów czy tarć dostąpi sama podobnie słodkiego losu u boku ukochanego.

W tych warunkach Martin Eden wydał jej się dziwną nowością, istotą niezrozumiałą, a wrażenie, jakie na niej wywierał, skłonna była uznać również za rzecz obcą i niezwykłą. Trudno też było oczekiwać czegoś innego. Równie niepospolitych wrażeń doznawała oglądając w swoim czasie dzikie zwierzęta zamknięte w klatce, obserwując huragan lub drżąc na widok oślepiającej błyskawicy. Ta sama siła kosmiczna, która tkwiła w owych zjawiskach, kryła się i w tym mężczyźnie, co przyniósł jej tchnienie rozległych przestworzy i niezmiernych krain. Słońce podzwrotnikowe pozostawiło niezatarte ślady na jego twarzy, a w nabrzmiątych, sprężystych mięśniach tkwiła pierwotna tężyzna życia. Poznaczony był bliznami i szramami zadanymi przez ten tajemniczy świat brutalnych ludzi i brutalniejszych jeszcze czynów, którego pierwsze forpoczty leżały poza zasięgiem jej wzroku. Martin był nieposkromiony i dziki, a choć nie przyznawała się sama do tego, próżność jej mile była polechtana tym, że tak potulnie dawał się kierować jej dłoniom. Ożywiała ją też pospolita chęć oswojenia tego, co dzikie. Bezwiedny popęd, niezmiernie daleki od świata jej myśli, nasuwał jej chęć ulepiania z tej surowej gliny istoty ukształtowanej na obraz i podobieństwo własnego jej ojca, którego uważała za najdoskonalszą postać na świecie. Dziewczęce niedoświadczenie nie pozwalało jej też pojąć, że owa moc kosmiczna, która z niego promieniowała, była istotnie najbardziej żywiołową z potęg — tą miłością, co w jednym powszechnym pędzie popycha ku sobie mężczyznę i kobietę na całym świecie, jeleniom każe w okresie rui staczać śmiertelne pojedynki i nawet nieożywione pierwiastki zmusza do łączenia się z sobą.

Szybkie postępy czynione przez Martina były dla Ruth źródłem zdumienia i zainteresowania. Odkrywała w nim dzień po dniu skarby nieoczekiwanych przymiotów, rozkwitające niby pąki na urodzajnej glebie. Czytała mu głośno Browninga i nieraz czuła się zaskoczona niezwykłym sposobem, w jaki tłumaczył miejsca niejasne. Nie rozumiała, że jego interpretacje, oparte na znajomości mężczyzn, kobiet i życia w ogóle, bywały nieraz znacznie trafniejsze od jej własnych. Pomysły Martina wydawały się dziewczynie naiwne, chociaż częstokroć rozplamieniały ją zuchwałym polotem myśli, których tor ginął w tak odległym gwiazdnym przestworzu, że ścigać ich tam nie mogła, tylko siedziała wstrząśnięta w obliczu nieprzeczuwanej potęgi. Grywała mu też na fortepianie, teraz już nie w sposób wyzywający, ale chcąc wy badać jego wrażliwość za pomocą muzyki, która zresztą zapadała w głębie nieosiągalne dla jej zdolności rozpoznawczych. Jego dusza otwierała się ku muzyce jak kwiat do słońca, toteż szybko zdołał przebyć otchłań dzielącą słyszane dawniej w robotniczym otoczeniu skoczne i popularne melodie od klasycznych dzieł koncertowych z repertuaru Ruth, granych przez nią przeważnie z pamięci. Przejawiał jednak demokratyczne zamiłowanie do Wagnera, a uwertura z Tannhausera, którą dzięki niej poznał, zachwycała go ponad wszelkie inne wykonywane przez nią utwory. Uwertura ta bezpośrednio odzwierciedlała jego życie. Cała jego przeszłość odpowiadała motywowi Venusberg, Ruth zaś utożsamiała mu się niejako z motywem Chóru Pielgrzymów. Martin wpadał przy tym w rodzaj ekstazy i wznosił się aż w owo królestwo cienia, gdzie toczą się ślepe zmagania duchów, a dobro wie dzie ze złem wiekuisty 'bój.

Niekiedy zadawał Ruth pytania budzące w niej chwilowe wątpliwości co do trafności jej własnych określeń i poglądów z zakresu muzyki. Jej śpiew jednak nie budził w nim żadnych

zastrzeżeń. Cała Ruth obecna była w tym śpiewie, Martin więc trwał w niezmiennym zachwycie nad niebiańskim brzmieniem jej przeczystego sopranu. Musiał też, chcąc nie chcąc, zestawiać go w myśli z ostrą krzykliwością i wątłym piskiem nie odżywionych i nie ćwiczonych w śpiewie dziewcząt fabrycznych albo z ochrypłym wyciem przepitych głosów kobiet z miast portowych. Ruth lubiła grać i śpiewać dla Martina. Prawdę mówiąc, pierwszy raz pojawił się w jej otoczeniu ktoś, czyją duszą mogła igrać, kształtowanie zaś plastycznego tworzywa jego istoty było dla niej źródłem prawdziwej rozkoszy; szczerze bowiem wierzyła, że urabia go według swej woli, a intencje miała jak najlepsze. Zresztą — dobrze było z nim przebywać i obecność jego już nie przejmowała jej trwogą. Pierwotny lęk był w istocie obawą przed własną nieznaną jaźnią i od dawna już się uciszył. Nic o tym nie wiedząc, czuła się teraz obdarzona w stosunku do Martina pewnymi prawami własności. Poza tym wywierał na nią wpływ orzeźwiający. Pracowała na uniwersytecie usilnie, toteż oderwanie się od zapyłonych książek i pogrążenie w świeżym, morskim powiewie jego osobowości było dla niej czymś w rodzaju ożywczej kąpieli. Siła! Tego właśnie potrzebowała najbardziej, a Martin szczerze obdarzał ją siłą. Przebywanie z nim w jednym pokoju lub spotkanie go u drzwi wystarczało nieraz, by opanowała ją radość życia. Kiedy zaś odchodził, powracała do swych książek z większym zapałem i odnowionym zasobem energii. Dzieło Browninga znała dobrze, a jednak nigdy nie uprzytomniła sobie należycie, jak niebezpiecznie jest igrać duszami. W miarę wzrostu jej zainteresowania osobą Martina chęć przetworzenia go na swoją modłę stała się wprost jej namiętnością.

— Weźmy na przykład takiego pana Butlera — odezwała się pewnego popołudnia, kiedy wyczerpali już na razie tematy z gramatyki, arytmetyki i poezji. — Zdawało się, że z początku nie miał żadnych szczególnych widoków powodzenia. Jego ojciec był kasjerem w banku, ale zachorował na suchoty i po wielu latach cierpienia umarł w Arizonie. Z tą chwilą młody Butler — Karol mu było na imię — zastał sam na świecie. Nie miał żadnych krewnych w Kalifornii, ojciec jego bowiem pochodził z Australii. Wystarał się o pracę w drukarni — nieraz o tym przy mnie wspominał — i zarabiał na początek zaledwie trzy dolary tygodniowo. Dzisiejszy jego dochód roczny wynosi co najmniej trzydzieści tysięcy, a jak do tego doszedł? Był uczciwy, gorliwy, pilny i oszczędny. Odmawiał sobie wszelkich przyjemności, których zazwyczaj używają młodzi chłopcy. Uważał sobie za punkt honoru odłożyć tyle a tyle tygodniowo, niezależnie od ograniczeń, na jakie się przez to skazywał. Oczywiście wkrótce zaczął zarabiać więcej niż trzy dolary i w miarę wzrostu uposażenia zwiększał też stopniowo swe tygodniowe oszczędności.

W dzień pracował, wieczorami chodził na kursy dokształcające. Wzrok miał zawsze utkwiony w przyszłość. Po pewnym czasie zapisał się do wieczorowej szkoły średniej. Mając zaledwie siedemnaście lat, zarabiał już doskonale jako zecer, ambicją sięgał jednak coraz wyżej. Pragnął kariery, nie zaś kawałka chleba, i gotów był zawsze poświęcić teraźniejszość dla przyszłych korzyści. Obrawszy sobie zawód prawnika, wstąpił do biura mego ojca — niech pan pomyśli! — jako prosty goniec, zarabiając wszystkiego cztery dolary na tydzień. Nauczył się już jednak oszczędzania, więc i z tych czterech dolarów zdołał zawsze coś niecoś odłożyć. Ruth przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza i przekonać się o wywołanym wrażeniu. Twarz Martina wyrażała przejęcie młodzieńczymi zmaganiem pana Butlera, ale jednocześnie dostrzec można było na niej i zmarszczki niechęci.

— Pewnie, że niewesoło musiało być nieborakowi — zauważył. — Cztery dolary tygodniowo jak miał z tego wyżyć? Mowy nie mogło być w tych warunkach o najmniejszej rozrywce. Ja płacę obecnie pięć dolarów tygodniowo za wikt, a może mi pani wierzyć, że niewiele mam z tego rozkoszy. Tamten musiał mieć psie życie. A jedzenie...

— Gotował sobie sam na piecyku naftowym — przerwała panna.

— A jedzenie musiał mieć lichsze od strawy marynarzy na najędzniej szych statkach morskich, choć naprawdę mało istnieje rzeczy gorszych od tego.

— Ale za to dzisiaj i Niech pan tylko pomyśli — zawołała entuzjastycznie. — Na co go stać przy obecnych dochodach! Dawne wyrzeczenia opłaciły mu się tysiąckrotnie. Martin rzucił na nią ostre spojrzenie.

— Za jedno rączę — rzekł — a mianowicie, że pan Butler nie jest zbyt wesoły teraz, kiedy nastały jego tłuste lata. Tak długo odżywiał się wbrew wszelkim zasadom, że teraz z pewnością ma już chory żołądek.

Spuściła oczy pod jego badawczym wzrokiem.

— Założyłbym się, że cierpi w tej chwili na katar żołądka — ciągnął wyzywająco Martin.

— To prawda — przyznać musiała — ale przecież...

— Pewny jestem również — nacierał dalej Martin — że jest ponury i poważny jak puchacz i nie potrafi się nigdy zabawić pomimo swoich trzydziestu tysięcy rocznie. Nie wątpię też, że nie jest zbyt rad patrząc, jak bawią się inni. Czy nie mam słuszności?

Skinęła głową, ale wytłumaczyła śpiesznie:

— Bo to taki już typ człowieka. Z natury jest trzeźwy i poważny. Zawsze był taki.

— Wierzę — oświadczył Martin. — Trzy czy cztery dolary tygodniowo, gotowanie sobie samemu na maszynie naftowej, odkładanie najniezbędniejszych groszy, praca zarobkowa od rana do wieczora, nauka od wieczora do rana, czyli w rezultacie orka, bez przerwy, bez chwili wytchnienia ani zabawy, nawet bez możliwości wyobrażenia sobie, na czym zabawa polega — o tak, nie ulega wątpliwości, że te trzydzieści tysięcy zjawily się grubo za późno

Ruchliwa wyobraźnia Martina rzucała mu przed oczy tysiące szczegółów bytowania tego młodego człowieka i kształtowania się jego mentalności w ciasne formy bogacza z trzydziestotysięcznym dochodem rocznym. Całe życie Karola Butlera odsłoniło mu się jak wierny obraz, przepuszczony przez pryzmat bystrej i wielostronnej myśli.

— Wie pani co — dodał — żał mi doprawdy pana Butlera. Był wtedy za młody, żeby to zrozumieć, ale ograbił sam siebie z życia dla trzydziestu tysięcy rocznie, z których nigdy nie będzie mógł skorzystać. Przecież za tę pokąźną sumą nie kupi dziś nawet tej odrobiny radości, którą by łatwo uzyskał jako młody chłopak kupując sobie za te odłożone dziesięć centów cukierki, orzechy czy bilet na jaskółkę.

Tego rodzaju niezwykle poglądy trwożyły wielce Ruth, nie tylko bowiem były dla niej czymś nowym, biegunowo sprzecznym z własnymi jej przekonaniem, ale na domiar złego kryły w sobie ziarnko prawdy, które groziło zachwianiem lub obaleniem jej ugruntowanych zasad.

Gdyby miała lat czternaście, nie zaś dwadzieścia cztery, mogłaby się zmienić pod jego wpływem; w jej jednak wieku, wobec wrodzonego i wpojonego konserwatyzmu, ukształtowała się już całkowicie w ciasnych ramach wytkniętych przez środowisko i wychowanie. Zaprzeczyć się nie da, że dziwaczne poglądy chłopaka mąciły przelotnie równowagę jej umysłu, przypisywała je jednak niezwykłości jego postaci i życiowego stylu i szybko przechodziła nad nimi do porządku dziennego. Niemniej jednak chociaż takie poglądy nie zdobywały sobie uznania w jej oczach, siła wypowiedzi Marlina, towarzyszący im blask oczu i skupiony wyraz twarzy wzruszały i pociągały ją zawsze. Nie przychodziło jej jednak na myśl, że ten obcy mężczyzna, który wyszedł spoza granic dostępnego jej widnokregu, przerastał w takich chwilach otaczający ją świat rozległością i głębią poglądów. Sama Ruth nie wybiegała myślą poza ów widnokrąg, właściwością jednak umysłów ograniczonych jest przypisywanie ciasnoty duchowej wyłącznie innym osobom. Toteż sądziła, że własne jej poglądy są niezwykle szerokie, a wszelka niezgodność z nim sądów Martina świadczy o braku z jego strony, wobec czego marzyła o rozszerzeniu jego światopoglądu na tyle, żeby pokrył się z jej własnym horyzontem myślowym.

— Nie skończyłam jeszcze mego opowiadania — mówiła dalej. — Pan Butler pracował tak wydajnie, że ojciec uznał go za najlepszego ze wszystkich gońców. Zawsze chętny do roboty, nie spóźniał się nigdy, a nawet przychodził do biura parę minut wcześniej. Mimo to potrafił oszczędzać czas. Każdą

wolną chwilę poświęcał nauce: uczył się buchalterii i pisania na maszynie, a za lekcje stenografii płacił dyktowaniem po nocach jakiemuś sprawozdawcy sądowemu, który potrzebował praktyki. Szybko został urzędnikiem i stał się w biurze osobą niezbędną. Ojciec oceniał to i przepowiadał mu piękną przyszłość. Z porady ojca właśnie wstąpił na wydział prawny. Jak tylko powrócił do biura po ukończeniu studiów, ojciec przyjął go na młodszego wspólnika. Ach, to naprawdę wielki człowiek! Kilkakrotnie już odmawiał przyjęcia godności senatora Stanów Zjednoczonych, a ojciec twierdzi, że gdyby tylko zapragnął, mógłby przy każdym wakansie zostać sędzią Sądu Najwyższego. Takie życie może być poczytane za wzór dla każdego z nas. Dowodzi ono jasno, że silna wola wydzwignąć może człowieka ponad jego środowisko.

— Tak, to istotnie wielki człowiek — przyznał szczerze Martin. Mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że w opowiadaniu Ruth jest coś sprzecznego z jego własnym poczuciem piękna i wartości życia. Nie mógł znaleźć rozsądnej przyczyny, dla której pan Butler znosił trudy i wyrzeczenia. Gdyby to czynił z miłości dla kobiety lub z tęsknoty do piękna, Martin rozumiałby go doskonale. Bogów kochanek szalony oddaje wszystko za jeden pocałunek, ale nigdy za trzydzieści tysięcy rocznego dochodu. Coś drażniło go w karierze pana Butlera. Prawdę mówiąc, było w niej coś małostkowego. Oczywiście, że trzydzieści tysięcy rocznie nie jest sumą do pogardzenia, lecz katar żołądka i niezdolność odczuwania prostego ludzkiego szczęścia odzierały ten magnacki dochód z całej jego wartości.

Martin usiłował wiele tych myśli przekazać dziewczynie, lecz tylko raził ją i tym samym przekonywał, że dalsze urabianie jest nieodzowne. Umysł Ruth nacechowany był ową pospolitą zaściankowością, która każe wierzyć ludziom, że Właśnie ich kolor skóry, wierzenia religijne i przekonania polityczne są jedynie odpowiednie i lepsze od wszystkich innych, gdy tymczasem pozostałe ludzkie istoty, rozsiane po całym świecie, nie są tak uprzywilejowane jak oni. Ta sama

zaściankowość kazała swego czasu starożytnemu Żydowi dziękować Bogu, że go nie stworzył kobietą, ona też każe misjonarzowi dni dzisiejszych wędrować na krańce ziemi, aby narzucać swojego Boga w miejsce bóstw dawnych. To samo budziło w Ruth pragnienie, by wyrwać Martina z jego ram przyrodzonych i wtłoczyć go w formy właściwe ludziom z jej otoczenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Martin Eden powrócił z morza do ojczyzny Kalifornii pełen miłosnych tęsknot. Wyczerpawszy cały zapas posiadanej gotówki, zaciągnął się jako majtek na szkuner odpływający na poszukiwanie zaginionego skarbu i po ośmiu miesiącach daremnych usiłowań ekspedycja rozwiązała się na Wyspach Salomona. Załozce wypłacono należność w Australii i Martin wsiadł natychmiast na pokład statku zdążającego do San Francisco. Owe osiem miesięcy nie tylko zaopatrzyły chłopaka w pieniądze, umożliwiając mu spędzenie szeregu tygodni na lądzie, ale ponadto pozostawiły mu wiele wolnego czasu, który poświęcić mógł nauce i czytaniu.

Martin posiadał chłonny umysł i duże zdolności, za którymi tkwiła niezmożona wola, wsparta jeszcze miłością do Ruth. Zabraną w drogę podręcznik gramatyki został wielokrotnie przewertowany od deski do deski, aż świeży umysł Martina opanował go całkowicie. Chłopak zdawał już sobie teraz sprawę z nieprawidłowej mowy kolegów i nawykł do poprawiania i wygładzania w myśli ich językowych usterek. Ku swojej wielkiej radości zauważył, że wyczulił sobie słuch w tym kierunku i wyrobił znaczne poczucie poprawności mowy. Jaskrawy błąd raził go jak dysonans, mimo że nieraz wychodził z Jego własnych ust. Zbyt mało upłynęło czasu, żeby język jego zdołał nagiąć się w pełni do nowych zadań. Przerobiwszy porządnie całą gramatykę, Martin zabrał się do słownika. Codziennie uczył się dwudziestu

nowych wyrazów. Okazało się, że nie jest to wcale łatwe, wobec czego u steru czy też na wachcie nie przestawał ćwiczyć się, powtarzając długą listę nowych brzmień i określeń. Powtarzał je też niezmiennie przed zaśnięciem, aż do chwili, kiedy oczy zaczynały mu się kleić. Z największą pilnością wbijał sobie w pamięć szczególnie trudne do zapamiętania poprawne zwroty, tak aby całkowicie opanować prawidłowy sposób wyrażania się Ruth. Ze zdziwieniem zauważył, że zaczyna używać czystszej angielszczyzny niż sami oficerowie, a nawet podróżujący w kabinie poszukiwacze przygód, którzy finansowali całą ekspedycję, a zaliczali się do wyższych sfer towarzyskich.

Kapitanem był rybiokki Norweg, który jakimś dziwnym trafem stał się właścicielem pełnego wydania dzieł Szekspira, do którego nigdy nie zaglądał. Martin prał mu bieliznę w zamian za prawo korzystania z owych drogocennych tomów. Po pewnym czasie tak wczuł się w pochłanianie sztuki i tyle ulubionych wyjątków pozostało mu w pamięci, że cały świat otaczający zdał mu się przybierać kształty jakiejś tragedii czy komedii elżbietańskiej i nieraz bywało, że nawet własne myśli układały mu się w rytm białego wiersza. Chłopiec ostrzył sobie w ten sposób słuch i uczył się poznawać i cenić najszlachetniejszą angielszczyznę, choć przy tym wszystkim przyswajał sobie co prawda wiele archaizmów.

Okres ośmiu miesięcy spędzonych na morzu nie poszedł na marne; oprócz postępów w prawidłowym wyrażaniu się i poważnym myśleniu Martin lepiej poznał siebie. Obok szczerej skromności, wynikającej ze świadomości własnego nieuctwa, pojawiło się w nim też poczucie własnej siły. Widział olbrzymią przepaść dzielącą go od towarzyszy z załogi statku, a miał na tyle rozsądku, by zrozumieć, że różnią ich raczej możliwości potencjalne niż istotne osiągnięcia. To, co on robił, mogli robić również i oni, czuł jednak w sobie jakiś ferment niejasny, który mówił mu, że stać go na znacznie więcej niż to, co dotąd uczynił.

Niewysłowione piękno świata upajało go aż do granic męki; żałował, że Ruth nie może dzielić z nim tych wrażeń. Postanowił, że odtworzy dla niej w piśmie wiele z uroku południowych mórz. Na tę myśl zapłonął w nim jasno duch twórczy, każąc mu widziane piękno przekazać nie tylko ukochanej, ale i szerszemu gronu czytelników. Wtedy to w blasku i chwale zrodziła się w nim wielka myśl: będzie pisał! Stanie się jedną ze źrenic, przez które świat widzi, jednym z uszu, przez które słyszy, jednym z serc, którymi czuje. Będzie pisał wszystko: poezję i prozę, dzieła fantazji i opisy natury, a także sztuki jak Szekspir. Oto właściwa dla niego droga życiowa i godny sposób zdobycia Ruth. Przecież pisarze spełniają na tym świecie rolę olbrzymów, a ich życie bez porównania jest piękniejsze od losu wszelkich panów Butlerów, którzy zarabiają trzydzieści tysięcy rocznie i kiedy tylko zechcą, zostac mogą sędziami Sądu Najwyższego.

Raz się naradziwszy, myśl ta opanowała Martina wszechwładnie, toteż podróż powrotna do San Francisco minęła jak sen. Chłopiec upajał się nieznaną jakąś potęgą i czuł, że dokonać może wszystkiego, czego tylko zapragnie. Pośród wielkiego, samotnego oceanu zdobył właściwą perspektywę. Po raz pierwszy ujrzał jasno Ruth i jej świat, który uplastycznił się przed jego oczami równie konkretnie jak rzecz, którą można wziąć w ręce, obracać i oglądać do woli. Niejedno w tym świecie było mętne i zamglone, ale Martin nie zwracał uwagi na szczegóły; widział całość i sposób jej opanowania. Pisać! Myśl ta ogniem płonęła mu w duszy. Zacznie pisać natychmiast po powrocie. Przede wszystkim opisz wyprawę poszukiwaczy skarbów. Sprzeda to jednej z gazet w San Francisco. Nie powie o tym Ruth ani słowa — niech dziewczyna zdziwi się i ucieszy widząc jego nazwisko w druku. Pisanie nie spowoduje, rzecz prosta, żadnej przerwy w nauce. Doba składa się przecież z dwudziestu czterech godzin. Martin czuł się niezwykły. Umie pracować, a więc najsilniejsze twierdze muszą paść przed nim. Nie wyruszy już więcej na morze jako majtek; przez chwilę błysnęła mu przed oczyma wizja parowego jachtu. Są przecież pisarze posiadający własne jachty. Oczywiście z początku nie wszystko pójdzie tak łatwo, a narazie wystarczyłby mu najzupełniej taki dochód z pisania, który by umożliwił dalsze samokształcenie. Za to potem,

po pewnym, trudnym zresztą do przewidzenia czasie, kiedy dostatecznie opanuje wiedzę i przygotuje się należycie, zacznie tworzyć dzieła potężne, dzięki którym jego imię znajdzie się na ustach wszystkich. Ale nieskończenie ważniejsze, najważniejsze ze wszystkiego będzie to, że stanie się godny Ruth. Sława nie jest rzeczą do pogardzenia, to prawda, ale przecież tylko dla Ruth zrodził się jego czarowny sen. Nie był tylko łowcą sławy, ale jednym z szalonych, przez Boga natchnionych kochanków.

Przybywszy do Oakland z okrągłą sumką w kieszeni, Martin powrócił do swej izdebki u Bernarda Higginbothama i wziął się do roboty. Nie zawiadomił nawet Ruth o swoim przyjeździe. Odwiedzi ją dopiero po skończeniu opowiadania o poszukiwaczach skarbu. Trawiąca go gorączka twórcza sprawiła, że łatwiej mu było powstrzymać się od widzenia ukochanej. Zresztą sama praca zbliżała go do niej. Nie wiedział dobrze, jak długie powinno być opowiadanie, ale przeliczył słowa w zajmującym dwie strony felietonie niedzielnego dodatku do „Przeglądu San Francisco” i tym postanowił się kierować. Po trzech dniach najbardziej wytężonej pracy opowiadanie było gotowe. Kiedy jednak przepisał je starannie dużym, czytelnym pismem, wpadł mu w ręce w czytelni podręcznik stylistyki, z którego dowiedział się o istnieniu takich rzeczy, jak rozpoczynanie poszczególnych ustępów od nowego wiersza lub odróżnianie wypowiedzi różnych osób od wątku myśli samego autora, za pomocą odpowiednich znaków. Dotychczas nigdy nie myślał o tym wszystkim, ale teraz bez zwłoki rozpoczął pracę na nowo, zaglądając co chwila do podręcznika i nabywając w ciągu jednego dnia więcej wiadomości o budowie prozy literackiej niż przeciętny uczeń przez cały rok. Przepisawszy opowiadanie powtórnie i starannie zwinąwszy je w rulon, Martin przypadkowo natrafił w jakiejś gazecie na pouczenie dla początkujących adeptów pióra i zapoznał się z żelaznym prawem zakazującym zwijania rękopisów w rulony oraz pisania po obu stronach karty. Złamał obydwie przykazania. Przy sposobności jednak dowiedział się, że pierwszorzędne pisma płacą co najmniej dziesięć dolarów za szpaltę. Wobec tego, przepisując rękopis po raz trzeci, pocieszał się mnożeniem dziesięciu szpalt przez dziesięć dolarów. Iloczyn pozostawał zawsze ten sam — sto dolarów i Martin orzekł stanowczo, że lepiej być pisarzem niż marynarzem. Gdyby nie jego nieświadomość, zużyłby na to opowiadanie trzy dni. Sto dolarów w ciągu trzech dni! Na morzu trzeba by na taką sumę pracować trzy miesiące, a może i dłużej. Tylko szaleniec puszczałby się na morze mogąc pisać — zadecydował Martin, choć pieniądze same w sobie nic dla niego nie znaczyły. Ich wartość polegała jedynie na uzyskaniu pewnej swobody i na możliwości sprawienia sobie przyzwoitej odzieży, to wszystko bowiem zbliżało do smukłej, bladej dziewczyny, która odwróciła całe jego życie i obdarzyła go natchnieniem.

Włożywszy rękopis do wielkiej koperty, zaadresował przesyłkę do redaktora „Przeglądu San Francisco”. Wydawało mu się, że pisma ogłaszają natychmiast każdy przyjęty utwór, toteż wysławszy rękopis w piątek, spodziewał się, że już w najbliższą niedzielę zobaczy go w druku. Uważał, że będzie to piękny sposób powiadomienia Ruth o powrocie. W niedzielę po południu będzie mógł ją odwiedzić. Tymczasem zajął go nowy pomysł, który uznał za wyjątkowo trafny, rozsądny i skromny. Oto napisze awanturnicze opowiadanie dla chłopców i pośle je do „Towarzysza Młodzieży”. Poszedł natychmiast do czytelni i przejrzał roczniki tego czasopisma. Przekonał się, że opowiadania seryjne składają się zazwyczaj z pięciu odcinków, przy czym na każdy numer pisma przypada około trzech tysięcy słów. Znalazł również kilka opowieści nieco dłuższych, ciągnących się aż przez siedem numerów, i postanowił taki właśnie utwór napisać.

W swoim czasie brał udział w wyprawie na wieloryby na Wodach arktycznych, która zakrojona była na trzy lata, ale skończyła się rozbiciem okrętu po upływie sześciu miesięcy. Choć Martin miał wyobraźnię wrażliwą, a niekiedy nawet wybujałą, cechowało go jednocześnie zamiłowanie do realizmu, zniewalające do pisania wyłącznie o sprawach dobrze mu znanych. Na łowach wielorybnych znał się gruntownie i z realnego materiału swej

wiedzy zamierzał wykroić urojone przygody dwóch chłopców, którzy mieli zostać bohaterami jego opowiadania. W sobotę wieczór zdecydował, że nie będzie to robota trudna. Tego dnia wykończył pierwszy odcinek objętości trzech tysięcy słów, wywołując tym uciechę Jima i otwarte drwiny pana Higginbothama, który przez cały czas obiadu szydził z nowoodkrytego w rodzinie „literaty”.

Martin pocieszał się wyobrażając sobie minę, z jaką szwagier otworzy niedzielny numer „Przeglądu” i znajdzie w nim opowiadanie o poszukiwaczach skarbu. Tego ranka zerwał się wcześniej i sam pobiegł do drzwi wejściowych, gdzie przerzucił nerwowo grubo, świąteczny egzemplarz dziennika. Przejrzawszy go starannie raz i drugi, złożył go z powrotem i pozostawił na miejscu. Rad był, że nikomu nie wspomniał o tej swojej próbie. Po namyśle doszedł do wniosku, że błędnie oceniał szybkość, z jaką rękopisy dostają się do druku. Zresztą wartość jego opowiadania nie była uzależniona od chwili jego ogłoszenia, może więc redaktor chce najpierw porozumieć się z nim listownie.

Po śniadaniu Martin zabrał się do dalszej pracy nad opowieścią dla młodzieży. Wyrazy same płynęły mu spod pióra, często jednak przerywał pisanie, żeby zajrzeć do słownika lub do podręcznika stylistyki. Podczas takich przerw nieraz odczytywał cały napisany już rozdział i pocieszał się, że choć na razie nie tworzy jeszcze potężnych dzieł, których zarodek czuł w duszy, to w każdym razie uczy się kompozycji i jasnego wyrażania myśli. Pracował do zmierzchu, po czym pobiegł do czytelnicy, gdzie przeglądał miesięczniki i tygodniki aż do dziesiątej, to znaczy do zamknięcia. Według tego planu spędził cały tydzień. Codziennie odrabiał trzy tysiące słów i co wieczór przedzierał się przez gąszcz czasopism, notując rodzaj opowiadań, artykułów czy wierszy, które uznane zostały przez redakcje za godne zamieszczenia. Jedno było niewątpliwe: to, czego dokonali owi liczni pisarze, w niczym nie przekraczało własnych jego możliwości, a z czasem na pewno zapędzi tamtych autorów w kozi róg. Martin rad był bardzo, przeczytawszy w „Nowinach Literackich” artykuł o honorariach autorskich. Ucieszyła go nie tyle wiadomość, iż Rudyard Kipling pobiera po dolarze za słowo, ile informacja, że w pierwszorzędnym piśmie minimalna opłata wynosi dwa centy za wyraz. „Towarzysz Młodzieży” z pewnością zaliczał się do najlepszej kategorii pism, a tym samym trzy tysiące słów, które dziś napisał, przyniosą mu sześćdziesiąt dolarów — dwumiesięczny zarobek marynarza!

W piątek wieczorem ukończył opowiadanie, którego objętość wynosiła około dwudziestu jeden tysięcy słów. Przyjmując stawkę po dwa centy za wyraz — obliczał Martin — dawało to w sumie czterysta dwadzieścia dolarów. Wcale niezły zarobek tygodniowy. Tyle pieniędzy nie posiadał jeszcze nigdy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób można wydać taką sumę. Natrafił na złotą żyłę o wydajności wprost niewyczerpanej. Planował, że sprawi sobie trochę odzieży, zaprenumeruje wiele pism i kupi te encyklopedie, z których dotąd korzystać mógł tylko w czytelnicy. Gdy zapłaci za to wszystko, zostanie mu jeszcze dość pokaźna kwota. Dręczyło to Martina, dopóki nie uspokoił go pomysł zgodzenia służącej dla Gertrudy i kupienia Mariannie roweru.

Tymczasem wyekspediował pękaty rękopis do „Towarzysza Młodzieży”, a naszkicowawszy plan nowej pracy o połowie pereł, w sobotę po południu wybrał się z wizytą do Ruth. Uprzedził ją telefonicznie o swoich odwiedzinach, wobec czego sama podeszła do drzwi na jego spotkanie. Dawny, dobrze już znany prąd tężyzny powiał od chłopaka i uderzył w nią z siłą. Zdawał się wnikać w jej ciało, krążąc po żyłach jak płynny płomień, niosący w sobie moc, która wprawiała ją w drżenie. Martin pokraśniał ujawszy jej dłoń i patrząc w jej niebieskie oczy, ale świeży brąz ośmiomiesięcznej opalenizny ukrył ten rumieniec, choć nie zdołał uchronić szyi przed czerwonym śladem sztywnego kołnierzyka. Zauważyła tę pręgę z pewnym rozbawieniem, które jednak znikło od razu, gdy spojrzała na jego ubranie. Ten pierwszy jego garnitur szyty na zamówienie istotnie dobrze na nim leżał, czyniąc postać smuklejszą i zgrabniejszą. W dodatku sukienną czapkę zastąpił teraz miękki kapelusz filcowy,

który kazała mu włożyć na głowę, chwając korzystną zmianę w jego powierzchowności. Ruth dawno już nie czuła się tak szczęśliwa. Przemiana ta była przecież jej dziełem, którym pyszniła się, pałając chęcią niesienia mu dalszej pomocy.

Najradykałniejsza jednak zmiana, która ją najbardziej ucieszyła, zaszła w sposobie jego wysławiania się. Martin wyrażał się nie tylko poprawnie], ale i znacznie swobodniej, przy czym rozporządzał bez porównania bogatszym zasobem słów. W chwilach jednak podniecenia lub uniesienia popadał łatwo w dawne błędy, kaleczył wymowę i łykał końcówki; niekiedy również znać było wahanie przed użyciem przyswojonych od niedawna wyrazów. Ponadto wraz z płynnością mowy zjawiała się pewna lotność i cięta błyskotliwość myśli, co wprost zachwycało dziewczynę. Teraz dopiero poznała swoisty typ jego humoru i miłych przekomarzań, które czyniły chłopaka ulubieńcem jego sfery, a dotychczas w obecności Ruth nie mogły się ujawnić z braku słów i wprawy w wyrażaniu myśli. Martin zaczynał właśnie oswajać się z nowym otoczeniem i czuć, że nie jest w nim tylko intruzem. Ale jednocześnie zachowywał daleko idącą wstrzemięźliwość, pozostawiając Ruth nadawanie tonu i kierunku ożywionej rozmowie i dotrzymując jej kroku, lecz nigdy nie ośmielając się jej wyprzedzać.

Opowiadał o wszystkim, co porabiał dotychczas, zwierając się też z planów zarobkowania piórem i dalszego samokształcenia. Niemile zaskoczył go brak zachęty z jej strony. Nie podzielała jego zapału.

— Widzi pan — oświadczyła szczerze — pisanie jest takim samym fachem jak każdy inny. Nie znam się na tym bliżej, rzecz prosta, ale wyrażam tu ogólne mniemanie. Nie zostałby pan przecież kowalem bez odbycia praktyki trwającej trzy lub może nawet pięć lat. Literaci zaś zarabiają o tyle lepiej niż

kowale, że z natury rzeczy istnieć tu musi o wiele większa konkurencja, gdyż niejedni chcieliby pisać... i próbuje pisać.

— Czy nie jest jednak możliwe, że mam szczególne uzdolnienia do twórczości literackiej? — zagadnął, napawając się w duchu pięknym brzmieniem użytych słów. Równocześnie bujna wyobraźnia rzuciła mu przed oczy, niby na olbrzymi ekran, całą obecną scenę wraz z otaczającą ją atmosferą — obok długiego szeregu innych scen z jego życia, surowych, pierwotnych, brutalnych, zwierzęcych.

Cała ta złożona wizja przemknęła z szybkością światła, nie wywołując przerwy w rozmowie ani nie mącąc spokojnego toku jego myśli. Na ekranie wyobraźni widział siebie i tę słodką, piękną dziewczynę, rozmawiających w cztery oczy poprawną angielszczyzną w pokoju pełnym książek, malowideł, dobrego tonu i kultury, przepojonym jasnością i spokojnym blaskiem. Równocześnie wyrastały w pamięci i ześlizgiwały się ku odległym krańcom ekranu sceny wręcz przeciwne, z których każda układała się w obrazy tak, żeby on sam, jako swobodny widz, mógł się im przyglądać według własnego upodobania. Poprzez drgające strzępy mgły i fale mętnego tumanu widział, jak tamte sceny rozplywają się pod promieniami jaskrawo czerwonego światła. Oglądał poganiaczy bydła, pijących przy barze gorzałkę w atmosferze wyuzdania i rozwiążłych słów, i ujrzał jak on sam, Martin, pije i klnie wraz z najdzikszymi spośród nich albo siedzi w ich gronie przy stole, w świetle kopcącej lampy naftowej, wśród brzęku żetonów do gry i klaskania rozdawanych kart. A oto znów forkasztel na „Susquehannie: widzi siebie, jak z zaciśniętymi pięściami, obnażony do pasa toczy swój wielki bój z Rudzielcem z Liverpoolu. Albo okrwawiony pokład „Johna Rogersa" w ów szary poranek nieudanego buntu, kiedy to mat rzucał się w przedśmiertnych drgawkach na klapie głównego luku, rewolwer w ręce kapitana buchał ogniem i dymem, a wokoło ludzie o zwierzęcych, wykrzywionych namiętnością twarzach walili się na ziemię, zionąc straszliwymi przekleństwami... I nagle Martin powrócił do sceny głównej, cichej i jasno zarysowanej w równym oświetleniu pokoju, gdzie pośród książek i obrazów siedzi Ruth, prowadząc z nim poważną rozmowę. Ujrzał ten długi fortepian, na którym za chwilę grać będzie dla niego;

usłyszał wreszcie echa własnych, wyszukanie poprawnych słów: „Czyż nie jest jednak możliwe, że mam szczególne uzdolnienia do twórczości literackiej?”

— Ale bez względu na to, jak wybitne uzdolnienia ktoś posiada do kowalstwa — zaśmiała się panna — nie słyszałam nigdy, aby można było zostać kowalem bez terminowania.

— Cóż więc pani radzi? — zapytał. — Proszę tylko nie zapominać, że czuję w sobie niewątpliwe zdolności pisarskie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wiem na pewno, że tak jest.

— Musi pan zdobyć gruntowne wykształcenie — brzmiała odpowiedź — niezależnie od tego, czy w ostatecznym wyniku zostanie pan pisarzem, czy też nie. Przygotowanie takie jest niezbędne w każdym zawodzie i nie może być ono pobieżne ani dorywcze. Powinien pan wstąpić do szkoły średniej.

— Tak — zaczął, ale przerwała mu, jak gdyby uzupełniając swą myśl:

— Rozumie się, że mógłby pan przy tym także pisać.

— Byłbym do tego zmuszony — zauważył chmurnie.

— Dlaczego? — Spojrzała na niego ze zdziwieniem; upór, z jakim powracał do swego pomysłu, wcale jej się nie podobał.

— Ponieważ bez pisania nie byłoby mowy o szkole. Muszę przecież zarabiać jakoś na utrzymanie, kupno książek i odzieży.

— Wciąż zapominam o tym — zaśmiała się. — Dlaczegoż nie przyniósł pan z sobą na świat stałego dochodu?

— Już ja tam wolę mieć zdrowie i wyobraźnię — odrzekł. — Mogę sam dochrapać się dochodu, ale tamtych rzeczy nie zdobędzie... — miał już rzec „pani”, ale w porę spostrzegł się i dokończył: — nie zdobędzie się tak łatwo.

— Ale na drugi raz niechże pan nie mówi „dochrapać się” — rzekła z udanym gniewem. — Przecież to ohydny żargon!

Chłopiec zaczerwienił się i wyjąkał:

— Słusznie, i zawsze proszę o zwracanie mi uwagi.

— Owszem, chętnie — odpowiedziała z wahaniem. — Tyle jest w panu dobrego, że chciałabym pana widzieć doskonałym.

Martin natychmiast zmiękł jak wosk i równie gorąco zapragnął, żeby zechciała kształtować go według swej woli, jak ona pragnęła urobić jego na obraz i podobieństwo własnego ideału męzczyzny. Kiedy zaś napomknęła, że rozmowa jest na czasie, gdyż egzaminy wstępne do szkoły średniej rozpoczną się właśnie w najbliższy poniedziałek, chłopiec niezwłocznie wyraził gotowość przystąpienia do nich.

Potem Ruth grała mu i śpiewała, a on wpatrywał się w nią z tęsknotą w oczach, upojony czarem jej kobiecości i zdumiony, że nie ma przy niej setek wielbicieli, równie jak on zasłuchanych i roztęsknionych.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego dnia Martin pozostał na obiedzie i ku wielkiemu zadowoleniu Ruth wywarł dobre wrażenie na ojcu. Rozmawiali o żegludze jako o fachu, który to temat Martin znał na wylot; pan Morse wyraził się potem, iż młodzieniec, jak się zdaje, ma głowę na karku. Martin, starając się unikać wyrażen gwarowych i dobierać najodpowiedniejszych słów, zmuszony był mówić powoli, co umożliwiała mu odnajdywanie najcenniejszych myśli. Czuł się znacznie swobodniej niż przy pierwszym obiedzie przed niespełna rokiem, nieśmiałość zaś jego i

skromność znalazła uznanie nawet w oczach pani Morse, która musiała zauważyć tak jawne postępy.

— Ten Eden jest pierwszym mężczyzną, który potrafił zwrócić na siebie choćby przelotną uwagę Ruth — rzekła po obiedzie do męża. — Jej dotychczasowa zupełna obojętność na wszystko, co dotyczy mężczyzn, niepokoiła mnie nie na żarty.

Pan Morse spojrział na żonę z zainteresowaniem.

— Czy zamierzasz posłużyć się tym młodym marynarzem w celu rozbudzenia dziewczyny? — zapytał.

— Zamierzam po prostu dołożyć wszelkich starań, aby Ruth nie została starą panną — brzmiała odpowiedź. — Jeśli ten chłopak potrafi w niej wzbudzić zainteresowanie do rodzaju męskiego w ogóle, przyda się to bardzo.

— Tak, przyda się bez wątpienia — potwierdził mąż. — Przypuśćmy jednak, moja droga, bo przecież czasem trzeba

przewidywać, że wzbudzone zainteresowanie odnosić się będzie zbyt wyraźnie do jego osoby.

— Niepodobieństwo — zaśmiała się pani. — Ruth jest od niego o trzy lata starsza, a zresztą to w ogóle niemożliwe. Nic z tego nie będzie. Możesz na mnie polegać.

W ten sposób rola Martina została określona bez jego wiedzy, podczas gdy on sam za namową Artura i Normana zdecydował się na nowy wybryk. Młodzież wybierała się w niedzielę rano na rowerach za miasto, chcąc zwiedzić okoliczne wzgórza. Martina nie interesowało to wcale, dopóki nie usłyszał, że Ruth również uprawia kolarstwo i ma wziąć udział w wycieczce. Martin nie umiał jeździć i nie miał roweru, ale skoro jeździła Ruth, nie pozostawało mu nic innego, jak nauczyć się także. Wyszedszy więc od Morse'ów, wstąpił do sklepu i wydał czterdzieści dolarów na rower. Było to więcej, niż wynosił ciężko zarobiony, całomiesięczny dochód chłopca, i zatrważająco uszczupliło jego kapitały. Kiedy jednak dodał sto dolarów, które otrzyma z „Przeglądu”, do czterystu dwudziestu dolarów, jakie w najgorszym wypadku wypłaci mu „Towarzysz Młodzieży”, poczuł, że zmniejsza sobie tylko kłopot wywołany nadmiarem pieniędzy. Nie przejął się też tym, że próbując wrócić na rowerze do domu, zniszczył doszczętnie swój piękny garnitur. Tegoż wieczoru ze sklepu pana Higginbothama zatelefonował do krawca i zamówił nowe ubranie. Potem wprowadził rower na górę po stromych schodkach, uczepionych niby strażacka drabina do tylnej ściany budynku, i odsunawszy łóżko od ściany stwierdził, że w izdebce pozostaje ściśle tyle miejsca, ile potrzeba dla niego samego i dla roweru.

Niedzielę przeznaczył pierwotnie na przygotowania do czekającego go egzaminu, lecz rozpoczęta opowieść o połowie pereł tak kusząco na niego działała, że chłopak spędził cały dzień w gorączkowej pracy nad odtworzeniem tętniącego mu w duszy, bujnego, romantycznego piękna. Okoliczność, że „Przegląd” także i w tę niedzielę nie wydrukował opowiadania o poszukiwaczach skarbu, nie wprawiła go bynajmniej w zły humor. Bujał tak wysoko w obłokach, że nie zareagował na kilkakrotne wezwania, tracąc tym samym suty świąteczny obiad, jakim pan Higginbotham przy niedzieli niezmiennie raczył swych domowników. Dla pana Higginbothama obiad taki był reklamą jego życiowego powodzenia, nigdy też nie zapominał oświetlić go banalnymi kazaniami na temat amerykańskich swobód obywatelskich, które pozwalają każdemu dzielnemu pracownikowi osiągnąć wyższe szczeble społeczne. W danym wypadku chodziło o awans z ekspedienta w sklepie kolonialnym na właściciela Handlu Detalicznego Higginbothama.

W poniedziałek rano Martin Eden spojrział żałośnie na nie dokończony Połów pereł i wybrał się tramwajem do Oakland na egzamin. Kiedy po kilku dniach przyszedł dowiedzieć się o rezultaty, okazało się, że ze wszystkich przedmiotów prócz gramatyki otrzymał oceny niedostateczne.

— Pańska znajomość gramatyki jest bez zarzutu — oświadczył profesor Hilton, przyglądając się chłopcu przez grube okulary — z innych jednak przedmiotów nie umie pan nic, do-

słownie nic, w zakresie zaś historii Stanów Zjednoczonych niewiedza pańska jest wprost przerażająca; tak, nie podobna inaczej tego określić — przerażająca. Radziłbym panu... Tu profesor Hilton przerwał, a wpatrując się tępo w Martina wyglądał równie martwo i niezyciwiście jak którakolwiek z jego próbek. Zajmował on stanowisko nauczyciela fizyki w szkole średniej, miał liczną rodzinę, mizerną pensyjke oraz doborowy zasób wiadomości wykutych na pamięć.

— Tak jest, panie profesorze — odrzekł pokornie Martin, załując szczerze, że na miejscu profesora Hiltona nie siedzi w tej chwili uprzejmy bibliotekarz z czytelnicy,

— Radziłbym też panu wrócić jeszcze na jakie dwa lata do szkoły powszechnej. Żegnam pana.

Martin nie stropił się zbytnio swym niepowodzeniem, chociaż zdziwił go wyraz twarzy Ruth, jawnie zgnębionej wiadomością o radzie udzielanej przez profesora Hiltona. Rozczarowanie jej było tak widoczne, że i Martin sam począł się martwić złym wynikiem egzaminu, niemal wyłącznie jednak z jej powodu.

— Widzi pan, że miałam słuszość — odezwała się wreszcie. — Umie pan znacznie więcej niż którykolwiek z uczniów wstępujących do szkoły średniej, a mimo to nie może pan zdać egzaminu. Dzieje się tak dlatego, że wiadomości posiadane przez pana są fragmentaryczne i przypadkowe. Brak panu metody, którą zyskać można tylko pod kierunkiem wytrawnych nauczycieli. Musi pan otrzymać solidne podstawy. Profesor Hilton ma słuszość, a ja na pana miejscu zaczęłabym uczęszczać do szkoły wieczorowej. W półtora roku mógłby pan zdobyć wiadomości odpowiadające kursowi dwuletniemu. Poza tym będzie pan w ten sposób miał możność pisania w dzień, a gdyby to nie dało panu dostatecznych środków utrzymania, znajdzie pan sobie z łatwością jakieś stałe dzienne zatrudnienie.

Jeżeli będę miał dni zajęte pracą zarobkową, a wieczory nauką, to kiedy mam widywać ciebie? — nasunęła się Martinowi myśl, której jednak nie wypowiedział. Zamiast tego rzekł tylko:

— Chodzenie do szkoły wieczorowej wydaje mi się zajęciem śmiesznie dziecinnym. Nic bym sobie z tego nie robił, gdybym czuł, że mi się to opłaci. Nie sądzę jednak, żeby się opłaciło. Sam nauczę się wszystkiego prędzej, niż zdołają mnie nauczyć inni. Byłaby to tylko strata czasu — tu pomyślał o Ruth i o pragnieniu zdobycia jej — a mnie nie wolno marnować ani chwili. Nie mam ich przecież zbyt wiele.

— Ależ do nauki potrzeba tylu materiałów pomocniczych! — Spojrzała na niego łagodnie i Martin poczuł, że krzywdzi ją przeciwstawiając się jej pogładowi. — Fizyki i chemii nie nauczy się pan przecież bez ćwiczeń w laboratorium. Przekona się pan też, że uczenie się algebry i geometrii bez pomocy wykładowcy jest niemal beznadziejne. Potrzebni są panu doświadczeni nauczyciele, wyspecjalizowani w sztuce przekazywania wiedzy.

Chłopak milczał przez chwilę, szukając słów na wyrażenie myśli.

— Niech pani tylko nie posądza mnie o samochwalstwo — zaczął. — Daleki jestem od tego. Ale czuję z całą pewnością, że jestem urodzonym samoukiem. Umiem się uczyć sam i tak mi to łatwo przychodzi jak kaczce pływanie. Widziała pani, jak mi się udało z gramatyką. A nauczyłem się też wielu innych rzeczy, nie spodziewa się pani nawet, jak wielu. A przecież to dopiero początek. Proszę poczekać, aż chwycę — tu zawahał się chwilę, sprawdzając w myśli poprawność wyrażenia, zanim dokończył — właściwe tempo. Zaczynam dopiero rozumieć sens wielu rzeczy, próbuję pokapować się.

— Nie powinien pan mówić „pokapować się” — przerwała.

— No, połapać się — sprostował pośpiesznie.

— To także niewłaściwe wyrażenie — zaprotestowała. Chłopiec raz jeszcze musiał zacząć od początku.

— Chodzi mi o to, że zaczynam czuć się u siebie w obcym mi dotąd terenie.

Tym razem panienka przemilczała z litości, Martin zaś ciągnął dalej:

— Wiedza wydaje mi się kajutą nawigacyjną. Wchodząc do biblioteki publicznej odnoszę zawsze takie wrażenie. Rzeczą nauczycieli jest systematyczne zapoznawanie uczniów z zawartością kajuty; odgrywają oni po prostu rolę przewodników. Nie chodzi tu wcale o własne ich zdolności. Nic z siebie nie dają, niczego nie tworzą. W kajucie znajduje się wszystko, a zadanie ich ogranicza się do udzielania informacji, bez których osoby obce nie mogłyby się w niczym zorientować. Co do mnie jednak — nieczęsto zdarza mi się błędzić. Mam wyrobiony zmysł orientacji. Wiem, zwykle, gdzie mnie zaniósł... a teraz co znowu przeskrobałem?

— Nie trzeba mówić: „gdzie mnie zaniósł”.

— Słusznie — odrzekł chłopiec z wdzięcznością. — Mówi się: „gdzie jestem”. Ale na czym to ja utknąłem? Aha, na tej kajucie nawigacyjnej. Otóż, widzi pani, bywają tacy ludzie,,

— Takie osoby — poprawiła.

— Osoby, które koniecznie potrzebują przewodników. Taka jest większość, ale ja sędzę, że doskonale daję sobie radę sam. Ostatnio spędziłem niemało czasu w tej kajucie. Już z grubsza rozumiem, o co chodzi — wiem, które mapy muszę znaleźć, jakie wybrzeża mam zbadać. A twierdzę stanowczo, że najwięcej krain, i to w najkrótszym czasie, zwiedzę wędrując sam. Szybkość eskadry, jak pani wiadomo, równa się szybkości jej najpowolniejszego statku; tak samo dzieje się z postępami w nauce. Nauczyciele muszą się stosować do możliwości przeciętnego ucznia, a odpowiednie dla mnie tempo nigdy nie nada się dla całej klasy.

— „Ten dąży najszybciej, kto idzie samotnie” — zacytowała panienka.

Mimo to z tobą szedłbym jeszcze szybciej — o mało nie wykrzyknął Martin, któremu nagle wyblęśla przed oczyma wizja bezmiernych światów, słonecznych przestrzeni i gwiazdzistych próżni, poprzez które sunie obok dziewczyny, objawszy ją ramieniem, z twarzą owianą bladym złotem jej włosów. W tej samej chwili uświadomił sobie całą nędzną nieudolność mowy ludzkiej. O Boże! Gdyby umiał tak władać słowem, żeby ukazać jej to, co sam widzi! Niby ostry ból przeszło go przemożne pragnienie odmalowania słowami tych widzeń, które zjawiały się spontanicznie w zwierciadle jego ducha. O to więc chodzi! Nareszcie zdobył klucz tajemnicy! Przecież to właśnie czynią wielcy mistrzowie pióra, zarówno prozaicy, jak i poeci. Dlatego stają się olbrzymami. Umieją ubrać w słowa myśli, uczucia i obrazy. Pies śpiący w słońcu skomle nieraz i warczy, ale nie potrafi opowiedzieć, jakie to widzenia każą mu skomleć i warczeć. Martin niejednokrotnie zachodził w głowę, co to jest. A przecież i on sam nie jest niczym innym, jak takim psem drzemającym w słońcu. Widywał we śnie wzniosłe i piękne obrazy, ale do Ruth dochodziło tylko jego nędzne skomlenie i warczenie. Pora jednak skończyć z tym spaniem na słońcu. Zerwie się, otworzy szeroko oczy, będzie walczył, pracował i uczył się dotąd, aż oczy przejrzą, język się rozwiąże, a on sam potrafi podzielić się z ukochaną całym bogactwem

swych wizji. Inni ludzie wynaleźli przed nim sztukę wyrażania się, uczynili ze słów powolne sobie narzędzia i rozkazali splotom wyrazów znaczyć więcej, niż zawiera suma ich poszczególnych składników. Martina wzruszyło do głębi odsłonięcie rąbka tajemnicy i uniosło znowu w słoneczne zaświaty i gwiazdziste rozłogi... aż ocknął się raptownie, uderzony ciszą, i dostrzegł Ruth przyglądającą mu się z rozbawionym wyrazem uśmiechniętych oczu.

— Miałem wielkie widzenie — rzekł i na sam dźwięk tych słów mocniej zabiło mu serce. Skąd wzięły się te słowa? Oddały one w najwłaściwszy sposób znaczenie tej przerwy, którą nagle jego marzenie spowodowało w rozmowie. Dokonał się cud. Nigdy jeszcze z równym polotem nie ujął Martin wzniosłej myśli, ale też nigdy dotąd nie próbował ubierać górnych myśli w słowa. Bo tak też było i tym należało wszystko tłumaczyć. Nigdy nie próbował. Ale za to czynili to Swinburne, Tennyson, Kipling i wszyscy inni poeci. Martin pobiegł myślą do swego Połowa pereł. Nigdy dotąd nie pokusił się o dokonanie rzeczy wielkiej: o wyzwolenie gorejącego w nim ducha piękna. Ale ten utwór, kiedy go skończy, będzie już czymś zgoła

innym. Zaskoczony był rozległością piękna wiążącego się z obranym tematem, jego umysł dał się znów ponieść zuchwałym lotom i Martin zapytywał sam siebie, czemu nie miałby tego piękna wyśpiewać w szlachetnym wierszu, jak wielcy poeci. Poza tym miał jeszcze w zapasie całą tajemniczą rozkosz i duchowy cud swojej miłości. Czemużby i tego nie miał wyśpiewać za przykładem poetów? Oni opiewali przecież miłość. On uczyni to samo. Na Boga!

Z przerażeniem dosłyszał echo własnego okrzyku, Porwany wzruszeniem, począł głośno myśleć. Krew falami nabiegała mu do twarzy, zalewając rumieńcem wstydu ciemny brąz skóry od brzegu kołnierzyka aż po nasadę włosów

— Ja,, ja. bardzo przepraszam — wyjąkał. Zamyśliłem się.

— To brzmiało jak modlitwa — rzekła siląc się na spokój, choć w duchu poczuła się nieswojo. Po raz pierwszy w życiu

zdarzyło jej się usłyszeć zakłęcie z ust znajomego mężczyzny; toteż była nie tylko wstrząśnięta z racji wpojonych zasad i przyzwyczajzeń, lecz także zmrożona do głębi swej istoty tym brutalnym wtargnięciem życia do zamkniętego ogrodu jej niedostępnej dziewiczości.

Przebaczyła jednak, sama aż zdziwiona łatwością, z jaką jej to przyszło. Jakoś trudno było temu chłopcu czegokolwiek nie darować. Nie miał przecież sposobności stać się takim jak inni mężczyźni z jej otoczenia, a starał się o to usilnie i niemało już osiągnął. Nie przychodziło jej na myśl, że mogą też istnieć inne przyczyny okazywanej mu przez nią życzliwości. Zbliżała ją ku Martinowi skłonność serca, ale sama o tym nie wiedziała.

Dwadzieścia cztery lata, nie zmącone najbłahszym choćby przeżyciem miłosnym, nie mogły uzbroić jej w przenikliwą umiejętność rozróżniania własnych uczuć, toteż Ruth, która nigdy dotąd nie zapłonęła szczerą miłością, nie dostrzegała nawet, że właśnie w tej chwili płonąć zaczyna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Martin powrócił do pracy nad swym Połowem pereł i byłby skończył wcześniej to opowiadanie, gdyby nie częste przerwy spowodowane próbami pisania wierszy. Były to poezje miłosne, natchnione przez Ruth, nigdy jednak nie zostały ukończone. Nie mógł tak na zawołanie nauczyć się władać szlachetnym wierszem. Opanowanie rymu, metryki i kompozycji już samo przez się nasuwało dość trudności, ale ponad nimi i poza nimi tkwiło coś nieuchwytnego i subtelnego, co objawiało mu się w każdym wielkim poetyckim dziele, ale czego nie umiał złowić i uwięzić we własnych utworach. Lotnego ducha poezji wyczuwał i ścigał, lecz nigdy nie mógł go ujarzmić. Martinowi wydawał się on blaskiem, Ciepłym, sunącym oparem, wciąż niedościgłym, choć niekiedy udawało mu się jego strzępki złapać i wpleść w zdania, które drgały mu w myśli uporczywie dzwięczącą nutą lub przepływały skroś jego marzeń niby mgliste zwiastuny niespotykanego piękna. Lecz wszystko to było zwodnicze. Martina dręczyło pragnienie znalezienia pełnego wyrazu, ale wciąż tylko błąkał się w zaułkach prozy, podobnie jak wszyscy inni. Głośno odczytywał napisane ustępy. Stopa wierszowa kroczyła bezbłędnie, rymy układały się równie poprawnie w długofalowe rytmy, ale żar i ekstaza, które chciał zakląć w słowa, nie dawały się odczuć. Nie mógł pojąć przyczyn swego niepowodzenia i raz po raz w rozpaczy i zniechęcającym poczuciu klęski powracał do rozpoczętego

opowiadania. Proza stanowiła niewątpliwie łatwiejszy do opanowania środek wypowiedzi.

Po wykończeniu Połowu pereł Martin napisał jeszcze artykuł o żegludze jako zawodzie, drugi o połowie zółwi i trzeci

o pasatach północno-wschodnich. Następnie na próbę stworzył krótką nowelkę i zanim zahamował nabrany rozpęd, miał już gotowych sześć nowel, które rozesłał zaraz do różnych czasopism. Pisał rozrzutnie, uparcie, od rana do wieczora i późno w noc, odrywając się od pracy jedynie po to, by pójść do czytelnicy czy wypożyczalni książek lub też odwiedzić Ruth. Czuł się głęboko szczęśliwy. Życie nastroiło mu się na wysoki ton, płynęło w nieustannym gorączkowym napięciu. Dostał owej radości tworzenia, która uważana jest za przywilej bogów. Cała otaczająca go rzeczywistość — wyziewy gnijących warzyw i mydlin, zaniedbana postać siostry i szydercza twarz pana Higginbothama — wydawała mu się snem. Prawdziwy świat istniał w jego umyśle, a opowieści, które wysnuwał z głowy, były nierozdzieloną częścią tej prawdy.

Dni stały się zbyt krótkie. Tak wielu rzeczy przecież należało się nauczyć! Sen ograniczył do pięciu godzin i uznał, że mu to najzupełniej wystarcza. Spróbował nawet okroić godziny wypoczynku do czterech i pół, ale z żalem musiał powrócić do pięciu. Z największą radością poświęciłby wszystkie godziny doby któremukolwiek ze swych umiłowanych zajęć.

Niechętnie przestawał pisać, by wziąć się do nauki, z wysiłkiem porzucał naukę wybierając się do czytelnicy, całej siły woli musiał używać, żeby oderwać się od tej skarbnicy wiedzy lub od stosów czasopism kryjących tajemnicę powodzenia tych pisarzy, którym udało się sprzedać swój towar. Kiedy przebywał z Ruth, chwila pożegnania sprawiała mu ból dotkliwy; przez ciemne ulice miasta pędził jednak jak najszybciej, żeby dopaść swych książek z możliwie najmniejszą stratą czasu. Najtrudniej przychodziło mu zamknąć podręcznik algebry czy fizyki, odłożyć zeszyty i ołówki i zmrużyć do snu zmęczone oczy. Z przykrością myślał, że trzeba zaprzestać czynnego życia, choćby tylko na krótko, i jedyną pociechę dawała mu pewność, że za pięć godzin odezwie się nastawiony budzik. Tak czy owak, straci tylko pięć godzin, a potem ostry dźwięk dzwonka wyrwie go z nieświadomości, pozwalając wkroczyć w następny wspaniały dziesiętnastogodzinny dzień pracy.

Tymczasem mijały tygodnie, zapas pieniędzy wyczerpywał się, a nowe zasoby nie napływały. W miesiąc po wysłaniu wieloodcinkowego opowiadania do „Towarzysza Młodzieży” zwrócono mu rękopis z odmową ujętą w słowa tak pełne taktu, że Martin poczuł sympatię dla redaktora. Zgoła inaczej ustosunkował się do redaktora „Przeglądu San Francisco”, Przeczekawszy całe dwa tygodnie, Martin napisał do niego. Po dalszym tygodniu wysłał drugi list. Wreszcie w końcu miesiąca wybrał się do San Francisco, żeby osobiście rozmówić się z redaktorem. Nie było mu jednak dane zobaczyć się z tą wybitną osobistością, gdyż nie dopuścił do tego cerber w postaci młodocianego, rudowłosego chłopca, pilnie strzegącego dostępu. Po upływie pięciu tygodni rękopis zwrócono pocztą bez żadnych komentarzy. Nie było ani decyzji odmownej, ani też jakichkolwiek wyjaśnień. W ten sam sposób odrzucone zostały kolejno przez najpoczytniejsze pisma San Francisco wszystkie pozostałe jego prace. Martin przełożył je do nowych kopert i zaadresował tym razem do czasopism wychodzących na wschodzie, skąd powróciły znacznie prędzej, opatrzone niezmiennie w drukowane zawiadomienia o ich odrzuceniu.

Nowele także zwrócono. Martin odczytał je po kilka razy i podobały mu się tak bardzo, że zupełnie nie mógł domyślić się przyczyny swych niepowodzeń, aż wreszcie pewnego dnia wyczytał w jakiejś gazecie, że wszelkie utwory przeznaczone do druku powinny być bezwarunkowo nadsyłane w maszynopisie. Teraz wszystko stało się zrozumiałe. Redaktorzy byli, rzecz prosta, zbyt zajęci, żeby zawracać sobie głowę odczytywaniem rękopisów. Martin wypożyczył maszynę do pisania i zużył cały dzień na zapoznanie się z jej działaniem. Odtąd co wieczór przepisywał na maszynie wszystko, co w danym dniu napisał, a dawniejsze rękopisy przepisywał również w miarę ich zwracania. Ze zdziwieniem przekonał się, że zaczynają

wracać również i rzeczy przepisane na maszynie. Zdawało się, że jego szczeka stała się bardziej kanciasta, a broda jeszcze więcej nabrała zaczepności, ale nie przestawał rozsyłać swych prac do coraz to nowych czasopism.

Wreszcie przyszło mu do głowy, że może sam nie umie ocenić sprawiedliwie własnych utworów. Spróbował poddać je osądowi Gertrudy, której odczytał głośno swe nowele. Oczy zabłyśły jej, z dumą spojrzała na brata i oświadczyła:

— Kto by to pomyślał, że potrafisz coś takiego napisać!

— No tak, oczywiście — odburknął zniecierpliwiony, — Ale samo opowiadanie jak ci się podobało?

— Wprost wspaniale — odrzekła. — Wspaniale i takie wzruszające! Zupełnie mnie rozebrało.

Widać było, że Gertruda nie bardzo wie, co ma powiedzieć. Na jej dobrodusznej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Brat czekał.

— Ale powiedz no, Mart — odważyła się rzec po długiej przerwie — jak się to właściwie skończyło? Czy ten wygadany młody człowiek zdobył ją?

Kiedy zaś Martin wytłumaczył jej zakończenie, które jak mu się zdawało, było artystycznie najzupełniej zrozumiałe, Gertruda oznajmiła:

— O to mi właśnie chodziło. Dlaczego żeś tak od razu nie napisał?

Po przeczytaniu siostrze szeregu nowel Martin przekonał się tylko, że Gertruda lubi szczęśliwe zakończenia.

— Ta ostatnia historia była po prostu wspaniała — oświadczyła, prostując się nad balią i z westchnieniem ocierając pot z czoła czerwoną od pary ręką — ale rozczuliła mnie nie na żarty. Chce mi się teraz płakać. Za wiele jest, naprawdę, smutnych rzeczy na świecie. Wolę już słuchać o szczęściu. Żeby on się tak z nią ożenił, i w ogóle... Nie gniewasz się na mnie, Mart? — pytała lękliwie. — Pewnie dlatego tak to odczuwam, że jestem zmęczona. Ale swoją drogą powiastka była wspaniała, nie ma co mówić. Komu ją sprzedasz?

— O, to już zupełnie inna para butów — zaśmiał się Martin.

— Ale jeżeli sprzedasz, to ile byś za to dostał?

— Ano, ze sto dolarów. Mniej za takie rzeczy nie płacą.

— O rety! Tak bym chciała, żeby ci się udało!

— Ładny grosz, prawda? — po czym dodał z dumą: — Napisałem to w dwa dni. Wypada po pięćdziesiąt dolarów dziennie.

Martin bardzo pragnął przeczytać swoje utwory Ruth, ale nie śmiał tego zrobić. Postanowił zaczekać, aż kilka z nich ukaże się w druku, bo wtedy dziewczyna łatwiej zrozumie cel jego usiłowań. Tymczasem nie ustawał w pracy. Nigdy jeszcze żądza przygód nie kusila go tak mocno, jak w czasie tych zdumiewających wypraw odkrywczych w świat myśli.

Nakupił podręczników z zakresu fizyki i chemii i przerabiał je, podobnie jak algebrę, roztrząsając zagadnienia i wywody. Ćwiczenia laboratoryjne przyjmował na wiarę, a potężna siła jego wyobraźni umożliwia mu dostrzeganie reakcji chemicznych bardziej naocznie, niż widzieć je mógł przeciętny student w pracowni. Martin wędrował przez nabrzmiałe wiedzą karty, olśniony każdym częściowym odsłonięciem tajemnic kryjących istotę rzeczy.

Dotychczas godził się biernie z istnieniem świata, ale teraz dopiero zaczynał pojmować jego budowę, przenikanie się i wzajemną zależność energii i materii. Nagłe zrozumienie różnych spraw, z którymi dawniej stykał się tylko pobieżnie, rozbłyskało co chwila w umyśle chłopaka. Zasady działania dźwigni i maszyn prostych zachwyciły go, a pamięć zaraz pobiegła wstecz, do znanych mu z żeglarstwa uchwyty, bloków i olinowań. Pojął również jasno zasady nawigacji, dzięki którym statek mógł nieomylnie odnaleźć właściwy kierunek wśród bezdroży oceanu. Tajemnice burzy, deszczu i przypływu odsłoniły mu się wyraźnie, a przyczyny istnienia stałych wiatrów nasunęły mu wątpliwość, czy swego artykułu o północno-wschodnich pasatach nie napisał przedwcześnie. W każdym razie pewien był, że

teraz opracowałyby go znacznie lepiej. Któregoś popołudnia udał się z Arturem na Uniwersytet Kalifornijski, gdzie z zapartym tchem i nabożną trwogą zwiedził laboratoria, przyjrzał się doświadczeniom i wysłuchał wykładu z dziedziny fizyki.

Bynajmniej jednak nie zaniedbywał przy tym pisania. Cały potok krótkich nowel spłynął mu spod pióra, a ponadto próbował łatwiejszych form wiersza, wzorując się na tych, jakie spotykał w czasopiśmie. Mimo to raz stracił głowę i zmarnował całe dwa tygodnie na płodzeniu tragedii białym wierszem, której błyskawiczne odrzucenie przez dobre pół tuzina redakcji sprawiło go w zdumienie. Następnie odkrył Hen-leya*, co skłoniło go do napisania cyklu poezji morskich na wzór Szkiców ze szpitala. Były to proste wierszyki, pełne barwy, światła i atmosfery romantycznych przygód. Nazwał je Lirykami morza i uznał za najlepszą rzecz, jaką dotychczas stworzył. Cykl zawierał trzydzieści drobnych utworów, a ukończony został w ciągu miesiąca. Martin bowiem pisał co wieczór jeden wiersz po wykonaniu całej wyznaczonej na dany dzień pracy powieściopisarskiej, która zresztą dorównywała tygodniowemu dorobkowi przeciętnego poczytnego pisarza. Praca ta nie stanowiła dla Martina wysiłku. Nie była w ogóle pracą. Po prostu nauczył się używać mowy, a wsey-stek zasób piękna i czaru, jaki nagromadził się latami poza niemym murem jego warg, wypływał teraz na zewnątrz w dzikim, potężnym nurcie.

Liryków morza nie pokazał nikomu, nawet redaktorom. Zdążył już stracić zaufanie do tych ludzi. Nie to jednak było przyczyną, że oistatnich wierszy nie chciał nigdzie wysłać. Były dla niego tak piękne, że czuł się zmuszony ukryć je, aby podzielić się nimi z Ruth pewnego cudownego, odległego dnia, kiedy odważy się pokazać jej swoje dzieło. Tymczasem nosił je przy sobie i odczytywał głośno, dopóki nie wyuczył się ich na pamięć.

Przeżywał głęboko każdą chwilę swej pracy i dalej żył nią w ciągu pięciogodzinnego snu, kiedy jego buntownicza pod-

świadomość splatała myśli i zdarzenia dnia w dziwy jakieś groteskowe i nieprawdopodobne. Nie odpoczywał w istocie nigdy; słabszy organizm lub mniej zrównoważony umysł w tych warunkach niechybnie popadłby w ogólny rozstrój. Wieczne spotkania u Ruth zdarzały się obecnie znacznie rzadziej, zbliżał się już bowiem czerwiec, a wraz z nim końcowe egzaminy na uniwersytecie. Kiedy Martin myślał o tytule magistra, który miała otrzymać, zdawało mu się, że Ruth wznosi się na wyżyny szybciej, niż on potrafi za nią nadążyć. Ofiarowała mu jedno tylko popołudnie tygodniowo, a że Martin przychodził dość późno, zostawał zazwyczaj na obiedzie, po którym słuchał muzyki. Były to dla niego dni świąteczne. Zetknięcie z atmosferą tego domu, tak jaskrawo odbijającą od tej, w której sam przebywał, dawał chłopcu za każdym razem — w połączeniu z bliskością ukochanej — potężny bodziec umacniający jego dążenie ku wyżynom. Do wysiłku skłaniało go przecież nie tylko tkwiące w nim piękno i bolesna żądza tworzenia — walczył przede wszystkim o nią. Zawsze i nade wszystko był sługą miłości. Wszelkie inne sprawy podporządkowywał temu uczuciu. Ponad czar przygód w świecie myśli droższa mu była własna przygoda miłosna. Świat nie jest tak zdumiewający dlatego, że składa się z atomów i cząsteczek posłusznych działaniu sił nieodparty, lecz dlatego, że w nim przebywa Ruth, najcudniejsze ze wszystkich zjawisk, jakie kiedykolwiek mógł ujrzeć, pojąć czy wyśnić. Chłopca dręczyło jednak niezmiernie oddalenie ukochanej. Była tak odległa, a nie wiedział, jak ku niej się zbliżyć. Z powodzeniem zawierał niegdyś zażyłe znajomości z dziewczętami i kobietami z własnej sfery, z których jednak żadnej nie kochał, gdy tymczasem tę dziewczynę miłował prawdziwie, a przecież nie chodziło tylko o to, że należała do innego środowiska. Jego miłość wyniosła ją ponad wszelkie istniejące klasy. Była istotą odrębną, tak dalece odrębną, że nie wiódł wprost, jak ma się do niej zbliżyć. Niewątpliwie w miarę zdobywania wiedzy zbliżał się do niej coraz bardziej; wysławiał się podobnie do niej, znajdował tematy, którymi się

oboje interesowali — wszystko to jednak nie wystarczało do zaspokojenia jego miłosnych tęsknot. Rozkochana wyobraźnia uczyniła Ruth świętą, zbyt uduchowioną, żeby mogło powstać między nimi jakiegokolwiek powinowactwo fizyczne. Jego własna miłość oddalała dziewczynę od niego, czyniąc ją nieosiągalną. Miłość ta broniła mu jedynej rzeczy, jakiej naprawdę pragnął.

Ale pewnego dnia nieoczekiwanie kładka legia nad przepaścią i od tej chwili przepaść, choć nadal istniała, zaczęła stawać się coraz węższa. Jedli wiśnie — wielkie, lśniące, czarne wiśnie, nabrzmiałe sokiem o barwie ciemnego wina. Po chwili, kiedy Ruth zaczęła mu czytać urywki z Księżniczki, chłopiec zauważył na jej wargach plamę pozostawioną przez wiśnie. W tej chwili jej boskość zachwiała się. Mimo wszystko była ciałem, niczym więcej jak ciałem, posłusznym prawom natury, podobnie jak jego własne lub czyjekolwiek inne ciało. Jej wargi są cielesne, a wiśnie plamią jej usta tak samo jak i jego własne. A jeśli tak jest z ustami, to i ona cała jest kobietą na równi z wszystkimi innymi kobietami. Myśl ta olśniła go raptownie. Objawienie to podziało na niego oszołamiające. Zdawało mu się, że to słońce runęło z nieba, że nieskalana czystość została świętokradczo zszargana.

Po pewnym czasie pojął znaczenie tego, co się stało, i serce załomotało w nim potężnie, kusząc do rozpoczęcia gry miłosnej z tą kofioietą, która nie była żadnym duchem z zaświatów, skoro jej wargi mogła splamić wiśnia. Drżał wobec zuchwalstwa tej myśli, ale dusza rozśpiewała mu się, a rozum w zwyczajnym peanie zapewniał go, że się nie myli. Jakiś odblask zaszłej w Martinie zmiany dosięgnął widać świadomości dziewczyny, bo nagle przerwała czytanie, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Jego wzrok spłynął z błękitnych oczu ku wargom, a ślad pozostawiony przez wiśnie zbudził w nim szaleństwo. Ramiona omal nie wzniosły mu się do uścisku, jak za dawnych, beztroskich czasów. Dziewczyna zdawała się czekać, życzliwie ku niemu nachylona, on zaś całą siłą woli musiał powstrzymać swe pragnienie.

— Nie słyszał pan ani słowa z tego, co czytałam — odezwała się z lekkim wyrzutem.

Ale zaraz roześmiała się, rada z jego zmieszania, a gdy chłopak spojrzał w jej szczerze oczy i zrozumiał, że niczego się nie domyśliła, zawstydził się. Niewątpliwie sięgnął myślą za daleko. Wśród wszystkich kobiet, jakie znał, nie było poza nią żadnej, która by go nie przejrzała. A ona naprawdę nic nie odgadła. Na tym polegała cała różnica. Ruth istotnie była inna. Martin przeraził się własnej brutalności, ukorzył przed bezprzykładną niewinnością dziewczyny i znalazł się znowu po drugiej stronie przepaści. Kładka została zerwana. Mimo wszystko jednak zdarzenie to ośmieliło nieco Martina. Wspomnienie trwało i w chwilach największego przygnębienia chłopiec powracał do niego skwapliwie. Przepaść już nigdy nie przybierała równie wielkich jak dawniej rozmiarów. On sam przebył odległości nieskończenie przekraczające znaczeniem uzyskanie dyplomu uniwersyteckiego czy bodaj całego tuzina dyplomów. Prawda, że Ruth była czysta tak nieskażoną czystością, o jakiej Martin nigdy nawet nie śnił, niemniej jednak wiśnie plamiły jej wargi. Podlegała prawom wszechświata równie nieubłagane jak on sam. Musiała jeść, żeby utrzymać się przy życiu, a przemoczywszy nogi zaziębiała się. Nie o to jednak chodziło. Ważne było tylko pytanie, czy — skoro odczuwała głód, pragnienie, chłód i upał — zaznać mogła również miłości, miłości do mężczyzny. On przecież był mężczyzną. Dlaczegożby nie miał okazać się tym mężczyzną? — Ode mnie samego zależy, bym dopiął swego —' szeptał żarliwie. — Zostanę tym mężczyzną, sam tego dokażę. Dopnę swego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pewnego wczesnego wieczoru, gdy Martin zmagał się właśnie z sonetem, który uparcie wypaczał całe piękno i wzniosłość myśli, co niby obłok świetlany snuły mu się w mózgu, zawołano go do telefonu.

— To głos damy, wytwornej damy — zakpił pan Higginbotham, on sam go bowiem wezwał. Martin podszedł do aparatu wiszącego w kącie pokoju i poczuł, jak opływa go gorąca fala na dźwięk głosu Ruth. W czasie zmagania z sonetem zapomniał o jej istnieniu i teraz brzmienie tego głosu podziało nań jak niespodziewane uderzenie gromu. Ale co za głos! Subtelny i słodki niby dosłyszane z dali dźwięki muzyki lub może raczej jak dzwonek srebrzysty, o doskonałym, kryształowo czystym tonie. Żadna zwykła kobieta nie mogła mieć podobnego głosu. Było w nim coś niebiańskiego, napływającego z zaświatów. Martin tak był oczarowany, że ledwie mógł odróżnić słowa; opanowywał jednak grę twarzy wiedząc, że śledzą go lisie oczy szwagra.

Ruth niewiele miała do powiedzenia: po prostu Norman miał towarzyszyć jej tego wieczoru na odczyt, ale rozboleła go głowa, a ona ma już bilety i nie wie, co ma zrobić, więc jeśli Martin jest wolny, to czy nie zechciałby jej towarzyszyć?

Czyby nie zechciał? Przemocą zdusił radość w głosie. Było to coś niesłychanego. Dotychczas spotykał się z Ruth wyłącznie w jej domu. Nigdy nie ośmielił się prosić, by poszła z nim gdziekolwiek. Najzupełniej bez związku z rozmową, którą dalej prowadził, poczuł opanowującą go chęć oddania życia za tę dziewczynę, a wizje (bohaterskich poświęceń) zapalały się i gasły w rozgorączkowanej głowie. Kochał ją tak bardzo, tak straszliwie, tak beznadziejnie! W chwili nieprzytomnego szczęścia, iż zgodziła się wyjść z nim, udać się z nim na odczyt — z nim, Martinem Edenem — uleciała tak wysoko nad niego, że śmierć za nią wydała mu się jedynym właściwym postępkim. Nie znał innego godnego sposobu wyrażenia tej przemożnej i wzniosłej miłości, jaką do niej żywił. Było to najwyższe samozaparcie prawdziwego oddania, znane wszystkim zakochanym, a przyszło doń nagle, w czasie prostej rozmowy telefonicznej, w chwale ognistej kurzawy. Umrzeć za Ruth — był tego pewien — znaczyło dobrze przeżyć życie i nie zmarnować miłości. A lat miał przecież zaledwie dwadzieścia jeden i nigdy dotąd nie zaznał miłości.

Ręka mu drżała, kiedy wieszał słuchawkę, i cały aż osłabł od gwałtownego, rozkosznego wzruszenia, które nim wstrząsnęło. Oczy mu lśniły anielsko, twarz zaś miał przeistoczoną, oczyszczoną z wszelkiej ziemskiej marności, uduchowioną i świętą.

— Umawiasz się na mieście, co? — szyderczo odezwał się szwagier. — Wiadomo, co z tego wyniknie. Z pewnością skończy się w komisariacie policji.

Martin jednak nie mógł w tej chwili zstąpić z wyżyn. Nawet całe grubiaństwo ostatnich słów nie zdołało przywieść go z powrotem na ziemię. Był wyższy ponad gniew i urazę. Doznał wielkiego objawienia, czuł się niby bóg i w stosunku do tego nędznego robaka mógł żywić chyba tylko bezdenną litość. Nie patrzył nań, tylko przesunął się po nim niewidzącymi oczyma. Jak we śnie poszedł do siebie, aby się przebrać. Dopiero we własnym pokoju, zawiązując krawat, uprzytomnił sobie, że w uszach brzmi mu uporeczywie jakiś nieprzyjemny dźwięk. Po krótkim zastanowieniu upewnił się, że to wrażenie sprawiła końcowa część szyderstwa pana Higginbothama, która poprzednio nie dotarła jakoś do jego świadomości. Kiedy frontowe drzwi domu Ruth zamknęły się za nimi i oboje zeszli ze schodów na ulicę, Martin odczuł silne zakłopotanie. Towarzyszenie pannie na odczyt nie było wcale szczęściem bez cienia. Nie wiedział dobrze, jak należało się zachować. Widywał nieraz na ulicy, że panie z towarzystwa szły z panami pod rękę. Nie zawsze jednak tak się działo. Martin przypuszczał, że może jest to właściwe tylko wieczorem albo też wyłącznie między małżeństwem czy też wśród krewnych.

Zbliżając się już do chodnika przypomniał sobie o Minnie; ta była zawsze wielce dbała o przestrzeganie dobrych manier. Idąc z nim na spacer po raz drugi w życiu, skarciła go ostro za to, że szedł po wewnętrznej stronie chodnika, Minnie głosiła bowiem zasadę, że towarzyszący damie kawaler powinien koniecznie kroczyć po stronie zewnętrznej. Miała też zwyczaj kopania go w obcas, ilekroć przechodzili na drugą stronę ulicy, a to celem przypomnienia mu,

iz musi zmienić stanowisko. Martin dziwił się, skąd Minnie mogła się nauczyć tego prawidła etykiety, i nie był pewien, czy przeniknęło ono do niej z wyższych sfer i czy istotnie było właściwe.

Obecnie zdecydował, że spróbować nie zawadzi, i kiedy doszli do chodnika, przesunął się za Ruth tak, żeby iść od zewnątrz. Tu wyłoniło się zaraz drugie zagadnienie: czy powinien podać dziewczynie ramię? Nigdy dotąd nic podobnego nie czynił. Dziewczęta, które znał, nie zwykły brać go pod rękę. Przez kilka pierwszych przechadzek szło się obok siebie, potem ramiona owijały się wokół pasa, a głowa kobiety kładła się na męskim ramieniu, jeśli ulica nie była oświetlona. Teraz jednak idzie o co innego. Ruth zalicza się do zupełnie innego rodzaju dziewcząt. Trzeba wreszcie coś postanowić.

Delikatnie zgiął ramię, z ukrytą pokusą, lecz bez wyraźnego gestu zapraszającego, raczej automatycznie, jak gdyby przyzwyczajony był w ten właśnie sposób spacerować. Wtedy stała się rzecz cudowna: poczuł jej rękę na swym ramieniu. Rozkoszne dreszcze przebiegły po nim przy tym zetknięciu i przez kilka słodkich chwil zdało mu się, że opuścił stały ląd i płynie wraz z ukochaną w przestworzu. Wkrótce jednak

przywołała go do rzeczywistości nowa trudność. Mieli właśnie przejść ulicę, a tym samym Martin znalazłby się po wewnętrznej stronie chodnika zamiast przepisowego stanowiska od zewnątrz. Czy wobec tego powinien puścić jej ramię i zmienić miejsce? A jeśli tak, to czy ma powtarzać ten manewr następnym razem i tak wciąż co pewien czas? Coś w tym wszystkim się nie zgadzało, toteż Martin postanowił zaniechać ciągłych zmian i nie narażać się na śmieszność. Jednak to rozwiązanie nie zadowoliło go w pełni i kiedy znalazł się po rzekomo niewłaściwej stronie, zaczął rozprawiać szybko i z zapałem, chcąc w ten sposób — w wypadku przekroczenia przepisu — wyrzucić wrażenie, że stało się to wskutek wielkiego przejścia się omawianym tematem i wynikłego stąd roztargnienia.

Przechodząc przez Broadway, Martin stanął oko w oko z nowym zagadnieniem. W świetle latarń elektrycznych zobaczył Lizzie Connolly i jej chichoczącą przyjaciółkę. Tylko przez krótką chwilę zawahał się, po czym podniósł rękę i zdjął kapelusz z głowy. Nie mógł przecież zaprzeczyć się własnej sfery — pozdrowienie to odnosiło się nie tylko do Lizzie Connolly. Dziewczyna skinęła głową i spojrzała nań hardo — nie słodkim i łagodnym spojrzeniem Ruth, lecz błyskiem pięknych a groźnych oczu, które z Martina przesunęły się na jego towarzyszkę, oceniając jej urodę, strój i stanowisko społeczne. Chłopiec dostrzegł, że Ruth obrzuciła równie szybkim, choć nieśmiałym i gołębio łagodnym wzrokiem postać młodej robotnicy, a • migawkowym tym spojrzeniem zdołała pochwycić jej tanią elegancję i dziwny kapelusik, modny wówczas wśród dziewcząt tej klasy.

— Co za śliczna dziewczyna! — odezwała się Ruth w chwilę później.

Martin błogosławił Ruth w duchu za to, ale odrzekł tylko:

— Doprawdy? Sądzę, że to rzecz gustu, ale mnie osobiście nie wydaje się szczególnie ładna.

— Nie wiem, czy na dziesięć tysięcy kobiet znajdzie się choć jedna, która by mogła się poszczycić równie prawidłowymi rysami. Jest po prostu wspaniała. Twarz ma wyrzeźbioną jak kamea. A oczy też wyjątkowo piękne.

— Tak pani uważa? — rzucił Martin obojętnie; dla niego istniała jedna tylko piękna kobieta na świecie, ta właśnie, która szła teraz obok niego, z ręką wspartą na jego ramieniu.

— Czy tak uważam? Ależ panie Eden, gdyby ta dziewczyna miała możliwość stosownego ubierania się i gdyby nauczono ją zgrabnie się poruszać, oczarowałyby zarówno pana, jak i każdego innego mężczyznę.

— Przede wszystkim należałoby nauczyć ją mówić, bo inaczej większość tych mężczyzn nie zrozumiałaby jej wcale. Pewien jestem, że pani nie pojęłaby nawet czwartej części jej słów.

— Cóż znowu? Pan jest równie nieznośny jak Artur, kiedy chce koniecznie postawić na swoim.

— Zapomina pani, jak ja sam mówiłem, kiedyśmy się poznali. Od tego czasu nauczyłem się właściwie nowego języka. Przedtem wyrażałem się tak samo jak ta dziewczyna. Obecnie daję sobie już na tyle radę z pani mową, że potrafię wytłumaczyć, dlaczego pani nie zrozumie języka tamtej. A czy pani wie, czemu ta dziewczyna tak źle się trzyma? Myślę teraz o tym, choć dawniej nie zwykłem tego czynić, i zacznam rozumieć... wiele rzeczy.

— No to niech mi pan powie.

— Dzieje się tak dlatego, że przez długie lata stała godzinami przy maszynie. Młode ciało jest bardzo giętkie i ciężka praca urabia je jak wosk w zależności od rodzaju zajęcia. Mogę na pierwszy rzut oka określić zawód wielu spotykanych na ulicy robotników. Proszę spojrzeć na mnie. Dlaczego kołyszę się idąc? Bo lata całe spędziłem na morzu. Gdybym przez ten czas konno poganiał bydło, zajęcie to tak odbiłoby się na moim młodym i podatnym ciele, że teraz chodziłbym wprawdzie równo, ale miałbym pałakowate nogi. Podobnie rzecz się ma i z tą dziewczyną. Zauważyła pani ten twardy błysk w jej oczach? Nikt się nigdy nią nie opiekował. Zawsze musiała sama troszczyć się o siebie, a w tych warunkach żadna

młoda dziewczyna nie może zachować tak miękkiego i łagodnego spojrzenia, jak... jak pani na przykład.

— Sądzę, że pan ma słuszość — rzekła cicho Ruth. — A szkoda wielka! To taka ładna dziewczyna!

Spojrząwszy na nią Martin dostrzegł w jej oczach błysk współczucia, a kiedy uświadomił sobie, że kocha tę kobietę, poczuł niezmierną wdzięczność dla losu, który pozwolił mu ją kochać i teraz prowadzić na odczyt.

Kimże jesteś właściwie, Martinie Eden? — pytał sam siebie, przyglądając się sobie w lustrze tego wieczora, po powrocie do swej izdebki. Patrzył na swój wizerunek długo i uważnie. — Kim jesteś? Czym jesteś? Gdzie twoje właściwe miejsce? Niechybnie wśród dziewczyn takich jak Lizzie Con-nolly, wśród zastępów niewolników pracy — u boku tego wszystkiego, co podłe, pospolite i brzydkie. Tam jesteś u siebie, między wołami roboczymi, w brudnych norach, wśród smrodu i gnoju. Na przykład zepsute warzywa, jak te tutaj gnijące ziemniaki! Wąchaj je, pal cię licha, wąchaj do woli! A jednak ośmielasz się zaglądać do książek, słuchać pięknej muzyki, rozkoszować się dobrymi malowidłami, rozmawiać najczystszą angielszczyzną, myśleć o rzeczach najzupełniej obcych twojej sferze, odrywać się od wspólnoty z wołami roboczymi i z tymi wszystkimi istotami w rodzaju Lizzie Oon-nolly — by ukochać bladego ducha kobiety, która oddalona jest od ciebie o miliony mil, zamieszkując krainę gwiazd. Ktoś ty jest i czym jesteś do licha! Czy naprawdę zamierzasz dopiąć swego? Pogroził sam sobie pięścią w lustrze, usiadł na brzegu łóżka i jął śnić z szeroko otwartymi oczyma. Następnie wyjął zeszyt i podręcznik do algebry i zagłębił się w rozwiązywaniu równań kwadratowych. Mijały godziny, gwiazdy bladły, aż szary świt zaglądać zaczął do okna.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kółko dyskusyjne socjalistów i filozofów robotniczych, zbierające się w pogodne popołudnia w Parku Ratuszowym, ułatwiło Martinowi dokonanie wielkiego odkrycia. Parę razy na miesiąc, przejeżdżając przez park w drodze do czytelnicy, chłopiec zsiadał z roweru, by przysłuchać się głoszonym poglądom, i za każdym razem z trudem wrywał się stamtąd. Ton dyskusji był

znacznie mniej wzniosły niż przy stole u państwa Morseów. Mówcy nie odznaczali się powagą ani godnością. Łatwo tracili panowanie nad sobą i obrzucali się wymysłami, a przekleństwa i nieprzyzwoite zwroty też nie należały do rzadkości. Martin widywał nawet, jak dochodziło do bójk. Mimo wszystko jednak, nie wiadomo dlaczego, czuło się w wypowiedziach tych ludzi jakąś niezwykłą żywotność. Ich bój słowny bez porównania silniej zaciekał Martina niż opanowany i spokojny dogmatyzm pana Morse. Ludzie ci, kaleczący bez litości angielszczyznę, rzucający się jak szaleńcy i zwalczający idee przeciwników z pierwotną zaciekłością, zdawali się jednak bliżsi rzeczywistego życia aniżeli pan Morse i jego druh nieodstępny, pan Butler.

Martin słyszał kilkakrotnie, jak w Parku Ratuszowym powoływano się na zdanie Herberta Spencera, pewnego razu

zaś zjawiał się tam gorliwy wyznawca tego myśliciela, zarośnięty włóczęgą w brudnej kurtce, zapiętej szczelnie pod szyję dla ukrycia braku koszuli. Rozpoczęto wałną bitwę wśród dymu niezliczonych papierosów i częstego odpluwania tytoniowego soku, przy czym włóczęga dzielnie bronił swego stanowiska, mimo iż jakiś robociarz z obozu socjalistów dowodził szyderczo, że „nie masz boga prócz Niepoznawalnego, a Herbert Spencer jest jego prorokiem”. Martin nie rozumiał dobrze, o co spór się toczy, ale jadąc dalej w stronę czytelnicy, wiózł z sobą nowozbudzone zainteresowanie postacią Herberta Spencera. Że zaś włóczęga najczęściej wspominał o Pierwszych zasadach, Martin tę właśnie książkę wypożyczył z biblioteki.

Tak oto rozpoczęło się wielkie odkrycie. Uprzednio już Martin próbował raz zaznajomić się ze Spencerem, wybrawszy jednak na pierwszy ogień Zasady psychologii, doznał równie sromotnego niepowodzenia, jak z panią Bławatską. Nie mógł książki zrozumieć i zwrócił ją nie doczytawszy do końca. Tej nocy jednak, po uporaniu się z algebrą i fizyką i po próbie ułożenia sonetu, położył się do łóżka i otworzył Pierwsze zasady. Ranek zastał go jeszcze przy czytaniu. O spaniu nie było mowy. Nie mógł też tego dnia pisać. Leżał na łóżku, dopóki się nie zmęczył, potem położył się na podłodze i czytał leżąc na plecach lub przewracając się z boku na bok. Następnej nocy przespał się i rano odrobił swoją porcję pisania, po czym książka zwabiła go i przykuła do siebie tak mocno, że przez całe popołudnie czytał zapomniawszy o świecie, nawet o tym, że ten właśnie wieczór spędzić miał u Ruth. Pierwsze świadome zetknięcie z otaczającym go światem nastąpiło wtedy dopiero, gdy Bernard Higginbotham otworzył hałaśliwie drzwi i zapytał z przekąsem, czy szwagier nie wyobraża sobie czasami, że w domu prowadzi się restaurację.

Martina Edena przez całe życie pożerała ciekawość. Pragnął wszystko wiedzieć i to właśnie pragnienie pędziło go w świat daleki na poszukiwanie przygód. Teraz jednak Spencer pouczył go, że na dobrą sprawę nic nigdy nie rozumiał i nie mógłby się nawet nauczyć, choćby nie wiedzieć jak długo

żegłował i wędrował po świecie. Prześlizgiwał się dotąd tylko po zewnętrznej powłoce zjawisk, gromadząc dorywczo ułamki faktów i czyniąc drobne, powierzchowne uogólnienia, nie powiązane z sobą i zdające się tworzyć w sumie jakiś świat dowolności i przypadku. Niewątpliwie porobił wiele obserwacji nad mechanizmem lotu ptaków i sprawę tę rozważał z dużym zrozumieniem, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy pokusić się o wyjaśnienie procesu rozwojowego ptaków jako organicznych aparatów latających. Nie śniło mu się nawet, że tego rodzaju proces mógł w przyrodzie zachodzić. Fakt, iż ptaki mogły powstać, był wprost nie do pomyślenia. Istniały przecież zawsze. Po prostu tak się zdarzyło.

Z wszystkim innym działo się podobnie jak z owymi ptakami. Nieumiejętne i pozbawione wszelkich fundamentów wysiłki filozoficzne Martina nie mogły wydać plonu. Średnio-wieczna metafizyka Kanta nie dała mu klucza poznania i przyczyniła się tylko do tego, że zwątpił o własnych zdolnościach. W ten sam sposób próby zapoznania się z teorią ewolucji potknęły się na beznadziejnie przeładowanym terminami technicznymi dziele Romanesa.

Martin nic z tego wszystkiego nie rozumiał i doszedł do jednego wniosku, że ewolucja stanowi jakąś zasuszoną teorię, wyznawaną przez garść pigmejów o ogromnym a niezrozumiałym słownictwie. A oto teraz przekonywał się, że ewolucja nie jest wcale zasuszoną teorią, lecz ogólnie uznanym wyjaśnieniem rozwoju świata, i że uczeni przestali już dyskutować nad jej prawdziwością, spierając się jedynie co do metodycznego ujęcia zachodzących przemian.

Wtedy to Martin rozumiał wielkość dzieła Spencera, który zorganizował dlań wiedzę w jedną skończoną całość, wypracował ostateczne prawdy i podsunął mu przed olśnione oczy wszechświat tak namacalnie uchwytny, że przypominał niemal owe modele statków, które żeglarze budują niekiedy i przechowują pod szklanymi kloszami. Nie istniały żadne wybryki ani przypadki. Wszystko sprowadzało się do prawa. Posłuszny prawu był lot ptaka i w imię tegoż prawa fermentujący ił zaczął niegdyś wic się, ruszać i wyłonił z siebie nogi i skrzydła, by w końcu stać się ptakiem.

Martin wznosił się krok za krokiem na wyżyny intelektualnego życia i obecnie znalazł się wyżej niż kiedykolwiek. Wszelkie ukryte sprawy odsłaniały mu swe tajemnice. Upajał się zrozumieniem istoty rzeczy. Nocami, we śnie, współżył z bogami w przepotężnych majakach, za dnia zaś krążył niczym lunatyk, z błędnymi oczami zatraconymi w nowoodkrytym wszechświecie. W czasie posiłków głuchy był na rozmowy o sprawach błahych lub niegodnych, a jego umysł wciąż z wytężeniem zgłębiał przyczyny i skutki wszystkiego, co go otaczało. W kawałku mięsa na talerzu dostrzegał promienie słońca i śledził wstecz wszelkie przemiany energii, aż do źródła odległego o sto milionów mil, lub też towarzyszył tej energii na drodze przebytej ku sprężystym mięśniom jego ramienia, pozwalającym mu krajać to mięso, ku komórkom własnego mózgu, wprawiającym mięśnie w ruch celem dokonania tej czynności — aż wreszcie wzrok wewnętrzny ukazywał mu to samo słońce świecące w głębi mózgu. Był olśniony blaskiem objawienia tak dalece, że nie słyszał drwiących słów Jima, nie dostrzegał niepokoju malującego się na twarzy siostry ani też nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia kółek, jakie pan Higginbotham kreślił sobie na czole, dając do zrozumienia, że coś się pokręciło szwagrowi w głowie.

Najsilniejsze wrażenie wywierała na Martinie współzależność wszystkich nauk — jedność wiedzy. Dotychczas interesowało go wiele spraw i wszelkie zdobyte w związku z tym wiadomości przechowywał w odrębnych szufladach pamięci. Rozporządzał na przykład wielkim zasobem informacji z zakresu żeglarstwa. Dość również bogaty był dział wiadomości o kobietach. Między dwiema tymi dziedzinami nie znajdował jednak żadnego powiązania. Sam pomyślał, że w warsztacie wiedzy istnieć może jakiegokolwiek połączenie między histeryzującą niewiastą a szkunerem poddającym się zmiennym wiatrom lub walczącym z burzą, wydawał mu się nedorzeczny i niemożliwy. Ale Herbert Spencer dowiódł mu, że nie tylko nie ma w tym nic nedorzecznego, lecz że przeciwnie, brak łączności jest tu nie do pomyślenia. Wszystkie zjawiska są ze sobą powiązane, od najdalszej gwiazdy w niezgłębionej przestrzeni do niezliczonych atomów w ziarnku piasku pod nogą człowieka.

Ten nowy światopogląd stał się dla Martina źródłem bezustannego podziwu. Niestrudzenie zaczął szukać wzajemnego związku między wszelkimi możliwymi rzeczami pod słońcem i po drugiej stronie słońca. Układał sobie wykazy najbardziej nieprawdopodobnych zestawień przedmiotów i nie miał spokoju, dopóki nie dopatrzył się jakiegoś powinowactwa pomiędzy nimi wszystkimi — a więc współzależności łączących z sobą miłość, poezję, trzęsienie ziemi, ogień, węza grzechot-nika, tęczę, drogocenne kamienie, potwory, zachód słońca, ryk lwa, gaz świetlny, ludożerstwo, piękno, morderstwo, dźwignie i punkty oparcia czy wreszcie tytoń. W ten sposób ujednotaczał wszechświat, stawiał go sobie przed oczy i oglądał albo też wędrował po jego zaułkach, ścieżynach i dzikich wertepach nie jak przerażony podróżnik, szukający w gąszczu tajemnic nie znanego sobie celu, lecz jak stateczny obserwator który poddaje

ogłędzinom i przyswaja sobie wszystko, co może podlegać badaniu. Im więcej zaś poznawał, tym namiętniej wielbił wszechświat, życie i własne swoje bytowanie na tle tego wszystkiego. — Ty półgłówku! — przemawiał niekiedy do swego odbicia w lustrze. — Chciałeś pisać i próbowałeś nawet pisać, a nie miałaś nic w głowie, co by warte było opisu. Bo cóżeś ty tam miał? — garść dziecinnych spostrzeżeń, trochę niedojrzałych uczuć, ogrom nie przetrawionego piękna, wielką, czarną masę niewiedzy, serce przepelnione po brzegi miłością i ambicją niemniejszą od miłości, a równie jałową jak twoja niewiedza. I tyś chciał pisać! Przecież zaledwie zaczyna się wykluwać w tobie coś, co godne byłoby pióra. Chciałeś tworzyć piękno, ale jak miało ci się to udać, skoro nie wiedziałeś nic o istocie piękna? Chciałeś pisać o życiu, a nie znałeś nawet najbardziej podstawowych jego cech. Chciałeś pisać o świecie i o układzie wszechrzeczy, kiedy świat był dla ciebie chińszczyzną, a stać cię było co najwyżej na pisanie o tym, czego w budowie bytu nie rozumiałeś. Ale nie trać nadziei, mój chłopcze! Jeszcze kiedyś będzie z ciebie pisarz. Wiesz już coś niecoś, choć dotychczas bardzo niewiele, ale jesteś już na dobrej drodze, by swą wiedzę pomnożyć. Pewnego dnia, jeżeli ci szczęście dopisze, możesz opanować bez mała wszystko, co podlega poznaniu. Wtedy będziesz pisał.

Martin zwierzył się Ruth ze swego wielkiego odkrycia, pragnąc podzielić z nią radość i świadomość cudu. Nie okazała jednak zbyt dużego entuzjazmu. Milcząco przyjęła to do wiadomości, znając poniekąd te sprawy ze studiów. W przeciwieństwie do niego samego nie wstrząsnęło to nią i Martin byłby tym niemile zdziwiony, gdyby nie wytłumaczył sobie, że Ruth miała już czas oswoić się z tym, co dla niego świeciło jeszcze całym blaskiem świeżości. Artur i Norman, jak się okazało, uznawali ewolucję i czytali Spencera, choć najwidoczniej nie wywarł na nich silnego wrażenia; młodzieniec zaś w okularach, z bujną czupryną, Will Olney, sarknął tylko nieżyczliwie, słysząc o Spencerze, i powtórzył znany już Martinowi aforyzm: „Nie masz boga prócz Niepoznawalnego, a Herbert Spencer jest jego prorokiem”.

Jednakowoż Martin wybaczył mu to szyderstwo, ponieważ doszedł do przekonania, że Olney nie jest zakochany w Ruth, z czasem zdołał nawet z pewnych drobnych zdarzeń wywnioskować ze zdumieniem, że Olney nie tylko nie dba wcale o Ruth, lecz żywi do niej zdecydowaną niechęć. Martin nie mógł tego pojąć. Był to fenomen nie dający się pogodzić z resztą zjawisk wszechświata. Niemniej jednak współczuł szczerze młodzieńcowi, któremu wrodzona duchowa ułomność nie pozwalała należycie ocenić subtelności i piękna dziewczyny. Nieraz w niedzielę wyjeżdżali wszyscy razem na rowerach za miasto i Martin aż nadto miał sposobności, by zauważyć stan zbrojnego rozejmu istniejący między Ruth a Olneyem. Ten

ostatni przyjaźnił się zwłaszcza z Normanem, pozostawiając Arturowi i Martinowi dotrzymywanie towarzystwa pannie, za co też Martin odczuwał dlań szczerą wdzięczność. Te niedziele uważał za dni wielkiego święta, przede wszystkim dlatego, że spędzał je w towarzystwie Ruth, ale również i z tego powodu, że obcował na równej stopie z młodymi ludźmi należącymi do jej sfery. Pomimo długich lat, jakie poświęcili systematycznemu kształceniu, Martin umyślowo czuł się im równy, godziny zaś spędzane na rozmowie z nimi traktował jako pożyteczne ćwiczenia praktyczne z zakresu tak pilnie studiowanej przez siebie gramatyki. Podręczniki dobrego wychowania zdążył już zarzucić, wzorując się w postępowaniu wyłącznie na żywym przykładzie. Z wyjątkiem chwil szczególnego podniecenia Martin stale miał się na baczności i czujnie obserwował sposób bycia towarzyszy, ucząc się od nich uprzejmości i różnych subtelnych szczegółów postępowania. Fakt, że Spencera czytywano bardzo niewiele, był przez pewien czas dla Martina źródłem niespodzianek. — O tak, Herbert Spencer to wielki umysł — rzekł mu kiedyś bibliotekarz, ale widać było, że nic nie wie o zawartości tego wielkiego umysłu. Pewnego wieczoru, przy obiedzie, na którym był pan Butler, Martin skierował rozmowę na Spencera. Pan Morse z

goryczą zarzucał angielskiemu filozofowi bezbożnictwo, ale przyznał się, że Pierwszych zasad nie czytał. Pan Butler natomiast oświadczył wręcz, że szkoda mu czasu na Spencera, że żadnego z jego pism nigdy nie czytał, a mimo to całkiem dobrze daje sobie w życiu radę. W umyśle Martina zrodziły się wątpliwości i gdyby nie odznaczał się tak wielką niezależnością poglądów, zapewne przychyliłby się do zdania ogółu i porzucił Spencera. W istocie jednak doszedł do wniosku, że Spencerowskie wyjaśnienie wszechrzeczy jest wielce przekonujące, a wyparcie :się go przywodziłoby na myśl żeglarza wyrzucającego za burtę kompas i chronometr. Tak więc Martin zabrał się do dokładnego studiowania ewolucji, coraz lepiej opanowując ten przedmiot i znajdując potwierdzenie swych poglądów w opiniach tysięcy różnych niezależnych od siebie pisarzy. Im bardziej zaś zagłębiał się w naukę, tym więcej odkrywał nie znanych sobie dziedzin wiedzy, wobec czego nie opuszczało go już poczucie żalu, że doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

Niebawem nadeszła chwila, kiedy owa krótkość dnia skłoniła Martina do porzucenia algebry i geometrii. Trygonometrii nie zdążył jeszcze w ogóle zacząć. Następnie z programu swych nauk skreślił także chemię, pozostawiając jedynie fizykę.

— Nie jestem specjalistą — bronił się wobec Ruth — ani nie mam zamiaru nim zostać. Zbyt wiele istnieje rozmaitych szczegółowych dziedzin wiedzy, żeby jeden człowiek przez całe życie mógł opanować dziesiątą ich część. Muszę ograniczyć się do zdobycia wiedzy ogólnej. Kiedy potrzebna mi będzie opinia specjalistów, znajdę ją bez trudu w odpowiednich dziełach.

— O ileż lepiej jednak byłoby wiedzieć wszystko samemu! — zaprotestowała Ruth.

— To zupełnie zbyteczne. Trzeba umieć korzystać z pracy specjalistów. Od tego przecież oini są. Wchodząc do państwa zauważyłem kominiarzy przy pracy. To są właśnie specjaliści, a kiedy skończą swą robotę, mieszkańcy domu korzystać będą z czystych przewodów kominowych bez potrzeby zagłębiania się w szczegóły ich budowy.

— Obawiam się, że ten przykład jest nieco naciągnięty. Popatrzała nań ciekawie, a chłopak wyczuł w jej spojrzeniu

i całym zachowaniu lekki wyrzut. Niemniej jednak pewien był słuszności swego stanowiska.

— Wszyscy myśliciele zgłębiający sprawy ogólne, wszystkie najpotężniejsze umysły świata wspierają się w rzeczy samej na specjalistach. Czynił to i Herbert Spencer, formułując uogólnienia na gruncie zdobyczy tysięcy badaczy. Musiałby przeżyć tysiąc żywotów, aby wszystko to zdziałać samemu. Podobnie było i z Darwinem. Wykorzystał on wszystkie wyniki, do jakich doszli w swej pracy ogrodnicy i hodowcy bydła.

. — Masz słuszność — poparł Martina Olney. — Wiesz przynajmniej, do czego dążysz, w przeciwieństwie do Ruth. Ona nie wie nawet, czego chce dla samej siebie.

— No oczywiście — ciągnął dalej Olney, uprzedzając sprzeciw dziewczyny. — Wiem, nazywasz to ogólną kulturą. Ale jeśli o to tylko chodzi, obojętne jest, co się studiuje. Można studiować romanistykę czy germanistykę albo rzucić to wszystko i poświęcić się nauce esperanta; skutek w zakresie pogłębiania kultury będzie ściśle ten sam. Można też obrać sobie grekę lub łacinę, chociaż nikomu na nic się to nie przyda. Ale niewątpliwie jest to kultura. Ruth przecież uczyła się saksońskiego i obkuła go nieźle — było to dwa lata temu — a dziś z pewnością nie pamięta z tego nic oprócz tego jednego wiersza: „Gdy słodki kwiecień zaszemrze ulewą” — tak to chyba brzmi. Mimo to jednak upragniony postęp kulturalny został dzięki temu niezawodnie osiągnięty — ciągnął dalej ze śmiechem, znów nie dopuszczając Ruth do głosu. — Wiem dobrze, jak to było. Uczyliśmy się przecież razem.

— Ale ty traktujesz kulturę jako środek do osiągnięcia innych jakichś celów! — wykrzyknęła Ruth. Oczy jej zabłyśły oburzeniem, a na policzkach wykwitły dwa silne rumieńce. — Kultura jest celem sama w sobie.

— Martin jednak pragnie czegoś innego.

— Skąd taka pewność?

— No, przyznaj się, Martin, czego pragniesz? — zagadnął Olney, zwracając się do niego bezpośrednio.

Martin poczuł się bardzo nieswojo i wzrokiem zaczął szukać u Ruth pomocy.

— Tak, tak, proszę wyznać szczerze, do czego pan zmierza — nalegała dziewczyna. — To rozstrzygnie wreszcie całą sprawę.

— Oczywiście, że potrzeba mi kultury — wykrztusił Martin. — Kocham piękno, a kultura da mi możliwość subtelniejszego odczuwania piękna.

Skinęła głową, rozglądając się po otoczeniu z tryumfem.

— To bujda — rzucił Olney. — Sami o tym doskonale wiecie. Martin szuka w życiu powodzenia, a nie kultury ogólnej. Przypadkowo tylko tak się złożyło, że kultura jest dla niego niezbędnym warunkiem zrobienia kariery. Gdyby zamierzał zostać chemikiem, kultura nie byłaby mu potrzebna. Ale Martin przede wszystkim chce pisać, choć nie przyznaje się do tego z obawy, by Ruth nie poniosła klęski w tej dyskusji. A dlaczego Martin pragnie być pisarzem? — ciągnął dalej. — Bo mu się w życiu nie przelewa. A czemu ty nabijasz sobie głowę saksońskim i ogólną kulturą? Ponieważ nie potrzebujesz przebijać się sama przez życie. Ojciec troszczy się za ciebie o wszystko. On ci kupuje suknie i wszystko inne. Jakaż to zatracona korzyść z całego tego wykształcenia, które my wszyscy zdobywamy, zarówno Ruth, jak ja, Artur czy Nor-man? Optywamy w ogólną kulturę, ale niech tylko nasi ojcowie dziś zbankrutują, a nam jutro nie pozostanie nic innego, jak przystąpić do nauczycielskich egzaminów. Najlepszym stanowiskiem, o jakim Ruth mogłaby zamarzyć, byłaby posada w szkółce wiejskiej lub stanowisko nauczycielki muzyki w internacie dla dziewcząt.

— A cóż byś ty sam robił? — zapytała.

— Z pewnością nic wielkiego. Mógłbym chyba zarobić półtora dolara dziennie jako zwykły najemnik albo zostać wykładowcą w zakładzie Hanleya dla chłopców opóźnionych w nauce. Powiadam „chyba”, bo zupełnie możliwe, że po upływie tygodnia wylano by mnie za całkowitą nieudolność.

Martin przysłuchiwał się dyskusji uważnie i choć przyznawał słuszność Olneyowi, zarzucał mu jednak szorstkość względem Ruth. Podczas tej rozmowy wyrobił sobie nowe pojęcie o miłości. Obojętną jest rzeczą, czy kobieta kochana rozumuje słusznie czy opacznie. Miłość jest wyższa nad rozum. Ruth może nie oceniać należycie jego dążenia do kariery, a mimo to nie staje się ani trochę mniej godna miłości. Była przecież wcielonym wdziękiem, a to, co myślała, nie miało żadnego wpływu na jej urok.

— O co chodzi? — zapytał Martin, zdając sobie sprawę, że jakieś pytanie Olneya przerwało mu tok myśli.

— Mówiłem właśnie, że nie będziesz chyba na tyle nierozsądny, by zabierać się do nauki łaciny.

— Ale łacina to nie tylko kultura — przerwała Ruth. — Stanowi ona podstawowe wyposażenie umysłu.

— No i co, czy zamierzasz się jej uczyć? — nastawał Olney. Martin był srodze zakłopotany. Widział, że Ruth z niecierpliwością oczekuje jego odpowiedzi.

— Obawiam się, że nie będę miał na to czasu — odparł wreszcie. — Chciałbym wprawdzie, ale nie podołam.

— A widzicie? Martin nie szuka kultury — ucieszył się Olney. — On chce dojść do czegoś, chce coś zdziałać.

— Ale przecież łacina jest ćwiczeniem umysłowym. Wyrabia dyscyplinę myślenia. Kształtuje umysły. — Ruth spoglądała wyczekująco na Martina, jak gdyby spodziewając się, że zmieni jeszcze zdanie. — Wiadomo, że zawodnicy w piłce nożnej muszą ćwiczyć przed rozstrzygającą grą. Dla myśliciela łacina jest takim właśnie treningiem.

— Zawracanie głowy! Wmawiają nam to od dzieciństwa, ale strasznie przy tym unikają wyjawienia całej prawdy. Liczą na to, że sami się jej z czasem domyślimy. — Tu Olney prze-

rwał dla uzyskania efektu retorycznego i wreszcie dodał: — Nie mówiono nam wcale, że choć każdy dobrze wychowany człowiek musi uczyć się łaciny, nie potrzebuje bynajmniej jej umieć.

— Ach, to już nielojalnie z twojej strony! — zawołała Ruth. — Czułam, że umyślnie tak kierujesz rozmową, aby z czymś podobnym wyskoczyć.

— Mam zupełną rację — odparował Olney — i żadnej nie-lojalności zarzucić mi nie można. Jedynymi ludźmi, którzy znają łacinę, są aptekarze, prawnicy i nauczyciele tejże łaciny. Jeżeli Martin ubiega się o którekolwiek z tych stanowisk, cofam swoje zastrzeżenia. Ale co to wszystko ma wspólnego z Herbertem Spencerem? Martin odkrył właśnie Spencera i szaleje z zachwytem nad nim. A dlaczego? Bo Spencer prowadzi

go w jakimś kierunku. Ale ani mnie, ani Ruth tenże Spencer nigdzie by nie mógł zaprowadzić. Nie mamy przecież dokąd iść. Ona wyjdzie kiedyś za mąż, ja zaś, nie mając nic innego do roboty, będę doglądał doradców prawnych i agentów opiekujących się pieniędzmi, które przypadną mi po ojcu.

Olney wstał, aby wyjść z pokoju, ale jeszcze przy drzwiach odwrócił się i cisnął pożegnalną strzałę:

— Powinnaś zoistaw/ić Martina w spokoju, Ruth. On sam doskonale wie, czego mu najbardziej potrzeba. Spójrz tylko, co już dotąd osiągnął. Czasami aż głupio mi się z tego powodu robi i wstyd mi za siebie. Przecież on więcej teraz wie o świecie, życiu, pozycji człowieka i podobnych sprawach niż Artur, Norman, ja lub choćby ty sama, pomimo całej naszej łaciny, lomanistyki, studiów starsaksońskich i ogólnej kultury.

— Ale przecież nauczycielką moją jest panna Ruth — odparł rycersko Martin. — Jej więc zawdzięczam tę odrobinę wiedzy, jaką posiadam.

— Gadaj zdrow! — zaśmiał się Olney spoglądając złośliwie na dziewczynę. — Pewnie oświadczyłybyś niebawem, że i Spencera czytałeś na jej polecenie, gdyby nie to, że nikt by ci nie uwierzył. O Darwinie i ewolucji Ruth wie niewiele więcej niż ja o kopalniach króla Salomona. Ale powiedz no, jak to brzmi ta karkołomna definicja Spencerowska o czymś tam, którą uraczyłeś nas przed paroma dniami? Wiesz, gdzie była mowa o czymś nieokreślonym, beładnym a jednorodnym. Zasyp ją tą lawiną i przekonaj się, czy zrozumie choćby jedno słowo. Bo to, uważasz, nie zalicza się do kultury. No, bywaj, Martin, ale pamiętaj, że gdybyś zabrał się do łaciny, stracę dla ciebie szacunek.

Przez cały czas dyskusji Martin, choć żywo zainteresowany, odczuwał w niej jakiś fałszywy zgrzyt. Mówiono o studiach

i wykładach, rozprawiano o podstawach wiedzy, ale sztubacki ton tych wypowiedzi nie licował z wielkością jego wewnętrznych przeżyć —• z tym drapieżnym stosunkiem do życia, jaki nawet i w tej chwili zakrzywił mu palce na kształt orlich szponów, z kosmicznymi dreszczami, co targały nim aż do bólu,

i z rodzącą się świadomością, że człowiek zdolny jest jednak opanować to wszystko.

Przyrównywał się do wyrzuconego przez morze na brzeg obcego łądu poety, który — choć przepełniony mocą tworzenia piękna — jąka się bezsilnie, nie umiejąc wyśpiewać swych myśli w surowym, barbarzyńskim narzeczu nowych rodaków. Coś podobnego działo się z nim teraz. Żywo, aż boleśnie żywo wczuwał się w tętno wielkich spraw wszechświata, a mimo to zmuszony był kręcić się po omacku wśród sztubackich zagadnień i zastanawiać się nad tym, czy powinien uczyć się łaciny, czy nie.

Co, u licha, ma do tego łacina? — zapytywał wieczorem własnego odbicia w lustrze. — Niech umarli leżą spokojnie w grobie. Z jakiej racji mieliby oni kierować mną i tym pięknem, które tkwi we mnie? Piękno żyje i jest nieśmiertelne. A języki powstają i przemijają. Nie są niczym innym, jak tylko trupim próchnem.

Po chwili uświadomił sobie, że już potrafi ubrać swe myśli w słowa wcale zręczne, a kładąc się spać dziwił się, czemu w obecności Ruth nie udaje mu się mówić równie płynnie. Był wtedy tylko sztubakiem i mówił jak sztubak.

— Dajcie mi czasu! — zawołał głośno. — Dajcie mi tylko czasu!

Czas! czas! czas! — dźwięczało w nim skargą nieustanną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie ze względu na Olneya, ale wbrew Ruth i swej miłości ku niej Martin postanowił ostatecznie nie przystępować do nauki łaciny. Czas był dlań równoznaczny z pieniądzem, a tyle było spraw ważniejszych od łaciny, tyle dziedzin wiedzy uporczywie go wzywających. Poza tym musi przecież pisać, musi zarabiać na życie. Dotychczas żadnej z jego prac jeszcze nie przyjęto. Już kilkadziesiąt rękopisów przebywało bez końca okólną drogę przez liczne redakcje czasopism. W jaki sposób radzili sobie inni? Martin spędzał długie godziny w bezpłatnej czytelnicy, przeglądając dorobek wielu pisarzy. Badał ich pracę uważnie i krytycznie, porównując ją z własną i nie przestając się dziwić, na czym polega owa tajemnicza sztuczka umożliwiająca im spieniężenie swych utworów.

Zdumiewała go olbrzymia ilość drukowanego materiału najzupełniej jałowego. Nie było w nim światła ani życia, ani barwy. Nie było najlżejszego nawet tchnienia życia, a jednak szło to wszystko po dwa centy od słowa — dwadzieścia dolarów za tysiąc, jak to wynikało z przeczytanego urywka gazety. Martina wprowadziła w zdziwienie niezliczona ilość nowel pisanych — przyznać to musiał — lekko i dowcipnie, lecz całkowicie pozbawionych życia i realizmu. Życie było przecież tak niezwykle i cudowne, tak pełne nieobjętych zagadnień, marzeń i zmagani bohaterских, a tymczasem wszystkie te nowele zajmowały się wyłącznie szarzyzną. Martin odczuwał do

głębi bujny pęd i potężne napięcie życia, jego gorączkowe udręki, znoje i dzikie bunty — to przecież powinno stanowić tworzywo dla pisarza! Chciał opiewać orędowników złudnych nadziei, szalonych kochanków, walczących tytanów otoczonych tragizmem i grozą, zmuszających życie do łamania się pod naporem ich przemożnych poczynań. A tu nowele w czasopismach uparcie opisywały marnych groszorobów w rodzaju pana Butlera oraz banalne i blahe przeżycia miłosne przeciętnych mężczyzn i kobiet. Czy czasem nie dzieje się tak z powodu przeciętności samych redaktorów czasopism? Albo też może wszyscy po prostu boją się życia — zarówno pisarze i redaktorzy, jak i czytelnicy?

Główną troską Martina było jednak to, że nie znał osobiście żadnego redaktora ani autora. Co gorsza, nie znał nawet nikogo, kto by kiedykolwiek próbował pisać. Nikt nie mógł mu poradzić, wyjaśnić czegoś lub wskazać drogę. W końcu zaczął wątpić, czy redaktorzy są ludźmi z krwi i kości. Zdawać by się mogło, że to raczej kółka w jakiejś maszynie. Tak, właśnie w maszynie. Martin wkładał całą duszę w nowele, artykuły czy wiersze i powierzał je maszynie. Składał przepisowo kartki rękopisu, umieszczał je wraz ze znaczkami na odpowiedź w podłużnej kopercie, kopertę zaklejał, zaopatrywał znów w znaczki od zewnątrz i wreszcie wrzucał do skrzynki. Przesyłka wędrowała przez cały kontynent i po upływie pewnego czasu listonosz zwracał mu rękopis w innej długiej kopercie, obklejonej z wierzchu znaczkami, które on sam niegdyś do pierwotnej przesyłki dołączył. Tam, po drugiej stronie, nie było stanowczo żadnego redaktora w ludzkiej postaci, tylko sprytny system kółek, które przekładały rękopis z jednej koperty do drugiej i naklejały znaczki. Zupełnie podobnie jak w owych automatach, do których wpychało się groszaki, po czym maszyna z metalicznym chrzęstem wyrzucała z siebie kawałek gumy do żucia lub tabliczkę czekolady. Otrzymanie

tego lub innego przysmaku zależało od otworu, do którego wrzuciła monetę. Tak samo działa maszyna redakcyjna. Jeden jej otwór wydaje czeke, drugi zawiadomienia o zwrocie. Jak dotąd, Martin natrafiał wyłącznie na ten drugi mechanizm.

Owe zawiadomienia o odrzuceniu utworu dopełniały wrażenia przeraźliwego automatyzmu całego procesu. Pisane były zawsze w stereotypowy sposób. Martin zaś otrzymał ich już całe setki — co najmniej po tuzinie na każdą ze swych wcześniejszych prac. Gdyby na jednej jedynej z tych niezliczonych kartek znalazł choć kilka słów osobiście do niego skreślonych, doznałby wielkiej pociechy. Ale żaden z redaktorów nie dał takiego dowodu istnienia.

Wypląwał stąd nieodparcie ten tylko wniosek, że po tamtej stronie nie ma żywych istot ludzkich, lecz zastępują je kółka mechaniczne, dobrze naoliwione i działające niezawodnie. Martin był wytrwały w walce, wnosił w nią wiele żarliwości i uporu, toteż byłby zdolny całymi latami karmić w ten sposób maszynę. Jednakowoż krwawił już śmiertelnie, wobec czego nie lata, ale tygodnie musiały rozstrzygnąć o wyniku. Każdy tygodniowy rachunek za utrzymanie zbliżał go do nieuchronnej klęski, opłata zaś pocztowa za czterdzieści przesyłek zadawała mu ciosy niemal równie dotkliwe. Nie kupował już książek i drogą groszowych oszczędności usiłował odwlec nieunikniony kres. Oszczędzać jednak nie umiał i sam przybliżył o tydzień tę krytyczną chwilę, ofiarowując siostrze Mariannie pięć dolarów na kupno sukni.

Borykał się w ciemnościach, pozbawiony rady i zachęty, rzucony na pastwę przeciwności. Już i Gertruda zaczynała spoglądać nań nieufnie. Początkowo z siostrzaną pobłażliwością tolerowała to, co uważała za jego wybryk, teraz jednak, powodowana niemniej siostrzanym uczuciem troskliwości, zaniepokoiła się na serio. Wydawało jej się, że jego głupota przybiera już rozmiary szaleństwa. Martinowi, który zdawał sobie z tego sprawę, dokuczalo to boleśniej niż otwarta i zjadliwa pogarda Bernarda Higginbothama. Martin wierzył w siebie, lecz był w tej wierze odosobniony. Nawet Ruth jej nie podzielała. Pragnęła, żeby poświęcił się wyłącznie nauce, i chociaż nie potępiała wyraźnie jego prób pisarskich, nigdy ich też najmniejszym słowem nie pochwaliła.

Dotychczas Martin nie proponował jej, by zapoznała się z jego utworami. Nie pozwalała mu na to przesadna nieco wrażliwość. Ponadto pochłaniały ją ostatnio studia uniwersyteckie, chłopiec więc nie ośmieliłby się zabierać jej cennego czasu. Uzyskawszy jednak dyplom, Ruth sama zwróciła się do niego z prośbą o przeczytanie którejś z jego prac. Martin był w siódmym niebie, choć nie czuł się zbyt pewnie. Oceniać go wszak będzie nie lada sędzia. Ruth miała stopień magistra nauk humanistycznych. Studiowała literaturę pod kierunkiem wybitnych fachowców. Możliwe, że i redaktorzy znali się na rzeczy, ale ona w każdym razie potraktuje go inaczej. Nie wręczy mu drukowanej odmowy ani nie udzieli krzepiącego pouczenia, że zwrot jego prac nie musi być jednoznaczny z brakiem wszelkiej wartości. Porozmawia z nim żywy człowiek, z właściwą sobie pogodą i bystrością, a co ważniejsze, dostrzeże przebłyski prawdziwego Martina Edeina. Z dzieł jego nabierze pojęcia o jego uczuciowym i duchowym obliczu i zdoła przy tym zrozumieć coś niecoś z istoty jego marzeń i z rozmiaru sił, jakimi rozporządza.

Martin zebrał kilka przebitkowych egzemplarzy swoich nowel i po krótkim wahaniu dorzucił jeszcze Liryki morza. Pewnego popołudnia pod koniec czerwca wsiedli na rowery i pojechali jak zwykle w stronę wzgórz. Martin po raz drugi w życiu dopiero znalazł się sam na sam z dziewczyną poza domem

i kiedy tak sunęli w wonnym, ciepłym powietrzu, lekko ostudzonym przez świeży oddech morza, chłopca przeniknęła głęboka świadomość, że świat jest piękny i dobrze zarządzany, a życie w nim i miłość stanowią wielkie szczęście. Zostawili rowery przy drodze i weszli na

brązowy szczyt odsłoniętego pagórka, gdzie spalona od słońca trawa dyszała zniwną wonią, pełną suchej słodyczy i dosytu.

— Ta trawa spełniła już swoje zadanie — rzekł Martin, kiedy Ruth usiadła na jego rozpostartym płaszczu, a on sam wyciągnął się na rozgrzanej ziemi. Wdychał cudną woń brunatnych ździebeł, która przenikając do mózgu wprawiała w wir jego myśli i kazała im szybować od faktów jednostkowych ku uogólnieniom. — Osiągnęła cel swego istnienia — ciągnął dalej, głaszcząc czule wyschlą na siano ruń. — Z pełnią ufności oparła się przeciwnościom minionej zimy, zwalczyła gwałtowny kataklizm przedwiośnia, zakwitła, przywabiła pszczoły i owady, rozsypała nasiona, spłaciła swoją dań światu, by wreszcie...

— Czemu zapatruje się pan na wszystko tak strasznie praktycznie? — przerwała Ruth.

— Pewnie dlatego, że studiowałem teorię ewolucji. Prawdę mówiąc, niedawno dopiero osiągnąłem zdolność widzenia rzeczy takimi, jakie są.

— Zdaje mi się jednak, że przez to nastawienie praktyczne traci pan z oczu piękno i niszczy je podobnie, jak ci mali chłopcy, co chwyciwszy motyla, ścierają pyłek z jego cudnych skrzydełek.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Piękno ma swoje znaczenie, którego jednak do niedawna nie domyślałem się. Po prostu uważałem piękno za coś oderwanego, coś, co istnieje bez przyczyny i głębszego sensu. Nie miałem żadnego pojęcia o pięknie. Ale teraz już rozumiem albo raczej zaczynam pojmować prawdę. Ta trawa jest dla mnie tym piękniejsza, odkąd wiem, dlaczego stała się trawą, odkąd dowiedziałem się o wszystkich tych ukrytych chemicznych czynnikach, dzięki którym słońce, deszcz i gleba uczyniły ją trawą. Przecież dzieje życia każdej trawki pełne są romantyzmu, a nawet przygód. Sama myśl o tym wzrusza mnie. Kiedy pomyślę o tej wielkiej rozgrywce energii i materii i całej tkwiącej w tym przepotężnej walce, wydaje mi się, że mógłbym stworzyć eposę o trawie.

— Jak pan dobrze się wyraża! — rzekła jakby mimochodem i Martin dostrzegł, że przygląda mu się bacznie.

Natychmiast się zmieszał i zawstydził, a ciemny rumieniec oblał mu szyję i twarz.

— Miałem już czas nauczyć się mówić jako tako — bąknął nieśmiało. — Tyle rzeczy chciałbym wypowiedzieć, ale wszystko jest takie wielkie. Nie znajduję sposobu wyrażenia tego, co we mnie tkwi istotnie. Wydaje mi się niekiedy, że cały świat, życie, w ogóle wszystko obrało sobie siedzibę w mym wnętrzu i uczynić chce ze mnie swego rzecznika. Czuję — choć nie zdołam tego opisać — całą wielkość owych spraw, kiedy jednak zaczynam mówić, bełkocę jak małe dziecko. Niełatwą jest rzeczą utrwalić uczucia i wzruszenia w słowie pisanim czy mówionym, które zdolne byłoby z kolei odtworzyć w czytelniku lub słuchaczu pierwotne wrażenia w nie sfalszowanej postaci. To naprawdę zadanie godne mistrza! Proszę tylko spojrzeć! wtulam twarz w trawę, a wiew, który wdycham nozdrzami, rozbudza we mnie tysiące tętniących życiem myśli i wyobrażeń. Wciągnąłem, w siebie oddech wszechświata. Poznaję pieśń i uśmiech, powodzenie i ból, Y/alkę i średerć. Widzę przy tym obrazy, które nie wiedzieć jakim sposobem przenikają do mojej duszy z owej woni siennej, a które chciałbym przekazać pani i całemu światu. Ale jak to zrobić? Język mam skrępowany. Usiłowałem przed chwilą w żywej mowie opisać pani wrażenie, jakie wywarł na mnie zapach traw. Nie udało mi się to jednak. W nieudolnych słowach oddałem zaledwie mglisty zarys tych przeżyć. Mnie samemu wydaje się to głupią paplaniną. A przecież dusi mnie wprost potrzeba wypowiedzi. Ach.... — wznosił ramiona w rozpacz — to jest niemożliwe! niepojęte! nieodtworzalne!

— Ależ pan naprawdę pięknie mówi! — upierała się Ruth. — Proszę tylko pomyśleć, jak wielkie postępy zrobił pan w tak krótkim czasie naszej znajomości. Pan Butler uchodzi za świetnego mówcę. Stanowy komitet partii zawsze prosi go o wygłaszanie przemówień przedwyborczych. A jednak zeszłego wieczoru przy obiedzie mówił pan nie gorzej od niego.

Tylko że on jest bardziej opanowany. Pan podnieca się zbyt łatwo, ale to minie z chwilą nabrania wprawy. Byłby z pana wcale niezły mówca publiczny. Może pan zejść daleko... gdyby pan tylko zechciał. Ma pan zdolności przewodzenia: przekonana jestem, że potrafi pan pociągnąć za sobą ludzi, i nie widzę

141

powodu, by cokolwiek, do czego się pan weźmie, nie miało udać się równie dobrze jak nauka gramatyki. Ma pan zadatki na dobrego adwokata. Mógłby pan też zabłysnąć w polityce. Nic panu nie przeszkadza osiągnąć w życiu równie wielkie powodzenie jak pan Butler. I to bez narażania się na chroniczną niestrawność — dodała z uśmiechem.

Rozmawiali w tym tonie dalej, przy czym Ruth z właściwą sobie łagodną stanowczością powracała wciąż do konieczności zdobycia gruntownych podstaw wykształcenia i do korzyści płynących z opanowania łaciny jako jednej z podwalin każdej kariery. Rysowała mu swój ideał mężczyzny, wzorowany w zasadzie na podobiznie ojca, lecz noszący też kilka rysów i cech pochodzących niewątpliwie od pana Butlera. Martin słuchał uważnie i chętnie, leżąc na wznak, patrząc w górę i rozkoszując się każdym ruchem jej warg. Ale umysł jego nie wchłaniał tej mowy z równą jak słuch gotowością. W obrazach kreślonych przez nią nie było nic kuszącego, toteż Martin zdawał sobie sprawę z bolesnego rozczarowania, które jednak w niczym nie zmniejszało jeszcze dokuczliwszego porywu miłości ku niej. We wszystkim, co mówiła, nie było wzmianki o jego pracy literackiej, a przywiezione rękopisy leżały zapomniane na ziemi.

Korzystając wreszcie z przerwy w rozmowie, Martin spojrzął na słońce, jakby mierząc jego odległość od horyzontu, i przypomniał sobie o istnieniu rękopisów, które zaczął podnosić z ziemi.

— Ach, zapomniałam — rzekła szybko Ruth. — A tak bardzo pragnę to usłyszeć!

Odczytał jej więc nowelę, którą szczycił się jako jedną z najlepszych. Nazwał ją Winem życia, a zaklęta w tym trunku moc, co szumiała mu w mózgu, gdy to pisał, upajała go teraz na nowo podczas czytania noweli. Pomysł utworu krył w sobie jakiś urok czarodziejski, podkreślony jeszcze przez układ słów i pełne nastroju ujęcie. Cały ogień namiętności, jaki płonął w nim w chwili tworzenia, zmartwychwstał teraz w jego duszy, porywając ją i ogarniając tak wszechwładnie, że stał się głuchy i ślepy na wady utworu. Inaczej rzecz się miała z Ruth. Jej wprawne ucho wyczuwało najmniejsze usterki i przejawy, notowało każdy odcień zbędnego patosu i bacznie podchwytowało każde załamanie lub choćby tylko zachwianie w rytmie kolejnych zdań. Poza tym mało zwracała uwagi na rytm, chyba że chwilami stawał się zbyt ciężki i nie-mile raził ją swym dyletantyzmem. Tak też wypadł ostateczny sąd panny o całym utworze, który uznała za dzieło niedojrzałe, choć głośno tego nie wypowiedziała. Przeciwnie, gdy skończył, wytknęła tylko parę drobniejszych braków i oświadczyła, że na ogół nowela jej się podoba.

Martin czuł się mimo to rozczarowany. Ruth niewątpliwie miała słuszność krytykując jego pracę. Przyznawał to sam, ale czuł jednocześnie, że nie w celu dokonywania szkolnych poprawek pokazywał jej swe dzieło. Szczegóły nie są ważne. Niech troszczą się same o siebie. Można je zresztą poprawić, można nauczyć się je poprawiać. Ale wyłowił przecież z życia coś wielkiego i zapragnął zakląć to w swej noweli. Tą właśnie wielką zdobyczą chciał się z nią podzielić, nie zaś budową zdań i użyciem średników. Pragnął, by Ruth odczuła wraz z nim tę wielką rzecz, którą posiadał, którą ujrzał własnymi oczami, przetrawił w swym mózgu i własnoręcznie złożył w postaci słów na zapisanej karcie. Nie udało mu się, wyznał sobie w duchu. Może redaktorzy nie mylili się? Odczuł wprawdzie wielkość, lecz nie potrafił przekuć jej w mowę. Starannie ukrył doznany zawód i tak swobodnie przyłączył się do jej krytycznych uwag, że nie domyśliła się nawet, jak głęboko dnem jego duszy popłynął silny nurt gorzkiego rozczarowania.

— To drugie opowiadanie nazywa się Garnek — rzekł rozwijając następny rękopis. — Odrzuciło go już co prawda kilka czasopism, ale ja nadal sądzę, że to rzecz nie bez wartości. Na dobrą sprawę nie wiem, co o nim myśleć poza tym, że udało mi się zamknąć tam coś istotnego. Może zresztą pani nie odczuje tego w ten sam sposób. To krótka rzecz, wszystkiego dwa tysiące słów.

— Jakież to okropne! — zawołała Ruth, gdy skończył czytać. — To straszne, niewypowiedziane straszne!

Martin z ukrytym zadowoleniem zauważył jej pobladłą twarz, szeroko rozwarte oczy o wejrzeniu pełnym napięcia i zaciśnięte dłonie. Tym razem udało się! Przekazał drugiej istocie ludzkiej wydarty z własnego mózgu szmat wyobraźni i uczucia. Dopiął celu. Obojętne było, czy opowiadanie spodobało jej się. Wystarczy, że ją chwyciło i ujarzmiło, każąc siedzieć w zasluchaniu i nie myśleć o szczegółach.

— Takie jest życie — rzekł — a życie nie zawsze bywa piękne. A jednak, może dlatego, że jestem dziwak, dostrzegam w tym coś pięknego. Wydaje mi się, że piękno dziesięciokrotnie zyskuje na wartości przez to, iż ujawnia się w takim otoczeniu.

— Ale czemuż ta biedna kobieta... — przerwała Ruth nie zważając na jego słowa. Nie wyraziła jednak całego buntu swoich myśli i wykrzyknęła tylko: — Ach, to jest ponizające! To brzydkie! To plugawe!

Przez chwilę zdawało się chłopcu, że serce mu przestaje bić. Plugawe! Coś podobnego nigdy mu się nie śniło. Nie miał wcale takiego zamiaru. Cała nowela ognistymi głoskami stanęła mu przed oczyma, lecz w tym oślniewającym świetle szukał na próżno zarzucanego mu plugastwa. Wtedy serce ożyło mu znowu. Nie poczuwał się do żadnej winy.

— Dlaczego nie wybrał pan miłszego tematu? — pytała. — Wiadomo, że istnieją na świecie rzeczy ohydne, ale to nie powód...

Mówiła jeszcze długo w zapale oburzenia, ale Martin już jej nie słuchał. Uśmiechał się sam do siebie, patrząc na jej twarz dziewczęcą, tak niewinną, tak do głębi niewinną, że jej czystość zdawała się nieustannie przenikać doń, wymiatając z jego duszy wszelki ziemski pył i nurzając go w jakimś rajskim balsamie, równie chłodnym, miękkim i aksamitnym, jak blask gwiazd. Wiadomo, że istnieją na świecie rzeczy ohydne! Wyobraził sobie, co też ona o tym może wiedzieć, i potraktował to jako dobry żart. Zaraz potem rozbłysło mu przed oczyma wyobraźni, wraz ze wszystkimi szczegółami, całe to morze ohydy życiowej, które znał tak dobrze i przez które sam przewędrował, a na myśl o tym wybaczył jej niezrozumienie odczytanej noweli. Nie było przecież jej winą, że nie rozumiała. Dziękował Bogu, że urodziła się i uchowała w takiej niewinności. On sam za to znał życie, zarówno jego piękno, jak i brzydotę; umiał dostrzec jego wielkość poprzez kalające je szumowiny i musi — na Boga! — wypowiedzieć się na ten temat przed światem. Czyż święci w niebie mogą być czym innym, jak wzorem czystości i piękna? Nie ma w tym ich zasługi. Ale zachować świętość w życiowym bagnie — oto co wzbudzać powinno wieczysty podziw! Dla tego samego warto żyć. Widzieć wielkość moralną powstającą z bagna nieprawości; powstać samemu i po raz pierwszy dostrzec obraz piękna, słaby jeszcze i odległy, przesłoniętymi błotem żrenicami; widzieć, jak z tej słabości, ułomności i przestępczości, z całej tej przepaści zbydlęcenia wyłania się siła, prawda i najwyższe duchowe wloty...

Dosłyszał nagle kilka zdań, które wypowiadała właśnie Ruth.

— Ton całego utworu jest przyziemny. A tyle jest przecież rzeczy wzniosłych! Weźmy choćby In memoriam *.

Martin czuł się zniewolony do przytoczenia Locksley Hali *, co byłby uczynił, gdyby nie to, że o władnęła nim znowu wizja, stawiając mu przed oczy samą Ruth, samicę gatunku ludzkiego, która z pierwotnego fermentu pełzła i wdrapywała się coraz wyżej po wielkiej drabinie życia przez tysiąc tysięcy wieków, by wydobyć się wreszcie na najwyższe piętro i stać się sobą, Ruth, istotą czystą, jasną i boską, zdolną do tego, by w nim wzbudzić miłość i zasiać

żądę poznania czystości i świętości — w nim, Martinie Edenie, który również przedziwnym jakimś sposobem wzniósł się ponad chaos i bezkształt, ponad niezliczone omyłki wieczystego tworzenia. Oto porywające dzieje, oto cud prawdziwie godzien chwały! O tym warto było pisać, gdyby tylko znaleźć było można odpowiednie słowa. Święci w niebie! Ci byli tylko świętymi i nie mieli nic do gadania. Ale on jest przecież człowiekiem.

— Pan ma siłę — wpadły mu znów w uszy słowa mówiącej dziewczyny — ale siła ta buja samopas, nie znając żadnego wędzidła.

— Niczym byk w składzie porcelany — poddał zyskując w nagrodę uśmiech.

— Musi pan rozwinąć w sobie zdolność rozróżniania wartości, wyrobić smak, wytworność tonu i umiar.

— Ważę się na zbyt wiele — odburknął.

Ruth uśmiechnęła się potakująco, po czym rozsiadła się wygodniej, w oczekiwaniu dalszych utworów.

— Sam nie wiem, co pani o tym powie — mówił Martin tonem usprawiedliwienia. — To śmieszna rzecz. Obawiam się, że nieco przekroczyłem tu moje możliwości, ale zamiary miałem czyste. Proszę nie zwracać uwagi na drobne szczegóły, lecz starać się przede wszystkim ogarnąć tę rzecz wielką, o którą mi chodzi. Jest ona zaiste wielka i prawdziwa, choć bardzo możliwe, że nie umiałem uczynić jej zrozumiałą.

Czytał, a czytając obserwował ją uważnie.

Nareszcie ją wzięło! — pomyślał. Siedziała bez ruchu, z oczyma utkwionymi w czytającego, z zapiętym niemal tchem, uniesiona gdzieś poza jaźń własną — jak przypuszczał Martin — czarem jego utworu. Nowela nosiła tytuł Przygoda i była w istocie apoteozą przygody — nie tej z fantastycznych książek, lecz przygody prawdziwej, drapieżnej mistrzyni życia, strasznej w karze i w nagrodzie, niewiernej i kapryśnej, żądającej cierpliwości niezwyklej, dni i nocy bezprzykładnego znoju, by wreszcie u kresu straszliwego pragnienia głodu, długich mąk, potwornego oblędu zgniłej gorączki, poprzez strumienie krwi i potu, poprzez chmury kłujących owadów — obdarzyć blaskiem słonecznej chwały lub mrokiem śmierci, wiodąc po długich łańcuchach marnych i niegodnych obcować na królewskie wyże, ku szczytowym osiągnięciom.

Wszystko to, i więcej jeszcze ponad to, tchnął Martin w swe opowiadanie i to właśnie, jak sądził, rozgrzało znieruchomiałą w zasłuchaniu dziewczynę. Oczy jej rozszerzyły się, blade policzki zapalały i w chwili gdy kończył czytanie, zdawała się z trudnością chwytać oddech. W istocie była podniecona, ale zawdzięczała to nie tyle dziełu, co obecności Martina. Nowela nie przemawiała do niej tak mocno; natomiast żar jego potęgi, dobrze znany nadmiar siły, przelewał się niejako z jego ciała na nią, obezwładniając.

Paradoksalna była tylko okoliczność, że to właśnie sama opowieść naładowana była jego potęgą, stanowiąc przewód, po którym jego siła spływała aż do niej. Odczuwając samą siłę, dziewczyna nie uświadamiała sobie jednak koryta kryjącego jej nurt i gdy zdawała się najgwałtowniej porwana jego dziełem, w rzeczywistości unoszona była przez coś zupełnie innego, a mianowicie przez groźną i niebezpieczną myśl, co nieoczekiwanie zaświtała jej w mózgu. Schwytała się na rozważaniu, czym jest właściwie małżeństwo, i rodząca się świadomość natarczywości i żaru tej myśli przeraziła ją do głębi. Całe to doznanie nie licowało z jej dziewiczym wstydem. Nie rozumiała, jak ją to mogło spotkać. Nigdy dotychczas nie trapiła jej własna kobiecość; żyła w bajkowej krainie poezji Tennysona, nie pojmując nawet w pełni subtelnych aluzji tego wytwornego mistrza do pewnej obcesowości stosunków łączących księżniczki i rycerzy. Pogrążona była we śnie, aż oto nagle życie zakolatało wszechwładnie u wszystkich jej drzwi. Rozsądek doradzał jej zatrzasnąć wierzeje i zaryglować na głucho, ale równocześnie niesforne instynkty skłaniały ją do otworzenia wrót na oścież na przywitanie obcego, a czarownie miłego gościa.

Martin ufnie oczekiwał wyroku. Nie miał wątpliwości co do jego brzmienia, toteż zdziwił się słysząc:

— To piękne.

— To rzeczywiście piękne — dodała po chwili z naciskiem. Pewnie, że nie było to brzydkie, ale tkwiło tam przecież

coś więcej niż zwykle piękno, coś jaskrawiej wspaniałego, co pięknem posługiwało się niby pazim. Martin spoczywał w milczeniu na trawie, wpatrzony w ponure widmo ogromnego zwątpienia wyrastające przed jego wzrokiem. Nie udało mu się. Nie umiał wyrazić swej duszy. Widział jedną z najpotężniejszych zjaw świata i nie zdołał zamknąć jej w słowa.

— Co pani myśli o... — zawahał się, zmieszany koniecznością użycia po raz pierwszy mało znanego mu zwrotu — ... o idei przewodniej? — dokończył wreszcie.

— Nie jest jasna — odrzekła. — Na ogół biorąc, jest to jedyna uwaga krytyczna, jaka mi się nasuwa. Śledziłam uważnie tok opowiadania, ale wprowadził pan do niego tyle spraw ubocznych. Za wiele słów. Zaciemnia pan akcję przez nadmiar dygresji. !

— Ale to był właśnie temat główny — pośpieszył wyjaśnić Martin. — Wielki temat, użyźniający podglebie życia swą kosmiczną, wszechpotężną siłą. Staralem się uzgodnić go z samą fabułą, która ma tu właściwie znaczenie dość powierzchowne. Byłem na właściwym tropie, ale widocznie popełniłem błąd w wykonaniu. Nie zdołałem ujawnić tego, co było moim celem. Ale z czasem i do tego dojdę.

Ruth nie nadażała za nim; miała wprawdzie dyplom magistra, lecz Martin sięgnął poza granice jej wiedzy. Nie rozumiała tego, przypisując swą niepojętność jego niejasnemu sposobowi wyrażania myśli.

— Dał się pan zbyt ponieść wymowie — rzekła. — Ale miejscami rzecz jest piękna.

Słuchał jej głosu jakby z oddali, ponieważ zastanawiał się właśnie, czy odczytać jej Liryki morza. Leżał pogrążony w głuchej rozpacz, ona zaś obserwowała go badawczo, napastowana ponownie przez nieproszone i uparte myśli o małżeństwie.

— Pan chce być sławny? — rzuciła nagle.

— Tak, do pewnego stopnia — wyznał szczerze. — To część mojej przygody. Ale istotne znaczenie ma nie sama sława, tylko proces stawania się sławnym. Zresztą dla mnie sława byłaby jedynie środkiem do osiągnięcia innego celu i dlatego właśnie, z tego wyłącznie powodu, tak bardzo jej pożądam.

„Dla ciebie” — pragnął dodać i może by dodał, gdyby jego pracę przyjęła z większym zapalem.

Ruth zbyt była jednak zaprzątnięta myślami o jakiejś możliwej dla niego karierze, by pytać o ten cel ostateczny. Zawód pisarza nie był Martinowi sądzony. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Udowodnił to choćby dzisiaj, na przykładzie swych niedojrzałych, sztubackich prób. Wymowę miał wprawdzie dobrą, ale pisać po literacku nie umiał. Zestawiała z nim Tennysona, Browninga i swoich ulubionych prozaików, a wynik tych porównań był dla niego oplakany. Mimo to nie powiedziała mu wszystkiego, co o nim myśli. Dziwne zainteresowanie, jakie budził w niej ten chłopiec, kazało jej grać na zwłokę. Przecież jego namiętna chęć pisania była ostatecznie drobną tylko słabostką, z której z biegiem czasu wyrośnie. Wtedy poświęci się poważniejszym sprawom życia. I uda mu się. Tego była pewna. Tyle ma w sobie siły, że nie może spotkać go klęska... gdyby tylko zechciał rzucić to pisanie.

— Chciałabym znać wszystko, co pan pisze, panie Eden — rzekła.

Zaczerwienił się z radości. Jasne było, że Ruth interesuje się jego twórczością. Nie odesłała go przynajmniej z kwitkiem. Niektóre urywki uznała za piękne, a była to wszak pierwsza zachęta, jaką kiedykolwiek od kogoś otrzymała.

— Obiecuję to pani — rzucił namiętnie. — Obiecuję też ponadto, panno Morse, że będą ze mnie ludzie. Zrobiłem już spory kawał drogi, wiem o tym, i niemało mi jeszcze drogi pozostało, ale dojdę do celu, choćbym miał czołgać się na czworakach. — Podniósł ku

dziewczyźnie zwój rękopisów. — Oto są Liryki morza. Kiedy dojedziemy do pani domu, wręczone pani z prośbą o przeczytanie w wolnej chwili. Musi mi pani otwarcie wyrazić swoje zdanie o nich. Ponad wszystko potrzeba mi krytycznej oceny. Proszę więc bardzo, żeby pani była wobec mnie całkiem szczerą.

— Dobrze, będę — obiecała, kryjąc w duszy przykre przeświadczenie, że dzisiaj nie była z nim szczerą, i nie będąc pewną, czy i następnym razem zdobędzie się na szczerą.

ROZDZIAŁ PIETNASTY

A zatem pierwsza bitwa została wydana i rozegrana — rzekł Martin do lustra w dziesięć dni później. — Ale nastąpi z kolei bitwa druga i trzecia i tak będzie zawsze, chyba że...

Nie kończąc zdania powiódł wzrokiem po nędznej izdebce i smutne spojrzenie zatrzymał na stosie zwróconych rękopisów, które spoczywały wciąż jeszcze w długich kopertach w kącie na podłodze. Nie miał znaczków, by posłać je w dalszą wędrowkę, toteż od tygodnia gromadziło się ich coraz więcej. Jutro, pojutrze, po-pojutrze napływać będą dalej, aż w końcu znajdą się tu wszystkie, a on nie będzie mógł ponownie wprowadzić ich w ruch. Martin zalegał już od miesiąca z opłatą za maszynę do pisania, której to należności nie mógł uiścić, posiadając zaledwie kwotę wystarczającą na tygodniową ratę za mieszkanie i utrzymanie oraz na wpisowe w biurze pośrednictwa pracy.

Martin usiadł i w zamyśleniu popatrzał na stół, noszący liczne ślady atramentu, i nagle zdał sobie sprawę ze swego przywiązania do tego grata.

— Kochany, stary stole — przemówił — spędziłem razem z tobą sporo szczęśliwych godzin i muszę przyznać, że byłeś mi wiernym druhem. Nigdy mnie nie odepchnąłeś, nie obdarzyłeś w nagrodę za niedołęstwo odmownym zawiadomieniem ani też nie skarżyłeś się na nadliczbowe godziny pracy.

Oparł się o stół ramionami i ukrył twarz w dłoniach. W gardle ścisnęło go boleśnie i zbierało mu się na płacz. Przypomniawszy sobie pierwszą stoczoną w życiu walkę, kiedy jako sześciolatek, zbito do utraty sił przez starszego o dwa lata chłopaka, tnie przestawał jednak, choć cały zapłakany, grzmocić wroga pięściami. Zobaczył w duchu krąg rówieśników, witających z barbarzyńskim wyciem chwilę, kiedy w końcu chwyciły go mdłości i zwałił się na ziemię. Nos broczył mu krwią, a z podbitych oczu lały się obficie łzy.

— Biedny, mały smyku! — szepnął. — Tym razem oberwałś nie mniej dotkliwie. Zbito cię na kwaśne jabłko. Leżysz na obu łopatkach i niezdolny jesteś do dalszej walki.

Obraz dziecinnej bójki nie schodził mu jednak z oczu, aż wreszcie rozpląnął się, ustępując miejsca długiemu szeregowi walk, które nastąpiły później. Po sześciu miesiącach Pysk-jak-ser — bo takie było przezwisko tego chłopca — zbił go znów, ale tym razem Martin podsiniaczył mu oczy. To już było coś. Widział po kolei każdą następną bójkę i Pyska-jak-ser tryumfującego nad nim. Ale on, Martin, nigdy nie uciekał. Walczył zawsze do końca. To wspomnienie podniosło go teraz na duchu. Pysk-jak-ser walczył jak wcielony diabeł i nigdy nie miał nad nim litości. Ale on i tak wytrzymał. Wytrzymał aż do końca.

Z kolei ujrzał wąską uliczkę, wiodącą między rzędami zapuszczonych baraków. Wylot zagrodzony był piętrowym, murowanym budynkiem, z którego dobywał się miarowy stukot drukarni odbijającej pierwsze wydanie „Szperacza”. Martin miał wtedy jedenaście lat. Pysk-jak-ser zaś trzynaście i obaj byli roznosicielami „Szperacza”. Dlatego właśnie stali w tym miejscu, oczekując swoich plików gazet. Pysk-jak-ser oczywiście znowu zaczepił Martina i odbyła się nowa walka, tym razem nie rozstrzygnięta, gdyż kwadrans przed czwartą otworzono drzwi ekspedycji i tłum chłopców wdarł się do środka po gazety.

— Jutro spiorę cię do reszty — usłyszał Martin zapowiedź przeciwnika, a po niej własny głos, drżący od powstrzymywanych łez. Obiecał stawić się tu nazajutrz.

Zjawił się tam istotnie następnego dnia, umyślnie śpiesząc

się ze szkoły, żeby ubiec wroga przybywając o dwie minuty wcześniej. Koledzy dodawali mu otuchy i udzielali rad, wytykając błędy w walce i obiecując zwycięstwo, jeśli pójdzie za ich wskazówkami. Ci sami zresztą chłopcy dawali również podobne rady Pyskowi-jak-ser. Tym razem walka przyniosła im uciechę nie lada. Martin zatrzymał się na tym fragmencie wspomnień dość długo, by pozazdrościć widzom przedstawienia, które im wówczas sprawili. Potem oddał się rozpamiętywaniu samej walki, która toczyła się bez podziału na rundy całe trzydzieści minut, aż do chwili otwarcia drzwi ekspedycji.

Martin przyglądał się własnej młodocianej postaci, śpieszącej dzień po dniu ze szkoły w stronę uliczki „Szperacza”. Nie mógł poruszać się zbyt szybko, gdyż miał ciało zeszytywniałe i obolałe od nieustannych razów. Ręce, które odparowały już niezliczoną ilość ciosów, były czarnosine od przegubu aż do łokcia, miejscami zaś na umęczonym ciele powstawały jęczące rany. Bolała go głowa, ramiona i barki, bolał kark: i całe ciało, umysł zaś miał ociężały i oszołomiony. Nie mógł już bawić się ani uczyć w szkole. Samo nawet spokojne siedzenie na ławce przez cały dzień sprawiało mu mękę. Zdawało się, że wieki już minęły od chwili rozpoczęcia turnieju codziennych walk, a przyszłość niesie upiorny korowód dalszych, nie kończących się zapasów. Często zastanawiał się nad tym, dlaczego Pysk-jak-ser nie miałby kiedyś doznać porażki. To by od razu wyciągnęło Martina z biedy. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby zaniechać oporu i pozwolić Pyskowi-jak-ser schłostać się do woli.

Tak więc, ćwicząc się w trudnej sztuce cierpliwości, włókł się Martin raz za razem, chory na ciele i duszy, po zawsze tej samej uliczce „Szperacza”, aby spotkać swego wieczystego wroga Pyska-jak-ser, który sam czuł się nie maiej chory i bez zalu dałby spokój pojedynkom, gdyby nie grono gazeciarzy, którzy śledząc przebieg walki podniecali próżność zapaśników boleśnie i nieodparcie. Pewnego popołudnia, po dwudziestu minutach rozpaczliwych wysiłków wzajemnego unicestwiania się, podczas których przestrzegano jednak ustalonych przepisów, zabraniających kopania, uderzania w brzuch i bicia leżącego przeciwnika, Pysk-jak-ser, dysząc z wyczerpania i chwiejąc się, zaproponował przerwać walkę. I oto teraz, po tylu latach, Martin, siedząc z głową opartą na rękę, zadrżał ze wzruszenia na widok samego siebie, jak owego zapadłego w przeszłość popołudnia, poturbowany, zdyszany i dławiący się krwią, co z rozciętych warg spływała mu do ust i zalewała gardło, zwlókł się ku Pyskowi-jak-ser i wypluwając całe strugi krwi, nie pozwalającej mu dojść do głosu, krzyknął donośnie, że nigdy nie da za wygraną, a Pysk-jak ser, jeśli sobie tego życzy, może się poddać. Pysk-jak ser nie zgodził się na to i walka została podjęta na nowo.

Dzień następny i nieskończony szereg dalszych dni były świadkami podobnych popołudniowych zmagania. Kiedy codziennie stając do walki Martin podnosił ramiona, bolały go nieznośnie i pierwsze ciosy, czy to zadawane, czy też odbierane, raniły, zda się, jego duszę. Potem jednak przychodziła nieczułość i chłopiec walił na oślep, widząc jak we śnie tańczące i kołyszące się przed nim grube rysy i roziskrzony oczy Pyska-jak-ser. Całą uwagę skupiał na tej twarzy: wszystko inne wokół było tylko wirującą pustką. Nie istniało w świecie nic prócz tej twarzy i Martin wiedział, że tak długo nie zazna błędnego spokoju, dopóki własnymi okaleczonymi pięściami nie zgniecie jej na miazgę lub dopóki krwawe pięści, łączące się w jakiś sposób z tą twarzą, nie uczynią z nim tego samego. Wtedy dopiero, tak czy inaczej, odzyska spokój. Ale dać za wygraną on, Martin, nie potrafi nigdy.

Pewnego razu, zjawiwszy się jak zwykle w uliczce „Szperacza”, nie zastał tam Pyska-jak-ser, który owego dnia nie pokazał się wcale. Koledzy wieszowali mu tłumacząc, że pokonał Pyska-jak-ser. Martina jednak to nie zaspokoilo. Wiedział dobrze, że ani on nie zwyciężył wroga, ani też Pyskowi-jak-ser nie udało się jego zwyciężyć. Sprawa nie doczekała się

rozstrzygnięcia. Dopiero później kiedyś dowiedział się, że tego właśnie dnia zmarł nagle ojciec Pyska-jak-ser.

Martin ominął w myśli wspomnienia z kilku lat życia i zatrzymał się dopiero przy obrazie przedstawiającym go na paradyzie teatru „Auditorium”, w tak zwanym murzyńskim raj. Miał wtedy siedemnaście lat i tylko co wrócił z morskiej wyprawy. W teatrze wybuchła właśnie jakaś awantura. Ktoś tam komuś wymyślał, Martin wdał się w to i ujrzał nagle tuż przed sobą roziskrzony oczy Pyska-jak-ser.

— Spiorę cię po przedstawieniu — syknął dawny wróg. Martin skinął głową. Kontroler teatru zbliżał się ku nim, torując sobie drogę do miejsca, gdzie powstało zamieszanie.

— Spotkamy się na ulicy po ostatnim akcie — szepnął Martin, udając równocześnie, że z najżywszym zainteresowaniem przygląda się murzyńskim tańcom na scenie.

Kontroler popatrzał groźnie i odszedł.

— Masz kompanię? — zapytał Martin przeciwnika w czasie antraktu.

— Ja myślę.

— No to i ja muszę sobie dobrać kumpli — oświadczył Martin.

W przerwach między aktami zorganizował sobie asystę, złożoną z trzech znajomych chłopaków z fabryki gwoździ, palacza kolejowego, z pół tuzina członków Bandy Straszaków i tyluż zabijaków z groźnej gromady z ulic Osiemnastej i Targowej.

Kiedy po przedstawieniu publiczność zaczęła się rozchodzić, obie kompanie ruszyły po przeciwległych stronach ulicy, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Doszedłszy do mniej gwarne go narożnika, zatrzymały się i odbyły naradę wojenną.

— Most przy Ósmej będzie dobrym miejscem na spotkanie — oznajmił jakiś rudy chłopak z bandy Pyska-jak-ser. — Możecie walczyć pośrodku pod latarniami, a gdyby policja wtargnęła jedną stroną, my zawsze zdołamy dać drapaka drugą.

— Zgadzam się na to — odrzekł Martin naradziwszy się z przywódcami własnej drużyny. Most przy ulicy Ósmej nad jednym z ramion delty rzeki San Antonio ciągnie się na długość trzech bloków miejskich.

Pośrodku mostu i u obu wylotów stoją latarnie elektryczne. Żaden policjant nie mógłby wejść tam niepostrzeżenie. Miejsce to, tak świetnie nadające się do walki, ożyło teraz pod powiekami Martina. Ujrzał obie bandy, napastliwe i ponure, trzymające się z dala jedna od drugiej i dopingujące swoich zapaśników. Dostrzegł, jak obaj z Pyskiem-jak-ser obnażają się do pasa. Opośadał rozstawione zostały czaty, mające pilnować obu oświetlonych wejść na most. Jeden z członków Bandy Straszaków trzymał kurtkę, koszulę i czapkę Martina, gotów uciekać z tym na wypadek nadejścia policji. Martin zobaczył samego siebie, jak występuje na środek, staje na wprost Pyska-jak-ser i z podniesioną ręką oświadcza ostrzegawczo:

— Nie ma tu miejsca na żaden uścisk dłoni. Zrozumiano? Nic, tylko walka do upadłego. Żadnego poddania się! Ta walka załatwi stare porachunki, musi doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zrozumiano? Jeden z nas zostanie wykończony.

Pysk-jak-ser zawahał się przez chwilę — Martin widział to dobrze — lecz poczuł się dotknięty w swojej dawnej próżności wobec obu gromad.

— No, dobra już — odrzekł — nie ma o co gęby wydzierać. Będę cię prał aż do końca.

A potem rzucili się na siebie jak dwa byki, z całym bujnym rozmachem młodości, z gołymi pięściami, z nienawiścią, pałając żądzą zadawania bólu, kaleczenia i niszczenia. Cały mizolny tysiącletni dorobek człowieka w jego pochodzie na czoło stworzenia rozwiął się w jednej chwili. Pozostały tylko latarnie elektryczne niby słupy milowe znaczące drogę wielkiej ludzkiej przygody. Martin i Pysk-jak-ser zamienili się w dwóch dzikusów z okresu kamiennego, z czasów koczowania po lasach i kryjówek na drzewach. Zapadali się coraz głębiej w błotnistą otchłań, ku pierwocinom życia wykluwające-go się z chaosu materii, dążącego przed siebie w ślepy posłuchu dla nieubłaganych praw chemii, podobnie jak pył

gwiazdny w niebiosach lub jak atomy, co zderzają się, odpychają i znowu zderzają w wieczystej niezmienności.

— O Boże I Jesteśmy zwierzętami, dzikimi bydłętami! — zauważył głośno Martin wpatrzony w przebieg walki. Wspaniała zdolność wizji sprawiała, że widział obrazy równie żywe, jak gdyby oglądał je w kinie. Był jednocześnie widzem i aktorem. Nabyte w ciągu kilku ostatnich miesięcy życia nawyki kulturalne powodowały, iż wzdrygał się ze wstrętem na ten widok. Potem jednak terażniejszość wymieciona została z jego świadomości; upiory przeszłości opanowały go wszechwładnie i wcielił się bez reszty w owego Martina Edena, co właśnie powrócił z mórz i walczył z Pyskiem-jak-ser na moście przy Ósmej ulicy. Cierpiał, zmagął się, pocił i krwawił, a gdy gołe pięści trafiały w upatrzony cel, odczuwał bezmierną radość.

Tworzyli niby dwa wiry nienawiści, potwornie skręcające się nawzajem. Czas mijał, a obie wrogie bandy zapadły w głębokie milczenie. Nigdy jeszcze nie oglądano takiego wyładowania dzikości, toteż widowisko wzbudzało w nich strach. Walczący byli bardziej jeszcze zbydlęceni niż widzowie. Niebawem jednak świeży, atlasowy nalot młodości i sprawności cielesnej stał się, a zapaśnicy poczęli walczyć przezorniej i rozsądniej. Żadna ze stron nie uzyskała dotąd przewagi. -Równe szansę — doszło do uszu Martina. W tejże chwili wykonał zwód, wypuścił prawy i lewy sierp, nadział się na kontrę i poczuł, że policzek ma rozcięty do samej kości. Goła pięść nigdy nie dokonałaby czegoś podobnego. Posłyszał okrzyki zdumienia na widok zadanej mu straszliwej rany i poczuł, jak krew zalewa go strumieniem. Nie odzywał się jednak. Był teraz ostrożny, gdyż przekonał się, że jak podłej chytrności i zbrodniczego podstępu zdolni mogą być ludzie. Czuwał i czekał, potem udał, że atakuje, wstrzymał się z nienacka i dostrzegł błysk metalu w pięści przeciwnika.

— Podnieś łapę do goryl — wrzasnęła. — Masz mosiężny kastet i nim mnie okładasz! Obie bandy rzuciły się naprzód, warcząc i pomrukując. Za chwilę rozgorzałyby ogólna bijatyka, a on, Martin, zostałby

pozbawiony możności zemsty. To wyprowadziło go z równowagi.

— Wynocha, chłopcy! — ryknął ochryple. — Rozumiecie? Czy rozumiecie, u licha? Wszyscy odstąpili od niego. Sami byli bydłętami, lecz on był nadbydlęciem, górującym nad nimi grozą i zmuszającym do uległości.

— To moja bójka i wypraszam sobie jakiegokolwiek wtrącanie się do moich spraw. Daj no tego łamignata!

Pysk-jak-ser, wytrzeźwiony już i nieco przestraszony, oddał zdradziecką broń.

— To tyś mu to wsunął, ruda małpo, przepchnąwszy się do niego przez tłum! — krzyknął Martin ciskając kastet do wody. — Widziałem cię i nie mogłem zrozumieć, po jakie licha tam leziesz. Jak mi jeszcze raz z czymś podobnym wyskoczysz, zatłukę jak psa! Zrozumiano? Walczyli dalej, poprzez i jakby ponad wyczerpanie, dochodząc do jakiegoś niepojętego i niezmiernego upadku sił, aż wreszcie zbydlęcony krąg widzów, nasyciwszy swą żądzę krwi, a przerażony okropnym widokiem, zaczął błagać obu, by zaprzestali walki. Pysk-jak-ser, choć stał jeszcze na nogach, zdawał się równie bliski śmierci, jak gdyby runął bez czucia na ziemię; wtedy ten potwór straszliwy, z którego twarzy wybito wszelkie podobieństwo do dawnego Pyska-jak-ser, stracił pewność siebie i zawahał się. Martin jednak przyskoczył doń i zaczął go walić raz za razem.

Po pewnym czasie, dłużącym się jak stulecie, kiedy Pysk--jak-ser słabł już w oczach, wśród ulewy ciosów rozległ się nagle suchy trzask i prawe ramię Martina zwisło bezwładnie. To pękła kość, o czym nie wątpił nikt z tych, którzy dźwięk słyszeli. Rozumiał to także Pysk-jak-ser, toteż natarłszy jak tygrys na porażonego przeciwnika, obsypał go gradem ciosów. Banda Martina rzuciła się naprzód, chcąc przerwać walkę. Oszołomiony lawiną ciosów, powstrzymał jednak swych kompanów stekiem najordynarniejszych wyzwisk, po czym wybuchł rozełkanym rykiem ostatecznej bezradności i rozpacz.

Nie przestawał walić dalej swoją jedyną, lewą ręką, a kiedy tak łupił uparcie i półprzytomnie, słyszał jakby napływające z niezmiernej odległości pomruki trwogi widzów. Jeden z nich wyrzekł drżącym głosem: — To już nie bójka, chłopcy, to rzeź! Powinniśmy przerwać tę zabawę!

Nikt jednak nie wykonał tego zalecenia, a Martin rad był, że tłucze dalej bez pamięci i nieprzerwanie jedyną swą ręką w coś krwawego, co widział przed sobą, a co nie było już twarzą, lecz ohydą — rozedrganą, wstrętną, roztrzęsioną, nie dającą się nazwać rzeczą, która uporczywie tkwiła przed jego zmaconym wzrokiem i nie chciała zniknąć. Martin uderzał ciągle, ale coraz wolniej, czując, jak ostatni strzęp życia opuszcza go przez tę chwilę trwającą stulecia czy może jakieś nieskończenie długie okresy — aż wreszcie niejasno zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że owa nie dająca się nazwać rzecz stopniowo zniża się i opada powoli aż na drewniany pokład mostu. Za chwilę Martin stał już nad tą bezkształtną masą, chwiejąc się i ślaniając na drżących nogach. Szukał ręką oparcia w powietrzu i mówił głosem, którego sam nie poznawał:

— Chcesz jeszcze? No, gadaj zaraz, czy chcesz jeszcze?

Powtarzał tak w kółko, pytając, wzywając i grożąc, by koniecznie się dowiedzieć, czy tamto coś ma już wreszcie dosyć. W końcu poczuł, jak chwytają go towarzysze, klepiąc po plecach i usiłując naciągnąć nań kurtkę. Potem napłynęła zniemacka ciemność i Martin zemdleł. Błaszany budzik cykał wciąż na stole, lecz Martin Eden, z głową ukrytą w dłoniach, nie słyszał go. Nie słyszał nic w ogóle, a nawet nie myślał. Tak żywo odtworzył w sobie szmat ubiegłego życia, że stracił przytomność naprawdę, podobnie jak to zdarzyło mu się przed laty na moście przy Ósmej ulicy. Przez dobrą minutę trwał mrok. Potem, niby zbudzony z martwych, zerwał się na równe nogi z gorejącymi oczyma, z wilgotną od potu twarzą i krzyknął:

— Spralem cię jednak, Pysku-jak-ser! Czekałem na to całe jedenaście lat, alem cię wreszcie dostał!

Kolana ugięły się pod nim, poczuł się słabo, dojrzał do Józka i usiadł na brzegu. Wciąż jeszcze nie mógł się uwolnić ze szponów przeszłości. Rozglądał się po pokoju, niepewny i strwożony, nie wiedząc dobrze, gdzie się znajduje, aż nagle jego spojrzenie spoczęło na stosie rękopisów w kącie. Wtedy tryby pamięci ruszyły, przenosząc go przez następne cztery lata, i oto już uświadomił sobie teraźniejszość, książki, które zgłębił, wszechświat, który wyrzwał nań z ich kart, swoje marzenia i górne nadzieje, a także miłość ku blademu zjawisku, dziewczynie wrażliwej, niedostępnej i nieziemskiej, która umarłaby ze zgrozy, gdyby choć przez chwilę była świadkiem tego, co on właśnie przeżył w pamięci — tego życiowego bagna, które szczęśliwie miał już za sobą.

Wyprostował się i spojrzał na swoją podobiznę w lustrze.

— Tak powstajesz z prochu, Martinie Edenie — rzekł uroczyście. — Obmywasz oczy w wielkiej światłości, wznosisz ramiona między gwiazdy, przebiegasz cały tor rozwoju życia, odrzucasz precz „pozostałości małpy i tygrysa” i walczysz

0 najwyższą spuścizną wszystkich potęg świata. Spojrzał na siebie uważniej i zaśmiał się.

— Niezła próbka hysterii i melodramatu, co? — zagadnął drwiąco. — Ale nie przejmuj się tym. Pokonałeś Pyska-jak-ser

1 podobnie pokonasz redaktorów, choćby przyszło ci zużyć na to dwakroć po jedenaście lat. Nie wolno ci zatrzymać się w miejscu. Musisz iść naprzód, bracie. Aż do końca.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Budzik zadzwonił głośno, wyrrywając Martina ze snu tak raptownie, że ktoś mniej odporny mógłby się nabawić bólu głowy. Choć zwykle spał mocno, zbudził się natychmiast, niby kot,

a przy tym chętnie — rad, że skończył się okres pięciogodzinnej bezczynności. Nie znoził nieodłącznego od snu stanu nieświadomości. Za dużo miał do roboty, zbyt wiele czekało nań nie przeżytego życia. Drożył się o każdą chwilę uszczkniętą z życia przez sen, toteż zanim jeszcze budzik przestał terkotać, Martin miał już głowę zanurzoną w miednicy i z radością poddawał się zimnym ukłuciom wody.

Nie rozpoczął jednak dnia według zwykłego rozkładu zajęć. Żadna nie dokończona nowela nie czekała na jego rękę ani żaden nowy pomysł opowieści nie domagał się rozwinięcia. Ostatniej nocy długo ślęczał nad nauką, teraz zaś zbliżała się już pora śniadania. Spróbował przeczytać rozdział z Fiskego, ale umysł tak miał niespokojny, że musiał odłożyć książkę. Dzisiejszy dzień miał być świadkiem rozpoczęcia nowego boju, który na pewien czas oderwie go od pisania. Ogarnął go smutek, przywodzący na myśl chwilę pożegnania z domem i rodziną. Spojrzał na rękopisy zalegające kąć podłogi. Do tego więc doszło. Porzucił swoje biedne, pohańbione dzieci, których nikt nie chce znać. Schylił się i zaczął przerzucać papiery, odczytując tu i ówdzie ulubione urywki. Garnek i Przygodę zaszczylił odczytaniem na głos. Radość, najmłodsze dziecko, wczoraj dopiero powołane do życia, lecz rzucone w kąć z powodu braku znaczków pocztowych, zyskało sobie szczególne jego uznanie.

— Nie mogę tego zrozumieć — mruknął — albo może redaktorzy nie mogą zrozumieć. Nic temu zarzucić nie można. W każdym numerze drukują przecież rzeczy słabsze. Właściwie wszystko, co ogłaszają, jest gorsze... a w każdym razie prawie wszystko.

Po śniadaniu Martin włożył maszynę do futerału i zaniósł ją do Oakland.

— Zalegam z opłatą za miesiąc — oświadczył subiektowi w składzie — ale proszę powiedzieć szefowi, że zaczynam pracować i najdalej za miesiąc ureguluję należność.

Przeprawił się promem do San Francisco i udał się do jednego z biur pośrednictwa pracy.

— Proszę o jakąkolwiek pracę, fachu nie mam — zwrócił się do urzędnika przyjmującego zgłoszenia.

Ubiegł go jednak jakiś nowy przybysz, ubrany nieco pretensjonalnie, jak robotnicy, co to lubią się wystroić. Urzędnik przecząco potrząsnął głową.

— Więc nie ma dla mnie nikogo odpowiedniego? — odezwał się obcy. — A ja jednak muszę dziś kogoś znaleźć.

Odwrócił się i spojrzał na Martina, który przyglądając się też ze swej strony, zauważył nałanę i wybladłą twarz, przystojną, lecz niezdrową, i poznał od razu ślady całonocnej hulanki.

— Szukacie zajęcia, co? — zagadnął nowoprzybyły. — A czego moglibyście się podjąć?

— Wszelkich ciężkich robót, a poza tym znam żeglarstwo, piszę na maszynie, choć bez stenografii, i potrafię utrzymać się w siodle. Zresztą gotów jestem na wszystko i chętnie podejmę się każdej pracy.

Tamten skinął głową.

— To mi się podoba. Nazywam się Dawson, Joe Dawson, i szukam pomocnika do obsługi pralni hotelowej.

— Trochę za wiele jak na mnie — uśmiechnął się Martin, wyobrażając sobie z rozbawieniem siebie prasującego białe kobiece fatałaszki. Poczł jednak sympatię do nowego znajomego, dodał więc:

— Nadałbym się pewnie do zwykłego prania. Miałem z tym do czynienia na statku.

Joe Dawson ważył coś w myśli przez chwilę.

— Chodź no pan bliżej, to się może dogadamy, jeśli na ochocie nie zbywa.

Martin chętnie nadstawił ucha.

— Chodzi o niewielką pralnię na prowincji, w hotelu w Shelly przy Gorących Źródłach, uważasz pan. Całą robotę wykonywa dwóch ludzi, majster i pomocnik. Ja właśnie jestem tym majstrem. Nie pracowałbyś pan dla mnie, ale pod moim kierownictwem. No cóż, czy chciałbyś spróbować nauki?

Martin zastanowił się. Propozycja była kusząca. Parę miesięcy tylko, a przy tym miałby czas na naukę. Stać go było na to, by jednocześnie pracować ciężko i fizycznie, i umysłowo.

— Dobry wikt i osobny pokój — odezwał się Joe.

To przeważało szalę. Własny pokój, gdzie można będzie bez przeszkód uczyć się do późnej nocy.

— Ale robota cholerna — dodał tamten.

Martin znacząco pogłaskał nabrzmiałe mięśnie ramion.

— To skutek ciężkiej pracy — rzekł.

— W takim razie dobijajmy interesu. — Tu Joe dotknął ręką głowy. — Ależ mnie diabelnie łupie. Ledwie widzę na oczy. Zeszłej nocy spałem się zdrowo — do ostatniego grosza. A więc sprawa jest taka: zarobek wynosi na dwóch sto dolarów i utrzymanie. Na mnie przypadało dotąd sześćdziesiąt, na pomocnika czterdzieści. Ale tamten znał się dobrze na robocie, a z ciebie żółtodziób. Ucząc cię fachu, będę musiał z początku orać za dwóch. Zaczynasz więc chyba od trzydziestu i w miarę postępów przejdziesz na czterdzieści. Oszukiwać nie będę. Skoro tylko zdołasz wyrobić to, co do ciebie należy, dostaniesz całe czterdzieści.

— A więc zgoda! — oświadczył Martin wyciągając rękę, którą tamten uściśnął. — A czy dostanę zadatek? Na bilet kolejowy i różne wydatki.

— Przepiłem pieniądze — wyznał Joe żałośnie, znów sięgając ręką do obolałej głowy. — Wszystko, co mam przy sobie, to bilet powrotny.

— I mnie nic nie zostanie... po zapłaceniu za mieszkanie i życie.

— To nie płąć, i tyle — doradził Joe.

— Nie da rady. Winien jestem własnej siostrze.

Joe gwizdnał przeciągle z zakłopotaniem i zdawał się bezskutecznie szukać wyjścia.

— Zostało mi jeszcze na jedną kolejkę — rzekł wreszcie z rozpaczą. — Chodź, łykniemy sobie i może coś się wymyśli.

Martin odmówił.

— Cóż to, abstynent?

Tym razem Martin potwierdził, a Joe zaczął się gorzko żalić.

— I ja bym chciał nim być, cóż, kiedy ani rusz nie mogę — dodał beznadziejnie. — Kiedy się naharuję przez cały tydzień, muszę przecież jakoś sobie ulżyć. Gdybym się nie napił, poderżnąłbym sobie gardło albo puściłbym z dymem całą chałupę. Ale dobrze, że ty nie pijesz. Trzymaj się tego, bracie.

Martin zdawał sobie sprawę z niezmiernej przepaści dzielącej go od tego człowieka — przepaści będącej dziełem książek; niemniej jednak bez trudu wrócił na tamtą stronę. Całe życie spędził przecież w świecie robotniczym i koleżeństwo pracy stało się dlań drugą naturą. Bez zbyteńnego wysiłku rozwiązał problem przejazdu na miejsce pracy, co przekraczało możliwości bolącej głowy tamtego. Skrzynkę z rzeczami nada do Shelly bagażem za biletom Joe. Dla siebie ma przecież rower. Odległość wynosiła siedemdziesiąt mil, mógł więc przebyć ją w niedzielę i stanąć do pracy w poniedziałek rano. Tymczasem pójdzie do domu i spakuje manatki. Żegnać się nie ma z kim. Ruth z całą rodziną wyjechała na długie, letnie wakacje w górską okolicę Sierry nad jeziorem Tahoe.

Do Gorących Źródeł przybył zmęczony i zakurzony w nocy z niedzieli na poniedziałek. Joe powitał go z wylewną radością. Z głową owiązaną mokrym ręcznikiem spędził cały ostatni dzień przy pracy.

— Ponieważ straciłem czas na wyjazd po ciebie, została mi część prania z zeszłego tygodnia — wyjaśnił. — Twój kuferek dojechał szczęśliwie i stoi już u ciebie. Ale ciężki jak diabli! Cóż ty w nim wozisz? Sztaby złota?

Kiedy Martin zajął się rozpakowywaniem rzeczy, Joe usiadł na łóżku. Rolę kufereka pełniła skrzynka do prowiantów, za którą pan Higginbotham policzył szwagrowi pół dolara. Dwa uchwyty ze sznura, przymocowane przez Martina, przeistoczyły skrzynkę w rodzaj walizki

nadającej się do przewozu wagonem bagażowym. Joe wytrzeszczał ze zdumienia oczy, widząc, jak Martin, wyciągnąwszy ze skrzynki kilka zmian bielizny, wyjmując dalej tylko książki i książki.

— I to tak aż do dna? — zapytał.

Martin skinął głową i zabrał się do układania książek na stoliku kuchennym, który zastępował w pokoju umywalnię.

— To ci dopiero I — wybuchnął Joe i zatrzymał się na chwilę, by dać czas mózgowi na wysnucie odpowiednich wniosków. Wreszcie wnioski te dojrzały. — Ty chyba... niewiele dbasz o dziewczęta, co? — zapytał.

— Istotnie — brzmiała odpowiedź. — Przedtem latałem za nimi niemało, ale odkąd zająłem się książkami, nie mam już na to czasu.

— Tu też nie będzie na nic czasu. Starczy go ledwie na pracę i sen.

Martin pomyślał o swoich pięciogodzinnych nocach i uśmiechnął się. Pokoik był nad pralnią, w tym samym budynku co i maszyna pompująca wodę, wytwarzająca prąd elektryczny i pędząca samą pralnię. Mechanik, który mieszkał w sąsiednim pokoju, wpadł na chwilę, by poznać nowego pomocnika, i pomógł przy tym Martinowi zawiesić żarówkę na długim drucie, pozwalającym przesuwac dowolnie światło od stołu aż do łóżka.

Nazajutrz rano zbudzono Martina kwadrans po szóstej, zapowiadając, że ma się stawić na śniadanie za kwadrans siódma. Wobec tego, iż w budynku pralni mieściła się łazienka dla służby, Martin wziął zimną kąpiel, wprawiając tym swego*o zwierzchnika w niezwykle zdziwienie.

. — Ależ dziwny z siebie gość I — oznajmił Joe, gdy zasiedli do śniadania w kącie hotelowej kuchni.

Byli tam wraz z nimi: mechanik, ogrodnik z pomocnikiem i kilku stajennych. Jedli pośpiesznie, w ponurym nastroju, prawie wcale nie rozmawiając, Martin zaś, przysłuchując im się w czasie jedzenia, zrozumiał, jak bardzo daleko odbiegł już od ich poziomu. Ich słaby rozwój umysłowy wprost go przygnębiał i pilno mu było uwolnić się od tego towarzystwa. Łykał więc na wyścigi z nimi śniadanie, które stanowiła jakaś mdła, letnia polewka, i z westchnieniem ulgi znalazł się za drzwiami kuchni, udając się na miejsce pracy.

Była to mała, lecz świetnie wyposażona pralnia parowa, w której maszyny robiły wszystko, co tylko mogło być mechanicznie wykonane. Martin, po otrzymaniu najniezbędniejszych pouczeń, zabrał się do sortowania wielkich stosów brudnej bielizny, gdy tymczasem Joe puścił w ruch płuczkę i przygotował zapas płynnego mydła, sporządzonego z tak żrących składników, że musiał poowijać sobie usta, nozdrza i oczy ręcznikami kąpielowymi, co nadało mu wygląd istnej mumii. Ukończywszy sortowanie Martin przeszedł z kolei do wyżymania bielizny. Polegało to na wrzucaniu mokrych sztuk do wirówki, która robiąc parę tysięcy obrotów na minutę, odsączała z nich wodę za pomocą działania siły odśrodkowej. Następnie Martin podzielił swój czas między suszarkę i wyżymaczkę, w chwilach wolniejszych „wytrzásając” jeszcze skarpetki i pończochy. Po południu maglowali je, przy czym jeden wpuszczał sztuki do maszyny, a drugi odbierał i układał w stopy jednocześnie zaś grzały się żelazka. Do szóstej prasowali bieliznę, ale Joe potrząsał głową z wyraźną troską.

Mamy ogromne opóźnienie — rzekł. — Trzeba będzie harować po kolacji.

I rzeczywiście, po kolacji pracowali aż do dziesiątej, przy oślepiającym blasku lamp elektrycznych, dopóki ostatnia sztuka bielizny nie została uprasowana i złożona w rozdzielni. Była upalna noc kalifornijska i chociaż okna otwarto na oścież, w izbie roboczej z rozpalonym do czerwoności piecem do grzania żelazek panował żar piekielny. Martin i Joe, w samych tylko podkoszulkach bez rękawów, ociekali potem i dyszeli z braku powietrza.

— To przypomina ładowanie statku w klimacie tropikalnym — odezwał się Martin, kiedy po skończonej pracy wchodzili na piętro.

— Głupstwo, bracie, nadasz się — odrzekł Joe. — Bierzesz się do roboty jak się patrzy. Jeśli się dalej tak będziesz uwijał, to tylko przez jeden miesiąc dostaniesz trzydzieści dolarów. Już w drugim miesiącu zarobisz całą czterdziestkę. Tylko nie wmawiaj we mnie, żeś nigdy nie miał do czynienia z prasowaniem. Nie nabierzesz mnie na to!

— Ależ słowo daję, że w życiu ani jednej szmaty nie wyprasowałem — zarzekał się Martin. Znalazłszy się w swoim pokoju zdziwił się, jak bardzo czuje się zmęczony, zapominając o tym, że przez bite czternaście godzin pracował bez wytchnienia. Nastawił budzik na szóstą i odliczył wstecz pięć godzin. Wynikało z tego, że może czytać do pierwszej. Ściągnąwszy buty, by ulżyć nabrzmiałym stopom, usiadł przy stole pośród książek. Otworzył Fiskego w miejscu, gdzie go przed dwoma dniami porzucił, i wziął się do czytania. Jednak już przy pierwszym ustępie natknął się na tyle niejasności, że zaczął go czytać od nowa. Po jakimś czasie ocknął się, czując ból w zeszywniałych mięśniach i chłód wiatru górskiego, wdzierający się przez otwarte okno. Martin spojrzął na budzik. Była druga. Musiał zatem przespać całe cztery godziny. Zrzucił ubranie i wśliznął się do łóżka; kiedy przyłożył głowę do poduszki, zapadł natychmiast w głęboki sen.

Wtorek był dniem nie mniej wytężonej pracy. Szybkość, z jaką Joe wykonywał robotę, wzbudzała podziw Martina.

W pracy wyzwał się z niego tuzin demonów. Będąc stale nastrojony na najwyższe tempo, Joe w ciągu całego dnia nie miał takiego momentu, w którym nie walczyłby o ułamki chwil. Skupiał się wyłącznie na pracy i sposobach zaoszczędzenia czasu, wytykając nieraz Martinowi, że pięcioma ruchami robi to, co dałoby się wykonać trzema, lub że na inną jakąś czynność zużywa trzy ruchy zamiast dwóch. Przyjrzawszy się dobrze robocie Joego, Martin stwierdził, że polega ona na wyeliminowaniu wszelkich zbędnych ruchów. Sam zresztą był również dobrym pracownikiem, szybkim i zręcznym, który miał za punkt honoru nie dać się wyręczać ani wyprzedzać nikomu. W rezultacie również niepodzielnie skupił uwagę na robocie i z całą skwapliwością chwycił wszelkie wskazówki i pouczenia rzucone mu przez towarzysza. Rozcierał krochmal na kołnierzykach i mankietach, pilnie dbając o to, aby najmniejsza grudka nie wcisnęła się między podwójne warstwy płótna, co mogłoby przy prasowaniu spowodować powstanie zmarszczek i skaz. Uwijał się przy tym tak dzielnie, że zasłużył na pochwałę Joego.

Nie było nigdy żadnej przerwy w pracy. Zawsze istniała konieczność natychmiastowego wykonania czegoś. Joe nie czekał nigdy na nic, nad niczym nie marudził, przerzucał się błyskawicznie z jednej pracy na drugą. Nakrochmalili dwieście białych koszul w ten sposób, by otoczki przy rękawach i kołnierzu, karczek i gors wystawały jednocześnie spod obejmującej je prawej ręki. W tej samej chwili lewa ręka podtrzymywała całość koszuli, zabezpieczając ją przed zetknięciem z krochmalą, prawa zaś zanurzała się w krochmalu tak gorącym, że chcąc go rozetrzeć, musieli co chwila chłodzić ręce w wiadrze zimnej wody. Tej nocy pracowali do pół do jedenastej, krochmaląc „sztywne drobiazgi”, jak nazywali różne fatalaszki kobiece.

— Ja tam głosuję za obyczajem podzwrotnikowym, nie uznającym ubrań — zaśmiał się Martin.

— To ja bym został bez pracy — odpowiedział poważnie Joe. — Nie znam się przecież na niczym poza praniem.

— Za to na tym znasz się pan dobrze.

— Jeszcze by też! Zacząłem w Contra Costa w Oakland, mając lat jedenaście. Szykowałem wtedy sztuki d'o magla. Było to osiemnaście lat temu i od tej pory nie tknąłem już innej roboty. Ale nigdy nie miałem tak potwornej orki jak tutaj. Powinni dodać jeszcze co najmniej jednego chłopca. Jutro znów będziemy pracowali w nocy. Zawsze w środy wieczorami trzeba maglować kołnierzyki i mankiety.

Martin nastawił budzik, usiadł przy stole i otworzył Fiskego, lecz nie mógł skończyć nawet pierwszego ustępu. Wiersze zamazywały się i ziewały ze sobą, a głowa kiwała mu się na wszystkie strony. Zaczął przechadzać się po pokoju, wściekle okładając głowę pięściami, nie mógł jednak w żaden sposób opanować senności. Trzymał książkę tuż przed nosem, a powieki rozsuwał palcami, mimo to jednak zasnął z szeroko otwartymi oczyma. Wtedy poddał się, na pół przytomnie ściągnął ubranie i zwałił się na łóżko. Przespał siedem godzin ciężkim, zwierzęcym snem, lecz ocknąwszy się na dźwięk budzika, poczuł, że i tego mu jeszcze mało.

— Dużo czytujesz? — zapytał Joe. Martin potrząsnął głową.

— Nie przejmuj się tym. Dziś w nocy popracujemy nad maglem, ale za to w czwartek skończymy robotę o szóstej. Wtedy sobie powetujesz stracony czas.

Tego dnia Martin prał ręcznie wełniane sztuki w wielkiej beczce pełnej mocnych mydlin. Do tarcia używał ośki od koła osadzonej na drążku, który z kolei przymocowany był do zwi-sającego z góry giętkiego prętu.

— To mój wynalazek — rzekł z dumą Joe. — Działa skuteczniej niż tarcia i ludzkie pięści, a ponadto pozwala zaoszczędzić co najmniej piętnaście minut tygodniowo, co w tym całym kołowrocie nie jest bynajmniej rzeczą do pogardzenia.

Przepuszczanie kołnierzyków i mankietów przez magiel było również pomysłem Joego. Tej nocy, kiedy pracowali przy świetle elektrycznym, Joe wyjaśnił zalety tego urządzenia.

— W żadnej innej pralni tego nie robią, ale ja muszę się

tego trzymać, jeśli mam w sobotę skończyć pracę o trzeciej po południu. Cała rzecz w tym, że wiem dobrze, na czym sekret polega. Trzeba mieć odpowiednią temperaturę, stosować właściwy ucisk i trzykrotnie przepuszczać sztukę przez magiel. Popatrz tylko I — Tu podniósł mankiet do góry. — Nie zrobiłbyś lepiej ani w rękę, ani na foremce.

W czwartek Joe wpadł we wściekłość: do pralni przysłano nadprogramową porcję „sztywnych drobiazgów”.

— Rzucam posadę — oświadczył. — Nie zniosę tego. Stanowczo wymówię miejsce. Na co mi harować przez cały tydzień jak niewolnik i oszczędzać na każdej minucie, jeśli oni zasypują mnie ni stąd, ni zowąd dodatkowymi partiami do krochmalenia? To jest przecież wolny kraj I Zaraz powiem temu spaszemu Holendrowi, co o nim myślę. I to nie po francusku. Wystarczy mi najzupełniej prosta, amerykańska mowa. Śmie mi tu przysyłać jakieś dodatkowe sztywne drobiazgi!

— Będziemy musieli pracować tej nocy — odezwał się po chwili, zmieniając zdanie i poddając się losowi.

Tak więc Martin znów nie mógł poczytać przed spaniem. Przez cały tydzień nie oglądał żadnej gazety, ale ze zdziwieniem spostrzegł, że bynajmniej mu tego nie brakuje. Nie interesowały go nowiny ze świata. Był zbyt znużony i otepiały, by przejmować się czymkolwiek, chociaż w sobotę po południu — gdyby skończyli pracę o trzeciej — zamierzał udać się na rowerze do Oakland. Oznaczało to siedemdziesiąt mil w jedną stronę i tyleż z powrotem w niedzielę po południu, wobec czego nie pozostawało wiele czasu na odpoczynek przed następnym tygodniem pracy. Mniej męczący byłby przejazd koleją, ale koszt całej podróży wyniósłby wtedy dwa i pół dolara, Martin zaś zdecydowany był oszczędzać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Martin uczył się wielu rzeczy. Już w pierwszym tygodniu w ciągu jednego popołudnia zdołali się wraz z Joem załatwić z całą partią dwustu sztywnych koszul. Joe operował przyrządem złożonym z żelazka osadzonego dla zwiększenia ucisku na stalowej sprężynie. Aparatem tym prasował karczek, mankiety oraz otoczkę kołnierza, którą jednocześnie nastawiał pod kątem

prostym do koszuli. Ostatnie pociągnięcia poświęcone były gorsowi. W miarę wykańczania sztuk Joe ciskał je na wieszak stojący między nim a Martinem, który z kolei chwycił je i doglądał", prasując wszystkie nie nakrochmalone części koszul.

Robota była prawdziwie męcząca, gdyż wykonywało się ją bez przerwy, z największą szybkością. Na obszernych, otwartych werandach hotelu spoczywali tymczasem mężczyźni i kobiety w przewiewnej bieli, sącząc mrożone napoje i unikając wszelkiego wysiłku. W pralni natomiast powietrze zionęło żarem. Olbrzymi piec rozpalony był do czerwoności, a chwilami nawet do białości, spod żelazek, przesuwanych po wilgotnym płótnie, buchały kłęby pary. Żelazka te nagrzane były bez porównania silniej, niż zwykły to czynić gospodynie. Żelazko wytrzymujące pospolitą próbę poślinionego palca nie nadawało się dla Joego i Martina, którzy jej w ogóle nie stosowali. Właściwy stopień nagrzania określali wyłącznie przez przybliżenie żelazka tuż do samego policzka, przy czym ocenę umożliwiał jakiś tajemniczy proces umysłowy, którego Martin

zrozumieć nie mógł, mimo że go szczerze podziwiał. Jeśli okazało się, że żelazko jest zbyt gorące, chwyтали je czymś w rodzaju żelaznej wędki i zanurzali w zimnej wodzie. Czynność ta wymagała znowu dokładnej i czujnej oceny; wystarczyło, by żelazko o ułamek sekundy za długo przebywało w wodzie, a jedyny właściwy stopień nagrzania stracony był bezpowrotnie. Martin ze zdumieniem śledził osiągniętą przez siebie sprawność — bezbłądność automatu, opartą na zasadach równie nieomylnych jak działanie maszyny.

Niewiele jednak było czasu na podobne rozważania. Cała uwaga Martina musiała się skupiać na pracy. Zarówno jego głowa, jak i ręka, a więc to wszystko, co czyniło zeń inteligentną maszynę godną miana człowieka, bez chwili przerwy zajęte było wytwarzaniem owej sprawności. W mózgu Martina nie było miejsca na wszechświat z jego wielkimi problemami. Wszystkie rozległe i przestronne krużganki jego umysłu zamknięte były na cztery spusty. Komora jego duszy stanowiła ciasną izdebkę, rodzaj wieżyczki sygnalizacyjnej, skąd kierowane były mięśnie ramion i barków, ruchy dziesięciu zwinnych palców, a wreszcie zamaszyste posunięcia żelazek, co muszą biec wzdłuż swych parujących szlaków ściśle określoną ilość razy, zawsze tak daleko, jak potrzeba, nigdy ani o ułamek cała dalej, mknąc po niezliczonym mnóstwie rękawów, boków, tyłów i spodów, by można było wreszcie odrzucić wykończoną koszulę na półkę odbiorczą. A skoro tylko zdążył odrzucić, już musiał sięgać po następną koszulę. Ciągnęło się to całymi godzinami, a tymczasem za oknem cały świat omdlewał pod żarem padających z zenitu promieni kalifornijskiego słońca. Ale w tej przegrzanej do ostateczności izbie nie można było pozwolić sobie na mdlenie. Goście chłodzący się na werandach potrzebowali przecież czystej bielizny.

Pot łał się z Martina. Wypijał wprawdzie niezmiernie ilości wody, ale rozgrzanie wynikłe z upału i z wytężonej pracy było tak wielkie, że woda natychmiast przesiąkała wszystkimi porami na zewnątrz. Praca na morzu, z wyjątkiem rzadkich tylko chwil, dawała mu możliwość zagłębiania się w samego siebie. Dowódca statku był co prawda panem jego czasu, ale tu zarządca hotelu stawał się ponadto panem jego myśli. Martin nie troszczył się już o nic poza znojem, co rozstrajał mu nerwy i niszczył ciało. Wszystko inne stawało się dla myśli niedostępne. Nie pamiętał już o tym, że kocha Ruth. Dziewczyna w ogóle dlań nie istniała, gdyż jego zapędzona dusza nie miała czasu przypomnieć sobie o niej. Jedynie gdy włókł się wieczorem do łóżka lub rano na śniadanie, postać jej ukazywała mu się niekiedy przelotnie w pamięci.

— To piekło, a nie życie I prawda? — zauważył kiedyś Joe.

Martin przytaknął, lecz poczuł, jak wzbiera w nim rozdrażnienie. Fakt był zbyt oczywisty, by należało go stwierdzać. Przy pracy z zasady nie rozmawiali ze sobą. Wszelka wymiana słów wytrącała ich z tempa roboty — i teraz Martin opuścił jedno posunięcie żelazkiem, co go zmusiło do dwóch nadprogramowych ruchów celem przywrócenia zakłóconego rytmu.

W piątek rano uruchomiono płuczkę mechaniczną. Dwa razy na tydzień brano do roboty bieliznę hotelową: prześcieradła, poszewki, narzutki, obrusy i serwety. Skończywszy z tym, wzięli się do „sztywnych drobiazgów”. Była to praca żmudna, wymagająca dokładnego wdawania się w szczegóły, i Martin z trudem nabierał w niej wprawę. Poza tym nie mógł pozwolić sobie na żadne ryzyko. Najmniejsza omyłka groziła katastrofą.

— Popatrz tylko na to I — odezwał się Joe podnosząc w górę misterny staniczek, który z łatwością można było ukryć w jednej dłoni. — Uszkodzi to, a potrąca ci zaraz dwadzieścia dolarów z uposażenia.

Wobec tego Martin nie zadrasnął nawet tego cacka i musiał zwolnić napięcie mięśni, choć nerwy napięte miał mocniej niż kiedykolwiek. Życzliwie słuchał też przekleństw, jakie miotał Joe, mozoląc się i stękając nad ślicznymi fatalazkami kobiet, które same nie potrzebują prac swych rzeczy. „Sztywne drobiazgi” były zmorą obu towarzyszy. To one okradały ich z zaoszczędzonych z takim trudem minut. Pracowali przy nich cały dzień. O siódmej wieczorem musieli przerwać, by przepuścić przez magiel hotelową pościel i obrusy. Od dziesiątej, kiedy goście udali się już na spoczynek, obaj męczennicy pralni mordowali się nad sztywnymi drobiazgami do północy, do pierwszej, do drugiej... O pół do trzeciej skończyli pracę.

W sobotę rano powróciły znów na widownię „sztywne drobiazgi” obok innych różności i dodatków, o trzeciej zaś po południu praca tygodniowa została ukończona.

— Nie wybierasz się chyba po tym wszystkim na siedem-dziesięciomilową przejażdżkę do Oakland? — zagadnął Joe, gdy zasiedli na schodach i zapalili tryumfalnego papierosa.

— Muszę!

— Co cię tam ciągnie? Dziewczyna?

— Nie. Chcę wymienić książki w czytelnicy. A na rowerze jadę dlatego, żeby nie wydać dwu i pół dolara na bilet kolejowy.

— Czemu nie wyślesz książek pocztą? Kosztowałyby cię to tylko po ćwierć dolara w każdą stronę.

Martin zastanowił się.

— I odpocząłbyś przy tym jutro — nastawał tamten. — Potrzeba ci tego. Wiem o tym dobrze po sobie. Wy żyłowany jestem do cna.

Istotnie, znać było na nim wyczerpanie. Ten człowiek nieokiełznany, niezmordowany, który walczył przez cały tydzień o sekundy i minuty, zapobiegał wszelkim zwłokom i łamał wszelkie przeszkody; ten zbiornik niewyczerpanej energii, motor ludzki o najwyższej wydajności, demon pracy — teraz, po ukończeniu tygodniowej roboty, przeżywał stan całkowitego załamania. Był sterany i zgnębiony, a jego przystojna twarz zapadła się, świadcząc o ostatecznym znużeniu. Z rezygnacją zaciągał się dymem, a głos miał dziwnie martwy i monotony. Cały rozmach i ogień życia opuściły go bez śladu. Nawet zwycięstwo przesycone było goryczą.

— A na przyszły tydzień wypadnie nam odrabiać znów to samo od początku — rzekł żałośnie. — I co mam z tego

wszystkiego? Czasami żałuję, że nie jestem włóczęgą. Ci przynajmniej nie pracują, a i tak jakoś żyją. Wiesz co? Z przyjemnością łyknąłbym piwa, tylko nie mogę zdobyć się na to, żeby pójść do miasteczka na kufelek. A jak tu nie zostaniesz i nie wyślesz tych książek pocztą, to z ciebie kiepski wariat i tyle.

— A co bym tu robił przez całą niedzielę? — spytał Martin.

— Odpocząłbyś. Nie wiesz sam, jak bardzo jesteś przemęczony. I ja przecież taki jestem skonany w niedzielę, że nawet gazety nie mam siły przeczytać. Byłem kiedyś chory — miałem tyfus. Dwa i pół miesiąca przebyłem w szpitalu. I nie miałem nic do roboty przez cały czas. To był raj, nie życie.

— Raj, nie życie I — powtórzył po chwili w rozmarzeniu.

Martin wykąpał się, po czym stwierdził, że kierownik pralni znikł gdzieś bez śladu. Najprawdopodobniej poszedł jednak w końcu poszukać tego piwa, ale półmilowy spacer do miasteczka, żeby się o tym przekonać, wydał się Martinowi zbyt uciążliwą wyprawą. Położył się na łóżku zdjawszy obuwie i usiłował na coś się zdecydować. Nie sięgnął po książkę. Zanim był zmęczony, aby odczuwać senność, leżał więc w półprzytomnym otępieniu, o niczym prawie nie myśląc, aż nadeszła pora kolacji. Joe nie zjawił się wcale na ten posiłek, kiedy zaś ogrodnik zauważył, że przyjaciel ich niewątpliwie dzielnie się popisuje w karczmie, Martin zrozumiał wszystko. Zaraz potem położył się do łóżka, rano zaś poczuł, że wreszcie zdrowo wypoczął. Ponieważ Joe nadal się nie pokazywał, Martin wziął niedzielną gazetę i rozłożył się w przytulnym zakątku w cieniu drzew. Ani się nie obejrzał, jak minął ranek. Nie spał, nikt mu nie przeszkadzał, ale mimo to nawet gazety nie dokończył. Po obiedzie powrócił do niej znowu, lecz sen go zmorzył nad nie doczytanym pismem.

Tak minęła niedziela, w poniedziałek zaś z samego rana Martin znowu sortował bieliznę, podczas gdy Joe, z głową ściśle owiązaną ręcznikiem, jęcząc i klęcząc obsługiwał płuczkę i mieszał mydliny.

— Nie mogę nic na to poradzić — wyjaśnił. — Jak nadejdzie sobotni wieczór, muszę się upić.

Minął drugi tydzień. Wielka kampania, stale przeciągająca się do późna w nocy, kończyła się w sobotę o trzeciej po południu. Wtedy Joe przeżywał chwilę mizernego tryumfu i wkrótce szedł do karczmy szukać zapomnienia. Druga niedziela Martina nie różniła się od poprzedniej. Drzemał w cieniu drzew, męczył się bez celu nad gazetą i długie godziny spędzał leżąc na wznak, nic nie robiąc i o niczym nie myśląc. Zanim był otępiąły, aby myśleć, lecz mimo to zdawał sobie sprawę, że nie jest z siebie zadowolony. Był sobie po prostu wstrętny, jak gdyby poniżył się moralnie. Wszystko, co nosiło w nim piętno boskości, zostało wymazane. Bodziec ambicji przestał działać, gdyż brakło siły żywotnej, która by odczuwała jego podniety. Nie było w nim życia, dusza wydawała się martwa. Stał się zwykłym roboczym zwierzęciem. Nie dostrzegał już piękna w blasku słońca przenikającym przez zieleń listowia, a lazurowe sklepienie nieba przestało szeptać doń tajemnie, wabiąc kosmicznym bezkresem i czarem nieznanymi prawdami, tęsknie wyczekujących ujawnienia. Życie było nieznośnie nudne i głupie, a jego smak budził mdłości. Zwierciadło duchowego wzroku zostało zakryte czarną jakąś przesłoną, a znużona wyobraźnia legła w zaciemnionej izbie chorych, do której światło słoneczne nie miało dostępu. Martin zazdrościł towarzysowi, który tam w miasteczku, słaniając się na nogach i podpierając szynkwas, z głową pełną urojeń, po pijak-ku rozczulał się nad kłiwymi sprawami i w chwalebny i fantastyczny stanie zamroczenia zapominał o poniedziałkowym ranku i nadchodzącym tygodniu nieludzkiej mordegi. . Mijał już trzeci tydzień, a Martin coraz dotkliwiej czuł odrazę do siebie samego i życia. Przejęty był głębokim poczuciem klęski. Redaktorzy nie bez racji odrzucali jego prace. Obecnie widział to już jasno, drwiąc z samego siebie i ze swoich marzeń. Ruth zwróciła mu Liryki morza pocztą. Jej list odczytał bez wzruszenia. Dziewczyna robiła, co mogła, aby dać mu odczuć, że utwór jest piękny i że bardzo jej się podobał. Nie umiając jednak kłamać, nie mogła też wmówić w samą siebie opinii niezgodnej z własnym przekonaniem. Uważała stanowczo, że poemat jest mierny. Martin zaś między wierszami wyczuwał nieprzychylną ocenę, bijącą z każdego zdawkowego lub obojętnego słowa. Ruth nie była w błędzie; odczytawszy utwór ponownie, Martin sam przychylił się w pełni do jej zdania. Piękno i czar opuściły go, a gdy czytał teraz ten zbiorek, zachodził w głowę, co go skłoniło do napisania czegoś podobnego. Śmiałość myśli uważał za groteskę, oryginalne zwroty wydały mu się potwornością, każde słowo brzmiało niedorzecznie, nieprawdopodobnie i niemożliwie. Byłby chętnie zniszczył Liryki morza od razu, gdyby starczyło mu energii na spalenie ich. Było co prawda palenisko w sali maszyn, lecz wysiłek

wstania, przeniesienia papierów i ciśnięcia ich w płomień wydawał się Martinowi nadmierny. Wszystkie siły zużył na pranie cudzej bielizny; na potrzeby osobiste nie pozostało mu nic. Martin postanowił, że w najbliższą niedzielę weźmie się w karby i odpowie na list Ruth. Ale w sobotę po południu, po ukończeniu roboty i kąpeli, oświadczyła mu nieprzeczona chęć zapomnienia o wszystkim. Pójdę zobaczyć, co porabia Joe — mówił sobie, wiedział jednak doskonale, że nie jest szczery. Nie miał dość siły woli, by zastanowić się nad tym kłamstwem; zanadto pragnął zapomnienia. Wyruszył w stronę wioski powoli i od niechcenia, lecz w miarę zbliżania się do gospody mimo woli przyśpieszał kroku.

— Popatrz no, a ja myślałem, że pijasz tylko wodę — przywitał go Joe.

Martin nie raczył udzielić wyjaśnień, lecz zażądał trunku i napełnił swoją szklankę po brzegi, nim podał butelkę koledze.

— Żebyś się tylko z tym nie guzdrał całą noc — rzucił oschle.

Gdy Joe zbyt długo marudził nad flaszką, Martin, nie czekając na niego, wychylił szklankę duszkiem i napełnił ją powtórnie.

— Teraz mogę na ciebie poczekać — rzekł ponuro. — Ale śpiesz się!

Joe posłuchał wezwania, po czym pili już razem.

— To robota tak ci dogodziła, co? — zagadnął Joe. Martin nie zdradzał chęci zagłębiania się w ten temat.

— Istne piekło, wiem o tym — ciągnął Joe — ale swoją drogą, jeśli mam być szczery, bardzo mi przykro, że i ciebie, Mart, tak chwyciło. No to za twoje zdrowie!

Martin pił dalej w milczeniu, z rzadka tylko rzucając ostrym tonem zamówienia, czym budził zgrozę w karczmarzu, zniewieściałym, młodym wieśniaku z jasnoniebieskimi, wodnistymi oczami i przedziałkiem na środku.

— To doprawdy skandal, jak tu nami biedakami orzą — zauważył Joe. — Gdybym się nie schlał, nie wytrzymałbym i spaliłbym całą budę. Całe ich szczęście, że piję, daję ci słowo I Lecz Martin w dalszym ciągu nie odpowiadał. Po kilku jeszcze kolejkach zaczął odczuwać, jak do mózgu wpełzają mu czerwie trucizny. To było życie; po raz pierwszy od trzech tygodni owionął go dech życia. Wracały jego dawne sny. Wyobraźnia wykradła się z ciemnicy i wabiła go promiennym blaskiem. Zwierciadło widzeń lśniło znowu srebrzyście, ukazując przebogate następstwo obrazów. Czar i piękno kroczyły zgodnie u jego boku, a cała potęga świata była na jego usługę. Starał się wytłumaczyć te sprawy towarzysowi, ale Joe miał swoje, odmienne widzenia, ukazujące mu nieomylną drogę wyzwolenia się z obecnego niewolniczego bytu i dorobienia się własnej, wielkiej parowej pralni.

— Powiadam ci, Mart, w mojej pralni dzieciarnia nie będzie robiła, nigdy w świecie! A po szóstej wieczór żadna żywa dusza nie będzie już pracowała. Daję na to najświętsze słowo! Dość będzie maszyn i rąk, aby całą robotę odwalić we właściwym i przyzwoitym czasie, a ciebie, Mart, jak pragnę zdrowia, zrobię zarządcą całego interesu, starszym nad wszystkim i nad wszystkimi. A plan, uważasz, mam taki: przez dwa lata nie tykam kieliszka i składam grosze, oszczędzam zawzięcie, a potem...

Ale Martin odwrócił się tymczasem, zostawiając kolegę przemawiającego do karczmarza, dopóki dostoyny ten obywatel nie oddalił się również, by podać napoje dwóm nawo przybyłym farmerom, którzy zaraz u wejścia przyjęli gościnne zaproszenie Martina. Martin częstował z królewską rozrzutnością, zapraszając do picia wszystkich bez wyboru: parobków folwarcznych, jednego ze stajennych oraz ogrodnika z hotelu, samego karczmarza i jakiegoś obcego włóczęgę, który wśliznął się do gospody jak cień i jak cień snuł się po kątach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W poniedziałek rano Joe stękał nad pierwszą partią bielizny, którą miał wrzucić do płuczki.

— Wiesz co... — zaczął.

— Nie odzywaj się do mnie! — burknął Martin.

— Przepraszam cię, Joe — rzekł w południe, kiedy szli na obiad.

W oczach tamtego ukazały się łzy.

— Dobrze już, dobrze, bracie — odrzekł. — Żyjemy w piekle i nie umiemy się pohamować. A wiesz, tak się jakoś złożyło, że cię cholernie polubiłem. Dlatego mnie to zabolalo. Od pierwszej chwili przylgnąłem do ciebie.

Martin serdecznie uściśnął mu dłoń.

— Warto by nawiać stąd — podsunął Joe. — Plunąć na to wszystko i ruszyć w świat.

Nigdy jeszcze nie próbował włóczyć, ale to musi być diabelnie łatwe. I nic się nie ma do roboty. Pomyśl tylko, nic do roboty! Chorowałem kiedyś na tyfus, w szpitalu — to było cudowne! Chciałbym jeszcze kiedyś zachorować.

Tydzień roboczy upływał. Hotel był pełen gości i dodatkowe porcje „sztywnych drobiazgów” sypały się do pralni obficie. Obaj dokonywali cudów pracowitości. Codziennie do późna w noc zmagali się z pracą przy świetle elektrycznym, pośpiesznie łykali posiłki i nawet przed śniadaniem potrafili wykroić pół godziny na robotę. Martin przestał brać zimne kąpiele. Bez przerwy odbywał się wyścig, zawsze i ciągle wyścig, a Joe — niby gorliwy pasterz — strzegł zazdrośnie każdej chwili, nigdy żadnej nie gubiąc, przeliczając je jak sknera ślęczący nad swym złotem. Pracował w jakiejś gorączce, odwalając robotę jak rozszalała maszyna, wspomagany dzielnie przez drugą maszynę, której się zdawało, że była kiedyś Martinem Edenem, człowiekiem.

Rzadko zdarzało się, że Martin był w stanie myśleć. Dom jego myśli był szczelnie zamknięty, okna zabite naглуcho, a on sam był tylko ponurym dozorcą. Stał się po prostu cieniem. Joe miał słusność. Obaj byli cieniami snującymi się po tym przedpieklu nieustannego znoju. Może to był sen? Czasem, w parnym, dusznym upale, przeciągając ciężkie żelazka tam i na powrót po białym płótnie, odnosił wrażenie, że to musi być sen. Za chwilę albo może za tysiąc lat zbudzi się znów do życia w swej izdebce za stołem poplamionym atramentem i zacznie pisać w miejscu, gdzie wczoraj przerwał. A może to też jest snem, a przebudzenie nastąpi w chwili zmiany wachty na okręcie; zerwie się wtedy z pryczy w kołyszącym się forkasztelu i wyskoczy na pokład pod rozgwieżdżone tropikalne niebo, by chwycić koło sterowe i poczuć, jak go owiewa chłodny podmuch pasatu.

Nadeszła sobota wraz ze swym wątpliwym zwycięstwem

0 trzeciej po południu.

— Zajdę chyba na kufel piwa — rzekł Joe owym dziwnym, bezdźwięcznym tonem, znamionym dla jego sobotnich załamań.

Martin jak gdyby się nagle przebudził. Sięgnąwszy po torbę z narzędziami, naoliwił rower, powłókł smarem łańcuch

i napompował dętki. Kiedy Joe był w połowie drogi do karczmy, minął go Martin nisko pochylony nad kierownicą, silnie i rytmicznie pedałujący, z wyrazem twarzy świadczącym o mocnym postanowieniu przebycia siedemdziesięciu mil drogi bez względu na upał i kurz. Tej nocy przespał się w Oakland, a w niedzielę odbył siedemdziesiąt mil drogi powrotnej. W poniedziałek rano, choć silnie znużony, przystąpił do następnego tygodnia pracy z dumnym przeświadczeniem, że jednak nie poszedł na wódkę. Minął tydzień piąty i szósty, w czasie których Martin żył i pracował jak maszyna, ale wewnątrz tliła mu się słaba iskierka czegoś więcej, jakaś odrobina duszy, co zmuszała go przy końcu każdego tygodnia do pokonywania stu czterdziestu mil. Nie było jednak miejsca na wypoczynek. Był to jakiś szczyt zmechanizowanego życia, przyczyniający się walnie do zdu-

szenia owej tlejącej odrobiny duszy, która stanowiła jodyną pozostałość po jego poprzednim życiu. Pod koniec siódmego tygodnia podświadomie, za słaby, żeby się oprzeć pokusie, udał się wraz z Joem do miasteczka, gdzie topił i odnajdywał życie aż do poniedziałku.

Potem znowu co tydzień zaczął odrabiać swe sto czterdzieści mil rowerowej jazdy, by przemoc otępienie, płynące z nadmiernego wysiłku, silniejszym otępieniem, zrodzonym z jeszcze większego przemęczenia. Pod koniec trzeciego miesiąca jeszcze raz zaszedł z Joem do karczmy. Znalazł tam zapomnienie, ożył na nowo i ożywszy ujrzał w chwilowym błysku samowiedzy cały ogrom własnego zezwierżenia, w które dał się wpędzić nie tyle przez wódkę, ile przez nadmierną pracę. Pijaństwo było skutkiem, nie przyczyną. Następowало nieuchronnie w ślad za przepracowaniem, jak noc następuje po dniu. Nie przez byt roboczego bydłęcia prowadzi droga na wyżyny — to prawda, którą wódka mu objawiła i z którą musiał się zgodzić. Wódka była mądra. Odkrywała tajemnice własnego istnienia.

Zażądał papieru i ołówka, zamówił napoje dla wszystkich obecnych, a gdy całe towarzystwo piło skwapliwie za jego zdrowie, oparł się o szynkwas i zaczął coś gryzmolić.

— Oto telegram, Joe — rzekł wreszcie. — Przeczytaj I

Joe czytał pijackimi, zamglonymi oczami. Odczytane wyrazy przywróciły mu jednak widocznie trzeźwość. Spojrzał na towarzysza z wymówką, a łzy zaślniły mu w oczach i zaczęły spływać po policzkach.

— Nie zrobisz mi przecież kawału? — zagadnął z rozpaczą w głosie.

Martin pokiwał głową i polecił chłopcu zanieść depezę na pocztę.

— Zatrzymaj się chwilę — mruknął niewyraźnie Joe. — Pozwól, niech się namyślę.

Oparł się o szynkwas, a że nogi odmawiały mu posłuszeństwa, chwycił się mocno ramienia podtrzymującego go Martina i zagłębił się w rozważaniach.

— Napisz tam o dwóch fachowcach do pralni — rzekł zniecka. — Czekaj, sam to przerobię.

— Po co masz porzucać pracę?

— Po to co i ty.

— Ale ja wybieram się na morze, a ty się do tego nie nadajesz.

— To prawda — odrzekł Joe — ale nadaję się za to do włóczęgi... o tak, doskonale się nadaję.

Martin przez chwilę patrzył nań badawczo, po czym wykrzyknął:

— Na Boga, chyba masz słusność! Lepiej być włóczęgą niż bydłciem roboczym.

Przynajmniej zaznasz życia! A tego nigdy jeszcze dotąd nie dopiął.

— O przepraszam, byłem już raz w szpitalu — sprostował Joe. — To było wspaniałe!

Tyfus... musiałem ci już chyba opowiadać o tym?

Kiedy Martin zmieniał tekst depezy na „dwóch fachowców do pralni”, Joe ciągnął dalej:

— Będąc w szpitalu, nie tęskniłem wcale do wódki. To śmieszne, co? Ale kiedy przez cały tydzień morduję się jak niewolnik, muszę się potem urznąć! Czyś zauważył kiedy, że kucharze żłopią jak świnię? A i piekarze też? To praca temu winna. Oni nic na to nie mogą poradzić. Czekaj, zapłacę połowę za telegram.

— Zagramy o to w kości! — zaproponował Martin.

— Chodźcie tu, kolejka dla wszystkich! — zawołał Joe, kiedy po zmieszaniu kości wyrzucili je na wilgotny szynkwas.

W poniedziałek rano Joe szalał z niecierpliwości. Nie zwracał uwagi na ból głowy ani nie przejmował się zbyt swą pracą. Całe stada straconych chwil uchodziły w dal i ginęły bezpowrotnie, a ich beztroski pasterz wyglądał wciąż przez okno na zalane słońcem drzewa.

— Spójrz no tylko! — wołał. — To wszystko jest moje! I to za darmo. Mogę położyć się pod tymi drzewami i zasnąć choćby na tysiąc lat, jeśli bym zechciał. Wiesz co, Mart, skończmy już raz z tym wszystkim. Po co zwlekać choćby chwilę dłużej? Tam na dworze jest kraina wiecznego odpoczynku, a bilet do niej już zdobyłem, i to, głowę daję, że nie powrotny!

W chwilę potem Joe, napełniając zbiornik płuczki brudną bielizną, wypatrzył wśród niej koszulę zarządcy hotelu. Poznał ją po naszytym znaku i w nagle zbudzonym radosnym poczuciu wolności cisnął ją na podłogę i zaczął deptać nogami.

— Żałuję, że sam tam w środku nie siedzisz, ty holenderski wieprzu! — wykrzykiwał na cały głos. — W tej koszuli, pod moimi nogami. Masz tu za swoje! I jeszcze razi I to na dokładkę, pal cię lichu! Trzymajcie mnie, kto żyw, trzymajcie, ludzie, bo będzie nieszczęście!

Martin ze śmiechem napędzał go do roboty. We wtorek wieczór przybyli nowi kandydaci, reszta tygodnia zeszła więc na zaznajamianiu przybyszów z miejscowymi warunkami pracy. Joe siadał przy nich i wyjaśniał tajniki swego systemu, sam jednak nic już nie robił.

— Żadnego więcej ruchu — oświadczył — nawet najmniejszego wysiłku. Mogą mnie wyrzucić, jeśli chcą, bo przecież i tak się wynoszę. Dłużej pracować w tym kieracie nie chcę, dziękuję uprzejmie. Ja tam wolę wagony towarowe i cień pod drzewami. Niech się męczą niewolnicy, proszę bardzo! Niech orzą i pocą się do woli! Kiedy już zdechną, zgniją tak samo jak ja — więc co za różnica, jak się żyje? No, powiedzcie mi szczerze, jaka różnica w ostatecznym wyniku?

W sobotę Martin i Joe odebrali wynagrodzenie i doszli razem do rozstajnych dróg.

— Więc nie ma już żadnej nadziei, żebyś się dał namówić na wspólną włóczęgę? — zapytał z rezygnacją Joe,

Martin potrząsnął głową. Stał przy swym rowerze, gotów do odjazdu. Uścisnęli sobie dłonie; a Joe zatrzymał przez chwilę rękę kolegi, mówiąc na pożegnanie:

— Zobaczymy się jeszcze kiedyś, Mart. Na pewno, czuję to w kościach. Żegnaj, chłopie, i trzymaj się zdrowo I Wiesz, jak diabelnie cię lubię.

Stał pośrodku drogi jak obraz żałości, dopóki Martin nie zniknął za zakrętem.

— Dobry był z niego chłop — mruknął. — Z kośćmi dobry .

Potem zaś powłókł się drogą w stronę stacji kolejowej, gdzie na bocznym torze koło wieży ciśnień stało z pół tuzina pustych wagonów oczekujących nadejścia pociągu towarowego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ruth wraz z rodziną wróciła już do domu z wakacji, i Martin, osiadłszy po staremu w Oakland, widywał się z nią często. Po uzyskaniu dyplomu przestała się uczyć, on zaś, wyczerpawszy w nadmiernej pracy wszelką energię umysłową i cielesną, na razie nic nie pisał. Mieli więc dla siebie więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem i zażyłość ich szybko rosła.

Z początku Martin tylko odpoczywał. Dużo spał i spędzał długie godziny na marzeniach i rozmyślaniach. Zachowywał się jak ktoś, kto powraca do zdrowia po ciężkiej chorobie.

Pierwszym objawem odradzania się było żywsze zainteresowanie gazetami. Potem zaczął znowu czytać: najpierw lżejsze powieści i poezje, ale już po kilku dniach zakopał się aż po uszy w zaniedbanym od dawna Fiskem. Silny organizm zakwitł nową żywotnością, wzmożoną jeszcze przez bujność i odporność młodości.

Ruth nie ukrywała rozczarowania, kiedy oświadczył jej, że jak tylko dobrze wypocznie, ruszy znów na morze.

— Dlaczego pan się na to decyduje? — zapytała.

— Dla pieniędzy — odparł. — Muszę odłożyć pewien fundusz, który pozwoliłby mi wznowić atak na redaktorów. Pieniądze są przecież nerwem wojny, a w moim wypadku dochodzi do tego jeszcze i cierpliwość.

— Ale jeśli panu tylko o pieniądze chodzi, czemu nie pozostał pan w pralni?

— Bo pralnia robiła ze mnie zwierzę. Nadmiar tego rodzaju pracy doprowadza do pijaństwa. Spojrzała na niego ze zgrozą.

— Czy to ma znaczyć, że?... — wyszeptała.

Łatwo zdołałby wykręcić się z tego, jednak wrodzona skłonność kazała mu mówić prawdę, do czego bez względu na okoliczności zobowiązywało go też powzięte dawniej postanowienie.

— Tak jest — odrzekł. — Właśnie. Nawet kilka razy. Zadrzała i odsunęła się od niego.

— Nie znałam dotąd mężczyzny, który by coś podobnego uczynił... nigdy w życiu.

— Bo widocznie żadnemu z nich nie wypadło pracować w pralni przy Gorących Źródłach w Shelly — zaśmiał się gorzko Martin. — Praca jest rzeczą zbawienną.

Podtrzymuje zdrowie ludzkie, jak twierdzą kaznodzieje, i Bóg świadkiem, że nie bałam się jej nigdy. Ale wiemy przecież, że i dobrych rzeczy nie należy nadużywać, a tą właśnie wadą odznacza się owa pralnia. Dlatego to jeszcze raz wybieram się na morze. Sądzę, że będzie to ostatnia moja wyprawa tego rodzaju, bo po powrocie wtargnę zwycięsko do czasopism. Jestem tego pewien.

Ruth zachowywała chłodne milczenie, chłopak zaś przyglądał się jej ze smutkiem, uprzytomniając sobie, że dziewczyna nigdy nie zdoła pojąć, przez co on musiał przejść.

— Napiszę kiedyś rozprawę na temat: Poniżający wpływ przepracowania lub Psychologia pijaństwa w klasie robotniczej czy też coś w tym rodzaju.

Nigdy jeszcze od chwili zawarcia, znajomości nie byli sobie tak obcy. Jego szczerą spowiedź, u podstaw której tkwił duch buntu, wzbudziła w niej niechęć. Bardziej jednak zastanowił ją sam fakt powstania tej odrazy niż przyczyny, jakie się na to złożyły. Fakt ten przekonał ją 'o tym, jak daleko zaszło już dotychczasowe ich zbliżenie, a pogodzenie się z tym stanem rzeczy torowało drogę do jeszcze ściślejszej zażyłości. Poza tym zrodziła się w niej litość i naiwne, idealistyczne pomysły

nawracania zbłąkanej duszy. Powinna ratować tego nieokrzesanego młodzieńca, który tak obiecująco zaczynał się rozwijać. Wyzwoli go od przekleństwa środowiska lat dziecięcych, obroni go przed nim samym, choćby wbrew niemu samemu. Własny stan ducha wydawał się jej nad wyraz wzniosły; nie śniło się jej nawet, że u podstaw tego stanu, na samym dnie jej jaźni, kryje się zazdrość i żądza miłości.

Korzystając z cudnej pogody jesiennej wyjeżdżali często na rowerach za miasto i tam, wśród wzgórz, na zmianę czytali głośno poezję, szlachetne, wzniosłe wiersze kierujące myśli ku wyższym dziedzinom ducha. Wyrzeczenie, ofiarność, cierpliwość, pilność i wzniosłość celów składały się na zasady, które Ruth za pośrednictwem literatury starała się chłopcu zaszczerpić, przy czym oderwane te pojęcia ucieleśniały się w jej umyśle w osobach ojca, pana Butlera i Andrzeja Carnegie, który z ubogiego młodego imigranta stał się mężem opatrnościowym, co świat cały obdarzył dobrodziejstwem książki.

Wszystko to Martin oceniał czerpiąc stąd radość niemałą. Łatwiej już teraz nadał za myślami Ruth, a jej dusza przestała wydawać mu się cudem zamkniętym na siedem pieczęci. Byli już oboje na równym poziomie intelektualnym, a dzielące ich niezgodności poglądów nie odbijały się bynajmniej na jego uczuciach. Kochał Ruth goręcej niż kiedykolwiek, kochał ją taką, jaka była, i nawet jej wątpliwość stanowiła dlań dodatkowy urok. Znał z lektury postać chorowitej Elżbiety Barrett, która przez całe lata nie dotknęła stopą ziemi — aż do owego płomiennego dnia, kiedy uciekając z Browningiem stanęła o własnych siłach na gościńcu pod gołym niebem; co zaś Browning uczynił dla niej, tego i Martin z pewnością dokonać potrafi w stosunku do Ruth. Przede wszystkim jednak dziewczyna musi go pokochać. Wszystko dalej pójdzie już łatwo. Podzieli się z nią własną siłą, własnym zdrowiem! W wyobraźni odtwarzał już wspólne życie w latach, które nadejdą. Na tle

pracy, wytwornego otoczenia i ogólnego dobrobytu widział siebie z Ruth, zajętych pochłanianiem i zgłębianiem poezji. Ona będzie mu czytać głośno, leżąc na podłodze wśród mnóstwa poduszek. To był klucz ich przyszłego życia. Obraz ten powracał doń zawsze w podobnej formie. Czasami Martin czytał, trzymając ukochaną w pól, ona zaś słuchała, wsparta głową na jego ramieniu. Kiedy indziej razem błędzili po kartach pełnych piękna. Ponieważ

Ruth kochała też przyrodę, Martin z wspaniałomyślną gotowością zmieniał niekiedy scenę ich lektury, umieszczając ją w jakiejś dolince zamkniętej stromymi ścianami gór, to znów na wysoko położonych halach lub nisko, wśród siwych wydm nadmorskich, gdzie fale niosły im pianę do stóp, albo wreszcie daleko, na zagubionej wulkanicznej wysepce podzwrotnikowej, gdzie wodospady w locie przemieniają się w mgłę, by dosięgnąć morza w postaci zwiewnych obłoków pary, kolebiących się i drżących za każdym zbłąkanym tchnieniem wiatru. Ale zawsze na pierwszym planie obrazu byli oni oboje, niby władcy piękna, wiecznie zaczytani i dzielący się wrażeniami, z tyłu zaś, na dalszym planie, ukrytym poza tłem krajobrazu, tkwiły zawsze w mętym zarysie praca, powodzenie i zarobione pieniądze, pozwalające mu cieszyć się światem i wszystkimi jego skarbami.

— Radziłabym mojej córeczce nieco ostrożności — ostrzegła pewnego dnia pani Morse córkę.

— Wiem, o czym myślisz, mamó. Ale to niepodobieństwo I Przecież on nie jest...

Ruth spłonęła rumieńcem, był to jednak czysty rumieniec dziewczęcy, wywołany koniecznością omawiania po raz pierwszy świętych spraw życia z matką, którą uważała za równie świętą.

— Z twojej sfery — dokończyła za córkę pani Morse. Ruth skinęła głową twierdząco.

— Nie chciałam tego mówić, ale tak jest istotnie. On jest taki surowy, brutalny, silny — stanowczo za silny! on nie...

Zawahała się, nie śmiąc rozwinąć dalej swej myśli. Po raz

pierwszy przecież mówiła z matką o podobnych rzeczach. I znów matka ją wyręczyła:

— Nie prowadził czystego życia, to, zdaje się, chciałaś powiedzieć?

Ruth przytaknęła znów i jeszcze raz rumieniec pokrył jej policzki.

— Właśnie o to chodzi — rzekła. — To wprawdzie nie jego wina, ale nieraz ocierał się...

— O brudy?

— Tak, o brudy. I dlatego właśnie budzi we mnie lęk. Czasem jestem wprost przerażona, gdy zaczyna lekko i swobodnie rozprawiać o rzeczach, które robił — jak gdyby to nie miało żadnego znaczenia. A przecież wcale tak nie jest, prawda, mamó?

Siedziały objawszy się ramionami, a gdy zapadło milczenie, matka zaczęła głaskać rękę córki, jak gdyby zachęcając ją do dalszych zwierzeń.

— A swoją drogą jestem nim bardzo zajęta — ciągnęła Ruth. — Do pewnego stopnia jest przecież moim podopiecznym. Z drugiej znów strony to pierwszy mój przyjaciel, choć może właściwie nie tyle przyjaciel, ile coś pośredniego między przyjacielem a wychowankiem. Czasami znów, kiedy mnie przestraszy, wydaje mi się po prostu buldogiem, którego wzięłam do zabawy, jak wiele studentek z korporacji, a który wyrывa się ze smyczy, szczyrzy kły i w każdej chwili grozi ucieczką.

Matka milczała dalej.

— Przypuszczam, że on mnie interesuje podobnie jak ów buldog. A jednak dużo w nim jest dobrego, choć jest i wiele takich rzeczy, które nie mogłyby mi się podobać... w tamtym wypadku. Widzisz, mamó, myślałam już o tym nieraz. On klnie, pali, pije, a nawet kiedyś bił się na pięści (sam się do tego przyznał i stwierdził, że to lubi). Jest po prostu przeciwieństwem tego, czym powinien być człowiek, którego mogłabym pragnąć — tu głos jej zniżył się do szeptu — na męża. A poza tym jest zbyt silny. Wybraniec mego serca musiałby być wysoki, smukły, ciemnowłosy, pełen wdzięku i czaru, jak królewicz z bajki. Nie, nie ma obawy, żebym się mogła zakochać w Martinie Edenie. Byłoby to najgorsze ze wszystkiego, co może mnie spotkać.

— Ale ja wcale nie to miałam na myśli — odezwała się podstępnie matka. — Czy jednak pomyślałaś o nim? On, który przecież w ogóle nie wchodzi tu w rachubę, mógłby przecież zakochać się w tobie.

— Kiedy on jest już zakochany... od dawna — zawołała

dziewczyna.

— To było do przewidzenia — rzekła łagodnie pani Morse. — Czyż mogło być inaczej z chwilą, gdy cię bliżej poznał?

— A jednak Olney nienawidzi mnie — wykrzyknęła Ruth gwałtownie. — Ale ja odpłacam mu pięknym za nadobne. W jego obecności zawsze się złościę. Wiem, że odnoszę się do niego niegrzecznie, a nawet wtedy, kiedy nie jestem w takim nastroju, on sam jest wobec mnie niemiły. Za to z Martinem Edenem jest mi zawsze dobrze. Nikt nie kochał mnie przedtem — w ten sposób, oczywiście, mam na myśli mężczyzn. A tak dobrze jest czuć się kochaną... w ten właśnie sposób. Wiesz, mamu najdroższa, co mam na myśli. Dobrze jest czuć się naprawdę i do głębi kobietą. — Z płaczem ukryła twarz na kolanach matki. — Uważasz mnie pewnie za potwora, ale ja z całą szczerością odsłaniam ci to, co czuję. W duszy pani Morse w dziwny sposób zagościły jednocześnie smutek i radość. Zamiast córki, będącej, mimo dyplomu magistra, zawsze tylko dzieckiem, stała przed nią córka-kobieta. Eksperyment się udał. Niewytłumaczona luka w naturze Ruth została wypełniona, i to w sposób nieszkodliwy, nie grożący żadnymi komplikacjami. Ten nieokrzesany marynarz odegrał rolę narzędzia, za sprawą którego Ruth, nie kochając go wcale, zdobyła jednak świadomość własnej kobiecości.

— Ręce mu drżą — zwierzała się dziewczyna, z twarzą wciąż jeszcze wstydliwie ukrytą na kolanach matki. — To zabawne, a nawet śmieszne, ale mnie doprawdy go żal. Kiedy mu już ręce zanadto drżą, a oczy zanadto płoną, robię mu wykład na temat jego życia i niewłaściwego sposobu, w jaki stara się je ulepszyć. Uwielbia mnie, wiem o tym. Jego ręce i oczy nie kłamią. Myśl o tym każe mi czuć się dorosłą — sama myśl; uświadamiam sobie, że jest we mnie coś, co słusznie mi przysługuje, a upodabnia mnie do innych dziewcząt... no i... do młodych kobiet. Zrozumiałam, że dotychczas coś mnie od nich różniło i że dla ciebie było to źródłem trosk. Myślałaś, że ja tego serdecznego niepokoju w tobie nie dostrzegam, ale naprawdę było inaczej. Toteż chciałam się poprawić tak, aby byli ze mnie ludzie, jak powiada Martin Eden.

Była to dla matki i córki godzina pełna świętych wzruszeń. W czasie tej pogawędki o szarej godzinie oczy obu zaszyły łzami. Ruth sprawiała wrażenie wcielonej niewinności i szczerości, matka zaś słuchała z czułym zrozumieniem, a potem spokojnie udzielała rad i wskazówek.

— On jest o całe trzy lata młodszy od ciebie — mówiła. — Nie ma żadnej określonej pozycji. Nie ma ani stanowiska, ani uposażenia. Brak mu zmysłu praktycznego. Jeśli cię kocha, powinien, w imię zdrowego rozsądku, zrobić coś, co dałoby mu prawo założyć rodzinę, zamiast zawracać sobie głowę tymi swoimi powiastkami i innymi dziecinnymi mrzonkami. Obawiam się, że Martin Eden nigdy nie będzie dojrzały. Nie potrafi wziąć się do odpowiedniej męskiej pracy, jak to zrobił twój ojciec i wszyscy nasi przyjaciele, na przykład pan Butler. Zdaje mi się, niestety, że Martin Eden nigdy nie nauczy się zarabiać pieniędzy. A świat tak jest urządzony, że pieniądze nieodzownie potrzebne są do szczęścia. Nie myślę oczywiście

O jakichś olbrzymich bogactwach, ale o zamożności pozwalającej na wygodę i przyzwoite życie. A on... czy nigdy ci nic nie wyznał?

— Ani słówka. Nawet nigdy nie próbował. Ale gdyby i chciał to uczynić, nie dopuściłabym do tego, bo, widzisz, nie kocham go.

— Ciesz się tym. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby moja córka, i to jedyna córka, taka czysta i niewinna, pokochała człowieka tego pokroju. A nie brak przecież na świecie mężczyzn szlachetnych, niezepsutych, szczerych i prawdziwie męskich. Zaczekaj na nich. Przyjdzie dzień, że spotkasz jednego z nich, zakochasz się w sobie i będziesz z nim szczęśliwa, podobnie jak i my z ojcem twoim

stworzyliśmy sobie wspólne szczęście. I jeszcze jest jedna sprawa, o której nie wolno ci zapominać...

— Słucham cię, mamó.

Głos pani Morse brzmiał cicho i słodko, kiedy wyrzekła:

— Chodzi mi o dzieci.

— Ja... myślałam i o tym — wyznała Ruth, wspominając niesforne myśli, które ją niedawno dręczyły, a jej twarz znowu oblała się rumieńcem dziewiczego wstydu, wywołanego samą koniecznością mówienia o takich sprawach.

— Otóż właśnie względ na dzieci nie pozwala brać w ogóle pana Edena pod uwagę — ciągnęła rzeczowo pani Morse. — Ich dziedzictwo musi być czyste, a on, jak sędzę, ma już naturę skalaną. Twój ojciec opowiadał mi o życiu żeglarzy, no i... sama chyba rozumiesz. Ruth skwapliwie uściśnęła dłoń matki na znak, że rozumie, choć zarysowujące się w jej umyśle pojęcia nosiły charakter czegoś oddalonego, co było straszne, mgliste i przekraczało wszelkie wyobrażenie.

— Wiesz przecież, mamó, że nigdy niczego przed tobą nie ukrywam — zaczęła nieśmiało.

— Ale widzisz, trzeba czasem, żebyś sama zwróciła się do mnie, tak jak teraz właśnie. Chciałam ci powiedzieć i nie wiedziałam, jak się wziąć do tego. Wiem dobrze, że to tylko fałszywy wstyd, ale ty możesz mi bardzo ułatwić zadanie. Powinnaś mnie od czasu do czasu zapytać tak po prostu, by dać mi sposobność wypowiedzenia się.

Bo przecież, mamó, i ty też jesteś kobietą I — zawołała w podnieceniu, a kiedy obie wstały, chwyciła ręce matki i stojąc tak wyprostowana, patrząc jej prosto w oczy, w półcieniu zmierzchu, uświadomiła sobie tę dziwną a słodką równość, jaka zapanowała między nimi. — Nigdy nie pomyślałabym w ten sposób o tobie, gdyby nie ta nasza rozmowa. Musiałam najpierw zrozumieć, że sama jestem kobietą, by poznać, że i ty nią jesteś.

— Obie jesteśmy kobietami — odrzekła matka tuląc ją do siebie i całując. — Obie — powtórzyła, gdy objąwszy się w pół wychodziły z pokoju, z sercami wezbranymi poczuciem nowo-ujawnionego koleżeństwa.

— Nasza dziewczynka stała się kobietą — oświadczyła z dumą pani Morse mężowi w godzinę później.

— To znaczy — odparł spojrzawszy bacznie na żonę — to znaczy, że się zakochała.

— Nie, to znaczy tylko, że jest kochana — odpowiedziała z uśmiechem żona. —

Doświadczenie dało oczekiwany wynik. Dziewczyna wreszcie rozbudziła się.

— W takim razie należałoby się go już pozbyć — zawyrokował pan Morse tonem szorstkim i rzeczowym, jakim omawia się zazwyczaj sprawy handlowe.

Żona jego zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie będzie to potrzebne. Ruth powiada, że on w tych dniach wyrusza na morze. Kiedy wróci, jej tu już nie będzie. Wyślemy ją do ciotki Klary. A poza tym doskonale na nią wpłynie rok pobytu na wschodzie — zmiana klimatu, otoczenia, zainteresowań i całego w ogóle środowiska.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Znowu obudziło się w Martinie pragnienie pisania. Pomysły opowieści i poematów, które tryskały mu z głowy, notował sobie dla pamięci, aby kiedyś w przyszłości nadać im pełny wyraz. Na razie jednak nie pisał. Urządził sobie małe wakacje, które postanowił poświęcić wypoczynkowi i miłości. W obu tych dziedzinach dobrze mu się wiodło. Wkrótce wróciła jego dawna żywotność, a ilekroć się widywali, Ruth już w chwili spotkania doświadczała znanego jej od dawna uderzenia bijącej od niego fali tężyzny i zdrowia.

— Bądź ostrożna — ostrzegła ją raz jeszcze matka. — Obawiam się, że zbyt wiele przebywasz w towarzystwie Martina Edena.

Ruth jednak, w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa, śmiała się z tych obaw. Była pewna siebie, a zresztą on za kilka dni miał wyruszać na morze. Kiedy wróci, ona będzie już daleko na wschodzie. Niemniej siła i zdrowie Martina miały dla niej nieodparty urok. Martin został również powiadomiony o zamierzonym wyjeździe na wschód, wobec czego poczuł nagłą potrzebę pośpiechu. Nie miał jednak pojęcia, jak należy się zalecać do dziewczyny w rodzaju Ruth. Szczególnie krępowało go bogate doświadczenie zdobyte w obcowaniu z dziewczętami i kobietami najzupełniej do niej niepodobnymi. Wszystkie one znały się dobrze na sztuce kochania, na życiu i flirtach, podczas gdy Ruth nic o tym wszystkim nie wiedziała. Jej niezwykle niewinność onieśmiała chłopca, mroząc na jego wargach każde gorętsze słowo i przekonywając go wbrew woli, że nie jest jej godny. Inna jeszcze okoliczność odbierała mu swobodę: sam dotychczas nigdy nie był zakochany. Lubił nieraz kobiety w tej swojej bujnej przeszłości, niekiedy nawet bywał pod ich urokiem, ale prawdziwej miłości nie zaznał ani razu. Wystarczyło mu przecież gwizdnąć władczo i beztrąsko, by kobiety same przybiegały. Bywały dla niego rozrywką, epizodem — odgrywały pewną rolę w hazardzie, jakim jest życie mężczyzny, rolę na ogół niewielką. A teraz po raz pierwszy jemu wypadło grać rolę kornego petenta, czulego, nieśmiałego i pełnego zwątpienia. Nie znał dróg prawdziwej miłości ani słów, którymi przemawia, jawna zaś niewinność wybranki jego serca przejmowała go wprost lękiem.

W toku zaznajamiania się z różnorodnością świata, kręcąc się w wirze nieustannych jego przemian, Martin przyjął jako zasadę, że uczestnicząc w mało sobie znanej grze, zawsze lepiej ustąpić pierwszego ruchu stronie przeciwnej. Wychodził na tym korzystnie tysiące razy, a jednocześnie wyrabiał sobie zmysł obserwacji. Umiał bacznie przyglądać się nie znanej sobie rzeczy, czekając na ujawnienie się jakiegoś słabego punktu, jakiejś wyrwy umożliwiającej czynne wkroczenie. Przypominało to defensywne oczekiwanie w spotkaniu pięściarskim na sposobność zadania dobrego ciosu. Kiedy zaś sposobność taka wreszcie nadchodziła, długie doświadczenie pozwalało mu wykorzystać ją w pełni.

Tak więc i teraz, mając do czynienia z Ruth, Martin czekał i pilnie baczył na wszystko.

Pragnął wyznać swą miłość, lecz nie śmiał. Bał się urazić dziewczynę i sam siebie nie był pewien. Choć nie wiedział o tym, w zabiegach swych trzymał się drogi właściwej. Miłość zjawiała się na świecie wcześniej niż mowa artykułowana i w zaraniu swej młodości poznała sposoby i ścieżki, których nigdy już potem nie zapomniała. W ten właśnie pierwotny, prymitywny sposób Martin zalecał się do Ruth. Z początku sam nawet nie wiedział, że to czyni, ale wkrótce zdał sobie z tego sprawę. Zetknięcie jego ręki

z dłonią dziewczyny miało wymowę stokroć potężniejszą niż jakiegokolwiek słowo, a wpływ, jaki jego siła wywierała na jej wyobraźnię, przekraczał czar wszelkich drukowanych poematów i namiętnych wypowiedzi tysięcy pokoleń kochanków. Wszystko, co jego słowa mogły wyrazić — przemówiłoby jakoś do jej rozsądku, lecz złączenie rąk, przelotne zetknięcie ciał działało bezpośrednio na jej instynkt. Umysł Ruth był równie młody jak ona sama, ale instynkty były tak stare jak rasa ludzka, a może nawet starsze. Młodość przeżywały — kiedy miłość była młoda, a mądrością przewyższały zwyczaję, głos opinii i to wszystko, co stworzył czas. W grze tej rozsądek Ruth nie brał udziału — żaden bodziec nie zmuszał go do wypowiedzi. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z mocy, z jaką Martin przemawiał do jej miłostnego instynktu. Jednocześnie jasne było jak dzień, że chłopiec ją kocha, toteż Ruth świadomie rozkoszowała się takimi przejawami jego uczuć, jak blask oczu promieniejących tkliwością, drżenie rąk czy niezawodny rumieniec, co rozlewał się ciemną falą pod opalenizną skóry. Dziewczyna szła nawet dalej, podniecając go nieśmiało, robiła to jednak tak delikatnie, że chłopiec niczego się nie domyślał, a przy tym na pół świadomie, tak że sama ledwie zdawała sobie z tego sprawę. Rozkoszą jednak przejmowały ją wszystkie te dowody potęgi,

świadczące o pełni jej kobiecości, i z radością godną nieodrodnej córki Ewy dręczyła go i igrała jego męką.

Milczący z braku doświadczenia i z nadmiaru uczucia, prowadząc swe zaloty jakby mimochodem, niezdarnie, Martin nie przestawał jednak czynić postępów w swej taktyce zdobywania dziewczyny przez bezpośrednie zbliżenia. Dotknięcie jego ręki było jej miłe, a nawet stokroć więcej niż miłe. Martin nie wiedział o tym, czuł jednak, że Ruth nie jest temu niechętna. Ręce ich nie spotykały się zbyt często poza chwilami powitań i pożegnań, ale przy prowadzeniu rowerów, przytracaniu do nich tomów poezji, zabieranych na wzgórze, i odwracaniu kart wspólnie czytanych książek niejednokrotnie nadarzała się sposobność przelotnego otarcia się ich dłoni. Nieraz też zdarzało się, że jej włosy musnęły jego policzki lub że zetknęły się ich ramiona, gdy razem pochylali się nad podziwianą książką. Dziewczyna uśmiechała się do siebie, czując nagłą, a nie wiadomo skąd powstałą chęć zatopienia palców w jego włosach; on znowu, kiedy sprzykrzyło im się już czytanie, odczuwał nieprzewartą chęć złożenia głowy na jej kolanach, by móc z zamkniętymi oczami marzyć do woli o ich wspólnej przyszłości. W dawnych czasach, podczas niedzielnych majówek w parkach Shell Mound czy Schuetzen, kładł w ten sposób głowę na kolanach niejednej dziewczyny i zazwyczaj zasypiał przy tym zdrowo i samolubnie, podczas gdy one osłaniały mu twarz od słońca, spoglądały nań z miłością i dziwiły się wielkopańskiej obojętności, z jaką traktował ich miłość. Złożyć głowę na kolanach dziewczyny zdawało mu się dotychczas rzeczą najprostszą w świecie, a teraz nagle okazywało się, że bywa to czasem niewykonalne. A jednak siła zalotów Martina leżała właśnie w jego powściągliwości. Dzięki niej dziewczyna nigdy nie została spłoszona. Choć skłonna do skrupułów i przesadnie nieśmiała, nie uświadamiała sobie wcale niebezpieczeństwa tkwiącego w ich bliskiej zażyłości. Stopniowo i niewidocznie pociągało ją coś coraz bardziej ku niemu, on zaś, czując tę rosnącą spójnię, pragnął odważyć się, lecz wciąż był pełen lęku.

Wreszcie pewnego popołudnia zebrał się na odwagę, gdy zastał ją w przyciemnionym salonie, cierpiącą na straszliwy ból głowy.

— Nie ma na to żadnej rady — odpowiedziała na jego troskliwe pytanie. — Zresztą nie stosuję żadnych środków przeciwbólowych; doktor Hali nie pozwala mi na to.

— Zdaje mi się, że mógłbym temu zaradzić bez żadnych proszków — odrzekł Martin. — Nie jestem tego pewien oczywiście, ale chciałbym spróbować. To po prostu rodzaj masażu. Pierwsi nauczyli mnie tego Japończycy. Jak pani wiadomo, jest to naród masażystów. Potem przeszkolono mnie jeszcze odmienną metodą na wyspach Hawaj, gdzie nazywają to lomi-lomi. Skutkuje to nie gorzej od lekarstw, a niekiedy pomaga w wypadkach, gdy leki są bezsilne.

Zaledwie jego ręce dotknęły głowy Ruth, chora westchnęła z głęboką ulgą.

— O jak mi dobrze — rzekła.

W pół godziny potem odezwała się jeszcze raz, pytając:

— Czy nie czuje się pan zmęczony?

Pytanie zadane było tylko dla formy, gdyż wiedziała dobrze, jaką otrzyma odpowiedź.

Następnie zatoneła w półsennej kontemplacji, chłonąc balsam jego mocy. Życie tryskało z czubków jego palców, przepędzając, jak się zdawało, cały ból, aż wreszcie, z uczuciem ukojenia, dziewczyna usnęła, Martin zaś wysunął się natychmiast z pokoju.

Wieczorem tego dnia zatelefonowała, aby mu podziękować.

— Spałam aż do obiadu — powiedziała. — Wyleczył mnie pan całkowicie, panie Eden, i nie wiem wprost, jak mam wyrazić swą wdzięczność.

Gdy Martin, podniecony wzruszeniem, odpowiadał dziewczynie jękając się z niewymownego szczęścia, w jego umyśle podczas całej rozmowy tkwiło uporczywie wspomnienie o Browningu i chorowitej Elżbiecie Barrett. Co się raz stało, może się łącznie powtórzyć, a on, Martin Eden, potrafi to zrobić i na pewno zrobi dla Ruth Morse. Powrócił do swego pokoju i

do otwartej Socjologu Spencera, porzuconej na łóżku. Nie mógł jednak czytać. Miłość dręczyła go tak silnie, opanowując wolę, że na przekór postanowieniu znalazł się przy poplamionym atramentem stoliku. Sonet, który tej nocy ułożył, zapoczątkował cykl złożony z pięćdziesięciu sonetów miłosnych, ukończony w ciągu dwóch miesięcy. Pisząc miał nieustannie w pamięci Sonety portugalskie, tworzył zaś w warunkach najlepszych dla tego rodzaju pracy, w szczytowym uniesieniu życia, w porywie najśłodszych cierpień miłości. Długie godziny z dala od Ruth poświęcał swemu Cyklowi miłosnemu, lekturze w domu lub też pobytom w publicznych czytelniach, gdzie zaznajamiał się coraz dokładniej ze współczesnymi czasopismami, z ich kierunkiem i zawartością. Godziny spędzane w towarzystwie Ruth doprowadzały go do szału zarówno zawartą w nich obietnicą, jak i szczupłością osiągniętych wyników.

W tydzień po wyleczeniu Ruth z bólu głowy Norman zaproponował przejażdżkę żaglówką przy księżycu po jeziorze Merritt. Artur i Olney poparli ten pomysł. Ponieważ tylko Martin umiał obchodzić się z żaglem, zażądano, rzecz prosta, by wykazał swe umiejętności. Ruth zasiadła obok niego przy sterze, trzej zaś młodzi ludzie umieścili się opodal, pogrążeni w zawziętej dyskusji na tematy korporacyjne.

Księżyc nie wzeszedł jeszcze, i Ruth, która milcząc wpatrywała się w gwiazdzone sklepienie niebios, poczuła się nagle dziwnie osamotniona. Spojrzała na swego towarzysza. Podmuch bryzy przechylał łódkę tak silnie, że pokład zalany był wodą. Martin zaś, z jedną ręką na sterze, a drugą przy głównym żaglu, kierował ostro na wiatr, starając się równocześnie wypatrzeć niedaleki już brzeg północny. Nie widział spojrzenia dziewczyny, ona zaś patrzyła nań bacznie, rozmyślając do woli nad dziwnym zaślepieniem, które każe temu niezwykłemu bądź co bądź mężczyźnie tracić czas na pisanie jakichś powiastek i wierszyków, skazanych z góry na mierność i niepowodzenie.

Jej wzrok przesunął się po mocnej szyi młodzieńca, ledwie widocznej w świetle gwiazd, i po jego wspaniale osadzonej głowie, a dobrze znane pragnienie zarzucenia rąk na tę szyję opanowało ją znowu. Siła, którą przecież tak pogardzała, przyciągała ją nieodparcie. Uczucie tęsknego osamotnienia rosło, łącząc się jak gdyby ze znużeniem. Na przechylonej gwałtownie łodzi czuła się nieswojo, toteż przypomniał się jej uleczony ból głowy i kojący spokój, który tkwił w tym niezwykłym człowieku. Siedział teraz koło niej, a nawet tuż przy niej a ruch łodzi zdawał się sypchać ją ku niemu. Wtedy zrodziła się w niej chęć oparcia się o niego, znalezienia ostoi w jego sile, niejasny, na wpół tylko uświadomiony popęd, który — zanim jeszcze zdążyła dokładniej się nad nim zastanowić — opanował ją wszechwładnie i zmusił do pochylenia się w stronę Martina. A może to było szarpnięcie łodzi? Ruth sama dobrze nie wiedziała i nie dowiedziała się nigdy. Tyle tylko wiedziała, że przyłgnęła do niego ramieniem, a płynące stąd poczucie ulgi i ukojenia było nad wyraz miłe. I może znowu z winy łodzi, nie zrobiła żadnego wysiłku, by ten stan zmienić. Przywarła do jego ramienia lekko wprawdzie, ale z całą świadomością, i nie odsunęła się nawet wtedy, gdy Martin uchylił się nieco, aby jej było wygodniej.

Było to istotnie szaleństwo, ale Ruth nie chciała się nad tym zastanawiać. Przestała być sobą, zamieniwszy się w istotę powodowaną ślepych naporem kobiecych pragnień. A choć przytuliła się ledwie odczuwalnie, pragnienia zdawały się być zaspokojone. Nie czuła już wcale znużenia.

Martin milczał. Gdyby się odezwał, czar musiałby prysnąć. Jego powściągliwość miłosna przedłużyła chwilę cudu. Chłopiec czuł się oszołomiony i upojony, nie rozumiejąc dobrze, co się właściwie dzieje. Było to zbyt rozkoszne, aby mogło być prawdą. Całą siłą woli zwalczył szaloną chęć porzucenia żagla i steru i chwycenia dziewczyny w objęcia. Intuicja podpowiedziała mu jednak, że nie powinien tego robić, rad był zatem, iż żagiel i ster zajmują mu ręce, nie pozwalając na poddanie się pokusie. Zaczął się tylko mniej wysilać nad wykorzystaniem powiewów, gdyż gubiąc znaczną część wiatru przedłużał tym samym kurs ku

północnemu wybrzeżu. Gdy się zbliży do brzegu, będzie musiał zawrócić i cud się skończy. Żeglował więc wprawnie, powstrzymując bieg łodzi bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń i błogosławiąc w duszy najcięższe trudy morskich wędrowek, które umożliwiły przeżycie tej czarownej nocy, dając mu władzę nad falą, łodzią i wiatrem, i pozwoliły, by płynął u boku ukochanej, czując słodki jej ciężar na ramieniu.

Kiedy pierwsze blaski wschodzącego księżyca musnęły żagle, zalewając łódź perłową poświatą, Ruth natychmiast odsunęła się od towarzysza. W tej samej chwili poczuła, że Martin uchyla się również. Dążenie do zatajenia tego, co zaszło, okazało się obustronne, niby za obopólnym cichym porozumieniem. Epizod został milcząco uznany za poufny. Dziewczyna siedziała opodal niego z płonącymi policzkami, uświadamiając sobie całą wagę zdarzenia. Była winna czegoś, o czym nie powinni wiedzieć ani jej bracia, ani Olney. Dlaczego to zrobiła? Nigdy dotąd nie zrobiła nic podobnego, choć przecież nieraz już żeglowała z młodymi ludźmi w noc księżycową. Nigdy nie miała nawet ochoty uczynić czegoś takiego. Przytłoczył ją wstyd i tajemnica własnej pączkującej kobiecości. Spojrzała chyłkiem na Martina, całkowicie teraz zaprzątniętego zmianą kursu, i odczuła doń coś w rodzaju nienawiści za to, że skłonił ją do popełnienia czynu tak nieskromnego i karygodnego. I to właśnie on spośród wszystkich mężczyzn! Może matka miała słuszość twierdząc, że za często się widują? Uczyniła mocne postanowienie, że to już nigdy więcej się nie powtórzy, a na przyszłość spotykać się będą rzadziej. Przez chwilę rozważała nawet szalony pomysł wytłumaczenia mu całej sprawy, skoro tylko znajdą się sami: chciała skłamać, wspominając od niechcienia o tym, że tuż przed wzejściem księżyca zrobiło jej się nagle słabo. Potem jednak przypomniała sobie, jak to oboje jednocześnie odsunęli się od siebie, gdy zaświecił księżyc, i nabrała pewności, że Martin nigdy w tę historyjkę nie uwierzy.

W ciągu kilku następnych dni Ruth nie była już sobą, lecz stała się jakąś obcą, niepokojącą istotą, głuchą na głos rozumu i gardzącą roztrząsaniem własnych uczynków. Nie chciała myśleć o tym, co będzie dalej ani dokąd ona sama zmierza. Żyła w gorączce dręczącej zagadki, na przemian to przerażona, to znów oczarowana, trwając w stanie ciągłego oszołomienia. Otuchę czerpała w jednym tylko upartym postanowieniu: pod żadnym pozorem nie dopuści do tego, aby Martin miał jej wyznać miłość. Dopóki to się nie stanie, wszystko będzie dobrze. Za kilka dni wyruszy na morze. Ale nawet gdyby zaczął mówić i tak nieszczęścia nie będzie. Nie może przecież być, skoro ona go nie kocha. Rzecz prosta, musiałby przeżyć przykre pół godziny, które i jej sprawiłoby nieco kłopotu jako pierwsze w życiu oświadczyzny. Na samą myśl o tym drżała rozkosznie. Jest prawdziwą kobietą, o której rękę stara się mężczyzna. Był w tym urok przemawiający przemożnie do tego wszystkiego, co stanowiło istotę jej płci. Cała struktura jej życia, jego najgłębsza treść tętniła i drżała ze wzruszenia. Myśl ta tłukła się w mózgu dziewczyny niby ćma zwabiona płomieniem. Ruth zaszła aż tak daleko w grze imaginacji, że wyobrażając sobie oświadczyzny Martina, sama wkładała w jego usta odpowiednie słowa i uczyła się na pamięć własnej odmowy, złagodzonej przez pełen życzliwości apel, by wytrwał w szczerym i szlachetnym męstwie. Przede wszystkim zaś powinien zaprzestać palenia papierosów. Na to położy szczególnie nacisk. Ale właściwie nie powinna go wcale dopuścić do słowa. Potrafi go pohamować; przyrzekła to przecież matce. Spłoniona, drżąc z podniecenia, z żalem wyrzekła się całej wyimaginowanej sytuacji. Pierwsze oświadczyzny trzeba będzie odłożyć do bardziej sprzyjającej chwili, kiedy na widowni ukaże się odpowiedniejszy wielbiciel.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nadszedł cudny jesienny dzień, ciepły i leniwie drzemiący, drżący czarem kosmicznych przemian, prawdziwy dzień kalifornijskiego babiego lata, kiedy słońce świeci mgliście, a wędrowne powiewy morskiego wiatru nie mogą zmaćić zawieszanej w przestrzeni senności. Purpurowe opony mgły, nie będące oparem, lecz kunsztowną tkaniną barw, kryły się w dolinach między wzgórzami. San Francisco rozciągało się na swoich wzgórzach jak wielki obłok dymu. Nieco bliżej morska zatoka wrzynała się w ląd mglistą taflą roztopionego metalu, na której statki i łodzie spoczywały w bezruchu lub leniwie dawały się unosić prądowi. Daleki szczyt Tamalpais, ledwie widoczny w srebrzystym tumanie, wyrastał potężną bryłą ponad Cieśninę Żółtych Wrót, wijącą się w zorzy zachodzącego słońca blado złocistą wstęgą. W głębi Ocean Spokojny, zamglony, olbrzymi, wznosił ponad linią horyzontu skłębione gromady chmur, co płynąc w stronę lądu ostrzegały przed nadchodzącym pierwszym tchnieniem zimy.

Lato dobiegało końca, choć usiłowało opóźnić swój odwrót ślaniając się omdlewająco pośród wzgórz, pogłębiając purpurę dzielących je dolin, rozpinając całuny mgły utkane jakby z zanikających mocy i nasyconych żądz, zamierając w spokojnym przeświadczeniu, że dni swe przeżyło godnie aż do końca. A wśród wzgórz, na ulubionym występie, Martin i Ruth siedzieli obok siebie, chyląc głowy nad kartami książki, z której on odczytywał miłosne sonety tej, co pokochała Browninga tak gorąco, jak niewielu tylko mężczyzn kochanych było w świecie.

Czytanie jednak szło niesporo. Roztaczający się dokoła nich czar mijającego piękna działał zbyt mocno. Złocisty rok, uroczy i niepoprawny rozpusznik, umierał tak, jak żył, a wspomnienia upojeń i nasyceń ciężkim brzemieniem uciskały przestworza. Nastrój sennego rozmarzenia przenikał do dusz młodych ludzi, osłabiając struny woli i przesłaniając oblicze moralności i rozsądku purpurowym tumanem. Martin poczuł wzruszenie i tkliwość, a od czasu do czasu ogarniał go wewnętrzny żar. Ich głowy były tak blisko, że kiedy przelotny podmuch wiatru rozrzucił jej włosy i musnął nimi jego twarz, zadrukowane stronicy książki poczęły tańczyć przed oczyma chłopca.

— Nie wydaje mi się, aby pan zrozumiał choć jedno słowo z tego, co pan przed chwilą przeczytał — odezwała się Ruth, gdy Martin znów stracił wątek myśli.

Spojrzał na nią pałającymi oczami i już miał popaść w zwykły swój stan nieporadności, gdy nagle odpowiedź sama wybiegła mu na usta.

— Ale pani chyba też nie rozumie. O czym była mowa w ostatnim sonecie?

— Nie mam pojęcia — zaśmiała się szczerze. — Zdążyłam już zapomnieć. Dajmy spokój czytaniu. Za pięknie dziś jest.

— Będzie to na dłuższy czas ostatnia nasza wycieczka na wzgórze — oznajmił Martin z powagą. — Burza zbiera się tam nad oceanem.

Książka wysliznęła mu się z rąk na ziemię i siedzieli tak przez chwilę w leniwym milczeniu, spoglądając na drzemiącą zatokę rozmarzonymi, nic nie widzącymi oczyma. Ruth rzucała wzrokiem z ukosa na jego szyję. Nie przysunęła się ku niemu świadomie — pociągnęła ją jakaś siła tkwiąca poza nią, mocniejsza od siły grawitacji, potężna jak samo przeznaczenie. Do zetknięcia brakowało zaledwie cala i odległość ta została pokonana bez jej woli. Jej ramię dotknęło jego ramienia tak lek-

ko, jak skrzydło motyla ociera się o kwiat; odpowiedź była równie subtelna. Dziewczyna poczuła oparte o nią ramię chłopca, przez które przepływał dreszcz. Teraz właśnie powinna się cofnąć. Ruth jednak już nie władała sobą. Jej czyny wymknęły się spod kontroli rozsądku, nakazy woli przestały istnieć w rozkoszonym szale, który ją ogarnął.

Jego ramię zaczęło zakradać się za nią i powoli ją obejmować. W męce rozkoszy śledziła powolne postępy tego ruchu. Czekwała, sama nie wiedząc na co, z zapartym tchem, suchymi, płonącymi wargami, przyśpieszonym tętnem i gorączką pragnienia we krwi. Opasujące ją ramię uniosło się wyżej i zaczęło przyciągać ku sobie zwolna i pieszczotliwie. Nie mogła już

czekać dłużej. Z westchnieniem ulgi, ruchem bezwiednym, najzupełniej samodzielny, nieprzygotowanym i żywiołowym, oparła głowę na jego piersi. Głowa chłopca opadła błyskawicznie, a kiedy wargi zbliżyły się — usta dziewczyny pośpieszyły im na spotkanie. To musi być chyba miłość — przemknęło jej przez głowę w tej jednej krótkiej chwili, kiedy zdolna jeszcze była rozsądnie myśleć. W przeciwnym razie rzecz byłaby zbyt haniebną. To nie może być nic innego, jak miłość. Kocha widocznie tego mężczyznę, który tuli ją właśnie w objęciach, przyciskając usta do jej ust. Przywarła doń mocniej pieśczośliwym ruchem całego ciała. A w chwilę potem, częściowo wysunawszy się z uścisku, raptownie i w uniesieniu sięgnęła w górę, zrzucając ręce na opaloną szyję Martina Edena. Tak silnie zatargał nią rozkoszny ból miłości i spełnionego pragnienia, że dziewczyna wydała głuchy jęk, zwolniła uścisk dłoni i osunęła się na wół omdlała w jego ramiona. Nie padło ani jedno słowo, i to przez długi czas. Dwukrotnie Martin schylał się i całował ją, a za każdym razem wargi Ruth wysuwały się naprzód z lękliwą gotowością, ciało jej zaś odprężyło się błogo w zawsze tym samym, pieśczośliwym ruchu. Lgnęła doń mimo woli, nie mogąc się oderwać, on zaś siedział, na wół unosząc ją w ramionach, z niewidzącym wzrokiem utkwionym w mglisty obraz wielkiego miasta, ścielący się po drugiej stronie zatoki. Tym razem w jego mózgu nie roily się żadne majaki. Tętniły tylko barwy światła i błyski, gorące jak ten dzień i jak wypełniająca jego duszę miłość. Pochylił się nad nią, ona zaś zapytała szeptem:

— Kiedy mnie pokochałeś?

— Od pierwszej, najpierwszej chwili, kiedy cię tylko zobaczyłem. Już wtedy straciłem rozum z miłości ku tobie, a ten szal od tej pory wzrastał nieustannie i dziś, kochanie moje, sięga szczytu. Jestem niemal obłąkany z tego szczęścia, co mi głowę rozpiera.

— Jak to dobrze być kobietą, Martinie... mój miły — rzekła Ruth westchnawszy głęboko. Zaczął raz po raz tulić ją w mocnym uścisku, po czym zapytał:

— A ty? Kiedy po raz pierwszy zdałaś sobie sprawę?

— Ach, wiedziałam o tym od początku, od pierwszej niemał chwili.

— I pomyśleć tylko, że ja przez cały ten czas byłem ślepy jak sowa! — zawołał z odcieniem żalu w głosie. — Nigdy mi to do głowy nie przyszło, dopóki... dopókim cię nie pocałował przed chwilą.

— Nie to miałam na myśli. — Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. — Chciałam tylko powiedzieć, że od dawna już wiedziałam o twej miłości.

— A ty? — zapytał.

— Na mnie spadło to znienacka. — Mówiła bardzo powoli, podczas gdy jej oczy rozświeślał blask podniecenia i uczucia, a rumieniec nie schodził z twarzy. — Nie domyślałam się niczego aż do chwili, gdy wzięłaś mnie w ramiona. Nigdy też do tego momentu nie przyszło mi na myśl, że możemy się pobrać. Jakżeś ty to zrobił, Mart, że musiałam cię pokochać?

— Nie wiem, doprawdy — zaśmiał się — ale chyba sprawiła to siła mojej miłości, bo kochałem cię dość silnie, aby zmiękczyć serce z kamienia, nie tylko serce takiej młodej i pełnej życia kobiety, jak ty.

— Takie to wszystko niepodobne do moich dawnych wyobrażeń o miłości — rzekła ni stąd, ni zowąd Ruth. — A jak ją sobie wyobrażałaś?

— Nie myślałam, że będzie właśnie taka. — Mówiąc to patrzyła mu w oczy, ale zaraz spuściła wzrok. — Bo widzisz, ja w ogóle nie miałam o tym żadnego pojęcia.

Martin zamierzał znów przyciągnąć dziewczynę ku sobie, ale wykonał tylko wstępny ruch otaczającym ją ramieniem, bojąc się być natrętny. Poczuł jednak, że jej ciało poddaje mu się posłusznie, i oto raz jeszcze trzymał ją w objęciach, a wargi ich spotkały się.

— Co na to powie moja rodzina? — spytała Ruth z nagłym lękiem, w przerwie między pocałunkami.

— Nie mam pojęcia. Bez trudu jednak dowiemy się, kiedy tylko zechcemy.

— A jak mama się sprzeciwi? Doprawdy boję się wyznać jej naszą tajemnicę.

— To może ja jej powiem — ofiarował się odważnie Martin. — Wydaje mi się, że twoja matka nie przepada za mną, ale mam nadzieję, że ją sobie zjednam. Kto zdołał cię zdobyć, nie ulęknie się przecież nikogo. A jeśli nawet nie uda nam się...

— To co wtedy?

— To i tak będziemy dla siebie. Ale na dobrą sprawę nie ma obawy, żeby twoja matka nie dała się przekonać do naszego małżeństwa. Zanadto cię kocha.

— Nie chciałabym jej unieszczęśliwiać — rzekła Ruth w zamyśleniu.

Miał już ochotę zapewnić ją, że serca matek nie dają się znów tak łatwo złamać, ale zamiast tego powiedział tylko:

— Miłość jest przecież największą rzeczą na świecie.

— Czy wiesz, Martinie, że czasem mnie przerażasz? I teraz nawet boję się, gdy pomyślę o tobie i o tym, czym byłeś. Musisz być dla mnie bardzo, ale to bardzo dobry. Nie zapominaj o tym, że jestem właściwie jeszcze dzieckiem. Nigdy dotąd nie kochałam.

— Ja też nie. Oboje w równej mierze jesteśmy dziećmi. I w dodatku mamy to niezwykle szczęście, że ofiarowujemy sobie wzajemnie pierwszą miłość.

— Ależ to niepodobieństwo! — wykrzyknęła Ruth, wrywając się z jego objęć ruchem szybkim i gwałtownym. — Niepodobieństwo, jeśli chodzi o ciebie. Przecież byłeś marynarzem, a marynarze podobno miewają...

Głos jej załamał się i ucichł.

— Miewają zwykle w każdym porcie inną żonę — poddał Martin. — Czy to miałaś na myśli?

— Tak — odparła cicho.

— Ale to nie ma nic wspólnego z miłością — mówił tonem pewnym siebie. — Byłem w wielu portach, ale nigdy ani na chwilę nie zaznałem nawet przelotnego dotknięcia miłości aż do owego pamiętnego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz. Czy wiesz, że kiedy cię wtedy pożegnałem i wyszedłem, o mało mnie nie aresztowali?

— Aresztowali?

— A tak. Policjant myślał, że jestem pijany. A ja rzeczywiście byłem upojony... miłością do ciebie.

— Odbiegliśmy jednak od tematu. Mówiłeś, że oboje jesteśmy dziećmi, a ja twierdziłam, że co do ciebie, to jest to niemożliwe.

— Mówiłem i powtarzam, że nigdy nikogo poza tobą nie kochałem — odparł. — Ty jesteś moją pierwszą, jedyną miłością.

— A przecież byłeś marynarzem — upierała się dziewczyna.

— To nie zmienia faktu, że ciebie pierwszą pokochałem.

— Ale były jednak kobiety... inne kobiety..., to straszne!

I ku najwyższemu zdumieniu Martina Edena Ruth wybuchnęła gwałtownym płaczem, który zdołał uspokoić dopiero za pomocą wielu pocałunków i pieszczot. Przez cały ten czas Martinowi nie przestawały dźwięczeć w uszach słowa Kiplinga: „Bo żona dyplomaty i Kaśka z kurnej chaty w gruncie rzeczy nie różnią się niczym”. To szczerą prawdą — pomyślał, choć przeczytane powieści zdawały się przekonywać go, że jest inaczej. Na podstawie książek wyrobił sobie pogląd, że w wyższych sferach jedynie formalne oświadczenia prowadzą do celu. W tych nizinach, z których pochodził, mogli młodzieńcy i dziewczęta zdobywać wzajemność przez cielesne zbliżenia; w odniesieniu do wysoko postawionych osobistości z wyższych sfer zdawało się to nie do pomyślenia. A tymczasem okazywało się, że książki mylnie to przedstawiają. Oto miał dowód. Te same nie poparte ani jednym słowem uściski i pieszczoty, które wystarczały dla dziewcząt z klasy robotniczej, z równą skutecznością mogły być stosowane i do dziewcząt z wyższych warstw społecznych. Wszystkie były w gruncie rzeczy ulepione z tej samej gliny,

jak rodzone siostry. Martin od dawna mógłby dojść do tego wniosku, gdyby tylko zachował w pamięci poglądy Spencera. Trzymając teraz Ruth w ramionach i uciszając jej łkanie, znajdował wielką ulgę w myśli, że żona dyplomaty i Kaśka z kurnej chaty w rzeczywistości niewiele się od siebie różnią. Zbliżało to do niego Ruth, czyniąc z niej dostępną dla niego towarzyszkę. Jej ukochane ciało podobne było do wszystkich innych ciał, choćby do jego własnego. Nie było żadnych zasadniczych przeszkód na drodze do ich małżeństwa. Jedyna różnica polegała na odmienności klasowej, a przecież przynależność do danej klasy nie była cechą stałą. Można ją było po prostu z siebie strząsnąć. Czytał kiedyś o tym, że jeden z niewolników zdobył nawet purpurę cesarów. Jeśli tak jest, dlaczegożby on nie miał wznieść się aż do poziomu Ruth? Mimo całą swą czystość, świętobliwość, kulturę i piękno duchowe w najbardziej podstawowych sprawach ludzkich była taka sama jak Lizzie Connolly i wszystkie jej siostry. To, co dotyczyło ich, dotyczyło i jej. Zdolna była do miłości, nienawiści i na pewno także do hysterii; z całą pewnością umiała być zazdrosna, jak choćby w tej chwili, kiedy jej łkania cichły wreszcie w jego objęciach.

— Zresztą jestem od ciebie starsza — zauważyła nagle, otwierając szeroko oczy i spoglądając w górę ku niemu — starsza o całe trzy lata.

— Uspokój się! Jesteś tylko dzieckiem, a ja co najmniej o czterdzieści lat przerastam cię doświadczeniem.

W istocie zaś oboje byli dziećmi, jeśli chodzi o miłość, którą wyrażali w sposób naiwny i niedojrzały, jak uczeń i uczennica, i to mimo że ona skończyła wyższe studia, a on miał głowę nabitą nauką filozofią i doświadczeniem zaczerpniętym z twardych faktów życia.

Siedzieli tak długo jeszcze pośród gasnącej chwały dnia i rozmawiali, jak rozmawiają zakochani, zdumiewając się nad cudem miłości i niezbadanymi drogami przeznaczenia, które w tak niezwykły sposób ich złączyło, wierząc niezachwianie, że uczucie ich osiągnęło szczyty nie znane dotąd żadnym kochankom. Uparcie powracali raz po raz do wrażenia, jakie na siebie wzajemnie wywarli, i dokonywali beznadziejnych prób dokładnego zanalizowania zarówno jakościowego, jak i ilościowego swoich uczuć.

Zwały chmur na zachodzie horyzontu wchłonęły zstępujące słońce, a krąg nieba zaróżowił się z lekka, podczas gdy sklepienie nad ich głową pałało tą samą gorącą barwą. Rumiana zorza otaczała ich zewsząd, oblewając swą poświatą, gdy dziewczyna zanuciła wieczorną pieśń: Żegnaj, dniu słodki! Nuciała cicho, wtulona w kolebkę jego ramion, złączona z nim w uścisku rąk. Jedno drugiemu podawało serce na szczodrej dłoni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pani Morse nie potrzebowała uciekać się do macierzyńskiej domyślności, aby wyczytać całą prawdę z twarzy Ruth, gdy dziewczyna powróciła do domu. Nie schodzący z jej twarzy rumieniec wydał prostą historię niedawnych wypadków, a wymowniej jeszcze zdradziły to oczy, wielkie i roziskrzane, odbijając nieomylnie wewnętrzne upojenie.

— Co się stało? — zapytała pani Morse, wyczekawszy, aż córka położy się do łóżka.

— To ty już wiesz? — zapytała drżącymi wargami Ruth. Zamiast odpowiedzi matka objęła dziewczynę ramieniem i zaczęła lekko gładzić jej włosy.

— On nic nie mówił! — wybuchnęła Ruth. — Nie chciałam, aby to się stało, i nigdy nie pozwoliłabym mu na wyznanie... tylko że on przecież nic nie mówił.

— Jeżeli nie mówił, to chyba nic wielkiego zająć nie mogło?

— A właśnie że i tak zaszło.

— Na miłość boską, co ty pleciesz, moje dziecko? — Pani Morse była zupełnie zbita z tropu.

— Nic z tego na dobrą sprawę nie rozumiem. Cóż więc takiego się stało?

Ruth ze zdziwieniem spojrzała na matkę. Myślałam, że wiesz wszystko. A więc zaręczyliśmy się z Martinem. Pani Morse zaśmiała się gorzko i niedowierzająco.

— Ale kiedy on rzeczywiście nic nie mówił — tłumaczyła Ruth. — Po prostu tylko okazał mi miłość, nic więcej. Byłam nie mniej zaskoczona niż ty w tej chwili. Nie powiedział ani słowa. Objął mnie tylko ramieniem. A ja... straciłam panowanie nad sobą. Całował mnie potem i ja jego całowałam. Nic na to nie mogłam poradzić. Musiało się tak stać. Wtedy zrozumiałam, że go kocham.

Przerwała, czekając z ufnością, by matka pocałunkiem wyraziła swe błogosławieństwo; pani Morse jednak zachowała chłodne milczenie.

— Wiem o tym, że to bardzo niefortunny wypadek — podjęła znów Ruth niepewnym głosem. — Boję się, że mi nigdy nie wybaczysz. Ale nie mogłam w żaden sposób tego umknąć. Do tej chwili nie śniło mi się nawet, że go kocham. A ty będziesz musiała mnie wyręczyć i sama o tym powiedzieć ojcu.

— Czy nie lepiej byłoby ojcu w ogóle nic nie mówić? Chciałabym najpierw zobaczyć się z Martinem Edenem, pogadać z nim i przemówić mu do rozsądku. Z pewnością zrozumie i zwróci ci słowo.

— Ależ nie! — wykrzyknęła Ruth zrywając się na nogi. — Ja wcale nie chcę, żeby mi zwracał słowo. Kocham go przecież, a miłość jest wspianą rzeczą. Mam zamiar wyjść za niego — oczywiście jeśli uzyskam twoją zgodę.

— Oboje z ojcem mamy inne plany do ciebie, drogie dziecko. Ach, nie! To nie znaczy, żebyśmy mieli kogoś z góry upatrzonego na męża, nic podobnego. Ale chodzi nam o to, by cię wydać za człowieka równego ci stanowiskiem społecznym, porządnego i godnego szacunku, którego sama byś pokochała i wybrała.

— Kiedy ja już kocham Martina — zabrzmiał żalony sprzeciw.

— W żadnej mierze nie chcemy wpływać na twój wybór, ale jesteś przecież naszą córką i nie możesz oczekiwać, abyśmy pochwalili tego rodzaju związek. Przecież on, w zamian za twoją subtelność i wysoką kulturę, nie może ci zaofiarować nic prócz prostactwa i nieokrzesania. Pod żadnym względem nie odpowiadacie sobie. Nie potrafiłby nawet zapewnić ci utrzymania. Nie mamy przesadnych wymagań co do bogactwa, ale prosty komfort to zgoła co innego. Nasza córka powinna poślubić człowieka, który przynajmniej tym zdoła ją obdarzyć, nie zaś brać za męża awanturnika bez grosza przy duszy, marynarza, poganiacza bydła, kontrabandzistę i Bóg wie kogo, i to jeszcze w dodatku narwanego i nieodpowiedzialnego.

Ruth milczała. Żadnemu słowu matki nie mogła odmówić słuszności.

— Traci czas na tę swoją pisaninę, spodziewając się osiągnąć to, co udawało się tylko geniuszom i nielicznym ludziom z uniwersyteckim wykształceniem. Człowiek myślący o zawarciu małżeństwa powinien się do tego przygotować. A on co robi? Mówiłam już, że nie ma poczucia odpowiedzialności, a wiem, że i ty zgadzasz się ze mną co do tego. Bo skądże miałyby być inaczej? Wszyscy marynarze są przecież tacy sami. Nie nauczono go nigdy oszczędności ani umiarkowania, Marnotrawione lata nie przeszły bez śladu. Zapewne, że to nie jego wina, ale to nie zmienia postaci rzeczy. A czy pomyślałaś o tych latach, które z pewnością przeżył w rozpuście? Czy pomyślałaś o tym, córko? Wiesz przecież, co oznacza małżeństwo!

Ruth wzdrygnęła się i mocniej przywarła do matki.

— Myślałam o tym. — Ruth czekała długą chwilę, nim udało się jej ująć myśli w odpowiednie słowa. — To jest straszne. Słabo mi się robi na samą myśl o tym. Przyznałam od razu, że fakt mego zakochania się jest okropny, ale nie mogę nic na to poradzić. Czy ty

mogłabyś przestać kochać ojca? A ze mną dzieje się przecież tak samo. Jest doprawdy coś takiego we mnie i w nim — aż do dziś nie wiedziałam o tym — co każe mi go kochać. Nigdy tego nie chciałam, ale jak widzisz, Kocham — zakończyła, a w jej głosie brzmiał lekki wprawdzie, ale niezaprzeczalny odcień tryumfu.

Rozmawiały z sobą długo jeszcze, bez wyraźnego wyniku.

W końcu zgodziły się tylko na to, że na razie, przez czas bliżej nieokreślony, lepiej będzie nie przedsiębrać żadnych ważnych kroków.

Do podobnego wniosku doprowadziła też odbyta tegoż wieczoru, w parę godzin później, rozmowa pani Morse z mężem, któremu musiała wyznać, jak niespodziewany obrót wzięły jej plany.

— Trudno było oczekiwać czegoś innego — ocenił sprawę pan Morse. — Ten marynarz był przecież jedynym mężczyzną, z którym Ruth się stykała. Wcześniej czy później musiała się rozbudzić, a kiedy to się stało, pod ręką znalazł się ten chłopak jako jedyny obecny w danej chwili mężczyzna, więc też oczywiście czym prędzej się w nim zakochała lub też zdawało jej się, że się zakochała, co zresztą na jedno wychodzi.

Pani Morse podjęła się wywierać na córkę powolny i pośredni wpływ, unikając jawnego zwalczania jej uczucia. Czasu było dosyć, Martin bowiem nie mógł w swej obecnej sytuacji pozwolić sobie na ożenek.

— Niech widuje się z nim, ile tylko zechce — radził pan Morse. — Przekonany jestem, że im gruntowniej go pozna, tym mniej będzie nim zachwycona. Trzeba jej też umożliwić porównanie. Postaraj się, aby w naszym domu nie brakło młodzieży. Niech to będą i panny, i młodzieńcy, ale młodzieńcy najrozmaitsi, byle tylko byli zdolni i mieli już za sobą jakieś osiągnięcia lub zamierzali wziąć się do czegoś poważnego. Oczywiście ludzie z jej sfery, dżentelmeni. Niech nauczy się oceniać Martina według ich miary. Na tle tamtych ludzi jego braki muszą się uwydatnić. A poza tym — przecież to tylko dwudziestojednoletni smarkacz! Ruth też jest jeszcze dzieckiem. Chodzi tu po prostu o cielecą miłość, z której oboje wyrosną.

Na tym sprawa stanęła. W rodzinie przyjęto do wiadomości, że Ruth i Martin są zaręczeni, nie rozgłaszano tego jednak szerzej. Najbliżsi sądzili, że to i tak z czasem okaże się zbyt teczne, i uważali za samo przez się zrozumiałe, iż okres narzeczeństwa będzie długi. Nie nalegano wcale na Martina, aby wziął posadę i przestał pisać. Państwo Morse nie mieli zgoła zamiaru namawiać go do poprawy. On sam zaś ułatwiał im nieprzyjemne zamysły, nie okazując najmniejszej chęci przystąpienia do pracy zarobkowej.

— Ciekaw jestem, czy pochwalisz ostatni mój krok — rzekł do narzeczonej w kilka dni później. — Doszedłem do przekonania, że mieszkanie i stołowanie się u siostry kosztuje mnie zbyt drogo, i zamierzam prowadzić własne gospodarstwo. Wynająłem mały pokój na północnych krańcach Oakland, w dość odludnej okolicy, i kupiłem już maszynkę naftową, na której będę sobie gotował.

Ruth nie posiadała się z radości. Szczególny zachwyt wzbudziła w niej maszynka naftowa.

— Podobnie zaczynał karierę i pan Butler — zauważyła. Martin wzdrygnął się wewnętrznie na wspomnienie tej dostojnej osobistości, lecz ciągnął dalej:

— Nakleiłem znaczki na wszystkie moje prace i porzysłałem je znowu do różnych redakcji. Dziś przeprowadziłem się, a od jutra staję do pracy.

— A więc wreszcie posada! — krzyknęła, reagując całą swą istotą na radosną niespodziankę, jaką sprawiła jej ta nowina; przytuliła się do niego mocniej, ściskając mu rękę i uśmiechając się czule. — A tyś nic mi nie mówił! Cóż to za praca?

Martin potrząsnął głową.

— Chciałem tylko powiedzieć, że powracam do systematycznej pracy pisarskiej. — Twarz Ruth spochmurniała, on zaś pośpiesznie mówił dalej: — Nie chcę, abyś mnie źle rozumiała. Tym razem nie będą to żadne tęczowe mrzonki. Traktuję tę sprawę na zimno, całkiem

prozaicznie i po handlowemu. Opłaca mi się to lepiej niż ponowny wyjazd na morze, a gotówki zarabiać będę więcej niż jakikolwiek niewykwalifikowany pracownik w Oakland. Bo widzisz, ta przerwa w pracy, na którą sobie pozwoliłem, dała mi trafniejsze spojrzenie na własne życiowe możliwości. Nie zaharowywałem się w tym czasie na śmierć, a nawet nie pisałem, w każdym razie nie do druku. Ograniczałem się do kochania ciebie i do rozmyślań. Czytałem też coś niecoś, ale to właściwie wchodziło w skład wspomnianych rozmyślań, a zresztą czytałem przeważnie czasopisma. Doszedłem do ogólnych wniosków ujmujących moje poglądy na samego siebie, świat i miejsce, jakie mi w nim przypada, oraz widoki zdobycia takiego stanowiska, które byłoby ciebie godne. Czytałem również Filozofię stylu Spencera i dowiedziałem się stamtąd mnóstwa rzeczy rzucających światło na mnie... a raczej na moje pisanie, a także na większość tych utworów, które co miesiąc ukazują się w czasopismach.

Ale ostateczny wynik całego tego okresu — a więc rozmyślań, czytania i miłości — streszcza się w tym, że na pewien czas przenoszę się na Grub Street. Powstrzymam się chwilowo od tworzenia arcydzieł i zacznę uprawiać literackie wyrobnictwo: żarciki, drobne wkładki, artykułki aktualne, wierszyki humorystyczne i towarzyskie, a więc sieczkę literacką, na którą na rynku panuje największy popyt. Istnieją przecież syndykaty dziennikarskie, centrale obrotu nowelami przeznaczonymi dla gazet i specjalne przedsiębiorstwa zbierające materiał do dodatków niedzielnych. Jak uczciwie wezmę się do roboty, potrafię wyrabiać hurtowo towar, jakiego im potrzeba, i zarabiać przy tym nie mniej, niż mogłaby mi dać dobra posada. Istnieją, wiesz, tacy „wolni strzelcy”, którzy potrafią zarobić cztery do pięciu setek miesięcznie. Nie mam zamiaru stać się jednym z nich; niemniej chcę zarobić na dobre utrzymanie, a prócz tego mieć sporo wolnego czasu dla siebie, czego nie dałaby mi żadna posada.

Ten zbywający czas poświęcę nauce i prawdziwej twórczości. Wśród nawału rzemieślniczej harówki znajdę chwilę na pracę artysty, ucząc się jednocześnie i przygotowując do tworzenia arcydzieł. Mnie samego dziwi, jak wielki szmat

drogi zdołałem już przebyć dotychczas. Kiedy po raz pierwszy wzięłem się do pisania, nie miałem właściwie o czym pisać prócz paru błahych przeżyć, których zresztą nie rozumiałem ani nie oceniałem należycie. Na własne myśli nie było mnie stać. Nie miałem ich wcale. Brakowało mi nawet słów niezbędnych do myślenia. Moje doświadczenia dostarczały mi jedynie obrazów bez żadnego znaczenia. Kiedy jednak zacząłem wzbogacać swoją wiedzę i słownictwo, przekonałem się, że w owych doświadczeniach tkwiło coś więcej niż same tylko obrazy. Nie znikły one bynajmniej, lecz zyskały właściwe naświetlenie. Wtedy zacząłem pisać dobre rzeczy, wtedy powstała Przygoda, Radość, Garnek, Wino życia, Gwarna ulica, Cykl miłosny i Liryki morza. Będę nadal pisał rzeczy równie dobre, nawet lepsze, ale tylko w godzinach wolnych od zajęć obowiązkowych. Stoję już teraz na twardym gruncie. Przede wszystkim wyrobnictwo i dochód, potem dopiero arcydzieła. Aby cię przekonać, że to nie puste przechwałki, powiem ci, że właśnie wczoraj spłodziłem z pół tuzina fraszek dla tygodników humorystycznych, a kiedy się już miałem zabrać do spania, przyszedł mi do głowy pomysł napisania humorystycznego trioletu i przed upływem godziny sporządziłem aż cztery takie kawałki. Każdy z nich powinien być wart dolara. A więc cztery dolary za kilka konceptów po drodze do łóżka!

Rozumie się, że wszystko to nie ma istotnej wartości i polega tylko na płytkich i jałowych kombinacjach, ale nie widzę, w czym to zajęcie miałoby być płytsze i bardziej jałowe niż prowadzenie ksiąg buchalteryjnych za sześćdziesiąt dolarów miesięcznie, dożywotnie dodawanie nieskończonych Szeregów nic nie znaczących cyfr. A poza tym taka sieczka literacka utrzymuje mnie w kontakcie z piśmiennictwem i zostawia czas na wartościowsze próby.

— Na co jednak zdadzą się te rzeczy wartościowsze, te wszystkie arcydzieła? — spytała Ruth. — Przecież nie można ich sprzedać.

— O przeciwnie — zaczął Martin, ale przerwała mu:

- Spośród wszystkich utworów, które przed chwilą wymieniałeś i które sam uznajesz za dobre, nie sprzedałeś przecież żadnego. Nie możemy założyć rodziny budując na arcydziełach, których nikt nie chce.

— No to zbudujemy ją na krotochwilnych fraszkach, na które jest stały popyt — zapewnił ufnie Martin, obejmując ramieniem i przyciągając ku sobie wielce dziś oporną narzeczoną.

— Posłuchaj choćby tego! — ciągnął dalej z umyślną wesołością. — Nie można tego wprawdzie nazwać dziełem sztuki, ale dolara jest warte.

Gdy ja tam On już tu: Czy mu dam Z cyny dzban — A ja — tiu! On więc tam A ja tu Niefrasobliwy humor, jakim Martin zaprawił swój wierszowany żarcik, odbijał rażąco od wyrazu przygnębienia, który wystąpił na jego twarzy po skończeniu recytacji. Ruth nie obdarzyła go nawet uśmiechem. Patrzyła nań wzrokiem poważnym, pełnym niepokoju.

— Może to i warte dolara — rzekła — ale taki dolar jest datkiem dla kuglarza, wynagrodzeniem błazna. Czy ty nie widzisz, że w tym jest coś poniżającego? Chciałabym, aby człowiek, którego mam kochać i szanować, zajmował się czymś godniejszym i wyższym niż dostarczanie gawiedzi niewybrednych kalamburów.

— Chciałabyś więc, by był taki, powiedzmy, jak pan Butler? — podsunął Martin.

— Wiem, że nie lubisz pana Butlera... — zaczęła.

— Nic nie mam przeciwko panu Butlerowi — przerwał Martin — jeśli pominąć jego przewlekłą niestrawność. Ale nie

zrozumiem nigdy, dlaczego pisanie żartów czy wesołych wierszyków ma być czymś gorszym od stukania w maszynę, pisania listów pod dyktando czy prowadzenia ksiąg rachunkowych.

Wszystko to są środki do osiągnięcia pewnych celów. Według twego zdania należy zacząć od prowadzenia ksiąg, by z czasem zostać wziętym adwokatem lub człowiekiem interesu. Ja zaś wolę zacząć od sieczki literackiej, by potem wyrobić się na dobrego pisarza.

— Jest tu jednak pewna różnica — nastawała Ruth.

— Jaka mianowicie?

— A ta, że twoje dobre utwory, te, które sam za takie uważasz, nie dają się sprzedać.

Pomimo wszelkich twych usiłowań — sam wiesz o tym najlepiej — redakcje żadnego nie chciały przyjąć.

— Zostaw mi, kochanie, trochę czasu — błagał, — Sieczka literacka jest tylko przejściowym zajęciem, którego nie traktuję poważnie. Poczekaj dwa lata. W ciągu tego okresu zdobędę powodzenie, a redaktorzy sami będą się ubiegali o moje dobre rzeczy. Wiem, co mówię, i mam wiarę w siebie, bo znam wartość tego, co we mnie jest. Orientuję się już teraz, czym jest literatura; znam przeciętną wartość tej lichoty, jakiej tak wiele płodzą różne karzełki. Wszystko to daje mi pewność, że za dwa lata będę już na drodze do sławy. Natomiast w dziedzinie interesów nigdy nie zdobyłbym powodzenia. Nie mam do tego przekonania. Te sprawy wydają mi się nudne, głupie i nieszlachetne, a nawet często oszukańcze. W każdym razie nie nadają się do tego. Nie zaszedłbym nigdy wyżej nad szarego urzędnika, a czyż moglibyśmy żyć szczęśliwie z takich nędznych zarobków? Pragnę zdobyć dla ciebie wszystko, co jest najlepszego w świecie, a jeśli kiedykolwiek zmienię zdanie, to w tym tylko wypadku, gdybym się przekonał o istnieniu czegoś jeszcze wspanialszego. I zobaczysz, że zdobędę to naprawdę, wszystko bez wyjątku. Wobec dochodów poczytnego pisarza nich się schowają zarobki panów Butle-rów! Książka o szczytowym powodzeniu przynosi od pięćdziesięciu do stu tysięcy dolarów, czasem może trochę więcej, czasem trochę mniej, ale na ogół w tych granicach.

Ruth nie przestawała milczeć. Najwyraźniej ogarnęło ją rozczarowanie.

— No więc co? — zapytał.

— Marzyłam o czymś innym, inaczej układałam sobie nasze życie. Sądziłam i nadal sędzę, że najlepiej byłoby, gdybyś nauczył się stenografii — pisać na maszynie i tak już umiesz

— i przyjął pracę w biurze ojca. Masz dobrą głowę i pewna jestem, że mógłbyś zostać wybitnym prawnikiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

To, że Ruth nie wierzyła w powodzenie Martina jako pisarza, nie obniżało jej wartości w jego oczach ani nie umniejszało jej uroku.

Odпочyając w okresie wakacji, których sam sobie udzielił, Martin wiele godzin spędził na analizowaniu własnej duszy i niemało dowiedział się o samym sobie. Odkrył między innymi, że kocha piękno głębiej niż sławę, której pragnie raczej tylko przez wzgląd na Ruth. Dlatego tylko pożądanie rozgłosu było w nim tak silne. Chciał być wielki w oczach świata; chciał „wyjść na ludzi”, jak to sam mówił, aby ukochana kobieta mogła być z niego dumna i uznać go za prawdziwie godnego miłości.

On sam natomiast namiętnie uwielbiał piękno, a radość służenia mu była dlań dostateczną nagrodą za wszystkie wysiłki. Bardziej zaś jeszcze niż piękno kochał Ruth. Miłość uważał za najwspanialszą rzecz na świecie. To ona sprawiła w nim wielki przełom, który z nieobytego marynarza przeobraził go w adepta nauki i sztuki; a przez to samo największą i najwspanialszą potęgą, silniejszą ponad wiedzę i artyzm, była właśnie miłość. Martin zdążył się już przekonać, że intelektualnie przerasta Ruth i jej braci, a nawet ich ojca. Pomimo całej przewagi, jaką dawało jej uniwersyteckie wykształcenie, pomimo dyplomu magistra Ruth musiała ustąpić w cień wobec umysłowej sprawności Martina, któremu jeden zaledwie rok samokształcenia dał tak gruntowne, opanowanie spraw świata, sztuki i życia, o jakim dziewczyna nie mogła nawet marzyć.

Z tego wszystkiego zdawał sobie jasno sprawę, ale w jego przekonaniu nie wpływało to na ich wzajemne uczucia. Miłość uważał za zjawisko zbyt wzniosłe i szlachetne, sam zaś był kochankiem zanadto lojalnym, aby miał ten cud kalać jakąkolwiek krytyką. Cóż miłość mogła mieć wspólnego z odmiennymi poglądami Ruth na sztukę, zasady postępowania, rewolucję francuską lub równość wyborczą obywateli? Poglądy te były funkcjami rozumu, miłość zaś, jako władza ponadrozumowa, stała zawsze z dala od spraw umysłu. Jako korny czciciel miłości, Martin nie mógł jej pomniejszać. Miłość leżała na szczytach gór, wysoko, ponad niziną dziedziną rozsądku. Była najwznioślejszą formą bytu, szczytową fazą istnienia, niezmiernie rzadko dostępną. Dzięki znajomości filozofii przyrody, którą wyznawał, Martin rozumiał biologiczne znaczenie miłości; drogą jednak subtelnego, a niemniej naukowo ścisłego rozumowania doszedł do wniosku, że organizm ludzki osiąga swój cel szczytowy właśnie w miłości, której nie wolno podawać w wątpliwość, skoro uznaje się ją za najwyższy szczebel życia. Człowieka z darem miłości uważał więc Martin za istotę błogosławioną, wyższą od reszty stworzenia, i upajał się myślą o „bogów kochanku szalonym”, co wznosił się ponad wszystko, co ziemskie, ponad ludzkie bogactwa i ludzkie sądy, ponad opinię publiczną i poklask tłumów, a wreszcie ponad samo życie, by „umrzeć za pocałunek”.

Wiele z tych spraw Martin zdążył już sobie uświadomić, inne miał zrozumieć w pełni dopiero później. Tymczasem pracował gorliwie, odпочyając jedynie wtedy, gdy szedł odwiedzić Ruth, i żyjąc prawdziwie po spartańsku. Płacił dwa i pół dolara miesięcznie komornego za pokój, który wynajmował od swej portugalskiej gospodyni, wdowy, Marii Silva, herod-baby. Niewiasta ta pracowała ciężko, cięższe jeszcze miała usposobienie; cudem jakimś

wychowywała wielką gromadę dzieci, topiąc w nieregularnych odstępach czasu swe troski i znużenie w dzbanie kwaśnego cienkusza, kupowane-
go za piętnaście centów w narożnym sklepiku z wyszynkiem. Martin, który z początku nie znosił Marii za jej cięty jęzor, stopniowo nauczył się ją podziwiać, widząc, jak dzielnie boryka się z losem. W domku były wszystkiego cztery izby, po odliczeniu pokoiku Martina zostało ich trzy. Jedną z nich, odgrywającą rolę bawialni, rozweselał samodziślowy dywan, żalobą zaś przesycił pośmiertny wizerunek jednej z licznych latorośli, które gospodyni ongiś utraciła. Pokój ten przeznaczony był wyłącznie dla gości. Rolety były stale spuszczone, a bosonogiej zgrai surowo zakazano wstępu do tego sanktuarium, z wyjątkiem chwil szczególnie uroczystych. Maria gotowała strawę i podawała ją wszystkim domownikom w kuchni, w której poza tym prała, krochmaliła i prasowała codziennie prócz niedziel; dochody swe bowiem czerpała w lwiej części z prania bielizny zamożniejszych sąsiadów. W sypialni, równie małej jak pokoik Martina, mrowiło się i spało siedmioro maleństw wraz z matką. Martin z nie gasnącym zdumieniem przysłuchiwał się co wieczór ceremonii układania do snu tego drobiazgu, której towarzyszyły dolatujące doń spoza cienkiego przepierzenia krzyki, klótnie, ciche pogaduszki i przedsenne szczebioty przypominające świergot ptasich piskląt. Drugim źródłem dochodów Marii były dwie krowy, dojrane rano i wieczór, które zdobywały sobie bezprawnie środki utrzymania skubiąc trawę na nie zajętych parcelach i przy drogach. Karmicielkę tych strzegł zawsze jeden lub kilku spośród obdartych synków Marii, których czujne stróżowanie polegało głównie na wypatrywaniu, czy nie zbliża się policja. W swoim własnym małym pokoiku Martin mieszkał, spał, uczył się, pisał i gospodarował. Pod jedynym oknem, wychodzącym na maleńki frontowy ganeczek, stał stół kuchenny zastępujący jednocześnie biurko i szafę biblioteczną, stanowiący ponadto podstawę maszyny do pisania. Łóżko, oparte o tylną ścianę, zajmowało dwie trzecie powierzchni pokoju. Do stołu przylegała z jednego boku nieco pretensjonalna komódka, zrobiona raczej na pokaz niż do użytku, z której cienkie warstwy forniru odpryskiwały dzień po dniu. Komódka: 223 ta zajmowała jeden z kątów izdebki, po drugiej zaś stronie stołu, w przeciwległym kącie, stała kuchenka, składająca się z maszynki naftowej ustawionej na skrzyni od sucharów, w której mieściły się przybory kuchenne wraz z zastawą stołową. Całości dopełniała przybita do ściany półka-spiżarnia oraz stojące na podłodze wiadro z wodą. Po wodę musiał Martin chodzić do znajdującego się w kuchni zlewu, w pokoiku bowiem kranu nie było. W dniach kiedy czynności kucharskie powodowały wydzielanie się znacznych ilości pary, zbiór forniru z komody był szczególnie obfity. Nad łóżkiem wisiał rower przytwierdzony u sufitu. Z początku Martin próbował przechowywać rower w piwnicy, jednak do zaniechania tego zmusiło go plemię Silvów, zabawiające się rozkręcaniem śrubek i nakłuwaniem opon. Z kolei chciał użytkować na garaż mały frontowy ganeczek, ale kiedyś szalejąca przez całą noc południowo-wschodnia nawałnica tak gruntownie zmoczyła rower, że Martin zmuszony był wprowadzić go do swej izdebki i urządzić mu tam powietrzną przystań. W małej szafce ściennej była bielizna, a także nadmiar nagromadzonych książek, których nie dało się już pomieścić na stole ani pod stołem. Martin przyzwyczał się do robienia w czasie czytania notatek, ilość ich zaś tak szybko wzrastała, że nie miałby wprost gdzie się poruszać, gdyby nie to, że poprzecigał między ścianami kilka sznurów od bielizny, do których przyczepiał cenne kartki. Nawet i po zastosowaniu tego ulepszenia izdebka tak była zatłoczona, że żegluga po niej stanowiła niełatwe zadanie. Nie można było otworzyć drzwi, nie zamknąwszy uprzednio drzwiczek szafki i odwrotnie. Niepodobieństwem też było przejście pokoju po linii prostej w jakimkolwiek kierunku. Od drzwi do wezglowia łóżka należało się przemykać zygzakiem, czego Martin po ciemku nie mógł nigdy dokonać bez zderzeń. Rozwiązawszy pomyślnie zagadnienie skłóconych z sobą drzwi, należało gwałtownie wziąć kurs na prawo, żeby nie natknąć się na kuchnię. Zaraz potem następował wiraż w lewo celem omińnięcia nogi łóżka? jeśli jednakże zwrot ten wykonany był odrobinę za

ostro, wpadało się niechybnie na róg stołu. Warunkiem szczęśliwego wybrnięcia z tego manewru był nagły skręt i wypad, wyprowadzający zblakany korab na równiejsze wody biegnącego w prawo kanału, któremu za wybrzeża służyły z jednej strony łózko, z drugiej zaś stół. Jeśli jedyne w pokoju krzesło stało w swym zwykłym miejscu przed stołem, kanał przestawał być splawny. Kiedy więc krzesło nie było w użyciu, spoczywało na łóżku, choć niekiedy Martin zasiadał na nim w czasie pełnienia funkcji kucharskich, czytając w oczekiwaniu chwili, gdy woda się zagotuje, a czasem udawało mu się nawet dokazać takiej sztuki, by przestudiować jeden lub dwa rozdziały książki w trakcie smażenia befsztyka. Rozmiary kąta służącego za kuchnię tak były szczupłe, że Martin siedząc mógł sięgnąć wszędzie, gdzie mu było potrzeba. W rezultacie gotowanie na siedząco okazało się pomysłem praktycznym, stojąc bowiem zawadzał zbyt często samemu sobie.

Mając wspaniały żołądek, który potrafił strawić wszystko, Martin posiadał też umiejętność dobierania potraw jednocześnie pożywnych i tanich. Zupa grochowa zajmowała poczesne miejsce w jego jadłospisie, podobnie jak ziemniaki i duża, bura fasola, przyrządzana po meksykańsku. Ryż, przyprawiony sposobem, którego gospodynie amerykańskie nie znają i nigdy się nie nauczą, pojawiał się na stole Martina przynajmniej raz na dzień. Suszone owoce kosztowały mniej niż świeże, toteż miał ich zazwyczaj cały garnek w zapasie i jadał z chlebem zamiast masła. Z rzadka urozmaicał swoje menu kawałkiem befsztyka lub sztuki mięsa. Dwa razy dziennie pijał kawę bez mleka ani śmietanki, wieczorem zaś zastępował ją herbatą; zarówno kawa, jak i herbata przyrządzone były znakomicie.

Oszczędzanie było dla Martina koniecznością. Okres wywcześnie pochłonął prawie wszystko, co zdołał zarobić w pralni, a obecny rynek zbytu jego produktów leżał tak daleko, że musiały upłynąć tygodnie, zanim mógł się spodziewać pierwszych dochodów z literackiej sieczki. Z wyjątkiem spotkań z Ruth i krótkich odwiedzin u siostry Gertrudy Martin wiódł życie odludka, wykonując codziennie pracę, na którą kto inny zużyłby trzy dni. Spał skąpe pięć godzin, a mimo to, będąc obdarzony wprost żelaznym organizmem, umiał się zmusić do dziewiętnastu godzin systematycznej pracy na dobę, bez trwonienia ani jednej chwili. Do lustra poprzyczepiał sobie wykazy definicji i słów o trudnej wymowie; w ten sposób goląc się, ubierając lub czesząc, mógł jednocześnie uczyć się tych wykazów na pamięć. Podobne spisy wisiały też na ścianie nad maszynką naftową, co umożliwiało mu kucie w czasie gotowania lub zmywania naczyń. Nowe kartki nieustannie zastępowały dawne, już opanowane; ilekroć przy czytaniu napotkał wyraz nie znany lub częściowo tylko zrozumiały, zapisywał go natychmiast, a skoro tylko zebrała się dostateczna ilość, odbijał je na maszynie i przymocowywał te notatki do lustra lub ściany. Posuwał się w gorliwości aż tak daleko, że kartki takie nosił również w kieszeni, żeby móc w wolnych chwilach przeglądać je na ulicy albo czekając w sklepie spożywczym czy u rzeźnika.

W swych wysiłkach poszedł nawet jeszcze dalej. Czytając utwory poczytnych autorów, Martin notował osiągnięte przez nich rezultaty, starając się wysledzić drogi, jakimi do nich doszli, i wyławiając w toku fabuły zręczne chwytły w treści i w stylu, jak również wszelkie osobliwości w sposobie interpretacji zjawisk, w użyciu przeciwstawień i stosowaniu epigramów; z materiałów tych układał metodyczne wyciągi, których się następnie uczył. Nie miał bynajmniej zamiaru małpować cudzych wzorów; starał się tylko odkryć zasady, których stosowanie doprowadzało do zamierzonego celu. Sporządzał spisy efektywnych i zwracających uwagę odrębności stylu, aby porównawszy ich przykłady, zaczerpnięte z prac wielu autorów, móc zrozumieć ogólną zasadę powstawania takich osobliwości pisarskich. Wyposażony w ten sposób, miał nadzieję wyhodować w przyszłości własne, swoiste odrębności, przesiane przez sito należytej krytycznej oceny. Analogicznie gromadził też przykłady zwrotów szczególnie śmiałych, zdań tętniących życiem, powiedzeń żrących jak kwas i palących jak ogień lub też jaśniejących łagodnym blaskiem na tle jałowej pustyni pospolitej ludzkiej mowy.

Niezmiennie zaś szukał zasady tkwiącej w zapleczu czy u źródła jednostkowych zjawisk. Chciał dowiedzieć się, jak te rzeczy powstają, by później móc samemu je tworzyć. Nie zadowalało go samo tylko oglądanie oblicza piękna. Rozkrawał piękno i dociekał tajników jego budowy w laboratorium swej małej, zatłoczonej gratami izdebki, gdzie kuchenne zapachy mieszały się z dochodzącym z zewnątrz hałaśliwym gwarem plemienia Silvów; dokonawszy zaś sekcji piękna i poznawszy gruntowniej jego anatomię, czuł się bardziej już powołany do samodzielnego tworzenia piękna.

Taką już miał naturę, że pracując musiał mieć pełną świadomość tego, co robi. Nie umiał wykonywać roboty na ślepo, po omacku, nie wiedząc dobrze, dokąd dąży, i licząc na to, że przypadek czy szczęśliwa gwiazda zapewnią uzyskanie pożądanego i pięknego efektu. Nie znosił wyników przypadkowych. Pragnął zawsze dowiedzieć się, jak i dlaczego coś się dzieje. Jego geniusz twórczy zwykł budować na trwałych fundamentach rozsądku, wobec czego już przed zaczęciem nowej opowieści czy poematu cały utwór musiał rysować mu się wyraźnie w umyśle, nie wyłączając zakończenia i dróg świadomego doń dojścia. W przeciwnym wypadku uważałby swe wysiłki za skazane z góry na niepowodzenie. Nie znaczy to jednak, by nie doceniał przypadkowych efektów w układzie wyrazów i zdań, co zakwitały nieraz w myśli lekko i swobodnie, a potem przechodziły zwycięsko przez wszelkie próby krytyczne, zdobiąc w piękno i potęgę głębokie a jedyne w swej niepowtarzalnej treści w/rażenia. Przed tego rodzaju osiągnięciami chylił czoło w podziwie, uznając, że wykraczają one poza świadome czynności twórcze człowieka. Bez względu zaś na to, jak usilnie analizował piękno, doszukując się zasad, które warunkują jego powstawanie, Martin nie zapomniał nigdy o istnieniu dogłębnej tajemnicy Piękna, do której sam nigdy nie dotarł i której odsłonić nie zdołał dotąd nikt z ludzi. Wiedział o tym dobrze od Spencera, że człowiek nie może nigdy osiągnąć pełnego poznania czegokolwiek oraz że tajemnica piękna głębią nie ustępuje cudowi życia; co więcej, włókna składające się na piękno i życie nierozdzielnie przeplatają się z sobą, a on sam nie jest niczym innym, jak tylko cząstką tej niepojętej tkaniny dzierganej z promieni słońca, pyłu gwiazdowego i wieczystego cudu. Pod wrażeniem tych myśli Martin napisał szkic zatytułowany Pył gwiazdny, w którym dobrał się nie tyle do naczelných zasad krytyki, co do czołowych krytyków współczesnych. Utwór ten był błyskotliwy w formie, a jednocześnie głęboko filozoficzny i przesycony humorem. Toteż wszystkie czasopisma po kolei odrzucały go niezwłocznie. Ulżywszy sobie jednak przez tę szczerą wypowiedź, Martin z całym spokojem szedł dalej wytkniętą drogą. Wyrobił sobie zwyczaj cierpliwego czekania, aż jakiś pomysł wykluje się i dojrzeje całkowicie w jego myśli, a potem rzucania go od razu na papier w postaci wykończonego maszynopisu. Problem, czy rzecz ta ukaże się kiedykolwiek w druku, nie miał dla niego większego znaczenia. Główną wartość miało samo pisanie, jako szczytowa czynność długiego procesu rozumowego, polegającego na splecieniu rozpierzchłych nici myślowych i wysnuciu ostatecznego uogólnienia z danych, które przepełniały mu umysł. Napisanie takiego utworu stanowiło świadomy wysiłek, którym Martin oswobadzał swój mózg, przygotowując go do wchłonięcia nowych wrażeń, umożliwiających rozwiązanie innych już zagadnień. Do pewnego stopnia przypominało to rozpowszechniony zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet zwyczaj, by doznając rzeczywistej lub urojonej przykrości, co pewien czas przerywać długo i z trudem zachowywane milczenie i „wygadać się za wszystkie czasy”, aż w potokach niepowstrzymanej wymowy wyczerpią się do ostatka słowa, tęsknic wyczekujące owej chwili wielkiego wyładowania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Mijały tygodnie, Martin pozbył się już resztek pieniędzy, czeka zaś wydawców wciąż jeszcze unosiły się w sferze marzeń. Wszystkie wybitniejsze jego utwory powróciły i wysłane zostały w dalszą wędrówkę, a rzemieślniczej sieczce również nie wiodło się lepiej. Mała kuchenka nie mogła się już pochlubić urozmaiconą strawą. Wobec tego, że gotówki zabrakło właśnie w chwili, gdy na składzie miał niecały worek ryżu i kilka funtów suszonych moreli, ryż z morelami stał się potrawą, którą Martin jadał trzy razy dziennie przez pięć dni pracy. Potem musiał już brać żywność na kredyt. Sklepikarz, Portugalczyk, któremu Martin dotychczas płacił gotówką, zaprotestował stanowczo, gdy należności dosięgły imponującej sumy trzech dolarów i osiemdziesięciu pięciu centów.

— Bo to, widzisz pan — mówił — jak pan nie dostaniesz roboty, to ja nie zobaczę już mojej forsy.

Na to Martin nic nie mógł odpowiedzieć. Nie było sposobu przekonania kupca, boć istotnie zdrowe zasady handlowe nie pozwalały udzielać kredytu roslemu jak dąb chłopakowi ze sfery robotniczej, który zbyt był leniwy, aby wziąć się do pracy.

— Jak pan znajdziesz zajęcie — zapewniał sklepikarz — to ci zaraz dam żarcia. Ale bez pracy nie ma kołaczy. Takie to już panuje prawo w interesach. — Żeby zaś udowodnić, że wchodzi tu w grę wyłącznie przezorność kupiecka, nie zaś osobista niechęć, dodał: — Chodź pan, napijemy się na koszt firmy po starej przyjaźni. Tak więc Martin napił się, nie robiąc ceremonii, dla zadokumentowania przyjaznych uczuć, po czym na głodno położył się spać.

Sklep owocowo-warzywniczy, gdzie Martin zaopatrywał się w jarzyny, prowadzony był przez Amerykanina, który miał o tyle łagodniejsze zasady handlowe, że wstrzymał Martinowi kredyt dopiero z chwilą, gdy rachunek dosięgnął pięciu dolarów. Piekarz stanął na dwóch dolarach, rzeźnik zaś na czterech. Martin zsumował wszystkie swoje długi i przekonał się, że na przestrzeni całego świata szczyć się może ogólnym kredytem w sumie czternastu dolarów i osiemdziesięciu pięciu centów. Nie zalegał chwilowo z opłatą za wypożyczenie maszyny do pisania, spodziewał się jednak, że mógłby tu liczyć na kredyt dwumiesięczny, co odpowiadałoby dalszym ośmiu dolarom. Na tym jednak wyczerpywały się wszelkie możliwości finansowe.

Ostatnim nabytkiem Martina w składzie warzyw był worek ziemniaków, teraz zatem przez tydzień jadał ziemniaki, i nic więcej, trzy razy dziennie. Spożywany od czasu do czasu obiad w domu Ruth dopomagał do podtrzymania słabnących sił fizycznych, lecz prawdziwą mękę sprawiało odmawianie dokładek w chwili, gdy apetyt szalał na widok mnóstwa jadła na stole. Czasem, choć wstydził się tego sam przed sobą, Martin zachodził do siostry w porze posiłków i jadł tyle, na ile starczyło mu odwagi — w każdym razie więcej niż u państwa Morse.

Dzień po dniu pracował wytrwale, a listonosz dzień w dzień doręczał mu zwracane rękopisy. Nie miał już pieniędzy na znaczki, toteż pod stołem rósł stos odrzucanych prac. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy chłopiec od czterdziestu godzin nie miał nic w ustach. Nie mógł spodziewać się obiadu u Ruth, gdyż dziewczyna wyjechała do San Rafael na dwutygodniowy pobyt u znajomych, wstyd zaś wstrzymywał go przed szukaniem pomocy u siostry. Na domiar złego listonosz w czasie

popołudniowego obchodu przyniósł mu pięć dalszych zwrotów. Wtedy Martin zabrał do Oakland swój płaszcz i tam go pozostawił, wioząc w zamian pięć pobrzękujących w kieszeni dolarów. Każdemu ze swych czterech wierzycieli wpłacił po dolarze na poczet długu, po czym na swej kuchence usmażył befszyk z cebulą, naparzył kawy i przyrządził duży garnek kompotu z suszonych śliwek. Posiliwszy się Martin zasiadł przy stole i do północy wykończył rozprawkę, którą nazwał Godność lichwy. Przepisany już na maszynie utwór rzucił pod stół, gdyż z pięciu dolarów nie pozostało ani centa na zakup znaczków.

Wkrótce potem zastawił zegarek, a niebawem także i rower, pó czym kwotę przeznaczoną na życie uszczuplił przez kupno znaczków w ilości umożliwiającej rozesłanie raz jeszcze w

świat wszystkich rękopisów. Głęboki zawód sprawiła mu sieczka literacka, którą nikt się jakoś nie interesował. Martin porównywał swą robotę z tym, co drukowano w gazetach, tygodnikach i tańszych miesięcznikach, lecz choć własne jego utwory górowały niewątpliwie nad przeciętnym poziomem czytanych prac, nie było na nie amatorów. Po pewnym czasie przekonał się, że większość pism korzysta w przeważającej mierze z tak zwanej "gotowej strawy", dostarczanej przez specjalne syndykaty, i postarał się o adres instytucji uprawiającej ten proceder. Przesłane tam próbki własnych prac otrzymał wkrótce z powrotem wraz z drukowanym stereotypowym zawiadomieniem, informującym, że personel biura sam zaspokaja całe zapotrzebowanie.

W jednym z wielkich czasopism przeznaczonych dla młodzieży Martin zauważył całe szpalty drobnych wzmianek i anegdot. Nasuwała się tu obiecująca sposobność. Jednakże wszystko, co tam posłał, zostało mu zwrócone i mimo ponawianych prób nigdy nie udało mu się umieścić najmniejszej nawet pracy. W późniejszych czasach, kiedy sprawa ta utraciła już dlań wszelkie znaczenie, Martin dowiedział się, że redaktorzy oraz ich pomocnicy zwykli zwiększać swe zarobki wypełniając sami wspomniane szpalty. Tygodniki humorystyczne odrzucały jego kawały i dowcipne wierszyki, a lekkie fraszki rymowane, które rozsyłał do najpoczytniejszych czasopism rozrywkowych, również nie znajdowały nabywcy. Pozostawały jeszcze krótkie, pocieszne opowiadania dla dzienników. Martin nie wątpił, że potrafi pisać je lepiej niż większość autorów, których prace ogłaszano. Zdobył adresy dwóch syndykatów dziennikarskich i zasypał je stosami takich opowiadań. Gdy napisał ich ze dwadzieścia i posłał bez żadnego wyniku, dał wreszcie za wygraną. A jednak stale, dzień po dniu, dzienniki i tygodniki drukowały podobne historyjki całymi dziesiątkami, mimo że żadna z nich nie mogła się równać z jego własną produkcją. Popadłszy w ostateczne przygnębienie, Martin doszedł do wniosku, że widocznie brak mu wszelkiego rozeznania, że daje się powodować autosugestii i w rezultacie jest tylko zarozumiałym grafomanem.

Pozbawiona cech ludzkich maszyna redakcyjna działała z niezmienną sprawnością. Martin dołączał do rękopisu znaczki na odpowiedź i wrzucał list do skrzynki, a po upływie trzech do czterech tygodni listonosz wstępował na schodki ganku i wręczał mu tenże rękopis. Z pewnością tam, po drugiej stronie, nie było redaktorów z krwi i kości. Mogły tam być tylko trybiki, dźwignie i oliwiarki — sprytny mechanizm wprawiany w ruch przez automaty. W końcu zrozpaczony Martin zwątpił w ogóle w istnienie redaktorów. Ani razu przecież nie otrzymał dowodu ich świadomej działalności, a brak jakiegokolwiek logiki w odrzucaniu wszelkich bez wyjątku jego prac doprowadził go do wielce prawdopodobnego wniosku, że redaktor jest w istocie postacią mityczną, stworzoną i podtrzymywaną przez gońców biurowych, drukarzy i dziennikarzy.

Jedynie miłe godziny Martin spędzał z narzeczoną, ale i te nie zawsze dawały mu szczęście. Trapił go nieustanny, dokuczliwy niepokój, bardziej dręczący niż w czasach, gdy uczucia jego nie były jeszcze odwzajemnione, teraz bowiem, kiedy pozyskał jej miłość, nie stał się przez to bynajmniej bliższy posiadania celu swych uczuć. Prosił o dwa lata zwłoki?

czas upływał, a on nie posuwał się wcale naprzód. Natomiast stale uświadamiał sobie fakt, że dziewczyna nie pochwała jego poczynań. Nie mówiła mu tego wprost, ale dawała mu to do zrozumienia w sposób jasny i najzupełniej niedwuznaczny. Nie żywiła zresztą do niego urazy, była tylko niezadowolona, choć kobiety mniej łagodnego od niej usposobienia dawno swe rozczarowanie zamieniłyby na bardziej zdecydowany stan niechęci. Rozczarowanie wynikało z tego, że człowiek, którego chciała ukształtować po swojemu, nie pozwalał przerabiać się dowolnie. Głina do pewnego tylko stopnia okazała się posłuszna życzeniom Ruth, po czym zakrzepła i odmawiała przybrania kształtów jej ojca czy też pana Butlera.

Tego, co w Martinie było prawdziwie wartościowe i mocne, Ruth nie dostrzegała albo, co gorsza, nie rozumiała należycie. Człowiek ten, urobiony z gliny tak podatnej, że mógł bez trudu zmieścić się w każdej szufladce ludzkiego bytu, w jej mniemaniu był krnąbrny i uparty

dlatego tylko, że nie dawał się wtłoczyć do tej jednej szufladki, która jej była znana. Nie mogła nadażyć za lotnymi zrywami jego umysłu i kiedy przebywał w zbyt górnych dla niej dziedzinach, sądziła po prostu, że błądzi. Nikt inny spośród jej znajomych nie sięgał myślą do krain dla niej niedostępnych. Bez trudu mogła nadażyć za tokiem rozumowania swych rodziców, braci czy Olneya; kiedy więc nie mogła zrozumieć Martina, uznała, że wina za ten stan rzeczy jego tylko obciąża. Była to stara jak świat tragedia ograniczonej umysłowości pragnącej przewodzić światu.

— Uwielbiasz to tylko, co jest uznane i powszechnie czczone — rzekł jej raz Martin w czasie dyskusji na temat Prapsa i Vanderwatera. — Przyznaję, że jako autorytety, na które można się powołać, ci dwaj czołowi krytycy Stanów Zjednoczonych są niezastąpieni. Każdy nauczyciel w naszym kraju uważa Vanderwatera za nieomylną wyrocznię w sprawach krytyki. Czytałem jednak jego dzieła i wydały mi się klasycznym przykładem wytwornego wyrażania nicości. W rezultacie nie jest on niczym więcej, jak ociężałym nudziarzem — według określenia Gelett Burgessa. A Praps też nie więcej jest wart. Jego Trujące porosty na przykład napisane są pięknie. Każdy przecinek stoi na właściwym miejscu, a styl jest nieskończenie wzniosły. To najlepiej opłacany krytyk w całych Stanach Zjednoczonych, chociaż — Bóg mi świadkiem! — nie jest w ogóle krytykiem. W rzeczach krytyki Anglicy są już szczęśliwsi.

Powodzenie krytyków amerykańskich polega na tym, że uderzają oni w popularny ton dźwięczący tak pięknie, nierealnie i ufnie. Ich artykuły literackie przypominają kazania niedzielne w Anglii. Głoszą oklepane prawdy. Krytycy podtrzymują waszych profesorów literatury, którzy odpłacają im się tym samym. W czaszkach jednak tych wszystkich panów trudno się doszukać choćby jednej oryginalnej myśli. Znają tylko uświęconą rutynę i w gruncie rzeczy sami są jednym wielkim komunalem. Jako ludzie słabego umysłu, pozwalają, by wszystko, co banalne i powszechnie uznane, odciskało się w nich równie trwale, jak nazwa browaru na butelce piwa. Zadaniem ich jest chwytanie młodzieży studiującej na uniwersytetach, wymiatanie z jej głów wszelkich iskier samodzielnej myśli, jakie mogłyby się tam zatlić, oraz opatrywanie ich pieczęcią ustalonej prawomyślności.

— Wydaje mi się — odparła Ruth — iż bliższa jestem prawdy trzymając się poglądów uznanych aniżeli ty z tą twoją obrazoburczą pasją, godną dzikiego wyspiarza z mórz południowych.

— Nie zapomnij, że obrazoburcami byli tam właśnie misjonarze — zaśmiał się Martin. — Niestety jednak wszyscy oni udali się między pogan i w domu nie został nikt zdolny do obalenia tych starych bałwanów, jakimi są panowie Vander-water i Praps.

— A wraz z nimi wszyscy profesorowie uniwersytetów — dodała Ruth.

Martin zdecydowanie potrząsnął głową.

— O nie! Profesorowie nauk ścisłych muszą pozostać. Są prawdziwie niezastąpieni. Ale istotnym dobrodziejstwem byłoby rozwalenie łbów dziewięciu dziesiątym spośród profesorów literatury, tych papug o skarłatych mózdkach.

Ocena profesorów była dość bezwzględna, a w uszach Ruth zabrzmiała wprost jak bluźnierstwo. Nie mogła się powstrzymać od porównania owych profesorów — ogładzonych, pełnych wiedzy, doskonale ubranych, wyrażających się wytwornie i dźwięcznie, tchnących wykwinną kulturą — z tym nieprawdopodobnym wprost młodzieńcem, którego jakimś dziwnym trafem pokochała, choć odziany był poniżej wszelkiej krytyki, miał na sobie ślady ciężkiej fizycznej pracy i nie umiał w czasie dyskusji zachować równowagi, zastępując w zapale spokojne stwierdzenia obelgami i zamiast chłodnego opanowania wykazując w wysłowieniu niepohamowaną namiętność. Tamci mieli przynajmniej wysokie uposażenie i byli — czemu zaprzeczyć nie podobna — dżentelmenami, gdy tymczasem on nie potrafił zarobić ani grosza i w niczym nie jest do nich podobny.

Ruth nie ważyła słów Martina i nie chciała ich miarą oceniać jego argumentów. Wniosek o fałszywości jego wywodów wyprowadzała — co prawda nieświadomie — na zasadzie po-

równania pozorów. Oni, profesorowie, musieli formułować słuszne poglądy na literaturę, skoro dopisało im powodzenie. Poglądy Martina na te same zagadnienia były niewątpliwie błędne, bo przecież nie umiał spieniężyć swego towaru. By użyć jego własnego wyrażenia, oni potrafili „wyjść na ludzi”, a on jednak nie zdołał. A zresztą niedorzecznością byłoby oczekiwać, że słuszność mógłby mieć człowiek, który tak jeszcze niedawno stał w tym salonie sploniony i niezdamy w czasie ceremonii zapoznawania się z obecnym towarzystwem, i spoglądając ze strachem na przedmioty, którym niesforne ruchy jego ramion groziły rozbiciem, zapytywał, kiedy umarł Swin-burne, i chętnie ogłaszał, że czytał Excelsior i Psalm życia.

Ruth bezwiednie sama potwierdzała sąd Martina, iż otacza wciąż to, co znane i uznane. Martin zaś śledził wprawdzie bieg jej myśli, lecz dalej wolał się nie posuwać. Nie kochał przecież Ruth za jej zdanie o Prapsie, Vanderwaterze i profesorach literatury, a poza tym zaczynał uświadamiać sobie z coraz większą pewnością, że niektóre z poznanych przezeń dziedzin myśli i zakresów wiedzy stanowią dla Ruth krainę całkowicie niedostępną, której istnienia nawet domyślić się nigdy nie zdoła.

W sprawach muzyki Ruth uznawała go za niepoczytalnego, a jego poglądy na operę uważała nie tylko za niedorzeczne, ale wprost za złośliwie przewrotne.

— Jakże ci się podobało? — zagadnęła go pewnego wieczora, gdy wracali do domu z opery. Martin zaprosił narzeczoną na to widowisko kosztem najdalej posuniętego oszczędzania na jedzeniu w ciągu całego miesiąca. Ruth, wyraźnie podniecona tym, co przed chwilą słyszała i widziała, na próżno oczekiwała wrażeń Martina, aż wreszcie sama zadała mu pytanie.

— Podobała mi się uwertura — odrzekł. — Była doprawdy wspaniała.

— Tak, ale sama opera?

— Też była wspaniała, a w każdym razie dotyczy to orkiestry, choć, moim zdaniem, muzyka zyskałaby tylko, gdyby te pajace zamilkły lub zeszły ze sceny.

— Nie masz chyba na myśli Barilla ani Tetralani? — rzuciła niespokojnie.

— Owszem, ich wszystkich, całą tę gromadę błaznów.

— Ale przecież to wielcy artyści! — oponowała.

— Być może; niemniej psują muzykę swoją sztucznością i pretensjonalnością.

— Czy nie zachwyca cię głos Barilla? — spytała Ruth. — To podobno drugi Caruso.

— Niewątpliwie śpiewa dobrze, a Tetralani nawet jeszcze lepiej. Głos jej jest niezrównany, tak mi się przynajmniej zdaje.

— No to jakże... — Ruth zająknęła się. — Nie rozumiem w takim razie, o co ci chodzi.

Podziwiasz ich głosy, a jednocześnie utrzymujesz, że psują muzykę.

— Otóż właśnie! Wiele dałbym za to, by móc ich usłyszeć na koncercie, ale więcej jeszcze gotów jestem ofiarować, bym nie musiał ich słuchać, kiedy gra orkiestra. Obawiam się, że jestem niepoprawnym realistą. Wybitni śpiewacy nie zawsze są wielkimi aktorami. Przysłuchiwanie się, jak Barillo anielskim głosem śpiewa arię miłosną, Tetralani odpowiada mu niby drugi anioł, a duetowi temu towarzyszy prawdziwa orgia płomiennej i barwnej muzyki — jest bez wątpienia rozkoszą, ogromną rozkoszą. Nie tylko przyznaję, ale podkreślam to z całym naciskiem. Całe jednak wrażenie ginie, kiedy rzucę na scenę okiem i zobaczę aktorów: oto Tetralani, mierząca pięć stóp dziesięć cali bez obuwia i ważąca sto dziewięćdziesiąt funtów, a obok niej Bariilo, skąpe pięć stóp i cztery cale, z opasłą twarzą i postacią krępego kowala na przykrótkich nogach. Cóż dopiero, gdy ta dobrana para poczyna przybierać sztuczne pozy, tłucze się w piersi i wyrzuca w górę ramiona niby opętańcy w domu wariatów! A jeśli jeszcze w dodatku mam uznać, że jest to obraz wiernie odtwarzający scenę miłosną między piękną, smukłą królową a urodziwym i romantycznym młodym księciem, wtedy muszę stwierdzić, że to ponad moje siły! To jest bujda, niedorzeczność i fikcja! W tym właśnie tkwi sedno sprawy: nic tu nie przypomina życia. Nie powiesz mi chyba

poważnie, że ktokolwiek na świecie mógł kiedykolwiek tak właśnie wyrażać swoją miłość? Gdybym ja śmiał zalecać się do ciebie w ten sposób, natarłabyś mi za to uszu!

— Ależ to nieporozumienie! — sprzeciwiała się. — Każdy rodzaj sztuki z natury rzeczy stosować się musi do pewnych ram. (Starła się usilnie przypomnieć sobie wykład o umownych właściwościach poszczególnych sztuk, jakiego niegdyś wysłuchała na uniwersytecie). Malarstwo rozporządza tylko dwoma wymiarami na płótnie, a mimo to przyjmujemy pozory trójwymiarowości, które zdolny artysta umie nadać obrazowi. W sztuce zaś pisarskiej autor musi być wszechmocny.

Czytelnik uznaje za fakt najzupełniej oczywisty, że autor zna najskrytsze myśli bohaterki, choć wiadomo dobrze, że osoba ta dumiała w samotności i że ani autor, ani nikt inny nie mógł ich podsłuchać. Podobnie rzeczy się mają, gdy chodzi o teatr, rzeźbę, operę czy jakikolwiek inny rodzaj sztuki. Musimy z góry założyć umowne przyjmowanie na wiarę pewnych spraw, których nie da się całkowicie uzgodnić z rzeczywistością.

— Owszem, rozumiem to dobrze — odrzekł Martin. — Każda ze sztuk ma właściwe sobie konwencje. (Ruth była zdumiona słysząc ten wyraz: mogłoby się zdawać, że on także słuchał uniwersyteckich wykładów, a nie karcił się strzępkami wiedzy, pozbieranymi z przypadkowo napotkanych w czytelni książek). Ale nawet konwencje muszą nosić piętno prawdopodobieństwa. Drzewa namalowane na płaskim kartonie i poustawiane po obu stronach sceny zgadzamy się uważać za las. Jest to umowa o dostatecznych cechach wiarygodności. Natomiast krajobrazu morskiego nie uznamy już nigdy za puszcę. Nie potrafimy uznać. Zadawałoby to gwałt naszym zmysłom. Podobnie też nie zechcesz chyba — a raczej nawet nie powinnaś — uznać dzisiejszych niesamowitych podrygów, przeginań i opętańczych skrętów tych dwojga szaleńców za przekonujący obraz sceny miłosnej.

~— Jakże jednak możesz poczytywać się tu za bardziej kompetentnego sędziego od wszystkich zawodowych krytyków muzycznych? — zapytała ze wzburzeniem w głosie.

— Ależ nie, ani przez chwilę nie miałem tego zamiaru! Po prostu bronię tylko moich praw jednostki. Po prostu powiedziałem, co myślę, aby wytłumaczyć ci, dlaczego słoniowate podskoki pani Tetralani psują w mym mniemaniu piękno muzyki. Światowe autorytety muzyczne mogą sobie mieć słuszność. Ale ja pozostanę sobą i nie potrafię podporządkować swych osobistych odczuć nawet jednogłośnie opinii całej ludzkości. Jeśli coś mi się nie podoba, mówię o tym i rzecz skończona; a nie widzę żadnej racji pod słońcem, abym miał udawać zachwyt dlatego tylko, że większość podobnych mi istot ujawnia go albo usiłuje go w siebie wmówić. W sprawie mych

238

upodobań i niechęci nie umiem stosować się do żadnych przepisów mody.

— Ale gruntowne znawstwo muzyki nie może być osiągnięte bez długich studiów, jak ci chyba wiadomo — upierała się dalej Ruth — a opery dotyczy to chyba w najsilniejszym stopniu. Czy więc nie o to chodzi...

— Że brak mi dostatecznego przygotowania, żeby wydawać sądy o operze — ubiegł ją Martin.

Skinęła głową.

— Tak jest — przyznał, — Uważam też za wielkie swoje szczęście, że nie schwytano mnie w sidła za młodu. Gdyby tak się stało, byłbym dziś wieczór ronił sentymentalne łzy, a błazeńskie wyczyny tej nieocenionej pary podnosiłyby w moim mniemaniu piękno śpiewu oraz towarzyszącej mu muzyki. Masz zupełną słuszność. Jest to przede wszystkim kwestia systematycznego wpajania pewnych pojęć. Ja zaś jestem już teraz na to za stary, chcę prawdy i nic innego mnie nie zadowoli. Złudzenie, które nie przekonuje, jest namacalnym kłamstwem i tym właśnie jest dla mnie wielka opera, gdy malutki Barillo w napadzie konwulsji chwyta w objęcia potężną Tetralani, również miotającą się w epileptycznych drgawkach, i obwieszcza przy tym, jak namiętnie ją miłuje.

I znowu Ruth oceniła poglądy Martina, porównując pozory i opierając się na, niezłomnej wierze w ustalone autorytety. Kimże jest ten człowiek, aby mógł mieć słuszość na przekór całemu cywilizowanemu światu? Jego słowa i myśli nie wywierały na niej żadnego wrażenia. Zbyt silnie wrosła w świat rzeczy uznanych, aby móc sympatyzować z jakąkolwiek ideą wywrotową. Od dzieciństwa nawykła do muzyki i rozkoszowała się operą, naśladowując w tym całe swe otoczenie. Jakim więc prawem staje teraz przed nią ten Martin Eden, który w tak niedawnych jeszcze czasach, żyjąc w nizinach społecznych, mógł znać tylko popularne, lekkie piosenki robotnicze, i ośmiela się wyrokować o sławnych dziełach muzyki światowej? Poczuli się dotknięta jego zachowaniem, a nawet, idąc teraz u jego boku, uświadomiła sobie, że ma do niego żal.

W najlepszym wypadku, nawet w chwilach, gdy była usposobiona wyjątkowo pojednawczo, poglądy jego musiała poczytać za dziki kaprys, za niestosowny wybryk. Kiedy jednak przed bramą jej domu wziął ją w ramiona i ucałował na dobranoc z miłosnym uniesieniem pod naporem własnych uczuć, zapomniała o wszelkich nieporozumieniach. Potem zaś, leżąc bezsennie w łóżku, zaczęła rozmyślać — jak to jej się często w ostatnich czasach zdarzało — nad zrzędzeniem losu, które kazało jej kochać tego dziwnego człowieka wbrew opinii całej rodziny.

Nazajutrz Martin Eden odłożył na bok sieczkę literacką i na gorąco wykuł szkic, który zatytułował Filozofia złudzenia. Znaczek umożliwił tej pracy wyruszenie w drogę, z woli przeznaczenia jednak w najbliższych miesiącach nie jeden jeszcze znaczek miał jej towarzyszyć w licznych innych podróżach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Maria Silva żyła w biedzie i żadna ze ścieżek nędzy nie była jej obca. Dla Ruth bieda była słowem oznaczającym niemiłe warunki bytowania. Na tym z jej strony kończyła się cała znajomość tego przedmiotu. Wiedziała, że Martin jest ubogi, a ten stan kojarzył się w jej myślach z młodością Abrahama Lincolna, pana Butlera i innych ludzi, którzy zaszli wysoko. Poza tym choć zdawała sobie sprawę, że niedostatek nie jest rzeczą rozkoszną, piastowała jednocześnie tak rozpowszechnione w średnich warstwach błogie mniemanie, że jest to w gruncie rzeczy zjawisko zbawienne, dodające silnego bodźca w dążeniu do osiągnięcia powodzenia wszystkim ludziom nie grzęznącym w upodlającej toni beznadziejnego nieróbstwa. Toteż wiadomość, że sytuacja materialna Martina zmusiła go do zastawienia zegarka i płaszcza, nie zmąciła bynajmniej jej spokoju. Widziała w tym nawet objaw pocieszający, wierząc, że wcześniej czy później okoliczność ta zmusi młodzieńca do porzucenia pisania.

Ruth nigdy nie dostrzegła na twarzy Martina oznak głodu, choć rysy jego ściągnęły się, a policzki wyraźnie zapadły. W gruncie rzeczy zmiany te sprawiały jej raczej zadowolenie. Zdawały się go one wysubtelniać, uwalniając od tego nadmiaru ciała i zwierzęcej tężyzny, który budząc w niej wzdargę, jednocześnie ją przyciągał. Przestając z nim sam na sam, chwyciła niekiedy w jego oczach niezwykle blask, którym zachwycała się, gdyż upodabniał go do poety lub uczonego, przybliżając do tych ideałów, do których w mniemaniu obojga powinien zmierzać.

Maria Silva jednak inną zgoła opowieść wyczytywała z tych zapadniętych lic i gorejących oczu, a śledząc dzień po dniu zmiany w jego powierzchowności, dowiadywała się z nich o zmiennych kolejach losu swego lokatora. Widziała, jak opuszczał dom w płaszczu, a powracał bez niego, mimo że dzień był chłodny i wietrzny; wkrótce potem policzki

zaczynały mu się z lekka wypełniać, a z oczu nie wyzierał już żar głodu. W podobny sposób była świadkiem zniknięcia roweru i zegarka, a po każdym takim zdarzeniu zdrowie Martina zdawało się zakwitać na nowo. Z równą ścisłością Maria obserwowała dzieje jego trudów, znała prawdę o przepracowanych nocach. Praca! Gospodyni wiedziała dobrze, że lokator prześcignął ją pod tym względem, choć miał innego rodzaju robotę. Dziwiło ją tylko, że im mniej jadł, tym ciężiej pracował. Od czasu do czasu, gdy zdawało się jej, że głód dokucza mu najsilniej, ofiarowywała mu — jak gdyby mimochodem — świeżo upieczony bochenek chleba, tłumacząc ten uczynek niezręcznym wybiegiem, że on sam tak dobrze piec nie potrafi. Kiedy indziej znów posyłała mu przez kogoś ze swych brzdąców dużą miskę gorącej zupy, rozważając jednocześnie w duszy, czy słusznie czyni odejmując strawę od ust własnego potomstwa. Martin żywił dla niej głęboką wdzięczność, gdyż znając dobrze życie biedoty, zdawał sobie sprawę, że jeśli istnieje na świecie prawdziwe miłosierdzie, to właśnie tutaj.

Pewnego dnia Maria rozdawszy między dziatwę to, co jeszcze było w domu do zjedzenia, przeznaczyła ostatnie piętnaście centów na zakup kwarty taniego wina. Martin, który właśnie zaszedł do kuchni po wodę, zaproszony został do udziału w tej uczcie. Wypił z duszy i serca za jej zdrowie, ona zaś odwdzińczyła mu się tym samym. Potem wzniosła toast za powodzenie przedsięwzięć Martina, a on znów wyraził nadzieję, że Jakub Grant zjawi się niebawem i zapłaci za pranie. Jakub

Grant był pracującym na dniówki cieślą, który nie zawsze płacił swe długi, a Marii winien był trzy dolary.

Zarówno Maria, jak i Martin pili na czcze żołądki i kwaśne młode wino szybko uderzyło im do głowy. Mimo iż dwoje tych ludzi biegunowo różniło się między sobą, oboje byli samotni w swej nędzy, a ta wspólna bieda, choć jawnie się do niej nie przyznawali, wytworzyła więzy, które zbliżyły ich ku sobie, Maria ze zdumieniem dowiedziała się, że Martin zna Azory, gdzie ona przebywała do jedenastego roku życia. Bardziej jeszcze zdziwiła ją wiadomość, że lokator jej był również na Wyspach Hawajskich, dokąd w swoim czasie przeprowadziła się z Azorów wraz z rodzicami. Jednak radość jej przeszła wszelkie granice na wieść, że Martin odwiedził również Maui, a więc tę wyspę, na której ona osiągnęła kobiecą dojrzałość i wyszła za mąż. Był nawet dwukrotnie na Kahului, gdzie po raz pierwszy spotkała przyszłego swego małżonka! Tak, tak, Maria pamięta doskonale te parowce naładowane trzcina cukrową, gdzie wśród załogi i on się znajdował, okazuje się więc, że ten nasz świat nie jest znów taki bardzo wielki!

A Wailuku? I tę miejscowość zna również? Spotykał się może z nadzorcą tamtejszych plantacji? A jakże, wypili nawet razem coś niecoś.

Tak wymieniali wspomnienia i topili głód w nie przefermentowanym, kwaśnym winie. Martinowi przyszłość nie przedstawiała się w zbyt ponurych barwach. Powodzenie zdawało się czekać tuż blisko. Wystarczyło sięgnąć ręką, by je pochwycić. Nagle, patrząc na zoraną bruzdami twarz spracowanej kobiety, przypomniał sobie owe polewki i świeże bochenki, a serce wezbrało mu najgłębszą wdzięcznością i pragnieniem odpłacenia jej równą dobrocią.

— Mario! — zawołał raptownie. — Co chcielibyście mieć? Spojrzała nań zdumiona.

— Co chcielibyście dostać teraz, w tej chwili, gdyby to było możliwe?

— Buty dla całej dzieciarni, siedem par butów.

— Będziecie je mieli! — oświadczył Martin, podczas gdy ona uroczyście kiwała głową. — Ale ja pytam o coś więcej, o prawdziwie wielkie wasze marzenie.

Oczy Marii błysnęły pogodnie. Ten chłopiec widocznie postanowił pożartować sobie z nią, z którą już od dawna nikt nie żartował.

— Tylko namyślcie się dobrze — ostrzegł Martin, gdy miała otworzyć usta.

— Dobra jest — odpowiedziała. — Namyśliłam się rzetelnie. Chciałabym, aby domek, o ten tu domek, należał cały do mnie, tak żebym nie płaciła komornego, siedem dolarów miesięcznie.

— Dostaniecie dom — zapewnił Martin — i to już niedługo. — No, a teraz to wielkie życzenie! Wyobraźcie sobie, że ja jestem Bogiem i w mojej mocy jest ofiarować wam wszystko, czego zapragniecie. Wymieńcie wasze żądania. Słucham.

Maria zagłębiła się na chwilę w uroczystym dumaniu.

— A nie boisz się pan czasem? — spytała ostrzegawczo.

— Skądże znowu? — zaśmiał się Martin. — Nie boję się wcale. Jazda na całego!

-- Bo to nie byle jakie życzenie! — ostrzegła raz jeszcze. — A niech tam! Walcie, powiadam.

— No więc... — Zaczerpnęła głęboko powietrza i z dziecięcym przejęciem, jak mogła najgłośniejszym, wyraziła gorące marzenie swego życia: — Chciałabym mieć farmę mleczną... porządną farmę mleczną! Dużo krów, dużo gruntu, dużo paszy. Niech leży blisko San Leandro, bo tam mam siostrę. Sprzedawałabym mleko do Oakland i zarabiałabym ładną forszę. Joe i Nick nie pasaliby krów. Posłałabym ich do szkoły. Z czasem wyrosliby na tękich maszynistów kolejowych. O tak, chciałabym mieć taką farmę!

Zamilkła i spojrzała na Martina z błyskiem w oczach.

— Dostaniecie ją — odrzekł szybko.

Maria skinęła głową i uprzejmie przepiła winem do hojnego dawcy prezentów, których, rzecz prosta, nigdy nie spodziewała się otrzymać. Wiedziała jednak, że Martin mówił ze szczerego serca, toteż we własnym sercu oceniała jego obietnice nie mniej gorąco, niż gdyby towarzyszyć im miały czyny.

— Zapewniam was, Mario — ciągnął dalej Martin — że Nick i Joe nie będą musieli roznosić mleka na sprzedaż. Wszystkie dzieciaki będą mogły chodzić do szkoły i nosić buty przez cały rok. A ferma będzie pierwszorzędna, niczego w niej nie zbraknie. Będzie i dom mieszkalny, i stajnia, no i oczywiście obory. A poza tym kurczęta, świnie, warzywnik, sad owocowy — jednym słowem wszystko, co należy. Krów będzie tyle, że opłaci się trzymać parobka albo i dwóch. Wy sami nie będziecie mieli nic do roboty prócz doglądania dzieci. A gdyby wam się trafił ktoś odpowiedni, powinniście wyjść za mąż i mężczyźnie zdać trud zarządzania farmą, a samej się nie przemęczać.

Z tych hojnych obietnic na rachunek przyszłego powodzenia przerzucić się musiał Martin bezpośrednio do terażniejszości i zanieść do lombardu swoje jedyne porządne ubranie. Był to krok rozpaczliwy, gdyż odcinał go od Ruth. Innego przyzwoicie wyglądającego ubrania nie miał, a choć w tym, które mu pozostało, mógł od biedy zająć do rzeźnika, piekarza czy nawet czasem do siostry, pokazanie się w tak nędznym stroju u państwa Morse było rzeczą nie do pomyślenia.

Pracował więc dalej w zwątpieniu, bliski rozpacz. Zaczęło mu się wydawać, że przegrał także i drugą bitwę i że nie pozostanie mu nic innego, jak przyjąć jakąś posiadłość. Robiąc to dogodziłby wszystkim: sklepikarzom, siostrze, narzeczonej, a nawet i Marii, której zalegał z miesięcznym komornym. Od dwóch miesięcy nie opłacał maszyny do pisania i agencja natarczywie żądała pieniędzy lub zwrotu maszyny. Ciężko strapiony i niemal już gotów uznać się za zwyciężonego czy zmuszonego do zawieszenia broni na pewien czas, Martin stanął do egzaminu państwowego dla kandydatów do służby pocztowej na kolejach. Ku swemu zdziwieniu egzamin ten zdał z pierwszą lokatą. Posadę miał więc zapewnioną, choć nie wiadomo było, kiedy zostanie powołany do objęcia obowiązków.

W tym właśnie czasie największej niedoli w sprawnie działającej maszynie redakcyjnej coś się nagle popsulo. Wypadła widocznie jakaś śrubka czy też wyschła nie dopełniona w porę oliwiarka, gdyż pewnego ranka listonosz przyniósł krótką, cienką kopertę. Martin spojrzał na jej lewy górny róg i odczytał nazwę i adres wydawnictwa miesięcznika „Od Morza do

Morza". Serce uderzyło mu mocno w piersi, kolana zadrżały i opanowało go dziwne uczucie omdlenia. Z nie odpieczętowaną kopertą w rękę dowlókł się do swego pokoju i usiadł na łóżku, i w tej chwili zrozumiał, że można paść na miejscu trupem, otrzymawszy nagle niezwykle pomyślną nowinę.

Nowina zaś była niewątpliwie pomyślna. W cienkiej kopercie nie było żadnego rękopisu, musiało więc być zawiadomienie o przyjęciu pracy. Martin pamiętał, jaki utwór wysłał do miesięcznika „Od Morza do Morza”. Chodziło o Dźwięk dzwonów, jedną z jego Opowieści niesamowitych, zawierającą okrągłe pięć tysięcy słów. Że zaś pierwszorzędne czasopisma płaciły zawsze z góry, wewnątrz musiał być czek. Dwa centy za wyraz — to dwadzieścia dolarów za tysiąc, czek powinien więc opiewać na sto dolarów. Sto dolarów!

Kiedy otwierał kopertę, wszystkie długi stanęły mu z całą wyrazistością w pamięci: trzy dolary osiemdziesiąt pięć centów

winien był w sklepie kolonialnym; u rzeźnika dokładnie cztery dolary; u piekarza dwa; w owocarni pięć; ogółem czternaście dolarów i osiemdziesiąt pięć centów. Do tego dochodzi zaległe komorne — dwa i pół dolara; należność za następny miesiąc drugie tyle; wynajem maszyny za dwa ubiegłe miesiące — osiem dolarów i za trzeci miesiąc z góry dalsze cztery; łącznie z poprzednią sumą daje to trzydzieści jeden dolarów osiemdziesiąt pięć centów.

Wreszcie doliczyć jeszcze należy sumy na wykup zastawionych rzeczy oraz odpowiednie odsetki: za zegarek przypada pięć i pół dolara; za płaszcz też pięć i pół; za rower siedem siedemdziesiąt pięć; za garnitur jeszcze raz pięć i pół dolara i (lichwiarski zarobek wynosi wprawdzie sześćdziesiąt procent w stosunku rocznym, ale jakież to może mieć znaczenie?) — ogólna suma: pięćdziesiąt sześć dolarów i dziesięć centów. Martin ujrzał tę kwotę unoszącą się w powietrzu przed jego oczyma w postaci cyfr ognistych, a w tenże sam sposób ukazał mu się ostateczny wynik odejmowania, wyrażony w reszcie równej czterdziestu trzem dolarom i dziewięćdziesięciu centom. A zatem kiedy spłaci wszystkie, do ostatniego, długi i wykupi z lombardu zastawione rzeczy, pozostanie mu jeszcze w kieszeni magnacka kwota czterdziestu trzech dolarów i dziewięćdziesięciu centów! A do tego komorne i maszynę będzie miał opłacone za miesiąc z góry.

Tymczasem Martin wydobył z koperty pojedynczą kartkę maszynowego pisma i rozwinął ją. Czemu żadnego nie było. Zajrzał do wnętrza koperty, potrzymał ją pod światło, aż w końcu, nie dowierzając własnym oczom, rozerwał ją drżącymi z pośpiechu palcami. Czemu z całą pewnością nie było. Odczytał więc list, skacząc wzrokiem po każdym wierszu z kolei, by jak najszybciej dotrzeć poprzez redaktorskie zachwyty nad utworem do sedna sprawy, a mianowicie do wyjaśnienia przyczyny, dla której nie dołączono czeku. Wyjaśnienia takiego nie znalazł, natrafił natomiast na coś, od czego twarz jego nagle jak gdyby zwiędła. List wysunął mu się z ręki, oczy zmętniały i opadł bezsilnie na poduszkę, podciągając kołdrę aż pod samą brodę.

Pięć dolarów za Dźwięk dzwonów! Pięć dolarów za pięć tysięcy słów! Zamiast dwóch centów za słowo wypada dziesięć wyrazów za jednego centa! A w dodatku redaktor pochwalił nowelę. Należność zaś otrzyma po ukazaniu się opowieści w druku. A więc wszystko to było zwykłym łgarstwem, owe dwa centy minimalnej stawki za słowo i wypłata w chwili przyjęcia. Wierutne kłamstwo, na które dał się po głupiemu nabrać. Nigdy nie brałby się do zarobkowania piórem, gdyby o tym wiedział. Byłby przyjął posadę i pracował dla Ruth. Powrócił myślą do dnia, w którym po raz pierwszy przystąpił do pisania, i przeraził go ogrom czasu zmarnowanego po to tylko, by doczekać się centa za dziesięć słów. Zapewne i pogłoski o olbrzymich wynagrodzeniach niektórych pisarzy też były fałszywe. Wszystkie te wiadomości z drugiej ręki o rzemiośle pisarskim są wyssane z palca, a tu leży tego dowód.

Egzemplarz „Od Morza do Morza” kosztuje dwadzieścia pięć centów, a pełna godności, artystycznie wykonana okładka nie pozwala wątpić, że chodzi tu o czasopismo

pierwszorzędne. Jest ono solidne, poważne i ukazuje się bez przerwy od czasów poprzedzających narodziny Martina. Przecież na zewnętrznej stronie okładki drukowane są stale słowa jednego z pisarzy wszechświatowej sławy, głoszące szczytne posłannictwo miesięcznika. A słowa te zostały wypowiedziane przez gwiazdę literacką, której twórcze pierwociny ujrzały światło dzienne pod tą samą właśnie okładką. I ten wzniosły, górny, z niebios czerpiący natchnienie miesięcznik „Od Morza do Morza” płaci pięć dolarów za pięć tysięcy słów! Sławny ów pisarz zmarł niedawno — na obczyźnie w skrajnej nędzy, jak o tym przypomniał sobie Martin; nic dziwnego wobec wspaniałego wynagrodzenia autorów. Nie ulega kwestii, że dał się złapać na przynętę. Gazety kłamią o pisarzach i ich zarobkach, a on zapłacił za swą naiwność dwoma zmarnowanymi latami życia. Teraz za to wykrztusi z siebie przynętę. Nigdy już słowa więcej nie napisze. Zrobi to, czego oczekuje po nim Ruth i wszyscy inni — weźmie posadę. Myśl o posadzie przywołała mu na pamięć postać Joego, wędrującego teraz przez krainę błogiego próżnowania. Martin westchnął z głęboką zazdrością. Wspomnienie dziewiętnastogodzinnej codziennej pracy, wykonywanej przez długie tygodnie, ciążyło mu nieznośnie. Ale Joe nie był przecież zakochany, nie ponosił odpowiedzialności związanej z miłością, wobec tego mógł sobie pozwolić na zbytek objiania się po kraju próżniactwa. On zaś, Martin, ma na kogo pracować i od pracy się nie uchyli. Zaraz jutro, z samego rana, zacznie rozglądać się za posadą. Zawiadomi też Ruth, że zmienił poglądy na życie i gotów jest przyjąć zajęcie w biurze jej ojca.

Pięć dolarów za pięć tysięcy słów, dziesięć wyrazów za centa — taka jest zatem rynkowa cena sztuki! Nędza, zakłamanie i podłość tego faktu wypełniły myśl Martina po brzegi, a pod jego zamkniętymi powiekami gorzała ogniście suma trzech dolarów i osiemdziesięciu centów, jaką winien był w sklepie kolonialnym. Wstrząsnął się od nagłego dreszczu i poczuł dotkliwy ból w kościach. Najmocniej dokuczał mu krzyż. Bolała go głowa, wierzchołek i tył czaszki, i mózg w jej wnętrzu, zdający się puchnąć, a ucisk nad brwiami był wprost nie do zniesienia. Poniżej zaś brwi, gdzieś pod powiekami, tkwiła bezlitosna liczba 3,85. Na próżno otwierał oczy, chcąc uwolnić się od tego widoku — białe światło dzienne raziło zbyt silnie jego gałki oczne, toteż zmuszony był ponownie zamknąć powieki i poddać się torturze upartych cyfr. Pięć dolarów za pięć tysięcy słów, dziesięć wyrazów za centa — myśl ta zakradła mu się do mózgu i przesładowała go tak natarczywie, że nie mógł się od niej uwolnić, podobnie jak od liczby 3,85 pod powiekami. W liczbie tej jednak zaczęły zachodzić jakieś zmiany i z ciekawością spostrzegł, że przybiera ona postać 2,00. Aha — pomyślał sobie — to będzie piekarz! — Następnie ukazała się suma 2,50. Zjawisko to zaskoczyło go, zaczął się więc nad nim zastanawiać tak usilnie, jak gdyby jego życie zależało od rozwiązania tej sprawy. Nie ulegało wątpliwości, że komuś winien jest dwa i pół dolara, ale komu? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie było zadaniem narzuconym mu przez wszechwładny, przewrotny świat, Martin zaczął więc wędrować po nieskończonych zakamarkach pamięci, otwierając wszelkiego rodzaju schowki i rupieciarnie zawalone strzępkami wspomnień i wiadomości, nadaremnie szukając rozwiązania. Po upływie kilku stuleci nagle z łatwością i bez wysiłku pojął, że chodzi tu o należność Marii. Z niezmierną ulgą skierował teraz uwagę na miejsce kaźni pod powiekami. Rozwiązał przecież zagadnienie i należy mu się wreszcie odpoczynek. Niestety: liczba 2,50 rozwiła się wprawdzie, lecz na jej miejsce zapłonęło 8,00. A to znów kto? Trzeba będzie jeszcze raz odbyć tę ponurą wędrówkę, by i na to znaleźć odpowiedź.

Jak długo trwały te poszukiwania, Martin nie wiedział, ale po jakimś czasie, który wydał mu się nieskończenie długi, przywróciło mu przytomność stuknięcie do drzwi i pytanie Marii, czy nie czuje się chory. Odpowiedział zduszonym głosem, którego sam nie poznał, że po prostu zdrzemnął się przez

chwilę. Ze zdziwieniem zauważył, że pokój pogrążony jest w wieczornym mroku. List otrzymał przecież o drugiej po południu. Martin zrozumiał, że musi być chory. Potem liczba 8,00 rozżarzyła mu się znowu pod powiekami, biorąc go raz jeszcze w niewolę. Tym razem jednak wziął się na sposób. Nie ma przecież potrzeby tułać się z mozołem po wszystkich zaułkach myśli. Głupi był, że tego dotąd nie spostrzegł. Nacisnął dźwignię i sprawił, że umysł obracać się zaczął wokół niego niby potwornie wielkie koło szczęścia, karuzela wspomnień, wirująca kula wiedzy. Ruch obrotowy stawał się coraz szybszy, aż wreszcie zawrotny pęd wessał go w siebie i kręcąc nim, cisnął w czarny chaos. Naturalną rzeczą kolejną znalazł się przy maglu, w trakcie ładowania sztywnych mankietów. Pracując zauważył liczby odcisnięte na mankietach. Pomyślał sobie, że to jakiś nowy sposób znaczenia bielizny, aż wreszcie, przypatrzawszy się bliżej, dostrzegł na jednym z mankietów 3,85. Wtedy uświadomił sobie, że jest to suma jego długu w sklepie kolonialnym i że na bębnie magla wirują wszystkie jego długi. Przyszedł mu do głowy cudowny pomysł: rozrzuci rachunki po podłodze i w ten sposób uniknie płacenia ich. Wprowadzając niezwłocznie tę myśl w czyn, zaczął wzgardliwie miąć mankiety i ciskać je na niezwykle brudną podłogę. Stos wzrastał bez przerwy, a chociaż każdy z rachunków powtarzał się tysiące razy, raz jeden tylko napotkał liczbę dwa i pół dolara, stanowiącą należność Marii. Oznaczało to, że Maria nie będzie nalegała o szybką spłatę, wobec czego Martin wspaniałomyślnie postanowił uregulować właśnie ten jedyny rachunek; zaczął więc przetrząsać cały stos, by go odnaleźć. Szukał rozpaczliwie całe wieki i nie skończył jeszcze tej pracy, gdy do pokoju wszedł zarządzający hotelem, gruby Holender. Twarz jego płonęła gniewem; donośnym głosem, budzącym echa w całym wszechświecie, jął wykrzykiwać: „Wartość tych mankietów potrączę z waszego wynagrodzenia!” Kupa mankietów przybrała już rozmiary góry i Martin zdał sobie sprawę, że skazany jest na tysiącletnią pracę, aby pokryć taką stratę. Nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko zabić dyrektora i spalić pralnię. Jednakże tłuścioch uprzedził jego zamiary, chwytając go za kołnierz i potrząsając nim w górę i na dół; w ten sposób przehuśtał go ponad stołami do prasowania, piecem i maglami i wniósł do właściwej pralni, nad wyżymaczkę i kadź. Martin bujał się tak długo, że aż zęby poczęły mu szczekać i rozboleła go głowa. W zdumienie wprowadzała go siła Holendra. Wreszcie ponownie znalazł się przed maglem, tym razem jednak odbierał mankiety, które redaktor jednego z czasopism wpuszczał do maszyny z drugiej strony. Każdy z mankietów był czekiem i Martin przeglądał je pilnie w gorączce oczekiwania, lecz żaden z nich nie był wypełniony. Stał tak przez milion lat, odbierając puste czeki i nie pomijając ani jednego, w obawie, że mógłby się okazać wypełniony. Wreszcie znalazł go i drżącymi palcami podniósł do światła. Czek opiewał na pięć dolarów. „Cha! cha!” — zaśmiewał się redaktor po drugiej stronie magla. „Kiedy tak, to cię zabiję!” — rzekł Martin; wyszedł do pralni po siekiere i zastał tam Joego krochmalącego rękopisy. Nadaremnie starał się go powstrzymać, a wreszcie zamierzył się nań siekiere. Zawisa jednak nieruchomo w powietrzu, a Martin znalazł się w prasowni, pośród srogiej zamieci śnieżnej. Ale nie, to nie śnieg padał: to sypały się czeki wystawione na ogromne sumy, z których żadna nie była niższa od tysiąca dolarów. Począł je zbierać, układać i związywać starannie w paczki po sto sztuk. Nagle podniósł głowę znad roboty i ujrzał przed sobą Joego żonglującego żelazkami, nakrochmalonymi koszulami i rękopisami. Od czasu do czasu sięgał po czeki i dorzucał paczkę do pstrego kłębu, co poprzez pułap i dach ulatywał w potężnym wirze i znikał z oczu. Martin chciał Joego uderzyć, ale ten odebrał mu siekiere i wrzucił do wirującego koła. Potem chwycił Martina i również posłał w ślad za siekiere. Martin wzniósł się ponad dach, chwytając po drodze rękopisy, tak iż opadłszy na ziemię trzymał ich całe naręczce. Zaledwie się jednak opuścił, znów został poderwany w górę, a powtarzało się to raz i drugi, aż wreszcie nieskończoną ilość razy wzlatywał w okrężną podróż. Z oddali słyszał dziecinny, drżący głosik nuący przyśpiewkę: „Raz jeszcze zakręć mną, Willie, zakręć

dokoła, dokoła..."Odzyskawszy siekiere gdzieś w samym środku Mlecznej Drogi czeków, nakrochmalonych koszul i rękopisów, Martin przygotowywał się do zabicia Joego po powrocie na ziemię. Ale nie wrócił wcale na dół. Natomiast Maria, która o drugiej nad ranem, usłyszawszy przez cienką ścianę jęki, weszła do pokoju Martina, musiała obłożyć jego ciało gorącymi żelazkami do prasowania, a zmęczone bólem oczy przykryć mokrą chustką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Martin Eden nie wyruszył rano na poszukiwanie pracy. Dopiero przed wieczorem odzyskał przytomność i rozejrzał się obolałymi oczami po pokoju. Marysia, ośmioletnia latorośl plemienia Silvów, która pełniła straż przy jego łóżku, podniosła krzyk, widząc, że chory się ocknął. Maria szybko wpadła z kuchni do pokoju, stwardniała od pracy dłoń położyła na czole Martina i zbadala mu tętno.

— Chciałby pan co zjeść? — zapytała.

Potrząsnął głową. Nie odczuwał najmniejszej potrzeby jedzenia i dziwił się, że kiedykolwiek w życiu mógł być głodny.

— Chory jestem, Mario — odezwał się słabym głosem. — Czy wiecie może, co mi jest?

— To grypa — odrzekła. — Za dwa, trzy dni wszystko będzie w porządku. Lepiej teraz nie jeść. Niedługo przyjdzie na to pora, może już jutro.

Martin nie był przyzwyczajony do chorowania, toteż po odejściu Marii z córeczką próbował wstać i ubrać się. Czując w głowie kołowrót, a w oczach tak gwałtowny ból, że nie mógł utrzymać rozwartych powiek, najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do dźwignięcia z łóżka, zaraz jednak opadł nieprzytomny na stół. Po upływie pół godziny zdołał jakoś dostać się z powrotem do łóżka, gdzie wyciągnął się błogo z zamkniętymi oczami i zajął się analizowaniem rozmaitych swych cierpień i dolegliwości. Maria odwiedzała go kilkakrotnie, odświeżając chłodne okłady na czole. Poza tym zostawiła go w spokoju, zbyt rozsądna na to, by nużyć go gadaniną. Wzbudziło to w nim uczucie wdzięczności. Szepnął do siebie: — Dostaniesz farmę mleczną, Mario, dostaniesz na pewno. Potem przypomniał sobie zamierzchłą przeszłość dnia wczorajszego. Zdawało się, że cały wiek upłynął od nadejścia listu miesięcznika „Od Morza do Morza”, to jest od chwili, kiedy skończył z dawnym życiem i postanowił rozpocząć nowy okres. Wyrzucił ostatni pocisk z cięciwy, zużył na to całą siłę, a teraz leży powalony na wznak. Gdyby się nie głodził, nie dosięgłaby go choroba. Był wycieńczony do ostatka i w tym stanie nie zdołał oprzeć się zgubnym zarazkom, które wtargnęły do organizmu. Był to logiczny skutek dotychczasowego trybu życia.

— Na co zda się człowiekowi napisać całą bibliotekę, jeśli przy tym straci życie? — powiedział głośno. — Nie tu moje miejsce. Dość mam tej literatury. Przyszłość moja to biuro, księgi rachunkowe, stałe uposażenie miesięczne i wspólne z Ruth gniazdko.

W dwa dni później zjadł jajko, dwie grzanki, popił szklanką herbaty i zażądał swej poczty, ale oczy zbyt go jeszcze bolały, aby sam mógł czytać.

— Proszę pomóc mi w czytaniu, Mario — rzekł. — Nie ma co zwracać uwagi na te długie koperty. Pod stół z nimi! Ważne są tylko małe listy.

— Nie dam rady — brzmiała odpowiedź. — Tereska chodzi do szkoły, to potrafi.

Tak więc dziewięcioletnia Teresa Silva zaczęła otwierać i odczytywać mu listy. Martin słuchał jednym uchem długiego "upomnienia wystosowanego doń przez agencję wynajmu

maszyn do pisania, myśląc przez ten czas o sposobach znalezienia pracy. Nagle raptowny wstrząs przywrócił mu całą czujność.

— „Ofiarujemy panu czterdzieści dolarów za odstąpienie nam praw do pańskiej opowieści — sylabizowała powoli Tereska — pod warunkiem zgody na dokonanie zmian, jakie uznamy za konieczne”.

•— Z jakiej redakcji to piszą?! — krzyknął Martin. — Daj no mi zaraz ten list!

Teraz odzyskał wzrok na tyle, że mógł sam czytać i nawet zapomniał o bólu oczu. Propozycja czterdziestu dolarów pochodziła od „Białej Myszy”, a chodziło o Wir, jedną z dawniejszych jego opowieści niesamowitych. Kilka razy przeczytał ten list od deski do deski. Redaktor szczerze wyrażał pogląd, że pomysł nie został należycie opracowany, ale że czasopismo reflektuje właśnie na sam pomysł ze względu na jego oryginalność. Jeśli uzyskają zgodę na skrócenie utworu o jedną trzecią, nabędą go i prześlą czterdzieści dolarów odwrotną pocztą. Martin, zażądawszy pióra i atramentu, odpisał redaktorowi, żeby skrócił nowelę choćby nawet o trzy trzecie, jeśli mu się tak spodoba, a należność wysłał bez zwłoki.

Gdy Tereska pobiegła wrzucić list do skrzynki pocztowej, Martin leżąc na wznak oddawał się rozmyślaniom. A więc jednak to nie było kłamstwo! „Biała Mysz” płaciła za utwory zaraz po ich otrzymaniu. Wir liczył trzy tysiące słów. Po skróceniu noweli o jedną trzecią pozostanie dwa tysiące. Honorarium w wysokości czterdziestu dolarów odpowiada stawce dwu centów za słowo. Zapłata z chwilą przyjęcia, po dwa centy za wyraz — gazety mówiły prawdę. A on sądził, że „Biała Mysz” jest trzeciorzędnym pismem! Jasne było, że się nie znał na czasopiśmie. „Od Morza do Morza” uważał za pismo wysokiej klasy, a okazało się, że płaci centa za dziesięć słów. Natomiast „Biała Mysz”, do której odnosił się z lekceważeniem, płaci dwudziestokrotnie więcej niż „Od Morza do Morza”, i w dodatku płaci z góry.

Jedno było pewne: skoro odzyska zdrowie, nie będzie rozglądał się za posadą. Głowę miał pełną opowieści nie gorszych od Wiru, a obliczając je po czterdzieści dolarów za sztukę, zarobi z pewnością znacznie więcej niż na jakiegokolwiek posadzie czy stanowisku. Właśnie w chwili gdy już miał się pogodzić z klęską, bitwę zakończyło nieoczekiwane zwycięstwo. Próba życiowa sama zadecydowała o jego przyszłej karierze. Widział przed sobą jasną drogę. „Biała Mysz” zapoczątkuje stopniowo zwiększający się wykaz wydawnictw popierających jego twórczość. Będzie można skończyć z sieczką literacką. Prawdę mówiąc, pomysł ten okazał się stratą czasu, gdyż nigdy nie przyniósł mu nawet dolara. Teraz poświęci się całkowicie pracy, rzetelnej pracy, i dawać będzie z siebie wszystko najlepsze, na co go stać. Żałował, że nie ma przy nim Ruth, z którą mógłby dzielić swą radość, kiedy zaś począł przeglądać leżącą na łóżku korespondencję, znalazł tam także i list od niej. Zawierał on łagodne wyrzuty i wyrażał zdziwienie, czemu Martin od tak strasznie długiego czasu nie pokazuje się u niej. Odczytywał ten list z nabożeństwem, przyglądając się z lubością charakterowi jej pisma, wielbiąc każde pociągnięcie pióra i wreszcie całując złożony na końcu podpis.

W swojej odpowiedzi przyznał się szczerze, że nie mógł jej odwiedzić, bo zastawił w lombardzie jedyne porządne ubranie. Doniósł również o swej chorobie i o tym, że wobec prawie zupełnego powrotu do zdrowia zamierza przed upływem dziesięciu dni lub najwyżej dwóch tygodni (a więc czasu, jaki zajmie wymiana listów z Nowym Jorkiem) wykupić garnitur i zjawić się u niej.

Ruth jednak nie chciała czekać dziesięciu dni lub dłużej, zwłaszcza że jej narzeczony był chory. Nazajutrz po południu zajechała w towarzystwie Artura powozem Morse'ów przed domek, budząc nieopisany zachwyty młodocianych latorośli plemienia Silvów i dzieciarni z całej ulicy. Przerażona Maria rozdawała kuksańce gromadzie pędraków tłoczących się wokół gości na ganeczku i jeszcze okropniejszą niż zwykle angielszczyznę prosiła, aby jej wybaczone nieodpowiedni strój. Zakasane rękawy, ręce unurzane w mydlinach i mokra płachta uwiązana u pasa niedwuznacznie świadczyły o zajęciu, od którego się oderwała.

Przybycie dwojga tak dostojnych młodych ludzi, zapytujących o jej lokatora, onieśmieliło ją do tego stopnia, że zapomniała poprosić, by zechcieli spocząć na chwilę w saloniku. Aby dostać się do pokoju Martina, musieli przejść przez kuchnię, gorącą, wilgotną i parną od wielkiego prania, jakie się tam właśnie odbywało. Maria w podnieceniu doprowadziła do zderzenia drzwi sypialni z drzwiczkami szafki ściennej, wskutek czego przez dobre pięć minut nie domknięte drzwi wpuszczały do pokoju chorego kłęby pary cuchnącej mydlinami i brudem.

Ruth zdołała z powodzeniem przemknąć się w prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo, po czym wąską cieśniną między stołem a łóżkiem dotarła do Martina, Artur jednak wycelował nieco zbyt pochopnie, na skutek czego w kącie służącym Martinowi za kuchnię ozwał się brzęk i stukot potrąconych garnków i patelni. Artur nie bawił zresztą długo. Gdy Ruth już usiadła na jedynym krześle, uznał, że wywiązał się z obowiązku, i wyszedł na dwór, gdzie zatrzymawszy się u furki wejściowej, stał się ośrodkiem zainteresowania siedmiorga zagapiionych Silvów, którzy przyglądali mu się niby jakiemuś jarmarcznemu dziwowisku. Dookoła powozu zgromadziła się dzieciarnia z tuzina chyba okolicznych kamienic, zdając się oczekiwać jakiegoś wielce tragicznego i strasznego rozwiązania. Powozy widywano na tej ulicy jedynie z okazji ślubów i pogrzebów; obecnie nie zachodziła żadna z dwóch wymienionych okoliczności, z czego wynikało, że dzieje się coś, co przekracza granice zwykłego ludzkiego doświadczenia i czemu warto z pewnością poświęcić nieco czasu.

Martin na widok Ruth oszalał z radości. Naturę miał głęboko uczuciową, w rzadko u mężczyzn spotykanym stopniu spragnioną sympatii. Łaknął tej sympatii wprost rozpaczliwie, upatrując w niej pełne zrozumienia współczucie, nie wiedział zaś jeszcze, że sympatia Ruth nosi wyraźnie charakter sentymentalny i grzecznościowy, wynikający raczej z łagodnego usposobienia dziewczyny niż z głębszego zrozumienia człowieka wzbudzającego uczucie. Kiedy więc Martin trzymał jej dłoń w swojej i radośnie rozprawiał, miłość do niego kazała jej oddać uścisk, a oczy jej wilgotniały i jaśniały tkliwością na widok bezsilności chłopca i śladów cierpienia wrytych na jego twarzy. Kiedy jednak zaczął opowiadać o przyjęciu dwóch nowel,

O rozpacz, w jaką wprawił go list „Od Morza do Morza”, i o równie wielkiej radości, z jaką dowiedział się o propozycji „Białej Myszy”, dziewczyna pozostała całkowicie obojętna. Słyszała wymawiane słowa i rozumiała ich treść, nie dzieliła jednak jego strapienia ani radości. Nie mogła wykroczyć duchem poza sferę własnych zainteresowań. Sprzedawanie opowiadań czasopismom nie obchodziło jej wcale. Ważna dla niej była tylko kwestia małżeństwa. Sama nie zdawała sobie z tego sprawy, podobnie jak nie wiedziała, że pragnienie ujrzenia Martina na stanowisku wypływało z instynktu, stanowiąc wstępny objaw popędu macierzyńskiego. Ruth byłaby się zawstydziła, gdyby powiedziano jej o tym nie owijając w bawełnę, a może nawet oburzyłaby się i zapewniała gorąco, że jedyną jej troską jest dobro kochanego mężczyzny i zapewnienie mu jak największych osobistych korzyści. Kiedy więc Martin odsłaniał przed nią serce, uradowany pierwszym powodzeniem swej umiłowanej pracy, uświadamiała sobie jedynie puste dźwięki, rozglądając się raz za razem po pokoju i nie kryjąc zgorznienia, jakie widok ten w niej wywoływał.

Po raz pierwszy w życiu Ruth spoglądała w ponure oblicze nędzy. Kochankowie przymierający głodem wydawali jej się zawsze nad wyraz romantyczni, ale nie miała pojęcia o tym, jak owi głodujący kochankowie mieszkają. Nigdy nie śniło jej się, że może to w podobny sposób wyglądać. Wzrok jej nieustannie przesuwiał się z izby na niego i znów z powrotem. Przesiąknięta parą woń brudnej bielizny przyprawiała ją o mdłości. Martin musi być całkowicie przepojony tym odorem, jeśli ta okropna baba często urządza pranie — przemknęło dziewczynie przez myśl. Poniżenie jest zatem aż tak dalece zaraźliwe! Kiedy patrzyła na Martina, zdawała się dostrzegać skazę pozostawioną na nim przez nieczyste

otoczenie. Nigdy nie widziała go nie ogolonego, a trzydniowy zarost, który pokrył mu twarz w czasie choroby, budził w niej odrazę. Nie tylko nadawał on Martinowi to samo ponure i obmierzłe piętno, jakie nosiło wewnątrz i zewnątrz całe domostwo Silvów, ale

258

ponadto podkreślał tę jego zwierzęcą siłę, której tak nienawidziła. A na domiar złego przyjęcie dwóch rękopisów, o którym z taką dumą jej opowiadał, utwierdziło go w jego szaleństwie. Niewiele już przecież brakowało, by dał za wygraną i wziął się do pracy. Teraz zaś przez kilka najbliższych miesięcy pozostanie w tej wstrętnej dziurze, będzie pisał i głodował.

— Co to za zapach? — spytała nagle.

— A to pewnie pranie Marii — odrzekł, — Już się do tego przyzwyczaiłem.

— Nie, nie, to nie to! Coś innego — jakiś stęchły, mdlący zaduch.

Martin, zanim odpowiedział, wciągnął powietrze w nozdrza.

— Nie czuję nic poza zastarzałym dymem z papierosów — oświadczył wreszcie.

— Otóż to właśnie. To jest okropne. Dlaczego ty tyle palisz?

— Nie mam pojęcia. Tyle tylko wiem, że w samotności palę więcej. A poza tym to z dawna zakorzeniony nałóg. Nawykłem do palenia, kiedy jeszcze byłem chłopakiem.

— Niezbyt to piękne przyzwyczajenie, jak sam przyznasz — ciągnęła dalej panna karcącym tonem. — Cuchnie aż pod niebo.

— To już wina lichego tytoniu. Mogę sobie pozwolić tylko na najtańszy. Ale poczekaj tylko, aż dostanę ten czek na czterdzieści dolarów. Wtedy sprawię sobie taką mieszankę, na którą nie uskarżaliby się nawet aniołowie. Ale to wyszło wcale nieźle, prawda? Dwa rękopisy przyjęte w ciągu trzech dni. Tym i czterdziestoma pięcioma dolarami spłacę chyba wszystkie moje długi.

— Dostajesz to za dwuletnią pracę? — zapytała z przekąsem.

— Nie, za tydzień niespełna. Podaj mi zeszyt, który leży na tamtym końcu stołu, o, ten notatnik rachunkowy w szarej okładce. — Otworzywszy go zaczął szybko odwracać karty. — Tak, nie myliłem się. Dźwięk dzwonów zajął cztery dni. Wir dwa dni. Czterdzieści pięć dolarów za tydzień pracy to wynosiłoby sto osiemdziesiąt dolarów miesięcznie. Przewyższa to każdą pensję biurową, o jakiej mógłbym marzyć. A zresztą ja przecież dopiero zaczynam. Tysiąc dolarów miesięcznie nie byłoby wcale za wiele na to wszystko, co chciałbym ci sprawić. Pensja pięciuset dolarów nie wystarczyłaby mi bynajmniej. Te czterdzieści pięć dolarów do dopiero początek. Zobaczysz, co będzie, gdy się naprawdę rozruszam. Dopieroż to będzie dymu!

Ruth nie zrozumiała gwarowego wyrażenia i wróciła do sprawy papierosów.

— Już teraz palisz stanowczo za wiele, a gatunek tytoniu nic tu nie pomoże. Palenie jest zawsze wstrętną przywarą, bez względu na jakość tytoniu. Stajesz się kominem, żywym wulkanem, przenośną wędzarnią — i w ogóle jesteś okropny, sam dobrze wiesz, kochanie. Pochyliła się ku niemu z błagalnym wyrazem oczu, a kiedy spojrzał na jej delikatną twarz i zatonął w jej wzroku tak czystym i jasnym, ogarnęło go z dawna już znane poczucie własnej nikczemności.

— Bardzo bym chciała, abyś przestał palić — szepnęła. — Zrób to, proszę... dla mnie.

— No dobrze, rzucę palenie! — wykrzyknął. — Wiesz przecież, najdroższa, że zrobię wszystko, czego zażadasz.

Dziewczynę naszła wielka pokusa. W miarę nalegań, z jakimi zwracała się doń dotychczas, przekonywała się o tkwiącej w jego naturze daleko posuniętej ustepliwości, toteż pewna była, że gdyby zażądała od niego, by przestał pisać, Martin spełniłby i to życzenie. Przez krótką chwilę słowa takie drżały na jej wargach. Nie wymówiła ich jednak. Nie starczyło jej śmiałości; nie mogła się jakoś odważyć. W zamian za to przechyliła się bardziej jeszcze ku wyciągniętym po nią ramionom i już w jego objęciach wyszeptała:

— Zaręczam ci, że w gruncie rzeczy nie chodzi tu o mnie, lecz o twoje własne dobro. Palenie z całą pewnością szkodzi ci, poza tym niedobrze jest być niewolnikiem czegokolwiek, a najgorszym już chyba nieszczęściem jest popaść w niewolę nałogu.

— Twoim niewolnikiem będę zawsze — rzekł z uśmiechem.

— Skoro tak, zacznym wydawać rozkazy.

Spoglądała nań z szelmowską filuternością, w głębi duszy żałując już, że nie zdobyła się na wypowiedzenie głównego swego życzenia.

— Jedynym celem mego życia jest wypełnianie poleceń waszej królewskiej mości.

— A zatem pierwsze moje przykazanie brzmi: „Nie będziesz zaniedbywał codziennego golenia”. Popatrz, jak pokłuteś mi policzki...

Tak więc sprawa skończyła się na pieszczotach i miłosnych żartach. Zapisawszy na swoje dobro jeden sukces, Ruth nie mogła już oczekiwać dalszych natychmiastowych zdobyczy. Czuła kobiecą dumę na myśl o tym, że wymogła na nim wyrzeczenie się palenia. Następnym razem zmusi go do wzięcia posady — czy bowiem sam nie oświadczył, że zastosuje się do wszelkich jej życzeń?

Podniosła się z zamiarem zwiedzenia izdebki; obejrzała rzędy notatek zwieszających się z bielixnianych sznurów, poznała tajemnicze urządzenie umożliwiające zawieszenie roweru pod sufitem i zmartwiła się na widok leżącego pod stołem stosu rękopisów, który w jej oczach odzwierciedlał bezmiar straconego czasu. Piecyk naftowy wzbudził jej zachwyt, kiedy jednak chciała zbadać zawartość spizarki, przekonała się, iż półki jej świecą pustkami.

— Przecież ty nie masz nic do jedzenia, biedaku! — rzekła z serdecznym współczuciem. — Musisz umierać z głodu.

— Trzymam swoje zapasy w skrytce i w spizarni Marii. Lepiej się tam przechowują. Nie ma obawy, żeby głód dał mi się we znaki, spójrz tylko!

Powróciwszy w poblizsze łóżka ujrzała, jak Martin zgiał ramię w łokciu, przy czym mięśnie wezbrały mu pod rękawem koszuli w ciężki, twardy splot. Ten widok raził dziewczynę.

Strona uczuciowa jej istoty nie znosiła go. Natomiast tętno krwi i każde włókno jej ciała tęskniło do tego widoku i lubowało się nim, toteż dawny, niewytłumaczony odruch zdziałał, że przyłgnęła doń, zamiast się oddalić. W następnej zaś chwili, gdy już ją miażdżył w uścisku, jej mózg, zaprzątnięty powierzchowną stroną życia, podniósł wprawdzie bunt, ale serce i całe kobiece jestestwo, związane z najgłębszą treścią życia, dyszało radosnym upojeniem. W takich właśnie chwilach odczuwała w najsilniejszym stopniu ogrom swej miłości do Martina, gdyż chwyt jego potężnych ramion, gniotących ją w żarliwym uniesieniu mocno i boleśnie, przyprawiał ją niemal o rozkoszne omdlenie. W takich chwilach Ruth znajdowała usprawiedliwienie dla popełnionej przez siebie zdrady własnych zasad, dla pogwałcenia najwznioślejszych ideałów i milczącego sprzeniewierzenia się woli rodziców. Oni nie chcieli, by poślubiła tego człowieka. Raziła ich nawet jej miłość do niego. Co prawda i ona sama odczuwała niekiedy podobne zgorszenie, kiedy z dala od niego stawała się istotą chłodną i rozsądną. W jego obecności kochała go, uczuciem czasami, prawdę mówiąc, strapionym i skłopotanym, ale będącym niewątpliwą miłością, silniejszą od niej samej.

— Ta grypa to nic wielkiego — mówił. — Trochę dokucza i powoduje paskudny ból głowy, ale nie może się nawet równać ze srożącą się pod zwrotnikami gorączką zwaną łamignatem.

— Czy i na to chorowałeś? — spytała bezmyślnie, cała pochłonięta zesłanym z nieba usprawiedliwieniem, znalezionym w jego ramionach.

Podtrzymała dalej jego opowiadanie wtrącanymi od niechcienia pytaniami, aż nagle jego słowa wstrząsnęły nią.

Chorował na tę gorączkę w ukrytej osadzie trzydziściorga trędowatych na jednej z Wysp Hawajskich.

— Ale po coś tam poszedł? — zagadnęła.

Taka królewska niedbałość o życie wydała jej się wprost zbrodnią.

— Bo nie wiedziałem -o niczym — odparł. — Ani mi się śniło o trędowatych. Kiedy uciekłem ze szkunera i wylądowałem

na tym wybrzeżu, udałem się w głąb wyspy w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Przez trzy dni żywiłem się guawą, jabłkami ohia i bananami, które rosły dziko w dżungli. Czwartego dnia natrafiłem na jakieś tropy — była to pieszka ścieżyna. Prowadziła w głąb lądu, pod górę. Tą dróżką właśnie zamierzałem pójść; były na niej świeże ślady ludzkich stóp. W jednym miejscu biegła po krawędzi grzbietu górskiego, wąskiej jak ostrze noża. Szerokość ścieżki na grani nie przekraczała trzech stóp, a po obu stronach ziały przepaście kilkuset stopowej głębokości. Jeden człowiek dostatecznie zaopatrzony w amunicję mógłby bronić tego przejścia przed stutysięczną armią. Była to jedyna droga prowadząca do kryjówki. W trzy godziny po dostrzeżeniu tropu znalazłem się na miejscu w małej górskiej dolince, tworzącej jakby fałd wśród ukształtowanych z lawy turni. Całe ustronie podzielone było na tarasy w celu umożliwienia uprawy jadalnej rośliny taro. Rosły tam też drzewa owocowe i stało osiem do dziesięciu darniowych chat. Skoro jednak zobaczyłem mieszkańców, zrozumiałem, gdzie trafiłem. Wystarczyło raz na nich spojrzeć.

— I cóż zrobiłeś? — z trudem łapiąc dech spytała Ruth, która niby Desdemona przysłuchiwała się opowiadaniu, przerażona i jednocześnie oczarowana.

— Niewiele mogłem poradzić. Wodzem tych nieszczęśników był zacny, stary człek, silnie już posunięty w chorobie, który rządził tam jak król. Sam odkrył niegdyś tę kotlinkę i założył osiedle. Wszystko to uczynił wbrew prawu. Ale strzelb i ładunków miał pod dostatkiem, a ci Kanakowie, wyćwiczeni w łowach na bawoły i dziki, byli nieomylnymi strzelcami. Nie, o ucieczce Martin Eden nie mógł nawet marzyć. Toteż został tam na okres trzech miesięcy.

— A jak potem uciekłeś?

— Tkwiałbym tam dotychczas, gdyby nie pewna dziewczyna, półkrwi Chinka, w czwartej części biała i w czwartej części Hawajka. Piękna była, biedaczka, i wykształcona. Majątek jej matki liczone w Honolulu na coś około miliona. Ta właśnie dziewczyna uwolniła mnie w końcu. Matka jej, widzisz, utrzymywała na własny koszt całą tę kolonię, tak że dziewczyna nie bała się kary za wypuszczenie mnie. Ale przedtem kazała mi przysiąc, że nikomu nie wydam ich kryjówki. Obietnicy tej dotrzymałem. Dzisiaj dopiero po raz pierwszy w ogóle o tej sprawie wspominam. Dziewczyna miała zaledwie pierwsze oznaki choroby. Palce jej prawej ręki były z lekka skrzywione, a na ramieniu miała drobne piętno. Nic więcej. Dziś już na pewno nie żyje.

— A czy nie bałeś się? Musiałeś chyba bardzo się cieszyć, żeś zdążył odejść nie zarażony?

— Pewnie, że tak — wyznał. — Z początku czułem się niewyraźnie, potem jednak przyzwyczałem się. Żal mi było tej biednej dziewczyny i to mi kazało zapomnieć o strachu. Taka była piękna, zarówno duchowo, jak fizycznie, przy tym tak lekko tylko tknięta przez potworną chorobę, a mimo to skazana na prowadzenie tam pierwotnego życia dzikich ludzi i powolne gnicie. Trąd jest znacznie straszliwszym nieszczęściem, niż to sobie ludzie wyobrażają.

— Biedactwo — szepnęła Ruth miękko. — To istny cud, że pozwoliła ci odejść.

— Jak to rozumiesz? — spytał Martin nie domyślając się,

o co jej chodzi.

— Bo musiała się w tobie kochać — cichym głosem wyjaśniła Ruth. — A teraz powiedz szczerze, czy tak nie było?

Opalenizna Martina znikła częściowo od pracy w pralni i prowadzonego ostatnio trybu życia w czterech ścianach pokoju, głód zaś i choroba wybieliły jego twarz jeszcze więcej, poprzez bladość policzków przebiła się jednak narastająca stopniowo fala rumieńca. Otwierał już usta, chcąc odpowiedzieć, lecz dziewczyna powstrzymała go.

— Nie trudź się, możesz nie odpowiadać; to nieważne — zaśmiała się.

Martin odniósł wrażenie, że w tym śmiechu słychać było jak gdyby dźwięk metalu, a blask w jej oczach zalśnił chłodem. Pod wpływem chwili przypomniał sobie huragan, który przeżył niegdyś w północnej części Pacyfiku. Przez krótkie mgnienie stanął mu przed oczyma obraz tej nocnej burzy pod czystym niebem oświetlonym pełnią księżyca, w którego promieniach olbrzymie bałwany mieniły się zimnym połyskiem. Następnie ujrzał dziewczynę z ustronia trędownych i uświadomił sobie, że to z miłości go wypuściła.

— Była szlachetna — powiedział z prostotą. — Zawdzięczam jej życie.

Nie było już więcej mowy o tym zdarzeniu, lecz Martin dosłyszał, jak dziewczyna zdusiła w krtani suchy szloch, i zauważył, że odwróciła się chcąc rzekomo wyjrzeć przez okno. Kiedy spojrzała znów w jego stronę, twarz miała spokojną, a w oczach nie było już śladu minionej burzy.

— Taka jestem głupia — skarżyła się żałośnie. — Ale nic na to nie mogę poradzić. Martin, ja cię przecież naprawdę bardzo, bardzo kocham. Z czasem będę bardziej wyrozumiała, ale na razie nie mogę zwalczyć zazdrości wobec tych widm, których twoja przeszłość, jak sam wiesz, jest pełna.

To zupełnie zrozumiałe — uprzedziła jego sprzeciwy. — Nie może być inaczej. A tymczasem ten biedak Artur mnie woła. Znudziło mu się już czekanie. Więc do widzenia, kochany! Wiesz co, aptekarze wyrabiają podobno jakąś miksturę ułatwiającą odzwyczajenie się od palenia! — krzyknęła jeszcze od progu. — Postaram się przysłać ci ten preparat. Drzwi się zamknęły, lecz uchyliły się raz jeszcze.

— Bardzo a bardzo, naprawdę... — szepnęła i tym razem znikła już na dobre.

Maria odprowadziła pannę do powozu z wyrazem czci w oczach, które niemniej jednak nie zaniedbały ocenić materiału jej sukni i zauważyć osobliwego kroju, sprawiającego tajemniczo piękne wrażenie. Gromada zawiedzionych bachorów gapiła się na powóz aż do chwili jego zniknięcia, po czym przeniosła ciekawy wzrok na Marię, która nagle stała się najwybitniejszą osobistością ulicy. Ale jedna z jej własnych latorośli rozwiała sławę Marii oświadczając, że wspaniali goście przybyli w odwiedzinach do jej lokatora. Maria została więc ponownie zepchnięta w dawny mrok, Martin zaś począł spotykać się z objawami szacunku ze strony okolicznej młodzieży. W opinii Marii urósł co najmniej o sto procent, gdyby zaś sklepikarz Portugalczyk zobaczył powóz, kredyt Martina urósłby niewątpliwie o dalsze trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przed Martinem rozbłysła gwiazda powodzenia, Nazajutrz po odwiedzinach Ruth otrzymał czek na trzy dolary od pewnego nowojorskiego tygodnika żerującego na sensacjach jako wynagrodzenie za trzy trioletowe fraszki. Po dalszych dwóch dniach jakiś dziennik wychodzący w Chicago przyjął Poszukiwaczy skarbów, przyrzekając wypłacić autorowi dziesięć dolarów z chwilą opublikowania opowieści. Cena była niewysoka, lecz wchodziła tu w grę najdawniejsza praca, pierwsza próba przelania własnych myśli na zadrukowaną karto. Serię sukcesów uwieńczył fakt przyjęcia przed upływem tygodnia drugiej z kolei pracy Martina, a mianowicie cyklu przygód dla chłopców, przez miesięcznik młodzieży wychodzący pod nazwą: „Młodość i Wiek Dojrzały”. Co prawda cykl liczył dwadzieścia jeden tysięcy słów, a wydawcy ofiarowywali szesnaście dolarów płatnych w chwili ogłoszenia drukiem, co wynosiło około siedemdziesięciu pięciu centów za tysiąc słów, była to jednak zaledwie druga w jego życiu próba literacka i on sam przekonany był o jej miernej wartości.

Ale nawet najwcześniejsze płody jego pióra nie nosiły piętna szarej pospolitości. Cechowała je natomiast innego rodzaju sztabacka wada: uruchomienie nadmiernych zasobów siły, dające się przyrównać do miażdżenia motyli taranami obłączniczymi lub wytłaczania ozdobnych winiet za pomocą maczug bojowych. Biorąc to pod uwagę, Martin z radością spieniężał za bezcen pierwociny swego talentu. Wiedział, ile są warte, i nie potrzebował zbyt długiego czasu, by się co do tego upewnić. Całą swą wiarę oparł na utworach późniejszych. Usiłował wyrosnąć ponad poziom tuzinkowych dostawców strawy dla czasopism. Starał się wyposażyć swój warsztat pisarski w środki artystycznej ekspresji. Nie oznaczało to zresztą wcale, by dla tych celów wyzbyć się miał swej przyrodzonej siły. Przeciwnie, z rozmysłem zmierzał do wzmoczenia siły przez unikanie jej nadmiaru. Nie sprzeniewierzył się też nigdy umiłowaniu życiowej prawdy. Jego dzieła nacechowane były realizmem, choć z całą świadomością wplatał w nie płody fantazji i klejnoty wyobraźni. Realizm, do którego dążył, ożywiony był tchnieniem namiętności, prześwieتلony wzniosłymi aspiracjami i wiarą. Szukał nie sfalszowanego życia, tchnącego pełnią najgłębszych porywów i uduchowienia. Z lektury Martin zapoznał się z dwiema szkołami literackimi. Jedna z nich upatrywała w człowieku boga, nie biorąc pod uwagę jego ziemskiego pochodzenia; druga zaś czyniła zeń bezduszny stwór, pozbawiony wszelkich niebiańskich natchnień i boskich wzlotów. Zdaniem Martina oba te kierunki popełniały równie ważki błąd, grzesząc zbytnią jednostronnością punktów widzenia, a tym samym i postawionych sobie zamierzeń. Istniała jakaś bliska prawdy droga pośrednia, która nie schlebując ubóstwianiu człowieka, przeciwstawiała się zamykaniu go w ramach brutalnej zwierzęcości. W swym opowiadaniu pod tytułem Przygoda, które tak znudziło Ruth, Martin we własnym mniemaniu zbliżył się do ideału prawdy o twórczej fikcji, w rozprawie zaś Bóg a proch zawarł swoje ogólne poglądy na istotę człowieka.

Jednak Przygoda i te wszystkie prace, które Martin sam uważał za najlepsze, odbywały nadal żebraczą wędrówkę od jednej redakcji do drugiej. Najwcześniejsze utwory nie przedstawiały w jego oczach innej wartości poza dochodem, jaki mogły przynieść, opowieści zaś niesamowitych, z których dwie udało mu się sprzedać, nie uważał ani za swe najlepsze dzieła, ani w ogóle za produkcję wyższej miary. Były po prostu przepojone bujną fantazją i świadczyły o śmiałym locie wyobraźni, co w połączeniu z niewątpliwą prawdą życiową nadawało im pewną siłę. Takie skojarzenie groteskowości i nieprawdopodobieństwa z realizmem sam Martin uważał za pewnego rodzaju sztukę, w najlepszym razie za sztukę udaną. Wielka literatura na takim polu nie wyrośnie. Był tu wprawdzie artyzm niepośledni, lecz Martin odmawiał istotnej wartości sztuce oderwanej od spraw ludzkich. Kuglarstwo polegało na tym, że kunszt literacki przesłonięty został maską humanitaryzmu, co odnosiło się zbiorowo do tych kilku niesamowitych opowieści, które Martin napisał przed wzniesieniem się na wyższy szczebel twórczości, reprezentowany przez Przygodę, Radość, Garnek i Wino życia.

Trzy dolary otrzymane za triolety zużyte zostały na przetrwanie z biedą do czasu nadejścia czeku od „Białej Myszy”. Pierwszy czek Martin wymienił na gotówkę u podejrzliwego portugalskiego sklepikarza, wpłacając mu dolara na poczet długu i rozdzielając pozostałe dwa dolary pomiędzy piekarza i owocarnię. Na mięso wciąż jeszcze nie mógł sobie pozwolić i bardzo już cienko śpiewał, kiedy nadszedł upragniony czek „Białej Myszy”. Martin zastanawiał się nad najwłaściwszym sposobem zrealizowania go. Jeszcze nigdy w życiu nie był w banku, nie mówiąc już o załatwianiu tam swoich interesów, wobec czego odczuwał naiwne i dziecinne pragnienie wkroczenia do któregoś z wielkich domów bankowych w Oakland i zażądania tam realizacji czterdziestodolarowego czeku, opatrzonego na odwrocie własnym podpisem. Z drugiej strony zdrowy rozsądek nakazywał mu upłynnić czek w miejscowym sklepie kolonialnym i w ten sposób wywołać korzystne wrażenie, co mogłoby w przyszłości spowodować zwiększenie kredytu. Aczkolwiek z żalem, Martin zdecydował się

na tę drugą drogę, spłacił sklepikarzowi całą należność i otrzymał resztę w postaci garści brzęczących monet. Uregulował również długi w pozostałych sklepach, wykupił ubranie i rower, opłacił miesięczną ratę za maszynę i wręczył Marii należność zarówno za miesiąc ubiegły, jak i za następny. W wyniku pozostało mu w kieszeni na bieżące potrzeby niespełna trzy dolary.

Niewielka ta kwota wydawała się Martinowi skarbem. Natychmiast po odzyskaniu garnituru wyruszył w odwiedziny do Ruth. i po drodze nie mógł się powstrzymać od pobrzękiwania kilku tkwiącymi w kieszeni sztukami srebra. Tyle czasu był bez pieniędzy, że — niby ocalony zgłodniały rozbitek, nie spuszczający ani na chwilę oka z nie dojezionej żywności — nie mógł oderwać ręki od pieniędzy. Nie był małodusznym chciwcem ani sknerą, ale ta sumka oznaczała dlań więcej niż tyle a tyle dolarów i centów. Była zadatką życiowego powodzenia, a orły wybite na monetach wydawały mu się skrzydlatymi bóstwami zwycięstwa. Niepostrzeżenie przyszło na myśl Martinowi, że żyje w prawdziwie dobrym świecie. Stawał się on doprawdy coraz piękniejszy. Przez całe tygodnie świat ten był ponury i mroczny, teraz jednak, gdy Martinowi udało się spłacić prawie wszystkie długi, w kieszeni miał trzy dolary, a duszę rozpiekała mu pewność powodzenia — słońce zdawało się świecić jaśniej i goręcej, a nawet krótka ulewa, która zmoczyła do nitki nie przygotowanych przechodniów, stała się w jego oczach pociesznym zdarzeniem. W czasach gdy przymierał głodem, często miewał przed oczyma tysiące podobnych nędzarzy, rozsianych po całym świecie; teraz jednak, najadłszy się do syta, nie myślał już o losie owych głodujących tysięcy. Zapomniał o nich po prostu, a sam, będąc zakochany, pamiętał raczej o niezliczonych parach kochanków, od których roił się świat. Choć świadomie o tym nie myślał, zaczęły mu krążyć w głowie pomysły liryków miłosnych. Pochłonięty gorączką twórczą, minął właściwy przystanek i bez szczególnej przykrości wysiadł z tramwaju dopiero o parę przecznic dalej.

U państwa Morseów zastał większe grono gości. Dwie kuzynki Ruth przyjechały do niej w odwiedziny z San Rafael, pani domu zaś, pod pretekstem zapewnienia im rozrywki, wcieliła w życie swój plan otoczenia córki młodzieżą. Kampania ta rozpoczęła się w czasie przymusowej nieobecności Martina i w tej chwili pomyślnie się rozwijała. Pani Morse postawiła sobie jako główne zadanie zapraszać do swego domu jedynie mężczyzn na stanowiskach. Zdarzyło się więc, że prócz wspomnianych panien, Doroty i Florencji, Martin poznał dwóch profesorów uniwersytetu, z których jednego specjalnością była łacina, drugiego zaś literatura angielska; młodego oficera wojsk lądowych, który dopiero co powrócił z Filipin, a niegdyś w szkole kolegował z Ruth; młodzieńca nazwiskiem Melville, pełniącego obowiązki sekretarza osobistego u Józefa Perkinsa, dyrektora Związku Trustów w San Francisco; wreszcie ostatnim z mężczyzn, których Martin poznał, był energiczny kasjer bankowy, Charlie Hapgood, wyglądający najwyżej na trzydzieści pięć lat, absolwent uniwersytetu w Stanford, członek klubów „Nil” i „Jedność”, a ponadto wytrawny agitator Partii Republikańskiej, wyróżniający się w czasie kampanii wyborczych, jednym słowem, osobistość pod każdym względem obiecująca. Spośród kobiet jedna była portrecistką, druga uprawiała zawodowo muzykę, trzecia zaś posiadała stopień doktora socjologii i cieszyła się lokalną sławą z tytułu prowadzenia, prac społeczno-oświatowych w najbiedniejszych dzielnicach San Francisco. Jednakże kobiety nie odgrywały większej roli w planach pani Morse, która traktowała je w najlepszym wypadku jako niezbędną okrasę towarzystwa. Ważne było ściągnięcie do domu za wszelką cenę mężczyzn rokujących pewną przyszłość. — Nie zapalaj się z nadto w czasie rozmowy — pouczyła Ruth narzeczonego przed przystąpieniem do wzajemnych prezentacji.

Martin z początku zachowywał się nieco sztywno, przytłoczony poczuciem własnej niezręczności, zwłaszcza w odniesieniu do ramion, które po dawnemu zdawały się grozić zniszczeniem meblom i ozdobnym drobiazgom. Onieśmiało go także zebrane towarzystwo. Nigdy dotychczas nie stykał się z tak wysoko postawionymi osobistościami, i to w dodatku z

tak licznym ich gronem. Ogromne wrażenie wywarł na nim miody kasjer Hapgood, postanowił więc wybadać go przy pierwszej sposobności. Pod powierzchownym lękiem tkwiła w Martinie silna, świadoma swojej wartości osobowość; odczuwał potrzebą zmierzenia się z tymi ludźmi, żeby się przekonać, czy książki i życie nauczyły ich czegoś takiego, czego on się jeszcze nie zdołał nauczyć. Ruth co chwila spoglądała w jego stronę, by się przekonać, jak daje sobie radę, i mile była zdziwiona łatwością, z jaką nawiązał bliższy kontakt z jej kuzynkami. Z całą pewnością nie dawał się unosić podnieceniu, a okoliczność, że w czasie rozmowy siedział, uwalniała go od troski o ramiona. Ruth wiedziała, że jej krewne są towarzysko wyrobione i potrafią zabłysnąć w powierzchownej wymianie zdań, toteż w zdumienie wprawił ją zachwyty, z jakim dziewczęta te wyrażały się o Martinie w poufnym gronie po rozejściu się gości. On sam zaś, który niegdyś służył w swej sferze z dowcipu i żartobliwości, a na wieczorkach tanecznych i niedzielnych majówkach umiał rozśmieszyć całe towarzystwo, przekonał się, że i w tym nowym dlań otoczeniu bez trudu potrafi przełamać lody i bawić obecnych niefrasobliwą rozmową. Przez cały wieczór czuł, że powodzenie stoi u jego boku, klepie go zachęcająco po ramieniu i pochwała jego starania, tak że z całą swobodą bawił się sam i innych wprawiał w dobry humor.

Później dopiero okazało się, że obawy Ruth niezupełnie były płonne. Martin zetknął się w rogu salonu z profesorem Caldwellem; wprawdzie rozmawiając nie wymachiwał rękami, ale według oceny krytycznie usposobionej Ruth pozwalał sobie na niepokojąco gwałtowne błyski oczu, a przy tym mówił tak szybko i zapalczywie, że z podniecenia krew uderzała mu do twarzy. Stracił poczucie równowagi duchowej i chłodnego panowania nad sobą, tworząc jaskrawy kontrast z młodym profesorem anglistyki, z którym wiódł dyskusję.

Ale Martin niewiele sobie robił z pozorów. Szybko ocenił wyrobienie umysłowe swego rozmówcy i jego wybitne opanowanie wiedzy. Co więcej, profesor Caldwell nie odpowiadał wcale pojęciu, jakie Martin wytworzył sobie o przeciętnym profesorze angielskiego. Choć z początku niezbyt chętnie omawiał sprawy z zakresu swej specjalności, w końcu jednak pozwolił Martinowi skierować dyskusję na fachowe tory. Martin bowiem nie rozumiał, dlaczego prowadzenie rozmów zawodowych w towarzystwie miałyby być uważane za rzecz niewłaściwą.

— To uprzedzenie do dyskusji o zagadnieniach fachowych jest niedorzeczne i krzywdzące — tłumaczył narzeczonej kilka tygodni przedtem. — Po co mężczyźni i kobiety mają się spotykać, jeśli nie wolno im dzielić się tym, co jest w nich najlepszego? Tym najlepszym zaś jest przedmiot ich zainteresowań, źródło, z którego czerpią środki utrzymania, to, co jest ich specjalnością i zaprzęta im myśli w dzień, w nocy i nawet we śnie. Wyobraź sobie tylko pana Butlera, stosującego się do wymogów towarzyskiej etykiety i wygłaszającego własne poglądy na Verlaine'a, dramat niemiecki czy powieści d'Annunzia. Zanudziłby nas przecież na śmierć. Co do mnie, jeśli już muszę słuchać pana Butlera, wolę, żeby mówił o swoim prawie, bo to jest w nim najlepsze, a życie jest tak krótkie, że od spotykanych ludzi powinniśmy żądać tylko tego, co najwartościowsze.

— Ale przecież — sprzeciwiła się Ruth — istnieją tematy interesujące wszystkich.

— Tu się właśnie mylisz — przerwał gwałtownie Martin. — Wszyscy ludzie i kliki towarzyskie, a ściślej mówiąc, znaczna większość jednostek i klik małpuje lepszych od siebie. A kto jest najlepszy spośród tych lepszych? Oczywiście próżniacy, bogate nieroby. Z reguły nie mają oni pojęcia o sprawach znanych ludziom, którzy zajmują się czymś poważnym. Przysłuchiwanie się rozmowie o takich sprawach musiałyby dla nich być nudne, więc późniący uchwalają, że o tym wszystkim, jako o rzeczach fachowych, w towarzystwie nie wolno mówić.

Podobnie orzekają też, jakie sprawy wolne są od zarzutu fachowości i mogą być omawiane, a do takich zaliczają się ostatnie opery, najnowsze powieści, gra w karty, bilard, coctaille,

samochody, wystawy koni, łowienie pstrągów i tuńczyków, łowy na grubego zwierza, żegluga na jachtach i tym podobne, czyli, zauważ: same sprawy, na których właśnie próżniacy się znają, a więc prowadzą w gruncie rzeczy własne rozmowy fachowe. A najzabawniejsze ze wszystkiego jest to, że wiele ludzi rozumnych, nie mówiąc już o rzekomych mądralach, pozwala nierobom górować w ten sposób nad sobą. Ja natomiast od każdego chcę tego, co w nim jest najwięcej warte, a nic mnie nie obchodzi, czy świat nazwie to nietaktem towarzyskim czy też czymkolwiek innym.

Ruth nie zrozumiała go wtedy. Atak Martina na ustalone poglądy wydał się jej po prostu zuchwałym wybrykiem.

W czasie rozmowy z profesorem Caldwellem młodzieńcowi udało się zarazić go własnym zapalem i zmusić do szczerości. Przechodząc obok, Ruth dosłyszała słowa Martina:

— Chyba z katedry uniwersyteckiej nie wygłasza pan tego rodzaju herezji?

Profesor wzruszył ramionami.

— Jestem tylko uczciwym płatnikiem podatków i trochę dyplomata. Miasto Sacramento daje nam subsydia, wobec czego usiłujemy mu się przypodobać, jak również Radzie Regentów i prasie partyjnej albo raczej prasie obu stronnictw.

— Tak, to jasne, ale jak pan sobie w tych warunkach radzi? Musi się pan czuć jak ryba wyciągnięta z wody?

— Istotnie, nie wydaje mi się, by było dużo takich jak ja w uniwersyteckim stawku. Czasem jestem przeświadczony, że żyję w niewłaściwym środowisku i byłbym bardziej na miejscu w Paryżu, na Grab Street, w celi pustelnika czy też w żalonym gronie jakiejś dzikiej cyganerii, gdzie piłbym młode czerwone wino — włoską lurę, jak powiadają w San Francisco — stołowałbym się w tanich jadłodajniach Dzielnicy Łacińskiej i krzykliwie wyrażałbym radykalne sądy na wszelkie możliwe tematy. Chwilami wydaje mi się, że w gruncie rzeczy stworzony jestem na radykała. Ale z drugiej strony tyle znów jest spraw, co do których nie mam tej pewności. Staję się nieśmiały, gdy spoglądam w twarz własnej ludzkiej słabości, która nigdy nie pozwala mi objąć myślą wszystkich aspektów zagadnienia — chodzi mi, wie pan, o te prawdziwie żywotne problemy ludzkie.

Kiedy profesor to mówił, na usta Martina nadpłynęła mimo woli zwrotka Pieśni pasatu:

Największą siłę mam w południe, Lecz kiedy księżyc załśni cudnie, Sztywno napinam żagla skraj.

Martin zanucił prawie te słowa i przyszło mu wtedy na myśl, że Caldwell dziwnie przypomina pasat, ten północno-wschodni pasat, stały, chłodny i mocny. Profesor był zrównoważony, czuło się, że można na nim polegać, a mimo to promieniowała od niego jakaś powściągliwość, granicząca z niezdecydowaniem. Martin odniósł wrażenie, że Caldwell nigdy nie wypowiada się do końca, bliźniaczo w tym podobny do pasatu, który zdaje się nigdy nie dąć z całej siły, zachowując zawsze rezerwy mocy, choć nie zdarza mu się z nich korzystać. Zdolności wizjonerskie znów zakwitły w Martinie w całej pełni. Mózg zamienił mu się w łatwo dostępny skład zapamiętanych faktów i fantastycznych urojeń, a jego zawartość, systematycznie posegregowana, zdawała się czekać tylko na inspekcję świadomości. Cokolwiek działo się w teraźniejszości, umysł Martina natychmiast podsuwał skojarzenia przeciwieństw lub podobieństw, najczęściej wyrażające się w obrazach. Odbывało się to najzupełniej automatycznie, tak iż wizja towarzyszyła wiernie przeżyciom bieżącej chwili. Podobnie jak twarz Ruth, pod wpływem przejściowej zazdrości, przywołała kiedyś przed jego oczy dawno zapomniany widok burzy, srożącej się w noc księżycową, i jak przed chwilą profesor Caldwell nasunął mu na myśl północno-wschodni pasat pędzący przez purpurę morza trzodę białych baranków — tak od czasu do czasu coraz to nowe obrazy

wspomnień stawały przed nim, wpełzały mu pod powieki lub słały się na ekranie jego wyobraźni, nie burząc toku myśli, lecz raczej wprowadzając ład i zwiększając ich jasność. Obrazy te wypływały z czynów i wrażeń przeszłości, z rzeczy, zdarzeń i ksiązek doby wczorajszej i ostatniego tygodnia, tworząc niezliczony orszak zjaw, które bez przerwy, na jawie i we śnie, tłoczyły mu się w pamięci.

Nie przestając więc śledzić potoku gładkiej wymowy profesora Caldwell — rozprawiającego tak, jak przystało człowiekowi światłemu i wszechstronnie wyrobionemu — Martin jednocześnie widział siebie kroczącego szlakami minionych czasów. Widział siebie jako urwipolcia o rozkołysanym chodzie, w kapeluszu ze sztywnym rondem i w kanciasto skrojonej dwurzędowej kurtce, stawiającego sobie za punkt honoru zachowywać się najbezczelniej, jak tylko to się dało nie popadając w konflikt z policją. Dziś nie starał się wcale oszukiwać samego siebie ani łagodzić tego obrazu. Istniała w jego przeszłości epoka, kiedy był pospolitym łobuzem, przywódcą szajki niepokojącej policję i będącej utrapieniem spokojnych mieszkańców robotniczej dzielnicy. Ideały jego jednak zmieniły się od tego czasu. Rozglądając się teraz po otaczających go dobrze wychowanych i elegancko ubranych mężczyznach i kobietach, wdychał atmosferę kultury i wykwintu, a jednocześnie widmo jego szczenięcych lat snuło się po salonie, w sztywnym kapeluszu i kanciastej kurtce, z niedbałym kołysaniem ramion i beczelnym wyrazem twarzy. Po chwili ten postrach miejskich zaułków połączył się w jedno z nim samym, siedzącym obok profesora uniwersytetu i prowadzącym z nim ożywioną rozmowę.

W gruncie rzeczy bowiem Martin nigdy dotychczas nie zdołał znaleźć dla siebie stałego miejsca. Wszędzie, gdzie go los rzucał, dopasowywał się do miejscowego otoczenia i zyskiwał sobie uznanie dzięki gorliwości zarówno w pracy, jak i zabawie, a także wskutek umiejętności, z jaką walczył o swoje prawa i zdobywał należne sobie poważanie. Nigdzie jednak nie zapuścił głębiej korzeni. Zżywał się ze środowiskiem w stopniu wystarczającym dla towarzyszy, lecz nie dającym jemu samemu zadowolenia. Niezmiennie trapiło go poczucie jakiegoś niepokoju, słyszał głosy nawołujące go z zewnątrz i wędrował tak przez świat w pogoni za prawdziwym życiem, aż wreszcie znalazł na swej drodze książki, sztukę i miłość. A teraz jest tu, pośród tych wszystkich dziwów, jako jedyny przedstawiciel grona dawnych towarzyszy przygód, który stał się godny nawiązania bliższych stosunków z domem państwa Morse'ów.

Tego rodzaju myśli i widzenia nie przeszkadzały mu słuchać uważnie profesora Caldwell. Słuchając zaś ze zrozumieniem, a jednocześnie z nastawieniem krytycznym, podziwiał rozległość, jaka cechowała zakres wiedzy jego rozmówcy. W sobie samym przy sposobności prowadzonej dyskusji coraz to dostrzegał luki i wyrwy; całe dziedziny były mu najzupełniej obce. Niemniej przekonał się, że dzięki Spencerowi zyskał solidny, choć tylko szkicowy zarys całokształtu wiedzy. Wypełnienie tych konturów bardziej szczegółową treścią było już tylko kwestią czasu. A wtedy: bacność, jeden z drugim! — pomyślał. Zdawało mu się, że siedząc jak gdyby u stóp profesora w pełnym czci i skupienia zasłuchaniu, wyczuwa jednak w jego wywodach jakiś brak, jakąś usterkę, tak ulotną i nieuchwytną, że nie zauważyłby jej wcale, gdyby nie to, że raz po raz przypominała o swym istnieniu. A kiedy ją już pochwycił, od razu poczuł, że stoi na wysokości zadania.

Ruth po raz drugi podeszła ku nim, właśnie kiedy Martin zaczynał przemowę.

— Powiem panu, w czym pan nie ma słuszności albo raczej, w jakim punkcie pańskie wywody brzmią najmniej przekonująco — rzekł. — Pomija pan biologię, która w świecie pańskiej myśli nie zajmuje określonego miejsca. Mam tu oczywiście na uwadze biologię w najbardziej wszechstronnym znaczeniu, która nadawałaby się do wyjaśniania spraw najogólniejszych i obejmowała cały zakres wiedzy, poczynając od prac laboratoryjnych, próbek i ożywiania materii nieorganicznej, a dochodząc aż do najszerzych uogólnień estetycznych i socjologicznych.

Ruth była przerażona. Wysłuchiwała dwa kursy wykładów profesora Caldwell'a i widziała w nim żywe źródło wszelkiej wiedzy.

— Niezupełnie pana rozumiem — odparł z wahaniem uczony. Martin jednak sądził, że zrozumiany został całkiem dobrze.

— Postaram się bliżej wyjaśnić moją myśl — rzekł. — Wyczytałem kiedyś w historii Egiptu, że nie można sobie wyrobić trafnego poglądu na sztukę egipską bez zapoznania się z warunkami naturalnymi tego kraju.

— Zupełnie słusznie — zgodził się profesor.

— A wydaje mi się też — ciągnął dalej Martin — że znajomości warunków naturalnych nie podobna uzyskać bez uprzedniego zbadania tworzywa i układu życia jako takiego. Jak mamy być zdolni zrozumieć prawodawstwo, ustrój, wierzenia i obyczaje, nie mając pojęcia ani o naturze istot, które je wytworzyły, ani też — co jest niemniej ważne — o budowie tworzywa, z którego istoty te powstały? Czyż literatura mniej związana jest z życiem niż architektura i rzeźba starożytnego Egiptu? Czyż w całym znanym nam wszechświecie można znaleźć choćby jedną rzecz, która nie podlegałaby prawom ewolucji? Tak, wiem o tym dobrze, że istnieją misternie opracowane systemy tłumaczące rozwój poszczególnych sztuk, wydają mi się one jednak zbyt mechaniczne. Nie uwzględniają istoty człowieczeństwa. Ewolucja narzędzi, lutni, muzyki, śpiewu i tańca ujęta została znakomicie, ale co wiadomo o ewolucji funkcjonalnej samego człowieka, o rozwoju tych podstawowych i najbardziej istotnych jego cech, których początek tkwił w nim, zanim wykonał pierwsze narzędzie czy zanucił pierwszy śpiew? Oto są sprawy, których nie bierze pan w rachubę, a które ja nazywam biologią. Na tym właśnie polega biologia w najszerszym znaczeniu tego słowa. Wiem, że wyrażam się dość chaotycznie, ale starałem się wyciosać moją myśl, jak umiałem najlepiej. Zrodziła się we mnie dopiero, gdy słuchałem przed chwilą pańskich wywodów, wobec czego nie mogłem się należycie przygotować do jej wypowiedzenia. Poruszył pan sprawę ludzkiej słabości, która nie pozwala nam brać pod uwagę wszystkich istotnych czynników. T właśnie pan sam — tak mi się przynajmniej wydaje — wyłącza ze swych rozważań czynnik biologiczny, czyli podstawowe tworzywo, z którego utkane zostały wszelkie sztuki, właściwą ośnowę i wątek ludzkich poczynań i dokonań.

Ku zdumieniu Ruth Martin nie został zdruzgotany na miejscu, sposób zaś, w jaki profesor sformułował swą odpowiedź, tłumaczył się w jej oczach jedynie pobłażliwością okazywaną młodemu wiekowi Martina. Profesor Caldwell przez dobrą minutę siedział w milczeniu, przebijając w palcach łańcuszek zegarka.

— Czy pan wie — powiedział wreszcie — że już raz w życiu spotkały mnie podobne zarzuty. Postawił mi je bardzo wybitny człowiek, jakim był Józef Le Conte, uczony i znawca teorii ewolucji. On jednak umarł i przypuszczałem, że pozostanę nie zdemaskowany, aż tu nagle zjawia się pan i odsłania moją tajemnicę. Jeśli mam być zupełnie szczerzy — proszę te słowa uważać za rodzaj spowiedzi — wydaje mi się, że w pana twierdzeniu tkwi sporo, a może nawet bardzo wiele prawdy. Pogląd mój na dające najgłębszą perspektywę dziedziny wie-uży ścisłej jest zbyt klasyczny i przestarzały, a jako na okoliczność łagodzącą powołać się mogę tylko na jednostronność mego wykształcenia i pewną wrodzoną ociężałość, która powstrzymuje mnie od podjęcia zaniedbanej we właściwym czasie pracy. Czy uwierzyłby pan, że nigdy w życiu nie przestąpiłem progu pracowni fizycznej ani chemicznej? A jednak tak jest w istocie. Le Conte miał słuszość i nie mogę też, przynajmniej w pewnej mierze, odmówić racji panu, panie Eden, choć nie zdaję sobie ściśle sprawy z tego, jak daleko sięga trafność pańskiego sądu.

Ruth pod jakimś pozorem odciągnęła Martina na stronę, aby nikt ich nie słyszał, i szepnęła:

— Nie powinienesz być zagarniać w ten sposób profesora Caldwell'a na swój wyłączny użytek. Może i inni goście chcieliby z nim porozmawiać. — Masz rację — przyznał Martin ze skruchą. — Ale rozruszałem go i stał się taki zajmujący, że zapomniałem o wszystkim innym.

Czy wiesz, że to jest najbystrzejszy i najbardziej umysłowo rozwinięty człowiek, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem? I więcej jeszcze ci powiem. Kiedyś sądziłem, że podobne umysły posiadają wszyscy ludzie, którzy mają za sobą uniwersyteckie wykształcenie lub piastują wysokie godności w społeczeństwie.

— Ach, on jest wyjątkiem — przyznała.

— I ja tak myślę. A teraz z kim z kolei każesz mi porozmawiać? Może byś mnie zaprowadziła do tego kasjera?

Martin gawędził z nim przez piętnaście minut i Ruth nic nie mogła zarzucić jego zachowaniu. Ani razu nie rozbłysły mu oczy ani policzki nie zabarwiły się rumieńcem, spokój zaś i umiar, z jakim prowadził rozmowę, wprost ją zadziwił. W opinii Martina natomiast całe plemie kasjerów bankowych spadło o paręset procent, a na resztę wieczoru pozostało mu przeświadczenie, że termin „kasjer bankowy” stanowi synonim głosiela komunałów. Młody oficer za to wywarł na Martinie wrażenie człowieka pogodnego, prostego, zdrowego i zrównoważonego, najzupełniej zadowolonego z miejsca, jakie mu w życiu przypadło z urodzenia i z woli losu. Dowiedziawszy się, że wojskowy ten w swoim czasie był dwa lata na uniwersytecie, Martin nie mógł zrozumieć, gdzie podział nabytą wiedzę. Niemniej jednak oficer podobał mu się znacznie bardziej niż na wskroś banalny kasjer.

— Nic bym właściwie nie miał przeciwko komunałom jako takim — powiedział później do narzeczonej — ale moje nerwy buntują się na widok tej napuszonej, obłudnie ugrzecznionej i przesiąkniętej wyższością pewności siebie, z jaką bywają wygłaszane, a także oburza mnie wielka ilość czasu, którą się na to zużywa. Potrafiłbym przecież wyłożyć temu człowiekowi całą historię reformacji w czasie, który on zużył na oznajmienie mi, że Związkowa Partia Pracy połączyła się ze Stronnictwem Demokratycznym. Czy wiesz, że on waży każde słowo na podobieństwo zawodowego gracza, przebiegającego otrzymane przy rozgrywce pokerowej karty. Pokażę ci któregoś dnia, co chciałem przez to powiedzieć.

— Bardzo mi przykro, że tak ci się nie spodobał. Jest to ulubieniec pana Butlera, który nazywa go wzorem solidności i uczciwości i przyrównuje do opoki Piotrowej, na której zbudować można choćby największy bank.

— Sądząc z tego, co widziałem i słyszałem od niego, nie ma powodu wątpić o tym. O bankach jednak nie mam już tak wysokiego wyobrażenia jak niegdyś. Nie gniewasz się chyba, że mówię o tym tak szczerze?

— Ależ bynajmniej, bardzo mnie to interesuje.

— No widzisz — ciągnął wesoło Martin. — Jestem barbarzyńcą, który po raz pierwszy styka się z cywilizowanym światem. Wrażenia, jakie przy tej sposobności odbieram, muszą być dla osób prawdziwie cywilizowanych czymś zupełnie nowym.

— A co myślisz o moich kuzynkach? — zagadnęła Ruth.

— Podobały mi się bardziej niż inne kobiety. Są pełne życia, wesołe i bezpretensjonalne.

— Ale przecież i tamte inne podobały ci się także? Martin potrząsnął głową:

— Ta specjalistka od spraw socjalno-bytowych jest po prostu wyszkoloną w zakresie socjologii papugą. Pewien jestem, że po prześwietleniu jej na wskroś nie znaleźlibyśmy w niej ani jednej myśli oryginalnej. Portrecistka okazała się wyjątkową piłą. W sam raz byłaby z niej dobra żona dla naszego kasjera. A ta pianistka! Mało mnie wzrusza biegłość jej palców, doskonałość techniki i pełnia osiąganego wyrazu, skoro wiem z całą pewnością, że o muzyce nie ma najmniejszego pojęcia.

— Gra przecież bardzo pięknie — protestowała Ruth.

— Niewątpliwie wyćwiczona jest wspaniale w operowaniu zewnętrznymi przejawami muzyki, ale istnienia najgłębszego jej ducha nie domyśla się nawet. Zapytałem, czym jest dla niej muzyka — wiesz, że ta sprawa szczególnie mnie zawsze interesuje — a ona nic nie potrafiła mi odpowiedzieć ponad to, że ubóstwia ją jako największą ze wszystkich sztuk, którą ceni wyżej niż własne życie.

— Zmuszałeś wszystkie te osoby do prowadzenia rozmów zawodowych — rzekła dziewczyna z wyrzutem.

— Tak, przyznaję się do tego. A jeśli osoby te nie zdołały mnie zainteresować nawet mówiąc na tematy fachowe, cóż dopiero musiałbym wycierpieć, gdyby zaczęły rozprawiać o czymś innym. Zdawało mi się dawniej, że tu, na szczytach społecznych, gdzie można korzystać z wszelkich dobrodziejstw kultury... — Przerwał na chwilę, by przyjrzeć się własnemu młodocianemu cieniowi, jak w sztywniaku i kanciastej kurtce wchodzi przez drzwi i buńczucznie przechadza się po pokoju. — Jak właśnie mówiłem, sądziłem dotychczas, że wszyscy mężczyźni i kobiety w tej sferze błyszczą i promieniują wiedzą. Teraz jednak, poznawszy ich coś niecoś, przekonałem się, że większość z nich to zera, pozostała zaś część składa się w dziewięćdziesięciu procentach z nudziarzy. Przyznać jednak trzeba, że taki profesor Caldwell jest zupełnie inny. To człowiek w każdym calu, w każdym atomie szarej substancji swego mózgu.

Twarz Ruth rozjaśniła się.

— Opowiedz mi coś o nim — nastawała. — Nie o tym, co w nim jest wielkie i wybitne, gdyż te jego cechy sama dobrze znam, ale ogromnie jestem ciekawa tego, co wydaje ci się w nim niezadowolające.

— Nie chciałbym się zbłąźnić — rzekł Martin ociągając się żartobliwie przez chwilę. — Może byś tak ty sama wypowiedziała się najpierw na ten temat? Chyba że według ciebie jest to chodząca doskonałość...

— Wysłuchałam dwóch serii jego wykładów i stykałam się z nim osobiście przez dwa lata, dlatego właśnie tak jestem ciekawa pierwszych twoich wrażeń.

— Masz na myśli niekorzystne wrażenia. A więc niech i tak będzie! Przypuszczam, że zasługuje on na wszystkie gorące pochwały, jakimi go obdarzasz. W każdym razie jest najpiękniejszym okazem intelektualisty, jakiego kiedykolwiek spotkałem; nie zmienia to jednak faktu, że kryje w sobie coś jakby wstydlive piętno.

Ach nie, nigdy w życiu! — wykrzyknął pośpiesznie. — Nie miałem na myśli nic niskiego ani wulgarnego. Chcę tylko powiedzieć, że robi na mnie wrażenie człowieka, który zgłębił pewne rzeczy do dna i tak się przeraził tym, co tam dostrzegł, iż stara się wmówić w siebie, że nic nie widział. Może nie wybrałem najwłaściwszej drogi wyrażenia mojej myśli. Spróbuję jeszcze inaczej. Jest to człowiek, który odnalazł ścieżkę wiodącą do ukrytej świątyni, ale nie zapuścił się w nią; który, być może, dostrzegł nawet przez mgnienie zarysy owej świątyni, lecz usiłował potem przekonać sam siebie, że to tylko miraż stworzony przez listowie. Albo jeszcze inne ujęcie: Człowiek, który mógłby dokonać wielu rzeczy, ale nie przywiązywał wagi do ich istotnego dokonania, a który jednocześnie w najgłębszych zaułkach duszy wstydzi się swej opieszałości, który skrycie drwi z nagród, a w większej jeszcze tajemnicy tęskni za nimi i za samą radością tworzenia.

— Nie patrzałam na niego pod tym kątem — powiedziała Ruth. — A poza tym, jeśli mam być szczerą, nie wiem, o co ci chodzi.

— Jest to z mojej strony jakby mgliste wrażenie — starał się zyskać na czasie Martin. — Nie mam na to dostatecznych dowodów. Raczej tylko uczucie, a uczucia często mylą. Z pewnością ty znasz go lepiej ode mnie.

Z wieczoru spędzonego u państwa Morse Martin wyniósł dziwnie pomieszane pojęcia i sprzeczne uczucia. Rozczarował się co do wartości ludzi, ku którym piął się tak uporczywie. Z drugiej strony otuchy dodawał mu odniesiony sukces. Wspinanie się na wyżyny było łatwiejsze, niż się tego mógł spodziewać. Droga nie nastroczała mu już żadnych trudności, a nawet czego nie krył przed sobą w fałszywej skromności) przerósł te osoby, między które zdołał się dostać, z wyjątkiem oczywiście profesora Caldwell. O życiu i książkach wiedział więcej od nich i wciąż nie mógł zrozumieć, do jakich skrytek i zakamarków podkładali ci ludzie nabyte wykształcenie. Nie zdawał sobie sprawy, że sam rozporządza umysłem o

niepospolitej żywości. Nie wiedział też, że ludzi zdolnych do zanurzania się w głębinę i docierania do krańcowych wniosków nie spotyka się w salonach różnych Morse'ów tego świata, i nie marzyło mu się wcale, że tego rodzaju ludzie przypominają owe królewskie orły, co żeglują samotnie po lazurze niebios wysoko nad ziemią i skłębionym rojowiskiem jej stadnego życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Los odwrócił się od Martina i zwiastuni powodzenia przestali odwiedzać jego dom. Przez dwadzieścia pięć dni z rzędu, nie wyłączając niedziel i świąt, męczył się nad Hańbą słońca — pokaźną rozprawą obejmującą około trzydziestu tysięcy słów. Był to ostry atak na mistycyzm szkoły Maeterlincka *, atak prowadzony z szacunków nauki ścisłej przeciwko marzycielom rozmiłowanym w cudowności, lecz broniący zarazem tych rozległych dziedzin piękna i czasu, które nie sprzeciwiają się stwierdzonym faktom. W nieco późniejszym czasie uzupełnił ten szturm dwoma krótkimi szkicami, które nazwał Łowcy majaków i Jaźń miarą wartości. I znów zaczął opłacać koszty podróży okrężnej, jaką odbywały po redakcjach wszystkie płody jego myśli.

W ciągu dwudziestu pięciu dni, które spędził nad Hańbą słońca, udało mu się sprzedać sieczki literackiej za ogólną sumę sześciu dolarów i pięćdziesięciu centów. Pewien żarcik przyniósł pięćdziesiąt centów, inny, nabyty przez pierwszorzędną tygodnik humorystyczny, dał autorowi aż dolara. Wreszcie dwa krotochwilne wierszyki wniosły kolejno dwa i trzy dolary. W ostatecznym wyniku, po wyczerpaniu kredytu u kupców (mimo iż w sklepie kolonialnym rozporządzał teraz kredytem do wysokości pięciu dolarów), rower i garnitur Martina ponownie powędrowały do lombardu. Agenci biura wynajmu maszyn znów upominali się gwałtownie o gotówkę, natarczywie przypominając, że zgodnie z umową należność powinna być wpłacana bezwarunkowo z góry.

Zachęcony kilku drobnymi transakcjami, Martin powrócił do literackiej sieczki. Może jednak dałoby się z tego jakoś wyżyć? Na stosie pod stołem leżał cały komplet dwudziestu opowiadań odrzuconych przez syndykat dostarczający gazetom nowel. Odczytał je raz jeszcze, aby nauczyć się, jak tego rodzaju opowiadania pisać nie należy, i w trakcie tej lektury sformułował sobie idealny schemat. Przekonał się, że taka powieść nigdy nie powinna być tragiczna, nie może kończyć się nieszczęśliwie i musi jak najstaranniej unikać pięknego wyśłowienia, subtelniejszych myśli i prawdziwej delikatności uczuć. Sentyment jest konieczny, w dużym nawet wymiarze, ale musi być czysty, szlachetny i trącić melodramatem według recepty „Za Boga, ojczyznę i cara” lub też „Biedny jestem chłopiec, lecz uczciwy”, a więc tym, co we wczesnej młodości sam oklaskiwał zawzięcie z galerii teatrów.

Zdobywszy tę praktyczną wiedzę, Martin dla nabycia właściwego tonu poczytał sobie Księżniczkę i zaczął preparować utwory ściśle według recepty. Zalecony model składał się z trzech części: w pierwszej — rozłączenie pary kochanków; w drugiej — dzięki jakiemuś czynowi lub zdarzeniu rozdzieleni znowu się jednoczą; w trzeciej — dzwony weselne. Część trzecia stanowiła składnik niezmienny, lecz części pierwsza i druga ulegać mogły niezliczonym ilościom odmian. Tak więc kochankowie mogli zostać rozłączeni wskutek nieporozumienia lub zrzędzenia losu, za sprawą zazdrosnych rywali, zagniewanych rodziców, chytrych opiekunów, intryganckich krewnych i tak dalej, w nieskończoność. Zjednoczenie zaś mogło być wynikiem dzielnego czynu kochanka lub oblubienicy, zmiany uczuć któregośkolwiek z nich, wymuszonego wyznania chytrych opiekunów, intrygującego krewniaka lub zawistnego rywala, dobrowolnego wyznania jednej z wymienionych osób, ujawnienia się niespodziewanej tajemnicy, zdobycia serca

dziewczyny przez zdecydowanego na wszystko kochanka lub jego długotrwałego, szlachetnego poświęcenia — i innych niezliczonych wariantów tego rodzaju. Doskonałym chwytem było doprowadzenie do wyznań miłosnych ponownie pozyskiwanego dziewczęcia; stopniowo Martin odkrył szereg równie pomysłowych i podniecających wyobrażeń trików. Natomiast dzwony weselne przy końcu powiastki były jedyną rzeczą, co do której nie wolno było dopuścić się nawet najłżejszych odchyień. Choćby niebiosa się zawaliły, a gwiazdy spadały na ziemię, dzwony weselne muszą dźwięczeć jakby nigdy nic. Pod względem objętości recepta zalecała utrzymanie się w granicach od tysiąca dwustu do tysiąca pięciuset słów.

Zanim Martin zdołał się wydoskonalić w sztuce produkowania opowiastek tego rodzaju, opracował sobie coś z pół tuzina gotowych schematów, którymi posiłkował się przy układaniu każdego z kolejnych utworów. Wzory te przypominały przemyślnie tablice używane przez matematyków, które mogą być dowolnie wykorzystywane, poczynając od góry, od dołu lub od któregośkolwiek boku, składają się z mnóstwa działów i tuzinów rubryk, a pozwalają osiągnąć bez najmniejszego wysiłku myślowego tysiące najrozmaitszych wyników, zawsze nieomylnie ścisłych i prawdziwych. Tym więc sposobem, operując swymi schematami, mógł Martin w ciągu pół godziny naszkicować z tuzin opowiastek, które później w dogodnej chwili wypełniał dowolnie zróżnicowaną treścią. Przekonał się, że na ostateczne wykończenie jednego takiego utworu wystarcza na ogół godzina przed spaniem, po całodzienną wyteżoną pracę. Martin wyznał kiedyś Ruth, że tę pracę potrafiłby wykonać nieledwie we śnie. Wszystko zależało tu od umiejętnego ustawienia ram, a i ta czynność była czysto mechaniczna.

Co do skuteczności swej recepty nie żywił najmniejszych obaw i tym razem trafnie ocenił działanie redaktorskich umysłów, obiecując sobie, że pierwsze dwa wysłane opowiadania tego typu niechybnie przyniosą mu czeki. Istotnie, po upływie dwunastu dni czeki nadeszły, każdy na cztery dolary.

Jednocześnie poczynił nowe, zatrważające odkrycia dotyczące czasopism. Choć miesięcznik „Od Morza do Morza” ogłosił Dźwięk dzwonów, czeku jakoś nie było widać. Martinowi bardzo zależało na każdym cencie, toteż upomniał się listownie o tę należność. Odpowiedź otrzymał wymijającą, okraszoną prośbą o nadesłanie dalszych prac. W ciągu dwóch dni oczekiwania na tę odpowiedź Martin znów chodził głodny i raz jeszcze musiał zastawić swój rower. Regularnie dwa razy na tydzień pisywał teraz do redakcji miesięcznika z żądaniem nadesłania pięciu dolarów, choć odpowiedzi otrzymywał z rzadka i jak gdyby przypadkowo. Martin nic o tym nie wiedział, że „Od Morza do Morza” już od wielu lat goni ostatkiem, że jest pismem czwartego czy może nawet dziesiątego rzędu, pozbawionym jakichkolwiek stałych podstaw finansowych, a utrzymującym się częściowo z garstki prenumeratorów chwytanych natręctwem lub patriotycznym frazesem, częściowo zaś z ogłoszeń dawanych raczej z łaski. Nie miał też pojęcia, że pismo stanowiło jedyny środek utrzymania redaktora i kierownika administracyjnego, którzy opierali swój byt na ciągłym przenoszeniu się z lokalu do lokalu celem uniknięcia płacenia komornego oraz, w granicach możliwości, na nieregulowaniu żadnych rachunków. Nie mógł też domyślić się, że należna mu kwota pięciu dolarów przywłaszczona została przez kierownika administracyjnego, który zużył ją na odmalowanie swego domku w Alameda. Pracę tę wykonał pan kierownik, osobiście, poświęcając na nią popołudnia dni powszednich, a to dlatego, że nie stać go było na opłacenie rzemieślnika według taryfy związkowej, pierwszy zaś zwerbowany przezeń do tej roboty niezwiązkowiec spadł z drabiny, złamał obojczyk i odstawiono go do szpitala.

Kwota dziesięciu dolarów, za którą Martin sprzedał swych Poszukiwaczy skarbu pismu z Chicago, nie doszła dotąd do autora. Opowiadanie zostało wydrukowane, jak to sprawdził Martin w Czytelnicy Centralnej, ale redakcja milczała uparcie. Listy nie odnosiły żadnego

skutku. Aby upewnić się, że docierają do miejsca przeznaczenia, kilka z nich nadał jako polecane. W rezultacie doszedł do przekonania, że zachodzi tu najzwyklejszy rabunek, kradzież z zimną krwią. Gdy on głodował, ci rabusie odzierali go z jego własności, z jednego towaru, którego sprzedaż zapewnić mu mogła kawałek chleba.

Tygodnik „Młodość i Wiek Dojrzały” wydrukował już właśnie dwie trzecie utworu, zawierającego dwadzieścia jeden tysięcy słów, kiedy nagle zbankrutował. W ten sposób pogrzebana została wszelka nadzieja ujrzenia kiedykolwiek należnych szesnastu dolarów. Na domiar złego Martin stracił nadzieję uzyskania czegokolwiek za Garnek, który uważał za jedną z najlepszych swych nowel. W swoim czasie, objijając się na chybił trafił wśród mnóstwa czasopism, wysłał ją do „Fali”, tygodnika poświęconego sprawom towarzyskim, wychodzącego w San Francisco.

O wyborze pisma zadecydowało zwłaszcza jego bliskie sąsiedztwo, wobec czego odpowiedź, mając do przebycia jedynie zatokę, nie powinna zwlekać z nadejściem. W dwa tygodnie później Martin ku wielkiej radości ujrzał w budce z dziennikami swój utwór zamieszczony na honorowym miejscu ostatniego numeru „Fali”, wydrukowany w całości i ozdobiony ilustracjami. Wrócił do domu z bijącym sercem, rozważając w myśli, ile też otrzyma za jedną ze swych najlepszych prac. Pochlebiała mu również szybkość, z jaką przyjęto ją

i ogłoszono. Okoliczność, iż redakcja nie powiadomiła go o jej przyjęciu, czyniła niespodziankę jeszcze bardziej radosną. Po daremnym wyczekiwaniu, trwającym tydzień, drugi tydzień i jeszcze kilka dni, rozpacz wzięła górę nad niezdecydowaniem i Martin wystosował list do redakcji „Fali”, wyrażając przypuszczenie, że zapewne skutek niedopatrzania ze strony kierownictwa administracyjnego skromne jego honorarium zostało przeoczone.

Choćby należność nie przekraczała nawet pięciu dolarów, tłumaczył sobie Martin, pozwoliłaby mu zrobić zapas fasoli i zupy grochowej, dzięki czemu zdołałby napisać jeszcze z pół tuzina równie udanych nowel. Nadeszła wreszcie w chłodnym tonie utrzymana odpowiedź redaktora, która, przyznać trzeba, wywołała w Martinie pewien podziw.

Dziękujemy — brzmiał list — za Pański znakomity utwór. Wszystkim członkom naszego grona podobał się on niezmiernie, toteż jak się Pan o tym mógł przekonać, ogłosiliśmy go niezwłocznie, i to na honorowym miejscu. Żywimy nadzieję, że ilustracje nie sprawiły Panu zawodu.

Po ponownym dokładnym odczytaniu Pańskiego listu odnieśliśmy wrażenie, że Pan dawał się powodować błędnemu mniemaniu, jakoby redakcja nasza płaciła za rękopisy nie zamówione. W rzeczywistości nie mamy takiego zwyczaju, a nie ulega kwestii, że pracy Pańskiej nie zamawialiśmy. Otrzymałszy ją, uważaliśmy za rzecz oczywistą, że Pan orientuje się w sytuacji. Możemy jedynie wyrazić głęboki żal z powodu tego niefortunnego nieporozumienia i zapewnić Pana o naszym niezachwianym uznaniu. Dziękując raz jeszcze za łaskawą pamięć o nas i wyrażając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zaszczyci nas Pan dalszą współpracą, pozostajemy itd.

W liście był jeszcze dopisek głoszący, że choć „Fala” nie ma zwyczaju prowadzenia prenumerat bezpłatnych, redakcja będzie poczytywała za swój miły obowiązek bezinteresowne przesyłanie mu czasopisma w nadchodzącym roku.

Po tym doświadczeniu Martin wypisywał zawsze na pierwszej stronie każdego rękopisu wzmiankę: „Honorarium należy liczyć według zwykłej taksy redakcji”.

Nadejdzie kiedyś dzień — pocieszał się — że to wydawnictwa będą się musiały stosować do moich warunków.

W tym okresie Martin odkrył w sobie namiętne dążenie do doskonałości, pod wpływem czego przerobił i wygładził Gwarną ulicę, Wino życia, Radość, Liryki morza i kilka innych wcześniejszych utworów. Podobnie jak dawniej, dziewiętnaście godzin pracy dziennie nie zaspokajało bynajmniej jego aspiracji. Pisał bez wytchnienia i równie zapamiętale czytał, zapominając w ogniu pracy o mękach spowodowanych wyrzeczeniem się tytoniu. Nadesłany przez Ruth, zgodnie z zapowiedzią, środek odzwyczajający, opatrzonej jaskrawą etykietą, rzucił w najmniej dostępny kąt komody. Zwłaszcza w okresach głodu niepalenie dotkliwie dawało mu się we znaki. Pomimo tylokrotnego przewyciężania nałogu żądza tytoniu nie słabła w nim wcale. Ofiarę tę uważał za największy czyn, jakiego kiedykolwiek dokonał. Zdaniem jednak Ruth wypełniał tylko po prostu swą powinność. Przysłała mu obiecany preparat, zakupiony z pieniędzy otrzymywanych od rodziców na drobne wydatki osobiste, i po paru dniach najzupełniej zapomniała o całej tej sprawie.

Automatycznie produkowane opowiadania Martina miały niewątpliwe powodzenie, choć w samym autorze budziły nienawiść i wzdą. Za ich sprawą wykupił z lombardu wszystkie zastawione rzeczy, zapłacił większość rachunków i zaopatrzył rower w nowe opony. Opowiadkom tym tyle przynajmniej zawdzięczał, że miał co włożyć do garnka i mógł poświęcać niemało czasu prawdziwie twórczej pracy; jedynym zaś oparciem moralnym była dlań suma czterdziestu dolarów otrzymanych z „Białej Myszy”. Na tym fakcie zakotwiczył Martin swą wiarę w jutro, ufając jednocześnie, że prawdziwie pierwszorzędne czasopisma płacić będą nie znanemu autorowi przynajmniej według tejże stawki, jeśli nie lepiej. Cała trudność polegała tylko na tym, żeby się dostać do tych pierwszorzędnych pism. Najlepsze jego nowele, rozprawy i wiersze tułały się wśród nich na próżno, a jednocześnie drukowano co miesiąc pod różnorodnymi okładkami tychże pism całe mnóstwo nudnych, przyziemnych i pozbawionych wszelkiej artystycznej wartości fabrykatów. Gdybyż choć jeden redaktor — myślał czasem Martin — raczył zstąpić z wysokiego stolca swej pychy, by napisać do mnie słówko zachęty! Choćby nawet istotnie prace moje odbiegały od zwykłych norm i ze względu na ostrożność nie nadawały się do opublikowania na łamach ich pism, to jednak nie uwierzę, aby gdzieś tam nie tkwiło w nich parę iskier zdolnych rozniecić choć trochę uznania. W takich chwilach chwycił któryś ze swych ulubionych rękopisów, na przykład Przygodę, i odczytywał go kilkakrotnie, daremnie usiłując usprawiedliwić milczenie redaktorów, Z nadejściem cudnej wiosny kalifornijskiej okres powodzeń Martina skończył się ostatecznie. Od kilku już tygodni niepokoił go zupełny brak wieści ze strony syndykatu dostarczającego gazetom powiastek. Potem pewnego dnia poczta zwróciła mu nagle aż dziesięć nie tkniętych, szablonowych historyjek. Towarzyszyło im krótkie pisemko donoszące, że syndykat jest zawałony materiałem i że upłynie kilka miesięcy, zanim znów będzie popyt na rękopisy. Tymczasem Martin już sobie pozwolił na pewną rozrzutność, licząc na niezawodny dochód z tych utworów. Ostatnio syndykat płacił mu po pięć dolarów za sztukę i nigdy żadnego nie odrzucał. Uważał więc te dziesięć powiastek za sprzedane i zachowywał się tak, jak gdyby miał złożone w banku pięćdziesiąt dolarów. Teraz popadł nagle w ciężkie tarapaty, nie przestając zresztą obdarzać wcześniejszymi próbami literackimi pism, które nie chciały płacić, i częstować dojrzałszymi pracami wydawnictw, które nie chciały ich nabywać. Odnowił też bliższy kontakt z lombardem w Oakland. Sprzedaż kilku żarcików i wierszowanych humoresek nowojorskim tygodnikom dostarczyła mu na razie środków na życie graniczące z nędzą. Wtedy to Martin wystosował szereg listów z prośbą o wyjaśnienia do najważniejszych miesięczników i kwartalników, które w odpowiedzi powiadomiły go, że tylko wyjątkowo korzystają z utworów nie zamówionych, zapełniając przeważnie szpalty pracami dostarczonymi na zlecenie przez znanych specjalistów, cieszących się autorytetem w różnych dziedzinach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Było to ciężkie lato dla Martina. Lektorzy rękopisów i redaktorzy porozejeżdżali się na urlopy, wydawnictwa zaś, które zazwyczaj nadsyłały decyzje w ciągu trzech tygodni, trzymały teraz rękopisy co najmniej po trzy miesiące. Jedyłą, wątpliwą zresztą, pociechę dawała mu okoliczność, że wskutek tego zastoju oszczędzał na znaczkach pocztowych. Tylko wydawnictwa rabunkowe nie przerwały swej działalności w tym okresie, wobec czego Martin oddał im wszystkie swe wczesne prace, jak *Półw pereł*, *Zawód żeglarza*, *Łowy na żółwie i Pasaty północno-wschodnie*. Za rękopisy te nigdy zresztą nie dostał ani centa. Przyznać jednak trzeba, że po półrocznej wymianie listów osiągnął wynik kompromisowy: za *Łowy na żółwie* przyznano mu maszynkę do golenia, pismo zaś „Akropol” zobowiązało się dać za *Pasaty północno-wschodnie* pięć dolarów w gotówce oraz pięcioletnią bezpłatną prenumeratę i wypełniło tylko drugą część powyższego zobowiązania.

Za sonet o Stevensonie zdołał Martin wydobyć dwa dolary od pewnego redaktora z Bostonu, który wydawał swe czasopismo ze smakiem godnym Matthew Arnolda, lecz z chroniczną pustką w kieszeni. *Peri i perła*, pełen uroku poemacik o dwustu wierszach, natychmiast po wykończeniu zdobył na gorąco uznanie redaktora pewnego czasopismo, wydawanego w San Francisco przez jedno z wielkich przedsiębiorstw kolejowych. Redaktor zaproponował Martinowi honorarium

w postaci gratisowego biletu kolejowego. Martin w odpowiedzi zapytał, czy taki bilet może być odstąpiony osobie postronnej. Jak się okazało, nie było to dopuszczalne, wobec czego Martin, nie widząc zysku z takiej transakcji, zażądał zwrotu swego utworu. Redaktor odesłał go niebawem wraz z wyrazami żalu, Martin zaś skierował go ponownie do San Francisco, tym razem pod adresem redakcji „Szerszenia”, miesięcznika o dość górnych aspiracjach, któremu założyciel, wybitny dziennikarz, potrafił wyrobić w swoim czasie znaczną poczytność i sławę. Jednakże gwiazda „Szerszenia” zmierzania już na długo przed urodzeniem się Martina. Redaktor obiecał mu piętnaście dolarów za poemat, z chwilą wydrukowania go jednak zapomniał, jak się zdaje, o wszystkim. Gdy na kilka listów w ogóle nie zareagowano, Martin wysłał ostre pismo, na które w końcu nadeszła odpowiedź. Była napisana przez nowego redaktora, który z całkowitym spokojem zawiadamiał Martina, iż nie myśli ponosić odpowiedzialności za omyłki swego poprzednika, a niezależnie od tego o poemacie *Perł i perła* nie ma wysokiego wyobrażenia. Najokrutniej jednak potraktowało go wychodzące w Chicago czasopismo „Glob”. Przez dłuższy czas Martin nie chciał zgłosić do druku swych *Liryków morza*, aż wreszcie głód go do tego zmusił. Odrzucony przez tuzin pism, cykl osiadł w końcu na stałe w biurach „Globu”. Zbiór składał się z trzydziestu poemacików, a za każdy z nich autor miał dostać po dolarze. Zaraz w pierwszym miesiącu ukazały się cztery wiersze, Martin zaś otrzymał wkrótce czek na cztery dolary, kiedy jednak otworzył numer miesięcznika, przeraził się na widok dokonanego mord. W niektórych wypadkach, zmienione zostały tytuły: *Finis* na przykład przechrzczono na *Zakończenie*, *Pieśń zewnętrznej rai* zaś na *Pieśń rai koralowej*. Jednemu wierszowi nadano zupełnie dowolny i nieodpowiedni tytuł. Zamiast nadanej przez autora nazwy *Światła meduzy* redaktor wydrukował *Powrotny szlak*. Ale wszystkie te zniekształcenia bladły wobec barbarzyńskiego okaleczenia samej treści. Martin jęczał, pocił się i targał włosy. Zdania, wiersze, a nawet całe zwrotki poopuszczano lub pozamieniano, przerzucając je w najzupełniej niezrozumiały sposób. Niekiedy jego własne strofy zastąpiono ustępami, których Martin nigdy w życiu nie napisał. Nie mógł wprost zrozumieć, jak będący przy zdrowych zmysłach redaktor mógł popełnić tego rodzaju niedorzeczność. Wysnuł więc hipotezę, że musi to być dzieło gońca biurowego lub maszynistki. Martin napisał niezwłocznie do redakcji żądając wstrzymania dalszego druku oraz zwrotu całego cyklu. Listy takie ponawiał wielokrotnie, na

przemian błagając, przekonywając i grożąc, ale nie odnosiło to najmniejszego skutku. Miesiąc za miesiącem trwała ta rzeź, aż do chwili wydrukowania wszystkich trzydziestu poemacików, i co miesiąc otrzymywał czek na pokrycie należności za utwory ogłoszone w bieżącym numerze.

Na przekór różnorodnym niepowodzeniom pamięć o czterdziestodolarowym czeku „Białej Myszy” nie pozwoliła Martinowi opuścić rąk, choć w coraz silniejszym stopniu zdany był na uprawianie sieczki literackiej. Możliwość skromnego zarobkowania odkrył w tygodnikach rolniczych i innych zawodowych, stwierdził natomiast, że współpracując z pismami religijnymi byłby narażony na śmierć głodową. W najkrytyczniejszej chwili., gdy czarne ubranie powędrowało do lombardu, fortuna uśmiechnęła się nagle do Martina — tak mu się przynajmniej zdawało — gdyż wygrał konkurs zorganizowany przez powiatowy komitet Partii Republikańskiej. Zawody te składały się z trzech działów, Martin zaś spróbował swych sił we wszystkich konkurencjach, śmiejąc się gorzko z siebie, że życie zmusza go do korzystania z tego rodzaju dróg. Poemat i ego zdobył pierwszą nagrodę w wysokości dziesięciu dolarów., pieśń propagandowa przyniosła drugą nagrodę w wysokości pięciu dolarów, rozprawa zaś na temat zasad ideowych Partii Republikańskiej zajęła znów pierwsze miejsce, z którym owiązana była nagroda wynosząca aż dwadzieścia pięć dolarów. Wszystkie te zwycięstwa bardzo cieszyły Martina aż do czasu, gdy zapragnął zrealizować ich owoce. W komitecie powiatowym zaszły jakieś powikłania, wobec czego — mimo iż zasiadał w nim bogaty bankier i jeden z senatorów stanowych — pieniędzy nie można się było doprosić. Gdy sprawa ta czekała jeszcze na załatwienie, Martin dowiedział wielostronności swego talentu zdobywając również pierwszą nagrodę w podobnym konkursie ogłoszonym przez Stronnictwo Demokratyczne i mającym za temat ideologię tegoż ugrupowania. Co więcej, otrzymał nawet w gotówce dwadzieścia pięć dolarów, natomiast czterdziestu zarobionych w pierwszym konkursie nigdy nie ujrzał.

Zmuszony do przemyślności, aby móc widywać Ruth, Martin uznał, że piesze przechadzki z północnego Oaklandu do jej domu i z powrotem powodowałyby zbyt wielką stratę czasu, wobec czego postanowił zastawić w lombardzie garnitur, zapewniając sobie natomiast używalność roweru. Decyzji tej zawdzięczał uprawianie zdrowego ćwiczenia i oszczędność kilku godzin, które mógł poświęcić pracy, dziewczynę zaś mimo wszystko widywał. Sportowe płócienne spodnie i stary sweter stanowiły wcale znośny strój kolarski, pozwalający odbywać wspólnie z Ruth popołudniowe przejażdżki na rowerach. Sposobności widywania się z narzeczoną w domu jej rodziców nie miał teraz wiele, gdyż zainicjowana przez panią Morse kampania rozrywkowa rozgorzała w całej pełni. Wzniosłe istoty, które tam spotykał, a na które jeszcze tak niedawno spoglądał z nabożną czcią, nudziły go teraz. Przestały już być wzniosłymi istotami. Nędza, szereg rozczarowań i nadmierny wysiłek uczyniły Martina nerwowym i skłonny do rozdrażnień, toteż rozmowy z tego rodzaju ludźmi doprowadzały go do szału. Nie był bynajmniej egoistą. Ograniczoność ich umysłów mierzył według umysłów filozofów, których dzieła poznawał w czytanych książkach. W domu Ruth nie spotkał żadnego wybitniejszego umysłu z wyjątkiem jednego profesora Caldwell, którego zresztą widział tam raz tylko. Całe pozostałe grono składało się z pustogłów, miernot, nieuków, istot bezmyślnych lub myślących powierzchownie i dogmatycznie. Najwięcej zastanawiało go nieuctwo tych ludzi. Co się z nimi mogło stać? Gdzie podzieli nabyte wykształcenie? Mieli przecież dostęp do tych samych książek, z których i on korzystał. Jakże to się stało, że nie wynieśli z nich żadnego pożytku?

Martin wiedział, że nie brak na świecie wielkich umysłów, głębokich i racjonalnych myślicieli. Dowodem tego były książki, te same książki, które pozwoliły mu przerosnąć wykształceniem poziom takich Morse'ów. Nie wątpił też, że można spotkać wiele osób będących wyżej intelektualnie niż sfera tych państwa. Czytywał angielskie powieści towarzyskie, w których mężczyźni i kobiety rozprawiali o polityce i filozofii. Dowiadywał się

też o istnieniu w wielkich miastach salonów, nawet na terenie Stanów Zjednoczonych, które stanowiły ogniska życia artystycznego i intelektualnego. Dawniej naiwnie wyobrażał sobie, że wszystkie osoby nie pracujące zarobkowo, zaliczające się do tak zwanych sfer dobrze wychowanych obdarzone są potężnym umysłem i wrażliwością na piękno. Zdawało mu się wówczas, że kultura i pieniądz idą z sobą w parze. Poddawał się też złudnemu mniemaniu, że akademickie wykształcenie równoznaczne jest z mistrzowskim opanowaniem wiedzy. Cokolwiek miałyby się zdarzyć, wywalczy sobie dalszą drogę naprzód i wwyż. Pociągnie za sobą Ruth. Kochał tę dziewczynę z całego serca i był przeświadczony, że wszędzie potrafi ona zabłysnąć. Zdając sobie doskonale sprawę z hamującego wpływu, jaki wywarło na niego dawne otoczenie, dochodził teraz do przekonania, że i Ruth podobnie skrępowana jest ograniczeniami własnego środowiska. Nie miała dotąd sposobności prawdziwie swobodnego rozwoju. Książki w bibliotece jej ojca, malowidła na ścianach rodzinnego domu, nuty zalegające fortepian — wszystko to było tylko szychem roztaczanym dla pozorów. Dla prawdziwej literatury, prawdziwego malarstwa i prawdziwej muzyki Morseowie wraz z całą swoją sferą nie mieli żadnego zrozumienia. A największe znaczenie ze wszystkiego miało przecież samo życie, wobec którego okazywali tępotę i beznadziejną nieświadomość. Wbrew skłonnościom do niezależnej myśli i pozorom szerokiej tolerancji byli zapóźnieni o całe dwa pokolenia w stosunku do zdobyczy wiedzy współczesnej, ich procesy myślowe były średniowieczne, a poglądy na zasadnicze zagadnienia bytu i wszechświata przepojone tą samą metodą metafizyczną, która będąc równie młoda jak najmłodsza z ras, jednocześnie odwiecznością swą sięga do jaskiniowca lub dalej jeszcze; tym samym popędem, który pierwszemu małpoludowi z pleistocenu kazał lękać się ciemności, a dzikiemu i lekkomyślnemu Hebrajczykowi wywodzić Ewę z żebra Adamowego; który podsunął Kartezjuszowi pomysł wybudowania idealistycznego systemu wszechświata w drodze rzutowania cech wysnutych z własnej, mizernej jaźni; który wreszcie skłonił słynnego angielskiego duchownego * do wydrwienia teorii ewolucji w tak gryzącej satyrze, iż zyskał sobie tani poklask współczesnych, choć na kartach historii zdobył aureolę raczej wątpliwej chwały. Doszedłszy do takich wniosków, Martin nie przestawał myśleć dalej, aż w końcu zaświtało mu w głowie przekonanie, że różnica między tymi wszystkimi prawnikami, oficerami, handlowcami i finansistami, których spotykał obecnie, a robotnikami, z którymi obcował niegdyś, stanowi tylko odpowiednik różnic w sposobie odżywiania się, ubierania oraz w dzielnicach mieszkaniowych. Niewątpliwie zarówno jednym, jak i drugim brakowało tego nieuchwytnego czegoś więcej, co znajdował w samym sobie i w książkach. Dom państwa Morse ukazał mu wszystko najwartościowsze, co ich sfera społeczna mogła wytworzyć, ale nie wywarło to na nim większego wrażenia. Choć sam był nędzarzem i wił się w szponach lichwiarzy, dobrze wiedział, że góruje nad ludźmi spotykanymi u Morseów, Kiedy zaś wykupił z zastawu swoje porządne ubranie, poruszał się wśród nich jak władca wszechświata, odczuwający w Ich towarzystwie podobną odrazę, jaką objawiałby książę zmuszony do obcowania z pastuchami,

— Widzę, że pan nienawidzi socjalistów i boi się ich-zwrócił się pewnego wieczoru przy obiedzie do pana Morse, —

Ale dlaczego? Przecież nie zna pan ani ich samych, ani ich doktryn,

Rozmowę pchnęła w tym kierunku pani Morse, która ze złośliwym zadowoleniem opiewała zalety pana Hapgooda. Kasjer bankowy odgrywał rolę przysłowiowej czerwonej płachty, toteż na wzmiankę o głośnicu komunalów równowaga Martina została wyraźnie zachwiana.

— Tak jest — potwierdził. — Charlie Hapgood jest w całym tego słowa znaczeniu młodzieńcem z przyszłością. Słyszałem już od kogoś ten pogląd i podzielał go w zupełności. Z pewnością osiągnie godność gubernatora stanu, a kto wie, czy nie zasiądzie w senacie Stanów Zjednoczonych.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi? — zagadnęła pani Morse.

— Słyszałem jego mowę przedwyborczą. Była tak wyrafinowanie głupia i nieoryginalna, a jednocześnie tak przekonywająca, że przywódcy partii muszą uważać go za człowieka pewnego i godnego zaufania. Głoszone zaś przez niego komunały tak świetnie zgadzają się z poglądami przeciętnego wyborcy, że... co tu dużo gadać, wiadomo przecież powszechnie, iż każdemu to pochlebia, gdy mu się ukaże własne jego myśli w ozdobnym przybraniu.

— Wydaje mi się, że po prostu zazdrościsz panu Hapgoodowi — wtrąciła złośliwie Ruth,

— Ależ uchowaj Boże!

Wyraz zgrozy na twarzy Martina podniecił wojowniczość pani Morse.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że pan Hapgood jest głupi? --• spytała lodowatym tonem.

— Nie więcej niż przeciętny republikanin — brzmiała od* powiedź. — Albo zresztą i przeciętny demokrat. Wszyscy oni są głupi, skoro brak im przebiegłości, a cwaniaków jest wśród nich bardzo niewiele. Jedynymi mądrymi republikanami są milionerzy i ich świadomi poplecznicy, Wiedzą, z której strony wiatr wieje i dlaczego.

— I ja również jestem republikaninem — wtrącił z udaną obojętnością pan Morse. — Proszę mi wyjaśnić, do jakiej kategorii pan mnie zalicza?

— Ach, pan jest raczej nieświadomym poplecznikiem.

— Poplecznikiem?

— A tak. Pracuje pan przecież jako radca prawny towarzystw akcyjnych. Nie ma pan klientów spośród warstwy robotniczej ani nie broni pan przestępców. Byt pański nie jest uzależniony od nędznych awanturników ani złodziejasków. Środków utrzymania dostarczają panu moźni tego świata, a ten, kto nas żywi, jest z natury rzeczy naszym panem. Tak więc jest pan poplecznikiem bogaczy, zainteresowanym osobiście w pomyślnym rozwoju interesów tych akumulacji kapitału, którym pan służy.

Twarz pana Morse zaczerwieniła się z lekka.

— Nie można zaprzeczyć — rzekł — że wyraża się pan jak pierwszy lepszy z tych lajdaków socjalistów.

Wtedy to właśnie Martin wtrącił ową uwagę: „Widzę, że pan nienawidzi socjalistów i boi się ich. Ale dlaczego? przecież nie zna pan ani ich samych, ani ich doktryn”.

— Głoszone przez pana teorie najwyraźniej trąca socjalizmem — odparł pan Morse.

Ruth tymczasem z niepokojem spoglądała to na ojca, to na narzeczonego, pani Morse zaś promieniała radością, że nadarzyła się sposobność wzbudzenia nienawiści jej pana i władcy do Martina.

— Z tego, że uważam republikanów za głupców, a osławione hasło wolności, równości i braterstwa za pękniętą bańkę mydlaną, nie wynika bynajmniej, bym miał być socjalistą — odciął się Martin z uśmiechem. — Okoliczność, że nie uznaję poglądów Jeffersona ani niedouczonego Francuza, który kierował jego umysłem, również nie świadczy wcale o mych socjalistycznych przekonaniach. Proszę mi wierzyć, że z nas dwóch pan właśnie o wiele bliższy jest socjalizmowi niż ja, który jestem jego zaprzysiężonym wrogiem.

— Widzę, że pan pozwala sobie na żarty — wyrzucił z siebie przeciwnik. Martina, którego nie stać było na lepszą odpowiedź.

— Nic podobnego. Mówię najzupełniej poważnie. Pan wierzy nadal w równość, choć pracuje pan na korzyść towarzystw akcyjnych, które robią, co mogą, aby tę równość zniszczyć. Socjalistą zaś nazywa pan mnie, który odrzucam równość, a głoszę te właśnie prawdy, które panem w życiu kierują. Republikanie są wrogami równości, przy czym większość ich jednocześnie zwalcza ją czynem, a wielbi słowem. Burzą oni równość w imię tejsze równości. Dlatego nazwałem ich głupcami. Co do mnie — jestem indywidualistą. Wierzę, że w wyścigu wygrywają najszybsi biegacze, a z walki zwycięsko wychodzą najsilniejsi. Tego nauczyła mnie biologia, a w każdym razie tak mi się wydaje. Jak już powiedziałem,

wyznaję indywidualizm, a kierunek ten jest dziedzicznym i wiecznym wrogiem socjalizmu.

— Chodzi pan jednak na wiece socjalistów — wystąpił z nowym zarzutem pan Morse.

— Oczywiście, podobnie jak szpiedzy odwiedzają nieprzyjacielskie obozy. Jakże inaczej można poznać zamysły wroga? Poza tym na zebraniach tych doskonale się bawię. Ludzie ci nastawieni są bojowo i bądź co bądź ocytani. Każdy z nich stokroć więcej wie o socjologii i naukach pokrewnych niż przeciętny magnat przemysłowy. Tak jest, byłem obecny na kilku wiecach socjalistycznych, ale nie stałem się przez to socjalistą, podobnie jak wysłuchiwanie górnołotnych kazań Charlie Hapgooda nie zrobiło ze mnie republikanina.

— Nic na to nie poradzę — powiedział słabo pan Morse — ale myślę nadal, że pan jednak skłania się ku temu kierunkowi.

Boże, zmiłuj się — pomyślał Martin. — Przecież on w ogóle nie wie, o czym mówiłem. Nie zrozumiał z tego ani słowa. Na co mu się przydało całe jego wykształcenie?

W taki sposób Martin w toku swego rozwoju zetknął się z moralnością ekonomiczną czy też raczej z etyką klasową, która wkrótce stała się dlań ohydny potworem. Osobiście był w sprawach etyki intelektualistą i mniej go raziła nawet napuszona płytkość aniżeli głoszone przez jego obecne otoczenie zasady będące dziwacznym zlepkim ekonomiki, metafizyki, sentymentalizmu i manii naśladowczej.

Próbkę tego ciekawego bigosu znalazł Martin również i wśród swoich najbliższych. Jego siostra Marianna wiele ostatnio przebywała w towarzystwie młodego pracowitego mechanika, z pochodzenia Niemca, który po gruntownym wyuczeniu się swego fachu założył własny warsztat naprawy rowerów. Wystarał się też o przedstawicielstwo jakiejś pośledniejszej fabryki rowerów i miał się materialnie wcale nieźle. Marianna odwiedziła niedawno Martina w jego izdebce, aby go zawiadomić o swych zaręczynach. Podczas rozmowy obejrzała w żartach dłoń brata i przepowiedziała mu przyszłość. Następnym razem przyprowadziła ze sobą Hermana Schmidta. Martin czynił honory domu i złożył obojgu życzenia językiem tak swobodnym i pełnym wdzięku, że wywołał tym niechęć w prostackim umyśle narzeczonego siostry. To niekorzystne wrażenie pogłębiło się jeszcze, kiedy Martin odczytał na głos złożony z kilku zwrotek wierszyk, którym upamiętnił poprzednią wizytę Marianny. Był to lekki i subtelny utwór okolicznościowy, zatytułowany Wróżka. Skończywszy czytanie Martin ku swemu zdziwieniu nie zauważył na twarzy siostry oznak zadowolenia, natomiast oczy utkwione miała niespokojnie w narzeczonego, a Martin, idąc za jej wzrokiem, dostrzegł wyraźnie, jak z gruba ciosane rysy tego dostojnego jegomościa pokryły się ponurym cieniem bezwzględnej potępienia. Zdarzenie nie miało zresztą dalszego ciągu, młoda para szybko się ulotniła i Martin zapomniał o wszystkim, mimo iż w pierwszej chwili zdziwiło go bardzo, że jakakolwiek młoda kobieta, choćby z warstwy robotniczej, może nie czuć się dumna i uszczęśliwiona faktem, iż stała się natchnieniem poezji.

W kilka dni potem Marianna znów wieczorem odwiedziła Martina, tym razem sama. Nie tracąc czasu przeszła do sedna sprawy i zaczęła robić bratu gorzkie wymówki za kłopot, na jaki ją naraził.

— Z twoich słów zdawałoby się, Marianno — powiedział z wyrzutem — że wstydzisz się swej rodziny, a w każdym razie brata.

— Bo tak jest właśnie! — odparła hardo.

Martina zdumiały łyzy zmartwienia, jakie dostrzegł w oczach siostry. Jej nastrój, bez względu na przyczyny, był w każdym razie szczerzy.

~ Ale powiedz mi, Marianno, dlaczego twój Herman miałby się czuć zazdrosny o to, że napisałem wiersz o własnej siostrze?

— Kiedy on wcale nie jest zazdrosny — zaszlochała. — On powiada, że to było nieprzyzwoite, że to było... sprośne.

Martin wydał przeciągły i cichy gwizd zdziwienia, po czym wydobył kopię Wróżki i odświeżył sobie w pamięci jej treść.

— Nic takiego tu nie widzę — oznajmił w końcu, podając rękopis siostrze. — Przeczytaj sama i pokaż mi, co mianowicie uważasz za sprośne... bo tego przecież słowa użyłaś?

— Kiedy on tak twierdzi, to już musi wiedzieć dlaczego — odparła odsuwając wiersz z wyrazem obrzydzenia, — Powiada też, że musisz to podrzeć. Oświadczył, że nie chce żony, o której każdy może czytać takie rzeczy. Powiedział, że to hańba i że wyprasza sobie podobne rzeczy.

— Słuchaj no, Marianno, przecież to wszystko są wierutne brednie — zaczął Martin; zmieniawszy jednak zamiar, urwał nagle.

Miał przed sobą strapioną dziewczynę, czuł całą beznadziejność przekonywania ich obojga i wobec tego — mimo iż sytuacja była najzupełniej niedorzeczna i śmieszna — postanowił się poddać.

— No dobrze — oświadczył drąc rękopis na drobne kawałki

1 wrzucając je do kosza od śmieci.

Pocieszała go świadomość, że już wtedy oryginał wiersza spoczywał w tece jednego z nowojorskich czasopism. Marianna i jej mąż nigdy się o tym nie dowiedzą, ani zaś oni, ani nikt inny nie poniesie żadnej szkody, jeśli ten niewinny, miły poemacik kiedykolwiek ukaże się w druku. Marianna sięgnęła ręką w stronę kosza, lecz wstrzymała się niepewnie.

— Czy można? — spytała z prośbą w głosie.

Martin skinął głową i patrzył w zadumie, jak dziewczyna starannie zbiera strzępki rękopisu i wkłada je do kieszonki żakietu, by mieć rzeczowy dowód, że skutecznie wypełniła zlecenie. Siostra przywiodła mu na pamięć Lizzie Connolly, choć mniej miała ognia i bujności życia niż tamta robotnica, którą widział dwa razy w życiu. Były jednak podobne do siebie w ruchach, ubraniu i sposobie bycia, toteż Martin uśmiechnął się w duchu, gdy kaprys wyobraźni ukazał mu obie dziewczyny wkraczające jedna za drugą do salonu pani Morse. Niebawem jednak radość zgasła, pozostało zaś poczucie żalosego osamotnienia. Ta jego siostra i salon państwa Morse stanowiły kamienie milowe, znaczące długi odcinek przebytej drogi. Zostawił je już daleko za sobą. Rozejrzał się wokoło, czułym wzrokiem ogarniając swe nieliczne książki. Byli to jedyni towarzysze, jacy mu pozostali.

— A to co znowu? — zapytał nagle w najwyższym zdumieniu.

Marianna powtórzyła pytanie.

— Dlaczego nie biorę się do pracy? — Wybuchnął głośnym śmiechem, w którym niewiele dźwięczało radości. — To ten twój Herman nakładł ci tego do łepetyny.

Potrząsnęła głową.

— Nie kłami — rzekł rozkazująco, a skinienie potwierdziło jego domysły.

— No to powiedz temu całemu Hermanowi, żeby pilnował swego nosa. Kiedy piszę wiersze o dziewczynie, z którą on chce się żenić, może go to obchodzić, ale poza tym nie ma nic do gadania. Zrozumiałaś? A więc nie wydaje ci się, żebym mógł zdobyć powodzenie jako pisarz, co? — mówił dalej. — Sądzisz, że nic nie jestem wart? Że upadłem całkiem nisko i przynoszę wstyd rodzinie? Prawda?

— Myślę, że byłoby dużo lepiej, gdybyś się wziął do pracy — rzekła z przekonaniem, a Martin wyczuł, że mówiła szczerze. — Herman powiada...

— Nie zwracaj mi głowy Hermanem — przerwał jej dobrodusznie. — Powiedz mi lepiej, kiedy zamierzacie się pobrać. Dowiedz się także, czy twój Herman zezwoli ci łaskawie na przyjęcie ode mnie ślubnego podarunku.

Po odejściu Marianny Martin jeszcze przez pewien czas rozpamiętywał tę rozmowę i parokrotnie roześmiał się gorzko, myśląc o tym, jak to siostra, jej narzeczony, całe ich otoczenie, a także i otoczenie Ruth poddają swoje ciasne, mizerne bytowanie władzy ciasnych, mizernych formułek; jak ci biedacy tłoczą się w ścisku i krępują wzajemnymi opiniami o so-

bie, rezygnując z wszelkiej osobistej odrębności i z prawdziwego życia po to tylko, by uczynić zadość dziecinnyim przepisom, którym ślepo ulegają. Przed oczyma Martina zaczęli sunąć w zjawiskowym pochodzie Bernard Higinbotham pod ramię z panem Butlerem, Herman Schmidt w braterskiej komitywie z Charlie Hapgoodem... Każdego z nich, w miarę przesuwania się par, Martin osądzał i odprawiał — osądzał wedle wytycznych rozumu i etyki, jakie znalazł w książkach. Na próżno zapytywał: Gdzie są wielkie dusze, wielcy mężczyźni i kobiety? Z całą pewnością nie było ich pośród tych beztroskich, gruboskórnych i głupich postaci, które na zew jego wyobraźni zjawiły się w tym ciasnym pokoiku. Przejmowały go tak silną odrazą, jaką musiała czuć Circe do swego stada świń. Kiedy już odprawił ostatnią zjawę i zdawało mu się, że pozostał sam, do izby wkroczyła jeszcze jedna, zapóźniona postać, której nie wzywał i nie spodziewał się wcale. Przyjrząwszy się lepiej Martin dostrzegł sztywny kapelusz, kanciastą kurtkę i kołyszące się ramiona młodocianego łobuza, którym sam był niegdyś.

— Podobny byłeś, bracie, do nich wszystkich — szepnął drwiąco Martin. — Twoja moralność i cała umysłowość stosowały się ściśle do wzorów środowiska. Nie myślałeś ani nie działałeś samodzielnie. Poglądy swoje, podobnie jak i ubranie, brałeś gotowe z hurtowej wytwórni. Twoje czyny dyktowane były przez poklask gawiedzi. Byłeś hersztem swojej bandy, bo widziano w tobie uosobienie dążeń ogółu. Walczyłeś i przewodziłeś bandzie nie dlatego, że sprawiało ci to przyjemność — sam wiesz najlepiej, żeś w gruncie rzeczy tym gardził — ale po prostu dlatego, że towarzysze klepali cię po ramieniu. Sprawileś lanie Pyskowi jak ser, boś nie chciał ustąpić, nie chciałeś zaś ustąpić dlatego, że dawałeś się powodować najniższemu zwierzęcemu narowom, a poza tym, ponieważ wraz z całym otoczeniem wierzyłeś, że miarą męstwa jest drapieżne okrucieństwo objawiające się w kaleczeniu bliźnich i przetrącaniu im gnatów. Przecież ty, nicponiu, odbijałeś kolegom dziewczęta nie dlatego, że ci na nich naprawdę zależało, lecz tylko wskutek tego, że w szpiku kości tych towarzyszy, którzy kształtowali twą postawę moralną, tkwił głęboko ten sam instynkt, który jeleniom każe staczać krwawe walki o samice. Tymczasem lata minęły i co ty teraz sam o tym myślisz?

Jak gdyby w odpowiedzi wizja podległa szybkiej przemianie. Sztywne rondo i kanciasta kurtka znikły, zastąpione przez spokojniejszą odzież; z rysów pierzchła bezczelność, wyraz oczu złagodniał; twarz cała, wyszlachetniona i subtelniejsza, rozjaśniła się blaskiem wewnętrznym, świadczącym o żywym kontakcie z pięknem i wiedzą. Zjawisko bardzo przypominało obecną postać Martina, on sam zaś, patrząc na nie, zauważył, że oświeca je stojąca lampa, której blask padał na karty książki. Spojrzał na tytuł: była to Nauka estetyki. Po chwili sam wsiąkł w ową zjawę, rozjaśnił lampę i pogrążył się w czytaniu podręcznika estetyki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Pewnego pięknego dnia w jesieni, o tej samej porze babiego lata, która przed rokiem była świadkiem ich wyznań miłosnych, Martin odczytał narzeczonej swój Cykl miłosny. Jak zwykle wyjechali po południu na rowerach za miasto i zatrzymali się na ulubionym wzgórku. Dziewczyna raz po raz przerywała czytanie okrzykami zachwyty, teraz zaś, odłożywszy ostatnią kartę, Martin oczekiwał jej wyroku.

Ruth zwlekała, wreszcie zaczęła mówić z wolna, jakby wzdragając się ubrać w słowa szorstką treść swych myśli.

— Uważam, że to piękne, rzeczywiście bardzo piękne, ale sprzedać tego jednak nie możesz, prawda? Rozumiesz chyba, co mam na myśli — rzekła tonem niemal błagalnym. — To twoje pisanie nic w praktyce nie daje. Musi być jakaś przyczyna, być może ze strony rynku, która nie pozwala ci zarabiać w ten sposób na utrzymanie. Proszę cię, żebyś mnie źle nie zrozumiał.

Czuję się oczywiście bardzo zaszczycona, dumna i jakby ci to jeszcze powiedzieć, nie byłabym chyba kobietą, gdyby mi nie pochlebiało, że dla mnie napisałeś te wiersze. Ale mimo to nie stwarzają one warunków umożliwiających nasze małżeństwo. Czy ty tego nie widzisz? Nie myśl, że przemawia przeze mnie wyrachowanie. Powoduje mną tylko miłość i troska o naszą przyszłość. Minął cały rok, odkąd wyznaliśmy sobie wzajemne uczucia, a dzień naszego ślubu nic się od tej pory nie przybliżył. Nie zarzucaj mi nieskromności dlatego, że tyle mówię o ślubie, bo przecież rozstrzygają się tu losy mego serca, całej mojej przyszłości. Dlaczego nie postarasz się o pracę w dziennikarstwie, jeśli tak bardzo zależy ci na pisaniu? Czemu nie miałbyś zostać reporterem... choćby tylko na razie?

— Zepsułoby mi to styl — odpowiedział Martin cichym i bezbarwnym głosem. — Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo pracowałem ostatnio nad stylem.

— A te twoje opowiadania? — sprzeciwiła się. — Nazywałeś je sieczką literacką i niemało ich przecież napisałeś. Czy one nie psuły ci stylu?

— Tych rzeczy nie można porównywać. Tamte opowiadania pisałem mechanicznie na zakończenie długiego dnia spędzonego na doskonaleniu stylu. W przeciwieństwie do tego życie reportera wypełnione jest od rana do nocy produkowaniem sieczki, która staje się jedynym celem istnienia. Dziennikarz pracuje w nieustannym wirze, żyje wyłącznie chwilą bieżącą, nie dbając o przeszłość ani o jutro i z pewnością nie troszcząc się o styl poza reporterską rutyną, która z literaturą nie ma nic wspólnego. Gdybym właśnie teraz, kiedy mój styl krzepnie i krystalizuje się, przeszedł na reportaż, byłoby to równoznaczne z literackim samobójstwem. I tak każdy z tych rzemieślniczych wyrobów, a nawet każdy ich wyraz był pogwałceniem mojej istoty, szacunku dla samego siebie, mego kultu dla piękna. Powiadam ci, że to było nie do zniesienia. Czuję się winny śmiertelnego grzechu. I po cichu cieszyłem się, gdy popyt na te rzeczy ustał, choćby to nawet powodowało zastawienie ubrania. Ale za to ile szczęścia dało mi pisanie Cyklu miłosnego. Rozkosz twórcza w najszlachetniejszej postaci Wynagrodziło mi to wszystkie biedy i upokorzenia.

Martin nie wiedział o tym, że Ruth nie ma żadnego zrozumienia dla rozkoszy twórczej. Owszem, używała tego wyrażenia — nawet z jej ust usłyszał je po raz pierwszy. Czytała o tym i uczyła się na uniwersytecie, w trakcie zdobywania dyplomu; nie miała jednak w sobie nic oryginalnego ani twórczego, a wszelkie przejawy kultury z jej strony były tylko echem strun trąconych przez innych.

— Czy czasem ten redaktor nie miał słuszności przerabiając twoje Liryki morza? — zagadnęła. — Nie zapominaj, że każdy redaktor musi przecież mieć kwalifikacje, bo inaczej nie byłby na tym stanowisku.

— To, co mówisz, wynika ze ślepej wiary w nieomyślność pojęć ustalonych — rzucił gorąco Martin, w którym zadawniona niechęć do redaktorskiego rodzaju zaczynała już brać górę nad rozsądkiem. — To, co istnieje, nie tylko jest słuszne, ale nawet najlepsze ze wszystkiego, co możliwe. Istnienie jakiegokolwiek rzeczy uchodzi za dostateczny dowód jej prawa do istnienia, i to w dodatku — według nieświadomego przekonania przeciętnego śmiertelnika — nie tylko w warunkach obecnych, lecz we wszelkich w ogóle warunkach. Tylko nieświadomość, rzecz prosta, każe ludziom wierzyć w takie brednie — nieświadomość wyrażająca się w owym henidycznym procesie umysłowym, o którym wiemy od Weininger. Ludzie ci myślą, że myślą, i te bezmyślne stworzenia stają się wyroczniami decydującymi o życiu tych nielicznych, którzy myślą naprawdę.

Tu Martin przerwał zrozumiawszy, że mówi rzeczy przerastające umysł Ruth.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jest ów Weininger — odparła z przekąsem. — Poza tym mówisz tak okropnie ogólnikowo, że naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Ja mówiłam przecież o kwalifikacjach redaktorów...

— A ja ci na to odpowiem — przerwał Martin. — Główną kwalifikacją redaktora jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto doznana klęska. Przegrali oni stawkę jako

pisarze. Nie myśl czasem, że kierat biurowej pracy, zależność od cyfry nakładu i od kierownictwa finansowego pociągają ich więcej niż radość tworzenia. I oni też próbowali pisać, ale bez powodzenia. I na tym właśnie polega cały przeklęty paradoks sytuacji. Wszelkiego dostępu do powodzenia w piśmiennictwie strzegą te psy łańcuchowe — niedoszli pisarze.

Znaczna większość redaktorów, ich zastępców i pomocników oraz przytłaczająca większość recenzentów, oceniających utwory z ramienia czasopism i firm wydawniczych, to ludzie, którzy ubiegali się o miejsce w literaturze i z jej sita odpadli wraz z plewą. I to oni właśnie, którzy z wszystkich istot na świecie najmniej się do tego nadają, mają orzekać, co powinno ukazać się w druku, a co na to nie zasługuje. Właśnie im, którym brak oryginalności i tego, co nazywamy iskrą bożą, przypadło w udziale wydawanie wyroków w sprawach dotyczących oryginalności i geniuszu.

A prócz tego mamy jeszcze sprawozdawców, którzy rekrutują się z tego samego grona wybrakowanych twórców. Nie wmawiaj we mnie, że ci krytycy nie przeżyli kiedyś snu o wielkości i że nie próbowali swych sił na polu poezji czy powieściopisarstwa; na pewno tak, ale odpadli w zawodach. Czyż przeciętna recenzja nie jest bardziej mdła od tranu? Wiesz zresztą, co sędzę o recenzentach i tak zwanych krytykach. Istnieją wielcy krytycy, ale trafiają się równie rzadko jak komety. Jeśli powinie mi się noga jako pisarzowi, tym samym zdobędę sobie redaktorskie szlify. Tak czy owak, zapewniony mam niezłe omaszczony kawałek chleba.

Ruth miała lotny umysł, toteż ujemna ocena poglądów Martina pogłębiła się wkrótce przez sprzeczność, jakiej dopatrzyła się w jego wywodach.

— Ależ, Martinie, jeśli to prawda, że wszelkie bramy są zamknięte, jak tego tak przekonywająco dowiodłeś, to w jaki sposób zdołali się przez nie przedostać wielcy pisarze? — Dopięli swego dokonawszy niemożliwości — odparł. — Stworzyli rzeczy tak wspaniałe i ogniste, że w ich żarze wszelkie przeszkody obróciły się w popiół. Doszli do mety cudem, mając jedną szansę na tysiąc. Osiągnęli cel dlatego, że jak hartowne olbrzymy Carlyle'a — nie dali się pokonać w walce. Przede mną stoi to samo zadanie: muszę dokonać niemożliwości.

— A jeśli ci się nie uda? Musisz przecież mieć wzgląd i na mnie.

— Jeśli mi się nie uda? — Martin popatrzył na dziewczynę, jakby wyrażone przez nią przypuszczenie było w ogóle nie do pomyślenia. Po chwili świadomy błysk rozjaśnił mu oczy. — Jeśli mi się nie uda, zostanę redaktorem, a ty czcigodną panią redaktorową.

Ruth lekko zmarszczyła brwi na tę żartobliwą uwagę, ale zrobiła to tak czarująco, że Martin chwycił ją w objęcia i scałował chmurę.

— Nie, dosyć już tego — powtarzała, wysiłkiem woli uwalniając się spod uroku jego siły. — Rozmawiałam z rodzicami. Nigdy dotąd tak się im nie przeciwstawiłam. Zażądałam, by mnie wysłuchali do końca. Byłam bardzo krnąbrna. Oni ci nie sprzyjają, jak sam o tym wiesz. Ja jednak zapewniałam ich ciągle o mojej wielkiej miłości do ciebie, aż wreszcie ojciec zgodził się przyjąć cię choćby zaraz do swego biura, jeśli bys chciał. Potem z własnej woli obiecał wypłacać ci już na początek taką pensję, która by pozwoliła nam się pobrać i urządzić sobie gdzieś własny domek. Uważam, że to bardzo ładnie ze strony ojca, prawda?

Martin z tępym bólem rozpaczy w sercu mimo woli zaczął szukać tytoniu i bibułki, których nie nosił już przy sobie, a nie mogąc skrócić papierosa, mruknął coś niezrozumiale. Tymczasem Ruth ciągnęła dalej:

— Powiem ci jednak szczerze, ale nie powinieneś się o to obrażać — mówię o tym dlatego, byś dokładnie wiedział, jak rzeczy stoją — że ojciec bardzo jest niezadowolony z twoich radykalnych poglądów i uważa cię za próżniaka. Ja oczywiście wiem dobrze, że tak nie jest i że ciężko pracujesz.

Jak bardzo ciężko, o tym nawet i ona nie może mieć pojęcia — pomyślał w duchu Martin.

— A co do tych poglądów — zapytał — jakie jest twoje osobiste zdanie? Czy także uważasz, że są tak bardzo krańcowe?

Nie spuszczać z niej wzroku oczekiwał odpowiedzi.

— W każdym razie sędzę, że są bardzo niepokojące — odrzekła.

Tyle więc tylko miała mu do powiedzenia! Martin poczuł, jak życie zasnulo się szarzyzną tak gęsto, że w mroku jej zapomniał zgoła o propozycji objęcia posady, uczynionej mu przez Ruth. Ona zaś, ośmieliwszy się doprowadzić sprawę aż tak daleko, chętnie godziła się poczekać na jego decyzję do następnej sposobności.

Oczekiwanie nie trwało długo. Martin ze swej strony także chciał zadać jej pewne pytanie. Chciał się mianowicie przekonać, jak daleko sięga jej wiara w niego. Tydzień nie minął, a oboje doczekali się rozstrzygnięcia swych wątpliwości. Martin przyśpieszył je, odczytując dziewczynie swą Hańbą słońca.

— Dlaczego nie chcesz zostać reporterem? — zapytała, gdy skończył. — Tak przecież lubisz pisać i Przekonana jestem, że poszłoby ci doskonale. Mógłbyś wyrobić sobie markę w dziennikarstwie i zejść wysoko. Są przecież wybitni korespondenci, którym powierza się specjalne zadania. Otrzymują wysokie honoraria, a terenem ich pracy jest cały świat. Wysyła się ich wszędzie: w głąb Afryki, jak Stanlcy, na wywiad z papieżem czy na zwiedzanie nie zbadanego Tybetu.

— A więc nie podoba ci się mój szkic? — nie dał się zbić z tropu Martin. — Uważasz, że miałbym coś do powiedzenia w dziennikarstwie, ale nigdy w literaturze?

— Nie, nie. Szkic mi się podoba. Czyta się go bardzo dobrze. Obawiam się tylko, że czytelnicy go nie rozumieją. Widzę to po sobie samej. Utwór brzmi bardzo przyjemnie, ale go nie rozumiem. Używane przez ciebie terminy naukowe są mi obce. Bo widzisz, kochanie, lubisz być przesadny; to, co dla ciebie jest jasne, może nie być zrozumiałe dla innych.

— Widocznie terminologia filozoficzna sprawia ci trudność. — Na inną odpowiedź Martin nie mógł się zdobyć.

Był jeszcze pod wrażeniem świeżo odczytanego najdojrzalszego wyrazu swych myśli, a ocena dziewczyny zupełnie go zmroziła.

— Bez względu jednak na braki formy — nalegał — czy nic w tym nie przemawia do ciebie? Chodzi mi oczywiście o zasadniczą myśl.

Ruth przecząco potrząsnęła głową.

— Nie, to za bardzo odbiega od wszystkiego, co kiedykolwiek czytałam. A takiego Maeterlincka rozumiem doskonale.

— Powiadasz, że rozumiesz jego mistycyzm? — wybuchnął.

— Tak jest. Nie rozumiem natomiast tego, coś ty napisał jako atak na niego. Jeśli, rzecz prosta, uznajemy oryginalność...

Martin przerwał jej niecierpliwym gestem i nic nie powiedział. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że dziewczyna mówi dalej, i to już od dłuższej chwili.

— Ostatecznie całe to pisanie było dla ciebie zabawką — mówiła. — Ale bawiłeś się już chyba dość długo. Czas byłby pomyśleć poważnie o życiu... o naszym życiu, Martinie. — Dotychczas obchodziło cię wyłącznie twoje życie.

— Chcesz, abym objął posadę? — zagadnął.

— Oczywiście. Ojciec proponuje ci przecież...

— Wiem o tym — nie dał jej dokończyć. — Chciałbym jednak przede wszystkim wiedzieć, czy straciłaś wiarę we mnie, czy nie?

W milczeniu ścisnęła mu dłoń, a oczy jej zaszły mgłą.

— Jeśli chodzi o twoje pisanie, to niestety tak, mój drogi — przyznała niemal szeptem.

— Czytałaś wiele moich prac — ciągnął dalej z bezwzględny uporem. — Co o nich myślisz? Czy nie mają żadnej wartości? Jak przedstawiają się w porównaniu z utworami innych?

— Przecież inni sprzedają swoje dzieła, a ty... nie.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy sądzisz, że literatura nie może być moim powołaniem?

— Więc dobrze, odpowiem szczerze — wzięła na odwagę. — Nie wydaje mi się, byś był stworzony do pisania. Daruj mi, mój kochany. Zmusiłeś mnie do powiedzenia tego, a wiesz przecież, że lepiej od ciebie znam się na literaturze.

— No pewno, masz dyplom — rzekł w zadumie. — Więc chyba powinnaś się znać.

Ale na tym sprawa się nie kończy — mówił dalej po przykrej dla obojga przerwie. — Wiem, co jestem wart. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny. Pewien jestem powodzenia! Nie pozwolę nikomu zepchnąć się z tej drogi! Płonę całym tym, co we mnie oczekuje wypowiedzi w formie poezji, powieści czy publicystyki. Nie żądam jednak, byś w to wierzyła. Nie wymagam wiary ani we mnie, ani w moje dzieło. Proszę cię tylko, byś mnie kochała i zaufała miłości.

Rok temu prosiłem o dwa lata cierpliwości. Jeden rok mam jeszcze przed sobą. A wierzę — daję ci na to najświętsze słowo — że przed upływem tego roku odniosę zwycięstwo. Pamiętasz, coś mi już dawno mówiła, że nie zostanę pisarzem bez odbycia terminu? No i terminowałem rzetelnie. Faszerowałem się wiedzą, chłonałem ją, skąd tylko mogłem. Nigdy nie opuszczałem rąk, wiedząc, że u kresu czekasz ty. Czy wiesz, że zapomniałem już, co to znaczy usnąć spokojnie? Przed paru milionami lat zdarzyło mi się wyspać do syta i obudzić w poczuciu, że dłużej już wypoczywać nie zdołam. Teraz ze snu zrywa mnie zawsze budzik. Nastawiam go niezależnie od tego, czy kładę się spać wcześniej czy później; jest to obok gaszenia lampy moja ostatnia świadoma czynność.

Kiedy czuję, że znużenie bierze nade mną górę, zmieniam trudną książkę na lżejszą, a kiedy i ta również mnie zmęczy, okładam głowę pięściami, żeby odegnać senność. Czytałem gdzieś o człowieku, który bał się snu. Pisał o tym Kipling. Człowiek ten skonstruował rodzaj ostrogi, która w chwili zapadania w nieświadomość wpijała mu się żelaznymi zębami w nagie ciało. I ja poszedłem za tym przykładem. Spoglądałem na zegarek i postanawiam nie zwolnić ostrogi aż do północy, do pierwszej, drugiej czy też trzeciej. I tak zmuszam się bezlitośnie do czuwania aż do nadejścia wyznaczonej godziny, Z tą ostrogą nie rozstaję się w łóżku od całych miesięcy. Doszedłem w mym zacierzewieniu do tego, że pięć i pół godziny snu uważam za karygodny zbytek. Obecnie sypiam zaledwie cztery godziny. Jestem spragniony snu do ostateczności. Zdarzają się chwile, kiedy z niewyspania zaczynam majaczyć, kiedy śmierć ze swym wieczystym spoczynkiem wydaje mi się szczytem rozkoszy, kiedy prześladowuje mnie uporczywie strofa Longfellowa:

Cicha jest morska głąb,
Spokojne wody śpią —
/ tylko jeden krok:
Plusk, bańka — wieczny mrok

Oczywiście, że to niedorzeczność. Ale pochodzi ze zdenerwowania, z przemęczenia pracą umysłową. Chcę jednak, byś wiedziała, dlaczego w ten sposób żyłem. Dla ciebie. Aby skrócić okres terminowania. Aby gwałtem przyśpieszyć chwilę powodzenia. A teraz okres nauki już jest poza mną. Wiem, ile mam w głowie. Klnę się, że więcej wiadomości zdobywam w miesiąc niż przeciętny student uniwersytetu w ciągu całego roku. Mówię ci, jestem tego pewien. Ale gdyby mi tak straszliwie nie było potrzeba zrozumienia z twojej strony, nigdy bym ci o tym nie mówił. To nie jest czcze samochwalstwo. Oceniam wyniki według książek. Twoi bracia są dzisiaj barbarzyńskimi nieukami w porównaniu ze mną i z tą wiedzą wydartą książkom w chwilach, które oni przesypiali. Kiedyś, dawno temu marzyłem o sławie, teraz nie dbam o nią. Pragnę po prostu ciebie; potrzeba mi ciebie bardziej niż chleba, odzieży, uznania.

Marzeniem moim jest złożyć głowę na twojej piersi i przespać w ten sposób nieskończony szereg stuleci, a marzenie to spełni się, zanim upłynie rok.

Potęga jego osobowości biła w nią fala za falą i właśnie w chwilach, gdy wola chłopca najostrzej przeciwstawiała się jej woli, najwyraźniej czuła jego przyciągającą siłę. Moc, która zawsze promieniowała z niego ku niej, tętniła obecnie w jego wzruszonym głosie, błyszczących oczach i w tym napięciu żywotności i inteligencji, co zdawało się go rozsadzać. W tej chwili i tylko na chwilę Ruth poczuła, że w jej pewności siebie powstaje jakiś wyłom, a w tej szczelinie ukazuje się obraz prawdziwego Martina Edena, wspaniałego i niezwykłego. Podobnie jak pogromcy drapieżników miewają chwile zwątpienia, tak i ona na chwilę straciła pewność, czy uda jej się poskromić tego dzikiego ducha.

— I jeszcze jedno — kończył swą myśl. — Ty mnie kochasz. Ale dlaczego mnie kochasz? To ta sama moc, która zmusza mnie do pisania, przyciąga też twoją miłość. Kochasz mnie, ponieważ różnię się w jakiś sposób od innych mężczyzn, których znałaś i mogłaś pokochać. Nie zostałem stworzony do pracy biurowej i ślęczenia w rachunkach, do wątpliwych interesików i adwokackich kruczków. Jeśli każesz mi robić tego rodzaju rzeczy, jeśli tak dalece upodobnisz mnie do tych innych ludzi, że będę musiał wykonywać ich pracę, oddychać ich powietrzem i dzielić ich poglądy — zniknie cała różnica, zniknę ja, zniknie to, co we mnie kochasz. Pragnienie pisania jest najżywotniejszym z moich uczuć. Gdybym był miernotą, ani ja nie pragnąłbym pisać, ani ty nie chciałabyś mnie na męża.

— Zapominasz jednak o czymś — przerwała, powierzchowną bystrością umysłu dostrzegając nasuwającą się analogię. — Istnieli wszak ekscentryczni wynalazcy, którzy głodzili swoje rodziny goniąc za chimerymi w rodzaju perpetuum mobile. Niewątpliwie żony ich, cierpiąc z nimi i dla nich, kochały ich nie z powodu ich urojeń, lecz raczej wbrew nim.

— To prawda — brzmiała odpowiedź. — Byli jednak również wynalazcy, którzy wcale nie zdziwaczeli i głodowali pracując nad wynalezieniem rzeczy praktycznych, a niektórzy z nich nawet, jak wiemy, odnieśli sukces. Ja z pewnością nie stawiam sobie zadań niemożliwych...

— Sam nazwałeś to dokonywaniem niemożliwości — sprzeciwiła się Ruth.

— Mówiłem w przenośni. Staram się robić to, co udawało się innym ludziom przede mną: pisać i pisaniem zarabiać na życie.

Milczenie jej ubodło go do żywego.

— Zatem dla ciebie moje zamiary są równie chimeryczne jak wynalezienie perpetuum mobile?

Odpowiedź wyczuł w uścisku jej dłoni, litościwej dłoni matki pocieszającej skrzywdzone dziecko. I rzeczywiście dla Ruth był Martin w tej chwili godnym pożałowania dzieckiem, zaślepionym człowiekiem uganiającym się za czymś nieosiągalnym.

Pod koniec rozmowy dziewczyna raz jeszcze przestrzegła go przed niechęcią swych rodziców.

— Ale ty kochasz mnie przecież?

— Kocham Kocham! — zawołała.

— Ja zaś kocham ciebie, a nie ich, więc żadne ich posunięcia nie mogą mnie zranić. — W jego głosie dźwięczał tryumf. — Żywię bowiem wiarę w twoją miłość, a nie lęk przed ich wrogością. Wszystko na tym świecie może zawieść prócz miłości. Ona nie błądzi nigdy, chyba że jest tak wątła, że mdleje i utyka na drodze do szczęścia.

Martin spotkał kiedyś przypadkiem na Broadway swą siostrę Gertrudę, a przypadek ten, choć bardzo pomyślny, okazał się jednocześnie w pewnej mierze kłopotliwy. Stojąc na rogu w oczekiwaniu na tramwaj, Gertruda pierwsza spostrzegła brata i zauważyła jego wychudłą z głodu twarz i przygaszone, zmęczone spojrzenie. Bo też był istotnie przygnębiony i skołatany do ostatnich granic. Właśnie wracał od lichwiarza, gdzie bezskutecznie starał się wyprosić dodatkową pożyczkę pod zastaw roweru. Wobec bowiem nadejścia jesiennej szarugi Martin odstawił do lombardu rower zatrzymując ciemne ubranie.

— Ma pan przecież jeszcze czarny garnitur — odrzekł lichwiarz, który znał na pamięć całą własność swych klientów. — Nie powie mi pan chyba, że go pan zastawił u tego Żyda Lipki. Bo jeśli tak...

Handlarz spojrział tak groźnie, że Martin czym prędzej wykrzyknął:

— Ależ nie, nie! Mam go u siebie. Ale potrzebny mi jest do załatwienia kilku ważnych spraw.

— No dobrze — odparł udobruchany lichwiarz. — Ja też potrzebuję go w ważnej sprawie, zanim wypłacę panu jeszcze trochę grosza. Nie wyobraża pan sobie chyba, że prowadzę ten interes dla zabawy.

— Ale mój rower kosztował przecież czterdzieści dolarów i jest w doskonałym stanie — tłumaczył Martin. — A pan dał mi za niego tylko siedem dolarów. Nawet nie siedem. Sześć i ćwierć, bo pobrał pan procent z góry.

— Jeśli chce pan dostać więcej, musi pan przynieść ubranie — zabrzmiała odpowiedź, która wypchnęła Martina z dusznego kramiku na ulicę z taką rozpaczą w sercu, że aż odbiła się na twarzy i wzbudziła litość siostry.

Zaledwie się przywitani, nadjechał wóz idący na Telegraph Avenue i zatrzymał się, by wpuścić tłum wybierających się na popołudniowe zakupy. Sądząc z ruchu, jakim brat podsadził ją do tramwaju, pani Higginbotham wywnioskowała, że sam nie zamierza wsiąść, odwróciła się więc na stopniu i spojrzała w dół na Martina, Zbiedzona twarz brata poruszyła ją znowu do głębi.

— Nie jedziesz? — zagadnęła, po czym zaraz wysiadła i stanęła obok niego.

— Wolę iść pieszo... potrzebuję, wiesz, ruchu — wyjaśnił.

— No to i ja przejdę się z tobą trochę — oświadczyła. — Może i mnie to wyjdzie na zdrowie. W ostatnich czasach nie czułam się wcale świetnie.

Martin przyjrzał się siostrze uważniej i przekonał o prawdzie jej słów. Świadczyły o tym dobitnie niechlujny wygląd, chorobliwa otyłość, obwisłe ramiona, znużenie na mizernej i pomarszczonej twarzy oraz ciężki, pozbawiony sprężystości chód — istna karykatura ruchów osoby zdrowej i zadowolonej.

— Lepiej zatrzymaj się tu — rzekł, choć siostra już sama przystanęła na najbliższym rogu — i wsiądź do następnego wozu.

— O rety, jakżem ja się już zmachała! — biadała zadyszana. — Ale chodzić mogę wcale nie gorzej niż ty na tych twoich podeszwach. Takie już są zdarte, że rozleczą się, nim dobrniesz do północnego Oaklandu.

— Mam w domu lepszą parę butów — odrzekł Martin.

— Nie zaszedłbyś tak do mnie jutro na obiad? — zmieniła nagle temat. — Pana Higginbothama nie będzie w domu. Jedźcie do San Leandro za interesem. Martin potrząsnął głową, lecz nie zdołał ukryć wilczego błysku głodu, który zamigotał mu w oczach na wzmiankę o obiedzie.

— Nie masz grosza przy duszy, Mart, i dlatego ganiasz piechotę. Ruchu mu potrzeba, widzicie go! — Gertruda chciała prychnąć pogardliwie, ale wydała tylko jakieś nieokreślone chrząknięcie. — Poczekaj no chwilę...

Pogrzebawszy w torebce wcisnęła bratu do ręki pięciodolarową monetę. — Zdaje mi się, że zapomniałam o twoich ostatnich urodzinach — mruknęła zmieszana.

Ręka Martina odruchowo zatrzymała złoty pieniądz. W tej samej jednak chwili uprzytomnił sobie, że nie powinien go przyjmować i zaczął toczyć walkę z sobą. Ten kawałek złota oznaczał strawę, życie i światło dla jego ciała i duszy, a także możliwość pisania dalej i — kto wie — może napisania czegoś, co przyniesie mu wiele podobnych złotych krążków. Zobaczył nagle wyraźnie obraz dwóch szkiców, które dopiero co ukończył. Dostrzegł je pod stołem na samym wierzchu stosu prac zwróconych, na których ponowne rozesłanie nie miał już znaczków, i odczytał ich tytuły, takie, jak sam odbił je na maszynie: Arcykapłani tajemnicy i Kolebka piękna. Nigdzie ich jeszcze nie posyłał. Zaliczały się z pewnością do najlepszych jego prac z tego zakresu. Gdyby tylko stać go było na znaczki! I oto teraz zrodziła się pewność ostatecznego zwycięstwa, która sprzymierzywszy się z głodem, sprawiła, że szybkim ruchem wpuścił monetę do kieszeni.

— Zwróć ci, Gertrudo, zwróć ci stokrotnie! — wykrztusił z gardła ściśniętego bólem, a w oczach zalśniły mu łzy. — Zapamiętaj sobie moje słowa! — krzyknął z nagłym zdecydowaniem. — Zanim rok minie, wsunę ci do ręki sto takich złociszów. Nie wymagam, byś mi wierzyła na słowo. Masz tylko czekać i patrzeć.

Istotnie nie wierzyła mu wcale. Ale ta nieufność krępowała ją samą, więc nie znajdując już dalszych wykrętów, wygarnęła bez ogródek:

— Wiem dobrze, że głodujesz, Mart. Rzuca się to przecież w oczy. Zachodź pożywić się, kiedy tylko zechcesz. Uprzedzę cię przez któreś z dzieci, ilekroć Bernarda nie będzie. Ale wiesz co, Mart...

Martin czekał, choć w głębi duszy wiedział dobrze, co usłyszy, gdyż bez trudu odgadywał bieg jej myśli.

— Czy nie myślisz, że już byłby czas wziąć się do roboty?

— Nie wierzysz, bym potrafił się wybić? — spytał. Gertruda potrząsnęła głową.

— Nikt nie wierzy we mnie, Gertrudo, oprócz mnie samego. — Jego słowa dyszały namiętym buntem. — Odwaliłem już sporo dobrej roboty i wcześniej czy później zbiorę jej owoce.

— Skąd wiesz, że robota jest dobra?

— Ponieważ... — Głos załamał mu się, gdy pomyślał o ogromie dziedzin literatury oraz dziejów piśmiennictwa i uświadomił sobie całą beznadziejność prób przekazania siostrze podstaw przepajającej go ufności. — Ponieważ to, co napisałem, lepsze jest niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent rzeczy drukowanych w czasopiśmie.

— Chciałabym, żebyś raz wreszcie nabrał rozsądku — odparła słabo, lecz z niezachwianą wiarą w słuszność swego sądu co do przyczyn trapiącego go zła. — Chciałabym, żebyś raz wreszcie nabrał rozsądku — powtórzyła — i przyszedł jutro na obiad.

Pomógłszy siostrze wsiąść do tramwaju, Martin pośpiesznie udał się na pocztę i wydał całe trzy dolary z otrzymanych pięciu na znaczki, kiedy zaś później tego samego dnia po drodze do domu Morse'ów wstąpił ponownie do urzędu pocztowego celem zważenia ogromnej naręczy długich i pękatych kopert, musiał zużyć cały nabyty zapas z wyjątkiem tylko trzech znaczków po dwa centy.

Wieczór ten stał się pamiętny dla Martina, gdyż po obiedzie poznał Russa Brissendena.

Dzięki jakiemu przypadkowi człowiek ten tam się zjawił, czyim był przyjacielem, czy też kto ze znajomych go wprowadził — Martin nie miał pojęcia. Nie uważał też za potrzebne pytać o to Ruth. Prawdę mówiąc, Brissenden wydał mu się cherlawym narwańcem, któremu nie warto poświęcać większej uwagi. Po godzinie uznał go ponadto za gbura, sądząc z beztroski,

z jaką gość ten wałęsał się po wszystkich pokojach, przyglądał się obrazom i wtykał nos w pozbierane ze stołu lub powyciągane z półek książki i czasopisma. Choć obcy w tym domu, odseparował się wreszcie od reszty towarzystwa, zagłębiwszy się w przepaścistym fotelu i pogrążywszy w lekturze cienkiego tomiku, który wydobył z kieszeni. Czytając, odruchowo przeczesywał włosy pieszczotliwym ruchem palców. Tego wieczoru Martin nie myślał o nim więcej z wyjątkiem jednej tylko chwili, gdy zauważył, jak Brissenden z widocznym powodzeniem zabawiał grono młodych niewiast.

Przypadek zdarzył, że Martin opuszczając dom Morse'ów spostrzegł przed sobą Brissendena, który wyszedł chwilę przed nim i był już w połowie alejki wiodącej na ulicę.

— Halo? To pan? — odezwał się Martin.

Tamten odmruknął coś niezbyt uprzejmie, ale zaczął iść noga w nogę z Martinem, który nie silił się na dalsze nawiązywanie rozmowy. Toteż minęli kilka przecznic w nieprzerwanym milczeniu.

— Co za pompatyczny stary osioł

Nagłość i gwałtowność tego okrzyku uderzyła Martina. Ubawiło go to, lecz jednocześnie poczuł rosnącą niechęć do tamtego.

— Po jakie lichy pan tam chodzi? — rzucił nagle w stronę Martina, gdy minęli dalszy blok kamienic.

— A pan? — odciął się Martin.

— Doprawdy, sam nie wiem — usłyszał w odpowiedzi. — Ale zdarza mi się to w każdym razie po raz pierwszy. Każda doba składa się z dwudziestu czterech godzin, które jakoś trzeba zappełnić. Chodźmy się czegoś napić.

— Z przyjemnością — odparł Martin.

Już w następnej chwili zdziwił się swojej gotowości. W domu czekała kilkogodzinna porcja sieczki literackiej, którą należało odrobić, zanim pójdzie do łóżka, a przed zaśnięciem jeszcze tom Weismanna, nie mówiąc już o autobiografii Herberta Spencera, która miała dla niego tyle romantycznego uroku, co najciekawsza opowieść. Na cóż więc marnować czas z tym człowiekiem, który mu się nie podobał? — przemknęło mu przez myśl. Ale w gruncie rzeczy dobrze wiedział, że właściwie nie chodzi mu ani o tego człowieka, ani o samo picie, tylko raczej o związanie z tym otoczenie: jarzące światła, lśnienie luster, migotanie różnobarwnych szkieł, rozgrzane, wesole twarze i donośny gwar męskich głosów. Na tym mu zależało — na mowie ludzi zadowolonych z losu, tchnących powodzeniem i pijących beztrzesko za własne pieniądze, jak na mężczyzn przystało. Martin czuł się samotny, oto co mu dolegało. Dlatego tylko uczeplił się zaproszenia równie skwapliwie, jak bonita łapie za biały gałganek na końcu rybackiego haka. Od czasu libacji z Joem w Gorących Źródłach w Shelly Martin ani razu nie pił w publicznym lokalu, jeśli pominąć szklanekę wina, jaką trącił się z portugalskim sklepikarzem. Wyczerpanie umysłowe nie wytwarzało tak silnego pragnienia alkoholu, jak zmęczenie fizyczne, toteż Martin nie odczuwał potrzeby picia. Teraz jednak zapragnął doraźnie trunku albo raczej tej atmosfery, jaka zwykle towarzyszy napełnianiu i opróżnianiu kielichów. Odpowiednim przybytkiem okazał się bar zwany „Pieczarą”, gdzie wraz z Brissendenem zasiedli w głębokich, skórą obitych fotelach, popijając szkocką whisky z wodą sodową.

Zaczęli rozmawiać. Poruszali najróżniejsze tematy, przy czym na zmianę to Brissenden, to znów Martin stawiali kolejki whisky. Martin słynący z nadzwyczaj silnej głowy podziwiał jednak wyjątkową wytrzymałość towarzysza i wpadł w zachwyt nad jego swadą. Jak się wkrótce okazało, nie było rzeczy, na której by się Brissenden nie znał, tak że Martin musiał go uznać za drugiego z kolei inteligentnego człowieka, z jakim się zetknął. Zauważył też, że Brissenden miał w sobie to, czego brakło Caldwellowi, a mianowicie ogień wewnętrzny, dar przenikania do jądra rzeczy, lotność spostrzeżeń i zdolność do nieoczekiwanych przerzutów myśli. Tryskały zeń potoki żywej mowy. Jego wąskie wargi, niby ostrzem maszyny, wybijały

zdania tnące i kłujące albo znów pieśczośliwie głaszcząc wydawane dźwięki, kształtowały je w przedziwne jakieś miękkie i aksamitne twory, w czarowne sploty wyrazów pełnych blasku i chwały, urzekająco pięknych, tchnących niedocieczoną tajemnicą życia. To znów te same wąskie wargi grzmiały niby róg bajeczny, z którego wylewał się trzask i zgiełk kosmicznych starć, wyrażony w zdaniach dzwoniących czystym srebrem, promieniejących blaskiem śródgwieźnego przestworza, głoszących ostatnie słowo wiedzy, a jednocześnie dających coś więcej ponadto: wieszczą mądrość poety, tę prawdę niejako nadprzyrodzoną, nieuchwytną i nie mającą godnego odpowiednika w mowie, a mimo to cudownym sposobem zawartą w niepojętym współbrzmieniu najprostszych wyrazów. Brissenden potęgą swego jasnowidzącego wyczucia sięgał poza najdalsze granice empiryzmu, w światy, których ludzki język opisać nie jest zdolny, a przecież czarodziejskim zaklęciem słowa umiał tchnąć nowe znaczenie w utarte dźwięki i świadomie przekazać Martinowi wieści nie mające dostępu do przeciętnych dusz ludzkich.

Martin zapomniał o swym pierwszym, niekorzystnym wrażeniu. Właśnie wcielała się w czyn najgłębsza treść przeczytanych książek. Oto był umysł godny tego miana, żywy człowiek wart naśladowania.

Korzę się w prochu u twoich stóp — powtarzał ciągle w duchu Martin.

— Studiował pan biologię — odezwał się głośno i z naciskiem.

Ku zdziwieniu Martina Brissenden zaprzeczył ruchem głowy.

— Jednak głosi pan prawdy, które tylko w biologii mogą znaleźć potwierdzenie — nastawał Martin, lecz spotkał się ze spojrzeniem najzupełniej obojętnym. — Pańskie wnioski zgadzają się z treścią dzieł, które zapewne musiał pan czytać.

— Cieszy mnie to bardzo — brzmiała odpowiedź. — Miło mi pomyśleć, że mój szczupły zasób wiedzy pozwala mi przebijać się śmiały mi skrótami ku prawdzie. Co do mnie, nie troszczę się nigdy o to, czy mam słuszność, czy nie. Tak czy owak, nie ma to większego znaczenia. Człowiek nigdy nie pozna prawd ostatecznych.

— Jest pan zatem uczniem Spencera! — krzyknął Martin z tryumfem.

— Nie miałem w ręku jego dzieł od wczesnej młodości, a i wtedy czytałem tylko Kształcenie umysłu.

— Chciałbym umieć gromadzić wiedzę w sposób równie bez troski — zawołał Martin w pół godziny później, poddawszy gruntownej analizie wyposażenie umysłowe Brissendena. — Jest pan zdecydowanym dogmatystą i to jest właśnie w tym wszystkim takie zdumiewające. Głosi pan w formie aksjomatów najświeższe wyniki, które nauka zdołała ustalić dopiero w drodze żmudnych rozumowań indukcyjnych. Jednym skokiem osiąga pan od razu trafne wnioski. Korzysta pan ze skrótów wprost nieprawdopodobnych. Toruje pan sobie drogę do prawdy w jakiś ponad rozumowy sposób, i to z szybkością światła.

— Tak, to właśnie bardzo niepokoiło Ojca Józefa i Brata Duttona — odrzekł Brissenden. — O nie, nie jestem kimś nadzwyczajnym — dodał. — Po prostu szczęśliwy przypadek zrządził, że kształciłem się w szkole katolickiej. A pan skąd czerpał swoje wiadomości?

Martin, opowiadając mu o sobie, jednocześnie pilnie obserwował Brissendena, poczynając od jego długiej, wąskiej, arystokratycznej twarzy i spadzistych ramionach, a kończąc na przerzuconym przez poręcz sąsiedniego fotela płaszczu, którego kieszenie porozpychane były i wydęte przez często noszone w nich książki. Twarz i długie, wysmukłe ręce Brissendena były opalone silnie, niemal nadmiernie. Opalenizna ta zdziwiła Martina. Jasne było, że Brissenden nie zalicza się do ludzi spędzających większą część życia pod gołym niebem. Gdzież więc mogło mu się słońce tak bardzo dać we znaki? Coś ważnego i chorobliwego wiązać się musi z tą ogorzałością — pomyślał Martin, nie przestając się uważnie przyglądać szczupłej twarzy o wydatnych kościach i zapadniętych policzkach, ozdobionej orlim nosem tak pięknym i kształtnym, jakiego Martin nigdy dotąd nie widział. Oczy, nieokreślonej, burej barwy, nie odznaczały się szczególną wielkością, lecz na ich dnie żarzył się ogień jakiś, czy

też raczej wyczuć się dawał wyraz przekory i osobliwego kontrastu. Wyzywające, nieposkromione, a nawet surowe jednocześnie, budziły litość. Martin uświadomił sobie, że nie wiadomo dlaczego żal mu się robi Brissendena, lecz jego wątpliwości rozwiały się niebawem.

— Bo trzeba panu wiedzieć, że jestem suchotnikiem — oświadczył po chwili mimochodem Brissenden, który wspomniął już uprzednio o swym niedawnym powrocie z Arizony. — Spędziłem tam parę lat ze względu na zdrowy klimat.

— A nie boi się pan narażać życia w tutejszym klimacie?

— Czy się nie boję?

Powtórzył słowa Martina bez szczególnego nacisku. Martin jednak wyczytał z tej ascetycznej twarzy, że nie ma rzeczy, która by w niej wzbudziła lęk. Oczy zwęziły mu się jak u orła, Martinowi niemal brak było tchu, gdy spoglądał na orli dziób z nozdrzami wydętymi wyzywająco, zuchwale, napastliwie. Musiał przyznać w duchu, że ta twarz jest wspaniała, i krew silniej w nim na ten widok zatętniła. Głośno wyrecytował:

Pod morderczymi ciosami losu Głowa ma krwawi, lecz się nie chyli-

— Lubi pan, jak widzę, Henleya — powiedział Brissenden, a twarz rozjaśniła mu się nagle wyrazem miękkim i dziwnie tkliwym. — Powiniennem się był tego po panu spodziewać. Ach, ten Henley! Dzielna z niego dusza. Wyróżnia się spośród wszystkich współczesnych rymopisów — dziennikarskich wierszokletów — niby gladiator spośród zgrai rzeźniców.

— Nie lubi pan widocznie czasopism — rzucił miękko Martin. — A czy pan je lubi? — odburknięto mu w odpowiedzi z tak dziką pogardą, że Martin aż się zmieszał.

— No cóż... piszę jednak dla nich albo raczej usiłuję pisać

— wyznał wstydliwie.

— To już brzmi nieco lepiej — odparł tamten łagodniej. — Próbuje pan pisać, ale bez widocznego skutku. Szanuję i podziwiam pańskie niepowodzenie. Wiem, co pan pisze. Z łatwością domyślam się, że jest tam pewna przyprawa, która odstrasza czasopisma. Jest nią bezkompromisowość, wydawnictwa zaś nie poszukują towaru tego rodzaju. Potrzebują za to szmiry i bzdur, których, Bóg świadkiem, dostają dosyć, tylko nie od pana.

— Wcale nie przerastam literackiej sieczki — zauważył Martin.

— Przeciwnie nawet... — Brissenden przerwał i bezczelnym wzrokiem powiódł po jawnych dowodach ubóstwa Martina, przechodząc od znoszonego krawatu i postrzępionego kołnierzyka do wyświeconych rękawów oraz lekko przetartych mankietów, a w końcu sięgając wyżej i zatrzymując się dłuższą chwilę na zapadniętych policzkach towarzysza. — Przeciwnie, owa sieczka tak pana przerasta, że nie ma nadziei, aby pan kiedykolwiek osiągnął jej poziom. Widzę, człowieku, że obraziłbym cię zapraszając na kolację.

Martinowi mimo woli krew uderzyła do twarzy. Brissenden zaśmiał się tryumfalnie.

— Człowiek syty nie obraża się o to — zawyrokował.

— Szatan z pana I — rzucił z wściekłością Martin.

— Jak dotąd nie zaprosiłem pana przecież.

— Nie ośmieliłby się pan.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Zapraszam pana teraz. Mówiąc to Brissenden uniósł się z lekka na siedzeniu, jak

gdyby w zamiarze natychmiastowego przeniesienia się do restauracji.

Martin zacisnął mocno pięści, a krew ogłuszająco tętniła mu w skroniach.

— Uwaga, panowie i panie! On zjada je żywcem, zjada je żywcem! — wołał Brissenden naśladując naganiacza, który zachwala na jarmarku cieszącego się lokalną sławą pożeracza węzów.

— Istotnie, gotów bym pana żywcem pożreć — rzekł Martin, obrzucając z kolei zuchwałym wzrokiem wymizerowaną postać towarzysza.

— Tylko że niewart jestem tego.

— Przeciwnie — zastanowił się Martin. — To cały ten incydent niewart jest funta kłaków.
— Wybuchnął nagle serdecznym, zdrowym śmiechem. — Przyznaję, Brissenden, żeś mnie pan wystrychnął na dudka. Fakt, że jestem głodny i że pan to zauważył, jest zupełnie zwykłym zjawiskiem, w którym nie ma nic uciążliwego. Jak pan widzi, choć niby drwię sobie z marnych konwencjonalnych przesądów stada, wystarczy, by pan rzucił mi słowo nagiej prawdy, a natychmiast staję się niewolnikiem tych śmiesznych zwyczajów.
— Uważał się pan za obrażonego — stwierdził Brissenden.
— Z pewnością jeszcze przed chwilą tak było. To skutki nawyków wczesnej młodości. Nasiąkłem wtedy różnymi głupstwami, które aż dotąd jeszcze podważają to, czegom się potem nauczyłem. Jest to coś jakby szkielet w mojej własnej, prywatnej skrytce.
— Ale teraz zamknął ją pan już na dobre?
— O tak.
— Na pewno?
— Na pewno.
— W takim razie pójdziemy coś zjeść.
— Zgoda! — odparł Martin i chciał zapłacić za ostatnią kolejkę resztą drobnych, jakie mu pozostały z dwóch dolarów, dostrzegł jednak, że Brissenden zmusza kelnera do położenia tych pieniędzy z powrotem na stole.
Martin skrzywił się wrzucając monety do kieszeni i w tejże chwili poczuł na ramieniu życzliwą rękę Brissendena.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Już następnego dnia po południu Maria została poruszona widokiem drugiego gościa Martina. Tym razem jednak nie straciła głowy i usadowiła Brissendena w godnym wielkich okazji, uroczystym przybytku swej bawialni.

— Mam nadzieję, że nie pogniewasz się za najście? — zaczął Brissenden.

— Ależ nie, nie, bynajmniej — odrzekł Martin, ściskając gościowi dłoń i wskazując mu jedyne w swej izdebce krzesło, sam zaś kierując się w stronę łóżka. — Ciekawe, jak dowiedziałeś się, gdzie mieszkam.

— Zadzwoiłem do Morse'ów, a do telefonu podeszła panna Morse. I oto jestem. — Sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl z niej ciekawą książeczkę, którą rzucił na stół. — To jest dzieło poety. Przeczytaj je i zachowaj sobie. — Kiedy zaś Martin próbował się sprzeciwić, ciągnął dalej: — Na co mi książki? Znów dziś rano miałem krwotok. Nie masz czasem wódki? Rozumie się, że nie. Poczekaj chwilkę.

Wstał i wyszedł. Martin śledził wzrokiem wychudłą postać schodzącą ze stopni ganeczku, a gdy gość odwrócił się, by zamknąć furtkę, zauważył z bolesnym wzruszeniem barki, które kiedyś musiały być krzepkie, teraz zaś pochylały się nad ruiną zapadniętej piersi. Przygotował dwa kubki i zabrał się do czytania tomu wierszy, który okazał się ostatnim zbiorem poezji Henryka Vaughan Marlow.

— Nie ma szkockiej whisky — oświadczył wchodząc Brissenden. — Ten łajdak sprzedaje tylko amerykańską wódkę. Przyniosłem za to całą kwartę.

— Poślę któregoś z malców po cytryny i przyrządzimy sobie smaczny napój — zaproponował Martin. — Chciałbym wiedzieć, ile też Marlow może zarobić na takiej książce? — zapytał wskazując na otrzymany tomik.

— Pewnie z pięćdziesiąt dolarów — brzmiała odpowiedź — choć powinien cieszyć się i wtedy, gdy uda mu się pokryć koszty lub znaleźć wydawcę, który by przejął na siebie ryzyko.

— Nie można zatem utrzymać się z pisania poezji?

Z wyrazu twarzy i tonu głosu Martina przebijało przygnębienie.

— Oczywiście, że nie. Wariat chyba liczyłby na coś podobnego. Wierszoklectwo daje dochód nienajgorszy. Weźmy takiego Bruce'a, Wirginię Spring czy Sedgwicka. Powodzi im się wcale dobrze. Co innego jednak poezja... Czy wiesz, z czego żyje Vaughan Marlow? Uczy w jakiejś szkole dla półgłówków w Pensylwanii, ze wszystkich zaś prywatnych piekiełek taka posada jest chyba najdokuczliwsza. Nie zamieniłbym się z nim, choćby nawet miał pięćdziesiąt lat życia przed sobą. A przecież dzieło Marlowa odbija od całej tandety nowoczesnych wierszydeł jak błądy rubin wśród pęków marchwi. A jakie zbiera recenzje I Niech licha porwie całą tę zgraję podłych karłowi

— Ludzie nie umiejący pisać piszą zbyt wiele o tych, co pisać potrafią — potwierdził Martin.

— Zdumiony byłem stekiem bredni, jakie wypisano o Stevensonie i jego dziele.

— To wampiry i harpie! — warknął Brissenden zgrzytając zębami. — Znam dobrze całe to plemię; o mało go przecież nie zadziobali z całym spokojem, gdy zaczęli analizować i roztrząsać List do ojca Damiana.

— Mierzając go łokciem własnych nieczemnych jaźni — wtrącił Martin.

— O to, to dobrześ to powiedział: kalając plwocinami i błotem Prawdę, Piękno i Dobro, by w końcu poklepać go po plecach ze słowami: „Dobry z ciebie piesek, Azorkul”, Toż to hańba! Ryszard Realf, umierając, nazwał to towarzystwo krzykliwymi sójkami w ludzkim ciele.

— Porywają się z motyką na słońce — podjął żarliwie Martin. — Chcą spętać podgwiezdny lot ludzi wielkich. Napisałem kiedyś ciętą rozprawkę przeciwko krytykom czy raczej recenzentom.

— Pokaż to — żywo poprosił Brissenden.

Martin wygrzebał odbitkę Pyłu gwiazdnego, podczas czytania której Brissenden parsknął z radości, zacierał ręce i aż zapomniał o picciu.

— Przychodzi mi na myśl, że ty sam jesteś jak gdyby drobiną pyłu gwiazdnego, rzuconą między zakapturzonych, ślepych karłów — odezwał się w końcu. — Ten szkic został oczywiście porwany przez pierwsze zaraz pismo, do którego go wysłałeś?

Martin przejrzał kartki swego notesu.

— Odrzuciło go dotychczas dwadzieścia siedem wydawnictw.

Brissenden wybuchnął długim, serdecznym śmiechem, któremu nagle położył kres gwałtowny atak kaszlu.

— Nie będziesz we mnie wmawiał, że nigdy nie próbowałeś swoich sił w poezji? — zapytał schwyciwszy oddech. — Pokaż mi coś z tego.

— Chętnie, ale przeczytasz sobie później — prosił Martin, — Chciałbym jeszcze pogadać z tobą. Zrobię ci paczuszkę, którą będziesz mógł zabrać do domu.

Brissenden wziął z sobą Cykl miłosny oraz Peri i perłą, następnego dnia zaś powrócił witając Martina słowami:

— Daj mi jeszcze!

Brissenden nie tylko zapewnił Martina, że uważa go za prawdziwego poetę, ale wyznał mu, że sam również pisze wiersze. Poezje jego wywarły ogromne wrażenie na Martinie, który nie mógł uwierzyć, że nie starano się ich dotąd wydać.

— A bodajby ich morowe powietrze! — odpowiedział Brissenden, gdy Martin ofiarował się załatwić mu sprawę rozsyłania tych prac do redakcji. — Kochaj Piękno dla niego samego — poradził — a czasopisma zostaw w spokoju. Jeśli mi ufasz, wróć do swych okrętów i swojego morza, Martinie Edenie! Czego tu szukasz w zarażonych i zgniłych miastach ludzkich? Zabijasz sam siebie i z każdym dniem, który tu marnujesz, usiłując splugawić Piękno na użytek sprzedajnych pismaków. Jaki to zwrot przytaczałeś mi wczoraj? Chyba: „Człowiek

ostatnia z efemeryd". Na cóż więc ty, ostatnia z efemeryd, uganasz się za sławą? Gdybyś ją nawet zdobył, zatrujesz się nią tylko. Zbyt jesteś prosty, zbyt żywiołowy i racjonalny, by mogła ci, słowo daję, służyć taka strawa. Życzę ci, byś nigdy ani wiersza nie zdołał sprzedać czasopismom. Piękno jest jedynym panem, któremu warto służyć. Służ mu i poślizgnij się do diabła względem na pospólstwo! Powodzenie! Gdzież, u licha, ono tkwi, jeśli nie w samym twoim sonecie o Stevensonie, który przewyższa Zjawą Henleya, jeśli nie w tym Cyklu miłosnym i morskich poematach?

Radość znajdujesz przecież nie w tym, co uda ci się stworzyć, lecz w samym procesie tworzenia. Nie mów, że jest inaczej. Wiem o tym. I ty sam wiesz także. Piękno sprawia ci ból. Tkwi w tobie jak męka wieczysta, rana nie zagojona czy miecz ognisty. Na co ci to całe zawracanie głowy z czasopismami? Piękno niech będzie jedynym twoim celem. Czemuż miałbyś przetapiać piękno na złoto? I tak ci się to nie uda, nie ma więc się czym przejmować. Choćbyś przez tysiąc lat czytał miesięczniki, nie znajdziesz tam nic, co dorównałoby wartością jednej linijce Keatsa. Machnij ręką na sławę i forszę, zaciągnij się zaraz jutro na statek i wracaj na morze.

— Tu nie o sławę idzie, lecz o miłość — zaśmiał się Martin. — W twoim wszechświecie, jak się zdaje, miłość nie zajmuje poczesnego miejsca; za to w moim Piękno jest pazurem Miłości. Brissenden spojrział nań z politowaniem i z podziwem jednocześnie.

— Jakiś ty jeszcze młody, chłopcze drogi, ach, jaki młody! Wzlecisz na wyżyny, ale skrzydła masz z najcieńszej gazy przetkanej najpiękniejszymi barwami tęczy. Pilnuj, byś ich nie spalił. Choć już i tak je opaliłeś. Na dzień tego Cyklu miłosnego tkwi przecież nie lada jaka kiecka — i stąd cała hańba.

— Poemat czci także i miłość, a nie samą tylko kieckę — zaśmiał się Martin.

— To filozofia szaleństwa — brzmiała odpowiedź. — Zapoznałem się i ja z nią, błędząc w tumanach haszyszu. Strzeż się jednak! Burżuazyjne miasta zabijają cię. Pomyśl tylko o tej norze handlarzy, gdzieśmy się spotkali. Nawet miano robaczywego próchna byłoby dla nich zbyt zaszczytne, w tak skażonej atmosferze nie podobna zachować zdrowych zmysłów. To po prostu poniżające. Nikt spośród tych ludzi nie unika upodlenia: zarówno mężczyźni, jak i kobiety odgrywają rolę ożywionych żołądków, kierowanych odczuciami intelektualnymi i artystycznymi na poziomie małży.

Brissenden przerwał raptownie i bacznie przyjrzał się Martinowi. W nagłym błysku zrozumienia pojął całą prawdę. W wyrazie jego twarzy odbiło się zdumienie pełne grozy.

— I tyś napisał ten wspaniały Cykl miłosny dla niej... dla tej mizernej, przywiedłej samicy! Już w następnej chwili prawa dłoń Martina zacisnęła się niby kleszcze na gardle Brissendena, wstrząsając jego ciałem tak silnie, że aż dał się słyszeć szczeł zębów. Spoglądając mu jednak w oczy, Martin nie dostrzegł ani śladu trwogi; wyzierał z nich tylko chochlik drwiny i zaciekawienia. Martin opamiętał się i cisnął Brissendena na łóżko, rozluźniając jednocześnie uchwyt ręki.

Brissenden dyszał i krztusił się przez chwilę boleśnie, po czym zaczął chichotać.

— Czuję się na wieki twoim dłużnikiem, gdybyś wytrząsała ze mnie resztę życia — rzekł.

— Moje nerwy są ostatnio zupełnie rozklekotane — tłumaczył się Martin. — Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy. Zaraz przygotuję coś do picia.

— Ach, ty grecki atleto! — ciągnął Brissenden. — Nie wiem, czy dość czerpiesz chluby z tego twojego ciała. Jesteś diabelnie silny. Niczym młoda pantera czy podrastający lew. No i za tę krzepę sam musisz płacić.

— Co masz na myśli? — spytał ciekawie Martin podając szklankę gościowi. — Wychył to i nie miej do mnie żalu.

— Chodzi mi... — Brissenden wysączył trunek uśmiechając się z uznaniem. — Chodzi mi o kobiety. Zamęczą cię na śmierć, zresztą i dotąd nie dawały ci spokoju? Już ja wiem, przecież nie urodziłem się wczoraj. Nie próbuj tylko mnie zadusić, bo i tak powiem, co mam na sercu. To niewątpliwie twoja cieleca miłość, ale na drugi raz zrób lepszy wybór, jeśli ci Piękno drogie. Czegóż, na miły Bóg, możesz oczekiwać od burżujskiej córy? Rzuć to czym prędzej! Znajdź sobie jaką bujną, płomienną kobietę, która śmieje się do życia, kpi ze śmierci i kocha, póki czas. Kobiety takie istnieją i z pewnością kochać cię będą z nie mniejszym oddaniem niż małoduszne twory burżujskiego, cieplarnianego życia.

— Małoduszne? — obruszył się Martin.

— A żebyś wiedział, że właśnie tak: małoduszne, powtarzające jak papugi nędzne moralne prawidełka, których je nauczono, a lękające się spojrzeć życiu w twarz. Będą cię kochały, Martinie, nie wątpię, ale zawsze wyżej będą cenić swoje drobne przesady. Tobie zaś potrzeba wspaniałej swobody, obcowania z wolnymi duchami, olśniewających motyli, nie zaś marnych, szarych ciem. Zapewniam cię też, że zbrzydzą ci one jak i wszystkie sprawy z nimi związane, jeśli będziesz miał nieszczęście żyć długo. Ale ci to nie grozi. Nie chcesz wracać do okrętów i do morza, będziesz więc skazany na obijanie się po tych zatrutych miastach, aż zgnijesz do szpiku kości i umrzesz.

— Możesz mnie raczyć kazaniami, ale nie zmusisz mnie do zmiany poglądów — rzekł Martin. — Ostatecznie przemawia przez ciebie jedynie mądrość twego temperamentu, a nie widzę powodu, by mądrość mego własnego temperamentu miała być gorsza od twojej. Różnili się w poglądach na miłość, na czasopisma i na wiele innych rzeczy, lecz mimo to lubili się nawzajem, a ze strony Martina wytworzyło się nawet głębokie przywiązanie. Spotykali się codziennie, przynajmniej na godzinę, którą Brissenden spędzał niezmiennie w ciasnej izdebce Martina. Nie przychodził nigdy bez kwarty wódki, kiedyś zaś razem jedli obiad na mieście, Brissenden pił whisky z wodą sodową przez cały czas posiłku. On też zawsze płacił rachunek za obu i dzięki niemu Martin oswoił się z tajnikami wykwintnej kuchni, napił się po raz pierwszy szampana i poznał uroki wina reńskiego. Brissenden był jednak nadal zagadką. Na przekór ascetycznej twarzy pragnął rozkoszy całą potęgą swej stygnącej krwi. Nie bał się śmierci i z gorzkim cynizmem odnosił się do wszelkich spraw życiowych; mimo to u progu śmierci kochał każdy atom życia. Opanowany był szaloną żądzą doznania wszelkich upojeń „wyżłobienia sobie własnego kącika w tym pyłe kosmicznym, z którego powstał”, jak sam się kiedyś wyraził. Próbował już narkotyków i różnych osobliwych sposobów, byleby poznać nowe dreszcze i nie znane wrażenia. Jak sam wyznał Martinowi, nie pił raz dobrowolnie wody przez trzy dni, aby odczuć potem wyszukaną rozkosz zaspokajania tak wielkiego pragnienia. Kim i czym był w istocie, Martin nie dowiedział się nigdy. Był to człowiek bez przeszłości, który przed sobą miał bliski grób, a dzień dzisiejszy spędzał w gorzkiej i gorączkowej pogoni za uchodzącym życiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Martin stopniowo, lecz stale przegrywał bitwę. Pomimo największej oszczędności dochody z sieczki literackiej nie wystarczały na pokrycie wydatków. Przed Świętem Dziękczynienia musiał jeszcze raz zastawić czarne ubranie i nie mógł przyjąć zaproszenia Morse'ów na obiad. Ruth nie była zachwycona przyczyną jego odmowy, sam Martin zaś popadł niemal w rozpacz. Obiecał jej, że przyjdzie mimo wszystko, że wybierze się do San Francisco i tam w biurze

redakcji „Od Morza do Morza” wygzekwuje należne pięć dolarów, co pozwoli mu odzyskać garnitur.

Rano pożyczył od Marii dziesięć centów. Wolałby pożyczyć tę sumę od Brissendena, lecz ten nieuchwytny osobnik przepadł gdzieś bez wieści. Martin nie widział go już od dwóch tygodni i na próżno łamał sobie głowę doszukując się przyczyn możliwej obrazy. Dzięki dziesięciu centom zdołał przepłynąć promem do San Francisco, a idąc ulicą Targową rozważał, co robić, jeśli zawiodą nadzieje odebrania długu. Nie miałby za co wtedy wrócić do Oakland, w San Francisco zaś nie znał nikogo, kto mógłby go poratować drugą dziesięciocentówką. Drzwi redakcji „Od Morza do Morza” były uchylone i Martin, który chciał otworzyć je szerzej, zatrzymał się nagle, słysząc dochodzący z głębi czyjś donośny głos:

— Nie w tym rzecz, panie Ford (Martin wiedział z korespondencji, że tak właśnie brzmi nazwisko redaktora). Chodzi o to, czy pan ma zamiar zapłacić. Oczywiście gotówką, i to od ręki. Nic mnie nie obchodzi dalsze perspektywy rozwojowe „Od Morza do Morza” ani pańskie zamiary na rok następny. Żądam tylko zapłaty za to, co teraz robię. I powiadam panu bez żartów, że numer gwiazdkowy nie pójdzie do druku, jeśli natychmiast nie dostanę pieniędzy. Żegnam pana. Kiedy będzie pan miał gotówkę, proszę się do mnie zgłosić. Drzwi, silnie pchnięte, otworzyły się na roścież, a wzburzony interesant minął Martina i ruszył dalej korytarzem, mamrocząc pod nosem przekleństwa i zaciskając pięści. Martin postanowił przeczekać chwilę przed wejściem i prawie kwadrans krążył po zakamarkach sieni. Wreszcie chwycił za klamkę i wkroczył do biura. Było to nowe doświadczenie, pierwszy raz w życiu Martin znalazł się wewnątrz redakcji. Bilety wizytowe nie były tu widocznie wymagane, gdyż goniec pośpieszył po prostu do sąsiedniego pokoju z wieścią, że ktoś chce się widzieć z panem Fordem. Wróciwszy, chłopiec nie zadał sobie trudu podejścia do Martina, lecz kiwnął nań z daleka, wskazując drogę do gabinetu kryjącego najświętszy przybytek redakcji. Gdy Martin wszedł do pokoju, uderzył go przede wszystkim okropny nieporządek. Następnie zauważył dość jeszcze młodo wyglądającego człowieka z baczkami, który siedząc przy biurku z zasuwaną pokrywą, badawczo mu się przyglądał. Martin podziwiał spokój rozlany na jego twarzy. Widoczne było, że niedawny zatarg z drukarzem nie wytrącił go bynajmniej z równowagi.

— Jestem... nazywam się Martin Eden — zagaił Martin rozmowę (a najchętniej dodałby zaraz: „I przychodzę po swoje pięć dolarów”).

Były to jednak pierwsze jego odwiedziny u redaktora, więc bał się go zrazić na samym początku zbyt obcesowym zachowaniem. Tymczasem ku jego niemałemu zdziwieniu pan Ford skoczył na równe nogi z okrzykiem: „Co ja słyszę!” i zaczął niezwłocznie ścisnąć oburącz dłoń Martina z oznakami wielkiej serdeczności.— Nie potrafię wyrazić, panie Eden, jak bardzo się cieszę, że pana poznałem. Nieraz zastanawiałem się, jak też pan może wyglądać.

Mówiąc to trzymał Martina na odległość wyciągniętego ramienia i pełnym zyczliwości wzrokiem obserwował „drugi z kolei” garnitur gościa, będący zarazem najgorszym jego ubraniem, postrzępionym i nie nadającym się już do naprawy, mimo iż spodnie zachowały nieskazitelny kant uzyskany za pomocą żelazka Marii.

— Wyznam szczerze, nie przypuszczałem, że pan jest taki młody. Pański utwór wykazuje tyle wszechstronności i siły, taką dojrzałość i głębię myśli! To po prostu arcydzieło; stwierdziłem to już po przeczytaniu kilku początkowych wierszy. Muszę panu opowiedzieć, jak czytałem nowelę po raz pierwszy. Ale nie; przede wszystkim zapoznam pana z personelem redakcji.

Nie przestając mówić pan Ford zaprowadził Martina do głównej kancelarii, gdzie przedstawił go swemu zastępcy, panu White, szczupłemu i wątłemu człowieczkowi, którego dłoń była dziwnie chłodna w dotknięciu, jak gdyby stale cierpiał na przeziębienie, rzadkie zaś faworyty lśniły jedwabistym połyskiem.

— A oto, panie Eden, jest pan Ends, nasz kierownik administracyjny. Tym razem Martin uściśnięła dłoń łysego jegomościa o bystrych oczkach i stosunkowo młodo wyglądającej twarzy, sądząc po tej niewielkiej części, jaką można było dostrzec spod śnieżnobiałej brody, starannie podstrzyżonej ręką jego małżonki, która poza tym w każdą niedzielę zwykła także wygalać kark swego męża.

Trzej panowie otoczyli teraz Martina, wychwalając go na wyścigi tak zapamiętałe, że sprawiało to wrażenie, jak gdyby założyli się, który z nich potrafi przegadać pozostałych. Nieraz dziwiliśmy się, dlaczego nas pan nie odwiedza — rzekł pan White.

— Nie miałem na opłacenie promu, a mieszkam po drugiej stronie zatoki — odparł Martin hardo, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, jak bardzo potrzeba mu pieniędzy.

Zresztą — myślał sobie — moja „odświętna” odzież świadczy chyba i tak dość wyraźnie o mojej nędzy. — Kiedy tylko nadarzała się sposobność, raz po raz wspominał o celu swych odwiedzin. Wielbiciele jego jednał: głusi byli na te wzmianki, pieli natomiast hymny na jego cześć, opowiadając, jakie wrażenie wywarła na nich nowela w pierwszej chwili, co pomyśleli o niej potem oraz jakie jest na ten temat zdanie ich żon i rodzin. Ale ani jednym słówkiem nie zdradzali zamiaru zapłacenia mu za to mistrzowskie dzieło.

— Czy mówiłem już panu, w jakich okolicznościach zapoznałem się z tą nowelą? — zagadnął pan Ford. — Nie, oczywiście, że nie. Otóż wracałem właśnie na zachód z Nowego Jorku, a kiedy pociąg zatrzymał się w Ogden, rozpoczynający swoją zmianę chłopiec z obsługi wagonu przyniósł mi najświeższy numer „Od Morza do Morza”.

Mój Boże! — pomyślał Martin. — Taki podróżuje sobie pulmanowskim wagonem, gdy ja tymczasem głoduję dlatego, że nie przyjdzie mu na myśl wypłacić mi tych głupich pięciu dolarów, które jest winien. — Fala gniewu załała go nagle. Krzywda wyrządzona mu przez ten miesięcznik urosła do rozmiarów góry na wspomnienie straszliwych miesięcy daremnych wysiłków, głodu i wyrzeczeń, teraz zaś na dobitkę odezwał się świeży głód, dotkliwie przywołując na pamięć, że nic nie miał w ustach od wczoraj, kiedy też nie był syty. Na chwilo wściekłość przesłoniła mu oczy czerwonym tumanem. Te kreatury nie zasługiwały nawet na miano zbójów: byli po prostu łotrzykami. Kłamstwami i fałszywymi obietnicami wyłudziło od niego tę nowelę. Ale teraz on im pokaże! Wolę jego opanowało niezłomne postanowienie, że nie opuści tego biura, dopóki nie wydebi swej należności. Pamiętał dobrze, że w przeciwnym razie miałby odciętą drogę powrotu do Oakland. Z trudem się opanował, nie dość szybko jednak, by wilczy wyraz jego twarzy mógł ujść ich uwagi i nic przejąć ich niepokojem. Potoki uprzejmej wymowy przybrały jeszcze na sile. Pan Ford powrócił do zdawania sprawy z pierwszego swego zetknięcia z Dźwiękiem dzwonów, pan Ends zaś jednocześnie usiłował godnie wyrazić zachwyty, jakie tenże Dźwięk dzwonów wzbudził w jego siostrzenicy, piastującej godność nauczycielki w Alameda.

— Teraz wyjaśnię ostatecznie cel mego przybycia — rzekł w końcu Martin. — Jest nim odbiór należności za tę nowelę, która tak bardzo się wszystkim panom podoba. Jeśli się nie mylę, była mowa o pięciu dolarach zaraz po wydrukowaniu.

Pan Ford, którego twarz zajaśniała natychmiast wyrazem radosnej gotowości, sięgnął ręką do kieszeni, po czym nagle zwrócił się do pana Endsa oznajmiając, że zapomniał zabrać z domu pieniędzy. Najwyraźniej wiadomość ta sprawiła panu Endsowi przykrość; Martin zdołał zauważyć odruch, jakim jego ręka zdawała się osłaniać kieszeń u spodni. Nie ulegało wątpliwości, że tam właśnie były pieniądze.

— Niezmiernie mi przykro — rzekł pan Ends — lecz przed niespełną godziną opłaciłem drukarza, oddając mu całą gotówkę. Było może lekkomyślnością z mej strony, że nie opatrzyłem się w większy zapas pieniędzy, ale rachunek nie był jeszcze właściwie płatny, a nagła prośba drukarza, bym mu w drodze wyjątku udzielił zaliczki, zupełnie mnie zaskoczyła. Obaj panowie spojrzeli teraz z nadzieją na pana White, ten jednak zaśmiał się tylko i wzruszył ramionami. On przynajmniej miał czyste sumienie. Objął pracę w miesięczniku „Od Morza

do Morza", żeby się zapoznać z literaturą właściwą temu rodzajowi czasopism; zamiast tego jednak uczył się przeważnie, jak dawać sobie radę z kłopotami pieniężnymi. Wydawnictwo zalegało mu z pensją za cztery miesiące, wiedział zaś dobrze o tym, że pretensje drukarni mają pierwszeństwo przed należnością zastępcy redaktora.

— Głupio się doprawdy składa, panie Eden, że zgłosił się pan do nas w takiej właśnie chwili — zaczął pan Ford z udaną swobodą. — To wszystko przez roztargnienie, zapewniam pana. Powiem panu jednak, co zrobimy. Wyślemy panu czek pocztą jutro z samego rana. Zna pan adres pana Edena, prawda, panie Ends?

Tak jest, pan Ends miał adres zanotowany, czek zaś zostanie z całą pewnością wysłany z samego rana. Martin miał mgliste pojęcie o manipulowaniu czekami w bankach, nie widział jednak żadnego powodu, dla którego czek miałby zostać wystawiony jutro, a nie dzisiaj.

— A więc umawiamy się, panie Eden, że wyślemy panu czek jutro — rzekł pan Ford.

— Pieniądze są mi potrzebne dzisiaj — odparł Martin nieubłagane.

— Niestety zbieg okoliczności... Gdyby pan zjawił się któregośkolwiek innego dnia — przemówił słodko pan Ford, lecz natychmiast wpadł mu w słowa pan Ends, którego świadrujące oczka świadczyły o popędliwości charakteru.

— Pan Ford dostatecznie jasno przedstawił panu sytuację — rzekł oschle — i ja też. Czek zostanie wysłany...

— Ja także wyraziłem się jasno — przerwał mu Martin — a mianowicie oświadczyłem, że pieniądze muszę dostać dziś.

Czuł, że tętno nieco żywiej zaczyna mu pulsować pod wpływem bezczelnego zachowania kierownika administracyjnego, z którego nie spuszczał baczno oka ani na chwilę, zgadując, że w jego to właśnie kieszeni spoczywa gotówka miesięcznika „Od Morza do Morza”.

— Jakież to doprawdy przykre... — zaczął pan Ford.

Ale w tej samej chwili pan Ends odwrócił się niecierpliwie, jak gdyby zamierzał wyjść z pokoju. Jednocześnie Martin skoczył ku niemu i jedną ręką chwycił go za gardło w taki sposób, że śnieżnobiała broda kierownika administracyjnego, zachowując wciąż swą ozdobną falistość, zwróciła się ku sufitowi pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Panowie White i Ford ku swej nieopisanej grozie ujrzeni, jak ich kolega poddany zostaje wstrząsom przypominającym trzepanie astrachańskiego dywanu.

— Wykładaj forszę, czcigodny gascielu rosnących młodych talentów! — zachęcał Martin. — Wykładaj mi ją zaraz, bo inaczej sam ją z ciebie wytrząsnę, choćby to były same miedziaki.

— Zwracając się zaś do obu przerażonych widzów dodał jeszcze: — A wy nie pętajcie się lepiej za blisko, bo też możecie oberwać.

Pan Ends zaczynał się już dławić i dopiero po zelzeniu chwytu Martina zdolny był wyrazić zgodę na realizację programu dobrowolnego wykładania forsy. Po wielokrotnym zagłębieniu roki okazało się, że kieszeń jego spodni zawierała łącznie cztery dolary i piętnaście centów.

— Wywróć ją do góry dnem — rozkazał Martin. Wypadło jeszcze dziesięć centów. Martin dla upewnienia

się przeliczył powtórnie wyniki połowu.

— Teraz na pana kolej! — krzyknął do pana Forda. — Brak mi jeszcze siedemdziesięciu pięciu centów.

Pan Ford, nie czekając dłużej, sam przetrząsnął kieszenie, z których wydobył sześćdziesiąt centów.

— Czy to aby na pewno wszystko? — zapytał groźnie Martin, biorąc w posiadanie zebraną sumkę. — A co pan tam ma w kieszeniach kamizelki?

Na dowód swej rzetelności pan Ford wywrócił dwie kieszonki. Na podłogę wypadł z jednej z nich kawałek tektury. Redaktor podniósł go i chciał schować z powrotem, lecz Martin zawołał:

— A to co? Bilet na prom? Akurat mi się przyda. Wart jest dziesięć centów i tyleż zapiszę na pańskie dobro. Dostałem więc ogółem, łącznie z biletem, cztery dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów. Należy mi się jeszcze pięć centów.

Straszliwy wzrok, jakim spojrzął na pana White, zdziałał, że to wątle -stworzenie wręczyło mu żądany pieniążek.

— Dziękuję — rzekł Martin zwracając się do całej trójki. — Życzę panom miłego spędzenia wieczoru.

— Zbój! — sarknął za nim pan Ends.

— Złodziejaszki! — odrzucił Martin zatraskując za sobą drzwi.

Był w świetnym humorze, tak dalece, iż przypomniawszy sobie, że „Szerszeń” winien mu jest piętnaście dolarów za Peri i perię, postanowił niezwłocznie wyegzekwować tę sumę. Personel redakcyjny „Szerszenia” składał się jednak z gromady młodych ludzi, gładko wygolonych i zbudowanych na schwał, cwanych rabusiów, łupiących wszystko od wszystkich, nie wyłączając samych siebie nawzajem. Toteż po częściowym zdemolowaniu biura, redaktor (były atleta akademicki), dzielnie wspomagany przez kierownika administracyjnego, akwizytora ogłoszeń i woźnego, zdołał wypchnąć Martina z lokalu i nadając mu pewne przyśpieszenie zrzucić z pierwszej kondygnacji schodów.

— Proszę o nas nie zapominać, panie Eden; zawsze będziemy panu radzi — słychać było z góry kpiny.

Martin, pozbierawszy się do kupy, wesoło roześmiał się.

— Fiu, fiu! — gwizdnął w odpowiedzi. — Tamta hołota z „Od Morza do Morza” to niedołęgi, a z was znów same asy zapaśnictwa.

Dalsze wybuchy śmiechu powitały te słowa.

— Muszę stwierdzić, panie Eden — krzyknął w dół redaktor „Szerszenia” — że jak na poetę sprawia się pan wcale, wcale... Gdzie się pan nauczył tego prawego sierpowego, jeśli wolno spytać?

— Tam, gdzie pan swego półmelsona — odparł Martin. — W każdym razie oko będzie pan miał podbite.

— Mam nadzieję, że kark panu nie zeszywnieje — odezwał się życzliwie redaktor. — A co pan na to, żebyśmy tak całą kompanią poszli to zapić?... Oczywiście nie tyle kark, co tę małą chryję.

— Zgoda! Choćby na mnie wypadło płacić — odpowiedział Martin.

Tak więc złodzieje trącili się z okradzionym i ustalili zgodnie, że zwycięstwo przypada silniejszym, wobec czego słuszną jest rzeczą, aby suma piętnastu dolarów za Peri i i perle uznana została za własność redakcji „Szerszenia”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Artur został przy furtce, Ruth zaś weszła sama na schodki wiodące do mieszkania Marii. Do uszu jej dochodziło szybkie terkotanie maszyny, kiedy zaś weszła do pokoju Martina, zastała go nad ostatnią stronicą świeżego rękopisu. Chciała się upewnić, czy narzeczony na pewno przyjdzie na obiad w Święto Dziękczynienia; zanim jednak zdążyła poruszyć tę sprawę, Martin zaczął mówić o tym, co go obecnie pochłaniało.

— Pozwól, że ci to przeczytam — zawołał oddzielając poszczególne kopie i doprowadzając do porządku czystopis. — To ostatnie moje dzieło, inne niż wszystko, co stworzyłem dotychczas. Tak dalece odrębne, że aż się boję, ale chyba naprawdę dobre. Zechciej osądzić sama. Dzieje się na Hawajach. Nazwałem nowelę Wiki-Wiki.

Twarz Martina płonęła twórczą radością, choć Ruth drżała w zimnej izdebce i przy powitaniu wzdrygnęła się od chłodu jego dłoni. Słuchała uważnie lektury, a Martin, choć od czasu do czasu dostrzegał na jej twarzy jedynie oznaki niechęci, zapytał po skończeniu:

— A więc szczerze, co o tym sądzisz?

— Ja... doprawdy sama nie wiem — odpowiedziała. — Czy myślisz, że znajdziesz na to kupca?

— Obawiam się, że chyba nie — wyznał otwarcie. — To za mocne dla czasopism. Ale za to prawdziwe, ręczę, że prawdziwe

— Po cóż jednak upierasz się pisać rzeczy, na które, jak sam wiesz, nie ma popytu? — ciągnęła dalej nieubłaganie. — Pisziesz przecież dlatego, żeby mieć z czego żyć, czy nie tak?

— Oczywiście. Ale ta nieszczęsna historia wzięła mnie siłą. Nie mogłem się jej oprzeć. Domagała się bezwzględnie napisania.

— A czemu tej postaci, którą nazwałeś Wiki-Wiki, każesz mówić takim ordynarnym językiem? To przecież musi razić twych czytelników i dlatego redaktorzy mają niewątpliwie słuszną nie przyjmując twoich prac.

— Bo rzeczywisty Wiki-Wiki tak właśnie by się wyrażał.

— Przecież to nie jest w dobrym tonie.

— Za to zgodne z życiem — odparł śmiało Martin. — Jest rzeczywiste! Jest prawdziwe! A ja muszę opisywać życie tak, jak je widzę.

Ruth nie odpowiedziała i na dłuższą chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie. On nie rozumiał jej dość dobrze dlatego, że ją kochał, ona zaś nie mogła go zrozumieć, ponieważ stał się tak wielki, iż zdecydowanie przerastał jej myślowe horyzonty.

— Udało mi się w końcu ściągnąć należność z miesięcznika „Od Morza do Morza” — odezwał się Martin, skierowując z wysiłkiem rozmowę na mniej drażliwe tory. Na wspomnienie zdobnej w bokobrody trójcy redakcyjnej, oburzonej stratą czterech dolarów dziewięćdziesięciu centów i biletu na przejazd promem, nie mógł powstrzymać lekkiego chichotu.

— A więc przyjdiesz do nas! — zawołała radośnie. — Jestem tu specjalnie po to, żeby się upewnić.

— Czy przyjdę? — szepnęła z roztargnieniem. — A dokąd?

— No przecież do nas, jutro na obiad. Mówiłeś, że wykupisz ubranie, jeśli uda ci się wy dostać tę sumę.

— Zapomniałem o tym zupełnie — rzekł pokornie. — Bo widzisz, dziś rano dozorca zajął Marii dwie krowy i cielę, no i... jednym słowem, tak się złożyło, że Maria była bez grosza i ja musiałem wykupić za nią te zwierzęta. Poszła na to cała zdobyta od redakcji suma pięciu dolarów, czyli innymi słowy, Dźwięk dzwonów przeniósł się do kieszeni dozorca. — Nie przyjdiesz więc? Martin spojrzał na swoje ubranie.

— Niestety, nie mogę.

W błękitnych oczach Ruth zabłysły łzy rozczarowania i wyrzutu, nie odezwała się jednak ani słowem.

— W następne Święto Dziękczynienia zaprowadzę cię na obiad do Delmonico — rzekł Martin wesoło — albo spędzimy je w Londynie, w Paryżu lub gdziekolwiek zapragniesz. Wiem, że tak będzie!

— Czytałam w gazecie parę dni temu — oświadczyła nagle — że powołano kilku nowych urzędników do kolejowej obsługi poczty. Miałaś tam pierwszą lokatę, jeśli się nie mylę?

Martin zmuszony był przyznać, że otrzymał wezwanie, ale nie zgłosił się. — Byłem... a raczej jestem najzupełniej pewny siebie — zakończył. — Od dziś za rok będę zarabiać więcej niż dwunastu urzędników pocztowych razem wziętych. Poczekaj tylko, a przekonasz się sama. — Ach, tak! — rzekła tylko, gdy skończył. Wstała i zaczęła wciągać rękawiczki. — Muszę już iść. Artur czeka.

Wziął ją w ramiona i ucałował, ona jednak biernie przyjęła pieszczotę. Nie było w niej żarliwości, jej ramiona nie otoczyły go, wargi zaś poddawały się pocałunkom bez zwykłego oddania.

Gniewa się na mnie — pomyślał wracając od furtki. — Ale dlaczego? Pewnie, że fakt zajęcia krów Marii był niemiłym zdarzeniem, ale to zwykły przypadek. Nikt nie był tu winien. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógł inaczej postąpić. Jeśli można by mu cokolwiek zarzucić, rozważał, to chyba tylko w związku z odrzuceniem posady na kolei. A w dodatku nie podobało się jej Wiki-Wiki.

Przy schodkach ganku zawrócił, by odebrać pocztę od listonosza odbywającego swój popołudniowy obchód. Wiecznie żywa gorączka oczekiwania ogarnęła znów Martina, kiedy wziął do ręki pęk długich kopert. Wśród nich spostrzegł jedną o innych wymiarach. Była krótka i cienka, opatrzona z jednej strony nagłówkiem i adresem „Przeglądu Nowojorskiego”. Martin otwierając kopertę zastanowił się chwilę. Nie mogło to być zawiadomienie o przyjęciu utworu do druku, gdyż wydawnictwu temu nie posyłał żadnych prac. A może — tu serce zamarło w nim niemal na tak śmiałą myśl — może chcą zamówić u niego artykuł. Pomyśl ten jednak natychmiast odrzucił jako bezwzględnie nieprawdopodobny.

Było to krótkie formalne pismo, podpisane przez kierownika biura, donoszące, że do redakcji wpłynął anonim, który niniejszym przesyła się zainteresowanemu z zapewnieniem, iż wydawnictwo „Przegląd” nic przywiązuje nigdy najmniejszej wagi do tego rodzaju bezimiennych wypowiedzi.

Załączony list, jak to Martin zauważył, napisany był niewprawnie, pismem naśladowującym druk i zawierał stek nedorzecznych napaści na Martina oraz oświadczenie, że „tak zwany Martin Eden”, proponujący czasopismom kupno swych nowel, nie jest wcale pisarzem, gdyż w rzeczywistości trudni się wykradaniem ze starych pism utworów, które przepisuje na maszynie i rozsyła jako własne. Koperta nosiła pieczętkę pocztową z San Leandro. Martin bez najmniejszego trudu domyślił się, czyje to dzieło. Składnia, sposób wyrażania się i swoiste chwytmy myślowe pana Higginbothama przebiegały z każdego zdania. Z całej treści widać było, że list wyszedł nie spod delikatnych palców Włocha, lecz spod prostackiej łapy szwagra Martina, sklepikarza. Ale dlaczego, Martin nie mógł zrozumieć. Jaką krzywdę wyrządził kiedykolwiek Bernardowi Higginbothamowi? Pomyśl był tak bezsensowny, że aż niesamowity. Nie było sposobu wytłumaczenia go. W ciągu tygodnia jeszcze z tuzin podobnych listów nadeszło do Martina z redakcji różnych czasopism wychodzących na wschodzie kraju. Martin musiał przyznać, że redaktorzy zachowali się przyzwoicie. Był przecież dla nich osobą najzupełniej obco, a mimo to kilku okazało mu wyraźną sympatię. Jasne było, że brzydzą się anonimami. Przekonał się, że złośliwa chęć zaszkodzenia mu spaliła na panewce. Jeśli cokolwiek wynikać dlań mogło z całej tej sprawy, to raczej chyba korzyść, bo przynajmniej szereg redaktorów zapoznało się z jego nazwiskiem. Może kiedyś w przyszłości, czytając nadesłany utwór, przypomną sobie, że autorem jest ten, w którego sprawie otrzymali ongiś złośliwy anonim. I kto wie, czy to nie przechyli choć trochę szali na jego stronę, przesądzając w końcu

o przyjęciu pracy?

W tym mniej więcej czasie Martin bardzo spadł w opinii Marii. Któregoś ranka zastał ją w kuchni jęczącą z bólu, osłabioną aż do łez i daremnie usiłującą uporać się z odprasowaniem dużej partii bielizny. Martin szybko zdecydował, że to grypa, zastosował więc grzaną wódkę (resztki z butelek przynoszonych przez Brissendena) i kazał chorej położyć się do łóżka.

Maria jednak opierała się. Prasowanie musi być koniecznie skończone i bielizna oddana jeszcze tego samego wieczoru, bo w przeciwnym razie siedmioro małych, głodnych Silvów nie będzie jutro miało co jeść.

Ku wielkiemu zdziwieniu Marii (było to zdarzenie, o którym nie przestała opowiadać aż do końca życia) Martin Eden schwycił wtedy stojące na piecyku żelazko i rzucił stojącą bluzeczkę na deskę do prasowania. Była to najlepsza odświętna bluzka panny Kate Flanagan, która w całym otoczeniu Marii cieszyła się sławą osoby najpiękniej i najwytworniej się ubierającej. Wspomniana panna Flanagan zaznaczyła też z naciskiem, że owa bluzka musi być odniesiona dziś jeszcze. Jak wszystkim było wiadomo, spędzała ona wiele czasu z kowalem Johnem Collinsem. Maria zaś dowiedziała się w zaufaniu, że panna Flanagan i pan Collins wybierają się nazajutrz razem na zabawę do parku Za Żółtą Bramą. Maria na próżno usiłowała odebrać Martinowi cenny strój. Słaniając się na nogach, dała mu się w końcu zaprowadzić siłą do krzesła

i usiadłszy spoglądała wybałuszonymi oczyma na dalszy bieg wydarzeń. I oto w czterokrotnie krótszym czasie, niż sama by na tę czynność zużyła, bluzka została wyprasowana doskonale. Maria musiała lojalnie przyznać, że sama nie zrobiłaby tego lepiej. — Mógłbym to skończyć znacznie szybciej — tłumaczył się — gdyby wasze żelazka były gorętsze.

Tymczasem Maria nigdy się nie odważyła używać tak silnie nagrzaných żelazek, jakimi przed chwilą posługiwał się Martin.

— Skraplacie całkiem niewłaściwie — zaczął narzekać Martin. — Pozwólcie, że wam pokażę, jak należy to robić. Konieczne jest ciśnienie. Kto chce prędko prasować, musi skraplać pod ciśnieniem.

Tu wywłócił spod stosu drewna w piwnicy skrzynkę, dopasował do niej pokrywę i przyciągnął stare żelastwo, które plemię Silvów zbierało dla handlarza odpadków. Następnie ułożył w skrzynce partię świeżo skropionej bielizny, przycisnął pokrywę i obciążył z wierzchu żelastwem, dzięki czemu czynności przygotowawcze zostały w całości pomyślnie ukończone.

— Teraz popatrzcie uważnie — rzekł Martin, po czym zdjął wierzchnią odzież i chwycił żelazko, które jak sam stwierdził, było tym razem „prawdziwie gorące”.

— A kiedy już skończył z prasowaniem, wziął się z kolei do prania wełny — opowiadała potem kumoszkom. — Powiada do mnie: „Wy, Mario, nie macie o tym pojęcia. Ja was nauczę, jak się pierze wełnę”. No i nauczył mnie, dalibóg ! W jakie dziesięć minut zbudował maszynę: becza, oś od starego koła, dwa krążki i na tym koniec.

Martin posłużył się przyrządem wymyślonym przez Joego w Shelly przy Gorących Źródłach. Starą oś, umocowaną u końca drążka, a połączoną ze sprężynowym uchwytem przytwierdzonym do kuchennych belek sufitowych, zanurzało się w beczie, uciskając złożone tam wełniane sztuki. Dzięki temu urządzeniu można je było należycie ugnieść jedną ręką.

— Jużem nigdy więcej sama nie prała wełny — kończyła niezmiennie swe opowiadanie. — Każę po prostu dzieciakom robić drągiem i oską w beczie. Sprytny chłop z tego pana Edcna! Niemniej jednak wskutek swej mistrzowskiej umiejętności prasowania i pomysłowemu ulepszeniu jej domowej pralni Martin ogromnie stracił w oczach Marii. Nimb romantyczności, który go dotąd otaczał w jej wyobraźni, rozwiął się nagle w bezlitosnym świetle faktu, iż kiedyś zarabiał na życie praniem. Mnóstwo książek oraz wspaniali goście zajeżdżający w powozach lub znoszący niezliczone ilości butelek wódki — wszystko to przestało wchodzić w rachubę. Był przecież w gruncie rzeczy zwykłym robotnikiem, członkiem jej własnej sfery i kasty. Stał się przez to bliższy jej i bardziej ludzki, ale utracił urok tajemniczości.

Odsunięcie się całej rodziny od Martina trwało nadal. Wkrótce po niewytłumaczonym wyburku pana Higginbothama również i pan Herman Schmidt pokazał, co potrafi. Pomyślna sprzedaż kilku opowiadań, pewnej ilości wesołych wierszyków i paru żartów przyniosła

Martinowi chwilowe złudzenie dobrobytu. Nie tylko zdołał częściowo spłacić długi, ale pozostało mu nawet tyle, że mógł odzyskać czarne ubranie i rower. Potrzebna była drobna naprawa w związku z wygięciem jednego z pedałów, wobec czego Martin, powodowany życzliwością dla przyszłego szwagra, posłał rower do warsztatu Schmid-ta.

Tego samego dnia po południu Martin miło był zdziwiony widząc, że jakiś mały chłopiec odprowadził mu rower z powrotem. Widocznie Schmidt też postanowił być uprzejmy — pomyślał Martin na widok tej niecodziennej grzeczności. Po odbiór naprawionego roweru należało bowiem zwykle zgłaszać się samemu. Obejrzawszy jednak rower dokładnie, przekonał się, że żadnych napraw nie dokonano. Nieco później, kiedy zadzwonił do narzeczonego siostry, dowiedział się, że osobistość ta nie chce mieć z nim nic do czynienia „w żadnym wypadku, pod żadnym pozorem i bez względu na okoliczność”.

— Hermanie Schmidt — odrzekł Martin wesoło — mam wielką ochotę wybrać się do ciebie i przetrącić ci ton twój szwabski nos!

— Jak tylko się pokażesz w mojej pracowni — brzmiała odpowiedź — zaraz poślę po policję. I potrafię dać ci się we znaki. Znam cię dobrze, ale ze mną nie udadzą ci się żadne awantury. Z takimi jak ty gagatkami nie chcę mieć nic wspólnego. Jesteś darmozjadem, ale ja się nie dam nabrać. Nie pozwolę się naciągać dlatego tylko, że się żenię z twoją siostrą. Dlaczego nie bierzesz się do pracy i nie zarabiasz uczciwie na życie, co? Odpowiedz mi na to! Martin dzięki swemu filozoficznemu spokojowi zdołał opanować gniew i zawiesił słuchawkę z przeciągłym gwizdem zdziwienia i rozbawienia. Po chwilowej wesołości nastąpiła jednak reakcja i ogarnęło go gorzkie poczucie osamotnienia. Nikt go nie rozumiał, nikomu chyba na nim nie zależało prócz jednego tylko Brissendena, a i ten ostatnio przepadł. Bóg raczy wiedzieć, gdzie się ten człowiek podziewa.

Zapadł zmierzch, gdy Martin opuścił owocarnię, kierując się do domu ze sprawunkami w rękę. Właśnie na rogu zatrzymał się wóz tramwajowy, na widok zaś wychodzącej zeń dobrze znanej chudej postaci serce zabiło mu radośnie. Był to Brissenden, a w krótkiej chwili, zanim wóz ruszył dalej, Martin zauważył obie kieszenie płaszcza, z których jedna była wypchana książkami, z drugiej zaś, nie mniej pękatej, wyglądała okazała butelka whisky.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Brissenden nie tłumaczył swej długiej nieobecności, Martin zaś o nic nie pytał. Wystarczyło mu, że widział trupioblądą twarz przyjaciela za obłokiem pary unoszącym się z kielicha grzanej wódki.

— I ja również nie próżnowałem — oświadczył Brissenden po wysłuchaniu sprawozdania Martina z ostatnio dokonanych prac.

Wydobył rękopis z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał go Martinowi, który przeczytawszy tytuł, ciekawie podniósł oczy. — No i widzisz — zaśmiał się Brissenden. — Dobry tytuł, co? Efemeryda — jedyne słowo. A zawdzięczam je tobie, coś tyle mi naopowiadał o tym „człowieku”, który jest zawsze istotą wyprostowaną, ożywioną materią nieorganiczną, ostatnią z kolei efemeryda, ginącą, skoro tylko jej temperatura przekroczy niewielką skalę wyznaczoną na termometrze. Nabiłem sobie tym stworzeniem głowę i musiałem to napisać, żeby się uwolnić. Powiedz mi, co o tym myślisz.

Twarz Martina, zarumieniona z początku, zbladła w miarę czytania. Było to istne arcydzieło sztuki. Forma zatryumfowała nad treścią, jeśli tryumfem formy nazwać można okoliczność, iż każda najmniej uchwytna drobina tworzywa znalazła wyraz w budowie tak doskonałej, że Martin pod jej wrażeniem poczuł rozkoszny zawrót głowy, w oczach zakręciły mu się gorące łzy, a po plecach przebiegać zaczęły chłodne dreszcze. Był to długi poemat o sześciuset czy siedmiuset wierszach,

utwór fantastyczny, zdumiewający i zgoła nieziemski. Było to przerażające i nieprawdopodobne, a jednak przecież istniało w postaci znaków wypisanych czarnym atramentem na białych kartkach papieru. Mowa tu była o człowieku i najistotniejszych drganiach jego duszy, chwytnych na gorąco przez zgłębianie bezdennych otchłani, w pogoni za tonącymi w oddali słońcami i widmowymi majakami tęczy. Była to obłąkana gra wyobraźni szalejąca w mózgu umierającego człowieka, którego oddech zdawał się szlochać, a gasnące tętno trzepotało w szale dzikiego pośpiechu. Majestatyczny rytm poematu godnie harmonizował z beznamiętnym zgiełkiem międzygwiazdnych zmagani, z natarciem hufców ciał niebieskich, z pędem słońc wygasłych i wybuchem mgławic w mrocznej pustce, poprzez to wszystko zaś, nieustannie, choć słabo, na kształt srebrnego czółenka snuje się cienki, zawodzący głos człowieka, niby mizerny, żałośliwy świegot wśród grzmotu wirujących planet i rozsypanych się konstelacji.

— Nie znam nic podobnego w literaturze — rzekł Martin, gdy wreszcie odzyskał zdolność mówienia. — To cudowne! Wspaniałe! Uderzyło mi do głowy. Czuję się wprost pijany. Ów wielki problem spraw nieskończenie drobnych wyżera się w nasze myśli na zawsze. Ten wieczyście badawczy, uporczywie powracający cichy i pełen skargi głos człowieczy dzwoni mi ciągle w uszach. Przypomina marsz żałobny komara pośród trąbienia słoni i ryku lwów, przedstawia nienasycony głód maleńkiej istoty. Wiem, że głupstwa tu wygaduję, ale ta rzecz przejęła mnie do głębi. Jesteś... sam już nie wiem... jesteś wspaniała i tyle. Ale jak ty to robisz? Jak ty to robisz?

Martin przerwał na chwilę swój hymn pochwalny, ale zaraz wybuchnął na nowo:

— Już nigdy nie ośmielę się pisać! Nadaję się tylko do lepienia nieudolnych garnków. Ty dopiero pokazałeś mi, jak wygląda praca prawdziwego rzemieślnika-artysty. To jest genialne! Więcej niż genialne. To przerasta miarę geniuszu. To prawda, która oszalała. Człowieku, toż z każdego twego słowa bije prawda! Nie wiem, czy sam zdajesz sobie z tego sprawę, ty dogmatysto! Nauka nie może zadać ci kłamu. To jasnowidzenie wieszczą, wydarte czarnym mocem wszechświata i splecione z potężnymi rytmemi dźwięku w skończony, przepyszny obraz piękna. A teraz nic już więcej nie powiem. Jestem zmiażdżony, zdruzgotany. A jednak jeszcze coś muszę ci powiedzieć: pozwól, bym się zajął znalezieniem wydawcy dla tego utworu.

Brissenden uśmiechnął się.

— Nie znajdziesz pod słońcem czasopisma, które by ośmieliło się to opublikować... Sam wiesz o tym.

— Nic podobnego! Przeciwnie, sądzę, że nie ma pod słońcem czasopisma, które nie porwałoby tego z radością. Nie co dzień zdarza się otrzymywać tego rodzaju dzieła. To przecież nie tylko najlepszy utwór roku, to najwybitniejszy poemat całego stulecia!

— Czy pozwolisz, bym cię trzymał za słowo?

— No, no, nie bądź cyniczny — odparł Martin. — Redaktorzy czasopism nie są znów aż tak beznadziejnie głupi. Wiem coś o tym. I mogę się z tobą założyć. Stawiam, ile chcesz, że Eiemeryda zostanie przyjęta już przy pierwszej lub najdalej przy drugiej próbie.

— Jest jeden wzgląd, który nie pozwala mi przyjąć twej propozycji. — Brissenden zatrzymał się chwilę. — Poemat ten ma dla mnie wielkie znaczenie, jest najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek stworzyłem. Wiem o tym dobrze. To moja łabędzia pieśń. Jestem z niej niesłychanie dumny. Uwielbiam ją i jest mocniejsza niż wódka. To spełnienie moich marzeń,

marzeń o wielkości i doskonałości, które śniły mi się wtedy, gdym był jeszcze naiwnym młodzieńcem, pełnym słodkich złudzeń i szlachetnych ideałów. Sen ziścił się teraz, w ostatnim niemal tchu, nie po to, by podeptało go i skalało stado świń. Nie, nie przyjmuję twego zakładu. Ta rzecz należy do mnie. Stworzyłem ją i podzieliłem się nią z tobą jednym. — Pomyśl jednak o całym świecie — naglił Martin. — Zadaniem piękna jest dawanie radości.

— To piękno jest moje.

— Nie bądź samolubem!

Nie jestem. — Brissenden uśmiechnął się spokojnie, jak to zwykł czynić, gdy rad był ze słów, które za chwilę wypłynąć miały z jego wąskich ust. — Jestem równie mało samolubny jak zagłodzony wieprz.

Mirtin na próżno się starał zachwiać postanowieniem przyjaciela, tłumacząc mu, że jego nienawiść do czasopism jest niepoczytalna i fanatyczna, a postępowanie stokroć bardziej zasługuje na potępienie niż czyn owego młodego szaleńca, który spalił świątynię Diany w Efezie. Pod gradem zarzutów Brissenden niewzruszenie pociągał trunek ze szklanki, przyznając Martinowi słuszność we wszystkim z wyjątkiem poglądu na redaktorów czasopism. Nienawiść, jaką ich darzył, nie znała oranie, górując znacznie nad niechęcią Martina.

— Chciałbym, żebyś mi to przepisał na maszynie — rzekł. — Zrobisz to o wiele lepiej niż najwprawniejsza maszynistka. A teraz pragnę ci jeszcze dać dobrą radę. — Z wewnętrznej kieszeni kurtki wydobył gruby zwój. — Oto twoja Hańba słońca. Przeczytałem to nie raz i nie dwa razy, co stanowi najwyższy wyraz uznania z mojej strony. Po tym wszystkim, co mówiłeś o Efemerydzie, wypada mi milczeć. Powiem jedno tylko: gdy Hańba słońca ukaże się w druku, stanie się wielkim sukcesem. Wywoła dyskusję wartą dla ciebie tysiące jako reklama.

Martin roześmiał się.

— Pewnie za chwilę poradzisz mi, bym to wysłał do któregoś z czasopism.

— Nic podobnego; jeśli jednak rzeczywiście chcesz ujrzeć tę rzecz w druku, złóż rękopis w którymś z wielkich towarzystw wydawniczych. Znajdzie się może lektor na tyle szalony czy pijany, że oceni twój utwór przychylnie. Czytałeś wiele dobrych książek. Żywotna ich treść, przetrawiona w mózgu Martina Edena, została wdana w kształty Hańby słońca, a gdy kiedyś Martin Eden stanie się sławny, niemalą część swej sławy zawdzięczać będzie temu dziełu. Musisz więc zna-leżeć na to wydawcę; im prędzej, tym lepiej.

Tego wieczoru Brissenden późno wrócił do domu. Kiedy zaś wchodził na stopnie tramwaju, odwrócił się nagle do Martina i wcisnął mu do ręki mały, drobno złożony kawałek papieru.

— Weź to — rzekł. — Byłem dziś na wyścigach i dobrze mi poradzono, na które konie mam stawiać.

Zadźwięczał dzwonek i wóz tramwajowy ruszył z miejsca, Martin zaś pozostał, nie wiedząc, co zawiera zmięty, zatłuszczony paperek, który trzymał w dłoni. Dopiero rozwinąwszy go we własnym pokoju, przekonał się, że dostał od przyjaciela studolarowy banknot.

Martin bez skrupułów postanowił go zużytkować. Wiedział, że Brissendenowi nigdy nie brak gotówki, a ponadto nie miał żadnych wątpliwości, że własne powodzenie umożliwi mu zwrot tej sumy. Następnego ranka wyrównał wszelkie swe rachunki, wypłacił Marii komorne za trzy miesiące z góry i wykupił z lombardu wszystkie zastawione rzeczy. Następnie kupił prezent ślubny dla Marianny i skromniejsze upominki gwiazdkowe dla Ruth i Gertrudy.

Wreszcie, mając jeszcze sporo pieniędzy w kieszeni, wziął ze sobą do Oakland całe plemię Silvów. Spóźnił się wprawdzie o całą zimę z dotrzymaniem obietnicy, niemniej jednak teraz spełnił ją święcie, zaopatrując w obuwie całą rodzinę, od samej Marii aż do najdrobniejszej spośród jej latorośli. Ponadto wszyscy członkowie plemienia zostali obładowani mnóstwem

trąbek, lalek i najrozmaitszych zabawek oraz licznymi paczkami i torebkami pełnymi cukierków, orzechów i podobnych specjałów.

Wchodząc wraz z Marią na czele tej niezwyklej procesji do cukiernika w poszukiwaniu największego karmelka, jaki został kiedykolwiek zrobiony, Martin natknął się niespodziewanie na Ruth z matką. Pani Morse była wyraźnie zgorzozona, a i Ruth poczuła się dotknięta, jako że przywiązywała niemałą wagę do pozorów, widok zaś jej narzeczonego kroczącego u boku Marii i kierującego całą gromadą małych portugalskich obdartusów nie był bynajmniej zachwycający. Dotkliwiej jednak niż względy estetyczne zabolął dziewczynę rzekomy brak godności i dumy osobistej okazany przez Martina.

Co zaś najsilniej ją ubodło, to wypływający z całego tego zdarzenia niezaprzeczony wniosek, że nie potrafi on nigdy wyzbyć się więzów ze sferą, z której wyszedł. Fakt pochodzenia z warstwy robotniczej już sam przez się był piętnem, lecz bezwstydne chełpienie się nim w oczach świata — jej świata — przekraczało wszelkie dopuszczalne granice. Choć zaręczyny Ruth trzymane były dotychczas w tajemnicy, długotrwała zażyłość obojga młodych nie mogła nie wzbudzić plotek; w cukierni zaś znajdowało się wtedy kilka znajomych osób, spoglądających spod oka z zainteresowaniem na Martina i jego switę. Ruth nie miała w charakterze owego szerszego spojrzenia, jakim odznaczał się jej narzeczone, nigdy też nie umiała wznieść się ponad swe otoczenie. Czuła się upokorzona do głębi, a jej wrażliwa natura wprost dygotała ze wstydu. Kiedy więc Martin w późniejszych godzinach tegoż dnia zjawił się u państwa Morse, uznał za właściwe nie dobywać upominka, który piastował w kieszeni na piersi, i wręczenie go odłożyć do sposobniejszej chwili. Widok Ruth całej we łzach namiętnego żalu i gniewu zaskoczył go. Obraz jej cierpień przekonał go, że postąpił wobec niej brutalnie, choć w głębi duszy nie mógł w żaden sposób zrozumieć, na czym polega jego wina. Nigdy nie przyszło mu do głowy wstydzić się swych znajomych, a wydawało mu się też, że sprawienie przedświątecznej uciechy gromadzie biednych dzieciaków w niczym nie mogło uchybić szacunkowi, jaki winien narzeczonej. Z drugiej strony jednak rozumiał punkt widzenia Ruth, który ona sama mu wyłuszczyła, i uważał go za zwykłą kobietą słabostkę z rodzaju tych, którym ulegają wszystkie bez wyjątku niewiasty, nie wyłączając najlepszych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Chodź ze mną, to ci pokażę sól ziemi — rzekł Brissenden pewnego styczniowego wieczoru. Zjedli razem obiad w San Francisco i doszli właśnie do przystani promu, w drodze powrotnej do Oakland, gdy Brissendenowi przyszło na myśl uraczyć przyjaciela widokiem „soli ziemi”. Zawrócił i pobiegł wzdłuż wybrzeża jak wychudły cień w rozwianym płaszczu. Martin z trudnością dotrzymywał mu kroku. W hurtowni win zaopatrzył się Brissenden w dwa gąsiorki starego portwejnu, po czym, dzierżąc w każdej ręce po jednym, wtargnął do tramwaju idącego na ulicę Misyjną. Martin zaś wskoczył za nim, obładowany kilkoma kwartowymi flaszками whisky.

Gdyby tak Ruth mogła mnie teraz zobaczyć — pomyślał Martin, jednocześnie zachodząc w głowę, jak też wyglądać może obiecana „sól ziemi”.

— Może nie będzie tam nikogo — rzekł Brissenden, gdy wysiedli z tramwaju i zapuścili się w głąb robotniczego getta, ciągnącego się w prawo, na południe od ulicy Targowej. — W takim razie ominęłoby cię to, czego szukasz od tak dawna.

— A o co chodzi, u licha? — zagadnął Martin.

— O ludzi, inteligentnych ludzi, a nie gadatliwe zera, z jakimi rozprawiałeś tyle w owej handlarskiej norze. Ty przeczytałeś sporo książek i czułeś się tam samotny. A ja chcę ci dziś pokazać innych ludzi, którzy także czytali książki — żebyś przestał czuć się osamotniony.

Nie myśl, że zależy mi tak bardzo na ich nie kończących się dyskusjach — dodał Brissenden doszedłszy do następnego narożnika. — Książkowa filozofia nie interesuje mnie. Przekonasz się jednak, że to są ludzie myślący, nie zaś stada bur-żujskiej nierogacizny. Ale musisz uważać, bo przegadają cię na każdy temat pod słońcem.

Mam nadzieję, że zastaniemy tam Nortona — rzucił po chwili zasapany, opierając się Martinowi, który chciał uwolnić go od dźwigania gąsiorków. — Norton jest idealistą, wychowankiem uniwersytetu Harvarda. Ma fenomenalną pamięć. Idealizm doprowadził go do filozoficznej anarchii, a rodzina zerwała z nim. Jego ojciec jest prezesem konsorcjum kolejowego i wielokrotnym milionerem, a syn przymiera głodem we Frisco, redagując anarchistyczny świstek za dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie.

Martin słabo się orientował w San Francisco, a zupełnie nie znał dzielnicy leżącej na południe od Targowej, nie miał zatem pojęcia, dokąd przyjaciół go prowadzi.

— Mów dalej — rzekł. — Opowiedz mi o nich zawczasu. Z czego się utrzymują? Skąd się tu w ogóle wzięli?

— Chciałbym też zastać Hamiltona. Brissenden zatrzymał się na chwilę i postawił gąsiorki, aby dać odpocząć ręką. — Pełne jego nazwisko brzmi Strawn-Hamilton, z kreseczką pośrodku; pochodzi ze starej rodziny z południa kraju. On sam jest włóczęgą, najleniwszym człowiekiem, jakiego znam, choć niby pracuje, czy może raczej stara się pracować, w socjalistycznym sklepie spółdzielczym za sześć dolarów tygodniowo. Ale to przysięgły włóczęga. Przywędrował do miasta nie wiadomo skąd. Kiedyś cały dzień przesiedział o głodzie na ławce, a gdy wieczorem zaproponowałem mu obiad w pobliskiej restauracji, odległej wszystkiego o dwie przecznice, odpowiedział: „Szkoda fatygi, mój stary. Kup mi lepiej paczkę papierosów”. Podobnie jak ty wyznawał Spencera i dopiero Kreis nawrócił go na monizm materialistyczny. Spróbuję wyciągnąć go na dyskusję o monizmie. Norton jest również monistą,

359

lecz — na odmianę — nie uznaje nic prócz ducha. Ten nie da się zapędzić w kozi róg Kreisowi ani Hamiltonowi.

— A któż to jest Kreis? — zapytał Martin.

— Do niego właśnie idziemy. Były profesor wydalony z uniwersytetu, zwykła rzecz. Umysł jego przypomina stalową pułapkę. Zarabia, czym się tylko da. Wiem, że gdy go bieda przyparła, był nawet ulicznym kuglarzem. Skrupułów nie ma żadnych. Gdyby się nadarzyła sposobność, gotów okraść nieboszczyka z całunu lub popełnić każde inne przestępstwo. Od burżuazji tym się tylko różni, że rabuje bez złudzeń. Będzie z tobą gadał o Nietzschem, o Schopenhauerze*, o Kancie, o wszystkim wreszcie, ale jedyna rzecz, która obchodzi go naprawdę — nie wyłączając nawet jego Marty — to monizm *. Haeckel * jest jego uwielbianym bożkiem. Jedyny sposób ubliżenia mu to napaść na Haeckla.

— Otóż i jesteśmy na miejscu. — Przy drzwiach wiodących na górne piętra Brissenden złożył swe gąsiorki, żeby odpocząć przed wspinaczką. Był to pospolity, dwupiętrowy dom narożny, z szynkiem i sklepem spożywczym na dole. — Tutaj mieszka ta banda, zajmuje całą górną część domu. Ale jeden tylko Kreis ma dwa pokoje. Chodźmy dalej.

W sieni na piętrze nie było światła, lecz Brissenden poruszał się w mroku swobodnie, niby opiekuńczy duch domostwa. Zatrzymał się na chwilę, chcąc przemówić do Martina.

— Bywa tu jeszcze jeden gość, Stevens. Teozof na odmianę. Potrafi zdrowo narobić hałasu, kiedy wpadnie w ferwor. Chwilowo jest pomywaczem w jakiejś restauracji. Nie gardzi

dobrym cygarem. Widziałem, jak jadł obiad w dziesięciocen-towej garkuchni, by móc potem wypalić cygaro za pięćdziesiąt centów. Mam dla niego parę dobrych sztuk na wypadek, gdyby się zjawił.

Prócz tego jest tu jeszcze niejaki Parry, Australijczyk, statystyk i chodząca encyklopedia sportowa. Zapytaj go, ile zboża zebrano w Paragwaju w roku 1903 albo ile płótna wywieźli Anglicy do Chin w roku 1890 lub też w jakiej wadze Jimmy Britt pokonał bojowego Nelsona czy wreszcie, kto był w sześćdziesiątym ósmym roku mistrzem Stanów Zjednoczonych w wadze półśredniej — a otrzymasz dokładną odpowiedź wyrzuconą z szybkością automatu. Bywa tu również Andy, kamieniarz, który wygłasza ciekawe sądy na wszelkie możliwe tematy, a poza tym dobrze gra w szachy, oraz piekarz Harry, zapalony socjalista i znany działacz związkowy. Pamiętasz chyba słynny strajk kucharzy i kelnerów? Otóż właśnie Hamilton zorganizował ten związek zawodowy i przyspieszył wybuch strajku, obmyśliwszy wszystko z góry w tym samym mieszkaniu Kreisa. Zajął się całą sprawą najzupełniej bezinteresownie, lecz był zanadto leniwy, aby pozostać na stałe w związku. Ale gdyby tylko chciał, mógłby zająć wysoko. Możliwości miałby wprost nieograniczone, żeby nie to nieprawdopodobne zamiłowanie do próżniactwa.

Brissenden posuwał się w ciemnościach, aż wreszcie zobaczył smugę świetlną znaczącą próg jakichś drzwi. Zastukał; otworzono je i oto Martin witał się już z Kreisem, przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną o olśniewająco białych zębach, zwisającym kruczym wąsie i wielkich, płomiennych, czarnych oczach. Mary, zażywna młoda blondynka, zmywała naczynia w sąsiedniej alkówce, służącej za kuchnię i jadalnię. Pierwszy pokój był jednocześnie sypialnią i bawialnią. Tylko co uprana bielizna z ostatniego tygodnia zwieszała się w malowniczych draperiach tak nisko nad głową, że Martin w pierwszej chwili nie dostrzegł dwu ludzi rozmawiających w kącie. Powitali oni radośnie Brissendena i jego gąsiorki, a po wzajemnym przedstawieniu Martin dowiedział się, że byli to Andy i Parry. Martin przyłączył się do nich i uważnie słuchał opisu spotkania pięściarskiego, które Parry oglądał poprzedniego wieczoru. Brissenden tymczasem poświęcił się całkowicie chlubnemu zadaniu przyrządzania gorącego krupniku oraz częstowaniu winem i whisky z wodą sodową. Na jego komendę: „Zwołać całe bractwo I” Andy wyruszył na obchód wszystkich kawalerek.

— Na szczęście większość paczki jest w domu — szepnął Brissenden do Martina. — Oto Norton i Hamilton. Chodź, to cię z nimi zapoznam. Stevens podobno gdzieś wyszedł. Spróbuję wywołać dyskusję o monizmie. Poczekaj, aż popiją trochę, to się rozgadają. Z początku rozmowa się rwała. Mimo to nie uszła uwagi Martina wyjątkowa sprawność umysłowa tych ludzi. Mieli wszyscy poglądy wyrobione, choć niejednokrotnie sprzeczne, a mimo że rozprawiali błyskotliwie i dowcipnie, nie byli wcale powierzchowni. Martin szybko zauważył, że każdy z nich zwykł poddawać wszelkie poruszane tematy naświetleniu naukowemu i miał pogłębioną jednolitą koncepcję społeczeństwa i wszechświata. Poglądów tych nie przejęli od nikogo w gotowej postaci; wszyscy w ten czy inny sposób byli buntownikami, a ich usta nade wszystko brzydziły się płytkimi komunałami. Nigdy w domu Morse'ów nie spotkał się Martin z tak zadziwiającym doborem tematów. Zdawałoby się, że tylko czas zdoła ograniczyć ich ilość. Rozmowa przenosiła się z ostatniej powieści pani Humphry Ward na ostatnią sztukę Shawa, wędrując poprzez perspektywy rozwojowe twórczości dramatycznej do wspomnień o Mansfieldzie. Chwalono lub krytykowano wstępne artykuły w porannych dziennikach, przeskakiwano od warunków pracy w Nowej Zelandii do Henry Jamesa i Brander Matthews, potracano o ekspansję Niemiec na Dalekim Wschodzie i gospodarcze aspekty żółtego niebezpieczeństwa, przerzucano się na wybory w Niemczech i tekst ostatniej mowy Bebla, by wreszcie przejść do omawiania miejscowych stosunków politycznych, ostatnich projektów i gorszących zajęć w zarządzie związkowej partii pracy, jak również puszczonej w ruch sprężyn mających wywołać

strajk w żegludze przybrzeżnej. Martina zdumiewał u tych ludzi niezwykły zasób poufnych informacji z najrozmaitszych dziedzin. Wiedzieli nawet o tym, czego nigdy nie ogłaszano w gazetach, a więc o tych tajnych niciach i drucikach, za pomocą których ukryte ręce kierowały płasami bezwolnych kukiełek. Ku zdziwieniu Martina Mary również uczestniczyła w rozmowie, przejawiając inteligencję, jakiej nie spotykał dotąd u żadnej z niewielu znanych sobie kobiet. Pogadał z nią o Swinburne'ie i Rossettim, po czym Mary zapuściła się w najzupełniej nie znane mu sprawy, związane z kulisami francuskiego piśmiennictwa. Odegrał się za to, gdy zaczęła bronić Maeterlincka, on zaś mógł wystąpić z gruntownie przemyślanymi tezami Hańby słońca.

Weszło jeszcze kilku mężczyzn, a powietrze gęsto nasiąkło tytoniowym dymem, gdy Brissenden uznał wreszcie za stosowne dać hasło do walki.

— Masz tu świeżą ofiarę dla swego topora, Kreis — rzekł. — Oto młodzian w krasie najgorętszych lat, uwielbiający Herberta Spencera z żarliwością godną kochanka. Zrób z niego wyznawcę Haeckla... jeśli potrafisz.

Kreis jak gdyby się zbudził i zajaśniał niby jakiś silnie na-magnetyzowany metalowy przedmiot. Norton zaś spojrzął na Martina życzliwie, z uśmiechem pełnym dziewczęcej słodyczy, przyrzekając mu niejako najdalej idące poparcie.

Z początku Kreis zwracał się wprost do Martina, stopniowo jednak Norton coraz częściej począł się wtrącać do rozmowy, aż wreszcie obaj z Kreisem skrzyżowali szpady w zaciekłym pojedynku. Martin słuchał i uszom nie wierzył. Czy to możliwe, by coś podobnego zdarzyło się naprawdę, i to jeszcze w sercu robotniczego getta na południe od ulicy Targowej? Książki żyły w ustach tych ludzi. Rozprawiali z żarem i zapalem, a bodziec czysto intelektualny podniecał ich nie mniej silnie, niż innych pobudza wódka czy gniew. To, czego był świadkiem, nie było już tylko filozofią suchego, drukowanego słowa, napisanego niegdyś przez mitycznych niemal półbogów w rodzaju Kanta czy Spencera. Była to żywa filozofia, tętniąca gorącą, czerwoną krwią w żyłach tych dwóch ludzi tak wszechwładnie, że postacie ich stawały się istnym wcieleniem wygłaszanych poglądów. Coraz to ktoś z obecnych przyłączał się do dyskusji, wszyscy zaś śledzili przebieg sporu z papierosami dopalającymi się w dłoniach i wyrazem najwyższego napięcia na twarzy.

Idealizm nigdy nie pociągał Martina, w obecnym jednak ujęciu Nortona brzmiał jak objawienie. Logiczna konsekwencja jego wywodów przemawiała silnie do Martina, choć Kreis i Hamilton byli na nie głusi, szydząc z Nortona jako metafizyka, który znów ze swej strony im właśnie wytykał to samo. Fenomen i noumen * przelatywały z ust do ust.

Nortonowi zarzucano, że usiłuje tłumaczyć świadomość przez nią samą, on zaś wypominał im jałowe przelewanie słów i budowanie teorii na pojęciach zamiast na faktach. Z tym zarzutem nie wiedzieli, co począć; wszak główną cechą ich sposobu myślenia było opieranie się na faktach i nadawanie im nazw.

Kiedy Norton zaczął zagłębiać się w tajniki filozofii Kanta, Kreis przypomniał mu, że wszystkie najszacowniejsze niemieckie koncepcyjki myślowe zwykły po śmierci wędrować do Oxfordu. Nieco później znowu Norton powołał się na prawo oszczędności Hamiltona, którego zastosowanie tamci dwaj od razu chcieli widzieć w każdej własnej czynności rozumowej. Martin ścisnął rękami kolana i nie posiadał się z radości. Jednakże Norton nie był zwolennikiem Spencera i czyhał również na filozoficzną duszę Martina, starając się przekonać go nie mniej usilnie niż obu swych przeciwników.

— Wiecie przecież, że Berkeleyowi * nikt dotychczas nie odpowiedział — mówił patrząc wprost na Martina. — Herbert Spencer najbardziej się do tego zbliżył, lecz i on daleki był jeszcze od istoty sprawy. Nawet najgorliwsi wyznawcy Spencera nie chcą posunąć się ani o krok dalej. Niedawno czytałem rozprawę Saleeby'ego, który ku chwale Spencera nie zdołał nic stwierdzić ponad to, iż nieomal udało mu się odpowiedzieć Berkeleyowi.

— A wiecie, co twierdzi Hume? * — spytał Hamilton. Norton skinął głową, lecz Hamilton i tak powiedział dla informacji reszty towarzystwa: — Oświadczył, że na wywody Berkeleya odpowiedzieć nie sposób, lecz że nie rodzą one przekonania.

— Oczywiście w jego, to jest Hume'a, umyśle — brzmiała odpowiedź. — Ten umysł zaś był podobny do twojego, z tą tylko różnicą, że Hume był na tyle rozsądny, by uznać, iż nie da się zadowalająco odpowiedzieć Berkeleyowi.

Norton był bardzo wrażliwy i pobudliwy, chociaż nigdy nie tracił głowy, natomiast Kreis i Hamilton przypominali okrutnych barbarzyńców, wyszukujących z zimną krwią na ciele przeciwnika takich miejsc, gdzie najdotkliwiej mogliby go zranić. Późnym już wieczorem Norton, dotknięty wielokrotnym zarzutem uprawiania metafizyki i ostatnim wysiłkiem powstrzymujący chęć zerwania się na równe nogi, przypuścił wreszcie generalny szturm na pozycje wroga. Jego szare oczy miały przy tym groźne błyski, a dziewczęca twarz skamieniała i przybrała wyraz niezłomnej pewności siebie.

— A więc zgoda, panowie zwolennicy Haeckla! — wołał. — Oskarżajcie mnie do woli, że rozumiem jak pospolity znachor, ale powiedzcie mi, proszę, jak mam określić wasze własne rozumowanie. Nie macie przecież żadnej podstawy, wy nienaukowi dogmatyści, szermujący pojęciem wiedzy pozytywnej, które pchacie wszędzie tam, gdzie nie trzeba. Już na długo przed powstaniem szkoły monizmu materialistycznego grunt został tak dokładnie przeorany, że nie pozostawiono tam miejsca na żadne podwaliny. A dokonał tego Locke, John Locke*. Przed dwustu laty, a nawet jeszcze dawniej, dowiódł on w swym Studium o rozumie ludzkim, że nie ma idei samoistnych. A co najlepsze, że wy obecnie pragniecie udowodnić ściśle to samo. Raz po raz przecież twierdziliście dziś, że idei samoistnych nie ma.

A co to oznacza? Po prostu to, iż ostateczne poznanie prawdy jest nieosiągalne. Mózgi ludzkie są w chwili urodzenia nie zapisaną kartą. Umysł nie może otrzymać od pięciu zmysłów nic ponad pozorne obrazy zjawisk, czyli fenomeny. Przeto noumeny, których brak w umyśle w chwili urodzin, nie mają tam którądy wtargnąć.

— Nie zgadzam się... — próbował przerwać Kreis.

— Zechciej poczekać, aż skończę — zakrzyczał go Norton. — Tyle tylko można wiedzieć o ruchach i wzajemnych powiązaniach energii i materii, ile w ten czy w inny sposób odbije się w świecie ludzkich zmysłów. Widzicie tu, iż dla dobra rozumowania zgadzam się dopuścić istnienie materii. Zmierzam zaś wprost do tego, by was pobić waszą własną bronią. Nie mogę osiągnąć tego inaczej, ponieważ obaj z urodzenia niezdolni jesteście do zrozumienia filozoficznej abstrakcji.

No a co wiadomo wam o materii dzięki zdobyciom wiedzy pozytywnej? Znacie ją tylko w drodze spostrzegania zjawisk pozornych — owych fenomenów. Zdajecie sobie sprawę jedynie z jej zmian, a raczej z takich zmian, które powodują zmiany w waszej świadomości.

Wiedza pozytywna zajmuje się wyłącznie zjawiskami, wy zaś jesteście na tyle nierozsądni, że chcecie uprawiać ontologię *, w której zakres wchodzić mogą noumeny. Jednakże już z samej definicji wiedzy pozytywnej wypływa ograniczenie jej zasięgu do świata zjawisk. Jak ktoś trafnie się wyraził, wiedza zjawiskowa nie może wykraczać poza zjawiska.

Nie potraficie odpowiedzieć Berkeleyowi, nawet w razie unicestwienia Kanta, a mimo to siłą rzeczy zadajecie Berkeleyowi kłam, utrzymując, że można naukowo dowieść nieistnienia Boga albo — co mniej więcej na to samo wychodzi — istnienia materii... Mówiłem już, że przyjmuję istnienie materii po to tylko, byście mogli mnie zrozumieć. Bądźcie sobie adeptami wiedzy ścisłej, skoro tak wam się podoba; ontologię jednak zostawcie w spokoju, bo w nauce pozytywnej nie ma dla niej miejsca. Spencer ma słuszość głosząc agnostycyzm *, lecz kiedy tenże Spencer...

Zbliżała się już jednak pora odejścia ostatniego promu do Oakland. Brissenden i Martin wymknęli się po cichu, zostawiając Nortona rozprawiającego dalej, podczas gdy Kreis i Hamilton wyczekiwali końca jego przemowy, by rzucić się nań niby para rozjuszonych psów.

— Ukazałeś mi rąbek krainy baśni — rzekł Martin, gdy znaleźli się na promie. — Zetknięcie z tego rodzaju ludźmi nadaje życiu jakąś wartość. Mój umysł jest już przemęczony. Nigdy dawniej nie pochwalałem idealizmu. Zresztą i teraz nie mogę go uznać. Wiesz dobrze, że na zawsze pozostanę realistą. Tak już widocznie zostałem stworzony. Żałuję jednak, że nie zdobyłem się na danie właściwej odprawy Kreisowi i Hamiltonowi, a i Nortonowi też miałbym parę słów do powiedzenia. Nie wydaje mi się, aby Spencer doznał w tej dyskusji jakiegoś uszczerbku. Ale jestem podniecony jak dzieciak, którego pierwszy raz w życiu zaprowadzono do cyrku. Widzę, że wypadnie mi sporo jeszcze poczytać. Przede wszystkim muszę wystarać się o tę rozprawę Saleeby'ego. W dalszym ciągu sądzę, że Spencera podważyć nie sposób, a następnym razem obiecuję sobie wziąć czynny udział w rozmowie. Brissenden jednak nie słuchał go. Ciężko sapiąc drzemał już z brodą wtuloną w szalik i głową opuszczoną na zapadłą pierś, całe zaś jego ciało, spowite w długi płaszcz, trzęsło się rytmicznie w takt śrub okrętowych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Następnego dnia Martin nie miał nic pilniejszego do roboty, jak przeciwstawiając się radzie i rozkazowi Brissendena, Hańbą słońca opakować i wysłać do redakcji „Akropolu”. Uważał bowiem, że utwór ten powinien być przyjęty przez któreś z czasopism, a fakt ten może utworować mu drogę do firm wydawniczych. Efemerydę również zapakował i wyekspediował do jednego z czasopism. Wbrew uprzedzeniu Brissendena, którego nienawiść do wydawnictw periodycznych zakrawała wprost na manię, Martin uznał, że ten wspaniały poemat musi się ukazać w druku. Nie zamierzał jednak ogłaszać go bez upoważnienia autora. Po prostu miał nadzieję wystarać się o przyjęcie go przez jedno z czołowych wydawnictw, a zdobywszy ten argument, wywalczyć z kolei zgodę Brissendena.

Tego ranka Martin zaczął pisać powieść, której plan naszkicował już przed kilku tygodniami i która od tego czasu nie dawała mu spokoju, natarczywie dopominając się wcielenia. Na pozór miało to być barwne opowiadanie morskie, pełne współczesnych romantycznych przygód, zajmujące się rzeczywistymi ludźmi, działającymi w prawdziwym świecie, wśród najzupełniej realnych warunków. Pod powierzchnią tej bujnej fabuły miało się jednak kryć coś więcej, coś, czego przeciętny czytelnik nie byłby zdolny zauważyć i co zresztą w żadnym razie nie obniżało uroku tego opowiadania. To głębsze tło właśnie, nie zaś sama fabuła, przynaglało Martina do napisania powieści. Zawsze tak w jego twórczości bywało, iż szczegóły opowiadania wykwiwały na podkładzie jakiegoś wielkiego tematu o wadze ogólnej. Dopiero po uchwyceniu takiego zasadniczego motywu rozglądał się za właściwymi typami ludzkimi i umiejscowieniem akcji w czasie i przestrzeni, które najlepiej odpowiadałoby wymogom owej istotnej sprawy. Nowe dzieło miało nazywać się *Poniewczasie*, a objętość jego nie powinna przekroczyć sześćdziesięciu tysięcy słów, co wobec wyjątkowej płodności Martina stanowiło drobiazg. Już w pierwszym dniu tworzenia odczuł świadomą rozkosz mistrzowskiego opanowania narzędzi pisarskich. Nie bał się już, że ostre, tnące rylce mogą ośliznąć się i zniekształcić utwór. Długie miesiące wyteżonych wysiłków i studiów nie minęły na próżno. Mógł już teraz spokojnie i bezpiecznie poświęcać się kształtowaniu głównych rysów tworzonego przez siebie dzieła; pracując zaś całe godziny z niesłabnącą energią, czuł

tak silnie, jak nigdy dotąd, że życie i jego sprawy trzyma oto w garści z nieomylną, kosmiczną niejako pewnością siebie. Poniewczasie miało być opowieścią prawdziwą zarówno pod względem postaci jak i zdarzeń. Martin nie wątpił jednak, że poza tym obejmie ona także wielkie prawdy wieczyste, zachowujące swą wartość życiową poprzez wszystkie czasy, na wszystkich lądach i morzach świata.

Zawdzięczam to Herbertowi Spencerowi — myślał w duchu, odsuwając się na chwilę od stołu. — Tak, Spencerowi i tej teorii ewolucji, którą włożył mi do rąk niby klucz otwierający drogę do poznania wszelkich tajemnic życia.

Martin zdawał sobie sprawę, że pracuje nad rzeczą wielką. „Uda się! Musi się udać!” — dźwięczało mu w uszach nieustannie. Nie ulega wątpliwości, że się uda. Nareszcie wziął się do pisania czegoś, o co na wyścigi ubiegać się będą różne czasopisma. Cała powieść jaśniała przed nim w płomiennych rzutach. Oderwał się jednak na chwilę od ciągłości wątku, by w swym podręcznym zeszycie osobno napisać pewien rozdział. Miał to być końcowy ustęp. Poniewczasie, cała bowiem treść utworu rysowała mu się już w myśli na tyle wyraziście, że zdolny był stworzyć zakończenie na całe tygodnie przed doprowadzeniem pracy do kresu. Nie napisaną jeszcze powieść porównywał z fabułami innych morskich opowiadań i utwierdził się w przekonaniu, że góruje nad nimi pod każdym względem.

— Jednego tylko człowieka byłoby stać na coś podobnego — pomyślał na głos Martin — a mianowicie Conrada. Ale nawet i on przeczytawszy to, wyprostowałby się w krzesło i ściskając mi dłoń rzekłby: „Zuch z ciebie, Martin! Dobrześ to, chłopie, zmajstrował!”

Trudził się przez cały dzień i dopiero pod wieczór przypomniał sobie, że jest proszony na obiad do Morse'ów. Dzięki Brissendenowi odzyskał ciemne ubranie i stał się znów godny uczestniczenia w przyjęciach towarzyskich. Wyszedł z domu

o tyle wcześniej, by móc po drodze wstąpić do czytelni i poszukać tam książek Saleeby'ego. Wypożyczył Koło życia

i wsiadłszy do tramwaju odnalazł rozprawę o Spencerze, o której wspominał Norton.

W miarę czytania Martin zapłonął gniewem. Twarz zarumieniła mu się, szczeka zwarła, ręce zaś nieświadomie zaciskał, jak gdyby chciał coraz skuteczniej zgnieść tę obrzydłą rzecz, z której wyduszał życie. Wsiadłszy z tramwaju kroczył po chodniku jak człowiek czymś rozwścieczony, dzwonek zaś u drzwi Morse'ów pociągnął tak gwałtownie, że wytrzeźwiło go to wreszcie, tak że próg domu przekroczył już w dobrym humorze, śmiejąc się sam z siebie.

Skoro jednak tylko znalazł się wewnątrz, opanowało go wielkie przygnębienie. Raptownie spadł z wyżyn, na których utrzymywał się cały dzień, uniesiony na skrzydłach natchnienia.

„Burżuje, handlarska nora” — określenia Brissendena uporczywie dzwoniły mu w uszach.

I cóż z tego? — zapytał sam siebie gniewnie. Żeni się przecież z Ruth, a nie z jej rodziną.

Nigdy jeszcze Ruth nie wydawała się Martinowi tak piękna jak wtedy, tak uduchowiona i powiewna, a jednocześnie tak zdrowa. Policzki miała zaróżowione, a jej oczy przyciągały jego wzrok nieustannie, te oczy, z których po raz pierwszy

wyczytał o nieśmiertelności. Ostatnio nie myślał wcale o nieśmiertelności, gdyż treść naukowych dzieł, które czytał, daleka była od tego tematu. Tu jednak, w oczach ukochanej, znajdował argument przemawiający silniej od wszelkich słownych argumentów. Widział w tych oczach coś, przed czym ustąpić musiał każdy sprzeciw — widział w nich miłość. Ta sama miłość zamieszkiwała również i w jego własnych oczach, a nie było siły, która by zdolna była jej zaprzeczyć. Tak głosiła teoria, której Martin był namiętym wyznawcą.

Pół godziny spędzone z Ruth przed przejściem do jadalni dało mu poczucie pełni szczęścia i zadowolenia z życia. Gdy jednak zasiedli do stołu, ogarnęła go nieuchronna reakcja w postaci silnego wyczerpania, spowodowanego całodzienną ciężką pracą. Zdawał sobie sprawę, że oczy ma zmęczone i że łatwo popada w rozdrażnienie. Przypomniał sobie, że przy tym samym stole, przy którym teraz tak często się nudzi lub drwiąco uśmiecha, siedział niegdyś po raz pierwszy w życiu z cywilizowanymi istotami, w atmosferze, którą uważał za szczyt

kultury i wytworności. Ujrzał przez chwilę ze wzruszeniem samego siebie, jak w tych zamierzchłych czasach w poczuciu własnego nieokrzesania oblewał się siódmym potem z nieustannego, przeraźliwego lęku, łamał sobie głowę nad niezrozumiałym przeznaczeniem tajemniczych przyborów stołowych, cierpiał męki za zbliżeniem się ludożercy-lokaja i daremnie usiłował się wznieść jednym skokiem na zawrotne wyżyny społecznego bytu tych ludzi, by wreszcie zdecydować się na pozostanie samym sobą, nie siląc się na udawanie wykształcenia czy ogłady, których nie posiadał.

Spojrzał na Ruth, szukając w niej oparcia, jak pasażer, który w nagłej panicznej obawie przed zatonięciem statku stara się zapamiętać miejsce przechowywania pasów ratunkowych. Tyle przynajmniej pozostało z tego wszystkiego: miłość i Ruth. Reszta nie zdołała się ostać wobec ogniowej próby książek. Ruth i miłość wyszły zwycięsko z tej próby; znalazł dla nich biologiczne uzasadnienie. Miłość stanowiła najwznioślejszy wykwit życia. Natura po to mozoliła się nad ukształtowaniem go — podobnie jak i wszystkich normalnych ludzi — aby mógł sprostać wymogom miłości. Spędziła nad tym zadaniem dziesięć tysięcy wieków — raczej sto tysięcy czy milion — i oto on jest dziś tym najlepszym wynikiem, na jaki ją było stać. Uczyniła z miłości najpotężniej działający w nim bodziec, zwiększyła ogromnie jej siłę darem wyobraźni, wysłała go w świat znikomości i przemijania, aby w nim tęsknił, pożądał i szukał towarzyszkę. Ręka jego odnalazła dłoń Ruth pod osłoną stołu i przekazała jej gorący, serdecznie odwzajemniony uścisk. Dziewczyna popatrzała nań błyskawicznie oczami promiennymi i gorejącymi. Podobnie zapłonęły i jego źrenice pod wpływem dreszczu, co wstrząsnęła całym jego ciałem; nie wiedział jednak, że promiennosc i żar jej spojrzenia zrodziły się w głównej mierze dzięki temu właśnie wzruszeniu, które biło z jego oblicza. Naprzeciwko Martina, w skos, po prawicy pana domu, siedział sędzia Blount, członek miejscowego Sądu Najwyższego. Martin widywał go już wielokrotnie, ale nie darzył sympatią. Dygnitarz ten rozprawiał o polityce związków zawodowych, o sytuacji lokalnej oraz o socjalizmie z ojcem Ruth, który uparczywie starał się ośmieszyć Martina w dyskusji na ten ostatni temat. Wreszcie sędzia Blount spojrzał nań poprzez stół z wyrazem dobrotliwej, ojcowskiej litości.

— Wyrośnie pan z tego, młody człowieku — odezwał się protekcyjnie. — Czas jest najlepszym lekarstwem na tego rodzaju niedomagania właściwe wiośnie życia. — Tu zwrócił się do pana Morse: — Nie sądzę, by dyskusja była w tych wypadkach wskazana. Zwiększa ona tylko upór pacjenta.

— To prawda — zgodził się gospodarz z powagą. — Ale pożyteczną jest rzeczą uświadomić od czasu do czasu pacjenta o jego groźnym stanie.

Martin zaśmiał się wesoło, lecz z pewnym wysiłkiem. Dzień trwał już zbyt długo, praca zanadto go zmęczyła, toteż pograżał się coraz głębiej w odprężeniu.

— Nie wątpię, że obaj panowie są doskonałymi lekarzami — powiedział. — Jeśli jednak zależy panom choć trochę na opinii samego pacjenta, niechaj mi wolno będzie oświadczyć, że diagnoza postawiona została nieszczególnie. W rzeczywistości to właśnie panowie obaj chorują na tę dolegliwość, którą mnie przypisują. Ja zaś jestem na nią uodporniony. Filozofia socjalistyczna, której nie przetrawiony ferment burzy panom dotychczas krew w żyłach, do mnie nie ma dostępu.

— To sprytne, bardzo sprytne — mruknął sędzia. — Odwracanie sytuacji w sporach bywa znakomitym chwytem.

— Z własnych pańskich ust czerpię to przekonanie. — Oczy Martina zabłyśły, ale panował jeszcze nad sobą. — Widzi pan, panie sędzio, słyszałem kilka pańskich przemówień przedwyborczych. Dzięki pewnemu procesowi henidycznemu — to ostatnie słowo stanowi mój ulubiony zwrot, którego nikt nie rozumie — dzięki zatem pewnemu procesowi henidycznemu wmawia pan w siebie wiarę w decydujące znaczenie konkurencji i w

zwycięstwo silniejszego, a jednocześnie popiera pan wszelkie możliwe kroki zmierzające do odebrania silnym ich przewagi.

— Ależ, młodzieńcze...

— Proszę nie zapominać, że słyszałem pańskie mowy przedwyborcze — ostrzegł Martin. — Pańskie notorycznie znane poglądy na unormowanie stosunków handlowych między poszczególnymi stanami, na statuty konsorcjów kolejowych i naftowych, na ochronę lasów i tysiączne inne sprawy — nie są niczym innym, jak wyrazem czysto socjalistycznych dążeń do krępowania wolnego życia.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie uznaje pan konieczności ukrócenia różnych oburzających nadużyć?

— Kiedy tu nie o to chodzi. Dowodzę tylko, że pan nie stawia trafnie diagnozy. Chcę stwierdzić, że nie toczy mnie bakcyl socjalizmu. Natomiast pan właśnie porażony jest najdotkliwiej przez te bakterie. Co do mnie, jestem zastarzałym przeciwnikiem socjalizmu, podobnie jak zdecydowanie się przeciwstawiam tej waszej bękarciej demokracji, która w gruncie rzeczy jest po prostu pseudosocjalizmem ukrytym pod maską słów nie mogących się ostać wobec najelementarniejszej choćby analizy.

Jestem reakcjonistą, tak bezwzględny reakcjonistą, że stanowisko moje jest niezrozumiałe dla tych, którzy jak pan, żyją we mgle zakłamanych frazesów o zorganizowanym społeczeństwie i nie mają dość śmiałego wzroku, by przebić ową złudną zasłonę. Udaje pan wiarę w przetrwanie silniejszego i w panowanie silniejszego. Ja zaś wierzę w to naprawdę. Na tym polega cała różnica. Kiedy byłem odrobinę młodszy —

o kilka miesięcy młodszy niż obecnie — myślałem podobnie jak pan. Działo się tak dlatego, że poglądy pańskie i całego pańskiego obozu wywarły na mnie pewien wpływ. Ale kupcy i handlowcy mogą być w najlepszym wypadku tylko tchórzem podszytymi władcami; umieją co najwyżej z kwikiem żerować przy korycie dostatku, ja zaś, jeśli mam być szczery, odsunąłem się od nich z powrotem ku arystokracji. Jestem jedynym w tym towarzystwie indywidualistą. Niczego nie oczekuję od państwa. Oglądam się wyłącznie za człowiekiem silnym, konnym rycerzem bez trwogi, który jeden tylko zdolny jest wywieść państwo ze stanu jałowości i rozkładu.

Nietzsche miał słuszość. Zbyt wiele czasu zajęłoby mi tłumaczenie, kim był Nietzsche. Dość, że się nie mylił. Świat należy do silnych, którzy są jednocześnie szlachetni i nie bab-rzą się w świńskim korycie handlu i giełdy. Świat należy do prawdziwej szlachty, do tych wielkich, jasnowłosych bestii, 'co gardzą kompromisem i nie lękają się powiedzieć „tak”. Ci zaś połkną was, socjalistów, którzy drżycie przed socjalizmem i macie się za indywidualistów. Wasza niewolnicza moralność, moralność istot potulnych i styranizowanych, nie zbawi was nigdy. Wiem dobrze, że to, co mówię, jest dla panów chińszczyzną, i nie będę wam tym dłużej głowy zawracać. Ale proszę zapamiętać sobie jedno: w całym Oakland nie znajdzie się pewnie ani pół tuzina indywidualistów, lecz jednym z nich jest Martin Eden.

Dając w ten sposób do zrozumienia, że dyskusję uważa za skończoną, Martin zwrócił się do Ruth.

— Jestem dziś przemęczony — rzekł półgłosem. — Chciałbym tylko milczeć i kochać. Nie zwrócił uwagi na słowa, którymi pan Morse zareagował na jego przemowę.

— Nie jestem bynajmniej przekonany. Wszyscy socjaliści używają w dyskusji metod jezuickich. Po tym się ich poznaje.

— Jeszcze kiedyś przerobimy pana na dobrego republikanina — wtrącił sędzia Blount.

— Zanim to się stanie, przybędzie konny rycerz — odparował Martin pogodnie i powrócił do rozmowy z Ruth.

Pan Morse jednak wcale nie był zadowolony. Próżniactwo i niechęć do solidnej, usankcjonowanej zwyczajami pracy raziły go bardzo w tym przyszłym zięciu, którego

poglądów nie szanował, a natury nie mógł zrozumieć. Skierował więc rozmowę na Herberta Spencera. Sędzia Blount sekundował mu dzielnie, a Martin, który nadstawił uszu na pierwszą wzmiankę o ulubionym filozofie, wysłuchać teraz musiał, jak sędzia, godny i zarozumiały, wygłasza paszkwil na Spencera. Od czasu do czasu pan Morse zerkał na Martina, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzisz, chłopcze, w coś się wpakował?”

— Krzykliwe sójki — mruknął Martin półgłosem, nie odrywając się od rozmowy z Ruth i Arturem.

Jednakże miniony dzień pracy i „sól ziemi” z poprzedniej nocy nie przeszły bez śladu; poza tym zaś, niby bolesna zadra, tkwiło mu wciąż w głowie to, co rozgniewało go w przeczytanym w tramwaju fragmencie.

— Co się stało? — zapytała nagle Ruth, zaniepokojona widocznym wysiłkiem, z jakim Martin starał się powstrzymać „wybuch.

— Nie masz Boga prócz Niepoznawalnego, a Herbert Spencer jest jego prorokiem — wygłosił właśnie sędzia Blount. Martin zwrócił się wprost do niego.

..... To tani frazes — zauważył spokojnie. — Słyszałem go

po raz pierwszy w Parku Ratuszowym z ust robotnika, który go nawet dobrze nie rozumiał. Słyszałem go wielokrotnie potem a za każdym razem beznadziejna sentencjonalność tego powiedzenia przyprawiała mnie o mdłości. Powinien się pan wstydić. Imię tego wielkiego i nieposzlakowanego człowieka na ustach pańskich przypomina kroplę rosy w rynsztoku. To ohydai

W towarzystwo jakby piorun uderzył. Sędzia Blount patrzył na Martina z apoplektycznym wyrazem twarzy wśród powszechnego milczenia. Pan Morse w gruncie rzeczy rad był z zajścia. Widział doskonale, że jego córka jest zgorszona. Stało się więc to, czego pragnął: ujawniło się wrodzone chamstwo człowieka, którego nie mógł znieść.

Dłoń Ruth z niemym błaganiem szukała pod stołem ręki Martina, jego krew doszła już jednak do stanu wrzenia. Do żywego oburzała go intelektualna poza i nędzna obłuda ludzi zajmujących wysokie stanowiska. Sędzia Sądu Najwyższego! Jeszcze przed paru laty, patrząc z padołu nędzy na takich chwałą okrytych dostojników, uważał ich niemal za półbogów.

Sędzia Blount odzyskał wreszcie równowagę i próbował mówić dalej, zwracając się do Martina z pozorną uprzejmością, którą zapewne przypisać należało obecności pań.

Okoliczność ta jeszcze podsyciła gniew Martina. Czy już nie ma na świecie uczciwości?

— Nie może pan dyskutować ze mną o Spencerze! — zawołał. — Nie więcej wie pan o nim niż jego rodacy. Przyznaję jednak, że to nie pańska wina. Wynika to po prostu z bezprzykładnego nieuctwa dzisiejszych czasów. Miałem tego próbkę jadąc tu dziś wieczór. Czytałem właśnie pracę Saleeby'ego o Spencerze. Powinien i pan to przeczytać. Rzecz dostępna jest dla wszystkich. Można ją nabyć w każdej księgarni lub wypożyczyć z czytelnicy publicznej. Zawstydziliby się pan swej niewiedzy i ubóstwa środków oszczerczych, jakich pan użył przeciwko temu szlachetnemu człowiekowi — w zestawieniu z bogatym asortymentem zebranych przez Saleeby'ego. To rekord bezczelności, z którym nie może się równać nawet bezczelność pańska.

Filozofem niedouczonego nazwał Spencera pewien akademicki filozof, niegodny kazić powietrza, którym ten wielki mąż oddychał. Wątpię, czy pan przeczytał chociaż dziesięć stron Spencera, ale istnieli krytycy, zapewne inteligentniejsi od pana, którzy także nie więcej przeczytali, a mimo to ważyli się oświadczyć publicznie, że nikt ze zwolenników Spencera nie potrafi wskazać w jego dziełach ani jednej oryginalnej idei — w dziełach tego Herberta Spencera, którego genialny umysł odcisnął piętno na całym olbrzymim polu badań naukowych i nowoczesnej myśli. To przecież on stworzył psychologię i dokonał takiego przewrotu w pedagogice, że do dziś dziecko francuskiego chłopca uczy się podstawowych wiadomości zgodnie z ustalonymi przezeń zasadami. A tymczasem rozmaite komary w ludzkiej postaci kásają jego pamięć, choć jednocześnie budują swój byt na praktycznym

zastosowaniu jego pomysłów. Jeśli mają w głowach choć trochę oleju, jemu to przede wszystkim zawdzięczają. Gdyby nie on, ich papuzie mózdzki nie miałyby nawet części tych wiadomości, które mimo wszystko zdołały tam przeniknąć.

A jednak zdaniem takiego rektora Fairbanka z Oxfordu — człowieka zajmującego stanowisko jeszcze wyższe niż pańskie, panie sędzio — Spencer ma być uznany przez przyszłe pokolenia raczej za poetę i marzyciela niż za wartościowy umysł twórczy. Wszystko to jedna zgraja pyskaczy i szczekaczy! „Pierwsze zasady nie są całkowicie pozbawione pewnej literackiej wartości” — powiada jeden z nich. Inni zaś twierdzą, że Spencer był nie tyle oryginalnym myślicielem, co raczej pilnym kompilatorem. Pyskacze i szczekacze! Pyskacze i szczekacze!

Martin urwał nagle wśród martwego milczenia. Wszyscy członkowie rodziny Morse'ów uważali sędziego Blounta za człowieka wpływowego, o wybitnych osiągnięciach, toteż zachowanie się Martina przejęło ich zgrozą. Reszta obiadu minęła w nastroju pogrzebowym, przy czym sędzia i pan Morse rozmawiali wyłącznie ze sobą, pozostali zaś rzadko się odzywali. Kiedy Ruth i Martin znaleźli się potem sami, wybuchła ostra scena.

— Jesteś po prostu nieznośny — szlochała dziewczyna.

Gniew Martina nie ostygł jeszcze, toteż powtarzał wciąż w kółko: — Co za bestie! Ach, co za bestie!

Kiedy zaś Ruth oskarżała go, że bez powodu ubliżył sędziemu, odrzucił ostro:

— Dlatego że mu wygarnąłem całą prawdę?

— Nie obchodzi mnie wcale, czy to była prawda czy nie — denerwowała się. — Istnieją pewne granice, których przyzwoitość przekraczać nie pozwala, ciebie zaś nic nie upoważniało do obrażania kogokolwiek.

— Ciekaw jestem w takim razie, kto upoważnił sędziego Blounta do bezczeszczenia prawdy? — zapytał Martin. — Sądzę, że obraza prawdy jest cięższym przewinieniem niż ubliżenie tak karłowatej indywidualności, jaką jest sędzia. On sam dopuścił się gorszej zbrodni: oczernił imię wielkiego i szlachetnego człowieka, który już nie żyje. Ach, co za bestie! Co za bestie!

Gniew Martina rozgorzał na nowo, aż Ruth się złękła. Jeszcze nigdy nie widziała narzeczonego w stanie tak wielkiego podniecenia, które poza tym uważała za najzupełniej niezrozumiałe i niedorzeczne. Ale nawet jej lęk był przesycony owym urokiem, który ją zawsze pociągał ku niemu, który kiedyś kazał jej przytulić się do niego i w owej szalonej, decydującej chwili zmusił do zarzucenia mu rąk na szyję. Czowała się dotknięta i silnie urażona tym, co zaszło, a mimo to poddawała się jego pieszczotom, słuchając z drżeniem, jak mruczy jeszcze pod nosem: — Co za bestie! Co za bestie!

Nie wyrwała się też z jego objęć, gdy powiedział:

— Nie będę już więcej, kochanie, męczył twój rodzinny siadaniem do waszego stołu. Nie lubią mnie i nie mam prawa narzucać im swej przykrej obecności. A zresztą, prawdę mówiąc, ich towarzystwo w równej mierze jest przykre dla mnie. Co tu dużo gadać: mierzi mnie po prostu. I pomyśleć tylko, że w swojej naiwności wyobrażałem sobie, iż wszyscy wysoko postawieni ludzie, mieszkający w pięknych domach, a posiadający poza tym wykształcenie i konto w banku, muszą tym samym przedstawiać wielką wartość.

Chodź ze mną! Pójdziemy na wiec!

Mówił Brissenden, osłabiony jeszcze po krwotoku, który minął zaledwie przed pół godziną, drugim już krwotoku w ciągu ostatnich trzech dni. Jak zawsze, trzymał w ręce szklanę whisky, a ilekroć z niej pociągał, palce drżały mu silnie. - A co mi przyjdzie z tego socjalizmu? — zagadnął Martin.

— Gościom wolno wygłaszać pięciominutowe przemówienia — namawiał chory. —

Wstaniesz i wyznasz, co ci leży na

wątrobie. Powiesz im, dlaczego nie życzysz sobie socjalizmu. Powiesz, CO myślisz o nich i ich sekciarskiej etyce. Ciśniesz .. twarz Nietzschem i tego za to oberwiesz. Daj im bobu! Im to dobrze zrobi. Pragną przecież dyskusji, a tego samego potrzeba i tobie. Bo widzisz, chciałbym przed śmiercią ujrzeć cię socjalistą. Da ci to cel w życiu. To jedno może cię zbawić. W Czasach ciężkich rozczarowań, które cię czekają. Nigdy nie mogłem się nadziwić, dlaczego ty właśnie jesteś socjalistą — rozważał Martin. — Nienawidzisz przecież — tłum. Nie widzę doprawdy, co w tej hołocie pociągać może

Twą dusze. — Tu wskazał oskarżycielskim gestem szklanę, którą Brissenden napelniał raz jeszcze wódką. — Nie widać jakoś, by socjalizm cię zbawił.

— Bo ja jestem bardzo chory — brzmiała odpowiedź. — tobą rzecz się ma inaczej. Jesteś zdrow i masz po co żyć, trzeba cię więc jakoś przywiązać do życia. Dziwisz się, dlaczego jestem socjalistą? Zaraz ci to wytłumaczę. Stało się tak dlatego, że socjalizm jest nieunikniony; dlatego, że dzisiejszy spróchniały i nedorzeczny ustrój nie może potrwać długo; dlatego, że minął już czas twego konnego rycerza. Niewolnicy nie ścierpią tego dłużej. Zbyt są liczni i chcąc nie chcąc ściągają tego wojaka z siodła, zanim zdoła w nim się dobrze usadowić. Nie ma sposobu pozbycia się ich, będziesz więc musiał przełknąć całą tę niewolniczą moralność. Przyznaję, że nie jest to najlepsza strawa. Skoro jednak warzy się od tak dawna, trzeba ją przełknąć. Tak czy owak, jesteś przedpotopowym zabytkiem razem z twymi poglądami zapożyczonymi od Nietzschego. Przeszłość jest przeszłością, a kto utrzymuje, że historia się powtarza, ten jest łgarzem. Rozumie się, że nie przepadam za tłumem, ale co biedny człowiek ma począć? Konny rycerz jest fikcją, wolę zaś wszystko inne niż dzisiejsze panowanie tchórzliwych wieprzy. W każdym razie chodź ze mną. Wypiłem już dosyć i gdybym miał dłużej tu siedzieć, upiłbym się zupełnie. A wiesz, co mówi doktor?... Niech licha porwie doktora! Jeszcze go wystrychnę na dudka.

Był to niedzielny wieczór i niewielka sala zapełniona była ciasno socjalistami z Oakland, rekrutującymi się przeważnie z klasy robotniczej. Mówca, zdolny Żyd, zdobył uznanie Martina, a jednocześnie wzbudził niechęć. Wąskie, przygarbione plecy i zapadła pierś tego człowieka wymownie świadczyły

O jego pochodzeniu ze stłoczonego getta, a przed oczyma Martina stanęła w całej wyrazistości wielowiekowa walka słabych, nędznych niewolników przeciwko wielkopańskiej garstce ludzi, którzy rządzą nimi dotąd i rządzić mieli aż po kres wieków. Ten mizerny strzęp ludzki wydał się Martinowi symbolem. Było to typowe wcielenie całej tej rzeszy istot słabych

i nieudolnych, które zgodnie z prawem natury giną na nędznych uboczach życia.

Były to jednostki nieprzystosowane. Pomimo ich sprytnych zasad życiowych i mrówczych skłonności do współdziałania, Natura odrzuciła je na rzecz człowieka wyjątkowego. Z przeobfitego zaczynu życia, rzucanego hojną ręką, wybiera ona jedynie okazy najlepsze. Małpując ją, ludzie według tegoż systemu wyhodowali konia wyścigowego i ogórki. Niewątpliwie Stwórca mógł pozwolić sobie na wymyślenie lepszej metody, mieszkańcy jednak naszego świata muszą pogodzić się z porządkiem, jaki tu właśnie znalazł zastosowanie. Rzecz prosta, tym ginącym ofiarom wolno wic się, gdy giną, podobnie jak czynią to socjaliści, jak wije się

teraz właśnie ten mówca na trybunie, a wraz z nim spocony tłum słuchaczy, który w tej chwili obmyśla nowe sposoby mające zmniejszyć brzemię żywota i obejść prawa rządzące wszechświatem.

Tak myślał Martin i to właśnie powiedział, gdy Brissenden nastawał, aby sypnął im prawdę w oczy. Otrzymawszy upoważnienie wszedł na mównicę i zgodnie ze zwyczajem zwrócił się do przewodniczącego. Z początku mówił cicho i niepewnie, porządkując myśli, które przyszły mu do głowy w czasie przemówienia Żyda. Na tego rodzaju zebraniach każdy mówca miał do dyspozycji pięć minut. Kiedy jednak minął okres wyznaczony, Martin rozwijał właśnie w najlepsze swe wywody, doprowadziwszy dopiero do połowy atak na socjalizm. Zdobył sobie uwagę słuchaczy, którzy jednogłośnie zażądali od przewodniczącego, by przedłużył Martinowi czas przemówienia. Zebrani ocenili w nim przeciwnika dorównującego im poziomem umysłowym, toteż słuchali go uważnie, śledząc każde słowo. Mówił z żarem i przekonaniem, nie szczędząc ostrych napaści na niewolników, ich moralność i taktykę, a nie ukrywał przy tym wcale, że niewolnikami nazywa swych słuchaczy. Przytaczał Spencera i Malthusa *, szerzej rozwijając biologiczne prawa rozwoju.

— Tak więc — zakończył streszczając pokrótce swe wywody — żadne społeczeństwo złożone z osobników typu niewolniczego nie może być trwałe. Odwieczne prawa rozwojowe nie utraciły dotąd swej wartości. W walce o byt, jak to przed chwilą wykazałem, szansę przetrwania mają silni i ich potomstwo, słabi zaś wraz ze swym przychówkiem ulegają zmiażdżeniu i stopniowo giną. W ostatecznym wyniku pozostają przy życiu tylko silni i zrodzeni z silnych, a dopóki trwa walka, każde kolejne pokolenie jest silniejsze od poprzedniego. Na tym polega rozwój. Wy zaś, niewolnicy — przyznaję, że los niewolników nie jest godny zazdrości — wy marzycie

o społeczeństwie, w którym prawa ewolucji straciłyby zastosowanie, istoty słabe i nieudolne nie byłyby skazane na zagładę, w którym każdy nieproduktywny obywatel mógłby najeść się do syta, ile razy dziennie zapragnie, a kojarzyć się

i rozmnażać mieliby prawo wszyscy bez różnicy, zarówno słabi, jak silni. Co wyniknie z takiego układu rzeczy? Siła i dzielność życiowa kolejnych pokoleń przestanie wzrastać.

Więcej nawet, zaczniesz się cofać. Oto nieubłagana nemezis waszego niewolniczego sposobu myślenia. Wasza społeczność złożona z niewolników, rządzona przez niewolników i służąca niewolnikom musi nieuchronnie osłabnąć i rozsypać się, w miarę jak kruszy się i niszczeje życie istot, z których się składa.

Nie zapominajcie o tym, że głoszę tu prawa biologiczne, nie zaś zasady sentymentalnej etyki. Żadne państwo oparte na niewolnictwie nie jest zdolne...

— A co się dzieje w Stanach Zjednoczonych?! — wrzasnął jakiś głos z widowni.

— Co się ma dziać? — odparował Martin. — Trzyście kolonii zrzuciło jarzmo swoich władców i utworzyło tak zwaną republikę. Niewolnicy stali się swymi własnymi panami. Władcy miecza znikli. Ze jednak nie można się było obejść w ogóle bez władców, powstał nowy zespół panów, tym razem nie złożony z ludzi wielkich, silnych i szlacheckich, lecz z pająkowatych, przebiegłych handlarzy i lichwiarzy. Ci ujarzmili was ponownie, lecz nie otwarcie, siłą prawicy, jak przystało na ludzi szczerych i szlacheckich, tylko skrycie, w drodze podstępnych knoń, pochlebstw i kłamstw. Kupili waszych niewolniczych sędziów, zdeprawowali wasze niewolnicze ustawodawstwo i rzucili waszych synów i córki w piekło gorsze od dawnego poddaństwa. Dwa miliony waszych dzieci harują dziś w tej kupieckiej oligarchii zwanej Stanami Zjednoczonymi. Dziesięć milionów podobnych do was niewolników nie ma przyzwoitego dachu nad głową ani należytej strawy. Wróćmy jednak do rzeczy. Udowodniłem, że żadne społeczeństwo niewolnicze nie może być trwałe, jako że z natury rzeczy odrzucać musi prawa ewolucji. Skoro tylko takie społeczeństwo zorganizuje się, natychmiast nasiąka rozkładem. Łatwo wam zaprzeczać prawom

rozwoju, ale skąd weźmiecie nowe prawo zdolne utrzymać waszą siłę? Sformułujcie je, proszę. A może zostało już sformułowane? W takim razie wystarczy, że je przytoczycie. Martin wrócił na miejsce wśród szumu i gwaru. Kilkunastu ludzi zerwało się z krzesel, gwałtownie domagając się głosu. Kolejno też, zachęceni gorącymi oklaskami widowni, zaczęli odpierać ataki Martina, przemawiając z wielkim zapałem i żywo gestykulując. Był to wieczór szalony szaleństwem intelektualnym, znajdującym wyraz w walce idei. Niektórzy mówcy dopuszczali się dygresji, większość jednak odpowiadała bezpośrednio na zarzuty Martina. Godzili w niego argumentami nieraz zupełnie dlań nowymi; dawali mu też sposobność wglądu nie tyle w nowe prawa biologiczne, ile w nowe zastosowanie praw dawnych. Znadto byli rozgorączkowani, by pamiętać o grzeczności, toteż przewodniczący musiał często stukaniem energicznie przywoływać ich do porządku. Zdarzyło się, że na widowni znalazł się jakiś początkujący reporter, przejęty koniecznością dostarczenia gazecie sensacyjnego żeru w dniu, kiedy życie przyniosło niewiele nowin. Nie był zbyt bystry ani rozgarnięty, a raczej tylko giętki i wygadany. Znadto tępy, by móc śledzić tok dyskusji, oddawał się kojącemu przeświadczeniu, że o całe niebo góruje nad tymi pomyłonymi gadułami ze sfer robotniczych. Poza tym żywił głęboki szacunek dla owych dygnitarzy, którzy ze swych wyżyn ustalają wytyczne dla ludu i prasy. Miał też ideał, który polegał na tym, by wzorem doskonałych dziennikarzy umieć stworzyć coś, a nawet nie byle co — z niczego.

Reporterzyna ten nie miał pojęcia, o czym się tu właściwie rozprawia. Nie troszczył się zresztą o to wcale. Słowa takie jak „rewolucja” dały mu do ręki aż nadto dostateczny materiał. Jak paleontolog, co wnioskując z jedynej wykopanej kości potrafi odtworzyć cały szkielet, młody dziennikarz zdolny był z jednego słowa „rewolucja” odtworzyć całe przemówienie. Zrobił to tego samego wieczoru, i to nawet z niemalym powodzeniem. Że zaś wystąpienie Martina wywołało największe poruszenie, w jego więc usta włożył wszystko, co mu przyszło na myśl, czyniąc z niego centralną postać wiecu i arcyburzyciela ładu społecznego, a przy tym przeistaczając jego reakcyjny indywidualizm w najczernerwieńszy i najbardziej bojowy socjalizm. Będąc artystą reporterzyna nie żałował jaskrawych barw przy malowaniu lokalnego tła, toteż spod jego pędzla wyłoniła się gromada długowłosych mężczyzn o dzikim spojrzeniu, zwyrodniałych neurasteników miotanych namiętnością i wznoszących w górę zaciśnięte pięści, a wszystko to rozgrywało się w zgiełku przekleństw, wycia i gardłowych pomruków rozwścieczonego tłumu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nazajutrz rano siedząc nad kawą w swej izdebce, Martin przeglądał gazetę. Nigdy dotąd nie spotykał swego nazwiska wydrukowanego grubymi czcionkami, i to na czołowej stronie. Z największym zdziwieniem przekonał się też, że jest najwybitniejszym przywódcą socjalistów w Oakland. Przerzucił pośpiesznie treść gwałtownego przemówienia, które reporterzyna włożył w jego usta i — choć z początku zdjął go gniew na to fałszerstwo — w końcu zmiął gazetę i rzucił ją w kąt ze śmiechem.

— Albo chłop był pijany, albo wyrafinowanie złośliwy — rzekł po południu ze swego tronu na łóżku, gdy Brissenden zjawił się i opadł bezsilnie na krzesło.

— A co ci na tym zależy? — zagadnął Brissenden. — Nie potrzeba ci przecież chyba uznania ze strony plugawych burżujów czytających dzienniki?

Martin zastanowił się chwilę, a potem odrzekł:

— Nie, rzeczywiście nie dbam ani trochę o ich opinię. Z drugiej jednak strony bardzo możliwe, że moje stosunki z rodziną Ruth staną się przez to nieco kłopotliwe. Jej ojciec zawsze utrzymywał, że jestem socjalistą, a ta bezczelna bujda utwierdzi go w tym mniemaniu. Nie znaczy to, aby mi naprawdę zależało na jego zdaniu... to wszystko w ogóle nie jest ważne. Chciałbym przeczytać ci to, co dziś napisałem. Chodzi oczywiście o Poniewczasie, doprowadziłem to już mniej więcej do połowy.

Zaczął głośno czytać, kiedy nagle Maria otworzyła drzwi i wpuściła eleganckiego młodego człowieka, który bystro rozejrzał się dookoła, zatrzymując wzrok na maszynie naftowej i kuchence w rogu pokoju, zanim przeniósł spojrzenie na Martina.

— Proszę usiąść — odezwał się Brissenden.

Martin posunął się na łóżku, robiąc obok siebie miejsce, i czekał, aż gość wyjaśni powód odwiedzin.

— Słuchałem pańskiego przemówienia wczoraj wieczór, panie Eden, i przychodzę zrobić z panem wywiad — zaczął.

Brissenden parsknął serdecznym śmiechem.

— Czy to także towarzysz partyjny? — zagadnął reporter obrzucając Brissendena szybkim spojrzeniem i notując w pamięci kolorystyczną wartość tej postaci, podobniejszej do trupa niż do żywego człowieka.

— Pomyśleć, że to on napisał ten reportaż — rzekł cicho Martin. — Przecież to jeszcze dzieciaki

— Dlaczego mu nie wlepisz porządnie? — pytał Brissenden. — Dałbym tysiąc dolarów, żeby choć na pięć minut odzyskać płuca.

Reporterzynę zmieszała nieco ta głośna rozmowa prowadzona o nim i przy nim, bez zwracania najmniejszej uwagi na jego obecność. Uzyskał jednak pochwałę w redakcji za efektowny opis wiecu socjalistycznego i dostał polecenie przeprowadzenia osobistego wywiadu z Martinem Edenem, przywódcą zorganizowanej groźby społecznej.

— Pozwoli pan, panie Eden — rzekł — że zrobimy pańskie zdjęcie. Fotograf redakcyjny czeka przed domem i mówi, że najlepiej zrobić zdjęcie od razu, zanim słońce się zniży. Pogadać zawsze zdążymy potem.

— Więc jest i fotograf? — rozważał z wolna Brissenden. — Wlepże mu, Martin, na co jeszcze czekasz?

— Widocznie już się starzeję — brzmiała odpowiedź. — Wiem, że powinienem to zrobić, ale prawdę mówiąc, nie chce mi się. Po prostu szkoda fłatygi.

— Zrób to przez wzgląd na jego matkę — przynaglał Brissenden.

— Nad tym warto się zastanowić — odrzekł Martin. — Ale chyba nie warto mobilizować aż tyle energii. Bo widzisz, potrzeba niemało energii, by sprawić gościowi porządne lanie. A właściwie, czy to ma jakieś znaczenie?

— O, to mi się podoba, tak właśnie należy podchodzić do tej całej sprawy — oświadczył młodziak siląc się na swobodę, choć już od pewnego czasu coraz częściej tęsknie spoglądał na drzwi.

— Ale przecież to wszystko kłamstwo, nie było w tym ani słowa prawdy — ciągnął dalej Martin zwracając się wyłącznie do Brissendena.

— Ach, to był po prostu taki ogólnikowy opis, wie pan — odważył się wtrącić reporterzyna.

— Ale poza tym jest to dla pana doskonała reklama. A to jest przecież najważniejsze.

Właściwie wyświadczone panu przysługę.

— No widzisz, Martin! Toż to, chłopie, doskonała reklama — powtórzył uroczyście Brissenden.

— I w dodatku wyświadczone mi przysługę, pomyśl tylko! — dorzucił Martin.

— Może więc przystąpimy już do rzeczy — zaproponował młodzian przybierając wyraz pełnej oczekiwania uwagi. — Gdzie się pan urodził, panie Eden?

— Popatrz, on nic nie zapisuje — rzekł Brissenden. — Wszystko przechowuje w pamięci.

— Tak, to mi istotnie wystarcza. — Młodzian starał się usilnie nie dać po sobie poznać zmieszania. — Żaden szanujący się reporter nie zawraca sobie głowy notatkami.

— Wystarczyło rzeczywiście... zeszłego wieczoru. — Tu Brissenden, który nie był zwolennikiem puszczania win płazem, nagle zdecydowanie zmienił postawę. — Słuchaj, Martin, jeśli natychmiast go nie wygrzmocisz, ja sam to zrobię, choćbym miał na miejscu paść trupem.

— Co powiesz na to, żebym mu przetrzepał odwrotną stronę medalu? — zapytał Martin. Brissenden rozważył pilnie kwestię, po czym skinął głową przyzwalająco. W chwilę potem Martin siedział już na brzegu łóżka, trzymając na kolanach młodziaka zwróconego twarzą do dołu.

— Proszę tylko nie gryźć — ostrzegł Martin — bo musiałbym dać ci i po buzi. A szkoda byłoby takiej ładnej buzi.

Wzniesiona ręka Martina opadła i od tej chwili kolejno wznosiła się i opadała szybkim, niezmiennym rytmem. Szczeniak kłął, wyrwał się i wił jak wąż, ale gryźć nie próbował. Brissenden przyglądał się na ogół z powagą, w pewnej chwili jednak tak się zapalił, że chwycił butelkę z whisky prosząc:

— Pozwól i mnie raz go wyrżnąć!

— Niestety, ręka mi się zmęczyła — rzekł Martin zatrzymawszy się wreszcie. — Zupełnie zdrętwiała.

Wyprostował młodziaka i posadził na łóżku.

— Ja was każę aresztować za to — syczał nieborak, a łzy chłopięcego oburzenia spływały mu po rozognionych policzkach. — Dostaniecie wy za swoje. Zobaczycie!

— Taki ładny chłopczyk — mówił Martin — a nie zdaje sobie widać sprawy z tego, że zszedł na manowce. Przecież to nieuczciwie, nierzetelnie i nie po męsku rzucać tyle oszczerstw na bliźnich! A on dopuścił się tego i wcale o tym nie wie. Przyszedł do nas po to właśnie, żeby się dowiedzieć — wyjaśnił Brissenden, gdy nastąpiła cisza.

— A tak, przyszedł do mnie, którego skrzywdził i oczernił. Mój sklep spożywczy odmówi mi teraz z pewnością kredytu. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że ten chłopaczyna pójdzie dalej po drodze upodlenia, aż wreszcie wyjdzie na pierwszorzędnego dziennikarza, a tym samym na nieprzeciętnego łotra.

— Jeszcze pora, na szczęście — pocieszał Brissenden. — Kto wie, czy tobie właśnie nie przypadła skromna rola nawracającego. Czemu nie pozwoliłeś mi trzepnąć go choć raz? Chciałem i ja przyłożyć się do dobrej sprawy.

— Każę was obu aresztować, wy bydlaki zatracone! — szlochała zbłąkana dusza.

— Nie, doprawdy jego usta są za ładne i zbyt słabe. — Martin żałośnie pokiwał głową. — Obawiam się, że na próżno naraziłem rękę na zdrętwienie. Ten młodzian nie nadaje się do nawrócenia. Musi z niego wyrosnąć prawdziwie czołowy dziennikarz, któremu nigdy nie zabraknie powodzenia. Sumienia nie ma za grosz. Już to jedno wystarczy, by stał się wielki. Jednocześnie młodociany reporter zdołał wycofać się za drzwi, do końca drżąc ze strachu, aby Brissenden nie zdzielił go z tyłu butelką, którą dotąd trzymał w garści.

Następnego ranka Martin wyczytał w gazecie niemało nowych wiadomości o sobie: „Jesteśmy przysięgłymi wrogami społeczeństwa” — przytaczano rzekome jego słowa w długim na cały łam wywiadzie. „Nie, nie jesteśmy anarchistami, lecz socjalistami”. Kiedy

reporter miał napomknąć, że między obu tymi kierunkami zachodzi niewielka różnica, Martin wrzucił ponoć ramionami na znak milczącego potwierdzenia. Jego twarz została scharakteryzowana jako rażąco niesymetryczna, a cała postać miała nosić niejedno piętno zwyrodnienia. Szczególną uwagę zwracały jego potwornie wielkie ręce i groźnie błyszczące, krwią nabiegłe oczy.

Martin dowiedział się poza tym, że co wieczór przemawia do robotników w Parku Ratuszowym oraz że wśród anarchistów i agitatorów, podżegających tam stale lud, on właśnie przyciąga największą ilość słuchaczy i głosi najbardziej wywrotowe poglądy. Młodziak odmalował w jaskrawych barwach jego nędzną izdebkę, maszynkę naftową i jedyne krzesło, tudzież rozpisał się szeroko o upiornej postaci dotrzymującego mu towarzystwa trupiołowego włóczęgi, który wyglądał, jak gdyby świeżo wyszedł z lochów kazamaty po odbyciu dwudziestoletniej kary.

Młodziak był bardzo pracowity. Myszkował, gdzie tylko się dało, i wywęszył stosunki rodzinne Martina, zdobywając nawet fotografię Handlu Detalicznego Higginbothama, z samym panem Bernardem Higginbothamem przed frontem sklepu. Jegomość ten został przedstawiony jako inteligentny i poważny handlowiec, brzydzący się zarówno socjalistycznymi poglądami szwagra, jak i jego osobą. Reporter zaznaczał, że kupiec scharakteryzował Martina jako leniwego nicponia, który nie chciał przyjąć ofiarowanej mu posady i wstąpił na drogę prowadzącą niechybnie do więzienia. Herman Schmidt, mąż Marianny, również został zaszczycony wywiadem. Nazwał on Martina czarną owcą w rodzinie i odżegnywał się od wszelkich z nim stosunków. „Próbował kiedyś mnie naciągnąć, ale go z punktu osadził” — oświadczył Schmidt reporterowi. „Zrozumiał, że lepiej będzie, jak przestanie się tu pętać. Z człowieka gardzącego pracą nic dobrego nie wyrośnie, ja wam to powiadam”.

Tym razem Martin rozgniewał się nie na żarty. Brissenden traktował całą sprawę jako dobry kawał, nie mógł jednak uspokoić Martina, który czuł, jak ciężka czeka go przeprawa z Ruth. Pewien był także, że jej ojciec musi być uszczęśliwiony z takiego obrotu rzeczy i wykorzysta to, aby doprowadzić do zerwania zaręczyn. Jak daleko sięgną te możliwości, o tym miał się niebawem przekonać. Z popołudniową pocztą nadszedł list od Ruth. Martin otworzył go z przeczcuciem klęski i odczytał stojąc w otwartych drzwiach, zaraz po otrzymaniu go z rąk listonosza. W czasie czytania jego dłoń odruchowo sięgnęła do kieszeni po tytoń i szarą bibułkę, które trzymał tam w owych dawnych czasach, kiedy jeszcze palił. Nie zdawał sobie sprawy ani z tego, że kieszeń jest pusta, ani też z faktu, że tęsknił za możliwością skręcenia papierosa.

List był najzupełniej zrównoważony. Nie zawierał ani śladu gniewu. Z całej wszakże jego treści, od pierwszego do ostatniego zdania, przebił ton żalu i rozczarowania. Nie tego spodziewała się po nim. Wierzyła, że zdążył już wyrosnąć ze swej młodzieńczej dzikości i że miłość, jaką go darzyła, powinna nakłonić go do prowadzenia poważnego i przyzwoitego życia. Teraz jednak oboje rodzice zajęli zdecydowane stanowisko i zażądali od niej kategorycznie zerwania zaręczyn. Ona ze swej strony nie może nie przyznać, że postawa ta jest całkowicie usprawiedliwiona. Związek ich nie mógłby nigdy być szczęśliwy. Już od początku wzajemne stosunki układały się niefortunnie. W liście był tylko jeden jedyny wyrzut, i to w formie szczególnie dla Martina bolesnej. Gdyby tylko Pan zechciał wziąć jakieś stale zajęcie i poważnie postarał się dojść wreszcie do czegoś.— pisała. — Widocznie jednak rzecz z góry była skazana na niepowodzenie. Pańska przeszłość zanadto była burzliwa i bezładna. Rozumiem, że nie jest to Pańska wina. Musiał Pan postępować zgodnie ze swą naturą i nabytymi w najmłodszych latach nawykami. Nie potępiam więc Pana, Martinie. Proszę o tym nie zapominać. Była to po prostu omyłka. Jak twierdzili zawsze ojciec mój i matka, nie byliśmy dla siebie stworzeni i szczęście dla nas obojga, że ujawniło się to w porę... Proszę nie starać się o spotkanie ze mną — zalecała pod koniec listu. — Byłoby to zbyt przykre dla nas

obojga, a także i dla mojej matki. Już i tak czuję, że sprawiłam jej wiele bólu i kłopotu. Niemalą będę potrzebowała czasu, aby wyrównać jej tę krzywdę.

Martin powtórnie, z największą uwagą, odczytał cały list, po czym zasiadł do stołu i odpisał. Skreślił pokrótce swoje uwagi wypowiedziane na socjalistycznym wiecu, stwierdzając, że były one pod każdym względem przeciwieństwem tego, co gazeta włożyła mu w usta. Pod koniec listu stał się znów natchnionym przez Boga kochankiem", namiętnie dopraszającym się miłości. Odpisz mi — błagał — a w odpowiedzi swej donieś tylko o jednym: Czy mnie kochasz? Niczego więcej mi nie trzeba, bylebyś odpowiedziała na to jedyne pytanie.

Odpowiedź jednak nie nadeszła ani nazajutrz, ani też dnia następnego. Poniewczasie leżało na stole nietknięte, pod stołem zaś wzrastał z dnia na dzień stos zwróconych rękopisów. Po raz pierwszy w życiu wspaniale zazwyczaj sypiącego Martina nawiedziła bezsenność, która dręczyła go przez długie, niespokojne noce. Trzykrotnie zgłaszał się do domu Morsów i za każdym razem służba odprawiała go od drzwi. Brissenden leżał chory w swym pokoju hotelowym, zbyt słaby, by móc się ruszać, wobec czego Martin, choć odwiedzał go często, nie chciał zaprzętać uwagi przyjaciela własnymi kłopotami. A kłopotów miał Martin niemal. Postępek niefortunnego reportera okazał się w skutkach jeszcze groźniejszy, niż to Martin przewidywał. Kupiec kolonialny, Portugalczyk, odmówił mu dalszego kredytu, natomiast właściciel składu owoców i warzyw, Amerykanin, dumny ze swej narodowości, nazwał go zdrajcą ojczyzny i zerwał z nim stosunki, posuwając swój patriotyzm aż tak daleko, że anulował cały rachunek Martina, zakazując mu wszelkich prób spłacenia go. Podobny nastrój panował w całym sąsiedztwie, gdzie oburzenie na Martina osiągnęło wysoki stopień. Nikt nie chciał mieć do czynienia ze zdrajcą-socjalistą. Biedna Maria nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, ale mimo iż pełna była trwogi, pozostała lojalna wobec Martina.

Dzieciarnia z całej okolicy pozbyła się nabożnego lęku, wywołanego w swoim czasie pojawieniem się wspaniałego powozu, i z bezpiecznej odległości poczęła znów przezywać Martina włóczęgą i nierobem. Jednakowoż plemię Silvów dzielnie stawalo w jego obronie, staczając wielokrotnie ciężkie boje o jego cześć, na skutek czego podbite oczy i krwawiące nosy stały się codziennym zjawiskiem, przyczyniając Marii dodatkowych trosk i utrapień.

Pewnego razu Martin spotkał na ulicy w Oakland Gertrudę i dowiedział się — o czym i przedtem nie wątpił — że Bernard Higginbotham jest na niego wściekły za zhańbienie rodziny w oczach całego świata i że w związku z tym wymówił mu dom.

— Dlaczego nie chcesz wyjechać stąd? — pytała Gertruda błagalnie. — Wyjedź, znajdź sobie gdzie jaką pracę i usatuj się. Później, kiedy to wszystko ucichnie, będziesz mógł wrócić.

Martin potrząsał tylko głową, lecz nawet nie próbował wyjaśnić. Bo też co mógł przytoczyć na swe usprawiedliwienie? Przerażała go straszliwa intelektualna przepaść, która rozwarła się między nim a rodziną. Nigdy nie zdoła przetrząść przez nią kładki, by ukazać im swoje stanowisko — postawę nietzscheańską wobec socjalizmu. Ani w języku angielskim, ani w jakimkolwiek innym nie istniały słowa zdolne wzbudzić w tych ludziach zrozumienie dla jego poglądów i zachowania. Dla nich najwyższe pojęcie właściwego zachowania, jeśli chodzi o niego, wyrażało się w przyjęciu posady. Było to ich pierwsze i ostatnie słowo, zawierające całą dostępną im ideologię. Dostać zajęcie! Iść do pracy!

Biedni, głupi niewolnicy — myślał słuchając siostry. — Nic dziwnego, że świat należy do silnych. Niewolników przytłacza własne upodlenie. Posada jest dla nich złotym bałwanem, przed którym padają na twarz w kornym uwielbieniu.

Raz jeszcze potrząsnął głową, gdy Gertruda zaoferowała mu pomoc pieniężną, choć dobrze wiedział, że jeszcze tego dnia będzie musiał odbyć wycieczkę do lombardu.

— Nie pokazuj się teraz Bernardowi na oczy — upominała go siostra. — Za parę miesięcy, kiedy ochłonie, mógłbyś, jeśli zechcesz, dostać u nas pracę woźnicy na furgonie dostarcza-

jącym towar odbiorcom. Gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebował, daj mi tylko znać, przyjdę zaraz. Pamiętaj!

Odeszła popłakując głośno, Martinowi zaś ścisnęło się boleśnie serce na widok jej ociężalej postaci i niezgrabnych ruchów. Kiedy tak na nią spoglądał, budowla nietzscheizmu zaczynała jakoś chwiać się i trząść w swych posadach. Łatwo było snuć abstrakcyjne rozważania na temat klasy niewolniczej, ale nie można było ich uznać za całkowicie zadowalające, kiedy chodziło o własną rodzinę. A swoją drogą, jeśli kto zasługiwał na miano niewolnika podeptanego przez silnych, to właśnie jego siostra Gertruda. Roześmiał się dziko, zauważywszy paradoksalność sytuacji. Ładny z niego wyznawca Nietzschego, jeśli pozwala, by pierwszy podmuch uczucia czy wzruszenia zagroził całemu intelektualnemu gmachowi jego pojęć. A prawdę mówiąc, tu właśnie zawiniła sama moralność niewolnicza, bo to ona przecież tkwiła u źródła okazywanej siostrze litości. Ludzie prawdziwie wspaniali wyżsi są ponad litość i współczucie. Litość i współczucie zrodziły się w podziemnych norach służących za mieszkanie niewolnikom i tyleż mają wartości co męka i pot tłumy słabych, uciemiężonych nędzarzy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Poniewczasie leżało w dalszym ciągu nietknięte na stole. Pod stołem zaś spoczywały wszystkie bez wyjątku rękopisy, jakie Martin ostatnio porozsyłał. Kursowało obecnie jedno tylko dzieło, a mianowicie Etemeryda Brissendena. Rower i czarne ubranie — nie wiadomo już który raz z rzędu — złożone zostały w lombardzie, biuro wynajmu maszyn znowu dopominało się gwałtownie o należność. Martin przestał przejmować się jednak takimi sprawami. Poszukiwał obecnie nowej postawy wobec świata, a do czasu znalezienia jej życie musiało stać na martwym punkcie.

Po kilku tygodniach nastąpiło wreszcie to, czego spodziewał się od dawna. Spotkał na ulicy Ruth. Była w towarzystwie Normana i oboje udawali, że Martina nie znają, a Norman usiłował nawet odsunąć go na stronę.

— Jeśli pan nie przestanie niepokoić mojej siostry, wezwę policję — zagroził. — Ona nie życzy sobie rozmowy z panem, a natarczywość pańską uważamy za obelgę.

— Skoro pan się upiera, będzie pan musiał istotnie przywołać policjanta, a wtedy nazwisko wasze dostanie się do gazet — odrzekł Martin sucho. — A teraz proszę zejść mi z drogi i szukać sobie policjanta, jeśli wola. Ja chcę rozmówić się z Ruth. Muszę dowiedzieć się prawdy z twoich własnych ust — zwrócił się teraz do niej. Stała blada i drżąca, lecz opanowała się i spojrzała nań pytająco.

— Chodzi mi o odpowiedź na pytanie, które ci zadałem w liście — wyjaśnił.

Norman poruszył się niecierpliwie, lecz Martin wstrzymał go stanowczym spojrzeniem. Ruth potrząsnęła głową.

— Czy to wszystko z twojej nieprzymuszonej woli? — zagadnął.

— Tak. — Mówiła cichym, lecz stanowczym głosem, w którym brzmiało przekonanie. — Stało się to z mojej wolnej woli. Pan okrył mnie taką hańbą, że wstyd mi się pokazać znajom-

mym. Wiem, że wszyscy o mnie mówią. Nic więcej powiedzieć panu nie mogę. Unieszczęśliwił mnie pan tak bardzo, że nie życzę sobie, byśmy się kiedykolwiek jeszcze mieli spotkać.

— Znajomi! Plotki! Gazeciarskie nieporozumienie! Przecież takie sprawy nie mogą być chyba silniejsze nad miłość? Prędzej już mógłbym uwierzyć, że nigdy nie byłem kochany. Jej blade policzki pokryły się rumieńcem.

— Po wszystkim, co między nami zaszło? — powiedziała cicho. — Ależ, Martinie, pan chyba nie rozumie, co pan mówi, Mam przecież godność osobistą.

— Sam pan widzi, że ona nie chce mieć z panem do czynienia — wmieszał się Norman usiłując odciągnąć siostrę.

Martin usunął się i dał im przejść, grzebiąc znów nieświadomie w kieszeni kurtki w poszukiwaniu tytoniu i bibułki, których tam nie było. Od północnego Oaklandu dzielił go duży szmat drogi, lecz dopiero wstąpiwszy na schodki ganku i wszedłszy do swego pokoju, Martin zdał sobie sprawę, że przebył ją piechotą. Siedział teraz na krawędzi łóżka i rozglądał się dokoła jak zbudzony ze snu lunatyk. Zauważył leżący na stole rękopis Poniewczasie, przysunął sobie krzesło i sięgnął po pióro. W naturze jego tkwił logiczny mus kończenia tego, co zaczął. Miał przed sobą coś, co domagało się doprowadzenia do zamierzonego końca, a odłożone było w celu zrozumienia czegoś innego. Obecnie tamta sprawa skończyła się, nie pozostaje mu więc nic innego, jak przyłożyć się z kolei do uzupełnienia tego zaczętego dzieła. Co nastąpi potem, nie miał pojęcia. Tyle tylko wiedział, że doszedł w życiu do jakiegoś punktu przełomowego. Pewien okres zamykał się właśnie i należało go tylko wykończyć w sposób godny szanującego swój fach majstra. Przyszłości nie był wcale ciekaw. I tak dowie się niebawem, co dlań chowa w zanadru. Co go czeka, nie miało już żadnego znaczenia. Wszystko stało się obojętne.

Przez pięć dni trudził się nad rękopisem Poniewczasie-, nigdzie nie wychodził, nie widywał się z nikim i nic prawie nie jadł. Rankiem szóstego dnia listonosz przyniósł mu ciekawą kopertę z firmową pieczęcią redakcji „Partenonu”. Zaledwie rzucił okiem na list, już wiedział, że Elemeryda została przyjęta.

Daliśmy poemat do zaopiniowania panu Caitwright Bruce — pisał redaktor — a jego ocena wypadła tak pomyślnie, że nie możemy narazić się na utratę tego dzieła. Dowodem skwapliwości, z jaką je przyjmujemy, niech będzie okoliczność, że przeznaczaliśmy „Efemerydę” do naszego sierpniowego numeru, jako że zeszyt lipcowy był już uprzednio skompletowany. Prosimy o przekazanie panu Brissendenowi wyrazów naszej radości i wdzięczności. Zechce Pan nadesłać nam odwrotnie jego podobiznę wraz z danymi biograficznymi. Jeśli proponowane przez nas honorarium nie jest zadowalające, oczekujemy natychmiastowego powiadomienia w drodze telegraficznej, jaką sumę uznałby Pan za właściwą.

Wobec tego, że zaofiarowana kwota wynosiła trzysta pięćdziesiąt dolarów, Martin nie widział potrzeby wysyłania depeszy. Należało jednak jeszcze uzyskać zgodę samego Brissendena. Okazało się, że słusność miał mimo wszystko Martin. Znalazł się oto redaktor miesięcznika, który potrafił poznać się od razu na wartości prawdziwej poezji. Ale i cena była wprost wspaniała, nawet jak na czołowy poemat stulecia. Co się zaś tyczy Cartwrighta Bruce, Martinowi wiadome było, że jest to jedyny krytyk, do którego poglądów Brissenden odnosi się z pewnym szacunkiem.

Martin udał się tramwajem do śródmieścia, a patrząc na mijane domy i przecznice, z żalem zdawał sobie sprawę, iż nie umnie wywołać w sobie większej radości z powodzenia przyjaciela i własnego zdecydowanego zwycięstwa. Przecież najwybitniejszy krytyk Stanów Zjednoczonych wypowiedział się życzliwie o poemacie, twierdzenie zaś Martina, że prawdziwie dobre dzieło zawsze utoruje sobie drogę do czasopism, okazało się w całej pełni słuszne. Widocznie zdolność odczuwania entuzjazmu wygasła w nim, czuł bowiem, że

bardziej raduje go myśl o rychłym ujrzeniu Brissendena aniżeli możliwość przekazania mu dobrej nowiny. List z „Partenonu” dał mu sposobność uświadomienia sobie, że w ciągu pięciu dni poświęconych pracy nad Poniewczasie nie miał od Brissendena żadnej wiadomości ani też nie pomyślał o nim. Teraz dopiero zdał sobie sprawę ze stanu oszołomienia, w jakim się znajdował, i zawstydził się, że tak dalece mógł zapomnieć o przyjacielu. Ale nawet i ten wstyd nie dopiekał mu zbyt ostro. Stał się nieczuły na jakiegokolwiek wzruszenia oprócz emocji artystycznych przeżywanych w związku z tworzeniem Poniewczasie. Wobec wszelkich innych spraw zachowywał się jak człowiek pogrążony w transie. Bo też istotnie dotychczas jeszcze był jakby na pół uśpiony. Cały ten wir życia, przez który niósł go tramwaj, zdawał mu się czymś odległym i nierzeczywistym, a gdyby nawet wielka kamienna wieżyca mijanego kościoła miała się nagle rozpaść i pyłem zasypać mu głowę, nie wywołałoby to w nim zapewne większego zainteresowania ani tym mniej wstrząsu.

Przybywszy do hotelu udał się pędem do pokoju Brissendena i z równym pośpiechem zbiegł ponownie na dół. Pokój był pusty, po rzeczach nie zostało nawet śladu.

— Czy pan Brissenden zostawił swój adres? — zagadnął portiera, który przez chwilę przyglądał mu się ciekawie.

— Nie wie pan o niczym? — odparł zapytany. Martin przecząco potrząsnął głową.

— A przecież gazety narobiły tyle szumu. Znaleźniono go w łóżku nieżywego. Samobójstwo. Pałnął sobie w głowę. — Czy już jest po pogrzebie? — Martinowi wydało się, że ten własny głos, którym zadał to pytanie, brzmi najzupełniej obco i dochodzi doń jak gdyby z niezmiernej dali.

— Nie. Zwłoki odwieziono statkiem na wschód po zakończeniu czynności sądowych. Zajęli się tym prawnicy występujący w imieniu rodziny zmarłego.

— Jakoś bardzo się pośpieszyli — zauważył Martin.

— Chyba nie tak znów bardzo. Stało się to pięć dni temu.

— Pięć dni temu?

— Tak.

— Ach... — rzekł Martin, po czym odwrócił się i wyszedł. Na najbliższym rogu wstąpił do agencji telegraficznej We-

Stern Union i zadeszował do redakcji „Partenonu”, doradzając, by niezwłocznie przystąpili do publikacji poematu. W kieszeni miał tylko pięć centów na powrót tramwajem do domu, wobec czego wysłał telegram za pobraniem należności od adresata.

Znalazłszy się u siebie Martin ponownie zasiadł do pisania. Dni i noce mijały, on zaś siedział przy stole i pracował bez wytchnienia. Nie chodził nigdzie z wyjątkiem lombardu, nie zażywał ruchu, jadał zaś systematycznie wtedy, gdy odczuwał głód i miał co włożyć do garnka, a równie systematycznie pościł, kiedy spiżarnia była pusta. Choć plan powieści ułożony, był od dawna rozdział po rozdziale, Martin ujrzał teraz potrzebę dołączenia nowego wątku, zwiększającego potęgę utworu, choć wymagało to napisania dodatkowych dwudziestu tysięcy słów. Nie powodował się przy tym świadomą chęcią prowadzenia swego dzieła do doskonałości, lecz po prostu ulegał ślepo naciskowi artystycznych względów, które uznawał, za słuszne. Pracował jak gdyby w odurzeniu, dziwnie oderwany od otaczającej go rzeczywistości, czując się wśród akcesoriów swego pisarskiego fachu niby jakiś zadomowiony duch. Przypominał sobie, jak to ktoś kiedyś powiedział, że duch taki jest duszą ludzkiej istoty, która wprawdzie umarła lecz nie była na tyle rozsądna, by sobie z tego zdać sprawę. Na chwilę nawet przerwał pracę zastanawiając się, czy czasem naprawdę nie zakończył życia, sam o tym nie wiedząc.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Poniewczasie dobiegło końca. Agent wynajmującej firmy zjawił się po odbiór maszyny i zasiadł na łóżku, czekając, aż Martin wystuka ostatnie strony końcowego rozdziału. Skończywszy, Martin napisał wielkimi literami u dołu „Finis” i odczuł, że naprawdę doszedł do jakiegoś kresu. Ze szczerą ulgą ujrzał, jak wyniesiono maszynę z pokoju, po czym podszedł do łóżka i wyciągnął się na nim. Z głodu bliski był omdlenia. Od

trzydziestu sześciu godzin nie miał nic w ustach, ale nie myślał o tym wcale. Leżał na wznak z zamkniętymi oczyma i nie myślał o niczym, a fala dziwnego odrętwienia czy otumanienia zalewała mu zwolna świadomość. Na pół przytomnie zaczął powtarzać na głos słowa jakiegoś nieznanego poety, które lubił przytaczać Brissenden. Marię, z niepokojem podsłuchującą za drzwiami, zatrwożyła ta monotonna recytacja. Słowa jako takie nie miały dla niej znaczenia, ale sam fakt ich wypowiedziania przejmował ją bardzo. Wyraz „skończyłem” stanowił oś poematu.

Skończyłem —

Odstawiam lutnię... Pieśń i śpiew mój wkrótce miną, Jak ten cień, co wstęgą siną Drzy nad kraśną koniczyną.

Skończyłem —

Odstawiam lutnię... Dawniej, niby kos w czas świtu W krzewach lśniących rosą litą, Śpiewałem —

Dziś milczę smutnie... Jak ptaszkiwie zabłąkani Czuję się... Głos więźnie w krtani. Pieśń mą wyśpiewałem raniej.

Skończyłem —

Odstawiam lutnię...

Maria dłużej nie mogła wytrzymać i pobiegła do kuchni, gdzie napełniła zupą wielką miskę, wrzucając do niej większą część mięsa i jarzyn, jakie warząchew zdołała zebrać z dna garnka. Martin podniósł się, usiadł i zaczął jeść, upewniając Marię między jednym łykiem a drugim, że wcale nie bredził przez sen i bynajmniej nie ma gorączki.

Kiedy odeszła, siedział dalej na brzegu łóżka, zgnębiony, zgarbiony, rozglądając się dookoła pozbawionymi blasku i niewiele widzącymi oczyma, aż wreszcie obraz rozerwanego opakowania jakiegoś czasopisma, które nadeszło poranną pocztą i leżało dotąd nie czytane, rzucił promień światła do jego zamąconego mózgu.

To z „Partenonu” — pomyślał — sierpniowy numer tego pisma, zawierający pewnie Etemerydę. Gdybyż Brissenden mógł to widzieć.

Zaczął odwracać kartki miesięcznika i nagle zatrzymał się. Efemerydę zaszczycono wspaniałym nagłówkiem i ozdobiono na marginesach winietami w stylu Beardsleya. Po jednej stronie nagłówka widniała fotografia Brissendena, po drugiej umieszczona była podobizna sir Johna Value, ambasadora Wielkiej Brytanii. Wstępna uwaga od redakcji przypominała, że wedle twierdzenia angielskiego dyplomaty w Ameryce nie ma wcale poetów, Efemeryda zaś stanowi odpowiedź „Partenonu” na ten zarzut. "I co pan na to powie, ekscelencjo?" Cartwright Bruce przedstawiony został jako największy krytyk Stanów Zjednoczonych, przy czym przytoczono jego zdanie uznające Efemerydę za najwybitniejszy poemat, jaki kiedykolwiek w Ameryce napisano. Redakcyjne słowo wstępne kończyło się, jak następuje: „Dotychczas nie zdołaliśmy jeszcze ocenić w całej pełni zalet Efemerydy; nigdy, być może, nie potrafimy tego uczynić. Odczytując jednak ten utwór wielokrotnie, podziwialiśmy wciąż na nowo dobór i układ słów, zachodząc w głowę, skąd pan Brissenden mógł je czerpać i jakim sposobem udało mu się tak cudownie je powiązać”. Dalej następował sam poemat.

— Dobrześ wiedział, Briss, kiedy umrzeć — szepnął Martin pozwalając miesięcznikowi zsunąć się z kolan na podłogę.

Pospolitość i gminna niewybredność ujęcia całej sprawy przyprawiły o mdłości, lecz Martin zauważył apatycznie, że nawet tego obrzydzenia nie odczuwa zbyt silnie. Pragnął szczerze wzbudzić w sobie gniew, ale nie mógł zebrać dość energii. Znadto zubożył na wszystko. Krew widocznie w nim zakrzepła i nie mogła już ożywić się na tyle, by wpaść w wartki prąd oburzenia. W gruncie rzeczy, czym się tu przejmować? Zgadza się to przecież w zupełności z tym wszystkim, co Brissenden tak bezwzględnie potępiał w społeczeństwie burżuazyjnym.

Biedny Briss! — pomyślał Martin. — Nigdy by mi tego nie darował.

Podniósłszy się z wysiłkiem, wyszukał pudełko, w którym był niegdyś papier do maszyny. Przeglądając złożone tam materiały, wydobyl z pudła jedenaście poematów napisanych przez przyjaciela. Wszystkie te utwory poprzedzierał wzdłuż i wszerz, ciskając szczątki do kosza na śmieci. Czynił to bez życia, jak automat, a kiedy skończył, usiadł znów na krawędzi łóżka, patrząc w przestrzeń oczyma bez wyrazu.

Sam nie wiedział, jak długo trwał w tym stanie, aż wreszcie ujrzał nagle, że w pustym polu widzenia wyłania się jakaś długa biała kreska pozioma. Było to zastanawiające. Kiedy jednak ów zarys utrwalił się, Martin pojął, że ma przed oczami rafę koralową, obrzeżoną pióropuszcami białych pian Pacyfiku. Po chwili dojrzał wśród bałwanów niewielkie czółno, a na jego rufie młodego, odlanego z brązu półboga w szkarłatnej przepasce na biodrach, zanurzającego w wodę połyskujące wiosła. Poznał go. Był to Moti, najmłodszy z synów Tatiego tutejszego wodza. Krainą tą było Tahiti, a poza spryskiwaną pianami rafą leży uroczy zakątek Papara, gdzie przy ujściu rzeki wznosi się trzciniowa chata wodza. Dzień chylił się już ku końcowi, a Moti wracał do domu z połowu. Czekał na nadpłynięcie wielkiej fali, na której szczycie mógłby przesadzić rafę. Potem Martin dostrzegł samego siebie, siedzącego na dziobie łodzi — jak to dawniej nieraz zwykł czynić — i czekającego na rozkaz Motiego, by trzymany w pogotowiu wiosłem zacząć wściekle przegarniać wodę, w chwili gdy turkusowa ściana wielkiej fali wzniesie się tuż za nimi. Potem przestał już być widzem, to on sam siedział w czólnie, Moti krzyczał coś zapamiętałe i obaj jak szaleni przebierali wiosłami, lecąc na spiętrzonych grzywie mknącego turkusowego. Spod dzioba czółna woda tryskała niby fontanna, całe powietrze pełne było rozpylonej piany, rozległ się huk, łoskot i budzący niezliczone echa ryk, aż wreszcie czółno wpłynęło na zaciszne wody laguny. Moti zaśmiał się i strząsnął z oczu morską wodę, po czym, wiosłując razem, popłynęli ku koralowemu wybrzeżu, gdzie w świetle zachodu poprzez liście palm kokosowych złociły się ściany trzciniowego domku Tatiego.

Niebawem obraz roztopił się, a przed oczami Martina stanął ponownie nieład jego nędznej izdebki. Na próżno usiłował raz jeszcze wyczarować Tahiti. Wiedział, że pośród drzew brzmi tam pieśń, a dziewczęta tańczą przy blasku księżyca, lecz dostrzec ich już nie mógł. Widział tylko zarzucony papierami stół, puste miejsce po zabranej maszynie do pisania i nie myte szyby okien. Z jękiem zamknął oczy i zasnął.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Spał snem kamiennym całą noc i zerwał się dopiero wtedy, gdy listonosz przyniósł poranną pocztę. Czując się znużony i odrętwiały, Martin przejrzał listy obojętnie. Cienka koperta od jednego z niesolidnych wydawnictw zawierała czek na dwadzieścia dwa dolary, o które dopominał się bezskutecznie od półtora roku. Sumę wpłaty przyjął do wiadomości apatycznie. Odczuwany dawniej w takich okolicznościach dreszcz nie zjawił się. W przeciwieństwie do poprzednich ten czek nie był brzemienny nadzieją wielkich przyszłych zdarzeń. Nie przedstawiał dlań teraz żadnej innej wartości prócz dwudziestu dwóch dolarów, za które będzie mógł kupić sobie coś do jedzenia.

Doręczony mu pęk listów zawierał jeszcze prócz tego czek od nowojorskiego tygodnika, stanowiący wynagrodzenie za przyjęty przed wielu miesiącami żartobliwy wierszyk. Tu należność wynosiła dziesięć dolarów. Przyszła mu do głowy pewna myśl, którą poddał spokojnej rozwadze. Nie wiedział, czym zajmie się w najbliższej przyszłości, i nie odczuwał

bynajmniej pilnej potrzeby robienia czegoś. Tymczasem musi jednak żyć. Poza tym ma jeszcze do spłacenia niemało długów. Może zatem warto by opatrzyć znaczkami pocztowymi cały ten olbrzymi stos rękopisów rzuconych pod stół i jeszcze raz rozesłać je na wędrowkę? Może się zdarzyć, że niektóre z nich zostaną przyjęte. To by ułatwiło mu przetrwanie. Zdecydował się więc i po spieniężeniu czeków w jednym z banków w Oakland zakupił znaczków za całe dziesięć dolarów. Myśl o powrocie do zatłoczonej izdebki, by przyrzadzić sobie śniadanie, napełniła go wstrętem. Po raz pierwszy nie chciał pamiętać o swych długach. Wiedział, że w domu mógłby przygotować posilne śniadanie, wydając na ten cel od piętnastu do dwudziestu centów. Zamiast tego udał się jednak do kawiarni „Forum” i zamówił śniadanie za dwa dolary. Dał dwadzieścia pięć centów napiwku i kupił jeszcze za pół dolara paczkę egipskich papierosów. Pierwszy raz zaciągnął się dymem od czasu, gdy Ruth wymogła na nim, by przestał palić. Nie widział żadnej przyczyny, dla której miałby sobie tego teraz odmawiać, a poza tym prawdziwie potrzebował papierosa. Jakąż zaś wartość miały pieniądze? Za pięć centów mógłby kupić sobie paczkę machorki oraz zapas szarej bibułki i skręcić z tego czterdzieści papierosów — ale po co? Pieniądze przedstawiały dlań obecnie jedynie wartość tego, co można za nie od razu kupić. Żeglował oto bez mapy i steru, a żaden port go nie wzywał. Spływanie z prądem najmniej wymagało życia, a właśnie ono sprawiało ból.

Mijały dni, a Martin sypiał teraz stale po osiem godzin na dobę. Chociaż, oczekując nadejścia dalszych czeków, stołować się musiał na razie w japońskich jadłodajniach, gdzie za posiłek płaciło się dziesięć centów, jego wychudzone ciało i zapadnięte policzki wypełniły się. Nie zamęczał się już ani odmawianiem sobie snu, ani nadmiarem pracy czy nauki. Nie pisał wcale, nie zaglądał również do książek. Odbywał długie przechadzki po podmiejskich wzgórzach i wiele godzin spędzał na próżniaczym przesiadywaniu w zaciszu parków. Nie miał przyjaciół ani żadnego towarzystwa i nie zależało mu na zawieraniu nowych znajomości. Nie czuł ochoty do niczego. Czekał, aż jakiś popęd, nie wiadomo skąd płynący, wprawi ponownie w ruch jego zatrzymane życie. Tymczasem wlokło się ono beznadziejnie, pozbawione celu, puste i leniwe.

Pewnego razu wybrał się do San Francisco, aby odwiedzić ową garstkę ludzi, stanowiących „sól ziemi”. W ostatniej jednak chwili, kiedy był już u wejścia wiodącego na piętro, zawahał się, zawrócił i umknął poprzez rojne getto. Przeraziła go myśl, że musiałby słuchać dyskusji filozoficznej, toteż uciekł cichaczem w obawie, by nie zjawił się i nie poznał go któryś z członków bractwa.

Niekiedy przeglądał czasopisma i dzienniki, by stwierdzić, jak znęcano się nad Efemerydą. Poemat istotnie narobił wiele hałasu. Ale jakiego hałasu. Każdy go przeczytał i każdy czuł się w obowiązku wyrokować, czy była to w istocie poezja. Miejscowe gazety podjęły ochoczo ten temat, a łamy ich codziennie pełne były uczonych rozważań krytycznych, żartobliwych wypowiedzi redakcji i poważnych listów nadsyłanych przez czytelników. Helena Delia Delmar (obwołana przy dźwięku trąb i biciu w bębny największą poetką Stanów Zjednoczonych) odmówiła Brissendenowi zaszczytu zasiadania wraz z nią na Pegazie, wypisując długie listy otwarte, dowodzące, iż autor Efemerydy nie jest poetą.

Następny zeszyt „Partenonu” objawił wielką radość ze wznieconego zamieszania, kpił sobie do woli z sir Johna Value i z kupiecką beczelnością żerował na śmierci Brissendena. Pewien dziennik o stwierdzonym oficjalnie nakładzie pół miliona egzemplarzy opublikował spłodzony na poczekaniu oryginalny poemat Heleny Delia Delmar, w którym drwiła ona i szydziła z Brissendena. Ponadto spod jej pióra wyszedł drugi jeszcze poemat, będący parodią Efemerydy.

Martin nieraz doznawał uczucia szczęścia, że Brissenden nie dożył tej chwili. Tak bardzo przecież nienawidził tłumu, a tu pod nogi pospólstwa rzucono wszystko, co było dlań najwznieślej i najbardziej święte. Dzień po dniu odbywała się wiwisekcja Piękna. Każdy

blazen w kraju szukał sposobności, aby móc w druku objawić publiczności swą mizerną jaźń, wyniesioną na powierzchnię falą wielkości Brissendena. Jedna z gazet pisała: „Otrzymaliśmy list od pewnego obywatela, który donosi nam, że w swoim czasie stworzył poemat zupełnie podobny, tyle tylko, że lepszy”. Inne pismo, ze śmiertelną powagą karcąc Helenę Delia Delmar za jej parodię, wypowiedziało się w takich słowach: „Nie ulega jednak wątpliwości, że pani Delmar pisała ją w nastroju żartobliwym, nie uwzględniając w pełni szacunku, jaki jeden wielki poeta okazywać winien drugiemu, i to, być może, największemu. Bez względu na to wszakże, czy pani Delmar zazdrości czy nie człowiekowi, który stworzył Efemerydę, jest rzeczą pewną, że podobnie jak tysiączna rzesza innych, ulega ona urokowi jego poematu, i zachodzi prawdopodobieństwo, iż pewnego dnia sama zechce napisać wzorowane na nim strofy”.

Księża zaczęli wygłaszać kazania przeciwko Efemerydzie; jeden z duchownych natomiast, który z nadmiernym zapałem bronił wielu jej tez, został oskarżony o herezję i usunięty ze stanowiska. Wielki poemat dał światu sposobność do niewybrednej uciechy. Humoryści i karykaturzyści dobrali się do niego z dziką radością, a w kronice towarzyskiej światowych tygodników pojawiły się dowcipne wzmianki o tym, jak to pan Charley Frensham zwierzył się w zaufaniu panu Arenie Jenningsowi, że pięć wierszy Efemerydy doprowadzić może człowieka do szału, w którym pocznie się znęcać nad niewinnym kaleką, dziesięć zaś wierszy tego poematu zawiedzie go niechybnie na dno rzeki.

Martin nie śmiał się ani nawet nie zgrzytał z gniewu zębami. Odczuwał tylko wielki smutek. Gdy runął cały jego dotychczasowy świat z miłością u szczytu, zawalenie się wiary w czasopisma i rozsądek publiczności nie mogło już doprawdy spowodować bolesnego wstrząsu. Brissenden miał całkowitą słuszność potępiając w czambuł miesięczniki, on zaś, Martin, musiał zmarnować kilka ciężkich i jałowych lat, by dojść do tego samego wniosku. Czasopisma dotknięte były wszystkimi wadami, jakie im przypisywał Brissenden, a może i czymś jeszcze gorszym. Martin pocieszał się, że wreszcie skończył z tym wszystkim. Chciał wzbic się do gwiazd i w rezultacie wylądował na zapowietrzonym trzęsawisku. Obrazy Tahiti, czystego i słodkiego Tahiti, jęły go nawiedzać coraz częściej. Poza tym pojawiały się także nizinne wyspy Paumotu i górzyste Markizy. Martin nieraz widywał samego siebie, jak na pokładzie szkunera handlowego czy kruchego, małego kutra wyślizguje się o świcie spośród raf Papeete i rozpoczyna długą wędrówkę poprzez atole perłowe aż do Nukahiva i zatoki Taiohae, gdzie Tamari z pewnością zarznie wieprza na jego przyjęcie, a opasane girlandami córki Tamariego schwyca go za ręce i pod wtór śpiewu i śmiechu oplotą gościa wonnym kwieciem. Zew mórz południowych dźwięczał głośno i Martin wiedział, że wcześniej czy później da się skusić.

Tymczasem dawał się unosić prądowi, odpoczywając i przychodząc do zdrowia po długiej, nużącej wędrówce przez krainę wiedzy. Kiedy doręczono mu czek „Partenonu” na trzysta pięćdziesiąt dolarów, przekazał go miejscowemu adwokatowi mającemu pełnomocnictwo od rodziny Brissendena. Martin kazał sobie pokwitować odbiór czeku i ze swej strony podpisał rewers na sto dolarów, które w swoim czasie otrzymał od przyjaciela.

Wkrótce potem przestał uczęszczać do japońskich restauracji. W tej właśnie chwili, kiedy zaprzestał walki, fala odwróciła się przynosząc mu pomyślność. Stało się to jednak za późno. Bez wzruszenia otworzył cienką kopertę od redakcji „Tysiąclecia”, obejrzał czek na trzysta dolarów i stwierdził, że jest to honorarium za przyjętą do druku Przygodę. Wszystkie razem długi Martina, łącznie z lichwiarskimi procentami lombardu, nie dochodziły do stu dolarów, kiedy więc je całkowicie spłacił, a także wykupił studolarowy rewers od adwokata Brissendenów, w kieszeni pozostało mu jeszcze ponad sto dolarów. Zamówił sobie u krawca nowy garnitur i jadał w najlepszych lokalach miasta. Noce spędzał nadal w wynajmowanej od Marii izdebce, lecz nowe ubranie sprawiło, że okoliczna, dziatwa przestała wyzywać go od włóczęgów i łazików, co dotychczas zwykła czynić z dachów drwalni lub spoza parkanów.

Nowelę hawajską Wiki-Wiki zakupił „Miesięcznik Warrena” za dwieście pięćdziesiąt dolarów. „Przegląd Północy” wziął rozprawę zatytułowaną Kalebka piękna, wydawnictwo zaś Mackintosha przyjęło do druku Wróżkę, poemacik napisany dla Marianny. Redaktorzy i lektorzy powrócili już z letnich wyczasów, rękopisy więc przeglądano teraz szybko. Martin nie mógł się nadziwić, jaki to niewytłumaczony pęd każe nagle pismom przyjmować masowo te same prace, które przez dwa lata z uporem odrzucały. Żadne przecież z jego poważniejszych dzieł nie zostało dotąd ogłoszone. Nikt poza Oakland o nim nie słyszał, a i w Oakland ci nieliczni, którym zdawało się, że go znają, uważali go za skrajnie czerwonego socjalistę. Nic więc nie uzasadniało nagłego popytu na jego towar. Była to igraszka losu. Po odrzuceniu Hańby słońca przez wiele miesięczników Martin zastosował się do zlekceważonej w swoim czasie rady Brissendena i posyłać ją zaczął do różnych towarzystw wydawniczych. Po kilku odpowiedziach odmownych przyjęła ją wreszcie firma Singletree, Darnley i Ska, obiecując wypuścić na rynek jesienią. Kiedy Martin zażądał zaliczki na poczet honorarium, wydawnictwo odpisało, iż nie ma tego zwyczaju, dodając poza tym, że takie książki rzadko kiedy się opłacają i że wątpić należy, czy omawiane dzieło rozejdzie się choćby w tysiącu egzemplarzy. Martin począł obliczać, ile książka może mu przynieść przy takim nakładzie. Przyjmując cenę sprzedażną dolara i piętnastoprocentowy udział autora, dochód jego wyniósłby sto pięćdziesiąt dolarów. Zdecydował zatem, że gdyby jeszcze kiedykolwiek wypadło mu zarabiać piórem, ograniczy się wyłącznie do pisania nowel. Za czterokrotnie krótszą Przygodę otrzymał od redakcji „Tysiąclecia” dwa razy większą sumę. Artykuł o honorariach autorskich, który tak dawno temu czytał w jakiejś gazecie, mówił jednak prawdę. Pierwszorzędne czasopisma płacą zaraz po przyjęciu prac, i to płacą dobrze. „Tysiąclecie” zapłaciło mu nie po dwa, lecz aż po cztery centy za słowo. A poza tym kupują najwidoczniej rzeczy dobre, skoro wybrali jego pracę. Ta ostatnia myśl sprawiła, że na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Martin napisał do firmy Singletree, Darnley i Ska, proponując im odstąpienie wszystkich praw do Hańby słońca za natychmiast płatną sumę stu dolarów, wydawcy jednak woleli nie ryzykować. Na razie nie odczuwał pilnej potrzeby pieniędzy, gdyż kilka ostatnich nowel znalazło płacących z góry nabywców. Otworzył sobie nawet w banku konto, na którym przechowywał kilkaset dolarów, nie mając długu ani centa. ponieważ, odrzucone przez szereg firm, spoczęło wreszcie w spółce wydawniczej Meredith-Lowell. Martin nie zapomniał o pięciu dolarach, którymi poratowała go Gertruda, ani o zapowiedzianym stokrotnym zwrocie. Zażądał więc listownie zaliczki na poczet honorarium w sumie pięciuset dolarów. Ku jego zdziwieniu odwrotną pocztą nadszedł czek na żadaną sumę, nadesłany wraz z projektem umowy. Martin podjął z banku równowartość czeku w złotych pięciodolarówkach i zatelefonował do Gertrudy, że pragnie się z nią zobaczyć.

Przybiegła natychmiast, cała zdyszana z pośpiechu. Spodiewając się złych wieści, wcisnęła do torebki ostatnie parę dolarów, jakie posiadała. Tak dalece była pewna, że brat jej znalazł się w opałach, że zaraz po przyjściu padła mu z płaczem w ramiona, równocześnie wtykając bez słowa sakiewkę.

— Byłbym sam do ciebie zaszedł — rzekł. — Chciałem jednak uniknąć awantury z panem Higginbothamem, bez której z pewnością by się nie obeszło.

— Uspokoi się po jakimś czasie — upewniała go siostra zachodząc w głowę, jaka to bieda spotkać mogła Martina. — Ale najlepiej byłoby, żebyś przedtem dostał pracę i usatkwował się. Bernard lubi, by każdy człowiek uczciwie zarabiał na życie. Ta cała heca w gazetach okropnie go wzburzyła. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak wściekłego.

— Nie mam zamiaru brać posady — powiedział Martin z uśmiechem. — Możesz mu to oświadczyć w moim imieniu. Nie potrzebuję wcale płatnego zajęcia, a oto najlepszy dowód.

To mówiąc wysypał jej na kolana połyskliwy, dźwięczący strumień złotych monet.
— Pamiętasz tego piątaką, któregoś mi dała wówczas, kiedy nie miałem pieniędzy na tramwaj? Zwracam ci go teraz w towarzystwie dziewięćdziesięciu dziewięciu braciszków różnego wieku, ale jednakowego wzrostu.

Jeżeli Gertruda była już przestraszona w chwili przyjscia, to teraz ogarnęło ją paniczne przerażenie. Trwoga jej wynikała z poczucia pewności. Nie wchodziły tu w grę podejrzania, lecz niezachwiane przekonanie. Spoglądała na Martina ze zgrozą, a jej ociężałe nogi ugięły się pod ciężarem złota, które zdawało się ją parzyć.

— To wszystko twoje — zaśmiał się. Gertruda wybuchnęła łkaniem i zaczęła zawodzić:
— Mój ty biedaku, mój biedaku.

Martin przez chwilę nie mógł się zorientować, co siostra ma na myśli. Następnie odgadł przyczynę jej zaniepokojenia i pokazał list, który firma Meredith-Lowell dołączyła do czeku. Kiedy już z trudem przedarła się przez jego treść, odrywając się raz po raz dla otarcia łez, rzekła do brata:

— Czy to ma znaczyć, żeś zdobył te pieniądze w uczciwy sposób?

— Uczciwiej, niż gdybym je wygrał na loterii. Zarobiłem.

Gertruda, powoli odzyskując zaufanie, raz jeszcze odczytała uważnie list. Martin wiele musiał się namęczyć, aby jej wytłumaczyć, na czym polega transakcja, dzięki której suma ta stała się jego własnością. Więcej jeszcze czasu zajęło przekonanie siostry, że skarb ten naprawdę należy do niej i że on, Martin, go nie potrzebuje.

— Złóżę to w banku na twoje imię — rzekła w końcu.

— Nie zrobisz nic podobnego. Pieniędzmi tymi masz rozporządzać najzupełniej dowolnie, a jeśli ich nie przyjmiesz, oddam je Marii. Już ona będzie wiedziała, co z nimi zrobić.

Radziłbym ci jednak zgodzić sobie służącą i raz wreszcie porządnie odpocząć.

— Opowiem o tym wszystkim Bernardowi — oświadczyła żegnając się.

Martin mrugnął okiem, a potem dodał z uśmiechem:

— A dobrze, opowiedz. Może zdecyduje się zaprosić mnie znów kiedy na obiad.

— Zrobi to, na pewno to zrobi — zawołała z przejęciem Gertruda, przyciągając ku sobie brata, całując go i tuląc.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Pewnego dnia Martin zdał sobie sprawę z ogarniającej go samotności. Zdrow był i silny, a nie miał nic do roboty. Zaprzestanie pracy pisarskiej i studiów, śmierć Brissendena oraz zerwanie z Ruth uczyniły wielką pustkę w jego życiu: życie to zaś nie dało się ograniczyć do spożywania smacznych posiłków na mieście i palenia egipskich papierosów. Morza południowe kusily go wprawdzie, odnosił jednak wrażenie, że gra rozpoczęta tu, w Stanach Zjednoczonych, nie została jeszcze doprowadzona do końca. Dwie książki miały wkrótce ukazać się w druku, prac zaś nadających się do wydania miał jeszcze sporo. Można było zarobić na tym немало pieniędzy, wolał więc poczekać nieco, by zabrać z sobą na morza południowe nabitą kabzę. Na Markizach miał upatrzoną pewną dolinkę nad zatoką, którą mógł nabyć za tysiąc chilijskich dolarów. Dolina biegła od zamkniętej zatoki kształtu podkowy aż po same szczyty zamglonych, nienających w chmurach turni, rozpościerając się na przestrzeni jakichś dziesięciu tysięcy akrów. Pełna owoców podzwrotnikowych, roiła się od dzikich kur i dzikich świń, a od czasu do czasu spotkać też w niej można było stado dzikiego

bydła, wysoko zaś wśród skał przebywały kierdele dzikich kóz, niepokojone przez sfory dzikich psów. Cały ten zakątek tchnął dzikością. Ludzi ani śladu, nigdzie żywej duszy. i cały ten raj wraz z zatoką kupić mógł za tysiąc chilijskich dolarów.

Zatoka, o ile sobie przypominał, była wspaniała. Dość głęboka, żeby móc pomieścić największe statki, a tak bezpiecznie zaciszna, że oficjalny przewodnik po wodach południowych Pacyfiku zalecał ją jako najdogodniejsze miejsce oczyszczenia i naprawy okrętów na setki mil wokoło. Martin zamierzał kupić sobie szkuner — taki, co to budową przypomina jacht, połyskuje od miedzi, a śmiga na wietrze jak lichy — i zająć się w obrębie sąsiednich wysp handlem koprą oraz połowem pereł. Dolinę i zatokę uczyni swą kwaterą główną. Zbuduje sobie, wzorem Tatiego, patriarchalny trzciniowy domek i napełni go, podobnie jak dolinę i szkuner, gromadą śniadoskórej służby. Gościć tam będzie agenta handlowego z Taiohae, kapitanów statków handlowych, krążących bez stałego kursu, oraz kwiat hołoty objijającej się po południowym Pacyfiku. Prowadzić będzie dom otwarty, podejmując po królewsku gości. Z czasem zapomni o książkach, które kiedyś studiował, i o całym tym świecie, który okazał się złudą. Aby to wszystko osiągnąć, musi wytrwać jeszcze jakiś czas w Kalifornii, nabijając trzos. Pieniądze zaczynały już napływać. Skoro tylko któraś z książek odniesie prawdziwy sukces, będzie można od ręki sprzedać cały stos rękopisów. Mógł także pozbierać w tomy drobniejsze nowele i wiersze, aby zapewnić sobie nabycie doliny, zatoki i statku. Nigdy już więcej nie chwyci za pióro. Co do tego powziął postanowienie niezłomne. Tymczasem jednak, czekając na wydanie książek, musi zająć się czymś więcej niż trwanie w tym półsennym, tęnym zubożeniu, w jakie się ostatnio pogrążył.

Którejś niedzieli z rana Martin dowiedział się, że zabawa pod gołym niebem, urządzana dorocznie przez cech murarzy, odbędzie się tego dnia w Shell Mound, wobec czego udał się do tego parku. Tak często uczestniczył dawniej w tego rodzaju robotniczych majówkach, że znał doskonale ich swoistą atmosferę, toteż gdy tylko wszedł do parku, odczuł silnie nawrót wszystkich starych wrażeń. Co tu dużo gadać — przecież ci roboczarze stanowili jego rodzime środowisko. Wśród nich urodził się, w ich gronie spędził większą część życia,

412

a choć na pewien czas ich opuścił, przyjemnie było znaleźć się znów w ich towarzystwie. — Patrzajcie, przecież to Mart — usłyszał czyjś głos, a zaraz potem jakaś ręka chwyciła go serdecznie za ramię. — Gdzieżeś ty się włóczył tyle czasu? Na morzu byłeś? Musimy oblać to spotkanie.

Martin rozpoznał koło siebie postaci starych swych przyjaciół — tę samą paczkę z dawnych czasów, choć tu i ówdzie brakowało kogoś, a przybyło też trochę nowych twarzy. Nie byli to wprawdzie murarze, ale odwiecznym zwyczajem chodzili na wszystkie zabawy niedzielne, aby użyć sobie w tańcu i w bitce oraz pośmiać się zdrowo. Martin przepił do nich i poczuł się wreszcie znowu człowiekiem. Głupi był, że w ogóle z nimi zrywał — myślał w duchu. Nie wątpił też, że więcej zaznałby szczęścia przestając z nimi stale, zamiast szukać go w książkach i zadawać się z tamtymi ludźmi — z wyzyn społecznych. Swoją drogą jednak piwo nie wydawało mu się już tak dobre jak dawniej. W jego smaku coś jak gdyby się zmieniło. Niebawem doszedł do przekonania, że to Brissenden zniechęcił go do pospolitego piwa. Zapytał też siebie, czy przypadkiem obcowanie z książkami w podobnej mierze nie odebrało mu zdolności szczerego cieszenia się kompanią druhów z lat młodzieńczych. Martin zdecydował, że nie może być taki wybredny, i powędrował na salę tańca. Tam spotkał hydraulika Jimmy'ego w towarzystwie wysokiej, jasnowłosej dziewczyny, która, nie zwlekając, porzuciła go dla Martina.

— Widzicie, nic się nie zmieniło od dawnych czasów — wyjaśnił Jimmy swoim kompanom, kiedy zaczęto zeń podrwiwać na widok blondynki ochoczo wirującej w walcu z Martiem. — Ale niech tam. Piekielnie rad jestem, że znowu widzę tego chłopca. Popatrzcie tylko, jak się

zwija w walcu. Jak jedwab. Nic dziwnego, że mu się dziewczyny nie mogą oprzeć. Martin jednak zwrócił blondynkę Jimmy'emu, po czym cała trójka wraz z grupą innych przyjaciół zaczęła się przyglądać sunącym parom, śmiejąc się i żartując z siebie nawzajem. 'Wszyscy cieszyli się z powrotu Martina. Ani jedna z jego książek nie ukazała się jeszcze w druku, nie miał więc w ich oczach żadnej fikcyjnej wartości. Lubili go po prostu dla niego samego. Czuł się niby jakiś książkę po powrocie z wygnania, a jego stęsknione serce rozkwitało w otaczającej go życzliwości. Szalał więc i był w doskonałej formie. Poza tym nie brakowało mu pieniędzy, podobnie więc jak ongi, po powrocie z morza i po wypłacie, nie liczył się z groszem.

W pewnej chwili dostrzegł na parkiecie Lizzie Connolly w objęciach młodego robotnika. Nieco później, okrążywszy salę, odnalazł dziewczynę siedzącą przy stoliku z chłodzącymi napojami. Po wymianie pierwszych słów wyrażających radość z niespodziewanego spotkania Martin wyprowadził ją w głąb ogrodu, gdzie mogli swobodnie pogadać bez konieczności przekrzykiwania muzyki. Od pierwszych już słów dziewczyna należała do niego. Wiedział to. Świadczył o tym aż nadto wyraźnie pełen dumnej pokory wyraz jej oczu, każdy pieśczośliwy ruch jej tak zwykle hardej postaci oraz sposób, w jaki wchłaniała każde jego słowo. Nie była już tym młodziutkim dziewczętkiem, które znał niegdyś. Stała się teraz kobietą i Martin zauważył, że jej bujna, wyzywająca uroda zyskała na tym, gdyż nie tracąc nic ze swej dzikości, przytłumiła jak gdyby nieco nadmiar ognia i zuchwalstwa. — Piękność, doskonała piękność! — szeptał do siebie z podziwem. A poza tym była mu całkowicie oddana.

Wystarczyło zawołać „pójdź”, aby dała mu się poprowadzić na koniec świata.

Właśnie gdy mu to przyszło na myśl, otrzymał w okolicę skroni potężny cios, który omal nie zwałił go na ziemię. Było to uderzenie pięści wymierzone przez mężczyznę tak oślepienego nagłym gniewem, że kułak nie trafił w szczękę, dla której był przeznaczony. Martin zachwiał się, spojrzął poza siebie i ujrzał pięść raz jeszcze celującą weń z dziką wściekłością. Bez chwili namysłu zrobił unik i cios przeleciał mimo bez żadnej szkody, a napastnik stracił równowagę. Wtedy Martin uderzył chwiejącego się przeciwnika lewym sierpowym, popartym ciężarem całego ciała. Tamten zwałił się bokiem na ziemię, niezwłocznie jednak skoczył znów na nogi i natarł jak szalony.

Martin ujrzał jego twarz wykrzywioną namiętnością i nie mógł zrozumieć, co wprawilo nieznanego w tak wielki gniew. Nie tracąc jednak czasu na próżne rozważanie, ugodził wroga lewym prostym, ponownie wkładając w cios cały swój ciężar. Napastnik przechylił się do tyłu i upadł jak bezwładna masa. Tymczasem Jimmy nadbiegał już ku nim wraz ze swymi kompanami.

Martin drżał z podniecenia. Oto wróciły dawne czasy, i to jak! Z ich tańcami, bijatykami i zabawą. Siedząc kątem oka swego przeciwnika, jednocześnie spojrzął na Lizzie. Zazwyczaj dziewczęta piszczały, kiedy chłopcy brali się do bitki, Lizzie jednak nie wydała głosu. Przyglądała się bójce z zapartym oddechem, nieco podana naprzód z wielkiego przejęcia. Jedną ręką przyciskała piersi, policzki miała zaróżowione, w oczach jej zaś błyszczał pełen zdumienia podziw.

Napastnik zdążył już tymczasem stanąć na nogi i usiłował wyrwać się spod uchwytu krępujących go ramion.

— Czekala przecież na mnie! — oznajmił wszem wobec i każdemu z osobna. — Czekala, aż wrócę, a tu nagle diabli nadali tego nowego gościa. Puśćcie mnie, pókim dobry. Muszę go sprać!

— Coś się tak rozsierdził? — pytał Jimmy, który wraz z innymi starał się odciągnąć młodego szaleńca na bok. — Ten gość to Mart Eden. Pozwól sobie zwrócić uwagę, że łapy ma nie od parady i porządnie zada ci bobu, jeśli mu się będziesz stawiał.

— Nie ma prawa odbijać mi w ten sposób dziewczyny! — rzucał się tamten.

— Powalił kiedyś Latającego Holendra, a wiesz przecież, jaki on był — perswadował w dalszym ciągu Jimmy. Dokonał tego w pięciu rundach. Ty byś z nim nawet minuty nie wytrzymał, rozumiesz?

Ostatnia wzmianka podziałała łagodząco na gniew młodziana, który zaszczycił Martina badawczym spojrzeniem.

— Coś mi na to nie wygląda — rzekł drwiąco, szyderstwo jednak brzmiało blado.

— Latającemu Holendrowi tak samo się zdawało — zapewnił go Jimmy. — Czas już z tym skończyć. Dziewcząt przecież nie brak. No, idziemy!

Chłopak pozwolił się odprowadzić na salę tańca, a gromada ruszyła za nim.

— Któż to taki? — zapytał Martin, gdy wracali sami z Lizzie. — I co to wszystko znaczy? Nastrój bojowy, który w dawniejszych czasach występował ostro i trwał czas dłuższy, tym razem szybko go opuścił. Martin przekonał się, że analizuje własne postępowanie zbyt uparcie, aby móc cieszyć się naiwnie pierwotnym życiem, w prostocie serca i niehamowanej szczerości odruchów.

Lizzie potrząsnęła głową.

— Ach, to właściwie nikt — odrzekła. — Tyle że ostatnio dotrzymywał mi towarzystwa.

Musiałam, widzisz, zgodzić się na to — wyjaśniła po krótkiej przerwie. — Byłam przecież strasznie osamotniona. Ale nie zapomniałam nigdy. — Głos jej zniżył się do szeptu; patrzyła wprost przed siebie. — Puszczę go kantem dla ciebie, kiedy tylko zechcesz. Spojrzawszy na jej nieco odwróconą twarz, Martin zrozumiał, że wystarczy sięgnąć ręką, by zerwać ten dojrzały owoc; mimo woli jednak począł rozmyślać, czy literacki, gramatyczny język w ogóle ma jakąkolwiek realną wartość, i zapomniał odpowiedzieć dziewczynie.

— Ale mu zadałeś bobu! — rzekła śmiejąc się przymilnie.

— Swoją drogą to mocny chłopak — uznał wspaniałomyślnie. — Gdyby go nie odciągnęli, miałbym z nim pełne ręce roboty.

— Kto była ta pani, z którą widziałam cię wtedy wieczorem? — zapytała raptem.

— A, po prostu znajoma — odpowiedział.

— Dawno to już było — szepnęła w zadumie. — Wydaje się, jak gdyby minęło od tej pory z tysiąc lat.

Martin nie miał jednak ochoty zagłębiać się dalej w ten temat i skierował rozmowę na inne tory. Zjedli obiad w resta-

uracji, gdzie zamówił wino i różne kosztowne smakołyki, po czym tańczył z nią, i tylko z nią, dopóki się nie zmęczyła.

Był dobrym tancerzem, toteż Lizzie, wirując zapamiętała z głową opartą o jego ramię, czuła się w siódmym niebie i pragnęła, aby to trwało wieki. Pod wieczór udali się znów między drzewa i tam, starym zwyczajem, ona siadła na trawie, on zaś legł na wznak z głową na jej kolanach. Leżał tak drzemiąc, dziewczyna zaś głaskała mu włosy, spoglądała czule na zamknięte oczy i zdawała się gorzeć miłością bez granic. Spojrzawszy nagle ku górze, Martin odczytał w jej twarzy czule wyznanie. Powieki jej opadły na chwilę, po czym znów się uniosły i popatrzyła mu w oczy z łagodnym, lecz wyraźnym wyznaniem.

— Nie zgrzeszyłam przez te wszystkie lata — rzekła głosem tak cichym, że niewiele różnił się od westchnienia.

Martin odczuł w głębi serca, że choć trudna do wiary, była to najszczęśliwsza prawda. Sercem jego targnęła wielka pokusa. Od niego tylko zależało dać tej dziewczynie szczęście. Czy dlatego, że sam go nie zaznał, miał i jej szczęścia odmówić? Mógł ożenić się z nią i zabrać z sobą do wymarzonego trzeci-nowego pałacu na Markizy. Pragnienie tego ozwało się w nim silnie, lecz z większą jeszcze mocą wystąpił kategoryczny imperatyw jego natury, zakazujący wszelkiej o tym myśli. Na przekór samemu sobie wierny był nadal Miłości. Dawne czasy rozwiąłości i swobodnego życia minęły bezpowrotnie. Nie mógł ani ich ponownie

przywołać, ani też sam ku nim zstąpić. Był zmieniony, jak bardzo zmieniony — teraz dopiero zaczynał rozumieć.

— Ja nie nadaję się do żeniaczki, Lizzie — rzekł lekko. Dłoń pieszcząca jego włosy zatrzymała się wyraźnie na chwilę, lecz wnet podjęła znowu te same miękkie ruchy. Widział, że twarz dziewczyny zastygła, lecz odbiło się na niej niezłomne postanowienie, gdyż jasny rumieniec nie zszedł z policzków i promieniała cała ciepłym blaskiem.

— Nie to miałam na myśli — zaczęła, lecz zaraz urwała. — Zresztą, wszystko mi jedno! Zupełnie wszystko jedno — po wtórzyła. — Dumna jestem z naszej przyjaźni. Gotowam wszystko dla ciebie zrobić. Taka już widocznie jestem.

Martin usiadł. Ujął dłonie dziewczyny. Zrobił to rozmyślnie wkładając w ten ruch ciepło, ale nie objawiając namiętności. Zmroziło to dziewczynę.

— Nie mówmy o tym więcej — powiedziała.

— Jesteś wielkoduszną i szlachetną kobietą — odparł. — To ja raczej powinienem szczyścić się naszą znajomością. I tak też jest, tak jest naprawdę! Jesteś dla mnie promykiem światła w bardzo ciemnym świecie; muszę więc postępować z tobą równie uczciwie, jak ty odnosisz się do mnie.

— Nie zależy mi na tym, byś postępował ze mną uczciwie. Możesz pozwolić sobie wobec mnie na wszystko. Wolno ci rzucić mnie w błoto i podeptać. Ale żaden inny mężczyzna prócz ciebie nie mógłby się na to ważyć — dodała z błyskiem wyzwania w oczach. — Nie na darmo od maleńkości musiałam sama się o siebie troszczyć.

— I właśnie dlatego nie mam zamiaru cię wyzyskiwać — rzekł łagodnie. — Tak jesteś wielka i wspaniałomyślna, że zmuszasz mnie do odpłacenia ci tą samą monetą. Nie chcę się żenić, a nie mogę też, jakby to rzec, kochać bez ślubu, choć w swoim czasie byłem nie od tego. Żałuję, że tu dziś przyszedłem i że cię spotkałem. Ale teraz nie ma już na to rady, a nigdy nie spodziewałem się, że tak się rzeczy ułożą.

Posłuchaj mnie jednak, Lizzie. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo cię lubię. I nie tylko lubię, bo podziwiam cię także i szanuję. Jesteś wspaniała i wspaniale dobra. Na co zresztą puste słowa? Ale prawdę mówiąc, chciałbym coś zrobić dla ciebie. Ciężkie miałaś życie. Pozwól, abym ci dał odczuć ulgę. (Radosny blask zajaśniał przez chwilę w oczach dziewczyny, by natychmiast zgasnąć). Pewien jestem, że wkrótce dostanę sporo pieniędzy, całą moc pieniędzy.

Mówiąc to pożegnał się w myśli z doliną i zatoką, z domkiem o trzciniowych ścianach i śmigłym, białym szkunerem. W gruncie rzeczy, jakież to ma znaczenie? Może przecież i tak, jak to już tyle razy robił, pojechać, dokąd zechce, zaciągając się na jakikolwiek statek, dążący w jakimkolwiek kierunku,

— Chciałbym tobie je przekazać. Musi być przecież coś, czego ty naprawdę pragniesz: może skończyć szkołę średnią czy akademię handlową. Albo może miałabyś ochotę wyuczyć się stenografii? Mógłbym ci w tym dopomóc. A jeśli żyją twoi rodzice, może urządzić im jakiś sklep kolonialny czy coś podobnego. Wymień tylko coś, na co masz ochotę, a postaram ci się to załatwić.

Lizzie nie odezwała się ani słowem. Siedziała bez ruchu, zapatrzona gdzieś przed siebie oczami, w których nie było łez, a gardło jej ścisnął tak przejmujący ból, że Martin na ten widok sam poczuł dławienie w krtani. Żałował poniewczasie wypowiedzianych słów. To, co jej zaofiarował — pieniądze i nic ponadto — wydawało się zaiste marnym ochłapem w porównaniu z tym, co ona chciała mu dać. On dawał jej rzecz obcą, z którą rozstać się mógł bez żadnej przykrości, ona zaś oddawała mu siebie samą, wraz ze swą hańbą, wstydem, grzechem i utraconą nadzieją zbawienia.

— Dajmy już temu spokój — powiedziała łamiącym się głosem, któremu usiłowała nadać pozór kasznięcia. Potem wstała. — Chodźmy stąd. Chciałabym wrócić do domu. Czuję się przemęczona.

Dzień miał się ku końcowi, a większość bawiących się gości opuściła już ogród. Kiedy jednak Martin i Lizzie wyszli spośród drzew na otwartą przestrzeń, przekonali się, że oczekuje ich garść przyjaciół. Martin natychmiast zrozumiał, co to znaczy. Zanosilo się na jakąś awanturę. Grono kolegów miało być jego przyboczną strażą. Przekroczyli w gromadzie bramę parku, z tyłu zaś szła za nimi druga podobna kompania, złożona z druhów niefortunnego wielbiciela Lizzie, zebranych przezeń w celu pomszczenia utraty dziewczyny. Kilku policjantów i innych przedstawicieli władz bezpieczeństwa w przecuciu grożących zamieszek starało się im zapobiec, towarzysząc z boku obu grupom i odprowadzając każdą z nich oddzielnie ku stacji, skąd odchodziły pociągi do San Francisco. Mar-

tin zapowiedział Jimmy'emu, że wysiądzie przy ulicy Szesnastej, gdzie złapie tramwaj jadący do Oakland. Lizzie zachowywała niewzruszony spokój, jak gdyby nadciągająca burza wcale jej nie obchodziła. Kiedy pociąg wjeżdżał na stację przy ulicy Szesnastej, z okien wagonu widać już było czekający tramwaj, którego konduktor niecierpliwym dzwonieniem wzywał podróżnych do pośpiechu.

— Wszystko w porządku, jest tramwaj — cieszył się Jimmy. — Biegnijcie pędem, a my ich tu zatrzymamy. Już was nie ma! Jazda!

Wroga gromada dała się w pierwszej chwili zaskoczyć, niebawem jednak poczęła wyskakiwać z pociągu w pogoni za uciekającą parą. Zapelniający tramwaj trzeźwi i stateczni mieszkańcy Oakland nie zwrócili uwagi na młodzieńca i dziewczynę, którzy biegiem dopadli wozu i znaleźli siedzące miejsca w przedniej, otwartej jego części. Nie skojarzyli też wcale pary tej z Jimmy'm, który wskoczywszy na stopień krzyczał do motorniczego:

— Dawaj gazu, bracie, żebyśmy pędem stąd nawiali!

W następnej chwili Jimmy odwrócił się gwałtownie i pasażerowie ujrzeli, jak jego pięść opadła na twarz jakiegoś człowieka, usiłującego w biegu wskoczyć do tramwaju. Jednocześnie wzdłuż całego wozu inne pięści w podobny sposób dały się we znaki innym twarzom. W taki to sposób Jimmy wraz z towarzyszami, uczeni na długim, dolnym stopniu tramwaju, zdolali odeprzeć nacierającą bandę. Wóz ruszył, gwałtownie dzwoniąc, opiekuńcza zaś gromada, odegnawszy ostatnich napastników, wyskoczyła teraz sama, aby dokończyć dzieła. Tramwaj pędził naprzód, zostawiając poza sobą rozgwar bitwy, a osłupiałym pasażerom nie przyszło nawet na myśl, że spokojny młody człowiek i urodziwa robotnica, siedzący w kącie zewnętrznej ławki, mogli być przyczyną całego tego zajścia.

Martinowi walka dała chwilę uciechy, przypominając o dawniej przeżywanych bojowych wzruszeniach. Uczucia te jednak rychło wygasły, ustępując miejsca wielkiemu, przytłaczającemu smutkowi. Poczł się bardzo stary, o całe stulecia starszy od tych niefrasobliwych i beztroskich towarzyszy młodości. Za daleko już zajechał w swej podróży, aby móc powrócić do punktu wyjścia. Ich sposób życia, który niegdyś i on sam uprawiał, budził w nim teraz odrazę. Wszystko go rozczarowywało. Stał się obcy całej tej atmosferze. Podobnie jak młode piwo zniechęciło go swą surowizną, tak i dawne towarzystwo raziło go zbyt prostactwem. Znadto już oddalił się od tamtego świata. Pomiędzy nim a dawnymi przyjaciółmi ziała przepaść tysięcy otwartych ksiązek. Dobrowolnie skazał się na wygnanie. Tak długo wędrował po niezmierzonej krainie ducha, że zgubił drogę powrotu. Z drugiej strony nie przestał być człowiekiem, któremu nie zaspokojona potrzeba przyjaźni i towarzystwa srodze dokuczala. Nie potrafił stworzyć sobie nowego domu. Nie rozumiała go ani gromada dawnych druhów, ani własna rodzina, ani warstwa burżuazyjna. Co więcej, nawet siedząca przy nim w tej chwili dziewczyna, którą tak bardzo szanował, nie umiała ocenić ani jego samego, ani czci, jaką jej okazywał. Gdy nad tym dumał, smutek jego nasiąkł goryczą.

— Pogódź się z nim — doradzał dziewczynie na pożegnanie, kiedy stali już przed małą, robotniczą rudera, w której Lizzie mieszkała, w pobliżu ulicy Piątej i Targowej. Miał na myśli młodego człowieka, którego miejsce u jej boku przywłaszczył sobie na dzień dzisiejszy.

— Nie mogę już... teraz — odparła.

— Nie gadaj głupstw — rzekł wesoło. — Wystarczy ci gwizdnąć, a zaraz przyleci do ciebie.

— Ja nie to miałam na myśli — powiedziała z prostotą. Martin doskonale wiedział, co miała na myśli.

Gdy miał jej już życzyć dobrej nocy, dziewczyna pochyliła się ku niemu całym ciałem, ale nie ruchem władczy ani kuszącym, tylko tęsknie jakoś i pokornie. Wzruszyło go to do głębi serca. Wrodzona mu głęboka życzliwość dla wszystkiego, co ludzkie, doszła w nim teraz do głosu. Otoczył ją ramionami i serdecznie ucałował, czując przy tym, że na wargach jego odcisnął się najszczerzy pocałunek, jaki kiedykolwiek dane było mężczyźnie otrzymać.

— O Boże I — załkała. — Oddałabym życie za ciebie! Oddałabym z ochotą !

Nagle oderwała się od niego i wbiegła na stopnie schodów. Poczul wtedy, że w oczach kręca mu się łzy.

— No i co, Martinie Edenie I — przemówił sam do siebie. — Nie jesteś bydlakiem i marny z ciebie zaiste wyznawca Nietzschego. Gdybyś tylko mógł, ożeniłbyś się z nią od razu i nappełniłbyś szczęściem jej rozdygotane serce. Cóż, kiedy nie możesz, żadną miarą nie możesz! I w tym tkwi całe nieszczęście!

Stary tramp opowiada o swych starych wrzodach — przypomniał sobie ulubiony ustęp z Henleya — myślę, że nasze życie to haniebny błąd. O tak, naprawdę życie to haniebny błąd.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Hańba słońca ukazała się w październiku. Kiedy Martin rozerwał sznurki pośpiesznej przesyłki i na stół wysypało się sześć egzemplarzy autorskich przekazanych mu przez wydawcę, serce jego zaciągnęło się mgłą ciężkiego smutku. Myślał o szalonej rozkoszy, jaką zdarzenie to wywołałoby w nim jeszcze przed paroma miesiącami, i rozkosz tę zestawiał z obecnym obojętnym chłodem. Przecież to jego własna książka, pierwsza jego książka, a mimo to tętno krwi ani o ułamek nie zabiło mu żywiej i nie odczuwał nic prócz smutku.

Ukazanie się książki niewiele miało dlań teraz wartości. Co najwyżej oznaczało pieniądze, ale i na pieniądzech nie zależało mu przecież prawie wcale. Jeden z egzemplarzy zaniósł do kuchni i ofiarował Marii. — To ja to zrobiłem — wyjaśnił, aby rozwiać jej zdziwienie. — Napisałem tę książkę w tym oto pokoiku, a przyczyniło się do tego z pewnością kilka kwart waszej jarzynowej zupy. Zachowajcie to. Książka należy do was. Tak, wiecie, jako pamiątka po mnie.

Nie mówił tego dla próżnej chwały czy dla podkreślenia swej wyższości. Po prostu chciał jej sprawić przyjemność, dać jej powód do dumy z tego człowieka, którego przez tak długi czas wiernie darzyła zaufaniem. Maria zaniósła książkę do ba wialni i położyła ją na rodzinnej Biblii. Książka lokatora była dla niej rzeczą świętą, fetyszem przyjaźni. Łagodziła cios zadany przez okoliczność, że zajmował się kiedyś praniem, a choć Maria nie rozumiała z książki zgoła nic, pewna była, że każdy jej wiersz jest wspaniały. Była sobie przecież zwykłą

kobiecina, zajęta wyłącznie praktyczną stroną życia i ciężko pracującą, ale posiadała niewyczerpane zapasy wiary.

Z taką samą obojętnością, z jaką odebrał Hańbę słońca, odczytywał Martin recenzje o swej książce, nadsyłane mu co tydzień przez biuro wycinków prasowych. Książka najwyraźniej zyskiwała sobie duże powodzenie. Oznaczało to zarazem, że do trzosa wpłynie więcej złota. Martina stać było teraz na to, aby urządzić Lizzie, wypełnić wszystkie obietnice, a prócz tego wystawić sobie trzcinowy pałac.

Firma Singletree, Darnley i Ska przezornie odbiła książkę w skromnym nakładzie tysiąca pięciuset egzemplarzy, lecz już po ukazaniu się pierwszych krytyk rzuciła pod prasę drugie wydanie, dwukrotnie większe. Zanim ono zdołało ukazać się w książkowej postaci, zamówiono już trzecie wydanie, obejmujące pięć tysięcy egzemplarzy. Pewna firma londyńska zgłosiła telegraficznie chęć przygotowania wydania przeznaczonego dla Anglii, zaraz zaś potem nadeszły zawiadomienia o dokonywanych we Francji, Niemczech i Skandynawii przekładach. Atak na szkołę Maeterlincka przypuszczony został w wyjątkowo sprzyjającej chwili. Rozgorzały namiętne spory. Saleeby i Haeckel całym swym autorytetem popierali Hańbę słońca, raz wreszcie znalazłszy się po jednej stronie barykady. Crookes i Wallace zajęli stanowiska w obozie przeciwnym, sir Oliver Lodge zaś próbował pogodzić oba zwaśnione kierunki, formułując kompromisową opinię pokrywającą się z jego własnymi teoriami kosmicznymi. Wielbiciele Maeterlincka stanęli ławą wokół sztandaru mistycyzmu. Chesterton rozśmieszył cały świat szeregiem niby to bezstronnych szkiców na ten temat, a cała sprawa, łącznie z obu zwalczającymi się stronami, została niemal zdruzgotana grzmiącą filipiką, z jaką wystąpił George Bernard Shaw. Nie trzeba chyba dodawać, że na arenę wtoczyło się poza tym mnóstwo postaci podrzędniejszego znaczenia, co doprowadziło zamieszanie i zgiełk walki do nie spotykanych granic.

Rzecz to prawdziwie niezwykła — pisała do Martina firma Singletree, Darnley i Ska — aby rozprawa krytyczna z zakresu filozofii rozchodziła się jak powieść. Nie mógł Pan wybrać sobie lepszego tematu, wszystkie zaś uboczne czynniki złożyły się dla Pana wyjątkowo pomyślnie. Jest zrozumiałe samo przez się, że staramy się kuć żelazo, póki gorące. Na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady rozprzedano już do tej pory ponad czterdzieści tysięcy egzemplarzy, pod prasą zaś jest już nowe wydanie o dwudziestotysięcznym nakładzie. Z trudnością podołać możemy rosnącemu zapotrzebowaniu. Co prawda sami przyczyniliśmy się do wywołania takiego popytu. Na reklamę wydaliśmy już pięć tysięcy dolarów. Książka Pańska jest na najlepszej drodze do pobicia wszelkich rekordów.

Pozwalamy sobie załączyć do niniejszego sporządzony w dwu egzemplarzach projekt umowy dotyczącej następnej Pańskiej książki. Zechce Pan zauważyć, że udział Pana w sumie uzyskiwanej z rozprzedaży podnieśliśmy do dwudziestu procent, co stanowi chyba najwyższą granicę, do jakiej dojść może rozsądnie prowadzone wydawnictwo. Jeśli nasza propozycja odpowiada Pańskim życzeniom, prosimy we właściwej wolnej rubryce wpisać tytuł swego dzieła. Nie stawiamy żadnych warunków co do jego rodzaju. Może to być książka na dowolny temat. Jeśli posiada Pan gotową już pracę, tym lepiej dla wszystkich. Teraz jest najwłaściwszy czas działania. Żelazo nie mogłoby już być gorętsze.

Z chwilą otrzymania podpisanej przez Pana umowy będziemy mieli zaszczyt przesłać Panu zaliczkę na poczet honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Jak pan widzi, ufamy mu całkowicie, a zamierzony interes planujemy na wielką skalę. Pragnęlibyśmy również omówić z Panem warunki, na jakich zechciałby Pan zawrzeć z nami umowę na termin dłuższy, powiedzmy: dziesięcioletni, w którym mielibyśmy wyłączne prawo wydawania Pańskich dzieł w formie książkowej. Do tej sprawy powrócimy niebawem.

Martin odłożył list i dokonał w myśli działania arytmetycznego, w wyniku którego wypadło, że suma piętnastu centów pomnożona przez sześćdziesiąt tysięcy wyniesie dziewięć tysięcy dolarów. Nową umowę podpisał umieszczając w wolnym miejscu tytuł Dym wesela, po czym

odesłał ją wydawcom wraz z dwudziestu opowiadkami napisanymi w okresie poprzedzającym odkrycie uniwersalnej formuły na beletrystykę dla gazet. I rzeczywiście, z największą szybkością, do jakiej zdolna była poczta Stanów Zjednoczonych, nadszedł od firmy Singletree, Darnley i Ska zapowiadany czek na pięć tysięcy dolarów.

— Chciałbym, Mario, abyście poszli wraz ze mną do miasta dziś około drugiej po południu — powiedział Martin zaraz po otrzymaniu czeku. — Albo lepiej spotkamy się o drugiej na rogu ulicy Czternastej i Broadwayu. Będę tam na was czekał na pewno.

O wyznaczonej godzinie Maria stawiała się na miejsce. Jedynym jednak rozwiązaniem tajemnicy były w jej mniemaniu buty, toteż doznała poważnego rozczarowania, gdy Martin minął wraz z nią sklep z obuwem i wprowadził ją do biura pośredniczącego w sprzedaży nieruchomości. Wszystko, co się potem zdarzyło, zachowało się na zawsze w jej pamięci jako cud. Elegancy panowie uśmiechali się do niej życzliwie, rozmawiając z Martinem i między sobą. Maszyna do pisania stuknęła; składano podpisy na jakimś okazale wyglądającym dokumencie. Gospodarz Marii był tam również obecny i także się podpisał. Kiedy zaś było już po wszystkim i znalazła się znów na ulicznym chodniku, gospodarz podszedł do niej mówiąc: — No i co, Mario, nie będziecie już potrzebowali płacić mi siedem i pół dolara komornego za ten miesiąc.

Maria była zbyt oszołomiona, aby zdobyć się na odpowiedź.

— Ani za następny, ani za jeszcze dalszy, ani w ogóle za żaden — dokończył gospodarz. Obsypała go chaotycznymi podziękowaniami, jak gdyby doznała od niego łaski. I dopiero gdy znalazła się znów u siebie w północnym Oakland, gdy pogadała z sąsiadami i dała rzecz do zbadania portugalskiemu sklepikarzowi, uwierzyła naprawdę, że stała się właścicielką domku, w którym przez tyle lat mieszkała płacąc komorne.

— Dlaczego nie kupuje pan teraz nic u mnie? — zagadnął tenże portugalski sklepikarz, wyszedłszy wieczorem na spotkanie wysiadającego z tramwaju Martina. Wyjaśniwszy, że przestał gotować u siebie w domu, Martin wszedł do sklepu kolonialnego i napił się wina postawionego mu przez gospodarza. Zauważył też, że było to najlepsze wino, jakie Portugalczyk miał na składzie.

— Moja Mario — oświadczył tego wieczoru Martin. — Zamierzam wyprowadzić się od was. A i wy również niedługo opuścicie te strony. Możecie wtedy wynająć komuś ten domek i sama z kolei pobierać komorne. Wiem, że macie w San Leandro czy też w Haywards brata trudniącego się mleczarstwem. Otóż teraz musicie odesłać klientom całą tę bieliznę nie upraną — słyszycie mnie? nie upraną — i wybrać się zaraz jutro do tego San Leandro, Haywards czy jak tam jeszcze, by zobaczyć się z waszym bratem. Powiedzcie mu, żeby jak najprędzej zgłosił się do mnie. Znajdzie mnie w hotelu "Metropol" w Oakland. On chyba będzie wiedział, jak powinna wyglądać porządna farma mleczna.

Tak więc doszło do tego, że Maria stała się wyłączną właścicielką nieruchomości miejskiej oraz mleczarni, gdzie dwaj robotnicy wyręczali ją w wykonywaniu ciężkiej pracy. Miała też konto w banku wzrastające nieustannie, mimo że cała je i dzieciarnia nosiła teraz buty i chodziła do szkoły. Niewielu tylko osobom udaje się spotkać w życiu wyśnionego królewicza z bajki, ale Maria, która wiodła twarde życie i tak twardą miała głowę, że nigdy nie zdarzyło jej się marzyć o cudownym księciu, znalazła go w przebraniu byłego robotnika z pralni. Tymczasem świat zaczął się interesować, kim właściwie jest Martin Eden. Odmawiał on dotychczas udzielania wydawcom jakichkolwiek o sobie danych, ale na dziennikarzy nie było sposobu. Oakland było jego rodzinnym miastem, wobec czego reporterom nietrudno było wyszukać licznych osobników mogących służyć im informacjami. Toteż wszystko, czym był i czym nie był, co uczynił, a zwłaszcza, czego nigdy nie robił, rzucano teraz ku powszechnej uciechu przed oblicze publiczności wraz ze zdjęciami migawkowymi i portretami dostarczonymi przez miejscowego fotografa, u którego Martin kiedyś zamówił swą podobiznę, a który teraz zapewnił sobie wyłączne prawo dokonywania z niej odbitek i zasypał

nimi rynek. Z początku Martin tak wielką czuł odrazę do czasopism i całego burżuazyjnego społeczeństwa, że usiłował zwalczać ów szal reklamowy. W końcu jednak poddał się, ponieważ było to łatwiejsze. Uważał, że nie wypada odmawiać chwili rozmowy specjalnym korespondentom, którzy odbywali nieraz długą drogę, aby się z nim spotkać. Poza tym każdy dzień składał się przecież z wielu długich godzin, a że Martin zaniechał teraz tak pisania, jak i nauki, trzeba było ten czas czymś zapełnić. Uległ tedy nakazowi chwili i zgodził się udzielać wywiadów, wypowiadać swe poglądy na różne tematy literackie i filozoficzne, a nawet niekiedy przyjmować zaproszenia ze sfery burżuazyjnej. Popadł w dziwny jakiś, lecz wygodny stan umysłu. Nie przywiązywał wagi do niczego. Darowywał urazy wszystkim, nawet owemu młodziakowi z gazety, który go kiedyś wymalował na czerwono, a któremu teraz udzielił wywiadu na całą stronę, ze zdjęciami, do których specjalnie pozował.

Martin widywał czasami Lizzie i wyraźnie czuł, że dziewczyna nie jest rada ze sławy, która nań nagle spadła. Dzieląca ich przepaść pogłębiła się. Może w nadziei częściowego jej zmniejszenia ustąpiła wobec nalegań Martina i zgodziła się chodzić do szkoły wieczornej i na kursy handlowe oraz ubierać się u doskonałej krawcowej, która zresztą zdzierła za to niesamowite sumy. Czyniła z dnia na dzień tak wyraźne postępy, że Martin począł się lękać, czy postępuje wobec niej właściwie, wiedział bowiem, iż jej dobre chęci i niezwykła pilność mają swe wyłączone źródło w nadziei przypodobania mu się. Starła się usilnie nadać sobie wartość w jego oczach, ten właśnie rodzaj wartości, który on zdawał się cenić. Martin wszakże nie podtrzymywał jej złudzeń, traktując ją po bratersku i odwiedzając rzadko. Poniewczasie rzucone zostało na rynek przez firmę Meredith-Lowell w momencie szczytowego powodzenia Martina, a jako powieść zdobyło jeszcze większy sukces niż Hańba słońca. Martin poszczycić się mógł nie mającym precedensu faktem, że przez dłuższy czas jednocześnie dwie jego książki zajmowały czołowe miejsca wśród najpopularniejszych dzieł sezonu. Fabuła Poniewczasie podobała się nie tylko amatorom powieści; również zapalonych wielbicieli Hańby słońca pociągało w tym morskim opowiadaniu mistrzostwo kosmicznego ujęcia tematu. Zaczął od ataku na literaturę mistyczną, który przeprowadził z wyjątkowym powodzeniem; zaraz zaś potem przedstawił wzór literatury, jaką sam popierał, dowodząc tym samym, iż godzi w siebie genialne cechy krytyka z natchnieniem twórcy. Zarówno pieniądź, jak i sława spływały nań wartkim potokiem; niby kometa zajaśniał na niebie literatury, a zamieszanie, które wszczął swą osobą, bawiło go raczej, niż prawdziwie interesowało. Jeden tylko szczegół niepokoił go, drobny szczegół, który mógłby wprawić w zakłopotanie cały świat, gdyby ten świat o nim wiedział. Ale świat przejąłby się może raczej faktem jego zakłopotania niż samą ową drobnostką, która w umyśle Martina przybrała rozmiary olbrzymie. Sędzia Blount zaprosił go na obiad. To był właśnie ów drobiazg, a ściślej mówiąc, początek drobiazgu, który miał urosnąć do rzeczy wielkiej. Martin ubliżył ongiś sędziemu, zachował się wobec niego ohydnie, a mimo to sędzia Blount, spotkawszy go na ulicy, zaprosił na obiad. Martin rozmyślał teraz nad tym, ile to razy sędzia Blount widywał go u Morse'ów i mógł zaprosić na obiad, lecz nie uczynił tego.

Dlaczego nie chciał go wtedy zapraszać? — zapytywał sam siebie. Nie zmienił się przecież od tego czasu. Był zawsze tym samym Martinem Edenem. Na czym tedy polegała różnica? Czy tylko na tym, że jego dzieła ukazały się na świecie pod osłoną książkowych okładek? Przecież praca wtedy już była dokonana. Nic z tego nie napisał później. Wszystko osiągnął już wówczas, gdy sędzia Blount zgodnie z ogólnym poglądem szydził z jego kultu dla Spencera i z całej jego postawy umysłowej. Wynika z tego, że sędzia zaprasza go teraz na obiad nie z uwagi na jakąś wartość istotną, lecz wyłącznie ze względu na wartość fikcyjną. Martin z uśmiechem przyjął zaproszenie, dziwiąc się jednocześnie własnej gotowości. W czasie zaś samego obiadu na którym obecnych było pół tuzina wybitnych ludzi w towarzystwie dam, Martina traktowano jako honorowego gościa. Sędzia Blount, poparty gorliwie przez sędziego Hanwella, nalegał nań osobiście, aby pozwolił zgłosić swoją

kandydaturę na członka „Styksu”, ekskluzywnego klubu, do którego należeli nie tyle bogacze, ile raczej ludzie zasłużeni. Martin grzecznie odmówił, lecz dziwił się coraz bardziej.

Wiele trudu sprawiało mu właściwe pokierowanie losami nagromadzonego stosu rękopisów.

Redaktorzy zasypywali go teraz zamówieniami. Nagle odkryto, że jest pisarzem, który rozporządza niezwykle jedynym stylem. „Przegląd Północy” po ogłoszeniu Kolebki piękna zwrócił się do Martina z prośbą o nadesłanie kilku dalszych szkiców o podobnej treści. Zostałyby one prawdopodobnie dostarczone z zapasów przechowywanych w stosie, gdyby nie to, iż wydawnictwo Burтона zdecydowało się na ryzykowny krok, zamawiając pięć szkiców w cenie po pięćset dolarów za każdy. Martin odpisał, że chętnie pokryje to zapotrzebowanie, nie inaczej jednak, jak licząc po tysiąc dolarów za szkic. Pamiętał dobrze, że wszystkie te rękopisy odrzucone zostały niegdyś przez te same właśnie czasopisma, które teraz tak natarczywie ubiegały się o nie. Odrzucali jego prace z zimną krwią, automatycznie, stereotypowo. Redaktorzy porządnie go wtedy wymęczyli, wobec czego on teraz z kolei postanowił ich pomęczyć. Wydawnictwo Burтона zapłaciło żadaną kwotę za pięć szkiców, cztery zaś pozostałe porwał w tej samej cenie „Miesięcznik Mackintosha”. Mniej zasobny w fundusze „Przegląd Północy” odpadł w tym wyścigu. W ten sposób poszły w szeroki świat następujące prace: Arcykapłani tajemnicy, Marzyciele, Miernik jaźni, Filozofia złudzenia, Bóg a proch, Sztuka a biologia, Krytycy i próbówki, Pył gwiazdny oraz Godność lichwy. poszły w świat, by rozbudzić długo nie milnące burze, protesty i szemrania.

Redaktorzy prosili, aby sam oznaczał odpowiadające mu warunki. Do prośby tej stosował się, lecz dotyczyło to niezmiennie prac już poprzednio dokonanych. Zdecydowanie nie chciał podejmować nowych twórczych wysiłków. Sama myśl

o pisaniu doprowadzała go do szału. Widział, jak Brissendena tłum rozszarpał na strzępy, a choć jego samego obdarzył poklaskiem, Martin dotychczas nie mógł zapomnieć doznanego wstrząsu i odnosił się do tego tłumu z pogardą. Własna popularność stawała się w jego oczach ujmą i zdradą w stosunku do Brissendena. Budziło to w nim odrazę, lecz Martin był zdecydowany w dalszym ciągu nabijać kabzę.

Od redakcji zdarzało mu się otrzymywać listy tego rodzaju:

Mniej więcej przed rokiem mieliśmy nieszczęście odrzucić zbiorek Pańskich poematów miłosnych. Wprawdzie wywarły one na nas wielkie wrażenie, ale uprzednio zaciągnięte zobowiązania nie pozwoliły nam ich nabyć. Jeśli jest Pan nadal w ich posiadaniu i nie odmówi nam łaskawego ich nadesłania, z przyjemnością wydalibyśmy całość zbioru na warunkach, które Pan sam zechce określić. Gotowi jesteśmy także wydać te poezje w formie książkowej i przygotowujemy w związku z tym dla Pana korzystną umowę.

Martin przypomniał sobie tragedię pisaną białym wierszem

i wysłał ją zamiast oczekiwanego zbioru. Przed oddaniem na pocztę odczytał ją jeszcze raz i uderzony był wyjątkowo naiwnym i dyletanckim opracowaniem, stanowiącym o kompletnym braku wartości. Niemniej jednak wysłał tę tragedię, która też ukazała się w druku ku wieczystemu utrapieniu redaktora. Publiczność przyjęła ją z oburzeniem i niedowierzaniem. Zbyt wielka przepaść dzieliła tę wyraźną miernotę od wysokiego poziomu artystycznego cechującego inne dzieła Martina Edena. Wyrażano przypuszczenie, że autor ten nie mógł napisać nic podobnego, a wydawnictwo tylko podrobiło niezręcznie jego pióro, albo też, że Martin Eden wstępuje w ślady Dumasa ojca i będąc u szczytu powodzenia wynajmuje sobie pomocników piszących za niego. Kiedy jednak Martin podał do ogólnej wiadomości, że tragedia stanowi nieudany plód jego lat szczenięcych, który wydawnictwo uparło się ogłosić, podniósł się huczny śmiech kosztem niefortunnego miesięcznika, a redakcja zmuszona była w następstwie przeprowadzić poważne zmiany personalne. Tragedia nie doczekała się wydania książkowego, mimo że Martin pobrał z góry honorarium.

„Tygodnik Colemana” nadesłał Martinowi długi, kosztujący bez mała trzysta dolarów telegram, w którym prosił go o dwadzieścia artykułów po tysiąc dolarów każdy. Martin miał

odbyć podróż po Stanach Zjednoczonych i wybrać dowolne interesujące go tematy. Trzon depešy składał się z przykładowego wykazu całego szeregu możliwych do poruszenia problemów, co podkreślić miało ogromną swobodę pozostawioną pisarzowi. Jedynym wiążącym żądaniem było ograniczenie zakresu artykułów do spraw dotyczących Stanów Zjednoczonych. Martin odpowiedział telegraficznie na koszt redakcji, iż z żalem zmuszony jest odrzucić jej propozycję.

Wiki-Wiki, ogłoszone w „Miesięczniku Warrena”, osiągnęło natychmiastowe powodzenie. Wydano je następnie w pięknie ozdobionym tomie dużego formatu, który nadawał się świetnie na upominek świąteczny i został w mgnieniu oka rozprzedany. Krytycy jednogłośnie wyrazili przekonanie, że rzecz ta godna jest stać w jednym szeregu z arcydziełami dwóch wielkich pisarzy: Duszkim z kałamarza i Jaszczurem*.

Publiczność natomiast dość chłodno i nieufnie zareagowała na zbiór zatytułowany Dym wesela. Zuchwałe nieliczenie się z panującym konwencjonalizmem, cechujące tematy tych opowiadań, musiało razić pełną przesadą moralność mieszczańską. Skoro jednak Paryż począł szaleć za natychmiast dokonanym przekładem tej książki, czytelnicy amerykańscy i angielscy dali się porwać zapalowi Francuzów i rozkupili tyle egzemplarzy, iż Martin zdołał wymóc na tak zazwyczaj ostrożnej firmie Singletree, Darnley i Ska podniesienie swego udziału do dwudziestu pięciu procent za trzecią książkę i trzydziestu procent za czwartą. W tych dwóch tomach znalazły się wszystkie napisane przez Martina nowele, które ukazały się lub ogłaszane były właśnie w odcinkach czasopism. Dźwięk dzwonów i opowieści niesamowite składały się na pierwszy zbiorek, drugi zaś obejmował Przygodę, Garnek, Wino życia, Wir, Gwarną ulicę i jeszcze cztery inne nowele. Wydawnictwo Meredith-Lowell zajęło się opublikowaniem zbioru rozpraw i szkiców krytycznych, firma zaś Maxmillian otrzymała Liryki morza i Cykl miłosny. Ten ostatni zbiór poezji ukazał się ponadto, po wypłaceniu niesłychanie wygórowanego honorarium, w odcinkach kolejnych numerów tygodnika „Pani Domu”.

Martin odetchnął z ulgą, kiedy udało mu się sprzedać ostatni rękopis. Pałac o trzciniowych ścianach i obity miedzią biały szkuner zbliżyły się doń teraz na odległość wyciągniętej ręki. W każdym razie zdołał obalić twierdzenie Brissendena, iż nic z tego, co wartościowe, nie zdoła utorować sobie drogi do czasopism. Własne jego powodzenie dowodziło, że Brissenden był w błędzie. Wbrew oczywistości jednak gdzieś w głębi duszy Martina tkwiło uparte przeświadczenie, że w gruncie rzeczy przyjaciel jego się nie mylił. Prawdziwą przyczyną jego powodzenia była nie tyle wartość jego utworów, ile sensacja wywołana ukazaniem się Hańby słońca. Wartość istotna odgrywała rolę podrzędną. Prace jego były odrzucane wielokrotnie przez czasopisma. Dopiero ogłoszenie Hańby słońca rozpętało namiętne spory, w wyniku czego opinia ogółu przechyliła się na jego korzyść. Gdyby nie sukces Hańby słońca, ten owczy pęd nie byłby nastąpił. Firma Singletree, Darnley i Ska nie bez powodu nazwała go cudem. Pierwotnie wypuszczone przez nią wydanie liczyło przecież zaledwie tysiąc pięćset egzemplarzy, których rozprzedaż i tak wydawała się wątpliwa. Firma, mająca duże doświadczenie wydawnicze, nadziwić się wprost nie mogła osiągniętym potem sukcesom. Było to dla niej istotnie cudowne zrządzenie losu. Nigdy też nie zdołała się z nim oswoić i wszystkie pisane później przez tę firmę listy do Martina nosiły piętno nabożnego lęku, zrodzonego w chwili niewytłumaczonego początkowego powodzenia. Nie silono się na wyjaśnienie tej zagadki. Nie było tam zresztą co wyjaśniać. Po prostu tak się zdarzyło. Zdarzyło się wbrew wszelkim przewidywaniom opartym na doświadczeniu.

Tak rozumując Martin coraz bardziej wątpił o trwałości nabytej sławy. Przecież to burżuazja kupowała jego książki i napełniała złotem jego trzos, to zaś, co wiedział o burżuazji, nie przemawiało bynajmniej za tym, by mogła ona należycie ocenić i zrozumieć jego pisma. Leżące u podstaw jego twórczości piękno i twórcza moc nie miały najmniejszej wartości w oczach owych setek tysięcy ludzi, którzy oklaskiwali go i kupowali jego książki. Stał się po

prostu gwiazdą sezonu, poszukiwaczem przygód, który wdarł się na Parnas korzystając z chwili, gdy bogowie drzemali. Tłumy czytały go i oklaskiwały z tym samym tępym niezrozumieniem, z którym rzuciły się na Efemerydę Brissendena i w puch ją rozniosły. Zgraja wilków, zamiast szczerzyć kły, poczęła się doń na odmianę łąsić. Drapieżność i potulność zależały tu wyłącznie od przypadku. O jednej rzeczy wiedział Martin z pewnością niezachwianą: Efemeryda była dziełem nieskończenie lepszym od wszystkiego, co on sam napisał. Była nawet nieskończenie lepsza od wszystkiego, co w nim tkwiło. Był to poemat, jaki pojawia się raz na całe stulecia. A skoro tak, to hołd oddawany Martinowi przez pospólstwo był naprawdę mizernym hołdem, bo przecież to samo pospólstwo mieszało Efemerydę z błotem. Martin westchnął ciężko, odczuwając zarazem zadowolenie. Cieszył się, że ostatni rękopis został wreszcie sprzedany i że wkrótce będzie już można raz na zawsze z tym wszystkim skończyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY C Z W A R T Y

Pan Morse spotkał Martina w kantorze hotelu „Metropol”. Czy znalazł się tam przypadkowo, z okazji załatwiania innych jakichś spraw, czy też przybył specjalnie w celu zaproszenia go na obiad, tego Martin nigdy nie zdołał na pewno ustalić, skłonny był jednak raczej przyjąć tę drugą hipotezę. Tak czy owak, nie ulegało wątpliwości, że został zaproszony na obiad przez pana Morse, ojca Ruth, który wymówił mu dom i spowodował zerwanie zaręczyn. Martin nie odczuwał wcale gniewu. Nie był nawet urażony. Wobec pana Morse zachowywał postawę pobłażliwą, wyczuwając, iż nie musi mu być przyjemnie przeżywać tego rodzaju upokorzenie. Zaproszenia nie odrzucił wprost. Odłożył je po prostu na później, w sposób mętny i nieokreślony, po czym zaczął rozpytywać o członków rodziny, a w szczególności o panią Morse i Ruth. Imię byłej narzeczonej wymawiał z całkowitą swobodą, tonem naturalnym, choć w duszy dziwił się bardzo, że nie odczuwa już przy tym wewnętrznego drżenia ani nie doznaje tak dobrze znanego mu dawniej przyśpieszenia tętna i gorącego rumieńca.

Dostawał ostatnio wiele zaproszeń na obiady i niektóre z nich przyjmował. Wiele osób starało się zawrzeć z nim znajomość specjalnie w tym celu, aby go móc zaprosić. On zaś dziwił się coraz bardziej, widząc, jak ów drobiazg urasta do sprawy wielkiej. Otrzymał między innymi zaproszenie także i od Bernarda Higginbothama. Zdumienie jego wzmogło się jeszcze. Pamiętał wszak dobrze te czasy, kiedy rozpaczliwie głodował, a nikomu nie przychodziło na myśl częstować go obiadem. To wtedy potrzebował obiadów, słabnąc, mdlejąc i chudnąc zatrwając z głodu. Na tym polegała paradoksalność całej sytuacji. Kiedy łąknął obiadów, nikt mu ich nie dawał, teraz zaś, gdy mógł ich sobie kupić bez liku i tracił już apetyt, zaproszenia poczęły się nań sypać jak z rogu obfitości. Dlaczego tak się dzieje? Nie wchodzi tu w grę ani sprawiedliwość, ani zasługa z jego strony. Nie zmienił się przecież od tego czasu. Całe bez wyjątku jego dzieło było już wtedy pracą dokonaną. Państwo Morse uznali go za próżniaka i darmozjada, namawiając za pośrednictwem Ruth do przyjęcia biurowej posady. Co gorsza zaś, wiedzieli doskonale o pracy, jaką wykonał. Ruth pokazywała im kolejno jego rękopisy. Nie było wątpliwości, że je czytali. A były to ściśle te same utwory, które rozślały teraz jego imię na szpaltach wszystkich gazet do tego stopnia, iż fakt ten właśnie skłonił ich do ubiegania się o jego towarzystwo.

Jedno było tu najzupełniej pewne: państwu Morse nie zależało dawniej ani na nim samym, ani na jego dziele. Lecz skoro tak, to i teraz niemożliwe, by chcieli go gościć ze względu na jego osobę czy twórczość; działała na nich wyłącznie okoliczność, że posiadał znaczną sławę, że wyrobił sobie między ludźmi pozycję, a także — czemużby nie? — że stał się właścicielem jakichś stu tysięcy dolarów. Taką oto miarą społeczeństwo burżuazyjne oceniało ludzi. Czyż ma się ludzi, że mogłoby być inaczej? Ale Martin był dumny. Gardził takim uznaniem. Pragnął, aby go szanowano dla niego samego, dla tego dzieła, które przecież w gruncie rzeczy nie było niczym innym, jak wyrazem jego osobowości. W ten sposób ceniła go Lizzie. Nawet dzieło nie miało dla niej znaczenia. W rachubę wchodził tylko on, on sam. Podobny stosunek miał do niego hydraulik Jimmy i cała paczka starych przyjaciół. Dowiedli tego niejednokrotnie za czasów dawnej zażyłości, dowiedli także ostatnio przy sposobności niedzielnego zajścia w parku Shell

Mound. Jeśli o nich chodziło, mógł śmiało wszystkie swoje dzieła cisnąć do kosza. Jego tylko lubili i gotowi byli bronić do upadłego, jego, Marta Edena, starego kompana i prawdziwie dobrego chłopca I

Inaczej przedstawiała się sprawa z Ruth. Że i ona polubiła go za jego osobiste wartości, o tym nie mógł wątpić. Ale bez względu na to, jak bardzo go lubiła, wyżej od niego stawiała burżuazyjne kryteria oceny. Przeciwna była pracy pisarskiej Martina przede wszystkim, jak mu się zdawało, z tego względu, że praca ta się nie opłacała. Na tym przecież polegała jej krytyczna opinia o Cyklu miłosnym, I ona również nagliła, aby wziął posadę. Nazywała to co prawda wytwornie „stanowiskiem”, ale wychodziło to przecież na jedno, a w pamięci utkwiło mu dawne określenie. Przeczytał jej cały swój dorobek, wiersze, nowele, rozprawy, Wiki-Wiki, Hańbę słońca, jednym słowem: wszystko. Mimo to nigdy nie przestała zapędzać go uparcie do posady, do pracy, jak gdyby — dobry Boże! — nie pracował przez cały czas ponad siły, odmawiając sobie snu i wystawiając na szwank zdrowie, byle tylko stać się jej godnym.

Tak tedy drobiazg przybierał coraz większe rozmiary. Martin był zdrow, czuł się dobrze, odżywał się regularnie i wysypiał do woli, a mimo to rosnący drobiazg prześladował go natrętnie. Praca dokonana! Zwrot ten dręczył go z opętającą uporczywością. Siedział naprzeciwko Bernarda Higginbothama przy wystawnym obiedzie niedzielnym nad sklepem spożywczym szwagra i całym wysiłkiem woli musiał się powstrzymać, aby nie krzyknąć: Praca już wtedy była dokonana! A wy teraz dopiero mnie karmicie, wówczas zaś kazaliście mi zdychać, odmawialiście gościny i wyklinaliście mnie za to, że nie chciałem brać posady. Cała robota była już gotowa, absolutnie cała. Teraz zaś, ilekroć otwieram usta, wy milkniecie natychmiast, z pobożnym skupieniem czekacie na moje słowa i każdą wyrażoną przeze mnie myśl uważacie za głos wyroczni. Rzucam wam w twarz, że partia wasza próchnieje, że pełna jest karierowiczów, a wy, zamiast wpaść we wściekłość, zaczynacie cmokać i mrużyć z zachwytem, przyznając, że w moich słowach tkwi wiele słuszności. Ale dlaczego? Bo jestem sławny i mam kupę pieniędzy. Wcale nie dlatego, że jestem Martinem Edenem, porządnym i niegłupim chłopakiem. Choćbym wam oświadczył, że księżyc ulepiony jest z zielonego sera, przyznalibyście mi rację, a w każdym razie nie odważylibyście się mi zaprzeczyć, ponieważ nie tylko nie brak mi dolarów, ale mam ich nawet całe góry. A cała robota gotowa była od dawna; była ona pracą wykonaną już wtedy, powiadam wam, kiedy pluliście na mnie, traktując na równi z deptanym przez was błotem.

Ale Martin nie krzyczał głośno. Myśl uporczywa wżerała mu się w mózg, przyczyniając nieustannego bólu, na pozór jednak miał twarz uśmiechniętą i z powodzeniem zmuszał się do uprzejmości. Kiedy zamilkł, Bernard Higginbotham skorzystał ze sposobności, by dobrać się do głosu. Wszakże i on odniósł w życiu powodzenie i miał z czego być dumny. Wybił się własnym wysiłkiem. Nie pomagał mu nikt. Nic nikomu nie miał do zawdzięczenia. Wypełniał swą powinność obywatelską utrzymując liczną rodzinę. Dowodem zaś jego pilności i zapo-

biegliwości był ten oto Handel Detaliczny Higginbothama. Kochał sklep takim uczuciem, jakim niektórzy obdarzają własne żony. Otworzył teraz serce przed Martinem, wykazując, ile wysiłku i ogromu celowej pracy kosztowała rozbudowa tego zakładu. Na przyszłość żywi dalsze ambitne plany. Okolica rozwija się szybko; sklep wyraźnie już nie może sprostać swym zadaniom. Gdyby tylko rozporządzał dostateczną ilością miejsca, wprowadziłby różne ulepszenia dające oszczędność w pracy i kosztach. I dopnie swego z pewnością! Już teraz zbiera siły na ten dzień, kiedy będzie mógł dokupić sąsiedni plac i wybudować drugi drewniany dwupiętrowy dom. Górę będzie można wynająć, a cały parter obu domostw zajmie Handel Detaliczny Higginbothama. Oczy Bernarda zabłyśły, gdy wspominał o nowym szyldzie, który rozciągnie się na całą długość obu złączonych budynków.

Martin nie słuchał prawie. Dźwięczało mu w myśli „praca dokonana” i zagłuszało paplaninę szwagra. Zwrot ten doprowadzał go do szału, próbował więc przed nim umknąć.

— Ile, powiadasz, by to wszystko kosztowało? — zagadnął nagle.

Szwagier raptownie przerwał swe wynurzenia na temat możliwości rozwoju handlu w dzielnicy. Nie wymienił dotychczas sumy kosztu. Ale znał ją dobrze. Przecież już dziesiątki razy obliczał to dokładnie.

— Biorąc pod uwagę dzisiejsze ceny na budulec — odrzekł — trzeba by na to ze cztery tysiące.

— Łącznie z szyldem?

— Tego nie liczyłem. Kiedy cały budynek stanie, to i szyld się znajdzie.

— A grunt?

— Dojdzie jeszcze jakieś trzy tysiące.

Kupiec pochylił się naprzód, oblizując wargi i nerwowo to rozprostowując, to znów zginając palce, podczas gdy Martin wypełniał czek. Skoro go wreszcie otrzymał, spojrział przede wszystkim na wysokość sumy. Wynosiła siedem tysięcy dolarów.

— Ja... ja nie mogę płacić więcej niż sześć procent — powiedział głucho.

Martinowi śmiać się zachciało, zamiast tego jednak spytał:

— Ile by to wyniosło?

— Poczekaj, zaraz obliczę. Sześć od sta... sześć razy siedem... czterysta dwadzieścia.

— Odpowiadałoby to trzydziestu pięciu dolarom miesięcznie, prawda?

Higginbotham potwierdził ruchem głowy.

— Jeśli więc nie masz nic przeciwko temu, załatwimy rzecz w ten sposób. — Tu Martin spojrzął na Gertrudę. — Możesz rozporządzać do woli całym kapitałem, jeśli przeznaczysz trzydzieści pięć dolarów miesięcznie na gotowanie, pranie i porządki domowe. Siedem tysięcy należy do ciebie, o ile mi zaręczysz, że Gertruda nie będzie już nigdy potrzebowała harować. No i cóż, zgoda?

Pan Higginbotham z wielkiego wrażenia aż się zakrzutsił. Żądanie, aby zwolnił żonę od posług domowych, było obelgą dla jego chciwej duszy. Wspaniały dar związany był z przeknięciem gorzkiej, bardzo gorzkiej pigułki. Żeby żona jego miała próżnować! To go wprost zatykało.

— No, to zrobimy inaczej — rzekł Martin. — Ja sam będę płacił te trzydzieści pięć dolarów miesięcznie, a to...

Tu sięgnął przez stół po czek. Ale Bernard Higginbotham uprzedził go i położył rękę na świstku, wołając:

— Przyjmuję! Przyjmuję!

Wsiadając do tramwaju Martin czuł się słaby i znużony. Podniósł oczy na szyld, który tak wiele nasuwał mu wspomnień.

— Co za świnia! — mruknął. — Podła świnia!

Kiedy „Miesięcznik Mackintosha” opublikował Wrózkę, ozdobioną winietami Berthiera i dwiema rycinami Wenna, Herman Schmidt zapomniał łaskawie o tym, że wiersze te uznał

kiedyś za sprośne. Rozповідаł wszędzie, że to żona jego dała natchnienie do tego poematu, dopilnował, aby wieść ta doszła do uszu właściwego reportera i postarał się o udzielenie wywiadu specjalnemu korespondentowi, któremu towarzyszyli wydelegowani przez redakcję fotograf i rysownik. Rezultatem tych zabiegów była cała stronica w dodatku niedzielnym, wypełniona fotografiami i wyidealizowanymi portretami Marianny wraz z wielu poufnymi szczegółami dotyczącymi Martina Edena i jego rodziny oraz pełnym tekstem Wróżki, przedrukowanym grubymi czcionkami za specjalnym zezwoleniem wydawnictwa Mackintosha. Wzbudziło to w okolicy niemało szumu, zacne kumoszki szczyły się znajomością z siostrą wielkiego pisarza, te zaś, które dotychczas zaszczytu tego nie miały, starały się odrobić to zaniedbanie. Herman Schmidt nie posiadał się z radości w swym niewielkim warsztaciku i postanowił kupić nową obrabiarkę.

— Lepsze to od reklamy prasowej — tłumaczył żonie — a przy tym nic nie kosztuje.

— Trzeba by może zaprosić go na obiad — podsunęła Marianna.

Sprowadzono tedy na obiad Martina, który starał się grzecznie zabawić opasłego hurtowego rzeźnika i jego jeszcze grubszą małżonkę. Odgrywali oni rolę lokalnych filarów społecznych, mogących nieraz pomóc młodemu człowiekowi na dorobku, jakim był Herman Schmidt. Ściągnąć ich pod jego dach zdołała dopiero tak znakomita przynęta, jaką okazał się sławny szwagier gospodarza. Innym gościem, skuszonym za pomocą tejże przynęty, był inspektor rozsianych po wybrzeżu Pacyfiku agencji fabryki rowerów „Asa”. Schmidt pragnął zyskać sobie jego względy i poparcie, gdyż od niego zależało otrzymanie przedstawicielstwa wspomnianej firmy na Oakland. Tak więc Herman Schmidt uznał posiadanie słynnego szwagra w rodzaju Martina za nader korzystne zrządzenie losu, choć w głębi duszy żadną miarą nie mógł zrozumieć, skąd się owa sława wzięła. Wiele nocnych godzin spędził u boku śpiącej żony na wertowaniu nowel i wierszy Martina i doszedł do przekonania, że świat jest głupi, skoro mu się chce kupować coś podobnego.

Martin natomiast ze swej strony aż nadto trafnie ocenił w duchu sytuację, kiedy rozsiadłszy się wygodnie na krześle, obejmował wzrokiem głowę Schmidta i wyobrażał sobie, jak przyjemnie byłoby przetrzepać ją porządnie, obsypując ten obrzydły szwabski łeb gradem dobrze wymierzonych ciosów. Jedna wszelako rzecz podobała mu się w szwagrze. Mimo że był ubogi i z wysiłkiem zaczynał się dopiero dorabiać, zgodził jednak służącą, aby odciążyć Mariannę od najcięższych robót. Martin pogadał po cichu z inspektorem fabryki „Asa” i po obiedzie odciągnął go na stronę wraz z Hermanem, któremu zapewnił pomoc finansową na założenie najlepiej wyposażonego składu rowerów w Oakland. Posunął się nawet jeszcze dalej i w poufnej rozmowie polecił Hermanowi rozejrzeć się za przedstawicielstwem firmy samochodowej i lokalem na garaż, ponieważ nic nie przeszkadzało, aby szwagier mógł z powodzeniem poprowadzić dwa takie przedsiębiorstwa jednocześnie.

Przy pożegnaniu Marianna ze łzami w oczach rzuciła się bratu na szyję, zapewniając, jak gorąco go kocha i zawsze kochała. W przemowie jej zaznaczyła się co prawda wyraźnie chwilowa przerwa, którą starała się pokryć zdwojonym potokiem łez, pocałunków i niepowiązanych słów, Martin jednak natychmiast wyczuł, że kryje się pod tym prośba o przebaczenie za ów okres, kiedy straciła weń wiarę i chciała go zapędzić do pospolitej pracy zarobkowej.

— On z pewnością długo nie utrzyma swoich pieniędzy —

zwierzył się Herman żonie. — Wpadł we wściekłość, kiedy chciałem z nim omówić sprawę procentów, a potem oświadczył, iż gwizdże także na kapitał, i zagroził, że jeżeli jeszcze raz osmielę się powrócić do tej sprawy, to strąci z karku mój szwabski łeb. Tak się właśnie wyraził: „twój szwabski łeb”. Ale swoją drogą dzielny z niego chłop, choć nie ma pojęcia o interesach. Dał mi możliwość wybicia się na ludzi; tak, to porządny człowiek.

Zaproszenia na obiady zasypywały teraz Martina; im zaś obficie napływały, tym bardziej Martin się zdumiewał. Zasiadał już na honorowym miejscu na bankiecie klubu „..Arden” w

towarzystwie słynnych ludzi, o których słyszał i czytał wiele przez całe życie. Ludzie ci opowiadali mu, że skoro tylko ujrzeni Dźwięk dzwonów w miesięczniku „Od Morza do Morza”, a Peri i perłę w „Szerszeniu”, od razu wiedzieli, że te utwory odniosą sukces. Mój Boże! — myślał sobie Martin. — A ja chodziłem wtedy głodny i oberwany! Dlaczego wówczas nie ofiarowaliście mi obiadu? Była to przecież najodpowiedniejsza pora. Praca była już dokonana. Jeżeli teraz karmicie mnie za dokonaną pracę, dlaczego nie czyniliście podobnie w okresie, gdym tego naprawdę potrzebowałem? Ani jedno słowo w Dźwięku dzwonów czy w Peri i perle nie zostało od tych czasów zmienione. O nie! Wy i teraz nie karmicie mnie za dokonaną pracę. Goście mnie, ponieważ wszyscy inni też mnie goszczą i poczytują to sobie za zaszczyt. Obdarzacie mnie obiadami, bo jesteście byłem stadnym; bo tworzyście częśćkę tłumu; bo w umyśle tłumu rządzi dziś wszechwładnie ślepy i automatycznie działający nakaz, głoszący, że powinno się mnie częstować. Jakąż w tym wszystkim rolę odgrywa Martin Eden i praca dokonana przez Martina Edena? — zapytywał sam siebie żałośnie, po czym wstał z krzesła, aby mądrze i dowcipnie odpowiedzieć na mądry i dowcipny toast.

Podobnie działo się zawsze. Gdziekolwiek się znalazł: w Kole Dziennikarzy, w klubie „Redwood”, na wytwornych herbatkach czy zebraniach literackich, stale wspominano pierwsze ukazanie się w druku Dźwięku dzwonów oraz Peri i perły. I niezmiennie musiał sobie Martin zadawać to samo pytanie: Dlaczego nie karmiliście mnie wtedy? Przecież praca była już dokonana. Dźwięk dzwonów czy Peri i perła nie zmieniły się ani na jotę. Były tak samo artystyczne i wartościowe jak dzisiaj. Ale wy nie goście mnie ze względu na te czy inne moje utwory. Karmicie mnie, ponieważ należy to teraz do dobrego tonu, a cały tłum oszalał wprost na punkcie karmienia Martina Edena.

Często w czasie takich przyjęć Martin nagle spostrzegł, jak na salę wkracza młodociany andrus w kanciasto skrojonej kurtce i kapeluszu o sztywnym rondzie. Zdarzyło się to między innymi pewnego popołudnia na zebraniu urządzonym przez Towarzystwo Gallina w Oakland. Kiedy wstał ze swego miejsca i wszedł na podium dla mówcy, zobaczył nagle wchodzącą przez szerokie drzwi w głębi wielkiej sali tę właśnie, dobrze sobie znaną postać. Pięćset modnie wystrojonych dam odwróciło głowy, by przekonać się, co mogło tak uporczywie przykuć do siebie wzrok Martina. Ujrzały jednak tylko pustą przestrzeń w środku sali. On zaś widział, jak młody włóczęga przemyka się do przodu i zastanawiał się, kiedy nareszcie zdejmie z głowy ów sztywny kapelusik, z którym dotychczas nigdy się nie rozstawał. Doszedł w końcu do mównicy i zaczął na nią wstępować. Martinowi płakać się chciało na myśl o tym wszystkim, co czekało w życiu tę postać będącą cieniem jego młodości. Widmo przesunęło się aż do samego Martina i przeniknąwszy w sam rdzeń jego świadomości, rozplynęło się. Pięćset kobiet lekkimi oklaskami dłoni w rękawiczkach starało się dodać otuchy nieśmiałoemu wielkiemu człowiekowi który dziś był ich gościem. Martin zaś otrząsnął się ze swej wizji, uśmiechnął się i zaczął wreszcie przemawiać.

Inspektor szkolny, poczciwy staruszek, zatrzymał raz Martina na ulicy i przypomniał mu rozmowę w swoim gabinecie, gdy wydano go ze szkoły za bójkę.

— Czytałem pański Dźwięk dzwonów w jednym z miesięczników, już kawał czasu temu — rzekł. — Rzec była godna Edgara Poe *. To świetne, powiedziałem wtedy, wprost wspomniałem!

Tak, tak, ale mimo to w ciągu następnych miesięcy dwukrotnie spotkał mnie pan na ulicy i nie raczył poznać — omal nie wyrwało się z ust Martina. — W obu wypadkach byłem głodny i szedłem właśnie do lombardu. A przecież praca już była dokonana. Mimo to nie poznał mnie pan wówczas. Dlaczego więc teraz chce mnie pan znać?

— Mówiłem któregoś dnia do żony — ciągnął starszy pan — że warto by może zaprosić pana kiedyś na obiad. Żona przyklasnęła temu zamiarowi. Bardzo była z tego rada.

— Na obiad? — zachnął się Martin tak ostro, że brzmiało to niemal jak warknięcie.

— No oczywiście, taki sobie skromny obiadek u starego inspektora, któremu przecież nie odmówisz chyba, ty łobuzie? — bąkał nerwowo staruszek, dość niepewnie trącając Martina w przystępie rzekomej żartobliwej poufałości.

Martin ruszył przed siebie jak otumaniony. Na rogu ulicy zatrzymał się i rozejrzał dokoła błędnym wzrokiem.

— A niechże to lichy weźmie! — szepnął wreszcie. — Ten stary po prostu przeląkł się mnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Pewnego dnia odwiedził Martina Kreis — Kreis z „soli ziemi” — a gdy Martin radośnie go powitał, gość przedstawił mu w pięknych kolorach szczegóły projektu tak fantastycznego, iż zainteresować go mógł raczej jako powieścio -pisarza niż jako kapitalistę szukającego korzystnej lokaty. W toku rozwijania swego pomysłu Kreis przerwał wykład na chwilę dostatecznie długą, aby oświadczyć, że większość myśli wypowiedzianych w Hańbie słońca stanowi wierutne głupstwo.

— Nie przyszedłem tu jednak filozofować — ciągnął dalej. — Natomiast chciałbym wiedzieć, czy zdecydujesz się włożyć w ten interes tysiąc dolarów.

— Nie, taki znów głupi nie jestem — odrzekł Martin. — Ale powiem ci, co zrobię. Dzięki tobie przeżyłem najpiękniejszą noc w życiu. Dałeś mi coś, czego za żadne pieniądze kupić nie podobna. Teraz pieniędzy mam w bród, a nie przedstawiają one dla mnie istotnej wartości. Pragnę więc przekazać ci bezwartościową sumę tysiąca dolarów w zamian za ów wieczór, który był dla mnie darem bezcennym. Tobie potrzeba pieniędzy, ja zaś mam ich aż nadto. Oczekujesz tych pieniędzy, przyszedłeś specjalnie po nie. Po cóż więc zawracać mi głowę jakimś projektem? Weź po prostu.

Kreis nie okazał zdziwienia. Złożył czek i wetknął go do kieszeni.

— Z przyjemnością zawarłbym umowę na stałe dostarczanie ci podobnych wieczorów — rzekł.

— Za późno już. — Martin potrząsnął głową. — Tamten wieczór był dla mnie jedyny. Czuję się jak w raj. Dla ciebie to zwykła rzecz, wiem o tym. Ale ze mną było inaczej. Nigdy więcej nie przeżyję takiej intelektualnej rozkoszy. Zerwałem na zawsze z filozofią. Nie chcę już nic o niej słyszeć.

— Pierwszy raz zdarzyło mi się zarobić na filozofii — zauważył Kreis wychodząc. — I zaraz, jak na złość, musiał w tej branży zapanować kryzys.

Martin spotkał któregoś dnia na mieście jadącą powozem panią Morse, która skinęła mu głową z przyjaznym uśmiechem. Unosząc kapelusz uśmiechnął się także. Zdarzenie to nie wywarło na nim wrażenia. Miesiąc przedtem byłby zapewne poczuł odrazę albo zacząłby się zastanawiać nad stanem uczuć pani Morse w danej chwili. Teraz cała ta sprawa nie wzbudziła w nim żadnych dalszych myśli. Natychmiast całkowicie wywietrzała mu z głowy, podobnie jak zapomina się

o dostrzeżonym w przejeździe gmachu Banku Państwa czy ratusza. Ale jego umysł pracował wciąż z wielkim wyężeniem. Myśli wirowały nieustannie w tym samym kręgu. Środkiem tego koła była „praca dokonana”; zwrot ten wżerał mu się w mózg niby wiecznie żywy czerw, którego niszczycielski trud rozpoczynał się z chwilą, gdy Martin otwierał oczy. Nocami nie dawał spać spokojnie. Wszystkie otaczające Martina powszednie sprawy, skoro tylko dotarły do jego zmysłów, natychmiast kojarzyły się tak czy inaczej z „pracą dokonaną”.

Krocząc ścieżką nieodpartej logiki doszedł niebawem do wniosku, że jest nikim i niczym. Mart Eden-andrus i Mart Eden--marynarz istnieli naprawdę, byli nim samym, ale sławny pisarz Martin Eden był postacią urojoną. Sławny pisarz Martin Eden zrodził się w świadomości tłumu na podobieństwo oparu i przez tę świadomość wcielony został w doczesne kształty Martina Edena andrusa i marynarza. Ale oszukać go nie tak łatwo. Nie ma przecież nic wspólnego z owym słonecznym mitem, czczonym przez tłum i obdarzonym ofiarami w postaci obiadów. Któż ma wiedzieć o tym lepiej od niego?

Czytał o sobie w czasopismach i poty przyglądał się swoim podobiznom, które tam umieszczano, aż wreszcie stracił wszelką zdolność utożsamiania swej osoby z tymi portretami. Był wszak człowiekiem, który żył, wzruszał się i kochał; który łatwo naginał się do otoczenia i z pobłażliwością odnosił się do ułomności życia; który dzielił losy załogi wielu statków, przewędrował obce kraje i w dawnych czasach przewodził bitnej gromadzie kolegów. Był tym człowiekiem, który najpierw błąkał się w czytelnicy wśród tysięcy książek, lecz potem znalazł do nich drogę i zdołał je opanować; był wreszcie tym, który długo w noc ślęczał nad nauką, brał z sobą ostrogę do łóżka i sam parał się pisaniem książek. Z całą pewnością jednak nie był owym nieprawdopodobnym żarłokiem, którego tłumy uparły się karmić.

W czasopismach znajdował też niekiedy rzeczy, które go bawiły. Wszystkie wydawnictwa rościły sobie doń prawo. „Miesięcznik Warrena” chełpił się przed czytelnikami, że w stałej trosce o wyszukiwanie nowych pisarskich talentów odkrył też między innymi i przedstawił czytającej publiczności Martina Edena. Upominała się o niego „Biała Mysz”, podobnie jak „Przegląd Północy” i „Miesięcznik Mackintosha”, których pretensje ustąpić musiały dopiero przed roszczeniami „Globu”, powołującego się tryumfalnie na przechowywane w danych archiwum zniekształcone strzępy Liryków morza. Wydawnictwo „Młodość i Wiek Dojrzały”, wznowiwszy żywot po pomyślnej ucieczce przed nie uregulowanymi rachunkami, zgłosiło również swe prawo do pierwszeństwa w wywodzie, z którym nie zapoznał się niestety nikt poza działywą farmerów. „Od Morza do Morza” opublikowało pełen godności i wielce przekonujący opis okoliczności, w jakich odkryto Martina Edena. Głos ten spotkał się z zażartym sprzeciwem „Szerszenia”, wskazującego z dumą na Peri i perłę. Skromne roszczenia firmy Singletree, Darnley i Ska zatoneły w ogólnym rozgwarze. Co prawda, wydawnictwo to nie rozporządzało własnym organem prasowym, zdolnym do szerszego rozgłoszenia jego zasług.

Pisma zajęły się obliczaniem przypuszczalnych dochodów Martina. Wspaniałe oferty poczynione mu przez niektóre czasopisma doszły jakoś do wiadomości publicznej, w wyniku czego poczęli mu składać przyjazne wizyty przedstawiciele miejscowego duchowieństwa, listy zaś osób zawodowo ubiegających się o wsparcie zasypywały go teraz nieustannie. Najwięcej jednak kłopotu przyczyniały mu kobiety. Wypuszczono masowe nakłady jego fotografii, a specjaliści korespondenci rozwodzili się szeroko nad siłą tchnącą z jego ogorzalej twarzy, nad jego bliznami, barczystymi ramionami, jasnym, spokojnym wzrokiem i nieco zapadniętymi, niby u ascety, policzkami. Na wzmiankę o tym ostatnim szczególnie Martin pomyślał o swej dzikiej młodości i uśmiechnął się tylko. Nieraz zdarzało się, że ta lub inna spośród spotykanych kobiet spoglądała na niego znacząco, z widocznym uznaniem i wyróżnieniem. Martin śmiał się w duchu. Nie zapomniał ostrzeżeń Brissendena, toteż śmiać się mógł bez obawy. Kobiety nie zniszczą go nigdy, tego był pewien. Wyrósł już z okresu, kiedy mogło mu to grozić.

Pewnego razu, gdy odprowadzał Lizzie do szkoły wieczornej, dziewczyna pochwyciła spojrzenie rzucone mu przez jakąś elegancką i przystojną panią ze sfery burżuazyjnej. Spojrzenie to było nieco za długie, odrobinę zbyt wymowne, Lizzie natychmiast pojęła jego znaczenie i ciało jej wyprężyło się gniewnie. Martin zauważył ten odruch, zdał sobie sprawę z

jego przyczyny i upewnił towarzyszkę, że przyzwyczał się już do takich spojrzeń i nic sobie z nich nie robi.

— A powinno ci na tym zależeć — odrzekła z płomieniem w oczach. — Chory jesteś po prostu, w tym właśnie rzecz.

— Nigdy w życiu nie czułem się zdrowszy. Ważę o pięć funtów więcej niż kiedykolwiek przedtem.

— Nie chodzi tu o ciało. Bieda tkwi w głowie. Coś tam musiało się popsuć w tej mózgownicy. Nawet ja, głupia, to spostrzegam.

Martin kroczył koło niej zamyślony.

— Nie wiem, co bym za to dała, żebyś się z tego stanu wyrwał — wybuchnęła gniewnie. — Takiego chłopaka jak ty powinno obchodzić, kiedy kobiety patrzą na niego w ten sposób. Twoja obojętność jest nienaturalna. To dobre dla niedołągów. Ale ty jesteś stworzony do czego innego. Bóg mi świadkiem, że rada bym z całej duszy, aby jakaś odpowiednia kobieta zjawiła się i zwróciła twoją uwagę na te sprawy.

Pożegnawszy Lizzie u progu szkoły, Martin wrócił do hotelu.

W swoim pokoju rzucił się w miękki fotel i zaczął patrzeć wprost przed siebie. Nie drzemał, ale i nie myślał o niczym. Jego umysł był pustą kartą, z wyjątkiem tych rzadkich chwil, kiedy z pamięci wynurzały się nie wzywane obrazy i tuż pod powiekami oblekały się w kształty i barwę.

Martin niby widział te obrazy, ale prawie nie zwracał na nie uwagi, tak jakby były sennym marzeniem. A jednak nie spał. Raz nawet podniósł się i spojrzął na zegarek. Była dokładnie godzina ósma. Nie miał nic do roboty, a za wcześnie jeszcze było kłaść się do łóżka. Potem zapadł ponownie w nicość, a pod powiekami zaczęły się zjawiać i ginąć szeregi coraz to nowych widzeń. Nic w tych obrazach nie było zastanawiającego. Powracały tam wciąż całe kępy listowia i bujnych zarośli prześwieconych słonecznym blaskiem.

Stukanie do drzwi wyrwało go z odrętwienia. Wobec tego, że mimo wszystko czuł, powiązał natychmiast ten dźwięk z przypuszczeniem, że to pewnie nadszedł telegram lub pilny list albo też może służba odnosi mu świeżo wypraną bieliznę. Myśląc o Joem i zastanawiając się, gdzie też on się obecnie podziewa, Martin rzucił od niechcienia:

— Proszę wejść

W dalszym ciągu zajęty był jednak myślą o Joem i nie od razu zwrócił się ku drzwiom. Usłyszał, że ktoś ostrożnie je przymyka. Potem nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Martin zapomniawszy już o tym, że ktoś niedawno stukał, i znów utkwiał wzrok w przestrzeń, kiedy nagle do uszu jego dobiegł odgłos kobiecego łkania. Było ono mimowolne, spazmatyczne, powstrzymywane i jak gdyby zduszone, co uświadomił sobie odwracając się w stronę gościa. Zerwał się na równe nogi.

— Ruth! — wyszeptał zdumiony i zaskoczony.

Twarz jej była blada i nerwowo napięta. Stała tuż koło drzwi, jedną ręką szukając w nich oparcia, drugą zaś przyciskając do boku. Następnie wyciągnęła ku niemu żałośnie obie dłonie i zaczęła powoli iść na jego spotkanie. Kiedy chwycił ją za ręce i podprowadził do fotela, poczuł przejmujący chłód tych rąk. Przysunął drugi fotel i usiadł na poręczy. Zbyt czuł się zmieszany, by mógł przemówić. W jego mniemaniu wszystko, co go łączyło z Ruth, było skończone i bezpowrotnie pogrzebane. Czuł się mniej więcej tak, jak gdyby nagle cała pralnia z Gorących Źródeł w Shelly wtargnęła do hotelu „Metropol” z tygodniową porcją bielizny czekającą na jego ręce. Kilkakrotnie chciał już coś powiedzieć i za każdym razem słowa wzięły mu w krtani.

— Nikt nie wie o tym, że tu jestem — rzekła Ruth słabym głosem, uśmiechem starając się jak gdyby wyrazić jakąś prośbę.

— Co mówisz? — zapytał.

Brzmienie własnego głosu nappełniło go zdziwieniem. Ruth powtórzyła dopiero co wypowiedziane słowa.

— Ach, tak? — rzekł tylko, nie wiedząc, co mógłby jeszcze do tego dodać.

— Widziałam cię, gdyś wchodził, i przeczekałam kilka chwil.

— Ach tak? — powiedział znowu.

Nigdy jeszcze w życiu mówienie nie sprawiało mu takiej trudności. Żadna dosłownie myśl nie przychodziła mu do głowy. Było mu głupio i nieswojo, ale za żadne skarby nie mógł się zdobyć na jakieś sensowne odezwanie. Łatwiej już byłby sobie dał radę, gdyby ta pralnia z Gorących Źródeł w Shelly dokonała na niego najazdu. Mógłby po prostu zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

— A potem weszłaś do pokoju — wybąkał wreszcie.

Skinęła głową z wyrazem z lekka filuternym i rozluźniła szalik na szyi.

— Dostrzegłam cię najpierw po przeciwnej stronie ulicy, idącego z tą dziewczyną.

— A tak — odparł nie siląc się na wykrety. — Odprowadzałem ją do szkoły wieczornej.

— Czy nie cieszysz się z naszego spotkania? — zagadnęła po nowej przerwie w rozmowie.

— Ależ oczywiście — odrzekł prędko. — Czy jednak przybycie tu nie było nieostrożnością z twojej strony?

— Wśliznęłam się niepostrzeżenie. Nikt nie wie, że tu jestem. Musiałam się z tobą zobaczyć. Przyszłam powiedzieć ci, że zachowałam się głupio. Przyszłam, bo nie mogłam już dłużej znieść rozstania, bo serce zmusiło mnie do tego, bo... bo bardzo chciałam przyjść.

Wstała i podeszła ku niemu. Na chwilę oparła się o jego ramię, szybko oddychając, po czym osunęła się w jego objęcia. On zaś — powodowany zwykłą swoją życzliwością, nie chcąc sprawiać jej bólu, a wiedząc, że odepchnięcie tego gestu oddania byłoby najstraszniejszą obelgą, jaką kobiecie zadać można — otoczył ją ramionami i trzymał mocno. Nie było jednak żaru w tym uścisku, a bliskość ciał nie przeradzała się w pieszczotę. Sama rzuciła mu się w ramiona, więc ją trzymał — oto wszystko. Ruth tuliła się doń coraz serdeczniej, aż wreszcie, zmieniwszy położenie, uniosła ręce i zarzuciła mu je na szyję. Ciało jego nie rozgorzało jednak pod dotknięciem tych dłoni; poczuł się tylko bardziej jeszcze nieswojo i dziwnie obco.

— Dlaczego tak drżysz? — zapytał. — Czy to z przeziębienia? Może napalić w kominku? Zrobił ruch, jak gdyby się chciał uwolnić z jej objęć, lecz ona przylgnęła doń jeszcze bardziej, drżąc gwałtownie.

— To tylko zdenerwowanie — odrzekła szcękając zębami. — Za chwilę się opanuję. O, już mi lepiej.

Drżenie powoli ustępowało. Martin trzymał ją w dalszym

ciągu, lecz przestał się już dziwić. Wiedział teraz, po co przyszła.

— Matka chciała wydać mnie za Charleya Hapgooda — oznajmiła.

— Za Charleya Hapgooda, tego specjalistę od komunałów? — westchnął Martin. Po chwili zaś dodał: — A teraz pewnie chce cię wydać za mnie.

Zdania tego nie wypowiedział w tonie pytającym. Mówił to jako rzecz pewną, a przed oczyma zaczęły mu tańczyć szeregi liczb wyrażających jego dochody.

— Tyle wiem z pewnością, że nie byłaby temu przeciwna — rzekła Ruth.

— Uważa mnie więc za odpowiedniego kandydata? Ruth skinęła głową.

— A przecież nie jestem teraz ani trochę odpowiedniejszy niż w chwili zerwania zaręczyn — rozważał głośno. — Nie zmieniłem się w niczym. Jestem tym samym co wtedy Martinem Edenem, a nawet, ściśle mówiąc, popsulem się nieco, bo znowu palę. Nie czujesz, że oddech przesiąkł mi dymem?

Zamiast odpowiedzi Ruth przycisnęła rozwarłe palce do jego warg, układając je wdzięcznie i figlarnie w oczekiwaniu pocałunku, który dawniej kończył zawsze tego rodzaju sytuacje. Tym razem jednak ustom Martina niepilno było do pieszczoty. Przeczekał, aż palce usuną się, a potem mówił dalej:

— Nie zmieniłem się. Nie wziąłem posady. Nie staram się nawet o posadę. Co gorsza, nie mam wcale zamiaru starać się o nią. I nadal uważam, że Herbert Spencer jest wielkim i szlachetnym człowiekiem, sędzia zaś Blount kompletnym osłem. Byłem u niego niedawno na obiedzie, więc wiem o tym dobrze.

— Ale zaproszenia ojca nie przyjąłeś — odezwała się z przekąsem.

— A więc wiedziałaś o nim? Kto je spowodował? Czy twoja matka?

Ruth milczała.

— Zatem ojciec przyszedł z jej polecenia. Byłem o tym przekonany. A teraz zapewne przysłała z kolei ciebie.

— Nikt nie wie, że tu jestem — zaprzeczyła żywo. — Czy wyobrażasz sobie, że matka zgodziłaby się na coś podobnego?

— W każdym razie zgodziłaby się na twoje małżeństwo ze mną.

Ruth krzyknęła gwałtownie:

— Martin, nie bądź okrutny! Ani razu mnie nawet nie pocałowałeś. Jesteś nieczuły jak głaz. A pomyśl, na co odważyłam się dla ciebie!

Obejrzała się wkoło z lękiem, choć w spojrzeniu tym drugie tyle było ciekawości.

— Pomyśl tylko, gdzie jestem.

„Rada bym umrzeć za ciebie I” — zadźwięczały mu parokrotnie w uszach słowa Lizzie.

— Dlaczego nie odważyłaś się na to wcześniej? — rzucił oschle. — Kiedy byłem bezrobotny? Kiedy głodowałem? Kiedy jako człowiek i jako artysta byłem tym samym co i dziś Martinem Edenem? To pytanie zadaję sobie już od dawna, nie tylko w odniesieniu do ciebie, lecz do wszystkich w ogóle. Jak widzisz, nie zmieniłem się wcale, chociaż nagły, pozorny wzrost mojej wartości zmusza mnie do ciągłego upewniania o tym samego siebie. To samo co dawniej ciało okrywa moje kości, te same mam dziesięć palców u rąk i nóg. Nie zmieniło się we mnie nic. Nie rozwinąłem w sobie żadnej nowej zdolności ani zalety. Mózg mój pracuje zupełnie tak samo jak wówczas. Nie zdobyłem się nawet na żaden nowy sąd w zakresie literatury czy filozofii. Mam ściśle tę samą osobistą wartość co wtedy, gdy nikt nie chciał o mnie słyszeć. Nie mogę więc zrozumieć, dlaczego teraz nagle wszystkim zależy na mnie. Z całą pewnością nie dzieje się to ze względu na przymioty mojej osoby, skoro nic się w niej nie zmieniło od czasu, gdy nią gardzono. Widocznie więc ludzie pragną mnie dla czegoś innego, czegoś, co tkwi poza mną, co nie jest moją treścią. Czy mam ci tłumaczyć, na czym to coś polega? Oto na uznaniu, które zdobyłem. Uznanie to nie jest częścią mej istoty. Istnieje ono w umysłach innych ludzi. Dalej wchodzi w rachubę pieniądze, które zarobiłem i wciąż zarabiam. Ale i te pieniądze nie są mną samym. Leżą w skarbcach bankowych i w kieszeniach Toma, Dicka czy Harry'ego. Czy więc ze względu na to właśnie — na uznanie i pieniądze — i ty teraz mnie pragniesz?

— Serce mi łamiesz! — załkała. — Przecież wiesz, że cię kocham i że to miłość mnie tu przygnała.

— Obawiam się, że nie zrozumiałaś dobrze, co mam na myśli — rzekł łagodnie. — A chodzi mi o to mianowicie: Jeśli mnie kochasz, jakże to możliwe, aby miłość ta była dziś o tyle żywsza niż wtedy, kiedy się mnie wyparłaś?

— Zapomnij i przebacz! — zawołała namiętnie. — Kochałam cię zawsze, pamiętaj o tym. A teraz jestem tu, w twoich ramionach.

— Niestety, jest we mnie, widać, coś z nieufnego kupca, który wciąż obserwuje swą wagę; za jego przykładem staram się zważyć dokładnie i twoją miłość, by stwierdzić, czym ona właściwie jest.

Ruth wysunęła się z jego ramion, usiadła prosto i spojrzała nań długo i badawczo. Zdawało się, że chciała coś powiedzieć, lecz zawahała się i zmieniła zamiar.

— Widzisz, ja sobie to tak wyobrażam — ciągnął Martin. — Dawniej, choć byłem już tym wszystkim, czym jestem dzisiaj, nikt poza ludźmi z mojej sfery nie dbał o mnie ani trochę.

Kiedy wszystkie moje dzieła były już napisane, nikt z tych, co je czytali, nie doszukał się w nich żadnej wartości. W gruncie rzeczy fakt, że je napisałem, zdawał się nawet szkodzić mi w ich opinii. Wyglądało na to, że pisząc je dopuściłem się czynu w najlepszym wypadku poniżającego. „Znajdźże sobie robotę” — powtarzali wszyscy.

Ruth poruszyła się, jakby chciała zaprzeczyć.

— Wiem, wiem — mówił dalej — z wyjątkiem tylko ciebie, która nazywałaś to „stanowiskiem”. Pospolite słowo „praca” razi cię podobnie jak wiele rzeczy, które napisałem. Jest zanadto brutalne. Ale zapewniam cię, że w stosunku do mnie nie brzmiało ono mniej brutalnie, gdy wszyscy znajomi zalecali mi je w podobny sposób, jak grzesznikowi zaleca się cnotliwe życie. Wracajmy jednak do rzeczy. Ogłoszenie moich pism i rozgłos, jaki mi to przyniosło, przeistoczyły twoją miłość. Nie chciałaś poślubić Martina Edena, kiedy miał już za sobą dokonaną w całości pracę. Twoja miłość nie była dość silna, by umożliwić zawarcie tego związku. Ale dziś miłość ta zyskała na sile, a nie mogę oprzeć się wnioskowi, że owo wzmożenie zawdzięczać należy właśnie faktowi publikacji i sławie. Nie posądzam cię, byś brała pod uwagę również moje dochody, choć niewątpliwie odgrywają one znaczną rolę w zmianie nastawienia twoich rodziców do mnie. Wszystko to nie może mi chyba pochlebiać. Ale, co gorsza, cały ten zbieg wypadków każe mi zwątpić o Miłości, o świętej Miłości. Czyżby miłość była rzeczą aż tak przyziemną, że karmić ją trzeba publikacjami i uznaniem ogółu? Na to właśnie wygląda. Poty siedziałem rozmyślając nad tym, aż zakręciło mi się w głowie.

— Biedna, kochana głowa! — Ruth wysunęła rękę i pieszczotliwie przesunęła palce po włosach Martina. — Niechże już nigdy więcej nie miewa zawrotów. Zaczniemy wszystko od nowa. Kochałam cię przecież cały czas. Wiem, że okazałam słabość ustępując woli matki. Nie powinnam była tego czynić. Ale przecież tyle razy słyszałam, z jaką wyrozumiałą litością wyrażałeś się o błędach i ułomnościach ludzkich. Niechaj ta litość i mnie także obejmie. Zbłądziłam, przyznaję to. Więc mi przebac!

— Ależ przebaczam najchętniej — odrzekł niecierpliwie Martin. — Nie jest to trudne, gdy właściwie nie ma nic do wybaczenia. Nie potrzebujesz mnie przeproszać za to, co uczyniłaś. Każdy postępuje zgodnie ze swą wiedzą i sumieniem i nie można od nikogo więcej żądać. Równie dobrze mógłbym i ja prosić cię o przebaczenie za to, że nie wziąłem posady.

— Zamiary miałam jak najlepsze — zapewniła. — Sam wiesz o tym. Kochając cię nie mogłam ci źle życzyć.

— To prawda, ale niemniej twoje dobre chęci mogły mnie zniszczyć. Tak jest z pewnością — wstrzymał jej zamierzony sprzeciw. — Byłabyś zniszczyła moją sztukę pisarską i widoki na przyszłość. Realizm jest dla mnie potrzebą wrodzoną, a burżuazja nie cierpi realizmu. Burżuazja jest tchórzliwa. Lęka się życia. Wytężaliście wszystkie siły, aby i mnie tym lękiem zarazić. Chcieliście zrobić ze mnie czciociela martwych formułek. Chcieliście mnie posadzić w ciasnej, dusznej komórce, gdzie wszystkie wartości życia są nierealne, stają się fałszem i pospolitością. — Odczuł narastający w dziewczynie protest. — Pospolitość, nie pozbawiona, przyznaję to, pewnego wdzięku, jest wszak źródłem burżuazyjnej kultury i wytworności. Jak to już mówiłem, dążyłaś zatem do nasycenia mnie waszą formalistyką, do przerobienia mnie na członka waszej kasty, wyznającego jej klasowe ideały, przestrzegającego jej klasowych kryteriów i przesądów. — Ze smutkiem potrząsnął głową. — Ty i teraz nawet nie rozumiesz tego, co do ciebie mówię. Słowa moje nie mają dla ciebie tego znaczenia, które ja usiłuję im nadać. Wszystko, co mówię, wydaje ci się czczą fantazją. A jednak dla mnie to rzetelna prawda życia. W najlepszym razie dziwi cię trochę i bawi, że taki jak ja prostak, ledwie wygramoliwszy się z bezdennego grzęzawiska nędzy, śmie wydawać sąd o twojej klasie i zarzucać jej pospolitość.

Ruth znużonym gestem oparła głowę o ramię Martina, a ciałem jej wstrząsnął ponownie nerwowy dreszcz. On zaś czekał przez chwilę na dalsze jej słowa, po czym sam mówił dalej:

— Teraz zaś chcesz wskrzesić naszą miłość. Życzysz sobie, byśmy się pobrali. Pragniesz mnie. A jednak, posłuchaj tylko: gdyby moje książki nie zwróciły na siebie uwagi, byłbym przecież ściśle tym samym, czym jestem. A ty stałabyś ode mnie z dala. Wszystkiemu winny te książki z piekła rodem...

— Nie wyrażaj się w ten sposób — przerwała.

Upomnienie to zaskoczyło go. Wybuchnął cierpkim śmiechem.

— No i widzisz — powiedział. — W chwili najwyższego napięcia, kiedy zdawałoby się, że na szali waha się szczęście twoich przyszłych dni, boisz się po dawnemu życia, boisz się nawet śmielszego wyrażenia.

Słowa te dały jej poznać całą naiwność wypowiedzianej przez nią uwagi, pomyślała jednak, że Martin bardzo przesadza, i poczuła się urażona. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu; ona rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjścia, on zaś dumał nad swą wygasłą miłością. Wiedział już teraz, że nigdy prawdziwie jej nie kochał. Kochał wyidealizowany obraz Ruth, jakąś przez siebie stworzoną nadziemską istotę, którą w swych miłosnych wierszach otoczył promienną aureolą duchowej mocy. Prawdziwej Ruth, tuzinkowej mieszcanki, obarczonej wszystkimi wadami swojej sfery i beznadziejnym balastem burżuazyjnej psychologii, nie kochał nigdy.

Nagle dziewczyna przemówiła:

— Wiem, że w tym, co powiedziałeś, wiele jest słuszności. Istotnie, bałam się życia. Nie kochałam cię dosyć mocno. Ale teraz wiem już, jak należy kochać. Kocham cię za to, czym jesteś i czym byłeś, a nawet za sposób, w jaki stałeś się sobą. Kocham za wszystko, czym różnisz się od tych, których określiłeś jako moją sferę, za twoje poglądy, których jeszcze nie rozumiem, ale które — pewna tego jestem — kiedyś zdołam zrozumieć. Wyteżę wszystkie siły, aby je zrozumieć jak najprędzej. Nawet twoje nawyki, jak palenie tytoniu i używanie przekleństw, są częścią ciebie i jako takie zasługują na moją miłość. Wielu jeszcze rzeczy mogę się nauczyć. W ciągu ostatnich dziesięciu minut skorzystałam niemało. Już samo to, że ośmieliłam się tu przyjść, świadczy o postępach, jakie uczyniłam. Ach, Martinie...

Szlochając przywarła doń całym ciałem.

Po raz pierwszy ramiona Martina oplotły ją ciepło, z wyraźną sympatią, na co Ruth odpowiedziała radosnym ruchem i rozjaśnionym wyrazem twarzy.

— Za późno już — powiedział. Przypomniawszy sobie słowa

Lizzie. — Jestem chory... nie, nie mam na myśli cielesnych dolegliwości. Choroba tkwi w duszy, w mózgu. Utraciłem wszelkie poczucie wartości. Nie zależy mi na niczym. Gdybyś przed paru miesiącami była taka, wszystko by się inaczej ułożyło. Ale dziś już za późno.

— Nie, nie jest za późno! — krzyknęła. — Przekonasz się. Dowiodę ci, że moja miłość spotężniała i więcej znaczy dla mnie niż moja sfera i to wszystko, co było mi dotąd najbliższe. Odrzucę precz wszelkie burżuazyjne nawyki i Przystałam lękać się życia! Opuszczę ojca i matkę, choćby moje imię miało się przez to stać pośmiewiskiem dla mych przyjaciół. Zostanę tu z tobą zaraz, w wolnej miłości, jeśli zechcesz, i czuć się będę dumna i szczęśliwa. Jeśli kiedyś zdradziłam twoją miłość, teraz za to w imię tejże miłości zaprę się wszystkiego, co mnie do tej zdrady skłoniło.

Stała przed nim z błyszczącymi oczyma.

— Czekam, Martinie — szepnęła. — Czekam, byś mię przyjął. Spójrz na mnie!

To doprawdy wspaniale — myślał spoglądając na nią. Ruth zyskała wszystko, czego jej brakowało, wznosząc się wreszcie jako prawdziwa kobieta ponad żelazne prawa burżuazyjnych konwencji.

Było to rzeczywiście wspaniale, potężne i rozpaczliwe. A jednak z nim działo się coś niezwykłego. To, na co odważyła się Ruth, nie przejęło go ani wzruszyło. Cała wspaniałość i potęga jej wystąpienia miała wyłącznie wartość intelektualną. Zamiast rozgorzeć żarem,

Martin zdobył się tylko na chłodną ocenę. Nie czuł w stosunku do Ruth żadnego pożądania. Słowa Lizzie znów stanęły mu w pamięci.

— Jestem chory, bardzo chory — rzekł z rozpaczliwym gestem. — Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, jak daleko rzeczy zaszły. Coś musiało się we mnie na zawsze zerwać. Nigdy nie lękałem się życia, nie postawiło mi w głowie, aby ono wzbudzić mogło we mnie przesyć. A jednak życie tak mnie przepęliło, że już zabrakło miejsca na jakiegokolwiek pragnienia. Gdyby było inaczej, pragnąłbym teraz ciebie. Sama widzisz, co się ze mną zrobiło.

Odrzucił głowę w tył i zamknął oczy. Niby płaczące dziecko, które zapomina o swym zmartwieniu, widząc, jak blask słońca prześwieśla tęczą mgłą łez nad źrenicami — podobnie Martin zatracił świadomość własnej choroby, obecności Ruth i wszystkiego, co go otaczało, patrząc na przesycone podzwrotnikowym żarem zwały żywej zieleni, przybierające płomienną postać na tle jego opuszczonych powiek. Ale jaskrawa barwa tego listowia nie niosła w sobie ulgi. Promienie słoneczne paliły zbyt mocno. Oczy bolały od patrzenia, a jednak patrzył, sam nie wiedząc dlaczego.

Do przytomności przywołał go szmer poruszonej klamki. Ruth stała przy drzwiach.

— Jak mam się stąd wydostać? — pytała łzawym głosem. — Boję się.

— Daruj mi, proszę! — zawołał zrywając się na nogi. — Widzisz przecież, że nie jestem dziś sobą. Zapomniałem zupełnie, że tu jesteś. — Sięgnął ręką do głowy. — Zdrowie moje najwidoczniej nie jest w porządku. Odprowadzę cię do domu. Możemy wymknąć się służbowymi drzwiami. Nikt nas nie zobaczy. Zasłoń twarz woalką i o nic się nie martw. Przyłgnęła do jego ramienia, gdy przez na pół ciemne korytarze i wąskie schodki szli ku tylnemu wyjściu z hotelu.

— Teraz jestem bezpieczna — rzekła stojąc już na chodniku i usiłując wysunąć rękę spod jego ramienia.

— Ależ co znowu, odprowadzę cię do domu!

— Nie rób tego — sprzeciwiła się. — To naprawdę zbyt ciężkie.

Ponownie starała się uwolnić rękę. Przez chwilę poczuł ciekawość. Teraz, kiedy już jej nic nie groziło, zdawała się przerażona. Starła się go za wszelką cenę pozbyć. Nie mogąc odgadnąć przyczyny, Martin przypisywał to jej zdenerwowaniu. Zatrzymał więc wyslizgującą się rękę i szedł dalej u boku dziewczyny. W połowie drogi od pierwszej przecznicy zauważył, że jakiś mężczyzna w długim płaszczu cofa się gwałtownie do najbliższej bramy. Przechodząc mimo, Martin rzucił okiem i chociaż nieznajomy podniósł wysoko kołnierz, rozpoznał w nim Normana, swego niedoszłego szwagra.

Po drodze Ruth i Martin rozmawiali niewiele. Ona była zgnębiona, on zaś zubożał na wszystko. Wspominał tylko, że niebawem zamierza powrócić na morza południowe, ona zaś prosiła go, aby nie miał jej za złe dzisiejszych odwiedzin. Oto wszystko. Pożegnanie przy drzwiach jej domu odbyło się konwencjonalnie. Podali sobie ręce życząc dobrej nocy. Martin zaś uchylił kapelusza. Kiedy drzwi frontowe zatrzasnęły się, zapalił papierosa i zawrócił w stronę hotelu. Doszedłszy do bramy domu, w której dostrzegł kryjącego się Normana, zatrzymał się i zajrzał do jej wnętrza w zamyśleniu.

— Kłamała — rzekł głośno. — Wmawiała we mnie, że naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, a wiedziała doskonale, że brat ją przyprowadził i czeka, by towarzyszyć jej w powrotnej drodze. — Wybuchnął śmiechem. — Ach, ci burzuje! Kiedy nie miałem grosza przy duszy, nie byłem godzien przebywać z jego siostrą. Teraz, kiedy mam konto w banku, sam ją do mnie przyprowadza.

Zawróciwszy na pięcie, by udać się w dalszą drogę, ujrzał jakiegoś idącego w tym samym kierunku włóczęgę, który odezwał się do niego przez ramię:

— Panie łaskawy, nie dałbyś mi tak ćwierć dolara na nocleg?

Słowa te nie zwróciłyby uwagi Martina, ale głos, który je wypowiedział, zmusił go do odwrócenia głowy. W następnej chwili ściskali się już za ręce z Joem.

— Pamiętasz, jakeśmy się żegnali przy Gorących Źródłach? — mówił dawny kolega.

— Powiedziałem wtedy, że się jeszcze spotkamy. Czulem to w kościach. No i sprawdziło się.

— Dobrze wyglądasz — rzekł z zachwytem Martin — i nawet przytyłeś.

— A pewnie, że tak — twarz Joego promieniała. — Nie

wiedziałem, co życie warte, dopókim się nie puścił na włóczęgę. Przybyło mi trzydzieści funtów i czuję się świetnie. A w tych dawnych czasach miałem na sobie tylko skórę i kości. Najwyraźniej stworzony jestem do włóczęgi.

— Ale swoją drogą nie masz gdzie nocować — przygadał mu Martin — a noc zapowiada się chłodna.

— Co? nie mam gdzie spać? — Joe wsunął dłoń do tylnej kieszeni spodni i wydobyl z niej całą garść drobnych. — A to mi się podobał — zawołał z tryumfem. — Po prostu wyglądałeś na lepszego gościa i dlatego cię zaczepił.

Martin roześmiał się i dał za wygraną.

— Stać cię na dobre parę kolejek — zauważył żartobliwie. Joe wsypał pieniądze z powrotem do kieszeni.

— To się po mnie nie okaże — oświadczył. — Nikt mnie nie namówi na pijaństwo, a to po prostu dlatego, że tak mi się podoba. Raz jeden upiłem się od czasu ostatniego naszego widzenia, a i wtedy tylko dlatego, że byłem na czczo. Kiedy pracuję jak bydlę, muszę też pić jak bydlę. Ale kiedy żyję po ludzku, tak samo też i piję: łyk od czasu do czasu, jak mi się bardzo zachce, i na tym koniec.

Martin umówił się z nim na następny dzień i poszedł do hotelu. W portierni zatrzymał się, by przejrzeć wykaz odpływających statków. „Mariposa” miała za pięć dni udać się w drogę do Tahiti.

— Proszę mi jutro zarezerwować telefonicznie kabinę pierwszej klasy — polecił urzędnikowi. — Ale nie na pokładzie, tylko niżej. I niech to będzie kabina zewnętrzna od strony portu, koniecznie od strony portu. Proszę to dla pewności zapisać.

Znalazłszy się w pokoju Martin położył się do łóżka i zaraz zasnął spokojnie jak dziecko.

Przeżycia tego wieczoru nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Umysł jego stał się zupełnie nieczuły. Nastrój serdeczności wywołany spotkaniem Joego był przelotny. Już w następnej chwili zaczęła mu ciążyć obecność dawnego towarzysza i konieczność prowadzenia z nim rozmowy. Nie radowała go nawet myśl o mającej za pięć dni nastąpić podróży na ulubione morza południowe. Tak tedy zamknął oczy i przespał zdrowo osiem nieprzerwanych godzin.

Nie trapił go niepokój. Nie zmieniał położenia ani nie doznawał żadnych przywidzeń. Sen stał mu się zapomnieniem, toteż codziennie budząc się z rana odczuwał żal. Życie dręczyło go i nudziło, a czas był nieustanną męką.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Słuchaj, Joe — powitał Martin następnego ranka dawnego towarzysza pracy — dowiedziałem się o pewnym Francuzie, który wyprowadza się z Dwudziestej Ósmej ulicy. Uzbierał moc pieniędzy i wraca do Francji. Zostawia tu śliczną, doskonale wyposażoną, niewielką pralnię parową. W sam raz nadałoby ci się to na początek, gdybyś miał zamiar się usatkwować. Masz tu parę groszy; kup sobie porządne ubranie i zgłoś się o dziesiątej do biura agenta, którego adres ci tu daję. To on wyszukał mi tę pralnię, do której cię zaprowadzi, żebyś obejrzał całe urządzenie. Jeśli ci się spodoba i uznasz, że warto dać za nią żadaną cenę — dwanaście tysięcy — daj mi tylko znać, a pralnia będzie twoja. A teraz zabieraj się I Jestem zajęty. Zobaczymy się później.

— No, wiesz, Mart — odrzekł Joe powoli, głosem, w którym wzbierał gniew — nie spodziewałem się tego po tobie. Przyszedłem tu dziś rano, żeby cię zobaczyć. Rozumiesz? Nie przyszedłem po żadną zatraconą pralnię. Chciałem pogadać ze starym kompanem, a on mi tu wyjeżdża z jakąś pralnią. Dam ci dobrą radę: weź tę całą pralnię i wypchaj się nią! Zabierał się już do wyjścia, lecz Martin chwycił go za ramię i przyciągnął z powrotem.

— Uważaj, co ci powiem, Joe! — powiedział ostro. — Jeśli się zaraz nie opamiętasz, dam ci po łbie. A że mam do czynienia ze starym kompanem, nie będę żałował ręki. Rozumiesz? A, toś ty taki.

Joe napierał na Martina i próbował go przewrócić, usiłując wywinąć się z uchwytu dającego przeciwnikowi przewagę. Przewalali się po pokoju sprężynoci ramionami, aż wreszcie runęli na ziemię z trzaskiem, miażdżąc w upadku wiklinowy fotel. Joe leżał na spodzie z rozpostartymi i unieruchomionymi ramionami, podczas gdy Martin kolaniem przygniatał mu pierś.

Ziajał już i z trudem chwycił powietrze, kiedy Martin puścił go wreszcie.

— Teraz sobie, ogadamy — rzekł zwycięzca. — Na ostro nic ze mną nie zdziałasz. Najpierw musimy skończyć tę sprawę z pralnią. Potem możesz sobie tu wrócić na koleżeńskie pogawarki. Mówiłem ci przecież, że jestem zajęty. Spójrz tylko na to.

Służący wniósł właśnie do pokoju poranną pocztę w postaci ogromnego stosu listów i czasopism.

— Jakże ja mogę przebrnąć przez to wszystko rozmawiając jednocześnie z tobą? Najpierw idź i załatw, co trzeba, z tą pralnią, a potem dopiero się spotkamy.

— Niech i tak będzie — przystał Joe niechętnie. — Myślałem, że chcesz się mnie pozbyć, ale widzę, że się chyba mylił. A swoją drogą nie uległbym ci w prawidłowej walce, Mart. Łapy mam dłuższe.

— Możemy kiedy wdziać rękawice i przekonać się — rzekł Martin z uśmiechem.

— Zgoda. Zrobimy to, jak tylko puszcze w ruch tę pralnię. — Tu Joe rozprostował ramię. — Widzisz, jaki zasięg? Jeszcze ty się pomęczysz ze mną.

Martin odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie drzwi zamknęły się za starym druhem. Nie znosił teraz towarzystwa. Konieczność uprzejmego obchodzenia się z ludźmi sprawiała mu codzienną mękę. Sama już obecność ich była nużąca, a wysiłek podtrzymywania rozmowy drażnił go. Obcując z kimkolwiek odczuwał natychmiast niepokój, toteż dokładał wszelkich starań, aby pozbyć się czym prędzej nie milego towarzystwa.

Nie od razu zabrał się Martin do przeglądania poczty, lecz przez dobre pół godziny siedział bezczynnie w fotelu. Tylko z rzadka mętne, na pół ukształtowane myśli przebiegały mu przez świadomość lub raczej stanowiły jedyny jej ubogi wątek. Wstał wreszcie i począł przerzucać listy. Było tam z tuzin próśb o autografy, które rozpoznawał na pierwszy rzut oka, były listy ludzi zawodowo trudniących się żebranią, a zdarzały się też listy od różnych dziwaków, począwszy od konstruktora działającego modelu perpetuum mobile i człowieka dowodzącego, iż powierzchnia ziemi stanowi wnętrze pustej kuli, a kończąc na działaczu społecznym, szukającym poparcia finansowego dla nabycia południowej części Półwyspu

Kalifornijskiego na cele kolonizacji komunistycznej. Były również listy kobiet pragnących zawrzeć z nim znajomość, a jedna z nich ubawiła go załączeniem kwitu na opłaconą w kościele ławkę, co miało stanowić dowód jej czystych intencji i nieposzlakowanych obyczajów.

Redaktorzy i wydawcy przyczyniali się też poważnie do zwiększenia codziennego pliku korespondencji, jedni pokornie błagali o rękopisy, drudzy zaś o książki — a więc o te same, biedne, pogardzane maszynopisy, których utrzymywanie w stanie ciągłej wędrówki zmuszało go przez tyle upiornych miesięcy do zastawiania w lombardzie wszystkiego, co posiadał. Napływały niespodziewane czeki za nowele publikowane w angielskich pismach lub jako zaliczki na przekłady. Przebywający w Anglii pełnomocnik Martina na Europę donosił o odstąpieniu prawa tłumaczenia trzech jego książek na język niemiecki, dodając też, że ukazały się w sprzedaży przekłady szwedzkie, za które jednak nie można było oczekiwać dochodu wobec tego, iż Szwecja nie przystąpiła do konwencji berneńskiej. Nadeszła też prośba o autoryzację zamierzonych przekładów na język rosyjski, mająca raczej charakter formalny z uwagi na to, że Rosja również nie podpisała konwencji berneńskiej. Z kolei przeszedł Martin do oglądania ogromnego pęku wycinków nadesłanego z agencji prasowej i dowiadywał się coraz to nowych szczegółów o samym sobie i popularności dochodzącej do rozmiarów jakiegoś szaleństwa. Cały jego twórczy dorobek został rzucony w ręce publiczności jednym wspaniałym rozmachem i tym zapewne tłumaczył się nieprawdopodobny sukces. Porwał czytelników tak samo jak Kipling, który, będąc wtedy bliski śmierci, stał się bożyszczem tłumu, rozchwytyjącego jego dzieła w nieokiełznanym szale. Martin przypomniał sobie, jak tenże sam tłum, który na przestrzeni całego świata czytał łakomie i oklaskiwał wielkiego pisarza, wcale zresztą go nie rozumiejąc, już w kilka miesięcy potem rzucił się na niego z pasją i rwał na strzępy. Na myśl o tym Martin uśmiechnął się gorzko. Kimże był on sam, by mieć pewność, że podobny los nie spotka i jego za parę miesięcy? Ale on zakpił sobie z tłumu. Będzie już wtedy daleko, wśród mórz południowych. Postawi tam sobie trzcinowy domek i będzie handlował perłami i koprą, przeskakując kruchymi czółnami przez rafy, łowiąc rekiny i bonity lub polując na kozice po turniach wznoszących się nad doliną w pobliżu Taiohae.

W chwili gdy to pomyślał, uświadomił sobie nagle całą rozpaczliwość swego położenia. Zrozumiał w jasnowidzeniu, że zstępuje oto w Dolinę Cienia. Wszystkie siły życia wędły w nim, gasły i chyliły się ku śmierci. Zdał sobie sprawę z tego, jak wiele teraz sypia i jak bardzo pożąda snu. Dawniej sen budził w nim nienawiść; pozbawiał go przecież beczennych chwil życia. Przesypianie czterech godzin na dobę oznaczało bezpowrotną utratę tyluż godzin życia. Jakże wtedy bronił się przed snem! A teraz z równą gorliwością ucieka przed życiem. Życie nie jest dla niego dobre: jego smak stał się mdły i gorzki. Na tym polega grożące mu niebezpieczeństwo. Życie nie tęskniące do życia zmierza prosto do kresu. Jakiś mglisty instykt samozachowawczy odezwał się w Martinie, nagłąc go do niezwłocznego wyjazdu. Rozejrzał się po pokoju i ze wstrętem pomyślał o czekającym go pakowaniu. Może lepiej będzie odłożyć to na ostatnią chwilę? Tymczasem wypada się zająć przygotowaniem ekwipunku.

Włożył kapelusz i wyszedł, kierując się przede wszystkim do sklepu łowieckiego, gdzie pozostał aż do południa, kupując broń automatyczną, amunicję i sprzęt rybacki. Potrzeby rynku szybko ulegają zmianie, wobec tego Martin doszedł do przekonania, że z zamówieniem towarów wymiennych będzie się musiał wstrzymać do czasu przybycia na Tahiti. Będzie je mógł przecież sprowadzić z Australii. Rozwiązanie to sprawiło mu prawdziwą radość. Unikał w ten sposób pewnej pracy, a w obecnej chwili wszelki wysiłek był dla niego przykry. Z zadowoleniem wracał do siebie, ciesząc się z góry na myśl o czekającym go wygodnym fotelu. Kiedy zaś wchodząc do pokoju ujrzał siedzącego w tymże fotelu Joego, tak był zawiedziony, że aż jęknął w duchu.

Joe był zachwycony pralnią. Wszystko zostało pomyślnie załatwione i już nazajutrz miało nastąpić przekazanie zakładu nowemu właścicielowi. Martin leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, starając się nie słuchać gadaniny przyjaciela.

Jego myśli odbiegały daleko, tak daleko, że z rzadka tylko zdawał sobie sprawę, że w ogóle umysł ma czymś zajęty. Z wysiłkiem tylko zdobywał się od czasu do czasu na jakąś odpowiedź. A przecież miał przed sobą Joego, którego zawsze szczerze lubił. Ale Joe zbyt był przejęty życiem. Niewstrzymany napór tej bujnej żywotności ranił skołatany umysł Martina. Była to bolesna próba dla jego znużonej wrażliwości. Kiedy Joe przypominał mu, że kiedyś w przyszłości mają się zmierzyć z sobą na pięści, Martin z trudem powstrzymał się od krzyku. — Nie zapominaj, Joe, że powinieneś prowadzić pralnię zgodnie z tymi zasadami, które kiedyś głosiłeś przy Gorących Źródłach w Shelly — rzekł wreszcie. — Nie przemoczać ludzi, nie wymagać pracy nocnej. Nie zatrudniać dzieci przy maglu. Nigdzie zresztą ich nie zatrudniać. I wynagradzać pracowników godziwie.

Joe skinął głową i wydobyl z kieszeni notes.— Zajrzyj no tu. Właśnie dziś przed śniadaniem układałem ten regulamin. Co o nim myślisz?

Odczytał głośno wyniki swej pracy, a Martin zatwierdził je, myśląc tęsknie o chwili, kiedy go Joe wreszcie opuści.

Miało się już ku wieczorowi, gdy zbudził się ze snu. Zwolna uświadomił sobie, że żyje. Rozejrzał się po pokoju. Joe musiał widocznie wymknąć się cichaczem w czasie jego drzemki. Zacnie to z jego strony — pomyślał. Potem zamknął oczy i ponownie zapadł w sen. Przez parę następnych dni Joe zanadto był zajęty organizacją i obejmowaniem pralni, by naprzykrzać się zbyt Martinowi; o zamiarze zaś jego odpłynięcia na statku „Mariposa” gazety doniosły dopiero w przeddzień daty wyznaczonej na odjazd. W przystępie chwilowej troski samozachowawczej Martin udał się do lekarza, który poddał go szczegółowemu badaniu. Nie doszukał się jednak niczego. Serce i płuca funkcjonowały bez zarzutu. Żaden z narządów — w granicach, w jakich można to było stwierdzić w wyniku doraźnych oględzin — nie wykazywał najmniejszych uszkodzeń, a działanie ich było całkiem normalne.

— Nic panu nie dolega, panie Eden — oświadczył lekarz — najzupełniej nic. Jest pan w rozkwicie sił. Wyznać muszę, że zazdroścę panu zdrowia. Jest po prostu wspaniale. Wystarczy spojrzeć na tę klatkę piersiową. To jej właśnie, a także wzorowemu trawieniu zawdzięcza pan swą nieporównaną formę. Pod względem fizycznym jest pan okazem, jaki spotkać można raz na tysiąc czy nawet raz na dziesięć tysięcy osób. Jeśli nie uwzględniać możliwych wypadków, powinien pan dożyć stu lat.

Martin przekonał się w ten sposób, że diagnoza Lizzie była trafna. Fizycznie był zupełnie zdrowy. Tylko ów przyrząd do myślenia nazwany przez nią „mózgownica”, rozstroił się w nim na dobre, a jedyną radą była ucieczka na morza południowe. Bieda polegała na tym, że teraz, już u progu odjazdu, nie miał wcale ochoty na tę wyprawę. Południowe morza pociągały go równie mało jak cywilizacja burżuazyjna. Myśl o podróży nie niosła w sobie rozkoszy, sama zaś czynność przygotowania się do drogi zbyt była najeżona wysiłkami fizycznymi. Wolałby już być na pokładzie i sunąć po falach.

Ostatni dzień stanowił ciężką próbę. Dowiedziawszy się z porannych pism o odjeździe Martina, Bernard Higginbotham z Gertrudą i całą dzieciarnią oraz Herman Schmidt z Marianną przyszli się z nim pożegnać. Poza tym trzeba było dopilnować wielu spraw, popłacić rachunki i załatwić całą rzeszę reporterów. Na Lizzie Connolly czekał u wejścia do szkoły wieczornej i po paru słowach pożegnania umknął. W hotelu zastał już Joego, który zaprzątnięty sprawami pralni, nie mógł się zjawić wcześniej. Była to kropla przepełniająca dzban goryczy, lecz Martin, chwyciwszy silnie za poręcz fotela, zmusił się do półgodzinnej uprzejmej rozmowy.

— Nie myśl, Joe — powiedział — że jesteś związany na zawsze z tą pralnią. Nie stawiam ci żadnych warunków. Wolno ci ją w każdej chwili sprzedać i przepuścić pieniądze. Możesz się

zawsze wyrwać, jeśli tylko zaczniesz się nudzić i zapragniesz włóczęgi. Rób to, co ci da najwięcej szczęścia.

Joe potrząsnął głową.

— Nie chcę już żadnych wędrówek, pięknie ci dziękuję. Włóczęga to dobra rzecz, ale ma tę wadę, że jest niewygodna względem dziewcząt. A ja nic na to nie poradzę, żem się urodził babiarzem. Nie mogę się obejść bez kiecki, a kto się włóczy po świecie, musi sobie bez tego dawać radę. Ilekroć mijałem domy, gdzie ludzie bawili się i tańczyli, ilekroć słyszałem śmiechy kobiet, a przez okna dostrzegałem ich jasne stroje i uśmiechnięte twarze, powiadam ci, Mart, przeżywałem istne piekło. Zanadto lubię tańce, majówki, spacery przy księżycu i całą tę szopkę. Trzeba mi teraz tylko pralni, nielicznego fasonu i dobrze nabitej kabzy. Wiesz, poznałem już nawet wczoraj jedną dzierlatkę, z którą chyba mógłbym się ożenić. Cały dzień pogwizdywałem sobie myśląc o tym. Ładna jest, bestyjka, a przy tym takie ma dobre oczy i słodki głosik, jak rzadko. Już ja ją dostanę, możesz mi wierzyć. Ale dlaczego — ty się nie żenisz mając aż za wiele pieniędzy. Mógłbyś zdobyć najpiękniejszą dziewczynę w całym kraju.

Martin z uśmiechem potrząsnął głową, lecz w głębi duszy dziwił się bardzo, jak to może być, że komukolwiek chce się żeniaczki. Wydawało mu się to zdumiewające i niezrozumiałe. Z pokładu „Mariposa” na chwilę przed odpłynięciem dostrzegł Lizzie Connolly, kryjącą się w tłumie ludzi stojących na przystani. Weź ją z sobą — przemknęło mu przez głowę. — Nietrudno jest być dobrym. Będzie bezgranicznie uszczęśliwiona. — Myśl ta przez chwilę zdawała się go szczerze nęcić, lecz wnet przekształciła się w dręczącą zmorę. Poczul paniczny strach przed taką możliwością. Jego zmęczona dusza odwracała się od niej w popłochu. Z jękiem odsunął się od bariery, szepcząc: — Aleś ty chory, człowieku, aleś chory I Uciekł do kabiny, w której zaszył się aż do czasu, kiedy ze statku nie było już widać przystani. W sali jadalnej podczas obiadu wyznaczono mu miejsce honorowo po prawej ręce kapitana i niebawem przekonał się, że jest uważany za najznakomitszą osobistość na statku. Nigdy jednak chyba żaden wielki człowiek nie zawiódł tak dalece nadziei pokładanych w nim przez współpasażerów okrętowych. Całe popołudnia spędzał na leżaku, mając oczy zamknięte i przeważnie drzemiąc, wieczorami zaś wcześniej kładł się do łóżka.

Trzeciego dnia podróży pasażerowie przemógłszy morską chorobę wylegli z kabin na pokład, umożliwiając pełny przegład obecnych. Im dłużej Martin na nich patrzył, tym silniejszą czuł do nich odrazę. Wiedział jednak dobrze, że ich tym krzywdzi. Przyznać musiał, że byli to na ogół ludzie zacni i mili, lecz tę ocenę uzupełnił sobie natychmiast w duchu słowami: zacni i mili na sposób burżuazyjny, z całym właściwym tej sferze psychicznym obciążeniem i ubóstwem intelektualnym. Rozmowa z nimi nudziła go, ujawniając pustkę ich powierzchniowych umysłowości, natomiast młodsze pokolenie raziło go hałaśliwym usposobieniem i zbyt bujnym temperamentem. Zdawało się, że ani na chwilę nie potrafią zachować spokoju: nieustannie zabawiali się grami pokładowymi, spacerowali i podbiegali z głośnymi okrzykami do bariery, by przyglądać się skokom delfinów i napotkanym ławicom latających ryb.

Martin wiele sypiał. Po śniadaniu kładł się na leżaku z czasopismem, którego nigdy nie mógł obejrzeć do końca. Zadrukowane stronicie mierzły go. Nie mógł zrozumieć, że ludziom chce się tyle pisać i zdziwiony zapadał w drzemkę. Kiedy dźwięczał gong wzywający na obiad, Martin zżymał się, że go budzą. Stan przytomności męczył go.

Pewnego dnia próbował ocknąć się z letargu i poszedł do forkasztełu pogadać z marynarzami. Wydało mu się jednak, że plemię marynarzy dziwnie się jakoś zmieniło od czasu, kiedy sam się do niego zaliczał. Nic nie miał wspólnego z tymi na pół zwierzęcymi stworzeniami o tępych twarzach i bydłęcych mózgach. Był w rozpacz. W wyższych warstwach nikt nie pożywał Martina Edena dla niego samego, a do ludzi z własnej sfery, którzy dawniej pragnęli

jego towarzystwa, wrócić już nie mógł. On sam ich nie chciał. Nie mógł ich ścierpieć tak samo, jak nie znosił głupich pasażerów z pierwszej klasy i rozwydrzonej młodzieży. Życie działało na niego równie boleśnie, jak białe światło razi zmęczone oczy chorego. W każdej chwili spędzonej na jawie życie kłębiło się wokoło niego i nad nim, oślepiając go jaskrawym blaskiem. Sprawiało to ból, nieznośny ból. Pierwszy raz w życiu Martin podróżował pierwszą klasą. Dawniej na statkach przebywał zawsze tylko w forkasztelu, w trzeciej klasie lub w czarnych czeluściach bunkra, skąd podawał węgiel do kotłowni. W zamierzonych tych czasach, wylazszy z otchłani duszącego żaru po żelaznej drabince na powierzchnię, dostrzegał nieraz przelotnie pasażerów, którzy w białej, powiewnej odzieży, nie mając nic do roboty, bawili się tylko pod płóciennymi zasłonami, rozpiętymi w celu ochrony przed słońcem i wiatrem, pod opieką usługowych lokai, starających się odgadnąć wszelkie ich życzenia i zachcianki. Zdawało mu się wtedy, że świat, w którym ci ludzie poruszali się i przebywali, był istnym rajem. A oto teraz sam tkwi w środku tego świata, siedząc po prawicy kapitana jako najszacowniejszy gość, i w pogoni za utraconym rajem tęsknie wzdycha za forkasztelami i kotłownią. Nowego rajy nie znalazł, a dawny stracił dlań cały urok.

Chcąc się za wszelką cenę rozruszać Martin szukał nieustannie czegoś, co mogłoby go zainteresować. Zaszedł kiedyś do kantyny bosmanów, ale już za chwilę chciał stamtąd uciekać. Wdał się wtedy w rozmowę z wolnym od służby dowódcą wachty, człowiekiem inteligentnym, który niebawem postanowił nawrócić Martina na socjalizm i wetknął mu do rąk cały pęk propagandowych ulotek i broszur. Słuchając, jak ten człowiek głosi zasady niewolniczej moralności, Martin myślał bez entuzjazmu o swej własnej filozofii nietzscheańskiej. Jakąż wartość miał w gruncie rzeczy ten światopogląd? Pamiętał jedną z obłądnych wypowiedzi Nietzschego, w której ten szaleniec wątpił o istnieniu prawdy. Kto wie? A może Nietzsche miał słuszość? Może prawdy nie ma nigdzie — nawet w samej prawdzie — może prawda jest tylko złudzeniem? Ale znużony umysł nie chciał zagłębiać się w to zagadnienie; Martin wołał powrócić na leżak i podzemać.

Choć pobyt na parowcu dość w sobie niósł udręki, spadło nań inne jeszcze utrapienie. Co będzie, kiedy statek dopłynie na Tahiti? Trzeba będzie zejść na ląd. Trzeba będzie zamówić towary wymienne, wyszukać szkuner udający się na wyspy Markizy, pozalać tysiące spraw, o których sama już myśl napełniała go lękiem. Ilekroć zdołał się zmusić do rozsądnego myślenia, widział jasno, w jak rozpaczliwym znalazł się położeniu. Prawdę mówiąc był już w Dolinie Cieni, a grozę powiększała jeszcze okoliczność, że nie czuł strachu. Gdyby tylko mógł się bać, byłby jeszcze zawrócił ku życiu. Że jednak nie doznawał lęku, tym głębiej przez to pograżał się w mroku. Dawne drobne życiowe uciechy nie bawiły go już wcale.

„Mariposa” dostała się teraz w zasięg pasatów północno-wschodnich, lecz ów nektar wiatru, dmąc mu w twarz, rozdrażniał go teraz tylko. Kazał sobie przenieść leżak na inne miejsce, aby uciec przed pieszczotą miłego druha dawno minionych dni i nocy.

W dniu, kiedy „Mariposa” wpłynęła pod zwrotniki, Martin bardziej był nieszczęśliwy niż kiedykolwiek. Stracił sen. Widocznie tak się już nim przesycił, że teraz musiał czuwać i znosić oślepiający blask życia. Niespokojnie kręcił się z kąta w kąt. Powietrze było duszne i wilgotne, a krótkie ulewy nie mogły go odświeżyć. Martin odczuwał ból życia. Póty spacerował naokoło pokładu, aż opanowywało go znużenie, potem zaś kładł się na leżaku i trwał w tym stanie tak długo, dopóki jakiś impuls znów nie nakazał mu ruchu. Wreszcie zmusił się do przeczytania oglądanego czasopisma i z czytelni okrętowej wydobył kilka tomów poezji. I one jednak nie potrafiły przyciągnąć jego uwagi na dłużej, toteż wkrótce puścił się w ponowną wędrówkę.

Do późna wieczorem pozostał na pokładzie, lecz niewiele mu to pomogło, kiedy bowiem wreszcie zszedł na dół, nie mógł zasnąć. To wymarzone schronienie przed życiem zawiodło go. Zrobiło mu się ciężko nie do zniesienia. Zaświecił elektryczną lampę i spróbował czytać.

Jeden z wypożyczonych tomów zawierał wiersze Swinburne'a. Martin leżał w łóżku przerzucając karty książki i raptem uprzytomnił sobie, że czyta z uwagą. Dociągnął do końca strofy i choć zamierzał czytać dalej, powrócił do niej znowu. Położył sobie książkę na piersi okładką na zewnątrz i począł dumać. Otóż to. W tym leży sedno sprawy I Dziwna rzecz, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy. Tym tłumaczy się sytuacja, w jakiej się znalazł. Już od dawna w tym kierunku zdążył, teraz zaś Swinburne wskazał mu, że jest to właśnie szczęśliwa droga wyjścia. Pragnął spoczynku, a tu oczekiwał go spoczynek. Spojrzał na otwarty iluminator kabiny. Tak, szerokość jest dostateczna. Po raz pierwszy od długich tygodni poczuł się szczęśliwy. Nareszcie odkrył lekarstwo na trapiące go dolegliwości. Podniósł książkę i z wolna odczytał na głos zwrotkę, która go tak zastanowiła:

Z ziemi, gdzie ufność i strach podły
Z miłością życia, zbyt nam drogą,
Rządzą — dziękczynne ślemy modły
Bogom, co gdzieś tam istnieć mogą,
Za to, że życie' nie trwa wieki,
Że nikt nie wraca z mgieł dalekiej
Krainy śmierci, a nurt rzeki
Zawsze na morza spocznie progu,

Martin spojrzął raz jeszcze na otwarty iluminator. Swinburne dał mu do ręki klucz. Życie było złem lub raczej stało się złem, rzeczą nie do zniesienia. „Że nikt nie wraca z mgieł dalekiej krainy śmierci i” Ten zwrot przepełnił go głęboką wdzięcznością. Było to jedyne w całym wszechświecie dobrodziejstwo. Kiedy życie stanie się zanadto już bolesną zmorą, czeka śmierć, by ukoić do wieczystego snu. Po co zwlekać? Już czas ostatni. Wstał i wysunął głowę przez iluminator, spoglądając na pieniającą się w dole toń. „Mariposa”, ciężko załadowana, zanurzała się głęboko, toteż uwiesiwszy się na rękach powinien sięgnąć stopami fal. Będzie mógł pograć się bezszelestnie. Nikt nic nie usłyszy. Bryzg piany poderwał się ku górze, zwilżając mu twarz. Poczuł słoność na wargach i smak ten wydał mu się dobry. Zastanowił się, czy warto napisać pieśń łabędzią, lecz ze śmiechem myśl tę odrzucił. Nie miał na to czasu. Zbyt pilno mu było odejść.

Zgasiwszy w kabinie światło, aby go nie zdradziło, Martin wysunął się przez iluminator nogami naprzód. Ramiona utkwiły mu w przejściu, musiał więc wciągnąć się z powrotem, aby spróbować po raz drugi, z jednym ramieniem przyciśniętym do boku. Nagłe przechylenie okrętu dopomogło mu i znalazł się na zewnątrz, trzymając się iluminatora rękami.

Dotknąwszy stopami morza rozluźnił dłonie. Leżał w mlecznobiałej wstędze piany. Burtą „Mariposa” sunęła tuż koło niego, na kształt ciemnej ściany, pocętkowanej tu i ówdzie plamami oświetlonych otworów. Łatwo było poznać, że statek rozwija nie lada szybkość. Zanim Martin się spostrzegł, był już daleko w tyle za rufą, płynąc z wolna wśród perlitych pian.

Mknąca mimo bonita uderzyła zębami w białe ciało Martina, który roześmiał się głośno. Uniósł z sobą drobny strzęp jego boku, a wywołany tym ból przypomniał mu, po co się tu znalazł. Zajęty uciążliwymi przygotowaniami, zapomniał o ich ostatecznym celu. Światła „Mariposa” mętniały już w oddali, a oto on płynie sobie spokojnie, jak gdyby zdążył do najbliższego lądu, leżącego gdzieś o tysiące mil stąd.

Działał tu podświadomy instynkt życia. Martin chciał przestać płynąć, lecz skoro tylko woda podniosła się nad poziom ust, ramiona uderzyły o nią gwałtownie i wydzwignęły znów ciało na powierzchnię. Rozpoznał w tym niezmożone pragnienie życia i myśl ta wywołała mu na twarz drwiący uśmiech. Woli mu doprawdy nie brakowało, woli dość potężnej na to, aby jednym ostatnim wysiłkiem zniszczyć siebie i przestać istnieć.

Zmienił położenie ciała na pionowe. Spojrzał w górę ku cichym gwiazdom, jednocześnie wydychając z płuc powietrze. Nagłym silnym podrzutem rąk i nóg zdołał wznieść ponad wodę barki i piersi aż do połowy. Miało to umożliwić mu nabranie rozpędu koniecznego do

opuszczenia się w głąb. Potem zwolnił mięśnie i jał się pograżać w morze cicho, niby biały posąg. Wdychał w siebie wodę głęboko, z rozmysłem, podobnie jak to czynią ludzie biorący narkozę. Kiedy zaczął się dławić, ramiona i nogi zupełnie bez udziału woli zagarnęły wodę i wyniosły go znów na powierzchnię pod jasne światło gwiazd.

Zawsze ta wola życia — pomyślał z pogardą, daremnie usiłując nie dopuszczać powietrza do pękających płuc. Kiedy tak, będzie musiał spróbować innego sposobu. Nabrał w płuca, ile tylko mógł, powietrza, aż do ich przepelnienia. Zapas ten pozwoli mu dotrzeć głęboko. Odwrócił ciało i począł się pograżać głową naprzód, płynąc całą swą siłą, z największym nateżeniem woli. Zanurzał się coraz głębiej. Oczy miał szeroko otwarte, śledząc nimi widmowe, fosforyzujące szlaki śmigających dokoła bonit. Płynąc miał nadzieję, że się na niego nie rzucą, gdyż mogłoby to osłabić napięcie jego woli. Nie napa dały go w istocie wcale, tak iż zdołał jeszcze odczuć wdzięczność za tę ostatnią łaskę wyświadczoną mu przez życie.

Zapadał tak w dół, wciąż w dół, aż zmęczyły mu się i niemal zdrętwiały ręce i nogi. Wiedział, że dotarł już bardzo głęboko. Ucisk wywierany na bębenki uszne dokuczał mu boleśnie, a w głowie szumiało niby w ulu. Wytrzymałość jego zaczynała już słabnąć, ale zmuszał kończyny do wciągania go jeszcze głębiej, aż wreszcie wola załamała się i powietrze niepowstrzymanym pędem wyrwało mu się z płuc. Jego bańki ocierały mu się w swym locie wżwyz o policzki i oczy, odbijając się od nich na kształt maleńkich baloników. Potem nastąpił ból nieodłącznie towarzyszący duszeniu się. Ta męka nie jest jeszcze śmiercią — przemknęło przez gasnącą świadomość Martina. Śmierć nie sprawia przecież bólu. Owo straszne, dławiące uczucie to życie, męka życia, ostatni cios, jaki życie mogło mu zadać.

Jego uparte ręce i nogi poczęły bić w wodę, zagarniając ją słabymi, kurczowymi ruchami, ale on oszukał je wraz z tą wolą życia, która kazała im tak się wysilać bez wytchnienia. Zbyt głęboko zdążył się zanurzyć. Nigdy już krnąbrne członki nie zdołają wynieść go na powierzchnię. Zdawał się bujać bezwolnie w morzu sennych marzeń. Barwy i odbłaski otaczały go chłonną kąpielą. A to co? Jak gdyby ujrzał przed sobą latarnię morską. Ale nie: to białe, olśniewająco jasne światło zabłysło mu wewnątrz mózgu. Gorzało coraz promiennie. Rozległ się długi, przeciągły grzmot i Martinowi zdało się, że spada z wielkich, nie kończących się schodów. Gdzieś u ich dna runął w mrok. Tyle jeszcze rozumiał. Runął w mrok. A w tej samej chwili, gdy to pojął, zgasła w nim świadomość.

Strona 476

Koniec